



POŻEGNAJ SIĘ
Z
NIEWINNOŚCIĄ

Scott Spencer

MIŁOŚĆ BEZ KOŃCA

Film w kinach na Walentynki

Scott Spencer

MIŁOŚĆ BEZ KOŃCA

przełożyła Julita Wroniak-Mirkowicz

Szaleńcza miłość Davida i Jade, pożądanie, budząca się seksualność i wzajemna fascynacja, wybucha z siłą, której sami nie potrafią zrozumieć.

Kiedy ojciec Jade przerażony intensywnością uczuć Davida zabrania młodym kontaktów, chłopak wymyśla sposób, jak wrócić do łask jej rodziców: wywoła pożar, z którego wszystkich uratuje. Jednak sytuacja szybko wymyka się spod kontroli i przeradza w koszmar. Davida czeka nieunikniona kara za to, co było dla niego najważniejsze - miłość bez końca do jedynej Jade .



*Anim nie pisał, anim nie czytał
Tej książki, która mną jest, a ja w niej ukryty
Przed wszystkimi, co widza w pocałunku jasnym
Groźną, bezkształtną, martwą czerń przestrzeni.
Mylilem się: i dni, i lata na nic,
By dowieść prawdy miłości bez granic.*

DELMORE SCHWARTZ

przeł. Jolanta Kozak

Część pierwsza

1

Kiedy miałem siedemnaście lat i byłem w pełni posłuszny natarczywym żądaniom serca, zboczyłem z normalnej drogi życia i w ciągu sekundy zniszczyłem wszystko, co kochałem - kochałem głęboko, i gdy odebrano mi miłość, gdy ulotne ciało miłości cofnęło się przerażone, a moje własne zostało uwięzione, trudno było uwierzyć, że ktoś tak młody może tak straszliwie cierpieć. Wiele lat już minęło, lecz wieczór dwunastego sierpnia 1967 roku to wciąż przełomowa chwila w moim życiu.

W Chicago zaczynała się gorąca, parna noc. Na niebie nie widziałem ani chmur, ani gwiazd, ani księżyca; trawniki były czarne, drzewa jeszcze czarniejsze. Światła samochodów kojarzyły mi się z lampkami na hełmach górników wędrujących wąskimi korytarzami kopalni. W tę typowo sierpniową, duszną noc podпалиłem dom ludzi, których uwielbiałem nade wszystko, dom, który ceniłem bardziej od domu rodzinnego.

Zanim podłożyłem ogień, stałem na dużej drewnianej półkolistej werandzie i zaglądałem do środka. Targała mną rozpacz: dzika, bezradna rozpacz chłopca, którym miały głębokie uczucia przez nikogo niezrozumiane.

Byłem młody i wrażliwy,- kiedy przez szparę w zasłonach obserwowałem Butterfieldów, w oczach kręciły mi się łzy pełne szczerzej, beznadziejnej tęsknoty. Widziałem i kochałem tę wspaniałą rodzinę, podczas gdy ona, zajęta sobą, mnie nie dostrzegała.

Spędzali razem ten sobotni wieczór. Anna i jej mąż Hugh siedzieli przed pustym kominkiem na gołej podłodze z sosny. (Jakże szanowałem ich za to, że nie zakryli dywanem pięknych drewnianych podłóg!) Siedzieli blisko siebie i oglądali album z reprodukcjami, wyjątkowo wolno i troskliwie odwracając strony. Sprawiali wrażenie oczarowanych sobą. Czasami ich małżeństwo przypominało niekończący się romans: byli nieśmiali, namiętni, wciąż czegoś poszukujący. Nigdy z góry nie zakładali uczuć partnera - nie znałem drugiej pary, od której w chwilach czułości promieniowałaby taka aura zwycięstwa i ulgi.

Keith Butterfield, najstarszy syn i mój rówieśnik, którego chwilowe zainteresowanie moją osobą umożliwiło mi wstęp do domu Butterfieldów, również siedział na podłodze, niedaleko rodziców, i manipulował przy radiu stereofonicznym, które sam budował. Ponieważ on też miał ruchy powolniejsze niż zazwyczaj, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie oglądam ich w zwolnionym, koszmarnym śnie. Keith miał wygląd prymusa i rzeczywiście był najlepszym uczniem w szkole średniej Hyde Park. Uczył się bez najmniejszego wysiłku. Kiedy szedł na film radziecki, to czytając angielskie napisy, równocześnie przyswajał sobie kilkadziesiąt słów rosyjskich. Ilekroć miał w ręku zegarek, nie mógł się oprzeć pokusie, żeby nie rozebrać go na części. Gdy zerkał do menu, mimo woli zapamiętywał wszystkie dania. Błady, o niesfornych włosach i okrągłych okularach, ubrany w dżinsy, czarny pod-

koszulek i hippisowskie sandały, położył ręce na rozmontowanym radiu w taki sposób, jakby chciał je wyleczyć, a nie zbudować. Następnie podniósł niewielki śrubokręt i przykładając do oczu pomarańczową plastikową rączkę, spojrzął pod światło. Zasznurował usta - niekiedy sprawiał wrażenie starszego od swoich rodziców - po czym wstał i ruszył po schodach na piętro.

Sammy, młodszy, dwunastoletni syn, leżał wyciągnięty na kanapie, odziany tylko w krótkie spodenki koloru khaki. Był to opalony, niebieskooki blondyn, ładny w sposób aż komicznie konwencjonalny: przypominał z urody gwiazdorów, których zdjęcia dorastające panienki chętnie umieszczają w rogu lustra. Sammy był ulepiony z nieco innej gliny niż reszta Butterfieldów. W rodzinie, która ceniła swoją odmienność oraz poczucie własnej niezwykłości, wyjątkowość Sammy'ego właśnie polegała na jego zdumiewającej przeciętności. Dobry sportowiec i kumpel, zdolny tancerz, obiekt westchnień wielu dziewczyn, Sammy dorabiał roznoszeniem gazet i był najmniej zamkniętym w sobie, najmniej skrytym z Butterfieldów. Naprawdę wszyscyśmy wierzyli, nawet wówczas, kiedy miał dwanaście lat, że pewnego dnia Sammy zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych.

No i Jade. W luźnej, niemodnej bluzce i niezbyt gustownych szortach sięgających prawie kolan, siedziała zwinięta w fotelu. Sprawiała wrażenie zaspanej, cnotliwej szesnastolatki, którą zmuszono do spędzenia sobotniego wieczoru w gronie rodzinnym. Ledwo śmiałem na nią patrzeć z obawy, że zaraz rzucę się przez okno i pochwycę ją w ramiona. Minęło siedemnaście dni, odkąd Butterfieldowie zabronili mi wstępu do ich domu, i starałem się nie myśleć o tym, jakie zmiany tam zaszły w czasie mojej nieobecności. Jade

siedziała bez ruchu, wpatrzona w ścianę; twarz miała pustą, bez wyrazu, nerwowy tik w kolanie ustąpił - czyżby wyleczony moim wygnaniem? W ręce trzymała gruby długopis z trzema wkładami - czarnym, niebieskim i czerwonym - lecz notes, w którym pisała, zsunął się w szparę między jej szczupłym biodrem a oparciem fotela.

Co mną wtedy kierowało? Nadal uważani, że owej nocy podpaliłem dom, żeby zmusić Butterfieldów do wyjścia na zewnątrz i stanięcia ze mną twarzą w twarz. Cały jednak kłopot polega na tym, że tłumacząc się z czegoś w kółko, w końcu człowiek z trudem sam sobie dowierza. Przypomina to grę, w którą bawią się dzieci: tak długo powtarzają jakieś słowo, aż wreszcie traci ono znaczenie. Noga. Noga. Po stu razach sami nie wiemy, co to jest. Ale choć prawda nieco uległa zatarciu (i w tych zatartych konturach szukam nowego obrazu, nowych pobudek), wciąż twierdzę, iż jedyne, o czym myślałem, podpalając werandę, to że w ten sposób skuteczniej wyrwę Butterfieldów z ich sielskiej idylli rodzinnej, niż gdybym zawołał ich z ulicy, rzucił kamieniem w okno albo wykonał jakikolwiek inny rozpaczliwy, a zarazem poniżający mnie gest. Dokładnie to sobie wyobraziłem: czują zapach dymu unoszący się znad sterty starych gazet, wymieniają zdziwione spojrzenia i wychodzą sprawdzić, co się dzieje.

Miałem następujący plan działania: gdy tylko gazety zajmą się ogniem, zbiegam z werandy i oddalam się o przecznicę. Kiedy znajduję się w bezpiecznej odległości, przystaję, żeby złapać oddech, i wolnym krokiem ruszam z powrotem, licząc, że Butterfieldowie wyjdą, akurat gdy będę mijał ich dom. Nie jestem pewien, co dalej zamierzałem robić. Czy rzucić się z pomocą do gaszenia pożaru, czy stanąć osłupiały, jakby zaskoczony tym, że ich widzę,

i modlić się, aby Jade lub Anna dostrzegły mnie i zaprosiły do środka. Chodziło o to, żeby jeszcze dziś się z nimi zobaczyć.

Nie przypominam sobie, abym obmyślał ten plan. Zakochany i zniecierpliwiony, po prostu wpadłem na pomysł i wkrótce trzymałem w ręce zapaloną zapałkę. Przez chwilę czekałem (a nogi mi drżały, bo chciałem czym prędzej zeskoczyć z werandy i uciekać co sił), żeby upewnić się, czy gazety zajęły się ogniem. Płomień zaginał rogi, strona po stronie, sięgając coraz dalej w głąb sterty, ale nie rozchodził się na boki. Mogłem go bez trudu zgasić, przy-deptując kilka razy nogą, i o mało tego nie zrobiłem - nie dlatego, abym przewidział konsekwencje, ale ze strachu. Pamiętam, co myślałem: to się nigdy nie uda.

Płomień, przedarłszy się przez wierzchnie warstwy, dotarł do środka sterty i do suchych desek werandy. Ogień bynajmniej nie był jeszcze imponujący. Kiedy dałem nogę, zostawiając go własnej sile i losowi, był za mały, aby upiec na nim pstrąga; od biedy, gdyby się uprzeć, można by podgrzać na nim kawałek kiełbasy. Ale grunt, że się palił; wiedziałem, że nie zgasi go ani lekki powiew wiatru, ani że sam nie wygaśnie. Płomienie były prawdziwe, żywe. Zeskoczyłem z werandy na długi, niestrzyżony trawnik, który odróżniał ogród Butterfieldów od sąsiednich. Na chwilę przystanąłem i jeszcze raz spojrzałem na drewniany dom

- staroświecką, gotycką budowlę w samym sercu Chicago
- na przyćmione światło w oknie salonu, z którego nie wyglądały żadne zdumione twarze, i na stertę gazet, które drżały za osłoną dymną, zwieńczone grzebieniem ognia. Następnie puściłem się pędem.

Dom Butterfieldów znajdował się na Blackstone w dzielnicy Hyde Park. Na niepewnych nogach biegłem

na północ w stronę Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. O ile pamiętam, nikogo po drodze nie spotkałem. Nikt też nie przechodził koło domu Butterfieldów i nie widział płonących gazet. W owym czasie mieszkańcy Hyde Parku nie zamykali się w domach ze strachu przed bandytami. Poruszali się swobodnie po dzielnicy i mimo że uniwersytet dysponował własną policją oraz specjalnymi autobusami, którymi studenci mogli bezpiecznie poruszać się po okolicy, Hyde Park nawet w nocy był pełnym życia, ruchliwym punktem miasta. (Zanim rodzice Jade zaakceptowali naszą miłość i jej nieustępliwe prawa, często łączyliśmy tymi ulicami o trzeciej i czwartej nad ranem, przystając przy zaparkowanych wozach, żeby się pocałować; obejmowaliśmy się, nawet kładli na ciemnych werandach, a jedyną naszą obawą było, że ktoś nam przeszkodzi). Ale tamtej nocy, kiedy jeden uważny przechodzień mógłby zmienić bieg wydarzeń, nikogo nie było.

Kiedy dotarłem do Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, rozpocząłem drugi etap swojego planu. Przystępując z nogi na nogę, odczekałem na rogu mniej więcej minutę, choć mogło to być znacznie krócej (kiedy czuję się niepewnie, mam skłonność do pośpiechu). Następnie, usiłując szybko znaleźć jakieś wiarygodne wytłumaczenie na wypadek, gdyby któryś z Butterfieldów spytał, co robię na Blackstone, nerwowym krokiem ruszyłem z powrotem tą samą drogą, którą niedawno biegłem. Serce waliło mi jak młotem, ale jeśli dobrze pamiętam, nie żałowałem podłożenia ognia. Nie widziałem Jade i nie rozmawiałem z nią od siedemnastu dni (kiedy Hugh Butterfield, zakazując mi wstępu do domu, powiedział, że wraz z Jade postanowił, iż przez miesiąc mam się trzymać od niej z daleka, ogarnęło mnie silne, choć nieuzasadnione podejrzenie, że nasza rozłąka

nigdy się nie skończy). Owo wygnanie, nagłe pozbawienie mnie czegoś, co stanowiło sedno mojego istnienia, zaprzętało mi wszystkie myśli i uczucia. Owszem, dręczyły mnie obawy, lecz nie zwracałem na nie uwagi, niczym na bzyczenie much. Byłem przerażony tym, że dopuściłem się tak niezrozumiałego czynu jak podpalenie gazet leżących na werandzie domu, ale zdenerwowanie oraz zdziwienie własnym zachowaniem nie miały nic wspólnego z żalem. Moim jedynym zmartwieniem było, czy plan się powiedzie.

Stałem przed ich domem. Od werandy dzieliło mnie jakieś piętnaście metrów i wyraźnie widziałem, że ogień nie wygasł. Ale też się nie powiększył. Chmura dymu unosiła się równomiernie znad sterty, lecz nie zdołała zaniepokoić Butterfieldów. W pierwszej chwili miałem ochotę podkraść się na werandę i podmuchać w palącą się stertę albo rozłożyć gazety, żeby lepiej zajęły się ogniem. Ale nie chciałem tak nachalnie sterować biegiem wypadków. Ponieważ spotkanie z Jade miało wyglądać na zupełnie przypadkowe, postanowiłem zostawić trochę miejsca na różne nieprzewidziane okoliczności: bałem się, że jeśli wszystko do końca wyreżyseruję, nie zdołam udać zaskoczenia, kiedy co do czego przyjdzie. Minąłem dom, kierując się tym razem na południe w stronę Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

Po Pięćdziesiątej Dziewiątej spacerowało sporo osób, ale nie zauważyłem nikogo znajomego. Zwróciłem uwagę na atrakcyjną starszą kobietę (mogła mieć dwadzieścia kilka lat, ale wtedy każdy po dwudziestce był dla mnie stary), która prowadziła na smyczy duże nerwowe rude psisko. Była w okularach przeciwsłonecznych i miękkim słomkowym kapeluszu; paliła papierosa w długiej srebrno-czarnej

cygarnicze. Chyba się na nią gapiłem, żeby zająć czymś myśli, bo kobieta przechyliła głowę i uśmiechając się, powiedziała: „Dobry wieczór”. Jej głos przestraszył mnie tak bardzo, że żołądek podjechał mi do gardła. Skinąłem szybko głową niczym żołnierz brytyjski (przywdziana na ten miesiąc maska wygrzebana ze składu porzuconych osobowości innych ludzi) i pomyślałem: cholera, nic nie wyjdzie z próby zgrania czasu. Życie musiałyby być filmem, żeby udało mi się zjawić przed domem Butterfieldów akurat w chwili, gdy będą z niego wychodzić. Czując, że czas straszliwie nagli, ruszyłem z powrotem, wpierw truchtem, potem ile sił w nogach.

Czy biegłem po to, żeby wszystko odbyło się zgodnie z planem, czy też przeczułem, że ogień, który podłożyłem, jest już nie do opanowania? Czy dotarł do mnie zapach dymu, czy też ta część mojej osoby, która od początku zdawała sobie sprawę z groźnych następstw, wreszcie zdołała się przedrzeć przez gąszcz uporu i tęsknoty, żeby wszcząć alarm? Biegłem i serce nie biło mi już jak serce udręczonego kochanka, lecz waliło o klatkę piersiową niczym wściekły pies o ogrodzenie.

Nie rozumiem zasad działania ognia, nie wiem, jak nauka tłumaczy jego spryt i zachłanność. Pojedynczy płomień szuka opału, miotając się niczym kot wokół mysiej nory. Bardzo młody płomień wciąż jest zależny od sił przyrody, kiedy jednak dojrzeje, staje się równie odważny i przebiegły jak grupa rewolucjonistów - tu odnosi łatwe sukcesy, tam powiększa zasięg swoich wpływów, jednoczy się, przystępując do ataku, promieniuje zwycięstwem. Gdy bucha pełną siłą, triumfując nad całym światem, a wszystko od kolumn doryckich po kioski z pismami zdane jest na jego łaskę, jego potęga jest iście boska: rzą-

dzi podległym sobie obszarem, narzucając zachłanną, absolutną władzę i wierząc, iż wszystko, co istnieje, powinno zniknąć w płomieniach. Kiedy dotarłem do domu Jade, ogień, który podłożyłem, jeszcze nie osiągnął niepokohowanej energii wieku dojrzałego, ale znajdował się w buńczucznym młodzieńczym stadium. Płomień przywódca, zajmujący kwatery główną na stercie gazet, wysyłał do ataku na dom mniejsze grupy bojowe. Wzdłuż ścian języki ognia migotały niby pomarańczowe proporce. Mniejsze płomienie, odkomenderowane do zniszczenia podłogi werandy, przez chwilę ścigały się wokół płonącej sterty, po czym zachwycone tym, że w ogóle istnieją, i oszołomione swym zadaniem, rozproszyły się we wszystkie strony.

Cofnąłem się. Czułem na twarzy żar, którym nasycone było rozgrzane nocne powietrze. Cofałem się, aż ześlizgnąłem się z chodnika i wpadłem na wóz Hugh, dziesięcioletniego bentleya, o którego troszczył się i którego kochał do przesady. Jak kompletny kretyń potarłem plecy, sprawdzając, czy nie mam siniaka, podczas gdy ci, których kochałem, znajdowali się w płonącym domu. Płomienie, które tańczyły na ścianach, nie wyglądały groźnie, ale było ich wiele i odznaczały się taką pewnością siebie, że bez przerwy wypuszczały nowe języki. Nagle, zupełnie jakby jego wielkość można było regulować przykręceniem lub odkręceniem gałki w kuchence gazowej, ogień buchnął z potrójną siłą i mocą. Krzyknąłem i co tchu pobiegłem do drzwi.

Płonęła już połowa werandy: ogień niczym żarłoczna roślina na wszystkie strony wypuszczał nowe pędy. Otworzyłem siatkę i nacisnąłem klamkę wielkich drewnianych drzwi, których na ogół nie zamykano (nie z nadmiaru ufności do świata, ale z powodu nieustającego przepływu gości). Tej nocy jednak drzwi były zamknięte na klucz.

Zacząłem w nie walić pięściami i krzyczeć - nie, nie krzyczałem: „Pali się!”, tylko: „Wpuście mnie! Do jasnej cholery, wpuście mnie! Wpuście mnie!”.

Drzwi otworzył Sammy. Właśnie zamierzał sprawdzić, co się dzieje, bo wreszcie poczuli dym.

- David? - zdziwił się i podniósł małe ręce, jakby chciał zagrozić mi wejście.

Wyciągnąłem go na werandę i wbiegłem do domu. W małym, zagraconym korytarzu czuć było dym, a kiedy skręciłem w prawo do salonu, zobaczyłem, że Hugh cofa się od okna, zasłaniając ręką oczy.

- Pali się - oznajmiłem. (Hugh później zeznał, że powiedziałem to tonem „obojętnym”. Wydaje mi się to nieprawdopodobne, ale nie pamiętam).

W salonie było goręcej niż w najbardziej upalny letni dzień. Miałem wrażenie, że to nie tyle dym dostaje się do środka, co że powietrze wewnątrz zamienia się w dym. Ogień, kierując się taktycznym instynktem, otoczył z zewnątrz duże okno, żeby przez nie wedrzeć się do domu. Buzował na spróchniałej framudze, zwiększając swą intensywność i tańcząc - niczym wojownicy rozgrzewający się do bitwy - aż wreszcie od samego żaru pękła szyba; wówczas długi pomarańczowy język wsunął się do środka i zasłony stanęły w ogniu.

Kiedy wyleciała szyba i zasłony zajęły się ogniem, biegu wydarzeń nie można już było zatrzymać. Jak większość ludzi, którzy kiedykolwiek znaleźli się w płonącym budynku, staraliśmy się pokonać strach, wmawiając w siebie, że nic nam nie grozi. Tylko Hugh, który walczył na wojnie i przebywał w obozie jenieckim, wiedział z własnego doświadczenia, jak często normalne życie może ulec całkowitemu zburzeniu. My zaś, mimo że wdychali-

śmy żar i dym, mimo że płuca nas piekły, a oczy nam łzawiły, mimo że słyszeliśmy trzask drewna, łudziliśmy się, że niebezpieczeństwo nagle się zatrzyma, cofnie i zniknie.

Usiłując zachować spokój, podszedłem do Jade i objąłem ją ramieniem, jak ktoś, kto w pełni panuje nad krytyczną sytuacją - w rzeczywistości pragnąłem jej tylko dotknąć.

- Jak się czujesz? - szepnąłem jej do ucha. Włosy Jade pachniały płynem, którego używała do kręcenia loków. Jej szyja była odsłonięta i wyglądała bezbronie.

- Sama nie wiem - odparła niskim, zachrypłym głosem. Nie patrzyła na mnie. - Cudownie, ale dziwnie... jakoś bardzo dziwnie. - Zasłoniła oczy przed dymem i zakasłała. - Boję się - dodała.

Może wyczułem coś z jej tonu, ale od razu domyśliłem się, że Butterfieldowie nie palili trawy. Od kilku miesięcy Anna korespondowała ze swoim kuzynem w Kalifornii, próbując go namówić, aby przysłał jej trochę LSD, do którego miał dostęp w laboratorium, i dzisiaj uroczyście i z powagą połknęli chemicznie spreparowaną bibułkę, osiągając stan nowej świadomości, tak jak osiągnęli stan więzi z Bogiem, gdy od czasu do czasu przyjmowali komunię w kościele protestanckim. Nagle z przerażeniem zrozumiałem, dlaczego Anna i Hugh tak wolno odwracali strony albumu, dlaczego Jade z tak pustym wyrazem twarzy siedziała bez ruchu na fotelu...

Anna stała przy oknie, trzymając za koszulę męża, który usiłował zerwać zasłony.

- Zostaw, Hugh - powiedziała.

Sammy wrócił do środka. Potknął się i upadł na kolana: starał się podnieść, lecz kosztowało go to zbyt wiele

wysiłku. (A może wiedział, że podczas pożaru miejsce tuż przy podłodze jest najbardziej bezpieczne? Całkiem niewykluczone). Spojrzał z klęczek na rodziców i rzekł:

- Szkoda, że nie widzicie domu od zewnątrz. Jest cały w płomieniach.

Wreszcie Anna odciągnęła Hugh od niemal doszczętnie zniszczonych zasłon - stanowiły one teraz jeden wielki słup ognia, z którego wyrastały coraz to nowe płomienie. Ogień trawił ściany, a po chwili lizał już sufit.

- Dzwonię - oświadczyła Anna, kiedy sufit zaczął płonąć. Powiedziała to zniecierpliwionym tonem rozzłoszczonego człowieka, który zmuszony jest zwrócić się do władz o pomoc. Ale nie uczyniła żadnego kroku w stronę kuchni, gdzie znajdował się telefon, mimo że ogień jeszcze tam nie dotarł. Wszyscy, łącznie ze mną, stali w tej części domu, która najrychlej groziła zawaleniem, zbici w gromadę i znieruchomiali ze zdziwienia.

Miałem wrażenie, że dom pragnie ulec płomieniom, tak jak serce pragnie ulec miłości. Chwilę po tym, gdy spytałem Jade, jak się czuje, całą ścianę pożerał ogień. Swobodnie i beztrosko dom poddawał się płomieniom, z lekkomyślną namiętnością - niczym dziewczyna, która od lat czeka na wymarzonego kochanka - ofiarując wieczności swoje ciało. Wszelkie wątpliwości (jeśli ktokolwiek z nas jeszcze takowe miał), czy pożar stanowi drobną niedogodność, czy też poważne zagrożenie, rozwiały się: wiedzieliśmy, że sytuacja jest krytyczna i czym prędzej musimy się ratować.

- Od frontu nie wyjdziemy - powiedział Sammy, który podniósł się z kolan. - Weranda jest w płomieniach.

Anna potrząsała głową. Irytacja przeszła w żal i w tak dziwne znużenie, że zacząłem się zastanawiać, czy aby na

pewno chce się uratować. Ogień ją wabił, tak jak przestrzeń często wabi człowieka stojącego wysoko na balkonie.

Hugh masował dłońmi skronie, jakby pragnął uspokoić skołowany umysł.

- Nie rozdzielajmy się. Weźmy się za ręce - powtórzył to ze dwa lub trzy razy. - Wyjdziemy drzwiami kuchennymi. Wszyscy razem.

Ująłem Jade za rękę, która była zimna jak lód. Dziewczyna nie patrzyła na mnie, ale z całej siły trzymała się mojej dłoni.

- Najlepiej się wyczołgać. Na kolana! - poleciłem.

Ku mojemu zdumieniu wszyscy mnie usłuchali. Dopiero po chwili to zrozumiałem: może i nie panowałem nad sytuacją, ale byłem z nich najprzytomniejszy.

- Boję się. Naprawdę się boję - rzekła Jade.

- Nie wolno nam tracić głowy - powiedziałem.

- Boże - westchnął Hugh. - Wiedziałem, że nie powinniśmy byli tego brać. Nie potrafię zebrać myśli. - Przycisnął kłykcie do oczu.

Kucając na podłodze. Sammy rozmawiał z osobą, której nikt oprócz niego nie widział, mimo to jego głos brzmiał całkiem trzeźwo i logicznie.

- W porządku, nic mi nie jest - oznajmił Hugh. - Już dochodzę do siebie.

Jade przycisnęła sobie moją dłoń do piersi.

- Czy serce wciąż mi bije? - spytała szeptem.

- To niesamowite - rzekła Anna. - Mamy się stąd wydostać, a nie ruszamy się z miejsca. - Roześmiała się nerwowo.

- Gdzie Keith? - spytałem nagle.

- Na górze! - odparła Jade.

Siedzieliśmy na podłodze. W salonie było tak czarno od dymu, że ledwo widziałem schody. Rzuciłem się w ich

stronę, mając nadzieję, że na piętrze będzie czym oddychać. Zapewne tysiące innych myśli przelatywało mi przez głowę, ale pamiętam tylko, że modliłem się, aby ktoś - Jade - chwycił mnie za nogę i powstrzymał.

Przeskakiwałem po dwa stopnie naraz, a im byłem wyżej, tym gęściej bezlitosny dym wypełniał powietrze. Czułem intensywny żar, lecz płomieni nie widziałem - ogień bowiem toczył ściany wewnątrz i dopiero za chwilę miał się przez nie przegryźć. Z trudem otwierając usta, zawołałem Keitha. Posuwałem się na czworakach, czując żar bijący z podłogi, żar tak silny, że myślałem, iż uniesie mnie do góry. Ogarnięty mdłościami, kaszląc, splunąłem na podłogę. Znajdowałem się na pierwszym piętrze. Na jednym końcu korytarza mieścił się pokój, w którym Jade i ja sypialiśmy z sobą przez ostatnie pół roku. Na drugim końcu była sypialnia Anny i Hugh, ogromny, zagracony pokój, do którego każdy miał wstęp. W połowie korytarza, po lewej stronie, była łazienka, po prawej zaś pokoik Sammy'ego. Kiedy na nie patrzyłem, zamknięte drzwi do pokoju Sama stanęły w ogniu.

Schody prowadzące na drugie piętro znajdowały się za pokojem chłopca; gdy spoglądałem przez warstwy dymu, zabarwione ogniem niczym mgła światłem reflektorów, wydawało mi się, że widzę ruszającą się postać. Zawołałem Keitha. Nie wiedziałem, czy mój głos w ogóle słyhać, albowiem ogłuszony biciem własnego serca i hukami ognia sam go nie słyszałem. Czołgałem się przez korytarz, starając się nie myśleć o śmierci; bałem się, ale mimo to nie zerwałem się do ucieczki. Postać znikła. Nie byłem pewien, czy zasłoniły ją nowe kłęby czarnego dymu, czy też Keith zawrócił. Przyszło mi do głowy, iż Keith może sobie nawet nie zdawać sprawy z tego, że dom się pali, że pożar nie jest

narkotyczną wizją. Wiedziałem, że jest pod wpływem LSD i że spośród wszystkich Butterfieldów Keith - Keith somnambulik, Keith mistyk i filozof - najgorzej sobie radzi z rozpadem swojej osobowości. Podczas gdy u jednych ludzi inteligencja wiąże się z przenikliwością umysłu i głodem wiedzy, geniusz Keitha był wytworem niezwyklej wrażliwości: wszystko miało na niego wpływ i pozostawiało ślad. Kiedy indziej fakt zażycia przez Butterfieldów LSD uznałbym za kolejny dowód ich otwartości na świat i gotowości próbowania wszystkiego, co może dostarczyć im nowych przeżyć, bez względu na istniejące ryzyko. Jednakże kiedy przedzierałem się przez gęstniejący dym w poszukiwaniu Keitha i rozmyślałem o tym, jak Anna i Hugh błąkają się bez celu po salonie, osądziłem ich jak najsurowiej, zupełnie zapominając, że to ja podpaliłem dom.

Skręciłem na schody prowadzące na drugie piętro, gdy znów ujrzałem Keitha. Kasłał i płakał, zasłaniając twarz koszulą. Kiedy go zawołałem, ruszył w moją stronę, zataczając się, jakby ktoś go popychał. Twarz miałem tak gorącą, że ogarnięty paniką uderzyłem się w policzek, pewien, iż zająłem się ogniem.

- Ratunku! - jęczał Keith. - Nic nie widzę i nie wiem, co robić.

Podpełzłem do niego na czworakach. Długie, chude nogi miał zgięte w kolanach. Jedną ręką zasłaniał oczy, drugą zaś wyciągał przed siebie, choć zapewne nie orientował się, kim jestem. Kiedy chwyciłem go za rękę, usiłując ściągnąć na podłogę, zeszywniał, jakby został porażony prądem.

Krzyknąłem najgłośniej, jak mogłem, i znów chwyciłem go za rękę. Wyrwał mi się i cofnął niby duch, który za chwilę rozplynie się w powietrzu.

Podniosłem się z kolan i ponownie wyciągnąłem dłoń. Ujrzałem w jego oczach krótki błysk rozpoznania.

- Do diabła, daj rękę! - zawołałem. - Daj rękę!

Keith popatrzył na mnie, po czym znów się odsunął. Przeraziłem się, że za moment stanie w ogniu, jak drzwi do pokoju Sammy'ego, albo rozbłyśnie jak supernowa. Rzuciłem się na Keitha i w chwili gdy łapałem go za barki, poczułem, że siły go opuszczają. Nogi się pod nim ugięły i zaczął się na mnie zsuwać. Był całkiem bezwładny, toteż wiedziałem, że go nie utrzymam.

Cofnąłem się, ale to nic nie pomogło: najpierw zderzyliśmy się czołami, potem poczułem na piersi jego kościstą klatkę piersiową i wkrótce obaj znaleźliśmy się na rozżarzonej podłodze. Leżałem pod nim, a serce waliło mi gwałtownie, w szalonym tempie, jakby zdawało sobie sprawę, że niedługo umilknie na wieki.

Wtem usłyszałem dudniące kroki na schodach. Przekręcając głowę, ujrzałem Hugh, który biegł na górę, wołając Keitha. Wściekłość Hugh była niemal tak przerażająca jak ogień; nawet przez zasłonę dymną oczy błyszczały mu nadludzkim blaskiem. Chociaż wiedziałem, że Hugh przybywa ratować syna, to jednak widząc, jak pędzi na piętro, przestraszyłem się, że przybywa po mnie - nie po to oczywiście, żeby ocalić mnie od ognia, lecz po to, by chwycić moją głowę w swoje silne ręce i zgnieść ją na miazgę. Niczym szaleniec wzniosł ręce do góry, przez zaciśnięte zęby wziął głęboki oddech, po czym podniósł Keitha z taką łatwością, jakby to był wór z pierzem, i postawił na nogi.

Była to ostatnia rzecz, jaką widziałem. Kiedy Hugh podnosił Keitha, ten resztkami sił, zapewne odruchowo, usiłował przytrzymać się mojej koszuli; w tym momencie straciłem przytomność. Świat znikł mi sprzed oczu. Wi-

działem tylko jeszcze, jak Hugh patrzy na mnie, i poczułem, jak zaciska palce na mojej ręce. Dopiero gdy zeznawał w sądzie, dowiedziałem się, że przerzucił mnie przez ramię (drugą ręką przytrzymał Keitha, który szedł, płacząc i potykając się) i wyniósł przed dom, akurat kiedy wycie syren i czerwone migające wśród drzew światła oznajmiły przybycie straży pożarnej. Ku swojemu głębokiemu żalowi Hugh uratował mi życie.

Nazajutrz w szpitalu Jackson Park przyznałem się do winy. (Butterfieldowie byli leczeni w tym samym szpitalu, ale położono mnie w sali z obcymi). Ani w karetce pogotowia, ani w izbie przyjęć, ani też w ciągu nocy, kiedy na przemian traciłem i odzyskiwałem przytomność, nie zdradziłem się słowem, że jestem sprawcą pożaru. Ale gdy rano zbudziłem się i zobaczyłem rodziców, którzy siedzieli na składanych krzesłach - Rose, z nogą założoną na nogę, uderzała palcami w lakierowaną skórzaną torebkę, Arthur z kropelkami potu na pochylonej łysiej głowie tkwił bez ruchu - chrząknąłem i z miejsca oświadczyłem:

- To ja podłożyłem ogień.

Wyprostowali się i spojrzeli po sobie, po czym Rose przysunęła się do mnie i zaciskając swoje małe, pełne usta, potrząsnęła głową.

- Nic nie mów - szepnęła konspiracyjnie, spoglądając w popłochu na moich śpiących współtowarzyszy. Nie zamierzałem jednak żyć w ciągłym strachu przed wykryciem, wołałem od razu się przyznać - fakt ten, który pociągnął za sobą proces, zeznania, obronę oraz karę, na długie lata przesądził o moim życiu.

Arthur uchodził za prawnika o lewicowych poglądach. Choć minęło piętnaście lat, odkąd w 1952 roku oboje rodzice wystąpili z partii komunistycznej, ojciec pozostał „lewicującym” prawnikiem, czyli nigdy nie brał strony bogatego przeciwko biednemu i nigdy nie żądał wygórowanego honorarium. Z powodu nadmiaru pracy starzał się szybciej niż inni. Często zostawał w biurze do północy,- kiedyś - Rose uwielbiała przytaczać tę historyjkę - przepaliła się żarówka w lampie na biurku, w pokoju zrobiło się ciemno, Arthur zaś wciąż siedział w swoim starym, skrzypiącym fotelu obrotowym, zapisując na podłużnych żółtych stronach notesu genialną linię obrony, którą chciał wykorzystać w sprawie pewnego wypadku. Bał się, że jeśli wstanie, żeby zapalić górne światło, straci natchnienie. Gdyby to był dowcip, to nazajutrz bohater zobaczyłby jakieś niewyraźne bazgroły albo zdania zupełnie pozbawione sensu, kiedy jednak Arthur zaczął przeglądać notatki, okazało się, że te trzy strony pisane po ciemku są całkowicie czytelne i absolutnie niezbędne do wygrania procesu. To, że całym sercem przykładał się do każdej sprawy, nie wynikało z tak banalnej przyczyny jak zamiłowanie do pracy: on szczerze pragnął bronić słabych przed silnymi. Pragnął tego bardziej od pieniędzy, od sławy, od luksusów. Z taką pasją bronił swoich klientów, że niekiedy psuło to jego wystąpienia sądowe. Czasem, kiedy czuł, że przegrywa, wpadał we wściekłość i głos mu się załamywał jak nastolatkowi.

Arthur chciał sam mnie bronić, tak jak chirurg pragnie sam operować bliską mu osobę. Jednakże nie wchodziło to w grę: oskarżony o podpalenie domu i lekkomyślne narażenie życia ludzkiego, okryty hańbą niczym szatą obrzędową, potrzebowałem bardziej wiarogodnego obrońcy od własne-

go ojca. Arthur wyświadczył ludziom wiele przysług, toteż kiedy okazało się, że ja jeden ponoszę winę za to, co się stało, zgłosili się do niego dwaj przyjaciele i zaofiarowali, iż za darmo poprowadzą sprawę: Ted Bowen, którego znałem od urodzenia, oraz Martin Samuelson, który w oczach rodziców uchodził za bohatera transcendentalnego o wielkiej inteligencji i odwadze; był to nadzwyczajny mówca, człowiek, który równie pięknie i lirycznie cytował Engelsa, co Hugona Blacka i którego Arthur oraz Rose, jeszcze w okresie przynależności do partii, uważali za ważniejszego od siebie samych. Toteż ze zdumieniem, a zarazem wdzięcznością przyjęli jego propozycję.

Pokrótkie bieg wydarzeń był następujący: aresztowano mnie w szpitalu i bez przesłuchania umieszczono w zakładzie poprawczym na West Side. obrońcy toczyli zaciekle spory z policją oraz prokuratorem w kwestii mojego statusu prawnego: chodziło o to, czy zostanę potraktowany jako dorosły, czy też jako młodociany przestępca. Miałem siedemnaście lat i Samuelsonowi udało się - był to jego główny sukces; wkrótce bowiem znudziła mu się moja sprawa, a zwłaszcza ja sam - osiągnąć to, że uznano mnie za małoletniego, mój los zatem zależał nie od ławy przysięgłych, lecz od decyzji sędziego. Zwolniono mnie z zakładu na West Side i poddano długiej serii testów psychologicznych: było to jakby połączenie testów na inteligencję z dziwnymi, krępującymi pytaniami, jakie pomyłony zboczeniec mógłby zadawać dziecku, dorwawszy je na boisku szkolnym. Odpowiadałem, z czym mi się kojarzą rozmazane kleksy, dodawałem kolumny trzycyfrowych liczb, rozpoznawałem na zdjęciach Washingtona, Lincolna, Kennedy'ego i mówiłem „tak” lub „nie” na pytania typu: „Czy chodzisz do ubikacji częściej od innych ludzi?”.

Dwukrotnie przechodziłem przez te testy, najpierw badał mnie wyznaczony przez sąd psycholog, potem zaś doktor White, łagodny staruszek, chory na zapalenie spojówek, którego wynajął Ted Bowen. (Dr White był pierwszym lekarzem, z jakim się zetknąłem, który nie należał do grona osobistych ani politycznych przyjaciół rodziców: partia wykształciła sporo internistów i stomatologów, lecz niewielu psychiatrów).

Przez cały ten czas byłem pod kuratelą rodziców. Tej jesieni miałem rozpocząć studia. Kilka miesięcy wcześniej zostałem przyjęty na University of California, ponieważ jednak Jade jeszcze nie skończyła szkoły średniej i siłą rzeczy musiała pozostać w Chicago, przeniósłem papiery na Roosevelt University, na którym co prawda nie było wydziału astronomii, lecz który znajdował się w centrum Chicago. Teraz to już nie miało żadnego znaczenia: wszystko było przekreślone. Ostrzegano mnie - policja, psychologowie, adwokaci i rodzice - żebym pod żadnym pozorem nie starał się nawiązać kontaktu z Jade czy którymkolwiek z Butterfieldów. Na początku nie było to trudne do wykonania. Po tym, co się stało, nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić naszego spotkania. Nie miałem się co łudzić, że Butterfieldowie zlitują się nade mną albo zrozumieją niewinne, wynikające z miłości, pobudki mojego karygodnego czynu. Ciągle żyłem nadzieją, że Jade się odezwie, ale milczała, mimo że stosunkowo łatwo mogłaby się ze mną porozumieć.

Pewnego dnia zmusiłem się do przejścia obok domu, w którym byłem tak upojnie szczęśliwy, a który podpaliłem, omal nie powodując śmierci pięciu osób. Policja zagroziła drzwi sznurem przywiązany do przeciwległych końców żelaznych poręczy werandy, na sznurze zaś powie-

siła tabliczkę z napisem „Wstęp wzbroniony”. Zdumiałem się, że dom w ogóle jeszcze stoi; wyglądał tak jak dawniej, tyle że miał wybite szyby i był brudnoczarny zamiast brązowo-biały. Weranda spłonęła, poddasze zapadło się do połowy, lecz reszta domu zachowała się w niezmiennym stanie. Z początku doznałem ulgi, jakby to, że dom Butterfieldów stoi, mogło mi pomóc w wypełnieniu straszliwej pustki, która się we mnie zrodziła tamtej sierpniowej nocy. Chociaż nie, nie tyle czułem ulgę, co bardzo pragnąłem ją poczuć - podobnie jak czasem tak silnie pragnie się ujrzeć ukochaną osobę, która od nas odeszła, że często bierze się za nią kogoś zupełnie obcego. Prawdę mówiąc, widok domu był dla mnie tysiąc razy bardziej bolesny, niż byłby widok zgliszczy: nie tylko nie wypełniał pustki, ale stanowił wyrzut. Zrozumiałem, że należę do licznej rzeszy potępieńców; miłość sprowadziła mnie na drogę zbrodni. Nie różniłem się od zboczeńców, co dyszą do słuchawki, od podglądaczy, od natrętów, wariatów, którzy obcinają sobie uszy, od desperatów, co z zemsty popełniają widowiskowe samobójstwa, od typów wynajmujących prywatnych detektywów czy od średniowiecznego króla, który wysłał dziesięcioletnią armię po to, żeby zdobyć przychylność królowej z dalekiego kraju, a gdy stosy trupów leżą na słońcu wśród spalonych pól, chwytą się za serce i woła: „Zrobiłem to z miłości!”. Poczucie ulgi znikło; patrzyłem na dom i łzy lały mi się ciurkiem, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy, bo od dnia pożaru nieustannie płakałem, tak jak na moim miejscu robiłby każdy człowiek przy zdrowych zmysłach.

Od tego, czy w istocie byłem przy zdrowych zmysłach, zależał mój przyszły los. Zarówno obrońcy, jak i rodzice uważali psychiatrię za coś w rodzaju astrologii dla bogatych,

jednakże przejęci moją sprawą traktowali mnie jak bezwolną ofiarę, którą pchnęła do przestępstwa irracjonalna siła podświadomości.

Matka, czy to z poczucia winy, czy też z głębokiej nienawiści, chciała, żeby linię obrony oparto na tym, że Butterfieldowie to dziwacy, którzy zasłużyli na nieszczęście. Zdaniem Rose nie mieli prawa czynić mnie odpowiedzialnym za to, co się stało, tak jak gospodarz, który upija do nieprzytomności gościa, nie może go winić, gdy ten stłucze filiżankę z porcelany. Według matki to obyczaje Butterfieldów doprowadziły mnie do zguby. Chodziło jej o to, że pozwalali Jade brać pigułki antykoncepcyjne, a kiedy doszli do wniosku, że odkąd u niej nocuję, Jade za mało się wysypia, postanowili, naradzając się nad tym - o zgrozo, całą rodziną! - kupić nam od Armii Zbawienia szerokie używane łóżko na rolkach, które, zdezynfekowane i spryskane perfumami Chanel Nr 5, jeździło po całym pokoju, gdy się kochaliśmy. Rose oddałaby diabłu duszę, żeby tylko udowodnić, iż pamiętnej nocy Butterfieldowie byli pod działaniem narkotyków, ale nie wspomniałem na ten temat ani słowa.

Matka chciała, aby sąd powołał na świadków połowę mieszkańców Hyde Parku i żeby ci zeznawali przeciwko Butterfieldom. Wyśmiewałem się z tego pomysłu, lecz już wtedy zdawałem sobie sprawę, że setki ludzi nie cierpią Anny i Hugh. Anna sama mi o tym powiedziała. Kiedyś, próbując poprzez religię uporządkować swoje chaotyczne życie, poszła na nabożeństwo do pobliskiego kościoła unitariańskiego. Chociaż nie знаła modlących się tam parafian, wchodząc do kościoła, czuła na sobie ich spojrzenia i słyszała szepty. „Słyszałam ich wyraźnie - zwierzyła mi się. - Całkiem wyraźnie. Nie jestem paranoiczką, którą

nawiedzają majaki. Nie ma się co oszukiwać, plotkowali o mnie". Odparłem, że pewnie była napalona, wrogo nastawiona do unitarianizmu i innych bezsensownych religii (oficjalnie uznany w domu Butterfieldów za radykała, mogłem sobie pozwolić na takie stwierdzenia). Ale przypuszczalnie Anna miała rację: mimo że sama nie знаła ludzi zgromadzonych w kościele, oni ją znali i poddawali surowej krytyce. Może byli wśród nich rodzice dzieci, które całymi dniami przesiadywały u Butterfieldów, które uciekały z domu i spędzały noce na ich kanapie albo w ich ogrodzie, które przebywając u Butterfieldów, nauczyły się palić i używać terminu „stosunek przerywany". A może byli wśród nich sąsiedzi, którzy widzieli w oknach tego pięknego domu jaskrawe światła palące się latem niemal do świtu - po dziś dzień, gdy patrzę na okna, w których światło gaśnie dopiero z nastaniem poranka, wydaje mi się, że stoję przed domem, który przed chwilą opuściłem po spędzeniu nocy z Jade. Kiedyś przyszła kobieta, która zbierała datki na pomoc dla chorych na heinemedinę, i zobaczyła, jak Anna leży na plecach, słuchając tybetańskiej muzyki obrzędowej, a obok pali się (w środku dnia!) wielka sześcienne świeca. Oczywiście wieść w błyskawicznym tempie rozniosła się po okolicy. Sąsiedzi zawsze o wszystkim wiedzieli. To, że Anna i Hugh ukończyli najlepsze uniwersytety i że pochodzili z tak zwanych dobrych rodzin, wywarło, jak się przekonałem, znacznie większe wrażenie na mnie, synu wieloletnich komunistów, niż na kimkolwiek innym. Myślałem, że tradycje rodzinne Anny i Hugh, ich szczupłe, zdrowe ciała, proste zęby, proste włosy i akcent typowy dla ludzi z wyższych sfer przynajmniej w pewnym stopniu obronią ich przed złośliwymi plotkami. Z drugiej strony, może to właśnie na skutek

pochodzenia społecznego Butterfieldów - fakt, że nie mieli pieniędzy, się nie liczy - ludzie poddawali ich surowszej krytyce, niż gdyby byli zwykłymi śmiertelnikami.

To, że ojciec i obrońcy poważnie potraktowali propozycję Rose, świadczy o tym, jak bardzo ta cała sytuacja pomieszała wszystkim wartości moralne. Nie wiem dlaczego, lecz wciąż się łudzono, że sąd mnie uniewinni. Ja zaś nie tylko nie zgodziłem się zeznawać, iż Butterfieldowie to rozpustne, bezwartościowe męty, jak ich określiła matka („głupawi, niedorozwinięci egoiści, nawet dzieci mają niedorozwinięte”), ale i nie zamierzałem uchylać się od odpowiedzialności. Nie, nie byłem zimny i opanowany (przecież przez miesiąc dręczyłem się i płakałem; gryzłem kołdrę, zostawiając na niej ślady swoich zębów,- pisałem listy, których nie wysyłałem), ale naprawdę chciałem być ukarany. Wiedziałem, że dom zajął się ogniem przez przypadek, lecz nie przypadek zrządził, iż wybuchł pożar, toteż pragnąłem, żeby ktoś bezstronny, ktoś całkiem z zewnątrz wziął sprawy w swoje ręce i kazał mi ponieść konsekwencje.

Miałem nadzieję, że fakt, iż znalazłem się w rękach policji i czeka mnie proces, osłabi nienawiść, jaką Butterfieldowie do mnie czują. Jeśli ktoś obcy wymierzy mi karę i nazwie mnie łobuzem niegodnym żyć wśród porządnych ludzi, to może wtedy Jade zdobędzie się na to, żeby mi przebaczyć, a nawet stanie po mojej stronie.

Nie zamierzałem więc zdradzać, że tego wieczoru Butterfieldowie byli pod -wpływem LSD, ani też opowiadać anegdotek o ich niekonwencjonalnym stylu życia. Ted Bowen, który pod wieloma względami przypomina mojego ojca, mężczyzna o silnych żółtych zębach, zrosniętych brwiach ciągnących się przez całą szerokość czoła, pach-

nący miętą, umówił się ze mną na rozmowę w cztery oczy. Zaprosił mnie do typowo robotniczego baru na Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy, gdzie z zatroskaniem i powagą wygłosił długie przemówienie na temat następstw wynikających z wyroku skazującego. Opisał zakład poprawczy i upokorzenia, na jakie mogę być narażony. „Tam są faceci z dołów społecznych, David. Proste tezy socjologiczne wykazują, jak złe warunki bytowe kształtują charakter człowieka. Ci ludzie nic nie mają, w nic nie wierzą, gotowi są zabić dla jednego papierosa”. Następnie pochylił się i spojrzał na mnie tak, jakby chciał powiedzieć, że jestem mężczyzną, toteż nie będzie niczego przede mną ukrywał. „Nie wiem, czy słyszałeś o czymś takim jak homoseksualizm...” - zaczął, lecz głos uwiązł mu w gardle, a oczy tak bardzo posmutniały i spoważniały, że ze zdenerwowania się uśmiechnąłem.

Gdy myślę o tym, w jaki sposób podpałem stos gazet na werandzie Butterfieldów, stwierdzenie, iż nie byłem wtedy przy zdrowych zmysłach, wydaje mi się słuszne, to znaczy wcale nie tchórzliwe czy wykrętne. A co było przyczyną tej chwilowej niepoczytalności? Oczywiście tęsknota za Jade, tęsknota spotęgowana zakazem wstępu do domu Butterfieldów. Miłość, a raczej tęsknota, odebrała mi rozum. Podłożenie ognia nie było szczeniackim wybrykiem, nie wynikało z nienawiści ani z rozpaczliwej chęci zemsty.

Od chwili gdy pokochałem Jade i związałem się z Butterfieldami, aż do momentu wydania decyzji przez sędziego każda sekunda w moim życiu się liczyła, wszystko miało swoje, ukryte znaczenie, wszystko kojarzyło mi się z czymś, co z braku lepszego określenia nazwę opatrzością. Jeśli miłość oznacza nagłe zespolenie z najbardziej niesforeną, najbardziej żywotną częścią samego siebie,

uczucie wyostrojonej świadomości nie osłabło we mnie, tak jak po pewnym czasie słabnie u większości ludzi. Gdyby moja świadomość mogła wydać okrzyk, dźwięk ten roztrzaskałby rząd kieliszków. We wszystkim widziałem zbieg okoliczności; znaczenia tańczyły i wirowały niczym rozgrzane molekuly. Wszystko było przeraźliwie skomplikowane, a zarazem przeraźliwie proste. Nic nie uchodziło mojej uwadze, a każda rzecz była emocjonująca. Ból i radość nie opadły, gdy Hugh oświadczył, że przez miesiąc nie wolno mi się widywać z Jade, pożar ich nie zniszczył, nie minęły też w ciągu tych kilku tygodni, kiedy żyłem w zawieszeniu, nie wiedząc, co się ze mną stanie, i nie mogąc się z nią spotkać. Jednakże mimo nieustannie pobudzonej czujności sam moment zapadnięcia decyzji umknął mojej uwadze. Nie zorientowałem się, że zbliża się dzień, kiedy sędzia Rogers ma wydać orzeczenie, i nagle wszystko zostało uzgodnione za moimi plecami. „Mieliśmy szczęście” - powiedziała Rose, gdy Ted Bowen, prokurator oraz sędzia Rogers doszli do porozumienia.

Nie groził mi pobyt w więzieniu. Ani w domu poprawczym. Ani nawet w szpitalu stanowym, jeśli tylko rodziców stać było na opłacenie prywatnej kliniki. Uznano mnie za jednostkę psychicznie nie zrównoważoną i skierowano do szpitala psychiatrycznego na rok, to jest do chwili ukończenia osiemnastu lat, kiedy to sąd ponownie rozpatrzy moją sprawę. Pobyt u czubków nie był przecież prawdziwą karą, raczej czymś w rodzaju zwolnienia warunkowego.

Niechęć, z jaką rodzice odnosili się do psychiatrii, była tak silna i tak głęboko w nich zakorzeniona, że chyba łatwiej pogodziliby się z decyzją, iż najbliższy rok mam spędzić w seminarium duchownym. („Mieliśmy dużo, du-

zo szczęścia" - powiedziała przez łzy matka, ale wiedziałem, że wkrótce zacznę myśleć - jeśli już tak nie myślała

- iż więzienie, choć straszne, dostarczyłoby mi przeżyć podobnych do tych, które mieli Stalin, Eugène Dennis, hiszpańscy bojownicy o wolność oraz tysiące innych bohaterskich rewolucjonistów, podczas gdy pobyt w szpitalu dla umysłowo chorych stawiał mnie w jednym szeregu z cyrkowymi kłownami i rozpieszczonymi, zapatrzonymi w siebie głupcami). Decyzja sędziego sprawiła mi jednak ulgę i w sumie uznałem, że obszedł się ze mną sprawiedliwie. Często w wyobraźni widziałem, jak sędzia ogłasza wyrok uniewinniający - „David nie miał złych zamiarów”

- ale wizja ta mnie przerażała. Uważałem, że będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli Rogers wymierzy mi karę, i byłem mu wdzięczny, że mogę ją odbywać w prywatnej klinice pośród rozległych zielonych trawników, w towarzystwie lekko niezrównoważonych nastolatków z bogatych, tolerancyjnych rodzin. Sędzia powiedział, co prawda, że po roku sprawa będzie ponownie rozpatrzona, ale miałem nadzieję, że przy odrobinie szczęścia, jeśli znajdzie się człowiek, który ze zrozumieniem mnie wysłucha i pozna ogrom oraz stałość moich uczuć, opuszczę szpital po kilku miesiącach i zacznę od nowa budować życie.

Sędzia wydał orzeczenie dopiero wtedy, gdy kurator przeprowadził wywiad środowiskowy z ludźmi, którzy mogli rzucić światło na mój charakter. („Cholera, zachowują się jak agenci FBI” - zdenerwował się Arthur. „Masz rację” - przyznała Rose i skinąwszy głową, popatrzyła na mnie ze smutkiem, jakby chciała mi uzmysłwić, czego mogę oczekiwać jako dziecko komunistów). Kurator rozmawiał z psychologami, którzy mnie badali. Rozmawiał też ze mną. (Był to młody Japończyk, który za wszelką

cenę chciał sprawiać przyjazne wrażenie. „A jak ty myślisz, Dave, dlaczego podpaliłeś im dom?” - spytał ostrożnie, jakby dotąd nikt nie odważył się zadać mi tego pytania wprost. Jąkając się, zacząłem szukać odpowiedzi, po czym zakryłem twarz rękami i rozpłakałem się - po części z przyzwyczajenia, bo w ciągu tych kilku tygodni płakałem bez ustanku, po części z bezradności, a po części, co zabrzmiało dziwnie, lecz jest faktem niezaprzeczalnym, ze znużenia, gdyż pożar, mimo całej swojej okropności i zniszczenia, jakie poczynił, był zaledwie częścią mojego życia, częścią mojej namiętności i mojego losu i uważałem, iż to jawna niesprawiedliwość, że traktuje się to zajście tak, jakby nic innego się nie liczyło).

Spotkał się z moimi nauczycielami, którzy powiedzieli mu, że byłem dobrym uczniem. Pytał o mnie moich kolegów i ich rodziców. Nie wiem, czego się od nich dowiedział - może że interesuję się astronomią i jazzem, że lubię baseball, czytam książki i umiem piec ciasta, że czasem wyłączam dźwięk w telewizorze i naśladowując głosy aktorów, prowadzę za nich zwariowane, nieprzyzwoite dialogi. Wziął ode mnie nazwiska dawnych sympatii i rozmawiał z nimi i ich rodzicami. Wątpię, czy Linda Goldman zdradziła mu, jak w obitej boazerią piwnicy - jedynej tego rodzaju w całym Hyde Parku - pozbawiła mnie dziewictwa. Goldmanowie byli ludźmi interesu i w piwnicy urządzili pomieszczenie relaksowe, wyposażone w barek z napojami, dwie kanapy, stół pingpongowy i ośmiokątny stolik do pokera pokryty soczysto-zielonym filcem, z okrągłymi wgłębieniami na żetony. Nie, Linda na pewno słowem nie wspomniała o naszej szarpaninie, może nawet jej nie pamiętała. Południe, które u niej spędziłem, tym tylko mogło się różnić od poprzednich i późniejszych, kiedy to Linda z nie-

słabnącym zapalem zabawiała się z różnymi chłopakami, że w pewnej chwili z szybu wentylacyjnego doleciał nas głos jej ojca: „Mógłbym przysiąc, że w lodówce jest jeszcze kurze udko. Mógłbym przysiąc”. Reszta znajomych oraz dawnych sympatii należała do tego samego świata co Arthur i Rose. Zwłaszcza ojciec nie chciał, żebym był typowym „czerwonym dzieckiem”, czyli dzieckiem komunistów, które zadaje się wyłącznie z dziećmi komunistów, jednakże sytuacja polityczna w owym czasie i obawy rodziców sprawiły, że z braku innych możliwości większość moich przyjaciół pochodziła z zaprzyjaźnionych rodzin. Toteż żadne z nich nie powiedziało Japończykowi nic, co mogłoby mnie postawić w niekorzystnym świetle. Dorośli, od lat zaprzyjaźnieni z Arthurem i Rose, dawno już opanowali sztukę składania zeznań, ich dzieci zaś, które nauczyły się przez osmozę ostrożnie rozmawiać z przedstawicielami prawa, odpowiadały na pytania płynnie, chętnie, niczym się nie zdradzając.

Sędzia Rogers dał mi tydzień na przygotowanie się do wyjazdu do szpitala Rockville, który znajdował się mniej więcej sto sześćdziesiąt kilometrów na południe, w Wyon. Nadal oczywiście nie wolno mi było kontaktować się z Butterfieldami ani nawet o nich pytać. Powiedziano mi, że Butterfieldowie, a zwłaszcza Hugh, domagali się dla mnie jak najsurowszej kary. Hugh odwoływał się wielokrotnie; to jego zeznania sprawiły, że sędzia Rogers wyznaczył mi aż tak długi pobyt u czubków. Wiadomość ta nie zdziwiła mnie, chociaż zaboląła: poczułem okropną słabość w dołku, jaką czasem się czuje, gdy trzeba przyznać słuszność człowiekowi, który nas oskarża. Rozumiałem Hugh i na swój nielogiczny, szalony sposób w pełni się z nim zgadzałem, uważając, iż ma prawo domagać się

jak najsurowszej kary, ale wierzyłem, że działa w pojedynkę, że Anna, a przede wszystkim Jade nie podzielają jego poglądów. Jeśli zaś chodziło o zakaz kontaktowania się z Butterfieldami, to nawet gdybym chciał uczynić rozpaczliwą próbę zobaczenia się z nimi, nie wiedziałbym, od czego zacząć. Nie miałem pojęcia, dokąd się przenieśli. Do hotelu? A może się rozdzielili i zamieszkali w kilku różnych miejscach? Może pojechali do Nowego Orleanu do rodziny Hugh albo do matki Anny w Massachusetts?

Napisałem setkę listów, których nie miałem odwagi wysłać. Pisałem do Keitha, do Sammy'ego i do Hugh. Napisałem ponad dziesięć listów do Anny i blisko osiemdziesiąt do Jade. Przepraszałem, wyjaśniałem, przeprowadzałem wywody, atakowałem siebie z wściekłością, jakiej zapewne oni sami w sobie nie czuli. Pisałem listy miłosne - jeden podpisałem krwią z rozciętego palca. Błagałem ich, myślałem o nich i z desperacką żarliwością wygnańca czyniłem obietnice poprawy. Pisałem o świcie, pisałem w łazience, budziłem się pośród ponurych ciemności nocy i siadałem do pisania. Zamieszczałem wiersze, cudze oraz własne. Dowodziłem światu, że to, co łączyło mnie z Jade, było prawdziwsze od wszystkiego, prawdziwsze od czasu, od śmierci, a nawet od niej i ode mnie.

I nagle w piątek, w przeddzień wyjazdu do Wyon, przyszedł list zaadresowany do mnie, list w kopercie Związku Studentów Walczących o Pokój, do którego należałem i który rodzicom kojarzył się z pozytywną stroną mojego poprzedniego życia. Zaadresowany jak pismo urzędowe do „Pana D. Axelroda”, leżał w skrzynce razem z „Saturday Review”, który to tygodnik przyjaciele rodziców zaprenumerowali mi na siedemnaste urodziny. Matka wręczyła mi tygodnik oraz list - chyba przez złośliwość, bo

cóż mógł zawierać? Zawiadomienie o zebraniu, na które nie mógłbym się wybrać? Rozdarłem kopertę w obecności rodziców i ujrzałem charakter pisma tak pozbawiony jakichkolwiek cech, że trudno mi było uwierzyć, iż długopis trzymała ludzka ręka, w dodatku młoda, drżąca ręka Jade.

„David, David, jak bardzo bym chciała, żeby wszystko się dobrze skończyło!”

Nie miałem od niej żadnych więcej wiadomości przez cały czas pobytu w zamknięciu.

2

Człowiek, który zbudował szpital Rockville, nazywał się James Marshall Nelson. Budynek, wzniesiony w prostym, modernistycznym stylu (według modnej w latach dwudziestych koncepcji Bauhausu), cechowała, zgodnie z zamierzeniem architekta, zarówno elegancja, jak i funkcjonalność; i tak z szerokich, biegnących łukiem schodów żaden samobójca nie mógłby się rzucić w dół, a lśniący, nowoczesny parkiet, wykonany z orzecha włoskiego, przywodził na myśl podłogi w luksusowych rezydencjach bogaczy. Mówiono, że kiedy Nelson zaczął podejrzewać, iż traci zmysły, wybudował dla siebie szpital, w którym mógłby się czuć jak w domu. Nelson, dziedzic dużej sieci banków, brał udział w pierwszej wojnie światowej, tej tak zwanej wielkiej wojnie, po której został w Europie, gdzie prawdopodobnie poznał Freuda. Freud nie poddał go psychoanalizie, lecz gdy młody dziedzic powrócił do Stanów, oznajmił, że jest uczniem Freuda, po czym włożył dużo

serca i mnóstwo pieniędzy w założenie w Wyon Fundacji Zdrowia Psychicznego.

Kiedy zbudowano Rockville, Nelson, dysponując ogromnym majątkiem, ściągnął do pracy w szpitalu wielu psychiatrów. Nieraz się zastanawiałem, jakiego lekarza skusiłaby praktyka w Wyon w stanie Illinois. Farmerzy i biznesmeni mieszkający w pobliżu prędzej powiesiliby się na belce w stodole, niż przekroczyli próg szpitala. Rockville służył niekiedy za izbę wytrzeźwień miejscowym pijakom, którzy woleli uniknąć więzienia oraz domowych wymówek. Niebawem zyskał w okolicy barwną, swoistą sławę: matki groziły niesfornym dzieciom, że je wyślą do Rockville, a mężowie nieposłusznym żonom; poza tym wciąż krążyły plotki, że w Rockville straszą duchy, że odbywają się orgie, gwałty i podejrzane zabiegi, że ukrywają się tam niemieccy generałowie.

Kiedy w 1929 roku nastąpił Wielki Kryzys, sieć banków Nelsona wkrótce splajtowała. Fundacji zabrakło pieniędzy, toteż wszyscy pracownicy opuścili szpital, zostawiając czterdzieści dziewięć pustych łóżek i jedno zajęte przez Jamesa Marshalla Nelsona. Przeprowadził się ze swojego pokoju do niewielkiego, surowo urządzonego apartamentu ordynatora i nadal mieszkał w Rockville. Leczył się sam, robiąc dokładne notatki z wyników prowadzonej na sobie psychoanalizy - notatki te, zredagowane przez kuzynkę Nelsona, Marie Nelson Abish, zostały wydane w latach pięćdziesiątych pod tytułem *Wewnętrzna pielgrzymka*. Książka sprawiała wrażenie napisanej przez chłodnego teoretyka o przeciętnym umyśle, chociaż może to Abish w wypaczonym poczuciu przyzwoitości usunęła z tekstu bardziej osobiste, ludzkie wspomnienia dotyczące jego cierpień.

Z czasem jednak marzenia Nelsona się spełniły. Rock-ville latami stał pusty, ale wkrótce po ukazaniu się *Wewnętrznej pielgrzymki* grupa psychiatrów zawiedzionych istniejącą sytuacją w lecznictwie psychiatrycznym (i, jak sądzę, z głową do interesów) postanowiła kupić szpital. Rozległe tereny uprawne i nowo powstające osiedla podmiejskie nie zapewniały bogatej klienteli, mimo to Rockville szybko zyskał w środkowo-zachodnich stanach opinię jednego z najbardziej humanitarnych, postępowych ośrodków psychiatrycznych, do którego rodzice - bez obaw i wyrzutów sumienia - mogli przysyłać swoje niezrównoważone, niespokojne dzieci i mieć nadzieję na ich pełne wyleczenie. W Rockville człowiek powracał do zdrowia; personel, nie wyłączając pielęgniarek i sanitariuszy, ze zrozumieniem podchodził do różnych form zachowania ludzkiego, w myśl niepisanej zasady, że to, co dziś uważane jest za odchylenie od normy, jutro może być uznane za objaw geniuszu. Oczywiście leczenie oparte na tak łagodnych przesłankach było dostępne głównie dla ludzi uprzywilejowanych. Od czasu do czasu szpital pokrywał koszty leczenia uboższego pacjenta - ponieważ personel naprawdę głęboko wierzył, iż młody, nękanym troskami człowiek nigdzie nie znajdzie tak fachowej opieki jak w Rockville, wybór jednego pacjenta spośród setek zgłaszających się biedaków był niezwykle trudną decyzją. Cóż bowiem mieli robić ci, którzy odchodzili z kwitkiem? Lekarze czuli się tak, jakby skazywali ich na cierpienie, gorzej, na poniewierkę, jakby zamykali przed nimi drzwi arki.

Gdyby nie pieniądze dziadka, na pewno nie trafiłbym do Rockville. Oszczędności Rose i Arthura oraz pieniądze odłożone na moje studia nie starczyłyby na pokrycie

opłaty wynoszącej dwadzieścia pięć tysięcy dolarów rocznie. (Tak mi się przynajmniej wydaje. Nigdy do końca nie znałem sytuacji finansowej rodziców. Od dzieciństwa wpajano mi, że istnieje kilka nieprzyzwoitych tematów, na które nie wypada rozmawiać, i pieniądze były pierwsze na tej liście. Nie odpowiadano mi, kiedy pytałem o cenę zabawek, butów czy choćby mięsa na talerzu. Gdybym zaś chciał obejrzeć książeczkę oszczędnościową rodziców, spojrzeliby na mnie tak - może to ordynarne porównanie, niemniej trafne - jakbym ich poprosił, żeby nie spuszczały wody w klozecie, bym mógł obejrzeć ich odchody). Jednakże ojciec Arthura, Jack Axelrod, był bogaty i chociaż zerwał z synem, kiedy ten w czasie studiów prawniczych wstąpił do partii komunistycznej, nadal pozostał moim dziadkiem; kontaktował się ze mną sporadycznie i na odległość, a swoje uczucia do mnie starał się przykryć płaszczykiem dbałości o ciągłość rodu - „Jesteś moim jedynym wnukiem, inni mają same córki”. W domu dziadka, który już jakiś czas temu wycofał się z interesów i prowadził samotne, wygodne życie w małym miasteczku na Florydzie zamieszkanym głównie przez emerytów, wisiały na ścianie fotografie wuja Harrisa, wuja Seymoura, ciotki Hannah oraz moja, tam gdzie powinno znajdować się zdjęcie Arthura.

Sprzeciwiając się obcym wartościom, które mi wpajano, a może i lękając się ich, Jack nigdy nie wiedział, co mi dać na urodziny czy z okazji Chanuki, toteż dwa razy do roku przysyłał dwadzieścia pięć dolarów w gotówce, sądząc zapewne, że tacy ludzie jak my nie potrafimy posługiwać się czekami. Trzymałem je na oddzielnym koncie i któregoś dnia, w wieku lat trzynastu, kiedy nudziłem się podczas letnich wakacji, niewiele się namyślając, pod-

jąłem pieniądze, kupiłem bilet lotniczy na Florydę, włożyłem pod dzinsy kąpielówki i nie mówiąc nic rodzicom, udałem się do dziadka. Przez dwa dni Jack nie informował rodziców, gdzie jestem; przedstawiał mnie znajomym, z którymi grywał w karty, mrugnięciem oka dając mi znać, że nie są to ludzie, z jakimi naprawdę lubi się zadawać, przyglądał się, jak pływam u niego w basenie, a do kolacji pozwalał mi wypić pół szklanki importowanego piwa. Powiedziałem mu, że chcę z nim zostać, chociaż nie wyjaśniłem dlaczego. Nie wierzyłem, że zrozumie. Gdyby nawet zrozumiał, byłaby to zdrada wobec rodziców. Nie chodziło o to, że Arthur i Rose się nade mną zęcąją czy mnie zaniedbują. Chciałem - a przynajmniej tak mi się zdawało - zamieszkać u Jacka z tej prostej przyczyny, że znudziło mi się życie z rodzicami, znudziły mi się ich łagodne upomnienia, westchnienia i ostrożne, zamknięte twarze. Znudziło mi się to, jak łatwo dają się nabrać, jak prędko ułagodzić, jak prosto okłamać oraz jak nigdy nie mówią mi prawdy o swoim życiu. Byli to ludzie, którzy obłudnie twierdzili, że nie ma rzeczy złych, rzeczy dziwnych, niewyjaśnionych czy niezwykłych. Gdybym im powiedział, iż każdej nocy śni mi się, że podróżuję na latającym talerzu, a rano po obudzeniu mam w ręce mały czerwony kamyczek, usłyszałbym: „Nie martw się, w twoim wieku to normalne”. Życie na Florydzie, gdzie słońce świeci nieustrudzenie, życie z tym człowiekiem o dużym, zaokrąglonym brzuchu i twardych, silnych dłoniach wydawało mi się bardziej atrakcyjne - mógłbym tak siedzieć, czując w ustach zapach importowanego piwa, w uszach zaś cichy szum oceanu, i słuchać Jacka: jego wspomnień z Europy, opowieści o tym, jak dzięki smykałce do interesów przemieniał jednego dolara w dwa, a dwa w dwadzieścia, oraz różnych

zabawnych anegdot o tym, jak zwolnił z pracy człowieka za to, że „dziwnie” na niego spojrzął, a drugiego za to, że chwycił kobietę za piersi.

Często pisałem do Jacka z Rockville - błahe liściki o tym, co słychać, zaczynające się słowami „Drogi Dziadku”, a kończące „Twój kochający wnuk”. Listy stanowiły obłudny zabieg taktyczny: wmawiałem w siebie, a to dodawało mi sił podczas tych długich, ponurych dni, że muszę zabiegać o przychylność Jacka, aby zapewnił mi dalszą pomoc finansową. Totalna bzdura oczywiście, ale potrzebna mi była wiara w to, że sprytnymi posunięciami kieruję swoim życiem, że trzymam rękę na pulsie. Niczym samotny paranoik żyjący wśród setek obrzędów i intryg, wzniosłem wokół siebie mur ochronny, zza którego lękliwie i bacznie mogłem spoglądać na otaczające mnie morze prawdy. Wiązało się to nie tylko z podlizywaniem się w listach Jackowi Axelrodowi, ale również z wążaniem jedzenia i odmawianiem brania aspiryny i witamin, choć nie miałem żadnego powodu sądzić, że lekarze lub pielęgniarki usiłują mi dać środki uspokajające - karcenie chorych za pomocą izolacji, leków odurzających czy terapii wstrząsowej było praktyką właściwie niespotykaną w Rockville, a nawet jeśli tego typu rzeczy się zdarzały, ja jako jeden z najbardziej potulnych członków „społeczności terapeutycznej” na pewno nie miałem się czego obawiać. Ostrożność dodawała mi fasonu,- czułem się jak żołnierz, jak jeniec wojenny, a przymilne listy do dziadka świadczyły o mojej przebiegłości, chciałem bowiem doprowadzić do rozejmu nie między mną a resztą świata, lecz między tą częścią mojej osoby, która przystosowywała się do życia w szpitalu, a tą, która cały czas nękana była wstydem.

Zastanawiałem się, czy personel otwiera i czyta listy do Jacka i czy ogląda krótkie, starannie wystukane na maszynie kartki, które czasem od niego dostawałem. Gdybym chciał mu przekazać jakąś bulwersującą wiadomość, zapewne mógłbym wręczyć list rodzicom podczas ich co-dwutygodniowej wizyty, z prośbą, aby po wyjściu na ten swobodny, wolny świat wrzucili go do skrzynki. Nie wiem, co takiego musiałbym napisać, żeby wzbudzić podejrzenie personelu, który i tak nie za bardzo dowierzał mojej chorobie; w każdym razie wydawało mi się, że warunki, w jakich żyjemy - Jack w spokojnej, zorganizowanej społeczności, spacerujący między obcymi po wspólnym ogrodzie, ja w szpitalu uczący się grać na gitarze i śpiewać popularne piosenki z ludźmi, którymi na wolności nawet bym się nie zainteresował - mają z sobą wiele wspólnego. Ale Rose i Arthur nie zgodziliby się pośredniczyć, gdybym chciał prowadzić z Jackiem rozległą, nieskrępowaną korespondencję; niepokoił ich nasz związek, i to do tego stopnia, że kiedy Jack przyjechał mnie odwiedzić, zostali w domu.

Oczywiście listów, które najbardziej pragnąłem wysłać - listów do Jade - nie miałem odwagi włożyć do koperty. Nawet gdybym znał jej adres, nic by to nie dało, bo i tak bałbym się wpadki - te rozpaczliwie zapisywane strony zawierały bowiem moje najskrytsze myśli, z którymi nigdy świadomie bym się nie zdradził nawet mojemu psychiatrze, doktorowi Clarkowi, mimo że go lubiłem i rozmawiałem z nim pięć godzin tygodniowo. Miałem nadzieję, że Jade domyśli się, że piszę do niej listy, których nie dostaje. Wierzyłem, bo musiałem, w różne parapsychiczne zjawiska, na przykład w to, że za pomocą telepatii mogę przekazać Jade wszystko o moim życiu lub że siłą myśli i bogatej wyobraźni mogę wyczarować jakiś

wyraźny, łatwy do rozpoznania znak - konstelację gwiazdną w kształcie serca, wiatr, który mówi, albo liszkę, która odszuka Jade siedzącą samotnie na łące porośniętej wysoką trawą, wpełźnie jej po rękę aż do łokcia i spoglądając na dziewczynę swoimi czarnymi wyłupiastymi oczami, uzmysłowi jej nie tylko to, że bez przerwy chorobliwie o niej myślę, ale również co myślę. Może gdyby ktoś mi powiedział, że mam spędzić w Rockville dwa, pięć albo dziesięć lat, znalazłbym sposób i odwagę, aby przesłać Jade list. Ale od chwili gdy wszedłem do pokoju i zacząłem rozpakowywać zwinięte skarpety oraz złożone podkoszulki, układając je w szafce z sosny, której zapach przywodził mi na myśl dom Butterfieldów, czekałem tylko zwolnienia i powrotu do Jade. Nie myślałem o zwolnieniu jako o czymś odległym - czułem, że może nastąpić lada dzień, lada moment.

Nie chciałem wzbudzać żadnych podejrzeń. Podobnie jak Rose, zdawałem sobie sprawę, iż powinienem być trafić do więzienia, a nie do domu wariatów, toteż czułem ogromną ulgę, że znalazłem się akurat w Rockville. Doktor Clark wspominał kiedyś, że gwałt analny stanowi dla wielu ludzi najbardziej przerażający aspekt pobytu w więzieniu, bardziej przerażający niż myśl o rozłące z bliskimi, poczucie bezpowrotnie straconego czasu czy świadomość zrujnowanej kariery zawodowej. Nie wiem, do czego Clark zmierzał, czy uważał gwałt analny za pozostałość z czasów, gdy byliśmy małpami, czy też sugerował, iż strach przed gwałtem jest jakby maską karnawałową, za którą kryje się podświadoma chęć doznania takich przeżyć. W każdym razie wzdrygałem się na samą myśl o tym, iż mógłbym być zamknięty w celi pełnej zwyrodniałych przestępców. Gwałt homoseksualny wydaje mi się czymś

niewiarygodnie okrutnym. Tak, wiem, że otwór znajduje się w dogodnym miejscu. Ale jest to fizyczne wykorzystanie człowieka. Jak strojenie min do ślepego. Zdaję sobie sprawę, że bez względu na to, co się powie na ten temat, jest się podejrzanym. Jeśli ktoś się przyzna, że lubi stosunki analne, ludzie patrzą na niego dziwnie, jeśli powie, iż sam pomysł jest mu obrzydliwy, jeszcze dziwniej. Zastanawiałem się nad tym, kiedy moja sprawa była w toku i nie miałem pewności, czy sędzia uzna mnie za osobę niepokorną, czy też wyśle do więzienia. Nigdy w życiu nie brałem udziału, ani jako strona bierna, ani czynna, w brutalnym akcie seksualnym, nawet zwyczaj praktykowany w szkole średniej, gdy upijało się dziewczynę, żeby ją obmacać, uważałem za głupi i niemoralny (choć świadom jestem, że wiele z tych pijanych pańienek o niczym innym nie marzyło).

Pewnego razu, mniej więcej w tym czasie, gdy dostaliśmy to nowe, szerokie łóżko, kochaliśmy się tak długo, że Jade, cała mokra w środku, ledwo mnie czuła (ja też niewiele już czułem, ale mieliśmy dziwną potrzebę, nie tyle nawet fizyczną, co psychiczną, kochania się dalej); nagle Jade przekręciła się na brzuch i uniosła na kolanach. Myślałem, że chce, abym wszedł w nią, jak to wielokrotnie robiłem, od tyłu, gdyż w tej pozycji pochwa sprawia wrażenie bardziej suchej i ciasnej. Plecy Jade lśniły od potu, prześcieradła były mokre, jakby je dopiero wyjęto z pralki. Spocony i obolały dyszałem ciężko, ale nie miałem ochoty, żadne z nas nie miało ochoty, odpocząć. W owej chwili seks nie miał właściwie nic wspólnego z przyjemnością. Była to raczej próba unicestwienia ciała, przemiany ich w czystą materię. W pokoju panował łagodny popołudniowy półmrok; kiedy Jade rozsunęła nogi, wypinając do góry

pośladki, ujrzałem jej pochwę, wokół której wiły się mokre, poskręcane włosy. Nigdy dokładnie nie zrozumiałem, jak działa na mnie widok jej ciała, a raczej dlaczego ma na mnie taki wpływ - wpływ tak silny i potężny, iż wierzyłem, i zawsze będę wierzył, że przyszedłem na świat po to, by je oglądać, aby móc patrzeć na twarz Jade, na jej szyję, piersi, genitalia i czuć żar oraz napięcie, których nawet nie potrafię opisać. Po kilku wyczerpujących godzinach w łóżku członek nieco mi zmałał, ale na widok jej nowej pozycji znów odzyskałem erekcję. Kiedy zacząłem w nią wchodzić, Jade powstrzymała mnie i szepnęła: - Nie, wyżej. - Chociaż nie nazwała rzeczy po imieniu, od razu pojąłem, co ma na myśli. Nie chciałem się sprzeciwić, lecz natychmiast ogarnęło mnie zdenerwowanie. Nigdy nie kochaliśmy się w ten sposób, więc przykro mi było odmawiać, skoro pragnęła spróbować czegoś nowego. Niezdarnie zacząłem wpychać członek w jej fioletowy otwór. Inicjatywa wyszła od Jade, podobnie jak za pierwszym razem, kiedy się kochaliśmy, teraz jednak wskazywała mi drogę, przeciwko której buntowałem się całym sercem i umysłem. Odsunąłem się. - Nie mogę, będzie cię bolało, musi boleć. - Tak sądzisz? - spytała. - Ludzie to często robią, nie tylko pedały. - Czytała książkę o Indianach Mochica zamieszkujących chyba Peru. Stosunek analny był wśród nich tak rozpowszechniony, że zarówno konkwistadorzy, jak i Inkowie karali ich śmiercią, chcąc ich zmusić do bardziej „reprodukcyjnej” pozycji, lecz Indianie Mochica uparcie trwali przy swoim. (Nie pamiętam, czy ten wykład z antropologii odbył się od razu w łóżku, czy dopiero później). Jade przyciągnęła mnie do siebie i odpowiednio nakierowała mi członek. Wolną rękę zacisnęła na poduszce i odetchnęła głęboko jak przy ćwi-

czeniu jogi, żeby rozluźnić mięśnie, nadal jednak była potwornie ciasna. Zaskoczony otwór bronił się przed moim natarciem. - No widzisz; - powiedziałem. Jade, nie dając za wygraną, wsunęła palec do pochwy i zwilżyła nim okolice odbytu. - Teraz spróbuj - rzekła. - Albo najpierw wejdź normalnie, żeby się zamoczyć. - Jaka zaradna! Zacząłem odczuwać lęk. Dlaczego się tak zawzięła? Dlaczego nagle z takim uporem łaknęła nowych doznań? Czy chodziło jej o samą nowość, czy też chciała do reszty wyzwolić nasz związek z wszelkich zahamowań? - Nie chcę - powiedziałem, wciąż napierając czubkiem członka na jej pomarszczony fioletowy otwór. Powiększył się nieco pod moim mimowolnym naporem. Drżał jak zmarznięty psiak, jak przestraszone serduszko; przez moment widziałem jego wewnętrzną ściankę, jaskrawoczerwoną niczym rozgrzana lawa. - Dlaczego? - spytała Jade. Głos miała przytłumiony. Cały ciężar ciała wspierała na czole. - Nie wiem, chyba nie jestem w nastroju. - Starąłem się jej nie zranić. Nagle przekręciła się na plecy. Szare, wystrzępione pióro z poduszki przylepiło się do jej małych spoconych piersi; Jade ujęła je w dwa palce i zaczęła nim obracać.

- Myślałam, że ci się spodoba - powiedziała. - Nie, jakoś nie mogę. - W brzuchu waliło mi tak, jakbym miał tam drugie serce. Wyciągnąłem się obok Jade, kładąc nogę na jej udzie, i objąłem ją. - Nie jestem w stanie - rzekłem.

- To byłoby nie w porządku. Bolałoby cię. Nie chcę.

- Dlaczego? - spytała. - Byłoby w porządku, ponieważ się kochamy. Chciałam spróbować, bo żadne z nas tego nie robiło. Spróbowałibyśmy razem. - Zapadło milczenie. Dochodziły nas odgłosy domowników. Sammy z kumplami grał na dole w pokera i co rusz rozlegały się dzikie krzyki. (Nie wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby

grali na pieniądze). Keith słuchał u siebie płyt, ale adapter miał nastawiony na cały regulator, więc głos Joan Baez brzmiał jak głos podstarzałej pijaczki. „Nie śpiewaj o miłości. Zbudzisz moją matkę”. Słowa piosenki zawisły nad nami, kiedy lekko zażenowani leżeliśmy, nie odzywając się do siebie: najpierw ja się roześmiałem, a po chwili Jade mi zawtórowała. Jednakże dopiero później, po wyjściu z Rockville, dowiedziałem się, że w naszym wypadku te słowa miały znacznie głębsze znaczenie, Anna bowiem zwierzyła mi się, jak bardzo fascynowała ją nasza młodzięcza miłość i jak żar, który wytwarzaliśmy, pomagał jej rozniecić własną ulotną namiętność.

Wprawdzie doktor Clark był temu przeciwny, mimo to powiesiłem na ścianie kalendarz i minutę po północy, jeśli jeszcze nie spałem, skreślałem miniony dzień. Czas nieustannie mnie przerażał. Raz płynął zbyt szybko, oddzielając mnie od tego, co przeżyłem, kiedy indziej niemal stał w miejscu, nie przybliżając chwili wyjścia na wolność. Toteż każdy dzień niósł z sobą zarówno zwycięstwo, jak i upokorzenie. Część mojej osoby żyła w całkowitym oderwaniu od czasu, nie obchodziły jej bolesne udręki mijających dni. Tą częścią było moje prawdziwe, utajone ja, którego nie zamierzałem zmuszać do beznadziejnej walki z czasem, tak jak żaden rozsądnie myślący rząd nie wysyła w sam ogień walki swoich najzdolniejszych taktyków i najbardziej utalentowanych poetów. Przez cały mój pobyt w Rockville częśćka mnie pozostawała ukryta w głębokim, niedostępnym bunkrze wieczności.

Jak się okazało, owo ukrycie się w wieczności zgubiło mnie. Sprawilo, że właściwie z nikim się nie zaprzyjaźniłem i czułem się bardziej odizolowany, niż to było konieczne, bardziej odosobniony, niż tego pragnąłem,- przez więk-

szkość czasu samotność mnie przytłaczała. W społeczności złożonej prawie wyłącznie z ludzi wrażliwych to, że trzymałem się z dala od naszej wspólnej rzeczywistości, nie umknęło niczyjej uwadze: jedni stronili ode mnie, krytykowali mnie, wyszydali, ignorowali, inni - co było znacznie gorsze - starali się mi przypodobać, rozruszać mnie, przekonać, wyzwać, zejść podstępem. Kiedy jasno i starannie usiłowałem przedstawić psychiatrze swój stan uczuciowy, ten siedział z rękami założonymi na piersi i kiwając głową, słuchał, co rusz - chyba aż za często - komentując: „No, no, David”. „Jaki jest twój ulubiony kolor?” - spytał pewnego razu. „Niebieski” - odparłem, myśląc o Jade, o jej ulubionej niebieskiej koszuli, o niebieskim atramencie, którym napisała ostatni list. Lekarz pochylił się, zbliżając do mnie swoją drobną twarz,- na wysokim, gładkim czole pulsowała mu żyła szerokości dziecięcego palca, zupełnie jakby serce i mózg Clarka były z sobą połączone niczym bracia syjamscy. „Niebieski?” Przytaknąłem, unikając jego wzroku. „Nie wierzę” - rzekł. Klepnął dłońmi kolana i wstał. Wzdrygnąłem się, kiedy położył mi ręce na ramionach. „Nie wierzę, że najbardziej lubisz kolor niebieski. Czy nawet w tak błażej sprawie musisz kłamać? Czy w ogóle potrafisz mówić prawdę?”.

Oczywiście, że potrafiłem, chodziło jednak o to, że nie mogłem. Trafiłem do Rockville z innych przyczyn niż pozostali. Nie byłem narkomanem, żarłokiem ani też wariatem, który uważa, że trawnik płacze w nocy, jeśli się po nim przejdzie. Lekarze zachęcali mnie, abym swobodnie analizował swoje uczucia i zwierzał się ze wszystkiego, co myślę, gdyż pomoże mi to wyzdrowieć, lecz przecież nie po to przybyłem do Rockville, by odzyskać zdrowie. Przybyłem tu dlatego, że tak zarządził sędzia i miałem się tu

zmienić. Nawet byłem skłonny się zmienić. Ale jeśli chciałem, aby Clark wystąpił o moje uwolnienie, to pewne sprawy musiałem trzymać w tajemnicy. Nie mogłem mu mówić, że piszę ukradkiem do Jade. Nie mogłem się przyznać, że naprawdę „wyleczony” będę wtedy, gdy odnajdę Jade, Annę, Hugh, Sammy'ego oraz Keitha, lecz głównie Jade, i kiedy będę ją mógł wziąć w ramiona i przekonać, że wszystko jest po dawnemu. Chętnie rozmawiałem na każdy inny temat, ani razu jednak nie przyznałem się Clarkowi, że ta część mojej osoby, której sąd kazał się zmienić, wciąż była równie głucha na głos rozsądku jak dawniej.

Wiara w to, iż moja miłość do Jade stanowi najwyższą i niezłomną prawdę, uratowała mnie od rozpaczki, która targła innymi pacjentami, jednocześnie zaś sprawiła, że po rocznym pobycie w Rockville nadal nie miałem co liczyć na rychłe zwolnienie. Ted Bowen, który pracował za darmo, odmawiając przyjęcia pieniędzy od rodziców i nie realizując czeków wysyłanych mu do biura na Oak Street, kilkakrotnie odwoływał się do sędziego Rogersa o złagodzenie mi kary, ale wiadomo było (choć Rose i Arthur starali się to przede mną ukryć), że wcześniejsze zwolnienie ze szpitala właściwie nie wchodzi w grę.

Kilka dni po pierwszej rocznicy zamknięcia w Rockville Rose i Arthur przyjechali mnie odwiedzić. Była sobota, połowa września. Niebo miało szary jesienny odcień, a miękkie, rozległe niczym pola golfowe trawniki straciły już swoją świeżość. Tak jak w czasach szkolnych, nadal przywiązywałem wagę do pór roku - pierwszy chłodny dzień zawsze kojarzy mi się z ambitnymi planami, z szelestem kartek w pustych zeszytach, z nowymi nauczycielami oraz z powitaniem kolegów; ogarnął mnie tym więk-

szy lęk i przygnębienie, że nastał wrzesień, a ja wciąż przebywałem w zamknięciu. Życie toczyło się naprzód, ja zaś tkwiłem w miejscu.

Ilekcio Rose i Arthur odwiedzali mnie w Rockville, zawsze sprawiali wrażenie skrępowanych i zagubionych. Nie wierzyli oczywiście w skuteczność psychiatrii. Bardziej po ich myśli byłoby wysyłanie znerwicowanych nastolatków na rok do pracy w parku narodowym lub przy taśmie montażowej. Kosztowny Rockville i jego siłą rzeczy bogata klientela wzbudzały w moich rodzicach pogardę. Poza tym, tak jak większość rodziców, których dziecko leczy się u psychiatry, czuli się zagrożeni: byli przekonani, że mówię o nich potworne rzeczy. Bali się, że opowiadam o ich długiej przynależności do partii komunistycznej (nie mylili się) i że przedstawiam ich jako ludzi złych i samolubnych (co nie było prawdą). Chodzili po Rockville cicho, prawie na palcach, tak jak ja, kiedy wracałem o szóstej rano od Jade. Ubierali się na ciemno i rozmawiali szeptem, jeśli tylko ktoś znajdował się w pobliżu. Doktor Clark unikał ich, co z jednej strony napawało ich lękiem, z drugiej zaś ulgą. Przeczytali książkę Clarka *Wiek młodzięczy i cierpienie*, która ich zaniepokoiła. Była to przystępnie napisana, dość ciekawa książka, która cieszyła się sporym rozgłosem. Biblioteka w Rockville nie posiadała ani jednego egzemplarza; przeczytałem *Cierpienie* dopiero po wyjściu na wolność, z trudem rozpoznając w autorze stanowczego, sceptycznego człowieka, który mnie leczył - książka bowiem była lekko rewolucyjna w tonie i zawierała różne rady, na przykład, że raz w tygodniu rodzice powinni pozwolić, aby dzieci nimi rządziły. („Clark pisze książki? Jeśli tak, to na pewno nie dla pieniędzy. Tu zbija fortunę” - powiedziałem kiedyś rodzicom. Pragnęli usłyszeć

właśnie tego typu nieszczerze stwierdzenie, Rose bowiem ścisnęła mnie za ramię i rzekła: „Dzielny chłopak”).

Tym razem jednak Rose i Arthur czuli się jeszcze bardziej nieswojo niż zazwyczaj. Z początku myślałem, że też są przygnębieni rokiem, który mi stuknął, ale coś w ich stłumionych głosach, sztywnych ruchach i chłodnych, bolesnych spojrzeniach przekonało mnie, iż ten smutek wynika z innej, bardziej konkretnej przyczyny. Rodzice sprawiali wrażenie potwornie nieszczęśliwych. I nagle z lodowatą obojętnością uświadomiłem sobie, że ich smutek nie ma nic wspólnego ze mną, że dotyczy tylko i wyłącznie ich samych oraz zaniku uczuć między nimi. Pewnego razu, gdy Rose zjawiła się sama, napomknęła, iż wymówka ojca, że leży w domu chory na gripę, nie całkiem pokrywa się z prawdą, innym zaś razem Arthur specjalnie - jak mi oświadczył - przyjechał bez matki, żebyśmy mogli swobodniej i poważniej porozmawiać. (Nie doszło do tego; zabrał mnie na obiad do miasta, po czym zawiózł na pustą, nieuczęszczaną drogę, którą niegdyś „odkrył”, i pozwolił mi prowadzić samochód - usiłowałem go przestraszyć, jadąc z nadmierną prędkością w kierunku zachodzącego słońca, lecz ojciec siedział wygodnie oparty i się uśmiechał. Było to bardzo dziwne). Miłość rozbudza w człowieku świadomość, dzięki której lepiej poznaje świat, złość natomiast pozwala postrzegać rzeczywistość dokładnie, na chłodno. Siedząc na krześle w swoim malutkim pokoju, obserwowałem rodziców, którzy przycupnęli na brzegu wąskiego łóżka. Arthur skubał nerwowo włochatą narzutę, Rose zaś szukała w torebce odświeżacza do ust - zdałem sobie sprawę, że moja nieobecność w domu pozbawiła ich ostatniego pretekstu, żeby być razem.

- Mam pomysł. Pojedźmy do tego wiejskiego domu, który mijamy po drodze. - Mówiąc to, Arthur patrzył na Rose. - Jest w świetnym stanie - dodał, zwracając się do mnie. - Wszystko wygląda tak jak w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Meble są oryginalne. Warto zobaczyć.

- Możemy pojechać - odparła Rose, krzywiąc się, jakby chciała nas ostrzec, że nawet jeśli zainteresuje ją ta dawna budowla, nie wpłynie to na poprawę jej humoru.

- Nie możemy tu zostać? - spytałem. - To potwornie męczące. Najpierw pół dnia jedzicie do mnie, po czym wsiadamy w samochód i znów gdzieś jedziemy.

- Dobrze, zostanmy. Jest śliczna pogoda. Możemy pójść na spacer.

- Myślałam, że będziesz chciał wyrwać się stąd na parę godzin - rzekła Rose.

- Nie robi mi różnicy. Jeden z chłopaków ma w domu świetny teleskop, który rodzice przywiozą mu w przyszłym tygodniu. W nocy jest tu niezła widoczność, a jak wam wiadomo, nie narzekam na brak czasu, zwłaszcza w nocy. Noce są bardzo długie, a ponieważ dają nam kolację o wpół do szóstej, mamy potem mnóstwo wolnego czasu. Nawet sobie nie wyobrażacie, ile mamy tu wolnego czasu.

- Nie lubię, kiedy się tak zachowujesz - powiedziała Rose.

- Jak?

Potrząsnęła głową.

- Jak? - powtórzyłem.

- Nie tobie jednemu ta cała sprawa dała się we znaki.

- Przestańcie. - Zabiegi psychologiczne Arthura wydały mi się nagle niezdarne i bardziej niż kiedykolwiek przejrzyste: uwielbiał wkraczać do akcji, jakby tylko jego

interwencja mogła powstrzymać matkę i mnie od pozabijania się. To prawda, niezliczoną ilość razy udało mu się zapobiec naszym kłótniom, lecz nigdy nie doprowadził między nami do autentycznego porozumienia - chciał nas pogodzić, ale nie zbliżyć.

- Powinniśmy odetchnąć świeżym powietrzem. Niedługo nadejdzie zima. - Zacisnął usta i przełknął ślinę; niechcący napomknął, że czeka mnie jeszcze długi pobyt w Rockville.

- Oczywiście, bo tu nie możemy przecież siedzieć - zezłościłem się. - Nie możemy po prostu siedzieć i rozmawiać. To właśnie zdumiewa mnie u... - świadomie zrobiłem przerwę, a niech się martwią, że zaraz tabu zostanie złamane - ...Butterfieldów. Tam wszyscy z sobą szczerze o wszystkim rozmawiają.

- To coś nowego - rzekła ironicznie Rose.

- Bynajmniej. Ty wiesz swoje, a ja wiem to, co się naprawdę stało. Mam tu wiele okazji, aby mówić i rozmyślać o przeszłości. I, jak wiesz, mam w tym celu fachową pomoc. Butterfieldowie interesowali się sobą nawzajem, nie było tematu, na który nie mogliby rozmawiać. Anna i Hugh nie zabraniali mówienia o czymkolwiek, a jeśli któreś z dzieci powiedziało coś niestosownego, nie czynili mu wyrzutów. Traciliśmy poczucie czasu, bo albo ja o czymś opowiadałem, albo Anna, niekiedy chłopcy albo... ktokolwiek. Wszyscy mówili i wszyscy słuchali. Takie pomysły, myśli i uczucia byłyby niemożliwe gdzie indziej, bo tylko w tej rodzinie o każdego się troszczono i każdego słuchano.

- O tak, zwłaszcza o ciebie się troszczyli - powiedziała Rose.

- Nie kłóćcie się - wtrącił Arthur.

- To banda zapatrzonych w siebie głupców! - Rose pochyliła się do mnie, czerwieniejąc ze złości. - A ciebie mieli w nosie.

- Kiedy u nich zamieszkałem, poczułem się tak, jakby uratowali mi życie.

- Może się tak czułeś, ale byłeś w błędzie. Jak sam zresztą widzisz - dodała po chwili.

- W porządku. Dyskusja zakończona - oznajmił Arthur, podnosząc rękę.

- Lepiej, że tu trafiłem, niż gdybym miał... Rose spojrzała na mnie wyczekująco.

- Gdybyś miał co?

- W ogóle ich nie poznać. Gdybym wyrósł na takiego syna, o jakim marzyliście.

- Niepotrzebnie robimy z siebie widowisko - powiedział Arthur.

Z wściekłością uderzyłem dłońmi o blat biurka. Wstając, przewróciłem krzesło. Kiedy je podnosiłem, miałem wielką ochotę je cisnąć - w rodziców, przez okno, w ścianę. Rodzice siedzieli w milczeniu i przyglądali mi się z mieszaniną zażenowania, dezaprobaty i zazdrości, jaka nas ogarnia, kiedy ktoś daje upust swoim najohydniejszym, najbardziej irracjonalnym uczuciom. Postawiłem krzesło i podszedłem do łóżka. Nie zamierzałem wyrządzać rodzicom krzywdy, choć przez ułamek sekundy korciło mnie, żeby potrząsnąć nimi za ramiona.

- David - powiedział ojciec, starając się dać mi do zrozumienia, że zajmuje neutralne stanowisko.

Rose postawiła mocno obie nogi na podłodze i pochyliła się do tyłu niczym pijak, który chce usiąść prosto, ale źle obliczył kąt nachylenia.

- Nigdy was o nic nie prosiłem.

- David - powtórzył Arthur głosem, który brzmiał już bardziej normalnie i ciepło.

- Jestem tu ponad rok i przez ten czas nie kiwnęliście palcem, żeby mnie stąd wydostać.

Odwróciłem się od nich gwałtownie, podszedłem do biurka i dosunąłem krzesło.

- Szkoda pogody, lepiej wyjdźmy na dwór - powiedziała Rose.

- A idźcie sobie. Wracajcie do domu.

- Przestań! - zdenerwowała się matka.

- Wcale nie chcemy wracać do domu - oznajmił Arthur.

- To odwiedźcie kogoś innego. Wtedy wasz przyjazd nie pójdzie na marne.

Rodzice wymienili między sobą spojrzenia i przez chwilę zdawało mi się, że zaczną o mnie dyskutować w mojej obecności. Nie było to oczywiście w ich stylu. Prawie nigdy nie widziałem, żeby się kłócili lub okazywali zmieszanie. Rządząc naszą małą rodziną według zasad centralizmu, chronili mnie przed swoimi kłopotami; byli jak kapitanowie na tonącym statku, którzy oferując herbatkę i wytarte slogany, usiłują zapobiec panice wśród pasażerów.

- No tak - rzekła Rose i westchnęła głęboko, jakby pragnęła mieć tę rozmowę za sobą. - Skończyłeś już? Musisz nas tak unieszczęśliwiać? Mówiłam ci przecież, że nie ty jeden na świecie masz problemy.

- Nic mnie to nie obchodzi. Słowo honoru, że nic mnie to nie obchodzi.

- Twoja matka chce powiedzieć, że nam jest równie ciężko jak tobie. - Arthur potrząsnął głową i opuścił wzrok; nie całkiem to zamierzał oświadczyć.

- Zróbcie coś dla mnie - poprosiłem.

- Nasze życie wygląda obecnie bardzo ponuro - stwierdziła Rose.
- Zróbcie coś dla mnie.
- Nie widzę powodu, żeby dyskutować teraz o naszych prywatnych sprawach - ciągnęła matka. - I jeśli będziesz się upierał, że ty jeden masz kłopoty, to nie mamy więcej o czym mówić.
- On wcale tak nie myśli - wtrącił Arthur.
- Zróbcie coś dla mnie - powiedziałem po raz trzeci. Miałem ochotę usiąść na podłodze i nucić te słowa w kółko, tak jak mnie tego nauczył jeden z sanitariuszy (powtarzając, na przykład, „coca-cola, coca-cola”, można dojść do stanu, kiedy umysł ma się pusty, a w głowie tylko monotony szum). - Zróbcie coś dla mnie.
- Robimy, co możemy - oznajmił Arthur. - Wiesz, że pragniemy ci pomóc.
- Chcę nowego adwokata. Kto się zajmuje moją sprawą? Kto próbuje mnie stąd wydostać?
- To wszystko zależy od sądu - odparł Arthur. - Niewiele można zrobić.
- Ale kto prowadzi sprawę?
- Ted - powiedziała Rose. - Przecież wiesz o tym.
- Ted Bowen? Bowen to zawszony, zramolały pierdoła! Całe życie przegrywa sprawy w sądzie i on ma mnie bronić? Bezdomny pies ma więcej wpływu niż ten komunista!
- Nie masz prawa mówić tak o Tedzie - obruszyła się Rose. - Ted jest ci oddany. Najwyższy czas, żebyś nauczył się odróżniać prawdziwych przyjaciół od fałszywych.
- Tak, wiem, bawiłem się u Teda na kolanach. No i co z tego? Nie chcę, żeby się dłużej mną zajmował. Chyba mam prawo zrezygnować z jego usług? W końcu

jestem już pełnoletni. Jeśli przez tę waszą zasraną przyjaźń boicie się mu o tym powiedzieć, sam to zrobię.

- Mylisz się, David - rzekł Arthur. - Ted jest bardzo dobrym adwokatem.

- Musisz tak mówić, inaczej ci nie wypada.

- Wcale nie muszę.

- Właśnie że musisz. Musisz go bronić, bo jesteś taki sam jak on.

Patrzyłem na nich z wściekłością, czekając na ripostę. Oni jednak milczeli.

Nie westchnęli, nie wzruszyli ramionami, nie uczynili żadnego gestu. Patrzyli nie na mnie, lecz gdzieś w bok, jak niedające się sprowokować postacie ze snu.

- To podłość - odezwała się wreszcie Rose.

- Czy chodzi wam o pieniądze? - spytałem.

- Wiesz, że nie - odparł Arthur.

- Bo jeśli tak, to zdobędę pieniądze. Dziadek mi je przyśle. Dobry adwokat będzie go kosztował taniej niż mój dalszy pobyt w Rockville. Chcę najlepszego fachowca. Kogoś inteligentnego, twardego, kto, do jasnej cholery, ma jakieś znajomości, kogoś, kto nie pozwoli sobie wciskać kitu i z kogo ludzie nie śmieją się za plecami. Potrzebny mi człowiek, który użyje swoich wpływów, naciśnie, kogo trzeba, i dogada się. Ted się do tego nie nadaje.

- Ma mnóstwo wygranych spraw na swoim koncie.

- Ale mnie nie pomógł.

- Myślisz, że ktoś obcy będzie pracował z takim poświęceniem jak Ted? - spytała Rose. - Ted walczył o sprawiedliwość, zanim jeszcze się urodził.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Uderzyłem się w klatkę piersiową gestem wyrażającym niewinność, a zarazem zniecierpliwienie. Niewielka strużka potu spływała mi po

piersi w połowie drogi między bijącym sercem a napiętymi mięśniami brzucha. - Chcę nowego adwokata. Sam bym go znalazł, ale jak? Jeśli mi nie pomożecie... Musicie mi pomóc. Koniec z Bowenem. Od tej pory nie ma z tym nic wspólnego. Następnym razem, kiedy ktoś się będzie za mną wstawiał, musi to być adwokat z prawdziwego zdarzenia, a nie takie zero w krawacie poplamionym zupą. Chcę takiego, który by mnie wreszcie stąd wy dostał. To potwornie niesprawiedliwe. Musicie znaleźć mi dobrego adwokata, nawet jeśli nie przypadnie wam on do gustu.

3

W końcu znaleźli mi nowego adwokata - rzeczywiście takiego, którego sami nie darzyli sympatią; facet miał biuro w eleganckim wieżowcu, a na ścianie portret burmistrza Daleya - ale mimo to minęły jeszcze prawie dwa lata, zanim sąd zezwolił mi na powrót do domu.

4

W połowie sierpnia, w dniu, kiedy pogoda raptownie się popsuła, jakby dla podkreślenia zmiany w moim życiu, rodzice przyjechali zabrać mnie do domu. Siedziałem na tylnym siedzeniu i niczym żołnierz w zatłoczonym pociągu trzymałem na kolanach skórzaną walizkę. Warren Hawkes, mój jedyny przyjaciel z Rockville, który już po raz trzeci przebywał w szpitalu psychiatrycznym, radził mi,

żeby w drodze powrotnej zachowywać się jak najspokojniej; dlatego też o niczym nie myślałem, zupełnie jakby mój umysł znajdował się pod stalowym kloszem. Arthur prowadził samochód i ilekroć patrzył na mnie w lusterku, zdejmował nogę z gazu i ford zwalniał. Rose powiedziała dwa zdania, które zapamiętałem. „Odbywamy tę trasę po raz ostatni” oraz „Nie wiem, czy słyszałeś, ale wzrosły w społeczeństwie nastroje antysemityczne”. Jechaliśmy do Chicago na skrót, wąską boczną drogą, którą rodzice niedawno odkryli, ciągnącą się między polami dojrzewającej kukurydzy, która wychylała się na szosę niczym widzowie czekający na defiladę. Nad nami toczyły się grzmoty, platynowe węże błyskawic - w ciszy, po której następowały głośne elektryczne trzaski - rozdzierały niebo na zachodzie i północy. Co rusz pola kukurydziane rozjaśniał blask, powietrze stawało się coraz cięższe, przytłaczające, niebo czerniało coraz bardziej i zanim minęło pół godziny, odkąd wyruszyliśmy z Rockville, zaczął lać tak gęsty deszcz, jakby ktoś srebrzystą farbą polewał nam szybę.

Pogoda wzmogła mój milczący nastrój i popsowała humor rodzicom, którzy wiele sobie po tym dniu obiecywali. Wiedziałem, że są mną rozczarowani, chociaż naprawdę nie chciałem sprawić im zawodu. Nie śmiałem jednak zdobyć się na jeden uprzejmy gest. Byłem pewien, że jeśli wyjdę ze swojej skorupy, zrobię coś, co mi przyniesie wstyd, a rodziców przerazi, na przykład, że zacznę wrzeszczeć albo płakać, albo zwinę się w kłębek i będę powtarzał szeptem: „Boję się”. Mimo że wszystko we mnie wrzało, uznałem, że lepiej i bezpieczniej będzie siedzieć bez ruchu; po pewnym czasie Rose i Arthur zarazili się moim milczeniem. Jechaliśmy przed siebie, wolno z uwagi na deszcz; co rusz błyskawica przeszywała niebo i rozlegał się

huk, jakby ktoś nam łamał kości. Mijaliśmy miasteczka, kościoły, skupiska sklepów i wiejskich domostw, a przez całą drogę towarzyszyła nam burza z wściekłymi wyładowaniami. W pewnym momencie musiałem się zdrzemnąć, bo obudził mnie nagle wyjątkowo głośny trzask piorunu. Walizka zsunęła mi się z kolan na garb nad wałem korbowym biegnącym przez środek wozu. Zobaczyłem, że w miejscu, gdzie leżała, spodnie mam mokre od potu. „Obudziłeś się?” - spytał Arthur, patrząc w lusterko. Samochód przyhamował. Pod nami rozlegał się dudniący stukot - przejeżdżaliśmy przez żelazny most. Byliśmy w Chicago; w dole wymarła, lecz zdumiewająco piękna rzeka Chicago płynęła niczym stopniały wosk.

Wróciliśmy do ciemnego mieszkania na Ellis Avenue. Ulica ta od pewnego czasu była zaliczana do niezbyt bezpiecznych: Rose i Arthur nieraz zastanawiali się nad przeprowadzką, ale ucieczka z podupadłej dzielnicy wydawała im się krokiem zanadto reakcyjnym. Odkąd się pobrali, mieszkali w tym samym domu. Był to potężny kamienny budynek o białych ścianach, przypominający stary grobowiec. Przecnicę dalej mieściło się laboratorium fizyczne, gdzie przeprowadzano badania nad pierwszą bombą atomową, a po drugiej stronie ulicy była jedna z bibliotek uniwersyteckich. Dom rodziców znajdował się jednak przy zachodniej „granicy” terenów uniwersyteckich, otoczony pustymi placami, na których niegdyś stały budynki; obskurny wygląd dzielnicy najlepiej świadczył o tym, jak wiele jej mieszkańców żyło w niedostatku. Wykładowcy ze swoimi rodzinami wyprowadzili się z naszego domu i kiedy jadąc bardzo okreśną trasą, która wiodła jak najdalej od dawnego domu Butterfieldów, dotarliśmy wreszcie na miejsce, zauważyłem, że nowi lokatorzy na parterze zasłonili

okna żółtym papierem i że solidna owalna szyba w drzwiach wejściowych jest pęknięta, jakby uderzył w nią kamień lub pocisk.

Z walizką w ręce ruszyłem za rodzicami po schodach. Na parterze ktoś gotował jakąś hinduską potrawę; zbliżając się do pierwszego piętra, usłyszałem *Kiedy mężczyzna kocha kobietę* Percy'ego Sledge'a. Arthur szedł przodem, jedną ręką przytrzymując się ciemnej drewnianej poręczy, w drugiej podrzucając klucze. Rose kroczyła z przesadną ostrożnością, przy każdym stopniu podnosząc nogę wyżej, niż to było konieczne; wlokąc się z tyłu, żeby się co nieco uspokoić, zauważyłem mały listek przyklejony do podeszwy jej buta. Korytarz pomalowany był na jasnokarmelowy kolor. Nasze cienie wyginały się i pęczniały, gdy tak wspinaliśmy się na drugie piętro. Żeby poczuć się różnie, powtarzałem sobie w duchu: „Jestem w domu, jestem w domu”, ale głos mój brzmiał bojaźliwie i sceptycznie, co mi tylko pogarszało nastrój.

Mimo że rodzice się zmienili - co sam spostrzegłem, bo nigdy nie było o tym mowy wprost - mimo że ich długi, dziwny związek stał się dla nich uciążliwy, mieszkanie było takie samo jak dawniej. Gdy tylko minąłem próg, serce o połowę zwolniło swój rytm. Napięcie emocjonalne, które towarzyszyło mi przez całą drogę, zniknęło i ogarnęła mnie apatia. Od razu wyczułem, że nic się tu nie zmieniło. Unosił się ten sam zapach, zapach pasty do podłóg, starych książek, kawy, talku Rose, klimatyzacja nastawiona była na tę samą moc co dawniej. Na ścianach wisiały te same obrazy: reprodukcja Utrilla, reprodukcja *Guerniki* oraz pięć litografii spracowanych rąk - ręce oparte na grabiach, ręce przy obrabiarce, ręce trzymające liny - wykonanych przez miejscowego artystę, Irvinga Segala. Nawet bibeloty leżały

na swoim miejscu: kawałek kwarcu na półce przy *Chłopcu z Scottsboro*, a przywieziona z Meksyku mała kamienna ropucha obok *Listów Lincolna Steffensa*. Niski stolik z drzewa wiśniowego nadal stał pół metra od brązowej kanapy; na stoliku zaś jak zawsze znajdował się niebieski gliniany wazon z baziemi.

Postawiłem walizkę na jasnozielonym dywanie i usiadłem na kanapie.

- Widzę, że wciąż macie tego samego kota - rzekłem. Była to puenta starego dowcipu o chłopcu, który uciekł z domu i wrócił, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, że go nie ma.

- Chcesz zobaczyć swój pokój? - spytała Rose. Podczas mojej nieobecności matka mianowała się stróżem mojego mienia. Żegnając się ze mną w Rockville, czasem mawiała: „Twój pokój czeka na ciebie, David”. Kiedy odnawiali mieszkanie, Rose przypilnowała, żeby jasnoniebieska farba miała identyczny odcień co poprzednia. Gdy malarze skończyli pracę, matka porobiła kolorowe zdjęcia całego mieszkania, w tym trzy zdjęcia mojego pokoju, i przywiozła mi je do Rockville. Choć ani razu z nią o tym nie rozmawiałem - taki spontaniczny gest zupełnie do Rose nie pasował - zdjęcia te przetrwały w moim stale zmniejszającym się dobytku i teraz leżały w walizce.

- Dobrze.

Nic się nie zmieniło. Wszystko było tak jak w powtarzającym się śnie. Miałem wrażenie, że oddycham tym samym powietrzem, którym oddychałem trzy lata temu, zupełnie jakby mały kwadratowy pokój zabalsamowano. Łóżko wciąż było przykryte prążkowaną narzutą w kolorze ceglastym. Na ścianach nadal wisiały te same dwa obrazki wyrwane z książek: pierwszy, z encyklopedii baseballu,

przedstawiał Ty Cobba trzymającego rozpostartą rękawicę, drugi, wycięty żyłką z książki pod tytułem *Gangi Nowego Jorku*, ukazywał Mońka Eastmana, sławnego żydowskiego gangstera. Drewniana podłoga była pomalowana i wypastowana; kiedy w nocy zapaliłem światło, odbijał się w niej blask żarówki. Ujrzałem czerwono-zielony pleciony dywanik, białą szafkę, szklany półokrągły klosz na suficie, trój-nożne biurko z jasnego drewna oraz duży fioletowy kubek pełen ołówków i długopisów. Regał też był nietknięty

- stały tam zarówno książki dziecięce o prehistorycznych zwierzętach, jak i książki z astronomii, powieści Johna R. Tunisa oraz cenne pozycje, które rodzice dawali mi z różnych okazji i których nie czytałem, choć wszystkie kartkowałem strona po stronie, żeby przynajmniej wyglądały na czytane.

- Mój Boże - powiedziałem niemal szeptem, ale ponieważ milczeliśmy speszzeni sobą nawzajem, zabrzmiało to prawie jak krzyk.

- Poznajesz? - spytała Rose, chichocząc nerwowo.

- Chcieliśmy, żeby wszystko było tak, jak zapamiętałeś.

- I jest. - Spontanicznie ująłem jej rękę i ścisnąłem. Był to nasz pierwszy kontakt fizyczny, odkąd wyjechaliśmy z Rockville, i czułem, że Rose pragnie, aby trwał jak najdłużej.

Arthur otworzył wąską szafę i niczym właściciel zajazdu wskazał puste wieszaki.

- Mnóstwo miejsca - rzekł.

Chcąc mu sprawić przyjemność, zerknąłem do szafy i skinąłem głową. Po jednej stronie wisiały moje stare ubrania.

Rose rozglądała się po pokoju, tak jakby nagle żałowała tego, że czas stanął tu w miejscu. Ale co mieli

robić? Cóż by te zmiany znaczyły? Jak by się wtedy sami czuli?

- Podoba ci się? - spytała łagodnie.

- Tak. Nic się nie zmieniło. Naprawdę czuję się jak w domu.

- Jesteś w domu - odparł zachrypłym głosem Arthur. I wtem, w najmniej odpowiednim momencie, zaległa

martwa cisza. Usiadłem więc na brzegu łóżka i odczekawszy jeszcze chwilę, żeby ich nie urazić, powiedziałem:

- Chciałbym trochę odpocząć.

Rodzice spojrzeli na siebie porozumiewawczo, lecz nie dość szybko, abym tego nie zauważył - przywiodło mi to na myśl iluzjonistów, którzy niechcący zdradzają widzom banalny mechanizm swoich sztuczek. Wyraźnie żalowali, iż z okazji mojego powrotu nie zaprosili gości. Ale kogo mieli zaprosić? Nie utrzymywali żadnych stosunków rodzinnych.

- Nie jesteś głodny? - spytał Arthur.

- Nie mógłbym nawet patrzeć na jedzenie.

- Może napiłbyś się czegoś? - Popatrzył na zegarek. Druga. Nieprzyzwoicie wczesna pora na picie alkoholu, ale była sobota i mieliśmy co uczcić.

- Nie, dziękuję. Za prędko się upijam.

- Mamy nie tylko alkohol. - Rose uśmiechnęła się i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Chcę tylko odpocząć.

- W porządku. - Chociaż poznałem po głosie, że jest zawiedziona, uśmiech nie znikł jej z twarzy.

- No to odpoczywaj - powiedział Arthur, wyrzucając przed siebie ręce i klaszcząc w nie, jak ktoś, kto cieszy się z dokonanego wyboru.

Wychodząc, Rose zatrzymała się w drzwiach.

- Obudzić cię na obiad?
- Nie trzeba. Na pewno nie będę spał.
- Zamknąć drzwi? - spytał Arthur, dotykając klamki. Udałem, że się zastanawiam.
- Tak, proszę.

Drzwi zamknęły się cicho i nareszcie byłem sam. Kiedy kroki się oddaliły, zerwałem się z łóżka i podbiegłem do biurka. Otworzyłem szufladę z listami. Wyjąłem wszystkie i zacząłem je przeglądać, wpierw szybko, a potem, ze wzrastającym rozczarowaniem, coraz wolniej. Wszystkie koperty były adresowane do mnie, ale nie znalazłem wśród nich listów, których szukałem; były tu natomiast życzenia urodzinowe sprzed lat, karty świąteczne, listy od chłopaka z Korei Południowej, z którym korespondowałem, dopóki rodzice mi nie zabronili, oraz listy od dziadka.

Kiedyś, dawno temu, spytałem rodziców, czy mają moje listy od Jade. Podczas przesłuchania listy te przedstawione były w sądzie i oficjalnie uznane za materiały dowodowe. Pomogły mi uniknąć więzienia i dowieść, że znajdowałem się w stanie niezwykle silnego napięcia emocjonalnego. Ale co się z nimi później stało?

Jeszcze raz w błyskawicznym tempie - zupełnie jakbym tasował karty - przejrzałem wszystkie koperty. To byłoby za łatwe, za proste, gdybym odszukał je za pierwszym podejściem. Muszą być gdzieś indziej. Otworzyłem szafkę. Górna szuflada: trzy pary nowych skarpet i dwie pary nierozpakowanych kalesonów. Środkowa szuflada: stara biała koszula prosto z pralni, złożona i zawinięta w gruby niebieski papier. Dolna szuflada: pusta. *Me wolno pochopnie wyciągać wniosków.* Trzeba się zastanowić. Spokojnie, choć ręce mi drżały, wsunąłem szuflady i podszedłem do okna.

Usiadłem na parapecie, odciągnąłem na bok brązową zasłonę i niczym złodziej lub szpieg obserwowałem ulicę. Deszcz przestał padać. Ulicą szedł kilkunastoletni chłopak, Murzyn, ze stalowym grzebieniem wetkniętym we włosy, które wyglądały jak kask. Przebywając w zamknięciu, prawie zapomniałem o istnieniu Murzynów. Personel w Rockville był biały, a przez cały ten czas wśród pacjentów mieliśmy tylko jedną ciemnoskórą pacjentkę, której ojciec wykładał logikę na Northwestern University. Krzywe blizny - ślady po licznych próbach samobójczych - pokrywały ręce Soni od nadgarstków niemal po łokcie. Niedoszli samobójcy nie cieszyli się w Rockville dobrą opinią, inni pacjenci uważali ich za ludzi zbyt niedojrzałych, lecz Sonia wyłamała się z tego stereotypu, nie odzywając się do nikogo. Czasami grała na gitarze, a któregoś dnia całkiem niespodziewanie przez godzinę śpiewała angielskie piosenki ludowe. Zanim skończyła, niemal wszyscy zeszli się do świetlicy, by posłuchać jej łagodnego, a zarazem przejmującego głosu. Podziwiałem ją za to, iż trzyma się na uboczu, podejrzewając, że ona też w samotności pragnie rozpamiętywać swoją tajemniczą przeszłość i nieodwracalne decyzje, toteż ilekroć się mijaliśmy, kłaniałem się jej, jakbyśmy byli sprzymierzeńcami w tajnej wojnie duchowej. Czasem Sonia odpowiadała mi skinieniem głowy. Po kilku miesiącach rodzice zabrali ją z Rockville. Akurat przechodziłem obok głównego wejścia, kiedy ze stanowczym, choć wylęknionym wyrazem twarzy wszyscy troje opuszczali szpital, każde dźwigając dwie spore płócienne walizki. Podeszedłem do Soni i dotykając jej ramienia, powiedziałem: „Jesteś wspaniałą dziewczyną”.

Siedziałem na parapecie zdjęty przerażeniem, które nie ustępowało. Tak intensywnie wpatrywałem się w Ellis

Avenue, że obraz stał się zamglony, zupełnie nie wyobrażałem sobie wyjścia na ulicę. Dwóch mężczyzn wyglądających na profesorów przeszło dołem, jeden z parasolem, którym wymachiwał jak laską, drugi z płaszczem od deszczu, który niósł niedbale przerzucony przez ramię niczym gwiazdor filmowy. Ludzie i ich życie. Ludzie i ich wyobrażenia o sobie. Wszystko to było zbyt skomplikowane, a na samą myśl o świecie zewnętrznym robiło mi się niedobrze. Czy będę w stanie się tutaj zadomowić, czy w ogóle będę tego chciał? Nie miałem nic nikomu do powiedzenia, moje troski należały wyłącznie do mnie. Nagle pomyślałem: a może by tak zdobyć się na odwagę, wyjść z domu i spytać pierwszą napotkaną osobę o... o co? O cokolwiek. Choćby o to, jak dojść do Muzeum Nauki i Techniki. Niezbyt fortunny wybór, mimo że podjęty tylko w myślach. W tym bowiem muzeum, w tym pałacu postępu o ogromnym holu, w którym na stalowych kablach umocowanych do sufitu wiszą myśliwce z czasów pierwszej wojny światowej, Jade i ja mieliśmy pierwszą randkę. Trzymając się za ręce - właściwie ledwo dotykając się palcami - udaliśmy się na przejażdżkę trzęsącym się wózkiem po replice kopalni, a potem rozmawialiśmy szeptem, stojąc przed dwoma specjalnie uformowanymi szybami z pleksiglasu, które dzieliła odległość około dwustu metrów. Nasze głosy brzmiały naturalnie i bardzo intymnie, jakbyśmy szeptali do siebie w łóżku, choć jeszcze wtedy w ogóle nie wiedzieliśmy, że do tego dojdzie. Na końcu spacerowaliśmy w towarzystwie dwudziestu identycznie ubranych dzieciaków z kolonii letniej po gigantycznym modelu ludzkiego serca. Szliśmy wolno przez komorę sercową, słuchając równomiernego bicia dochodzącego z ukrytego głośnika i dotykając sztucznych żył. Jade, u której w domu wszyscy z zapalem dyskutowali na tematy

medyczne, wyłożyła mi śmiałą teorię swojego ojca o Zdrowym Sercu, ja zaś miałem gardło tak wyschnięte, że nie śmiałem się odezwać; zafascynowany wędrówką po symbolicznym królestwie miłości, poczułem przypływ wzmożonej świadomości: wiedziałem, że kocham Jade i że nigdy się od niej nie uwolnię, że nie będę próbował ani też chciał.

Siedziałem oparty czołem o okno, tak że cały ciężar ciała spoczywał na pojedynczej szybie. Nagle ocknąłem się i wyprostowałem - wyobraziłem sobie, że spadam. Jeszcze raz spojrzałem w dół, po czym zasłoniłem okno.

Pokój pogrzyżył się w ciemnościach. Wiedziałem, że wkrótce zacznę przetrząsać mieszkanie, szukając listów od Jade. Ale musiałem z tym poczekać, aż będę w domu sam. Czas płynął wolno, nie było więc pośpiechu. Przez chwilę na nic nie mogłem się zdobyć, po prostu stałem w tym dusznym, strasznym pokoiku, czując, że łzy spływają mi po policzkach, choć nie wiedziałem od jak dawna. Miałem nadzieję, że rodzice nagle nie wtargną i nie zobaczą mnie w tym stanie. Ale nie umiałem powstrzymać się od płaczu. Nie miałem siły, a ponadto nie potrafiłem zapomnieć o głębokiej ranie, którą nosiłem w duszy. Usiadłem na łóżku i po omacku sięgnąłem po poduszkę. Wyciągnąłem ją spod narzuty i przycisnąłem do twarzy. Następnie otworzyłem szeroko usta i zacząłem łkać w tę puszystą biel wypełnioną milionami piór.

Rose pracowała jako bibliotekarka w szkole średniej na Southwest Side, a ponieważ było lato i miała wakacje, dotrzymywała mi towarzystwa podczas moich pierwszych łzawych dni w domu. Wiedziałem, że wkrótce będę musiał jakoś uporządkować swoje życie.

Wyjście z Rockville

było czymś w rodzaju zwolnienia warunkowego: dwa razy w tygodniu miałem odwiedzać psychiatrę, spotykać się z kuratorem, zapisać na studia albo poszukać pracy. Bez zezwolenia sądu nie wolno mi było opuszczać Chicago ani też podejmować żadnych prób skontaktowania się z Butterfieldami. Tymczasem jednak snułem się po mieszkaniu, spałem do późna, oglądałem telewizję i obżerałem się z wilczym apetytem. Rose cierpiała, widząc moją apatię. Równie głęboko wierzyła w siłę woli co Newton w siłę grawitacji, toteż wyrosnięty chłopak w jasnobrązowej piżamie, który ogląda w telewizji powtórki starych komedii, był dla niej jak jabłko, co spada z drzewa i zawisa w powietrzu.

Pogoda była ohydna. Temperatura utrzymywała się w granicach trzydziestu pięciu stopni, niebo miało barwę przybrudzonych bandaży. Klimatyzator pracował bez przerwy, a do ustawionych pod nim misek kapały zimne, szare krople wody. Wszystko było wilgotne i aż miękkie; tusz z gazet zostawiał ślady na palcach.

Nie potrafiłem się zdobyć na to, żeby wyjść z domu. Spałem najdłużej, jak mogłem. Kiedy się budziłem, zmuszałem się do ponownego zaśnięcia, odpychając od siebie świadomość, niczym ktoś umierający z głodu odpycha innych od okruchów leżących na swoim talerzu. Gdy wreszcie nie mogłem już dłużej wytrzymać ani w łóżku, ani w pokoju, zataczając się, wchodziłem do salonu, włączałem telewizor i z kłocią podłużnych zielonych winogron lub pudełkiem krakersów kładłem się na kanapie. Rose namawiała mnie do wyjścia. Proponowała pójście na obiad do pobliskiej restauracji, przeglądała ze mną repertuar kin, pytając, co bym chciał obejrzeć. Twierdziła, że poumawiała mnie z różnymi ludźmi - ze swoją przyjaciółką Millicent Bell, która pracowała na Roosevelt Universi-

ty, i z Haroldem Sternem, który mógłby mi załatwić pracę w Zjednoczonym Związku Pracowników Przemysłu Tekstylnego. Powiedziałem jej jednak, że nie czuję się na siłach, aby wychodzić z domu. Nie zauważyłem, aby Rose dzwoniła do kogoś, by odwołać spotkanie. Chodziło jej więc tylko o to, by mi przemówić do rozumu, pokazać, że na świecie żyją prawdziwi ludzie, którzy pragną się ze mną zobaczyć i pomóc mi w zorganizowaniu sobie życia. Zaproponowała pójście na zakupy, a kiedy i tego odmówiłem, poszła do mojego pokoju, skąd wróciła z naręczem starych ubrań. Położyła je na podłodze w salonie i zmusiła mnie, żebym przejrzał wszystko po kolei i przekonał się na własne oczy, że właściwie nie mam co na siebie włożyć - urosłem w Rockville i nieco przybrałem na wadze. Przegląd garderoby odbył się trzeciego dnia po moim powrocie; kiedy przyznałem matce rację i obiecałem, że wkrótce pójde z nią na zakupy, zebrała z podłogi część ubrań, żeby spalić je w piwnicy.

- Mogłabyś je komuś oddać! - zawołałem, gdy była blisko drzwi.

- Działalność charytatywna to przywilej klasy rządzącej.

- Każdy może dzielić się tym, co ma! - krzyknąłem z gniewem, wyładowując wstyd i frustrację.

Słuchałem, jak stukot jej obcasów cichnie na schodach. Po raz pierwszy od powrotu z Rockville byłem w domu sam. Swój pokój przeszukałem bardzo dokładnie i nie znalazłem w nim ani moich listów do Jade, ani jej listów do mnie. Teraz wreszcie mogłem rozejrzeć się po innych pokojach. Podbiegłem do regałów i otworzyłem suwane dolne drzwiczki: ujrzałem złożone obrusy, niebiesko-zielone oraz wiśniowe meksykańskie serwetki, kilka starych numerów „The National Guardian”, szachownicę i puszkę

od cygar White Owi, w której leżały figury szachowe, kilkadziesiąt opakowań małych różowych świeczek na tort urodzinowy, książeczki czekowe, pudełko niezatemperowanych ołówków, podręczny zestaw do szycia opakowany w gruby lśniący papier z rysunkiem słonia wymachującego trąbą, koperty oraz niezapisane kołnotatniki. Kiedy indziej uśmiechnąłbym się na widok tej przypadkowej, niewinnej zbieraniny: szafki rodziców nie kryły nic, czego musieliby się wstydzić. Czułem się jednak tak, jakbym znalazł czyjś pilnie strzeżony pamiętnik, a w nim ku swojemu zaskoczeniu ujrzał same przepisy kulinarne i opisy przyrody albo podsłuchał, jak ktoś mamrocze przez sen: „Muszę pamiętać o urodzinach Ezry”.

Zasunąłem drzwiczki, włączyłem telewizor i położyłem się na kanapie, drżąc ze zdenerwowania, iż nie udało mi się lepiej wykorzystać okazji. Rose wróciła do mieszkania. Widziałem, że złość jej minęła, podobnie jak ochota, żeby pozbyć się reszty ubrań, ale leżał jeszcze jeden stos i nie wypadało jej się teraz poddać. Unikając mojego wzroku, matka zgarnęła pozostałe sztuki garderoby i znów wyszła.

Czym prędzej pognałem do sypialni rodziców. Nawet w słoneczne dni pokój był mroczny, ale dziś czułem się tu jak w łodzi podwodnej. Spojrzałem na wypukły, mleczny klosz ze rżniętego szkła i zapaliłem światło. W pokoju rodziców nigdy nie było widać żadnych oznak życia. Rose i Arthur ubierali się w łazience na końcu korytarza. W sypialni nie mieli ani stolika, ani telefonu; stało tam, oparte o ścianę, jedno stare drewniane krzesło, na którym, o ile mi wiadomo, nikt nigdy nie siadał. Na podłodze leżał dywan, na środku pokoju zaś między toaletką a szafą stało łóżko. Na ścianie nie było lustra, wisiały jedynie dwie litografie Irvinga Segala przedstawiające ręce przy pracy.

Łóżko było starannie zasłane, bez jednej fałdy, zupełnie jakby je słał automat. Walcząc z czasem i własnym sumieniem, przeszukałem polakierowaną na żółto toaletkę. Niewinność aż do znudzenia. Pierwsza szuflada: skarpety, kalesony, podkoszulki, chustki do nosa, butelka dezodorantu, który Arthur widocznie uznał za rzecz zbyt intymną, aby postawić na wspólnej półce w łazience. Druga szuflada: koszule Arthura. Trzecia szuflada: pończochy, jedna para wciąż przypięta do pasa, staniki, majtki, damska maszynka do golenia. Czwarta szuflada: puste pudełko po zegarku, pusta ramka na zdjęcie z pękniętym szkłem, stos brązowych kopert. Przez pełną napięcia chwilę byłem pewien, że odnalazłem swoje listy. Koperty jednak zawierały stare czeki, oświadczenia podatkowe z ubiegłych lat, moje zdjęcia z dzieciństwa, dawne dowody uiszczenia czynszu, kwity rejestracyjne wozu, blankiety ubezpieczeniowe, zawiadomienie z banku Hyde Park o udzieleniu pożyczki, kopertę z napisem „Testament Arthura”...

- Co robisz? - spytała Rose.

Siedziałem na podłodze, trzymając koperty na kolanach. Przez moment milczałem, czekając bez specjalnego strachu, aż natchnienie podsunie mi jakieś wspaniałe alibi. Nigdy nie przywiązywałem szczególnej wagi do prawdomówności, zwłaszcza gdy chodziło o moje dobro. Odkąd jednak przyznałem się do podłożenia ognia w domu Butterfieldów, znacznie rzadziej uciekałem się do kłamstwa, uważałem bowiem, że nic gorszego nie może mi się już w życiu przydarzyć.

- Szukam moich listów - odparłem. - Listów od Jade. Spojrzałem na matkę, pewien, że wpadnie we wściekłość

- ze wszystkich nakazów i zakazów związanych z moim warunkowym zwolnieniem aprobowała jeden: że nie wolno

mi się kontaktować z Butterfieldami. Spodziewałem się, że zaczną krzyknąć, bić mnie, grozić odesłaniem do Rock-ville, spodziewałem się płaczu, paniki, smutku, nawet współczucia. Było mi bez różnicy.

Rose jednak albo nie usłyszała odpowiedzi, albo moje słowa do niej nie dotarły. Może zapomniała o istnieniu listów, a może sądziła, że dawno temu zostały wyrzucone. Stała w drzwiach, chwiejąc się na nogach; wolno zamrużyła zza okularów i skrzyżowała ręce na piersiach, przybierając coraz bardziej typową dla siebie pozę nauczycielki.

- Pewnie ojciec podsunął ci ten pomysł? - rzekła.

- Ojciec? - spytałem, chwytając się kurczowo tego słowa, jakby stanowiło ono dowód mojej niewinności.

- Ojciec? - powtórzyła; przechylając głowę, skrzywiła się, naśladując mój głos. Na tyle, na ile znałem matkę, takie zachowanie było zupełnie nie w jej stylu.

Wstałem, nie wypuszczając z rąk kopert.

- Naprawdę nie wiem, co...

- Sprawdzasz jego testament? - Uśmiechnęła się, wskazując brodą na papiery. - Wiedziałaś, że będziesz ciekaw, czy cię nie pominął. A ubezpieczenie? Czy je również sprawdziłeś? Mogłeś mnie spytać, sama bym ci powiedziała. Ale ojciec kazał ci obiecać, że nie będziesz ze mną o tym mówił. I ty, grzeczny synek, nie puściłeś pary z ust. No jak? Obejrzałeś sobie wszystko? - Stąpając ostrożnie, przemierzyła pokój i sięgnęła po koperty. Przez chwilę ich nie puszczałem, lecz Rose z zadziwiającą siłą wyrwała mi je z rąk.

- O, tutaj - rzekła; wybrała kopertę z napisem „Testament Arthura”, upuszczając pozostałe na podłogę. - Nie znajdziesz tu żadnej wzmianki o jego nowej rodzinie. W polisie ubezpieczeniowej też nie. Ale jeszcze pewnie ich uwzględni.

- O jego nowej rodzinie?

- Nie kłam, proszę. Arthur mówił mi, że rozmawiał z tobą na ten temat. Cieszysz się, że jest szczęśliwy, że wreszcie znalazł prawdziwą miłość. Dobrana z was para. „Strasznie się cieszę, tato”. Tak mu powiedziałaś. Ma wszystko, czego pragnął. Głupią babę, która skacze wokół niego, i dwójkę bachorów, które chętnie miałyby na miejscu tatusia.

- To jego dzieci?

- Wiesz dobrze, że nie. Dlaczego trzymasz jego stronę? Wiem, że kochasz Arthura, a mnie nie, ale czy nie rozumiesz, że kiedy stąd odejdzie, przestaniesz go obchodzić? Naprawdę przestaniesz. Zapomni o tobie, tak jak zapomniał o mnie. Nie masz pojęcia o życiu, prawda? Trzymaj - rzekła, wręczając mi testament. - Tu nie znajdziesz żadnej odpowiedzi. Ani tam - dodała, szturchając butem koperty na dywanie. - To jeden wielki stek kłamstw.

Ani tego dnia, ani w ciągu następnych dni Rose nie wspomniała więcej o drugiej rodzinie Arthura. Czekałem, aż coś powie, przeprosi, wyjaśni dokładniej, podzieli się swoim smutkiem, ale na jej drobnej czujnej twarzy nie widać było najmniejszej oznaki wzburzenia, które ogarnęło ją wtedy w sypialni. Obserwując Rose, myślałem o gościach nocnego lokalu, których hipnotyzer zaprasza na scenę, a ci gdaczą jak kury lub szczekają jak psy, po czym wracają do stolika, nie pamiętając tego, co robili. Byłem zdumiony, a zarazem dotknięty tym, że matka potrafi zupełnie zbagatelizować tak ważną rzecz, ale muszę przyznać, że byłem jej wdzięczny. Jaka byłaby Rose, gdyby puściły jej wrodzone hamulce? Bałem się jej.

Teraz, widząc, jak leżę wyciągnięty przed telewizorem, jedynie komentowała niski poziom programów. A przecież równie dobrze mogłaby mi wbić w ramię swoje silne szczupłe palce i powiedzieć: „Nigdy nie szanowałeś moich poglądów. Obcym ludziom zdradzałeś tajemnice rodzinne. Brałeś narkotyki. Bardziej kochałeś obcych niż nas”.

Jednakże coś więcej niż strach sprawiło, że przyłączyłem się do milczącej zмовy z Rose, albowiem nie czułem żadnej pokusy, żeby pomówić z Arthurem o jego „drugiej rodzinie”. Z jednej strony nie wierzyłem, że owa rodzina istnieje, toteż trzymając język za zębami, chroniłem Rose. Z drugiej strony, jeśli Arthur naprawdę miał kochankę i czekał tylko na stosowny moment, aby ułożyć sobie nowe życie, to uważałem, iż on sam powinien mi o tym powiedzieć. Nie zależało mi na tym, żeby dzielić jego sekrety miłosne. Arthur oczywiście nigdy nie mówił mi, że cierpi na niedosyt miłości, że drzemie w nim niewykorzystany potencjał uczuć, który z latami obrasta w tłuszcz, że brak spełnionych marzeń sprawił, iż dorobił się płaskostopia i osiwiiał, że głos ma grubszy, a ręce bardziej spuchnięte, że z biegiem czasu coraz częściej opowiada głupie dowcipy, wzdycha, sapie w kinie, zrzędzi i marudzi, mimo to zawsze wiedziałem, iż tak jest w istocie, i odkąd przeżyłem pierwszą miłość, współczułem Arthurowi, że tyle traci. Kiedy miałem osiem lub dziewięć lat, w radiu szła piosenka Johnniego Raya: „Jeśli twoja miła napisze "Żegnaj, ty brzydalu-, łzy pomogą ci otrząsnąć się z żalu". Arthur odłożył gazetę i przez chwilę słuchał, a potem się do mnie uśmiechnął. Domyśliłem się, że choć piosenka jest kiepska i „pod publiczność”, jej słowa znaczą coś dla ojca, zaskakują go, pogrążają w melancholii.

Nie raz i nie tysiąc razy pragnąłem, aby ojciec posłuchał głosu swojego spragnionego miłości serca i przeżył jakąś niezwykłą przygodę, żeby pogonił za kelnerką, na którą patrzył z prymitywną żądzą, gdy przechodziła obok, napisał list do Avy Gardner, której filmy oglądał po trzy, cztery, a nawet pięć razy, czy zakosztował takiego życia jak w tanich romansach, których bohaterowie całują się długo i namiętnie albo urządzają sobie majówki w pobliżu wodospadu. Pewnego dnia, mniej więcej w połowie mojej znajomości z Jade, siedziałem rozmarzony u siebie, wypełniając podania o przyjęcie na uczelnię, kiedy do pokoju wszedł ojciec. Podniosłem oczy znad biurka i w ciemnym oknie, za którym panował mrok, ujrzałem odbicie Arthura. „Cześć!” - powiedziałem. „Jesteś szczęśliwy?” - spytał. Nie brzmiało to podstępnie, więc potaknąłem. Arthur, mój rodzic, mój ojciec, skinął głową i rzekł: „Zazdroszczę ci”. Pomyślałem wtedy coś, co później czułem jeszcze wielokrotnie: jest za stary, abym mógł mu pomóc, a skoro nie mogę pomóc, to nie ma sensu się przejmować.

W sobotę, tydzień po powrocie z Rockville, rodzice urządzili skromne przyjęcie na moją cześć. Był to oczywiście pomysł Rose. Cały tydzień matka nalegała, żebym zadzwonił do ludzi, którzy mnie znali od dziecka, którzy przysyłali mi do szpitala życzenia urodzinowe i prezenty i którzy teraz chcieli razem ze mną cieszyć się, że wróciłem do domu. Rose, osoba o niezłomnych zasadach, wierna swoim przyjacielom, czuła się w obowiązku pokazania mnie im i chyba liczyła na to, że dzień spędzony w gronie rodziny i wieloletnich przyjaciół może w pewien sentymentalny sposób wpłynąć otrzeźwiająco na jej męża

i napełnić jego beztroskie serce ciężarem wspóhiej przeszłości. Kiedy rano wyszedłem z sypialni - myśląc, że może dziś wyjdę sam z domu, pójdę na spacer, kupię książkę, słowem, czując się wreszcie bardziej pewien siebie, świadom jednak, że moja odwaga jest delikatna i krucha niczym skorupka od jajka - Rose właśnie robiła w sklepie zakupy, Arthur zaś, ubrany w beżowe spodnie i podkoszulek, ciągał po pokoju stary odkurzacz kształtem przypominający torpedę i spoglądał krytycznie na dywan.

- Wpadną starzy znajomi - powiedział, starając się przekrzyczeć szum. - Śmiesznie, co?

Podniósł komicznie brwi, jakby podchodził z ironią do tego, co mówi, ale nie raczył wyjaśnić, co go tak bawiło.

Cóż to byli za ponurzy ludzie, ci przyjaciele rodziców! Olga i Leo Greenblatt, Millicent Bell, Tom i Natalie Foster, Harold Stern, James Brunswick z najnowszą żoną, Connie Faust, Irenę i Alberto Nicolosi. Byli to ludzie, których znałem od urodzenia, których znałem lepiej, a przynajmniej widywałem częściej od kolegów szkolnych lub rozsianych po całych Stanach krewnych. Gdybym się żenił, ci ludzie, przyjaciele rodziców z partii komunistycznej, siedzieliby na składanych krzesłach podczas ceremonii ślubnej, z uśmiechem przyglądając się uroczystości, gdybym zaś nagle umarł, ci sami ludzie patrzyliby smutnym, nieco przerażonym wzrokiem, jak wiatr rozwiewa moje prochy. W dawnych czasach - to znaczy dla mnie dawnych, bo dla nich były to najpiękniejsze lata ich życia - słuchałem mętnych, zażartych dyskusji podczas comiesięcznych spotkań; bawiąc się w kelnera, chodziłem w niebieskiej piżamie po zadymionym pokoju, roznosząc na tacy salami i ser. Wieczorem odsyłano mnie do mojego pokoju z butelką wody mineralne) i turkusowym talerzykiem pełnym

małych słonych precelków. Te twarze uśmiechały się do mnie znad blasku świeczek na tortach urodzinowych; te zdarte buty i ogromne kolana widziałem pod stołem w jadalni, kiedy w popłochu usiłowałem znaleźć na podłodze upuszczoną brukselkę. Te głosy i ten aromatyczny zapach tytoniu fajkowego towarzyszyły mi podczas wycieczek samochodowych za miasto, te ręce sięgały po rachunek w restauracjach, te imiona i nazwiska figurowały na potwornie tradycyjnych kartach z gratulacjami, które otrzymałem z okazji ukończenia szkoły. Byli to ludzie, którzy przychodzili do nas na kawę, żeby odpocząć po wyczerpującym dniu, kiedy pomagali Murzynom pikietować sklepy Woolwortha, ludzie, którzy przed moim wyjazdem do Rockville przyszli się pożegnać, uścisnąć mi dłoń, zapamiętać moją twarz, przekazać zmyślane pozdrowienia od swoich dzieci, których właściwie nie znałem. (Ojciec, wyłamując się ze swoich zasad życiowych, odwoził mnie od nawiązywania przyjaźni z dziećmi swoich przyjaciół: „Zaprzyjaźnij się z prawdziwymi ludźmi. Nie zwracaj sobie głowy dziećmi komunistów”. Nie musiał mnie zniechęcać. Towarzystwo to nie było w moim guście ani ja w jego: poważni, kulturalni, zawsze użytecznie spędzali czas i czuli się nieswojo, słuchając niewybrednych dowcipów, którymi ich raczyłem).

Protestując przeciwko dotkliwej krzywdzie, jaką chcieli mi wyrządzić tym niespodziewanym przyjęciem, od razu po obfitym śniadaniu zamknąłem się w swoim pokoju. To pomieszczenie o dziesięciometrowej powierzchni świadczyło znacznie bardziej na moją niekorzyść, niż mógłby świadczyć stary but czy brudna koszula. W każdym razie zamknąłem się w pokoju, drzemałem, czytałem, zastanawiałem się, w co się ubrać. Przyjęcie zaczynało się o trzeciej (kiedy

to goście są już po obiedzie) i w miarę upływającego czasu na serio zacząłem myśleć, co na siebie włożyć. Rose wyrzuciła większość moich ubrań, lecz ostał mi się granatowy garnitur kupiony na uroczystość wręczenia świadectwa ukończenia szkoły. Włożyłem białą koszulę, wąski czarny krawat, spodnie i marynarkę. W pokoju nie miałem lustra; jedyne lustro w całym domu znajdowało się w łazience w szafce z lekarstwami. Ponieważ musiałbym podskoczyć bardzo wysoko, żeby zobaczyć, jak leżą spodnie, wolałem przyjrzeć się swojemu odbiciu w oknie. Widok ten podzielał na mnie przygnębiająco, garnitur bowiem był stanowczo za mały - zbyt wąski w ramionach i klatce piersiowej, spodnie za ciasne w udach, o nogawkach sięgających zaledwie kostek. Dopiero teraz, mając na sobie ten przyciasny garnitur, uświadomiłem sobie, ile czasu spędziłem w zamknięciu.

Leżałem ubrany na łóżku, wpatrując się w sufit i gładząc ręką krawat. Wąskie krawaty już dawno wyszły z mody, ale byłem pewien, że ani rodzice, ani ich przyjaciele tego nie zauważyli. Towarzystwo to całkiem świadomie lekceważyło modę i nowości rynkowe (na przykład Arthur do niedawna myślał, że ogrodnicy to spodnie służące wyłącznie do pracy w ogrodzie). Zdrzemnąłem się. Kiedy spałem, przybyli pierwsi goście; przespałbym całe przyjęcie, gdyby matka mnie nie obudziła.

- David - szepnęła przez drzwi.

- Nie śpię. Już przyszli?

- Czy mogę wejść? - Nie czekając na odpowiedź, weszła, łamiąc etykietę domu Axelrodów. Miała na sobie seledynową sukienkę z owalnym dekoltem oraz biało-zielone buty. W ręce trzymała owiniętą w trzy papierowe serwetki szklanę z whisky i wodą sodową. - Włożyłeś garnitur - zauważyła, zamykając drzwi.

- Co za spostrzegawczość.

- Jest gorąco, David, a ten garnitur ma domieszkę wełny. Już teraz jesteś spocony. Obetrzyj się mokrym ręcznikiem i przebierz w coś wygodniejszego.

- Nie, chcę zostać w garniturze - odparłem stanowczo wyniosłym tonem, który rodzicom zawsze sprawiał taką przyjemność.

Zabrzączał dzwonek u drzwi. Z salonu dochodziły znajome głosy. Śmiech. Tubalny i niski, jakby sowa skrzeczała mezzosopranem. Potem głos Harolda Sterna: „Nie. Jeszcze się nie śmiejecie. Zaraz będzie najśmieszniejsza część”. Znow śmiech, ponad którym rozległ się głos kobiety: „Kogo, do diabła, obchodzi, kiedy będzie najśmieszniejsza część. Nam się teraz chce śmiać”.

- W porządku - oświadczyła Rose, spoglądając nerwowo na zamknięte drzwi. - Możesz tak zostać. Tylko idź do łazienki i opłucz twarz wodą, dobrze?

Przyjęcie potoczyło się tak gładko i bez żadnych niespodzianek, że równie dobrze mogłoby go w ogóle nie być. Nikomu nie przyszła do głowy żadna nowa myśl, nikt nie powiedział nic oryginalnego, nikt się nie upił ani nie obżerał, nikt niechcący nie strzepnął popiołu na dywan. Pozwolono mi pić do woli, ale jakoś nie mogłem się upić. Posadzono mnie na kanapie koło Millicent Bell, która później pomogła mi zapisać się na Roosevelt University. Wciągnięto mnie w rozmowę z Haroldem Sternem, który miał mi załatwić pracę w Zjednoczonym Związku Pracowników Przemysłu Tekstylnego. Sam z siebie nie uczyniłem absolutnie nic, żeby zdobyć przychylność tych ludzi. Pomagali mi, bo byłem jedynym synem Rose i Arthura i dlatego, że pamiętali tego miłego, grzecznego chłopczyka, który dawno temu, gdy przychodzili przez

najlepsze lata swojego życia na spotkania partyjne, roznosił wędlinę. Za oknem wciąż było widno i miałem wrażenie, że to przyjęcie na moją cześć nigdy się nie skończy. Dobrze wychowani przyjaciele rodziców nie wiedzieli, o co wypada mnie pytać po powrocie z Rockville, a jakich tematów należy unikać. Nie mieli odwagi wtrącać się w moje sprawy osobiste: jedyne, na co było ich stać, to udział w przyjęciu powitalnym, które wyglądałoby tak samo, gdybym po dwóch latach studiowania historii socjalizmu wrócił do domu z Uniwersytetu Leningradzkiego. Nawet ci, którzy do mnie pisali i przysyłali mi prezenty, nie rozmawiali na temat Rockville. Czyżby bali się tego, co niechcący mogą ujrzeć w ich oczach - łez albo pogardy? A może chcieli uszanować gorące pragnienie Rose, żeby wszystko, absolutnie wszystko przebiegało tak, jakby nic się nie stało? Historia zawdzięcza Rose jedno normalne popołudnie, kiedy nawet dzieci starannie unikały tematów, które mogłyby okazać się dla mnie bolesne. Szesnastoletnia Meredith Tarnovsky, która od naszego ostatniego spotkania przeistoczyła się w prawdziwą piękność i której zwierzęca zmysłowość nie była jeszcze sprawą konwenansów, lecz hormonów, wróciła niedawno z Kuby, gdzie przez kilka tygodni ścinała trzcinę cukrową i uczęszczała na wykłady. Kręciła się koło mnie, opowiadając mi o Castro, którego nawet lubię, ale nie tak namiętnie jak ona. Ciemne oczy dziewczyny lśniły, jej delikatna skóra wydzielala zapach perfum, a włoski na jej rękach, rozjaśnione przez hawańskie słońce, były platynowe w kolorze. Co rusz napełniałem szklanekę dżinem, zastanawiając się, czy przypadkiem przyjęcie nie ma na celu zachęcić mnie, abym przerwał swój długi celibat i zaciągnął Meredith do swojego pokoju. „Ty byłaś na

Kubie, a ja w ekskluzywnym domu wariatów. Ludzie często chodzą różnymi ścieżkami". Meredith spuściła wzrok i potrząsnęła głową. Co przez to chciała powiedzieć? Że to ironia losu? Że to smutne? Że to zakazany temat? Drugim przedstawicielem „młodzieży" był Joe Greenblatt, jeszcze do niedawna kurdupel, na którego mówiono Mały Joey, a który teraz - w wieku dwudziestu dwóch lat - sporo mnie przewyższał. Miał na sobie czerwoną koszulę, popielate sztruksowe spodnie i kowbojskie buty. Zbyt rzadko się widywaliśmy, abym należał do jego prześladowców z lat dziecięcych, lecz dziś unikał mnie, przyglądając mi się z ponurą ironią, jakby samą swoją obecnością w tym mieszkaniu załatwiał ze mną stare porachunki. Joe był beniaminkiem całego towarzystwa. Meredith pojechała wprawdzie na Kubę, ale Joe (Josef - nazwany tak na cześć Stalina) przeczytał cały *Kapitał*, ruch na rzecz obrony praw człowieka określał mianem „kwestii murzyńskiej", a o swoich przyjaciółach mówił „dzisiejsza młodzież". Kiedy byłem w Rockville, rodzice Joego, Leo i Olga, pamiętali o moich urodzinach i zwykle przysyłali mi jakąś książkę czy pismo. W zeszłym roku byli w Związku Radzieckim, skąd przywieźli mały magnetofon, który ofiarowali mi przez rodziców. Do magnetofonu dołączona była taśma z następującym tekstem: „Cześć, David, mówi Olga. A to ja, Leo. Wiesz, David - ciągnęła Olga - właśnie wróciliśmy ze Związku Radzieckiego. Widzieliśmy tyle wspaniałych rzeczy, tak wiele, że nie sposób o wszystkim opowiedzieć. Było bardzo zimno, ale w hotelu dobrze grzali. A ludzie, David, co za ludzie... Tacy szczęśliwi - wtrącił Leo. - Weseli, z poczuciem godności". Słuchałem ze łzami w oczach, przerażony ich głupotą i serdecznością. Niechcący położyłem rękę na magnetofonie, zwalniając obroty taśmy. Olga i Leo mówili

coraz wolniej, coraz niższym tonem, jak ktoś świeżo po zawale - przeraziła mnie ta przedwczesna wizja ich śmierci.

Okolo siódmej zaczęło lać. Niebo stało się stalowe, deszcz walił w okna, łomotał w skrzynię klimatyzatora. Niczym stado żyjące na pustyni, wszyscy goście jednocześnie zaczęli szykować się do wyjścia, umawiając się, kto kogo podrzuci i kto z kim pojedzie. Wyglądało tak, jakby spłoszył ich deszcz, podejrzewałem jednak, że czekali na stosowny moment, aby wreszcie nas opuścić. Kiedy Tom i Natalie Foster wychodzili jako ostatni - zostali chwilę dłużej, żeby poplotkować o niskich, krzykliwie ubranych rodzicach Meredith Tarnovsky - deszcz padał zaledwie od piętnastu minut. Tarnovscy byli właścicielami kina na North Side, w którym od niedawna co pewien czas pokazywali filmy pornograficzne, żeby pokryć koszty własne. „Upredzaliśmy ich, że do tego dojdzie” - rzekł Tom Foster, udając smutek i zatroskanie.

Kiedy wreszcie poszli, Arthur zamknął drzwi i oparł się o nie.

- Pierwsi do przyścia, ostatni do wyjścia - stwierdził. Rose roześmiała się.

- Co za dziwna para - rzekła, a po chwili dodała „hmmmm”, jakby zdumiona własnymi słowami, zastanawiała się nad ich sensem.

Siedziałem na kanapie, jedząc słodką morelową bułkę z szynką i pijąc dżin z tonikiem. Czułem się otępiały, ale nie dość zmęczony, aby usnąć.

- No i jak? - spytała Rose, zbierając szklanki i opróżniając popielniczki.

Arthur stał przy oknie wpatrzony w ulewę. Byłem ciekaw, czy specjalnie przybrał tak dramatyczną pozę.

- Pewnie się trochę wynudziłeś? - zwrócił się do mnie.

- Nie, podobało mi się.
- Wszyscy tak bardzo stęsknili się za tobą - powiedziała Rose.
- Powłócząc nogami, Arthur przemierzył pokój i zanurzył się w swoim ulubionym fotelu. Westchnął głęboko, po czym położył nogi na sfatygowanej brunatnoczerwonej kanapie.
- Mogło być znacznie gorzej - oznajmił.
- Naprawdę mi się podobało. - Starąłem się, żeby zabrzmiało to przekonująco.
- David - powiedziała Rose konspiracyjnym tonem, jakby miała mi zdradzić wielką tajemnicę. - Arthur i ja chodziliśmy po sklepach, szukając dla ciebie prezentu z okazji twojego powrotu do domu. - Usiadła tuż przy mnie na kanapie. - I wiesz, co wymyśliliśmy?
- Nie musicie mi nic kupować. I tak wydaliście na mnie majątek.
- Chodzi ci o to przyjęcie? - spytał Arthur.
- Nie. O nowego adwokata. I Rockville.
- Od tego są pieniądze, żeby je wydawać, prawda, Arthurze?
- Niekoniecznie, ale Davidowi należy się prezent - odparł Arthur.
- Nie jesteś ciekaw, co dostaniesz? - spytała Rose.
- Ależ jestem.
- Malutki samochodzik.
- Malutki samochodzik? - powtórzyłem, rozsuwając kciuk i palec wskazujący.
- Nie, trochę większy. - Arthur uśmiechnął się; rozpierała go ojcowska duma, ilekroć wymyśliłem jakiś niewinny żarcik, zwłaszcza jeśli wymierzony był w matkę.
- Jeśli cię to nie interesuje... - zaczęła Rose.

- Interesuje, mam. To wspaniały prezent. Ale nie mam nawet prawa jazdy. Moje straciło już ważność.

- Nie szkodzi - odparła. - Poćwiczysz trochę i zdasz egzamin. Byłeś świetnym kierowcą, doskonale prowadziłeś.

- Tak, prowadziłem, a nawet doprowadzałem cię do rozpaczy.

- A mnie do pijaństwa - rzekł Arthur.

- Cieszysz się z samochodu?

- Bardzo. Ale nie kupujcie go. Nie chcę prezentów.

- To stary wóz Millicent Bell - wyjaśniła matka.

- Zielony plymouth. Kiedy tylko odbierze nowy samochód, pojedziemy po twój.

- Niestety, musimy trochę poczekać - wtrącił Arthur.

- W końcu nie ma straszego pośpiechu - rzekła Rose z nieporadnym, wymuszonym uśmiechem. - Tymczasem kupimy ci coś innego, inny „powitalny” prezent. No i co?

- Pstro.

- Słucham?

- Nie, nic. To ładnie z waszej strony.

- A co byś chciał? - spytał Arthur.

- Nie wiem. Nic mi nie potrzeba.

- Może coś z ubrania? - zaproponowała Rose. - Żebyś miał w czym chodzić na uczelnię.

- Dobrze.

- Ubranie to nie prezent - sprzeciwił się Arthur.

- I tak by je dostał. Wymyśl sobie coś ciekawego, David. Coś bardziej niezwykłego.

Nie wiedziałem, czy specjalnie mnie podpuszcza, czy nie.

- Na przykład co?

- Cokolwiek.

- Jest jedna rzecz, której pragnę. - Oparłem się plecami o kanapę, nastawiając się psychicznie na najgorsze.

- Jaka?

- I nic by was nie kosztowała. Ta rzecz należy do mnie. Szukałem wszędzie, ale nigdzie nie mogę jej znaleźć.

Rodzice wymienili spojrzenia; miałem wrażenie, że wiedzą, co zaraz powiem.

- Chciałbym ją odzyskać. Przysięgam, że zależy mi na niej bardziej niż na jakimś samochodzie.

- O czym mówisz? - spytała Rose.

- O paczce listów. Listów od Jade. Tych, które pokazaliście w sądzie.

- Głos mi się nagle załamał, brzmiał piskliwie, żałośnie, nie tak jak powinien brzmieć głos człowieka, który domaga się swoich praw. - Chyba były tam również moje listy do niej. Chciałbym je wszystkie dostać z powrotem.

- Wziąłem głęboki oddech. - Są moje - dodałem.

Bo te listy naprawdę były moje, moje i tylko moje, i to, że musiałem prosić o ich zwrot, rozdzierało mi serce.

Rose i Arthur najprościej i najspokojniej, jak umieli, wyjaśnili, że listów nie mają, ja zaś, nie chcąc robić z siebie durnia, udawałem, że im wierzę. Ale równocześnie, żeby nie stracić wszelkiej nadziei, wmawiałem w siebie, że mnie okłamują.

Wieczorem zjedliśmy w kuchni skromną kolację. Zmęczeni i spięci, rodzice wciąż ziewali. Nie byliśmy głodni, a ponieważ sprawa listów stała się tematem tabu, nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia.

Rose pierwsza wstała od stołu. Udałem się do salonu, włączyłem telewizor. Po chwili zjawił się Arthur, który usiadł na drugim końcu kanapy.

- Czy rozmawiałeś z tym... no, jak mu tam... o pracy?

- spytał.

Skinąłem głową. W telewizji pokazywali mecz baseballa: choć dogrywka trwała już od jakiegoś czasu, wynik nadal był remisowy.

- Wiesz, że nie ma pośpiechu. Możesz nie pracować. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Muszę znaleźć pracę. Taki jest nakaz sądu. Żeby wyglądało, iż przystosowuję się do życia na wolności.

- Przystosujesz się, nie ma obawy, tyle że to musi potrwać. Mówiłem ci, jak było ze mną, kiedy wróciłem z wojska?

Znów potaknąłem, ale Arthur ciągnął dalej:

- Pewnie, że się cieszyłem. Wojna się skończyła, a ja żyłem. Chciałem odwiedzić wielu ludzi, pojechać w różne miejsca. Cały kraj się weselił. Ale jakoś nie mogłem wziąć się w garść. Wszyscy myśleli, że urządzamy sobie z Rose drugi miesiąc miodowy, a ja po prostu nie potrafiłem wyjść z domu. To było coś niesamowitego. Siedziałem tu, jakby mnie sparaliżowało.

- Wiem - rzekłem, odwracając wzrok od telewizora, ale nie patrząc na ojca. - Istnieje jednak zasadnicza różnica, kiedy się wraca z wojny i kiedy, do cholery, wraca się z domu wariatów, w którym było się za podpalenie domu ukochanej. Ze mną nikt nie chce się widzieć.

Arthur potrząsnął głową.

- Przestań. Z takim nastawieniem na wiele nie możesz liczyć.

- W porządku. Nie liczę na nic.

- Czy ty nie rozumiesz? Wszyscy gotowi są zapomnieć o przeszłości. Choćby dzisiejsi goście. Wiem, że nie przepadasz za nimi, ale nie w tym rzecz. Cieszyli się, że cię widzą. Zachowywali się tak, jakby nic się nie stało.

- No właśnie. Zauważyłem to.
- Teraz kolej na ciebie, David. Teraz ty musisz sobie uświadomić, że to, co było, należy do przeszłości.
- Chyba nie wiem, co to jest przeszłość. Chyba coś takiego w ogóle nie istnieje.
- Nie wiesz, co to jest przeszłość? Przeszłość to jest coś, co już minęło. To, czego nie można już mieć.
- Przyszłości też nie można mieć. Ani terażniejszości.
- Pokażę ci, co to jest przeszłość. - Klasnął w dłonie, odczekał chwilę i klasnął po raz drugi; rozległ się głuchy, ponury odgłos.
- Pierwsze klaśnięcie to przeszłość - oznajmił, uśmiechając się niezbyt szeroko, ale triumfalnie. Gdybyśmy byli tak bliscy sobie, jak Arthur tego pragnął, odbywalibyśmy setki podobnych rozmów.
- A drugie? To też chyba przeszłość. A kiedy skończę to zdanie, to również będzie przeszłość, prawda?

Do salonu weszła Rose, trzymając najnowszy numer „National Guardian”. Miała na sobie niebieski szlafrok i letnie pantofle domowe; paliła wieczornego papierosa.

- Idę spać - oświadczyła. Używała tych słów, kiedy chciała sprawić Arthurowi przykrość, dać mu do zrozumienia, że nie jest jej potrzebny, bo nie będą się kochać. Kilka lat temu Rose wydawało się, że może utrzymać swoją pozycję w małżeństwie, a zarazem chronić swój prywatny świat, po prostu (i to naprawdę było proste) nie dopuszczając do siebie męża. Ale teraz, gdy Arthurowi już na niej nie zależało, takie „racjonowanie” miłości nie przynosiło żadnego pożytku. Władza, którą niegdyś dzierżyła, była złudzeniem - tę władzę przydzielił jej Arthur. Piastowała ją, dopóki mąż pożądał jej ciała, dopóki reagował na każdy najmniejszy gest niechęci z jej strony.

Zrozumiała teraz, że Arthur osobiście wybrał dla niej broń. Dał jej miecz, który tylko on mógł naostrzyć. Arthur spojrział na zegarek.

- Dobranoc - rzekł, po czym, zwracając się do mnie, dodał: - Lepiej ściszymy telewizor, żeby matce nie przeszkadzać.

Poderwałem się szybko i wyłączyłem odbiornik.

- Pozmywam naczynia.

- Jest ich ogromny stos. Zostaw do rana.

- Dlaczego nie miałyby ich teraz pozmywać? - wtrąciła Rose. - Najwyższy czas, żeby ktoś w tym domu wreszcie zaczął mi pomagać.

- Mama ma rację.

- Ale nie musisz zmywać akurat teraz.

- Dla ciebie mógłby w ogóle nie zmywać - zezłościła się. - Sam nigdy palcem nie kiwniesz. Siedzisz jak rabin, czekając, aż cię inni obsłużą.

Arthur prychnął wyniośle, jakby dłużej nie był w stanie opanować śmiechu, i potrząsnął głową, chcąc okazać, że jego cierpliwość się kończy.

Poszedłem do kuchni. Podczas przyjęcia używano plastikowych widelców i tekturowych talerzy, ale i tak prawie wszystkie półmiski były zatłuszczone. Zazwyczaj matka wsadzała cały stos do zmywarki, jednakże dziś, mimo wieczornego deszczu, wciąż panował upał, a nie można było jednocześnie używać zmywarki i klimatyzatora. Zadowolony z tego, że nie wróciłem do swojego pokoju, poczułem ulgę, że jestem sam.

Odkręciwszy duży strumień gorącej wody, wpatrywałem się w okno nad zlewem. (Okno wychodziło na szyb wentylacyjny i ponieważ widok ten działał przygnębiająco na matkę, przykleiła do szyby wycięte z „Life'u” zdjęcie Lenin

gradu). Na dużą brązową gąbkę wycisnąłem trochę zielonego płynu, podniosłem półmisek w kwiatki, umyłem go i opłukałem w gorącej wodzie. Kiedy woda spływała mi po rękach, łzy ścisnęły mnie za gardło - spuściłem głowę i rozbeczałem się. Przedtem, ilekroć płakałem, myślałem o Jade, o tym, gdzie się podziewa i czy ją kiedykolwiek jeszcze zobaczę, myślałem o czasie, który minął bezpowrotnie, o swojej głupocie, beznadziejnej sytuacji, o tym, jak bardzo czuję się wyobcowany i bezradny, albo wspominałem dawne dni i szczęście, które przypadło mi w udziale, a którego mnie pozbawiono. Teraz jednak, otoczony chmurą pary unoszącej się znad zlewu, myślałem tylko o listach, o zapisanych atramentem stronach, o pieśczośliwych słowach. Listy były moim jedynym namacalnym dowodem, dowodem tego, że kiedyś skrzydła wyrastały mi z serca. Znałem inny świat, świat, który nie ma nazwy. Bo takie słowa jak oczarowanie czy rozkosz są zbyt proste, zbyt banalne, nie potrafią go określić. Nic o tym świecie nie mogę powiedzieć prócz tego, że go znałem, że należał do mnie i że wciąż jest mój. Był jedyną wartością w moim życiu, prawdziwszą od otaczającej mnie rzeczywistości. Łzy ciekły mi strumieniem, ale świadom, że nie jestem sam w domu, starałem się głośno nie szlochać. Czułem jednak, że nie panuję nad sobą, że się całkiem rozklejam. Usiłowałem obrócić rozpacz w złość na Rose i Arthura za to, że zabrali mi listy od Jade, że je w popłochu zniszczyli albo ukrywają przede mną, ale nawet ta złość, ta nienawiść wydała mi się czymś błahym, nieważnym. Starałem się myśleć o swojej nieporadności, o tym, jak nie potrafię ułożyć sobie życia, jak nie umiem zacząć od nowa. Prawda jednak wyglądała tak, że brakowało mi siły i ochoty do nowego życia. Pragnąłem tylko tego, co kiedyś było moje.

Uniesienia, miłości. W świecie miłości czułem się jak w domu, wszędzie indziej byłem tylko gościem. Ale ta miłość nastąpiła zbyt wcześnie w życiu. Byłoby lepiej, a w każdym razie łatwiej, gdybyśmy się poznali i pokochali dopiero za parę lat, gdybyśmy mieli za sobą lata prób i rozczarowań, my natomiast jednym wielkim susem przeskoczyliśmy tę magiczną granicę dzielącą dzieciństwo od dojrzałości. Trudno mi było pogodzić się z przerażającym faktem, że najważniejsza rzecz, jaka miała mi się przydarzyć w życiu, rzecz stanowiąca istotę mojego istnienia, nastąpiła wtedy, gdy liczyłem niecałe siedemnaście lat. Zastanawiałem się nad tym, gdzie teraz jest Jade. Myślałem o listach, schowanych, wyrzuconych do śmieci lub spalonych. Ręce, które niczym sparaliżowane tkwiły pod strumieniem gorącej wody, stawały się coraz bardziej czerwone.

- Nie potrzebujesz pomocy? - usłyszałem głos Arthura. Nie śmiałem spojrzeć mu w twarz; aż trząsałem się z wysiłku, usiłując powstrzymać łzy.

- Wezmę ścierkę. Ty myj, a ja będę wycierał. Stał tuż obok. Koszulę miał rozpiętą: widziałem na

jego piersi długie, ciemne, lśniące od potu włosy. Arthur zerknął na mnie, po czym wytarł jedyny półmisek, jaki znajdował się na suszarce.

Rozpaczliwie szukałem w myślach słów i wreszcie udało mi się sklecić zdanie: „Nie jestem zbyt szybki, prawda?“, ale nie byłem w stanie wypowiedzieć go na głos. Nawykłem już do łez, ale nie potrafiłem ich opanować. Były niezależne ode mnie. Umyłem następny półmisek, który wręczyłem ojcu do wytarcia.

- David.

Potrząsałem głową i Arthur umilkł. Pracowaliśmy w ciszy, myjąc i wycierając półmiski, a potem w ciszy

zabrałem się do szklanek i kieliszków. Powoli dochodziłem do siebie, oddech mi wracał do normy. Spojrzałem na ojca. Wzrok miał ponury, usta natomiast zaciśnięte tak mocno, że były białe, niemal przezroczyste. O Boże, pomyślałem zirytowany, martwi się o mnie i chce, żebym go uspokoił.

- Padam ze zmęczenia. - Nie było to zbyt wyszukane usprawiedliwienie, ale przynajmniej pokrywało się z prawdą.

Arthur skinął głową, nie podnosząc oczu znad szklanki, którą trzymał w ręce. Wsunął do środka ścierkę i zaczął trzeć tak energicznie, że szkło pękło.

- Porozmawiaj ze mną, David - poprosił łamiącym się głosem.

Wiedziałem, jak sobie radzić z ludzką ciekawością czy troską, i przychodziło mi to równie łatwo jak oszustowi rozdawanie kart ze spodu talii. Był to zabieg prosty, nieskomplikowany, który czasem stosowałem całkiem mimo woli. Postanowiłem uciec się do jego pomocy.

- O czym chcesz rozmawiać?

- O czymkolwiek. O tym, co cię trapi. Wzruszyłem ramionami. Czuję, że za chwilę znów

się rozbeczę, i nie umiałem temu zapobiec, może nawet nie chciałem. Odłożyłem na bok gąbkę oraz namydloną szklankę i przycisnąłem dłonie do twarzy. Między palcami spływały mi ciepłe, oleiste łzy.

- Pragnę ci pomóc.

- Jestem strasznie zmęczony - mruknąłem, niepe-wien, czy Arthur mnie zrozumiał. Spazmatyczny szloch zniekształcał słowa.

- Czy chodzi o przyjęcie? O to, że czułeś się nieswojo wśród tych ludzi?

Zaprzeczyłem.

- Powiedz mi, David. Porozmawiaj ze mną. Wyznaj, co cię gnębi. -
Pochylił się do przodu i zakręcił kran.

- Jestem zakochany - wyznałem przez łzy, nie odrywając rąk od
twarzy.

Arthur położył mi rękę na ramieniu.

- Wiem, David. Wiem. - Po czym... nie umiem tego wytłumaczyć...
usłyszałem coś, czego nie powiedział, mianowicie: „Ja też”.

- Jak mogę ci pomóc? - spytał. - Proszę, powiedz, co mam zrobić?

Słyszałem, jak matka wchodzi do kuchni. Czekałem, aż coś powie,
ale czuła się skrepowana, wyłączona z rozmowy. Odwróciłem się do
Rose, odsłaniając swoje spuchnięte, zaczerwienione oczy. Cofnęła się i
przykładając dłoń do twarzy, patrzyła na mnie z szeroko otwartymi
ustami, zakłopotana, a zarazem zawstydzona. Odwróciłem się z
powrotem do okna. Pożerał mnie smutek, coraz głębszy, coraz
silniejszy, coraz bardziej intensywny, i nagle przeraziłem się, że dłużej
tego nie zniosę. Potarłem czoło; zacisnąłem zęby i wtem bez żadnego
ostrzeżenia - a jeśli było ostrzeżenie, to trwało zaledwie ułamek
sekundy - coś mi ścisnęło wnętrzności i zwróciłem cały dzin wypity w
ciągu przyjęcia. Wymioty ochlapały ścianki zlewu i zmieszały się z
mydlinami.

- O Boże - westchnęła Rose, tylko na wpół z obrzydzeniem.

Ojciec chwycił mnie za łokieć, bojąc się, że mogę upaść.

- Naciśnij językiem na dolne zęby - rozkazał. Za moimi plecami
rozległo się skrzypnięcie. Matka ciągnęła krzesło od stołu.

- Usiądź - rzekła surowym, apodyktycznym tonem, jaki niektórzy przybierają, kiedy chcą kogoś uspokoić, a jaki na mnie nigdy nie działał uspokajająco.

- Nic mi nie jest.

- Nie udawaj.

- Jeśli mówi, że nic mu nie jest, to znaczy, że nic mu nie jest - oznajmił Arthur, ściskając mnie mocniej za łokieć.

Odkręciłem kran i zacząłem z niego pić, głośno i bez skrępowania płucząc usta i wypluwając wodę do zlewu. Zmoczyłem nadgarstki, następnie podstawiłem pod kran złączone dłonie i niezdarnie opłukałem twarz.

- Co ci dolega' - spytała Rose.

Oparłem się o zlew. Wpatrując się w ciemną, cuchnącą wodę, zapytałem:

- Dlaczego wyrzuciliście moje listy? - Czekałem na wyjaśnienie, ale odpowiedziała mi cisza. Milczenie rodziców dodało mi odwagi; moje pytanie, a raczej oskarżenie wprawiło ich w zakłopotanie i nie zamierzałem pozwolić się zbyć byle czym. - Dlaczego to zrobiliście? - Głos miałem coraz bardziej stanowczy. - Dlaczego? Tylko o to mi chodzi. Dlaczego?

Wyprostowałem się. Mdłości minęły. Arthur patrzył na Rose, wzrokiem domagając się, aby to ona udzieliła mi odpowiedzi. Ja również skierowałem oczy na jej czujną twarz i teraz obaj wpatrywaliśmy się w matkę.

- Uważaliśmy, że tak będzie najlepiej - odparła spokojnie, chociaż w jej głosie pobrzmiewała nuta niepewności.

- Dla kogo najlepiej?

- Nie chcieliśmy, żeby leżały w domu.

- Więc najlepiej dla was? Wyrzuciliście moje listy, pozbyliście się ich, bo tak wam było najwygodniej ?

- Na co ci one? - spytała, trzymając się kurczowo poręczy krzesła, na którym chciała, żebym usiadł. Pomyślałem sobie: jestem tym krzesłem. Ścisnęła oparcie tak mocno, że palce jej pobladły. - Czy koniecznie musisz powtarzać wszystkie swoje błędy? Wciąż babrać się w tym, co niemal zniszczyło ci życie?

- Babrać się? - powtórzyłem głośno drżącym głosem.

- Nie łap mnie za słowa. Dobrze wiesz, co mam na myśli.

- Nie obchodzi mnie, co masz na myśli. Zrozum wreszcie, co do ciebie mówię. Te listy są moje. Są wszystkim, co mam. Wiedz, że zawsze będę ich pragnął i nigdy nie zapomnę tego, coście zrobili. Nigdy wam tego nie wybaczę. Zawsze będę miał do was o to pretensję.

Popatrzyłem na Rose nienawistnym wzrokiem. Zapanowała cisza pełna napięcia. Przez chwilę miałem wrażenie, że Rose się rozplacze, zacisnęła jednak zęby, usiłując wymyślić stosowną odpowiedź.

- Jak śmiesz mówić tak do matki - rzekła wreszcie.

- Robimy to, co uważamy za słuszne - wtrącił Arthur.

- Przestańcie, na miłość boską, przestańcie! Oboje kłamiecie jak z nut. - Mój własny głos wydawał mi się obcy, gdyż to, co mówiłem, nie oddawało prawdziwego stanu moich uczuć. Miałem wielką, niepohamowaną ochotę rzucić się na rodziców, skopać ich, sprawić im ból fizyczny, wiedziałem bowiem, że nie istnieje takie cierpienie duchowe, które mógłbym im zadać, a które byłoby co najmniej równie dotkliwe jak moje. Ale wiedziałem też, że nie wyrządzą im żadnej krzywdy, że nawet ich nie dotknę.

- Zresztą tak i tak nie wolno ci się z Jade widywać - stwierdziła Rose.

- Gdybyś tylko spróbował nawiązać z nią kontakt, z miejsca by cię przymknęli.

- Nikt mnie nie przymknie za czytanie starych listów.
- Boimy się o ciebie - rzekł Arthur. - Dlatego tych listów tutaj nie ma.
Cóż miałem powiedzieć? Nie zamierzałem się z nimi dalej kłócić. Może poczułbym się lepiej, gdybym dał upust wściekłości, ale nie chodziło mi o to, żeby się wyładować. Byłem zły, a zarazem znudzony tą złością. Złość należała do świata, który niewiele mnie obchodził i który nie miał nic wspólnego z moimi listami. Jeśli nie mogłem żyć w świecie, jaki kiedyś znałem, w świecie, w który wierzyłem, to wolałem żyć w krainie marzeń i snów. Może coś jeszcze rodzicom wygarnąłem. Może jeszcze przez kilka minut czyniłem im wyrzuty, ale ponieważ przestało mi na tym zależeć, nawet nie pamiętam, co mówiłem. Myślałem gdzie indziej. Słuchałem bicia, a raczej łomotu własnego serca. Waliło szybciej, niż powinno, lecz dogoniłem je i ono mnie z sobą zabrało. Wciąż patrzyłem na Arthura i Rose, ale widziałem Jade: szła przez olbrzymi model serca w Muzeum Nauki i Techniki, drobnymi rękami dotykała żył, rozglądała się zaciekawiona z lekko rozchylonymi ustami, potykała się, nie zwracając jednak na to uwagi. Potem spacerkiem ruszyliśmy do niej do domu na Dorchester Street. Wziąłem ją za rękę, a Jade delikatnie pogłaskała kciukiem moją dłoń, wiedząc, że ją cofnę, jeśli nie otrzymam żadnej zachęty. Gdy dotarliśmy na miejsce, powiedziała, iż ma nadzieję, że wszyscy są w domu. Spytałem dlaczego, na co Jade odparła, że chce, aby mnie poznali. Zaskoczony, znów spytałem dlaczego, lecz ona na szczęście udała, że tego nie słyszy. Weszliśmy na dużą drewnianą werandę, która niczym pierścień Saturna otaczała połowę domu. Na werandzie znajdowały się rowery oraz żółta wiklinowa kanapa, na której leżały białe poduszki,

packa na muchy i otwarta książka. Przed nią stał podnózek, a nieco dalej mały dębowy stolik, na którym ktoś zostawił szklankę z mrożoną kawą z mlekiem wypełnioną po brzegi kostkami lodu. W kawie pływały drobne muszki - o skrzydłach wielkości przecinków - które rozpaczliwie starały się utrzymać na powierzchni. Kiedy Jade to zauważyła (spojrzeliśmy na szklankę równocześnie; na początku wprowadzało nas w zdumienie to, że robimy coś w tym samym momencie, później już tylko nas śmieszyło), zawołała coś w rodzaju „Och, bidule!” albo „Biedne kreaturki!” - cała rodzina uwielbiała to słowo - po czym wylała kawę przez balustradę na zaniedbany trawnik. Zanim odstawiła szklankę, pojawiła się Anna, która na chwilę zostawiła kawę, żeby przynieść sobie z domu papierosa...

Obudziłem się w środku nocy. Śniła mi się Jade. Zawsze wiedziałem, kiedy o niej śnię, bo czułem się wtedy tak, jakby obracało się we mnie jakieś koło.

Starałem się uchwycić obrazy, zanim odpłyną, ale było to równie niemożliwe jak próba schwywania promieni księżyca odbijających się w jeziorze. Jednakże to nie sen mnie obudził. Przypomniało mi się to, co ojciec powiedział w kuchni: „Dlatego tych listów tutaj nie ma”. Przypomniał mi się głos Arthura i wyraz jego twarzy, wyraz błagalny, jakby ojciec chciał, abym go przejrzał, przetłumaczył sobie jego słowa, abym okazał cierpliwość i dał mu szansę wystąpić jako mój zbawca. Zrzuciłem z siebie prześcieradło i wstałem z łóżka. Nie wiedziałem, co robić, ale ta informacja była tak ważna, że nie potrafiłem leżeć beczynnym. Słowa ojca huczały mi w głowie. „Dlatego tych listów tutaj nie ma”.

Jeśli nie tu, to w takim razie gdzie? Istniała tylko jedna logiczna możliwość: u ojca w pracy.

Balem się - zawodu, rozczarowania. Ubierając się, myślałem, jak dotrzeć do biura Arthura. Nie miałem pieniędzy. Nie byłem pewien, jakie tam jeżdżą autobusy i czy w ogóle o tej porze jeszcze kursują. Nadziemna kolejka działała dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale lękałem się do niej wsiąść. Stałem przy oknie. Szyba była wyraźnie chłodniejsza, czyli że upał zelżał po deszczu. O drugiej nad ranem ulica była całkiem wyludniona. Po niebie sunął księżyc niemal w pełni, który nadawał chmurom metaliczny połysk.

Wyszedłem na palcach z pokoju do ciemnego korytarza. Z sypialni rodziców dochodziło głośnie chrapanie ojca. Rose zapewne też spała, w przeciwnym razie szturchnęłaby męża łokciem w bok, aby go uciszyć. Przytrzymując się ścian, żeby nie stracić równowagi, minąłem sypialnię rodziców i doszedłem do drzwi wejściowych. Od pewnego czasu Arthur zostawiał przy drzwiach teczkę oraz klucze, żeby ich nie zapomnieć, wychodząc do pracy. Nie wiem, czy jego zapominalstwo to wynik starzenia się, czy zakochania. Ale kiedy zacząłem po ciemku macać stolik, na którym ojciec kładł swoje rzeczy, poczułem jedynie gładką, nieco tłustawą powierzchnię drewna. Była niedziela - rano nie musiał iść do pracy.

Stałem w korytarzu. Powoli wzrok mi się przyzwyczajał do ciemności i zacząłem widzieć w mroku: pokryte gipsem belki na suficie, obrazy w ramach na ścianach, czarny otwór prowadzący do kuchni. Zdjąłem buty. Serce mi łomotało niczym beczka, która z hukiem toczy się po schodach. Skradając się jak morderca, mszyłem w stronę sypialni rodziców.

Zanim uniezależniłem się od Arthura i Rose, kiedy to już dłużej nie mogli protestować, że nocuję u Butterfieldów, setki razy wślizgiwałem się po cichu do mieszkania i ukradkiem z niego wymykałem. Wiedziałem dokładnie, gdzie postawić nogę, w którym miejscu podłoga skrzypi i z jaką szybkością otwierać drzwi, żeby nie trzeszczały. Teraz nie umiałem poruszać się tak płynnie i bezszelestnie jak kiedyś - drzwi do sypialni, choć uchylone, lekko zazgrzytały, gdy je pchnąłem, a klamka z głuchym trzaskiem uderzyła o ścianę - mimo to w ciągu niecałej minuty, nie budząc rodziców, wszedłem do ich oświetlonego blaskiem księżyca pokoju,- długi cień łóżka niemal dotykał moich stóp.

Ojciec spał nago; prześcieradło nieco się z niego zsunęło, odsłaniając jego tłustawą, owłosioną pierś i ciemne znamię na górnych żebrach, które w dzieciństwie nazywałem „czekoladką”. Duża głowa Arthura leżała na środku poduszki, odrzucona do tyłu. Chrapał głośno i miarowo, jak jeden z tych wielkich poczciwych, przygłupich zwierzaków na starych filmach rysunkowych. Kiedy chciałem pokazać, że coś mnie nudzi, naśladowałem dla żartu taki właśnie dźwięk. Rose, w nocnej koszuli, leżała na boku, zaciśniętymi pięściami dotykając ramion męża. Głęboko, bezgłośnie wciągała w płuca powietrze: oddychała równie cicho jak roślina. Wpadające światło księżyca - przedzielone na dwanaście pasm przez żaluzje w oknach - lekko migotało na ścianie. Stałem przed pogrążonymi we śnie rodzicami, a serce waliło mi tak przeraźliwie, jakbym zamierzał popełnić zbrodnię. Rose i Arthur stanowili idealny przykład ludzi porządnickich o „dobrych nawykach”. Niepotrzebna gazeta natychmiast po przeczytaniu była wyrzucana. Szklanekę, z której w ciągu dnia piło się sok, zawsze się po sobie płukało i stawiało na suszarce. W pu-

stych pokojach nigdy nie paliło się światło, a spod narzuty przykrywającej łóżko mógł wystawać najwyżej czubek buta. Toteż kiedy rozglądałem się po pokoju, szukając pieniędzy na przejazd do centrum miasta i kluczy do biura ojca, widziałem same gładkie powierzchnie: nigdzie nie leżały żadne pieniądze, żadne klucze, żadna sztuka odzieży ciśnięta w kąt (czy choćby starannie złożona).

Kiedy wolno przemierzałem pokój, mój cień wpierw padł na ścianę oświetloną poszatutowanym blaskiem księżyca, a potem przeciął jak miecz śpiące sylwetki rodziców. Wreszcie dotarłem do szafy. Poczulem zapach kulek naftalinowych i zobaczyłem mroczne zarysy odzieży. Wyciągnąłem rękę: ubrania zaczęły szeleścić, metalowe wieszaki brzęczeć. Po omacku wyczułem suknię lub garnitur prosto z pralni owinięty w skrzypiący plastik, jedwabną koszulę, chłodną i miłą w dotyku, nylonowy szlafrok matki. Następny w kolejności był garnitur ojca, niewiadomego koloru, z nierozpoznawalnego materiału, ale niewątpliwie należący do Arthura. Przeszukałem kieszenie - okazały się puste.

Nagle ojciec przestał chrapać. Spojrzałem na łóżko. Rose odwróciła się od Arthura, podniosła do góry lekko zaciśniętą pięść i potarłszy nadgarstkiem o wezglowie łóżka, opuściła ją na poduszkę. Arthur drgnął, jakby chciał przytulić się do żony, podążyć jej śladem, lecz jedynie zamarkował tę nocną wędrówkę za dobrze mu znanym, ciepłym ciałem Rose. Pozostał na plecach i wkrótce znów rozległo się chrapanie, głębsze, jakby wydobywało się z człowieka, który stracił wszelką nadzieję.

Mamo, tato. Stoję w waszym pokoju. Obserwuję was tak, jak wyście obserwowali mnie, kiedy słodko spałem, widzę, jak coraz pełniej zapadacie się w otchłań snu, mogę pokryć niewidocznymi pocałunkami wasze spokojne

twarze, mogę klęknąć przy łóżku i udawać, że oplakuję waszą śmierć. Wyciągnąłem rękę, jakbym chciał ich dotknąć, wtrącić głębiej w sen. Ręka całkowicie mi ich zasłoniła; zdumiałem się tak jak w dzieciństwie, kiedy podnosząc palec, mogłem zakryć nim księżyc. Zalała mnie fala wspomnień niczym światło zalewające swym blaskiem pokój.

Odwróciwszy się tyłem do łóżka, zacząłem grzebać w ciemnościach szafy i chociaż w pokoju rodziców nie byłem długo (powiodło mi się za ósmym razem; w sportowej marynarce Arthura znalazłem portfel oraz klucze), nie zdziwiłoby mnie, gdybym ujrzał za oknem zwiastuny dnia. Stąpając tak cicho, że ledwo sam byłem świadom własnej obecności, wyszedłem z pokoju, trzymając w ręce ciężkie kółko z kluczami oraz świeżutki banknot dwudziestodolarowy.

Zamknąłem ostrożnie drzwi sypialni i skierowałem się na koniec korytarza. Zapaliłem światło i zacząłem wertować książkę telefoniczną, szukając numeru korporacji taksówkowej. Wybrałem firmę, która umieściła największe ogłoszenie, i zamówiwszy taksówkę, mszyłem na palcach do kuchni, gdzie wypłem prosto z butelki resztę dzinu.

Kilka minut później siedziałem na schodach przed domem, wdychając świeże nocne powietrze. Po raz pierwszy wyszedłem sam z domu, ale ta doniosła chwila nie zrobiła na mnie prawie żadnego wrażenia. Zbliżała się trzecia nad ranem i jeśli ktoś balował przez całą noc, to balował daleko stąd. Ulica była pusta. Pierwsze światła reflektorów, które pojawiły się na Ellis Avenue, należały do wezwanej taksówki, starego, poobijanego wozu z sezamo-żółtym kratkowanym pasem biegnącym wokół dachu.

- Serwus - powiedziałem, otwierając tylne drzwi. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że nikt się w ten

sposób nie wita z taksówkarzem, ale było mi wszystko jedno. Czekając na taksówkę, byłem jak w transie i kiedy wreszcie przyjechała, czułem potrzebę odezwania się do kogokolwiek. Kierowcą był młody facet w kraciastej koszuli z podwiniętymi rękawami. Włosy miał ściągnięte w koński ogon. Ogromne radio tranzystorowe na siedzeniu obok kierowcy zagłuszało krótkofalówkę, w której głos dyspozytora skrzeczał i piszczał niczym elektroniczna gęś. Kierowca skinął mi na powitanie i położył rękę na liczniku, żeby go włączyć z chwilą, gdy zajmę miejsce.

- Muszę się dostać do centrum - rzekłem, wciąż stojąc na chodniku. Bałem się wsiąść. Wychodząc po raz pierwszy z domu, powinienem był się udać w słoneczny dzień na spacer po okolicy, a nie wsiadać w duszną noc do taksówki, żeby ze skradzionymi kluczami i pieniędzmi jechać do centrum.

Wreszcie, drżąc na całym ciele, wsunąłem się na tylne siedzenie i podałem kierowcy adres. Starąłem się wprawić w romantyczny nastrój, wyobrazić sobie, że siedzę ubrany w prochowiec, z papierosem wetkniętym w usta - człowiek z misją do spełnienia, samotny detektyw. Obrazy te jednak szybko zniknęły mi sprzed oczu i nie potrafiły dodać otuchy. Bałem się nawet wyrzucić przez okno, a ilekroć taksówka brała zakręt, wnętrzości przewracały mi się ze strachu. Jechałem skulony, z nogą założoną na nogę; obejmowałem się, tak mocno zaciskając palce na bicepsach, że łokcie wbijały mi się w żebra. Nagle usłyszałem słaby, cichy jęk i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że wydobywa się z moich ust.

Zbyt prędko dotarliśmy do biura. Budynek znajdował się na Wabash, tuż pod nadziemną kolejką. Spojrzałem przez tylną szybę na wyludnioną ulicę i na latarnie, które

oświetlały pustkę. Stalowe kraty zasłaniały sklepowe witryny.

- Cztery i pół dolara - oznajmił kierowca, nie odwracając się.

- Mam tylko dwudziestkę - odparłem, wyciągając pieniądze z kieszeni.

Kierowca mruknął coś pod nosem, otworzył pudełko po cygarach leżące przy radiu tranzystorowym i z pliku banknotów zaczął odliczać resztę. Obok pudełka leżała pałka najeżona gwoździami.

- Przepraszam, czy mógłby pan tu na mnie zaczekać? - spytałem. - To długo nie potrwa.

- Wyłączyłem licznik - odparł. Zastanawiałem się, co ma na myśli, bo słowa te wydawały mi się pozbawione sensu.

- To potrwa tylko dziesięć minut. Potem jadę z powrotem do Hyde Parku. Trudno mi będzie złapać tu taksówkę. Poczekaj pan? Niech pan weźmie tę dwudziestkę. W ten sposób może być pan pewien, że wrócę.

- Podałem mu banknot i zawahałem się z ręką na kłamce. Chciałem, żeby mnie zapewnił, że nie odjedzie.

- W porządku.

Położył banknot na tablicy rozdzielczej, wyłączył silnik i zgasił światła.

Wielokrotnie bywałem u ojca w pracy. Jako chłopiec lubiłem udawać, że jestem współnikiem Arthura: odbierałem telefony, wsadzałem sobie pióra do kieszeni koszuli, wchodziłem na drabinkę używaną do zdejmowania książek z wyższych półek. W małym białym budynku, w którym ojciec przyjmował klientów, nie mieściła się żadna renomowana firma. Pozostałe lokale zajęte były przez firmę trudniącą się importem bibelotów, zakład dokonujący napraw

bizuterii, redakcję serbsko-chorwackiej gazety, kręgarza i krawca z Hongkongu. Nacisnąłem klamkę, licząc, że może drzwi wejściowe są otwarte; niestety. Na kółku wisiało siedem kluczy i, o dziwo, pierwszy pasował. (Ogromne, niemal religijne uniesienie, które mnie ogarnęło, najlepiej świadczy o stanie, w jakim się znajdowałem). Wewnątrz migotała jarzeniówka. Nadśłuchiwałem kroków: nie wiedziałem, czy przypadkiem w nocy budynku nie pilnuje strażnik. Jak zahipnotyzowany stałem bez ruchu dłużej, niż to było konieczne. Coś mnie powstrzymywało od pójścia na piętro do gabinetu ojca. Po raz pierwszy od trzech lat żadna z osób, które sprawowały nade mną pieczę, nie orientowała się, gdzie jestem: nareszcie byłem sam i ta samotność mnie przerażała. Jedynym pomostem między mną a światem była taksówka czekająca przed budynkiem, chyba że już odjechała. Nie miałem ochoty wyjść i sprawdzić, ale myśl, iż kierowca mógłby odjechać, zostawiając mnie bez pieniędzy, przejęła mnie taką grozą, że pędem wbiegłem po stromych, obskurnych schodach, pokonując trzy stopnie naraz.

Na pierwszym piętrze panowały gęste, nieprzejrzone ciemności. Zataczając się, kopnąłem pozostawiony na korytarzu kubeł, który potoczył się z brzękiem. „Szz” - szepnąłem, zakrywając sobie uszy. Czekałem, aż wzrok przyzwyczai się do mroku. Wpatrywałem się przed siebie, mrugając wolno oczami, siłą woli starając się rozproszyc ciemności. Po chwili zacząłem odróżniać poszczególne kształty. Widziałem szyby w drzwiach ciągnących się wzdłuż ściany. Za trzecimi drzwiami mieścił się gabinet Arthura. Tym razem szczęście mi nie dopisało. Trzykrotnie próbowałem wszystkich siedmiu kluczy, zanim udało mi się dopasować właściwy.

Zapaliłem górne światło i rozejrzałem się po niewielkim pomieszczeniu. Wiedziałem, że muszę działać szybko, ale jedynie to wiedziałem. Nie miałem pojęcia, od czego zacząć. Zamknąłem za sobą drzwi, podszedłem do biurka i z trudem - byłem tak sztywny ze strachu, że ledwo zginałem nogi - usiadłem na krześle obrotowym. Zacząłem grzebać w szufladach. Przekartkowałem kilka ryz czystego papieru oraz stos żółtych urzędowych notesów, przejrzałem niezapisane formularze, umowy, blankiety i bloczki, sprawdziłem pudełka z ołówkami i sznurkiem, koperty oraz teczki. Mniej więcej w połowie pracy zdjęłem słuchawkę z telefonu - wyobraziłem sobie, jak bardzo bym się przeraził, gdyby zadzwonił. Biurko przejrzałem bardzo pobieżnie. Byłem zbyt przestraszony, żeby przeszukać je dokładnie, ale w końcu uznałem, że listów tam nie ma. Po drugiej stronie gabinetu stała szafa z aktami. Była zamknięta, lecz na kółku wisiał mały wąski klucz, który do niej pasował. Teczek było mnóstwo. Szukałem listów pod Axelrod, pod Butterfield, pod David, pod Jade. Nie znalazłszy nic, sprawdziłem literę L - Listy. Była tu tylko niewinna urzędowa korespondencja i nagle na myśl o ojcu, o aktach, o pracy, którą wykonuje, i o krótkich szczęśliwych chwilach w jego życiu ogarnął mnie bezbrzeżny smutek.

Szafa składała się z trzech szarych metalowych szuflad, ale teczki ułożone w porządku alfabetycznym zajmowały tylko dwie. Wyciągnąłem trzecią szufladę - w środku leżało kilka spinaczy, kilka książek telefonicznych, latarka, szalik. W głębi jednak odkryłem zamkniętą na klucz metalową kasetkę wielkości bochenka chleba. Podniosłem ją, pewien, że jeśli listy w ogóle jeszcze istnieją, to znajdują się właśnie w niej. Obejrzawszy zamek, zorientowałem się, że do otwar-

cia kasetki potrzebny jest klucz identycznych rozmiarów jak ten do szafy. Spróbowałem go, ale nie pasował. Nie pamiętam dokładnie, co robiłem dalej. Przestałem działać w jakikolwiek planowy sposób. Podszedłem do regału i wyciągnąłem kilka pierwszych lepszych książek, myśląc, że może tam jest ukryty klucz. Podniosłem popielniczkę, schyliłem się i zajrzałem pod dwa zielone fotele. Krążyłem po pokoju jak oszalały, bijąc się bezmyślnie po udach i mówiąc do siebie na głos niczym pacjent z oddziału furiatów. W pewnym momencie musiałem trochę oprzytomnieć, bo znów usiadłem przy biurku i po raz drugi zacząłem przeglądać szuflady: w górnej środkowej szufladzie, na zamontowanej tam niewielkiej półeczce, obok dwóch zatemperowanych ołówków i paczki miętowych dropsów leżał klucz. Wsunąłem szufladę, po czym oparłem głowę na blacie i wybuchnąłem płaczem.

Ale czas naglił. Wciąż łkając, przemierzyłem pokój i wyczerpany, bez żadnej nadziei na sukces, otworzyłem kasetkę.

Jade, tam były wszystkie nasze listy, starannie złożone i schowane do długiej brązowej koperty; listy pisane przez ciebie, obok listów pisanych przeze mnie - trzymałem je w ręce, trzymałem w ręce słowa, którymi przemawialiśmy do siebie na papierze.

Kiedy opuściłem biuro i wyszedłem na ulicę, taksówka wciąż czekała. Kierowca, z brodą opartą o klatkę piersiową, spał przy kierownicy. Przez chwilę przyglądałem mu się, wyobrażając sobie, że śni o ukochanej. Wiał chłodny wiatr, po raz pierwszy zrobiło mi się zimno. Na szarym niebie migotało kilka niebieskawych gwiazd.
Księżyc

niemal w pełni zawisł nad pobliskim biurowcem i wyglądał jak jasna lodowa kopuła. W Rockville często nocami obserwowałem księżyc, więźniowie bowiem kochają lunę, lecz dziś patrzyłem na niebo nie jako więzień i nie jako marzyciel, lecz jako wolny człowiek, pielgrzym, żeglarz, który sam sobie obiera kurs.

5

Gdyby dano mi wolną rękę, nie wiem, co bym z sobą począł. A tymczasem sporo ode mnie wymagano; musiałem zapisać się na studia, dwa razy w tygodniu chodzić do psychiatry, być w stałym kontakcie z kuratorem oraz znaleźć pracę na pół etatu. Były to uciążliwe, z góry narzucone obowiązki, które wywoływały we mnie rozpaczliwą, bezsilną wściekłość.

Z pomocą Millicent Bell, przyjaciółki Rose, dostałem się na Roosevelt University, gdzie zaliczono mi nawet kilka przedmiotów, które przerabiałem w Rockville. Jest to spora uczelnia mieszcząca się w centrum miasta, a większość studentów stanowią ludzie pracujący na pół etatu, żonaci faceci i mężatki oraz sporo osób po czterdziestce. Uczelnia nie posiadała żadnych własnych terenów i ponieważ nie istniało w pobliżu takie miejsce, gdzie człowiek mógłby usiąść i pogadać, trudno było zaprzyjaźnić się z kolegami z roku albo, jak w moim przypadku, łatwo było uniknąć nawiązywania znajomości. Studiowałem astronomię, mimo że nie stała w Roosevelt na wysokim poziomie, poza tym ucześnie na zajęcia z matematyki oraz fizyki; uczyłem się dobrze, lecz profesorowie

zdawali się mnie nie rozpoznawać. Nawet stróże przy planetarium, do którego chodziłem dwa lub trzy razy w tygodniu, żeby popatrzeć na kopułę pełną jaskrawych punkcików ognia i światła, nie pamiętali mnie, nie reagowali na moje pozdrowienia.

Moim psychiatrą był doktor Ecrest; lubiłem go na tyle, na ile można lubić lekarza, do którego nie chce się przychodzić. Kurator wyznaczony do czuwania nade mną był Japończykiem o nazwisku Ed Watanabe. Ed miał włosy sięgające ramion, ubierał się w dżinsy, na szyi zaś nosił zawieszony na rzemyku i wielki niczym grejpfrut wisiorek - symbol pokoju, jaki można było kupić na każdym ulicznym straganie. Twierdził, iż fakt, że został kuratorem, stanowi zwycięstwo „dla nas”. Z radością bym mu wygarnął, co myślę o jego ulubionych piosenkach Beadesów, o jego świeżo umytych, puszystych jak chmura włosach, o jego zakłamaniu („bądźmy z sobą szczerzy”) i o tym, co czułem, kiedy entuzjastycznie, z całej siły, ścisnął mnie za ramię, ilekroć mówiłem mu coś, co uważał za „cudowną wiadomość”. Lecz Ed, jak wiele osób przed nim, miał nade mną władzę - jak dużą, wolałem nie sprawdzać.

Przyjaciel rodziców, Harold Stern, załatwił mi pracę w Zjednoczonym Związku Pracowników Przemysłu Tekstylnego. Harold, który lubił się droczyć ze znajomymi, że spośród nich tylko on jeden ma prawdziwy kontakt z klasą robotniczą, a zatem z rzeczywistością, zawsze wydawał mi się pyszałkowatym cwaniakiem, jednakże dotrzymał słowa i znalazł mi pracę w pobliżu uniwersytetu. Miałem krążyć z transparentem przed sklepem tekstylnym Sidneya Nagle'a na Wabash Avenue. Nagle sprzedawał męskie spodnie produkowane przez firmę Redmana, do moich obowiązków zaś należało informowanie

klientów, że pracownicy Redmana strajkują i proszą klientów o bojkotowanie towarów tej firmy. Zajęcie to czyniłoby zadość moim romantycznym pojęciom o pracy związkowej, gdyby sklep miał bogatą klientelę, ale ludzie kupujący u Nagle'a (większość zupełnie mnie ignorowała) byli znacznie biedniejsi od moich rodziców i ich przyjaciół, a państwo Nagle'owie, zatrudniający tylko jednego pracownika, sprawiali wrażenie żalosnych staruszków na krawędzi bankructwa. Ilekroć mijałem ich drzwi, patrzyli na mnie z wściekłością i żalem, miałem silne podejrzenie, że gdyby pokazali mi swoje nagie przedramiona, ujrzałbym wyblakłe niebieskie numery.

Pracę w związku rozpocząłem niecały tydzień po włamaniu się do biura Arthura. Teraz, gdy już chodziłem po świecie i zachowywałem się jak normalny człowiek, napięcie w domu nieco zelżało, choć rodzice nie byli aż tak dobrymi aktorami, by ukryć smutek, który ich gnębił. Żeby nie spóźnić się do pracy, nastawiałem budzik na godzinę trochę wcześniejszą niż czas podawany w radiu, rodzice zaś, chcąc mi pomóc w przystosowaniu się do nowego życia, również przesunęli naprzód wskazówki wszystkich zegarów w mieszkaniu, nawet wskazówki swojego budzika i zegarka Arthura. O ile kiedyś wierzyli, że wyprzedzają o całą epokę ogół społeczeństwa (później, co prawda, to przekonanie się rozmyło, podobnie jak ich wiara w komunizm), teraz wyprzedzali historię przynajmniej o dziesięć minut.

Często myślałem, że trudniej byłoby o bardziej uciążliwą pracę niż ta, którą wykonywałem. Codziennie mijały mnie tysiące twarzy. Czasem zbity tłum falował mi przed oczami jak szosa w upalny dzień, kiedy indziej każdą twarz widziałem oddzielnie i wyraźnie niczym na starym stalorycie, gdzie mimo kłębowiska postaci twarze przedstawione są

w zadziwiającym, najdrobniejszym szczególe. Była to idealna praca do ponurych rozważań: rozmyślałem nad swoim żalnym życiem, wspominałem z utęsknieniem Jade, oskarżałem nawet najodleglejsze gwiazdy, że jesteśmy rozdzieleni. Starłem się urozmaicać sobie czas: jednego dnia liczyłem Murzynów, drugiego ludzi poniżej dwudziestu lat, trzeciego osoby z widocznym kalectwem. Zakładałem się sam z sobą, ile w ciągu godziny minie mnie kobiet niosących białe torebki, ile par trzymających się za ręce, ilu pijaków i narkomanów. Szukałem w pamięci tekstów do recytowania. Prosiłem „obywateli, rodaków, Rzymian o jedną chwilę posłuchania”, i twierdziłem, że „widziałem najlepsze umysły mojego pokolenia zniszczone szaleństwem”. Promienie słońca przedzierały się przez nadziemne tory nad Wabash Avenue i pocięte w wąskie smugi padały łagodnie na ziemię, tworząc swoistą drabinę. Usiłowałem wmówić w siebie, że jest to piękny widok. Ale ten układ światła i cieni był zbyt nieistotny, zbyt przypadkowy; brakowało jednego składnika, aby spełniał wymogi piękna: zachwytu w oczach patrzącego. W moich go nie było.

Nie spotkałem nikogo ze znajomych. Od czasu do czasu coś we mnie zaczynało drzeć i byłem pewien, że oto zbliża się chłopak, z którym chodziłem do szkoły albo z którym przebywałem w Rockville, ktoś, kto mieszka na mojej ulicy albo kogo znam z widzenia, na przykład właściciel sklepu, w którym kiedyś kupiłem płytę Steviego Wondera. Ale zawsze okazywało się, że to zupełnie obca osoba. Nawet gdy przestałem ukrywać twarz i każdy mógł mnie bez trudu rozpoznać, nikt nie zwolnił kroku. Jeśli w ogóle cokolwiek budziło zainteresowanie, to mój transparent.

Nastawiłem się psychicznie na to, że co msz będę widział sobowtóry Jade. Nie wiem, skąd mi przyszedł taki

pomysł do głowy - pewnie z piosenki albo z filmu - ale głęboko wierzyłem, że stęsknione serce samo wytwarza różne zjawy. Sądziłem, że wystarczy, jeśli ujrzę kogoś w szarej spódnicy i niebieskiej koszuli... dziewczynę średniego wzrostu... o małych piersiach... z turkusowymi kolczykami w uszach... z oczami spuszczone w dół, skierowanymi nieco w prawo... o jasnych kręconych włosach... Widziałem takich tłumy, słyszałem głosy o identycznym brzmieniu co głos Jade. Jedna dziewczyna wyglądała tak, jakby szła na bal przebrana za Jade. Ubrana była tak samo jak Jade w spodnie khaki ściągnięte w pasie szerokim elastycznym paskiem i zielono-czerwoną koszulkę; oczy miała spuszczone, skierowane nieco w prawo, paliła papierosa, który równie dobrze mógł być chesterfieldem. Włosy miała trochę krótsze niż Jade, ale dzięki tej różnicy w długości dostrzegłem inne, bardziej znaczące podobieństwo: brązowy pieprzyk na szyi, tuż powyżej ramienia. Nie dałem się jednak nabrać, ani przez chwilę nie wziąłem żadnej z tych „zjaw” za Jade i nie potrafiłem zrozumieć ludzi, którzy twierdzą, że na każdym kroku widzą swoich ukochanych. Uważają, że świadczy to o ich ogromnej miłości, ale moim zdaniem, jeśli ktoś myli ukochaną osobę z kimś całkiem obcym, świadczy to jedynie o dziwnym narcyzmie. Jak można nie wiedzieć? Jak można się mylić? Gołębie w stadzie bez trudu rozpoznają swoich partnerów, pingwiny i sikorki też nie miewają złudzeń optycznych. One po prostu wiedzą i gdy czas nadejdzie, ja też będę wiedział.

Miejska biblioteka publiczna mieściła się zaledwie kilka przecznic od sklepu Nagle'a, toteż chodziłem tam

w czasie przerwy śniadaniowej. Ponieważ nie miałem pojęcia, na co przeznaczyć zarobione pieniądze, stałem się przesadnie oszczędny, wydając najwyżej pięćdziesiąt centów na drugie śniadanie i czytając za darmo książki oraz prasę.

Pewnego dnia odkryłem, że biblioteka posiada książki telefoniczne chyba wszystkich miast w Stanach. Próbując zachować spokój, zajrzałem do spisu telefonów w Nowym Orleanie, chcąc sprawdzić, czy nie figuruje tam numer Hugh, Hugh bowiem urodził się w Nowym Orleanie i mógł wrócić w rodzinne strony, żeby osiąść w jakiejś porośniętej ruchem starej rezydencji. W książce widniało kilku Butterfieldów, ale żaden nie miał na imię Hugh. Był niejaki Carlton Butterfield, E. Roy Butterfield, Horace, Trussie oraz Zachariah. Zastanawiałem się, czy któryś przypadkiem nie jest spokrewniony z Hugh. Czy ojciec Hugh jeszcze żyje? Czy nadal prowadzi składy kawy, czy wciąż pije od rana do nocy i ze łzami w niebieskoszarych oczach słucha Mozarta? Kiedy tak patrzyłem na nazwiska Butterfieldów w książce telefonicznej Nowego Orleanu, serce waliło mi głośno, lecz wolno, jakby ze wszystkich sił starało się powstrzymać gwałtowny wzrost adrenaliny, którą ten widok wywołał. Ta garstka nieznanymi Butterfieldów sprawiała, że po raz pierwszy od trzech lat poczułem się bliżej moich prawdziwych przyjaciół. Wyobraziłem sobie Carltona, E. Roya lub innego z Butterfieldów, ubranego w biały garnitur i lekko cuchnącego whisky, jak siedzi pod przymocowanym u sufitu wiatrakiem i czyta „Times Picayune”, popijając gęstą czarną kawę z przezroczystej filiżanki. Wpatrując się w książkę telefoniczną, usiłowałem sobie przypomnieć, czy Hugh kiedykolwiek mówił mi, jak ma na imię jego ojciec.

Dokąd mogli pojechać po wyjeździe z Chicago? Jeśli nie do Nowego Orleanu... Kiedyś była mowa o San Francisco. Mała szansa, pomyślałem, ale kto wie? Anna miała kuzyna, który w Berkeley prowadził klinikę psychiatryczną; to właśnie on przysłał im LSD, które zażyli w noc pożaru. Zdjąłem z półki książkę telefoniczną San Francisco i zacząłem szukać pod „Butterfield”.

Nazwisko figurowało, ale znów imiona się nie zgadzały. Starłem się przypomnieć sobie nazwisko kuzyna: znałem je na pewno, śledziłem przecież całą korespondencję, licząc, że ja też skosztuję LSD, i skosztowałbym, gdyby Hugh nie zabronił mi wstępu do ich domu. Ramsey (nazwisko panięskie Anny). Gordon Ramsey. Jakiś G. Ramsey, lekarz weterynarii, mieszkał na Polk Street. Czyżby to on? Czyżby zrezygnował z psychofarmakologii i leczył teraz nosówkę u zwierząt?

Działąłem wolno, dość chaotycznie, nie przyznając się nawet sam przed sobą, jak ważne miejsce zajmuje to teraz w moim życiu, ale codziennie prócz sobót i niedziel wstępowałem do biblioteki i przeglądałem książki telefoniczne różnych miast. Znalazłem Butterfieldów w Los Angeles, w Seattle, w Portland, w Denver i w Dallas. W niedużym kołonotatniku zapisywałem adresy i telefony ludzi, którzy ewentualnie mogliby wchodzić w grę. H. Butterfielda w Denver, Keitha Butterfielda w Bostonie oraz Keitha Butterfielda w Milwaukee, Anny F. Butterfield w St. Louis (F. z niczym mi się nie kojarzyło, mimo to zanotowałem numer telefonu), Jane Butterfield w Waszyngtonie (przy tym numerze serce waliło mi jak młotem) oraz wielu, wielu innych.

Dopóki mieszkalem z rodzicami, nie miałem odwagi dzwonić do innych miast, gdybym zaś nagle zaczął otrzy-

mywać listy, byłoby to wielce podejrzane. Od czasu do czasu korzystałem z aparatów na uniwersytecie: pewnego dnia rozmieniłem banknot dwudziestodolarowy na dwudziestopięciocentówki i przynajmniej przez godzinę wydzwaniałem do różnych obcych ludzi. „Hugh?” - pytałem, mimo że po niemrawym „Halo?” od razu wiedziałem, że H. Butterfield z Denver nie jest osobą, której szukam. Zadzwoiłem też do Jane Butterfield w Waszyngtonie: „Przepraszam, chciałbym mówić z Jade, nie z Jane”. „A kto to?” - spytał dziecięcy głosik.

Pod koniec września wyprowadziłem się z domu rodziców do umeblowanych dwóch pokoi na rogu Kimbark i Pięćdziesiątej Piątej Ulicy. Ponure miejsce, ale na lepsze nie było mnie stać. Cieszyłem się z samodzielności, lecz nie spodziewałem się, że samotność może mi aż tak bardzo dokuczać. Na studiach z nikim się jeszcze nie zaprzyjaźniłem - prawdę mówiąc, z nikim nawet nie zamieniłem słowa - natomiast emerytowanemu krawcowi, który pikietował ze mną przed sklepem Sidneya Nagle'a, najwyraźniej nie przypadłem do gustu. Pracę dostałem po znajomości, związek zaś na ogół zatrudniał przy pikiecie swoich emerytowanych członków, aby dorobili do emerytury.

Mój towarzysz nazywał się Ivan Medoff i wyglądał tak, jak wyglądałby Jimmy Cagney, gdyby był Żydem i przez trzydzieści dziewięć lat pracował w fabryce. Raz jeden Medoff zdobył się na przyjazny gest. „Powiedziałem żonie, że pracuję z młodzikami, a ona na to, żebym zaprosił cię kiedyś na obiad” - nic więcej jednak nie dodał, a ja mu nie przypomniałem, chociaż gdyby znów o tym wspomniał, chętnie przyjąłbym jego zaproszenie.

Męczyła mnie ogromna, a zarazem dziwnie nieokreślona samotność. Uczęszczałem na wszystkie zajęcia i wkrótce - tylko po to, aby się do kogoś odezwać - zacząłem zadawać wykładowcom pytania. Z niecierpliwością czekałem na spotkanie z doktorem Ecrestem, a gdy zaproponował, żebym przyłączył się do grupy terapeutycznej, która miała się zbierać w środowe wieczory, zląkniony przyjaciół niemal się zgodziłem. Co pewien czas rodzice przychodzili do mnie na obiad, który gotowałem na dwupalnikowej kuchence i podawałem na popękanych niebiesko-białych talerzach należących do wyposażenia mieszkania. Pod różnymi pretekstami - a wymyślałem ich ku własnemu zdumieniu wiele, to zapomniałem swetra, to chciałem pożyczyć łyżeczki, to odebrać słownik, który mi podarowali jeszcze przed przeprowadzką - wpadałem do rodziców, i to zwykle w porze obiadowej. Arthur i Rose pochłonięci byli pracą i choć wiedziałem, że przeżywają trudne, smutne chwile, nie wzruszali mnie bardziej niż dwie stare lalki leżące na strychu. To, że ignorowałem ich cierpienia, było z mojej strony podłe, ale wcale nie chcieli, abym się mieszał w ich sprawy.

Pod koniec października zainstalowano mi telefon. Pomyślałem, że wkrótce moje nazwisko znajdzie się w książce telefonicznej Chicago: będzie to wyraźny dowód, że wyszedłem ze szpitala i mieszkam na Kimbark. Każdy będzie mógł znaleźć mój numer, Jadę również.

Jak ogólnie wiadomo, telefon, zwłaszcza jeśli nie dzwoni, jest tylko ponurym kawałkiem plastiku. A do mnie nikt nie dzwonił oprócz rodziców, z którymi rozmawiałem dość często. Przepraszam, raz zadzwonił mój kurator Ed Watanabe, żeby przesunąć o tydzień spotkanie, poza tym aparat milczał niczym stara, niewygodna kanapa i krzesła, które zostawił mi gospodarz.

Kiedy już miałem w domu telefon, czułem ciągłą pokusę, aby dzwonić do wszystkich Butterfieldów z mojej listy. Dzwoniłem dręczony takimi wyrzutami sumienia, jakbym potajemnie zażywał narkotyki lub oglądał pornografię. Ilekroć wykręcałem numer, mówiłem sobie, że to już ostatni raz, po czym kręciłem kolejny. Nie wiem, jak długo bym to wytrzymał, gdybym ponosił same porażki, ale dziesięć dni po zainstalowaniu mi aparatu odnalazłem w Nowym Jorku Annę.

W książce z numerami mieszkańców Manhattanu było zaledwie kilku Butterfieldów, między innymi K. Butterfield. Myśląc, że to Keith, zadzwoniłem z budki pod ten numer dwa lub trzy tygodnie temu. Sprawdziłem też literę R - Ramseyów było sporo. Anna figurowała pod A. Ramsey, Wschodnia Dwudziesta Druga Ulica 100. Pamiętam, że zapisując adres, wiązałem z nim duże nadzieje, ale z jakiegoś powodu bardzo długo tam nie dzwoniłem, jakbym musiał przeżyć wiele zawodów, zanim zasłużę na sukces.

A może powstrzymywał mnie strach? Zadzwoniłem wieczorem. Podniosła słuchawkę po drugim dzwonku i gdy tylko powiedziała „halo”, od razu ją rozpoznałem. Słyszając jej głos, prędko nacisnąłem widełki niczym złodziej, który gasi świeczkę, żeby go nie złapano. Siedziałem, wpatrując się w telefon, pewien, że zaraz zadzwoni, że to będzie Anna. Następnie zacząłem chodzić po mieszkaniu, usiłując zrozumieć, co się stało i jak to możliwe, że wykręcając siedem cyfr, zmieniłem całe swoje życie. Chwyciłem kurtkę i wybiegłem z domu. Włócząc się bez celu, minąłem bar na Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy i pomyślałem, że wstąpię się czegoś napić, przez chwilę zapominając, że dwudziestolatkowi nie podadzą alkoholu. Ruszyłem na południe. Wkrótce doszedłem do Dorchester,

niedaleko miejsca, gdzie kiedyś mieszkali Butterfieldowie. Kiedy jednak zbliżyłem się do placu, na którym stał ich dom, opuściła mnie odwaga; zlany zimnym potem biegiem wróciłem na Kimbark.

Nie zdejmując kurtki i wciąż sapiąc po biegu, ponownie wykręciłem numer Anny. Tym razem nie usłyszałem „halo”.

- Kto dzwoni? - spytała.

- Dobry wieczór, Anno - powiedziałem cicho, bezbarwnym tonem.

Przez chwilę milczała.

- Kto mówi?

Przełknąłem ślinę. W pobliżu nie było krzesła, więc przykucnąłem na podłodze.

- David Axelrod.

Znow milczała. Z Anną nigdy nie było wiadomo, czy te długie pauzy świadczą o zaskoczeniu, czy też są świadomym zabiegiem, próbą skonfundowania rozmówcy. Przypomniawszy sobie tę cechę jej charakteru, poczułem dreszcz emocji: *znam Annę*.

- Cześć, David - odparła. Zapewne brwi miała uniesione, głowę zaś lekko przechyloną na bok.

- Nie przeszkadzam?

- Skąd dzwonisz?

- Z domu. Z Chicago. Mieszkam na Kimbark.

- A więc cię wypuścili?

- Tak, w sierpniu. - Nie doczekawszy się reakcji, spytałem: - Oburza cię to?

- Że jesteś na wolności?

- Tak.

- Nie wiem.

- To tylko zwolnienie warunkowe.

- Myślałam, że pobyt w szpitalu sam w sobie jest zwolnieniem warunkowym.

Zaległo milczenie. Słuchałem cichego elektronicznego szumu na linii międzymiastowej.

- Powiedz, jak się miewasz?

- David, ta rozmowa jest zbyt niespodziewana - stwierdziła i odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę stałem oszołomiony, po czym znów wykręciłem jej numer. Bez słowa podniosła słuchawkę.

- Przepraszam - powiedziałem i ryknąłem płaczem. Z początku chciałem ją przeprosić, że dzwonię tak nagle, ale gdy łzy nabiegały mi do oczu, zdałem sobie sprawę, że pragnę przeprosić ją za wszystko, mając nadzieję, iż mi wybaczy.

- David - rzekła. - Nie potrafię cię nienawidzić. Usiłowałem powstrzymać szloch, żeby przemyśleć jej

słowa, lecz łzy, gdy już raz zaczęły płynąć, nie dawały się opanować. Wziąłem głęboki oddech przerywany spazmatycznym szlochem, po czym zasłoniłem oczy i rozplakałem się na dobre. Odwróciłem się od telefonu, a kiedy znów przyłożyłem do ucha słuchawkę, Anny już nie było.

Po dziesięciu dniach dostałem list od Anny, list tak gruby, że nie zmieścił się do skrzynki. Listonosz zostawił mi awizo, więc po zajęciach udałem się na pocztę. Niektóre strony pisane były na maszynie, inne ręcznie - i to czterema różnymi długopisami. Czytałem je aż do świtu. Strony były spięte ogromnym błyszczącym spinaczem, pod który Anna wsunęła świstek papieru ze słowami: „W końcu uznałam, że jeśli nie wyślę ci tego listu, będę nad nim ślęczeć przez cały rok. Sama nie wiem, co o nim sądzić - pisany pod wpływem chwili, może w ogóle niepotrzebnie, teraz jest twój. A.”.

David, zaskoczyłeś mnie swoim telefonem. Żyjąc sobie tu, na Dwudziestej Drugiej Ulicy, w ciasnym, drogim mieszkaniu, pod - jak to się ładnie nazywa - „panieńskim nazwiskiem”, sądziłam - dopóki nie usłyszałam Twojego głosu i przerażona nie rzuciłam słuchawki - że mogę się nie obawiać nagłych kontaktów z kimś z mojej przeszłości. Nie chodziło mi nawet o Ciebie, byłeś przecież w zamknięciu, ale po prostu miałam poczucie bezpieczeństwa.

Na razie mieszkam sama. Cała rodzina się rozjechała, dokładniej nic więcej Ci nie powiem, chociaż jeśli odnalazłeś mnie, zapewne i innych zdołałeś odnaleźć. Prawdę mówiąc, myślałam, że mnie najtrudniej będzie wytropić, bo Hugh, Keith i Sammy nadal noszą nazwisko Butterfield. Nie potrzebowałam więcej swobody (teraz mam jej aż nadto) ani specjalnie nie ciążyło mi nazwisko Butterfield, ale chciałam postąpić brawurowo, zrobić coś, co by różniło to ostateczne rozstanie od poprzedzających je kłótni i separacji. Chciałam, żeby Hugh wiedział, że wyczerpał moją cierpliwość, tak jak ludzie wyczerpują bogactwa naturalne ziemi. Doszłam do kresu wytrzymałości, pozostała po mnie tylko sucha, krucha skorupa, podatna na ból i bardzo złośliwa. Pragnęłam, żeby zdał sobie z tego sprawę, i nie żałuję swojego odejścia, mimo że nastąpiło dopiero po tym, gdy Hugh dał mi wyraźnie do zrozumienia, iż mam się nie wtrącać, kiedy tak niestrudzenie poszukuje swojego prawdziwego ja, czyli kiedy uganiania się z sercem na sznurku niczym chłopiec, który usiłuje wzbić w powietrze latawca. Czasami wydaje mi się, że rozwód i powrót do panieńskiego nazwiska wynikały z poczucia własnej godności i był zdecydowaną reakcją na okropne wybryki Hugh, reakcją, która w dziwny sposób dawała mu ostatnią okazję do zreflektowania się. Ale na to było już za późno. Całkowicie puścił mimo uszu moje oświadczenie,

iż rezygnuję z jego nazwiska, co mnie tak zezłościło, że usiłowałam namówić dzieci, aby również zmieniły nazwisko na Ramsey. Dobre sobie! Odpowiedź Sama stanowi kwintesencję rozmowy: „A po co? Żebym musiał zmieniać prawo jazdy?”.

Nie powinnam była tak chłodno rozmawiać z Tobą przez telefon, ale na sam dźwięk Twojego głosu poczułam się zagrożona. Rodzina nigdy by mi nie przebaczyła, gdybym ucięła sobie przyjacielską pogawędkę. Ale nie mam się co oszukiwać! Jeszcze bardziej miałyby mi za złe ten list. A ja zawsze lubiłam z Tobą rozmawiać, słyszałeś bowiem rzeczy, które inni zbywali lub których nie rozumieli. Dlatego chcę Ci o wszystkim opowiedzieć.

I pomyśleć tylko! Jesteś w Chicago! Chyba nie mogłabym tam wrócić. Chicago kojarzy mi się z domem pełnym dzieciarni i trawą, której nikomu nie chciało się strzyc. Hugh jednak bywa w Chicago. Sporo teraz podróżuje niczym komiwojażer, tyle że nie ma nic do sprzedania. Zupełnie nic. Porzucił swój zawód i pracuje dorywczo, kiedy jemu i jego aktualnej narzeczonej brakuje forsy. Zmywa naczynia, ładuje towary na ciężarówki. Nie jest wybredny. Ale do Chicago pojechał z celem - chodziło oczywiście o Ciebie. Słyszał, że Twoja sprawa ma znów stanąć przed sądem. Wiesz zapewne o tym, że kiedy zaczęły się te wszystkie kłopoty, Hugh zaprzyjaźnił się z prokuratorem i cały czas są w kontakcie. Dowiedział się, że istnieje duża szansa, iż zwolnią Cię ze szpitala, toteż starał się, jak mógł, aby do tego nie dopuścić. Wspomniał mi o tym przez telefon; zdradzę Ci, że był potwornie rozgoryczony, bo zdawał sobie sprawę, iż przegrał i że wkrótce wyjdiesz na wolność. Uprzedzałam Cię, że robisz sobie z Hugh bardzo niebezpiecznego wroga. Byłeś zbyt pewny siebie, utożsamiając flegmatyczność Hugh ze swobodą i luzem. Wiem, że nie

wierzysz w astrologię, lecz Hugh jest typowym Bykiem. Ma również dar przewidywania przyszłości. Tylko dlatego nie zemdlałam, kiedy zadzwoniłeś, że Hugh już kilka miesięcy temu przewidział, iż mnie odnajdziesz, i w pewien dziwny sposób od tamtej pory czekałam na Twój telefon.

Nie powodzi mi się dobrze, ale ponieważ jestem sama, stać mnie na zaspokojenie różnych kaprysów. (Powinnam była się urodzić w Sybaris, bo mało kto potrafi doceniać luksusy tak jak ja). Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że nigdy nie będę bogata, chyba że pojawi się w moim życiu przysłowiowy stary milioner z dwudziestoczerokaratową dziurą w sercu. Od samego początku Hugh i ja byliśmy bez pieniędzy, ale nigdy się tym nie przejmowaliśmy. Uważaliśmy się za bogatych i jako wykształceni protestanci sądziliśmy, że całe społeczeństwo, a może nawet wszechświat, powinno utrzymywać nas w dobrobycie. Pocieszaliśmy się klasyczną wymówką, że nie jesteśmy biedni, tylko chwilowo splukani. Pod tym względem przypominaliśmy rozbitków, którzy wyrzuceni na bezludną wyspę twierdzą, że urządzają sobie biwak.

Nauczyłam się obywać bez wielu luksusów, a każde kolejne dziecko zmuszało mnie do zrezygnowania z następnych kosztownych zachcianek. Jedyną rzeczą, jakiej nie potrafiłam się wyrzec (i o którą walczyłam niczym o wymierający gatunek zwierząt), to pyszne, drogie czekoladki, łakomstwo okazało się silniejsze niż zamiłowanie do pięknie wydanych książek, niż chęć prenumerowania czasopism, posiadania torebek z krokodylej skóry, palenia angielskich papierosów; czekolada była ważniejsza od złota i turkusów, i od drobnych radości, takich jak oglądanie najnowszych filmów czy oddawanie koszul do pralni. Uwielbienie dobrej czekolady zdystansowało wszystkie inne przyjemności. Ani widok nowej książki, ani dotyk drogiej bielizny pościelowej nie działał na

mnie tak, jak smak wolno rozpływającej się pod językiem pysznej szwajcarskiej czekolady.

Ponieważ wszyscy w Twojej rodzinie wyznawali zasadę równego podziału (co za gorliwi zwolennicy egalitaryzmu!), byłeś zbulwersowany, kiedy dowiedziałeś się, że chowam słodczyce przed resztą rodziny. Delektowałam się ukrytymi skarbami, choć prawdę mówiąc, często - zanim zdążyłam je zjeść - połowa ulegała przeterminowaniu lub roztopiała się w ciepłe. Kiedy przechodziłam obok miejsca, gdzie coś ukryłam, wstrząsał mną dreszcz podniecenia. Czasem, gdy rozmawiałam z Hugh albo z dziećmi, trzymając rękę na drewnianym pudełku z przyborami do szycia, w którym pod skrawkami filcu i pustymi szpulkami leżała gorzka austriacka czekolada za pięć dolarów, czułam, że rumieniec oblewa mi twarz, a serce głośno łomocze. O Boże - myślałam - zaraz się wszystko wyda. Odgadną prawdę i będę zgubiona! To było wspaniałe, choć przerażające - niczym przypadkowe spotkanie z kochankiem, który idzie z żoną ulicą, a ty idziesz ze swoimi dziećmi. Tajemnice dają nam poczucie odrębności i otwierają wiele nowych dróg. Są iksem w równaniu, intrygującą niewiadomą. Te ukryte słodkości, po które mogłam sięgnąć w każdej chwili, zastępowały mi inne przyjemności, na które nie było mnie już stać.

Zanim jeszcze u nas zamieszkałeś, ulubioną rozrywką rodziny było szukanie moich czekoJadek. Czasem spałam rano dłużej i gdy wreszcie schodziłam na dół, dom był przewrócony do góry nogami. Szukanie ukrytych słodczych stanowiło pewien obrządek, który tak jak inne ludowe obrzędy nigdy nie znudził się nikomu w tej wielkiej rozpadającej się chałupie. Nawet Hugh brał w tym udział. Ale Ty miałeś największy talent do znajdowania kryjówek. Przez dom przewinęło się sporo osób - rodzina, przyjaciele dzieci, sprzątaczką, którą

zatrudnialiśmy przez miesiąc, kiedy przechodziłam coś, co Hugh nazywał „załamaniem nerwowym”, a ja „dochodzeniem do równowagi”, młodzież, która uciekła z domów lub rzuciła studia i trafiła do nas, bo naszą otwartość i ciekawość świata brała za pobłażliwość - ale spośród wszystkich tych ludzi, zarówno znanych mi, jak i nieznanym, uprzejmych i źle wychowanych, Ty jeden systematycznie odgrzebywałeś to, co zakopałam. Chodziłeś z Jade zaledwie tydzień, a już odkryłeś kilka dowodów mojego łakomstwa. David, odnajdywałeś słodycze, o których istnieniu nawet nie pamiętałam! Znalazłeś tabliczkę czekolady na spodzie pudełka z chusteczkami do nosa i półgorzkie czekoladki na regale za encyklopedią, z której nikt nie korzystał, bo informacje zawarte w hasłach były napisane zbyt wyszukany językiem i nie dało się z niej zrzynać wypracowań szkolnych. Znalazłeś czekoladę w piwnicy wetkniętą za zardzewiałą szuflę do śniegu i owiniętą w szmaty, aby nie dobrały się do niej myszy; bez trudu odgadłeś też, która cegła w kominku jest obluzowana. Odkąd Cię wciągnięto w zabawę, jedynym bezpiecznym miejscem była moja sypialnia; czasami chowałam coś w szufladzie pod bielizną, a Ty, David, byłeś zbyt dobrze wychowany, za taktowny - a może taktyczny? - żeby tam szperać. Choć przyznam Ci się, że wołałam, kiedy Ty znajdowałeś mój skarb. Wtedy przynajmniej większość trafiała do mnie z powrotem. Lubieś przynosić mi to, co ukryłam. Byłeś jak piesek, któremu rzuca się kijek. Oj, znam Cię!

Długo się nad tym zastanawiałam i doszłam do wniosku, że ponieważ przyszedłeś do nas niewinny, bez uprzedzeń czy żalów, pod wieloma względami lepiej mnie rozumiałeś od innych, rodzina bowiem koniecznie chciała mi wmówić, że jestem bardziej uczuciowa, że więcej potrafię, że posiadam ukryte zapasy kobiecości, miłości macierzyńskiej oraz

altruizmu, słowem, wszystko widziała przez pryzmat własnych oczekiwań. Miałam wrażenie, że rozumiesz mnie instynktownie, chociaż bardzo często to, co określamy „rozumieniem”, jest niczym innym jak sympatią. Rozmawiając z Tobą, nie musiałam mówić wprost. Mogłam żartować, mówić półsłówkami, lekko napomykać - cóż to była za ulga. Reszta rodziny uznawała tylko jasne, wyraźne, dobitnie sformułowane wypowiedzi.

Poza tym byłeś jedyną osobą autentycznie przejętą tym, że kiedyś pisałam. Kiedy dowiedziałeś się, że „New Yorker” niegdyś opublikował dwa moje opowiadania, jeszcze tego samego dnia poszedłeś do biblioteki, żeby je przeczytać, i wróciłeś do domu z wilgotnymi fotokopiami tych stron. Pytam, David, o kogo Ty wtedy zabiegałeś? Napisałam te opowiadania przeszło osiemnaście lat temu, lecz w Twoich rękach drżały i wyglądały tak, jakby dopiero wyszły z drukarni. Patrzyłeś to na nie, to na mnie, jakbym wciąż była dziewczyną, która je napisała. Chciałeś o wszystkim wiedzieć, wypytywałeś mnie niczym Rebekeę West: co było moim natchnieniem i dlaczego użyłam takiego zwrotu, a nie innego.

Byłam pierwszą znaną Ci osobą, która miała cokolwiek opublikowanego; zdawałam sobie sprawę, że Twój entuzjazm jest naiwny, ale sprawiał mi przyjemność i starałam się go podtrzymać. Zaparzyłam dzbanek kawy i piliśmy ją z szklanek po soku pomarańczowym, które Sammy gwizdnął z kawiarni. Kim byłeś tej nocy? Ukochanym mojej córki? Jeszcze jednym gościem w naszym domu? Ale zdawałeś się tak wiele obiecywać. Ująłeś mnie swoimi dużymi, skupionymi oczami i opanowaną do perfekcji sztuką nieśmiałego prawienia komplementów. Wkrótce wszyscy, nie wyłączając Hugh i Jade, poszli na górę spać, a myśmy zostali w kuchni, jedynym oświetlonym pomieszczeniu. Dochodziła

jedenasta, lecz myśmy jeszcze nie wyczerpali tematu. Cieszyłam się strasznie, mogąc rozmawiać o tych opowiadaniach, Ty zaś - dopiero teraz widzę to wyraźnie - bardzo sprytnie rozszerzałeś sobie prawo do przebywania w naszym domu, rozszerzałeś zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Tej nocy ustaliłeś przełomowy precedens - sprawiłeś, iż później nikt z nas nie miał do Ciebie pretensji, gdy nie wychodziłeś o normalnej, przyzwoitej porze. Pamiętam, że modliłam się, aby Hugh spał, kiedy wejdę do sypialni, bo już wcześniej wyczułam, że pragnie - jak to lubił mawiać - „posiąść mnie”, a ja nie miałam na to najmniejszej ochoty. Pamiętam również, że zastanawiałam się, czy Jade leży w łóżku wściekła, iż zajmuję swoją osobą jej nowego amanta. Ale było mi zbyt dobrze, gdy piłam i gawędziłam z Tobą, żebym się kimkolwiek przejmowała. Pomyślałam sobie, że jeśli mężulek ma taką na mnie ochotę, to niech zejdzie po mnie na dół, jeśli Jade dręczy młodzieńcza zazdrość, to niech mi to wygarnie, i jeśli Ty w głębi duszy marzysz o tym, żeby być w domu lub z Jade, to możesz po prostu wstać i odejść. Byłam bardzo szczęśliwa.

Wiem, że czujesz, iż Cię zwabiliśmy, zmusiliśmy do zaakceptowania naszego sposobu życia, do stania się jednym z nas. Inni pewnie też uważają, że mamy to, co nam się należy, bo wciągnęliśmy Cię w wodę, która w końcu okazała się za głęboka. Ogień, który podłożyłeś, to - zdaniem wielu ludzi - płomienie piekła, na które w pełni zasłużyliśmy. Udowodniono Ci winę (nie sposób było uznać Cię niewinnym), ale nawet wymierzona kara - pobyt w szpitalu zamiast w więzieniu - zawiera w sobie potępienie nas, Butterfieldów, jakby to, że mieszkałeś u nas, doprowadziło Cię do szaleństwa. Ja to jednak widzę inaczej.

Było w Tobie coś takiego, co wyzwalało w nas tłumione wybuchy, rodziło podziały, nieporozumienia i żale, nad który-

mi dotąd panowaliśmy. Nadal nie rozumiem, jak tego dokonałeś. Nasz dom zawsze stał otworem dla prostackich, nieokrzesanych nastolatków, niechlujnych małych geniuszy, zwycięzców olimpiad naukowych oraz wykonawców muzyki folk i każdy, kto przez niego przechodził, miał na nas oczywiście pewien wpływ, ale nikt przed Tobą nie odegrał roli Prometeusza, nikt nie zmienił naszych uczuć względem siebie, nie zmusił do przewartościowania cichych układów, jakie nas łączyły i jakie łączą wszystkie rodziny, w których władza dyktatorska nie spoczywa w rękach jednej osoby.

Wydaje mi się, że właśnie ten wpływ, który na nas wywierałeś, sprawił, że Jade nie wytrzymała. „Zrób coś! - rozgniewała się na Hugh. - Bądź ojcem i powiedz NIE! Wydostań mnie z tego”. Wiem, że łudzisz się, iż decyzję o wygnaniu Cię na miesiąc z naszego domu podjął Hugh, że może dodatkowo podziałała zazdrość Keitha oraz moja przekorna tęsknota za dawnym porządkiem. Ale tak naprawdę to Jade tego pragnęła, to ona czuła, że wszystko się nam wymyka; Hugh i ja byliśmy zbyt oszołomieni i przejęci czymś, co dumnie określaliśmy „nową wolnością seksualną”, aby podejmować jakiegokolwiek decyzje. Nasze życie wisiało na cienkim, nadwerężonym włosku, więc to, że jeszcze się nie zerwało, graniczyło z cudem. Z jednej strony wydawało nam się, że jesteśmy odważni i że znacznie wyprzedzamy innych ludzi, z drugiej jednak strony baliśmy się, czuliśmy się zbyt niedojrzali i nieprzystosowani do nowego stylu życia, aby wpajać Jade, Tobie czy komukolwiek właściwe zasady postępowania. Jedyne, co nam pozostało, to „nie sądzić, abyśmy nie byli sądzeni”. Do działania zmusiła nas dopiero Jade, kiedy wpadła zapłakana do naszego pokoju, ściskając w dłoni pastylki Thorazine (to taki środek uspokajający). „Co mam zrobić?” - spytał Hugh z bezradnością, którą uważał

za liberalizm. Ja tymczasem usiłowałam odebrać Jade pastylki w obawie, że wchłonięte przez wilgotną skórę dłoni mogą wywołać silny wstrząs organizmu. Wieczorem Hugh wkroczył do akcji, stał się takim tatusiem, jakiego Jade pragnęła; podtrzymał swoją pozycję w domu, zakazując Ci pokazywania się u nas przez miesiąc i żądając, aby w tym okresie Jade się z Tobą nie widywała.

Ale oczywiście było już za późno. Albowiem to nie była tylko rozpaczliwa próba ucieczki w świat dzieciństwa; Jade dręczyło coś więcej niż zwykła chęć odzyskania równowagi psychicznej. Owszem, chciała, abyśmy się o nią troszczyli, chciała żyć normalnie, ale przede wszystkim męczyły ją wątpliwości, czy dziewczyna w jej wieku powinna mieć kochanka, i to takiego, z którym mieszka pod rodzicielskim dachem. Odkąd zaczęłaś spać w jej łóżku, Jade nie miała gdzie być małą dziewczynką, a kochając się z Tobą noc w noc, nie mogła pograć się w niewinnym, błogim śnie, jakiego potrzebowała. Ale nie tylko siebie chciała ratować, kiedy prosiła nas, aby przez miesiąc zabronić Ci wstępu do naszego domu; chciała ratować nas wszystkich, zwłaszcza Hugh i mnie.

Każdy, kto pojawiał się w naszym życiu, miał coś do powiedzenia, rzucał wyzwanie, uczył czegoś nowego.

Może dlatego że Hugh i ja poznaliśmy się jeszcze na studiach, byliśmy wiecznymi studentami: wciąż sporządzaliśmy notatki z życia, którego doświadczaliśmy dzięki innym. Był to największy pożytek z prowadzenia otwartego domu, bo nawet nieszczęśliwcy nie przychodzili z pustymi rękami. Zarówno my, jak i dzieci, choć one w mniejszym stopniu, czuliśmy się świetnie, kiedy wokół wrzało bogate, urozmaicone życie; traktowaliśmy gości - ciekawskich, uciekinierów z domu i tych, co szukali na jedną noc schronienia - jak bardów, którzy krążyli po ogromnych średniowiecznych jar-

markach. Byliśmy wrażliwi, a może raczej naiwni; święcie wierzyliśmy, że młodzi, nawet dzieciaki w wieku Sama, sieją ziarna nowej świadomości i że my, Hugh i ja, jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, iż możemy się od nich uczyć. Ale nikt nie miał na nas takiego wpływu jak Ty. Zaskoczyłeś nas kompletnie, bo w porównaniu z takimi typami jak Alex Ahern, Szalony Hector czy Billy Sandburg, który walił się w brzuch niczym w bęben i wywracał oczy, ukazując mgliste białka, w porównaniu z różnymi ryzykantami i pechowcami, z jakimi się stykaliśmy, Ty byłeś stosunkowo normalny. Tak sobie teraz myślę, że minęło ładnych parę tygodni, zanim zdołałeś mnie sobą w ogóle zainteresować.

Wiedziałeś, że jest silna konkurencja i nie wystarczy zabiegać tylko o względy Jade. Musiałeś stać się interesujący, a nawet nieodzowny, dla całej rodziny. Mogłeś nas podbić samym wdziękiem, którym nikt Ci nie dorównywał - nikt inny nie czynił tak uporczywych wysiłków, nie wkładał w to tyle serca, nie usiłował tak gorliwie wyrzucić na nas dobrego wrażenia. Ty zaś z Keithem, póki Cię jeszcze lubił, rozmawiałeś o botanice i muzyce folk, z Samem ćwiczyłeś karate, ze mną dyskutowałeś o pisarzach żydowskich, a w stosunku do Hugh wykazywałeś niemal psią służalczość, przez którą - na Twoje nieszczęście - przebijało poczucie wyższości. Zabawiałeś nas, wymyślając łotewskie opowieści ludowe, cytowałeś dogmaty marksistowskie, aby popisać się erudycją i poinformować o tym, że chociaż ludziom się wydaje, iż nie masz w życiu wyższego celu od własnej przyjemności, to w istocie kierują Tobą doniosłe względy historyczne. W głębi duszy byłeś rewolucjonistą i wiedziałeś, że olśnisz nas swoimi ideałami, ich słuszością i skrytą obietnicą wspaniałego życia. Wyśmiewanie się z liberałów było - przynajmniej dla nas - jak chodzenie na haju po Hyde Parku: sposobem na to,

żeby być w świecie, a zarazem ponad nim, wolni od porównań czy ludzkich sądów.

Ale mniejsza o Łotwę, o rewolucję październikową, o opowiadania Singera, mniejsza o wdzięczność, którą co rusz wyrażałeś Hugh za to, że przyczynił się do wygrania drugiej wojny światowej. W końcu zwróciłeś naszą uwagę tym, co przychodziło Ci bez żadnego wysiłku. Swoją miłością do Jade. I przyznam Ci, że właśnie Hugh pierwszy to zauważył - nie uczucie, którym ją darzyłeś, bo ono było nieuchronne, zważywszy, jak bardzo się pożąдалиście, lecz dziwną, niespotykaną siłę, którą razem wytwarzaliście; Hugh spostrzegł tę siłę na wiele miesięcy przed wygnaniem Cię z naszego domu.

Udzielenie zgody na to, aby Jade swobodnie wyrażała swoje uczucia (zwłaszcza że z takim trudem przychodziło jej okazywanie uczuć rodzinie), to jedna sprawa, patrzeć zaś, jak wikła się w niezwykle intensywny związek, w „miłość dojrzałą”, jak to określaliśmy, to całkiem inna sprawa. Pozwalaliśmy jej na seks, na to, żeby szukała wartości poza strukturą rodzinną, ale sądziliśmy, iż zakocha się w sposób bardziej szczeniacki, typowy dla dziewczyn w jej wieku, że będzie miała wątpliwości, trudności w skupieniu się, słowem, że jej zachowanie będzie - tak jak ona sama - zarówno dziecinne, jak i dorosłe. Czuliśmy się tak, jakbyśmy pozwolili dziecku bawić się w małego chemika i nagle odkryli, iż jest to urodzony geniusz, który rozwiązuje dawne zagadki alchemiczne, łączy niedające się dotąd połączyć molekuły, wypełnia piwnicę świetlistym dymem. Po prostu nie byliśmy przygotowani na to, co się stało, nie doceniliśmy ogromnego zaangażowania emocjonalnego, do jakiego Jade okazała się zdolna. Do tej pory mieliśmy inny obraz Jade - dziewczyny nieco zamkniętej w sobie, konserwatywnej, tajemniczej, lubiącej porządek, często znudzonej, która niespecjalnie interesuje się własnym

ciałem, czasem tylko przejmuję się swoją tuszą i tym, że ma małe piersi.

Hugh wpadł w szal, ogarnęła go dzika pasja. Wściekał się na samą myśl, że jego ukochana córeczka leży nago z chłopakiem w łóżku. Gdyby nie Ty, jestem pewna, że Hugh nie miałby żadnych kazirodczych fantazji. Jednakże to, iż Jade wkracza w życie seksualne akurat, gdy znajduje się na rozstaju dzieciństwa i kobiecości, wywołało u Hugh głęboką, bolesną tęsknotę; pragnął, żebyś odszedł, bo pragnął się z tego uwolnić. Wyniósł z domu przekonanie, że ojciec powinien strzec córki i otaczać ją troską, ale biedak, świadom swoich dwuznacznych uczuć, zbyt dobrze wiedział, jaka jest prawda; najbardziej porywczy z Butterfieldów nie potrafił przejść do porządku dziennego nad zazdrością, która go zżerała.

Zresztą niemal na wszystkich mieliście taki sam wpływ jak na Hugh. Dzięki wam przypomniiał sobie własne, głęboko skrywane, szalone, romantyczne nadzieje młodości. Przypomniiał sobie to, co zaprzepaścił, co stracił, co było piękne i znikło, znów poczuł ten ogrom bogatych, gwałtownych emocji. Ze mną było inaczej: obserwując was, tęskniłam za osobą, którą nigdy nie byłam, za ryzykiem, którego nigdy nie podjęłam, za życiem, które przeszło obok. Hugh, patrząc na Was, widział siebie. Przywodził mi na myśl konkretne twarze, konkretne sytuacje, złamane obietnice. Ja czułam zwykłą zazdrość, Hugh natomiast przeżywał rozkosz i smutek wspomnień.

Hugh chętny był do pójścia w Twoje ślady. Widząc, jak się miota, skorzystałam z okazji. Wy tłumaczyłam mu, że nasze życie może nagle zmienić tor, że zamiast starzeć się, możemy się odmłodzić, że zamiast zamykać się w ciasnym świecie, możemy upijać się wolnością. Dom, skromne fundusze, wiszące w szafach starannie połatane ubrania, gotowane jajka, zaśniezione łyżki, reprodukcje Paula Klee we

własnoręcznie wykonanych ramkach - żadna z tych rzeczy, twierdziłam, nie musi nam w życiu wyznaczać granic. Możemy robić, co nam się podoba.

Reszta, jak powiadają, to już historia. Ja miałam jednego kochanka, Hugh miał kochanek na pęczki. Ja wypaliłam jednego skręta, on pół kilograma trawy. Ja lekko napomknęłam o sprzecznych cechach mojego charakteru, jemu wyznania same cisnęły się na usta. Ja wylałam łzę, on cały strumień. Kiedy potem przyszło mi na myśl, że może jesteśmy zbyt pobłażliwi i za bardzo lekceważymy obowiązki rodzicielskie, Hugh wpadł w straszliwy popłoch i znów usiłował chwycić ster, który albo się zepsuł, albo nie reagował na jego dotyk. Gdzie te spotkania w gronie rodzinnym? Kto mu prasuje koszulę? Mówił, że czuje się jak pilot bombowca, który trafiono - nagły spadek wysokości, zmiany kierunku, świadomość zbliżającego się końca.

Któż wie, jak by się wszystko zakończyło, gdyby nie Ty? Załamaniem nerwowym? Paskudnym transem narkotycznym? (Aha! Już widzę, jak się zaczniesz wiercić, myśląc, że Cię zwalniam od odpowiedzialności. Cierpisz nie tylko na wyrzuty sumienia, ale i na megalomanię. Jak śmiesz myśleć, że Ty jeden wystarczyłeś, aby zniszczyć naszą rodzinę?) A jednak w rezultacie okazałeś się idealnym zwiastunem rozpadu Butterfieldów. Zaczęliśmy od tego, że idąc częściowo za Twoim przykładem, przekroczyliśmy stare granice życia małżeńskiego i dziwnym trafem skończyliśmy na tym, że przez Ciebie zawędrowaliśmy znacznie dalej, niż kiedykolwiek zamierzaliśmy. Chcieliśmy sobie udowodnić, że mury domu, ubrania w szafach i reprodukcje Paula Klee nie wyznaczają nam granic życia. A Ty, bez zastanowienia, obróciłeś to wszystko w popiół. A.

List Anny dokonał tego, czego powinien dokonać ważny list: odmienił mój los, dodał mi pewności siebie, zmienił moją pozycję w świecie. Na uczelni wykładowcy wreszcie zaczęli mnie rozpoznawać, kiedy mijaliśmy się na korytarzu, a studenci rozmawiać ze mną: prosili o pożyczenie notatek przed wtorkowym wykładem, zapraszali na kawę, na obiad, nieśmiało - zupełnie jakbym to ja im robił przysługę - proponowali, abyśmy się zebrali w kilka osób i zrobili powtórkę przed zbliżającym się kolokwium. Nawet gdy pikietowałem przed sklepem Nagle'a, obcy ludzie zaczęli mnie dostrzegać, niektórzy przystawali, obiecując, że nie będą kupować spodni szytych przez firmę nie-zrzeszoną w związku. Pewnego dnia jakiś stary człowiek wyszedł ze sklepu, niosąc czerwono-białą torbę, z której wystawało szare pudełko; położył mi na ramieniu chudą dłoń i rzekł: „Strasznie mi przykro. Właśnie kupiłem spodnie firmy Redmana. Nie dla siebie. Zięc dał mi listę zakupów. Sobie nigdy bym ich nie kupił. Ale zięc się nie zna na solidarności związkowej. Przykro mi". Wpatrywał się we mnie tak długo, aż wreszcie uświadomiłem sobie, na co czeka - poklepałem go po ręce i uśmiechnąłem się. Przebaczałem innym!

Jeśli chodzi o ludzi, którzy sprawowali nade mną nadzór, to nie zamierzałem się im zwierzać, że nawiązałem kontakt z Anną, podobnie jak nikomu nie wspomniałem o odnalezieniu moich listów miłosnych. Rodzice nie należeli do wścibskich i zdawali sobie sprawę, że nic nie osiągną, starając się na siłę wedrzeć w moją duszę. Z kolei Ed Watanabe oświadczył mi, że patrząc na postęp, jaki poczyniłem, czuje, że jego wysiłki jako kuratora nie idą na

marne; lubił wyliczać moje sukcesy, przerywając potok słów jedynie po to, żeby ścisnąć mnie za ramię. Masz pracę. Uścisk. Pracujesz w związkach zawodowych. Uścisk. Studiujesz. Uścisk. Interesujesz się astronomią. Uścisk. Masz własne mieszkanie. Uścisk. Posiadasz przyjaciół. Uścisk. A teraz przyznaj się, masz już dziewczynę? Cisza. Uśmiech i uścisk najmocniejszy ze wszystkich. Jeśli chodzi o nowych przyjaciół, to ze strachu przed samotnością czułem ogromną pokusę, aby zwierzyć im się ze wszystkiego, wciągnąć ich w swoje sprawy niczym w sieć. Ale nie mówiłem nic ani o Annie i Jade, ani o pożarze i trzech latach spędzonych w Rockville. Wkroczyłem w nowe układy międzyludzkie owiany tajemnicą i chociaż znudziło mi się wymyślanie kłamstw, którymi łątałem swój życiorys, bałem się, że te przyjaźnie są jeszcze zbyt kruche, aby wytrzymały ciężar nagłych zwierzeń. Wiedzieli jedynie, że trzy lata temu skończyłem szkołę i przez ten czas obijałem się bez celu, co brzmiało przekonująco i pasowało do ducha czasów, w jakich żyliśmy; zresztą może i się zastanawiali, dlaczego ktoś, kto brał narkotyki, podróżował autostopem i robił Bóg wie co, nie jest bardziej na luzie i nie opowiada o swoich różnych zdumiewających przygodach.

Największą szansę na to, aby odkryć zmianę, jaka we mnie zaszła, miał doktor Ecrest i przez pewien czas czułem, jak jego bystry umysł stara się mnie zgłębić. Muszę przyznać, że doktor Clark oddał mi dużą przysługę, kierując mnie do Ecresta, głównie dlatego, że ich metody leczenia tak skrajnie się od siebie różniły. Clark przykładał wagę do snów i skojarzeń, robił notatki, nie patrząc na pacjentów, rolety zawsze miał opuszczone, a na dodatek okna do połowy zasłonięte kotarą. Ecrest był wysokim mężczyzną o pomarszczonym czole; wyglądał jak base-

ballista albo jak kelner, który lubi ostrzegać klientów, że dzisiejsza ryba jest niezbyt świeża. Miał cienkie kręcone czarne włosy, bardziej suche od włosów lalki, które - ilekroć zapalał kenta - narażone były na zajęcie się ogniem. Głos miał niezwykle tubalny, nawet jak na tak postawnego mężczyznę,- pod tym względem przypominał dorastającego chłopca, którego głęboki tembr nie pasuje do młodzieńczej figury. Przyjmował w jasno oświetlonym gabinecie pozbawionym kanapy, na której pacjent zwykle leży, udając, że mówi do samego siebie. U Ecrest siedziało się w fotelach, twarzą w twarz. Często myślałem, że Ecrest czułby się równie dobrze, wróżąc z kart tarota albo z dłoni. Wystarczyłoby zdjąć z okien zakurzoną roletę i powiesić ciemne zasłony w kwiatki, usunąć ze ścian dyplomy i zaświadczenia, a na ich miejscu rozwiesić pomarańczową cygańską tkaninę ozdobioną haftem. Ecrest był takim samym jasnowidzem jak ludzie wróżący z kryształowej kuli i ci, co poznają przyszłość po kształcie czaszki; ze zwierzęcym instynktem rozumiał ciszę, ponadto posiadał silną, choć dziwnie beznamietną empatię, która pozwalała mu odczytywać myśli innych. Gdyby nie to, że miał zapał oraz pieniądze na opłacenie studiów medycznych, zapewne utworzyłby zakład wróżbiarski albo siedział w namiocie, wróżąc ludziom w wesołym miasteczku.

Nie wiem, czy Ecrest wierzył w to, że posiada magiczne siły, a jeśli zdawał sobie sprawę ze swoich niezwykłych zdolności, to czy był z nich zadowolony. Pewnego razu, gdy pod koniec wizyty odprowadzał mnie do drzwi, położył mi dłoń na ramieniu i rzekł: „Staraj się nie jeść żadnych świństw. Jedz zdrowe, naturalne produkty, dobrze?“. Kiedy się odwróciłem, oblał się rumieńcem i szybko spuścił wzrok. Innym razem odwiedziłem go w dniu, w którym nie

byłem ani na zajęciach, ani w pracy. „To co porabiałeś przez cały dzień?” „Dlaczego pan pyta?” Ecrest potrząsnął głową. „Nie wiem” - odparł niemal szeptem. Nazajutrz po tym, jak wkradłem się do gabinetu Arthura, szukając listów od Jade, Ecrest spytał, czy byłem już u ojca w biurze. Kiedy spojrzałem na niego zaskoczony, pełen wyrzutów sumienia, wyjaśnił, że zastanawia się nad tym, czy nie mógłbym popracować u Arthura, dopóki nie znajdę innej pracy.

Kiedy zacząłem sporządzać listy Butterfieldów i Ramseyów, żyłem w ciągłym strachu, że Ecrest wszystkiego się domyśli; byłem tak pewien, że potrafi odgadnąć moje najskrytsze myśli, iż kilka razy sam omal się przed nim nie wygadałem. Potrzeba utrzymania w tajemnicy własnych poczynań wzrosła gwałtownie dopiero wtedy, gdy zadzwoniłem do Anny i otrzymałem od niej list: wzniosłem wokół siebie solidny mur odgradzający doktora Ecresta od tej części mojej osoby, która żyła myślą o odnalezieniu Jade. Czułem się jak bohater średniowiecznej sagi, który usiłuje przechytryć starego, cwane czarownika; rozmawialiśmy o Rose, o Arthurze, o tym, jak w dzieciństwie ogłuchłem, a przez cały czas bawiliśmy się w kotka i myszkę. Nigdy do końca nie wiedziałem, czy dość skutecznie udaje mi się zataić różne sprawy.

Nazajutrz po otrzymaniu listu od Anny Ecrest niespodziewanie, i po raz pierwszy, poruszył temat, który wcześniej Clarkowi nie dawał spokoju, mianowicie moją abstynencję seksualną. „Chcę z tobą porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną, a nie jak lekarz z pacjentem - rzekł. - Jak długo można sobie odmawiać? Nie można żyć bez ciepła”. „Bez ciepła?” - spytałem chłodno, dając mu do zrozumienia, że wolałbym zakończyć tę rozmowę. „Tak. Bez doznań erotycznych. David, ty się nawet nie masturbujesz”. Co

najmniej przez minutę milczeliśmy. Zastanawiałem się, co powiedzieć, żeby nie zdradzić się słowem ze stanu moich uczuć. Wreszcie przyszła mi do głowy stosowna odpowiedź: „Jeżeli mamy rozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną, a nie jak lekarz z pacjentem, to nie powinien mi pan nic policzyć za tę wizytę”.

Biuro ojca znajdowało się niedaleko uczelni, toteż raz lub dwa razy w tygodniu chodziliśmy razem na obiad. Miałem wyrzuty sumienia, że spotykam się z Arthurem znacznie częściej niż z Rose, zwłaszcza że matka zawsze czuła się poniekąd wyłączona z przyjaźni, jaka łączyła mnie z ojcem. Faktem jednak (jeśli nawet nie prawdą) było to, że Rose wcale nie pragnęła utrzymywać ze mną bliskich kontaktów. Nie znosiła rozpieszczonych maminsyneków i teraz, gdy już mi to nie groziło, uznała, iż najlepiej będzie, jeśli sam zacznę radzić sobie w życiu, jeśli - jak mawiała - odnajdę swoje miejsce w społeczeństwie.

Ilekczo to tylko było możliwe, umawiałem się z ojcem u niego w biurze. Za każdym razem wracałem pamięcią do nocy, kiedy zakradłem się do jego gabinetu i znalazłem listy; przed wyjściem na obiad Arthur przeważnie szedł na chwilę do ubikacji, a ja w tym czasie, licząc na szczęście i swój szybki refleks, czytałem ze dwa listy. (Nie miałem odwagi ich zabrać, ale w końcu „wypożyczyłem” je na jeden dzień i skserowałem). Rad nierad czekałem cierpliwie, kiedy ojciec zwierzy mi się z tego, jak bardzo męczy go domowe życie, lecz smutek Arthura objawiał się jedynie w drobnych gestach - we wzruszeniu ramion, w westchnieniu, w zwrocie „twoja matka”, gdy mówił o Rose, zupełnie jakby nic więcej ich nie łączyło. Doktor Ecrest ostrzegł

mnie, abym się nie wtrącał do nieszczęśliwego małżeństwa rodziców, i ze wszystkich lekarskich porad, jakich mi udzielił, ta była najłatwiejsza i najprostsza do zaakceptowania. Chętnie całowałem ojca na powitanie i pożegnanie i łakomie czerpałem siłę z jego sentymentalnej miłości do mnie, a była to miłość ojcowska, ślepa i szalona. Pragnął tylko, abym był mu synem; nie orientował się zaś, jak bardzo go kocham. Przy każdym spotkaniu rozmawialiśmy tylko o mnie, aż wreszcie któregoś dnia pod koniec listopada, kiedy wszedłem do gabinetu, Arthur oznajmił, że odchodzi od Rose. Siedział przy biurku z rękami opartymi o blat niczym prezydent przemawiający do kamer telewizyjnych. Włosy miał starannie uczesane, ubrany był w nową sportową marynarkę o szerokich klapach; wyglądał jak jeden z tych mężczyzn w średnim wieku, którzy nagle postanawiają zmienić swój styl. Tyle że to był Arthur, a Arthurowi nigdy nic nie wychodziło do końca, sprawiał więc wrażenie poczciwego ślepeca, którego ubrał ktoś obcy nieznający jego zwyczajów.

- Wczoraj - rzekł głosem, który po części brzmiał jak głos sprawozdawcy radiowego, po części zaś jak mówcy wygłaszającego mowę pogrzebową - po dwudziestu siedmiu latach małżeństwa, latach, które w większości, tak, w większości, były bardzo udane, twoja matka i ja postanowiliśmy, że będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli się rozstaniemy.

Skinąłem głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Ojciec nie spuszczał ze mnie oczu; miałem ochotę przetrzeć ręką twarz, odpędzić nieistniejącą chmurę much. Żółte promienie słońca padały przez wysokie zakurzone okno za plecami Arthura. Zaczął dzwonić telefon, lecz Arthur nie podnosił słuchawki.

- Chodźmy stąd - powiedział i spojrzał na telefon, który w tym momencie właśnie umilkł.

Poszliśmy do taniego barn na Wabash Avenue, mieszczącego się w suterenie. Lokal ten miał najbardziej robotniczy charakter w całej dzielnicy zamieszkaney głównie przez urzędników, naukowców i biznesmenów. Wejście wyglądało jak opuszczona stacja metra. Szło się po żelaznych schodach, a potem przez odrapane zielone drzwi wchodziło się do istnej jaskini - podziemnego świata ciężko pracujących ludzi. Kieliszek alkoholu kosztował dwadzieścia pięć - trzydzieści pięć centów, przy samym zaś barze mogło się pomieścić ze dwieście osób. Zapach piwa mieszał się z zapachem kielbasy; dym z setek papierosów mieszał się z parą unoszącą się znad gorących kotłów. Prawie wszyscy mieli na sobie roboczą odzież: prążkowane podkoszulki z długimi rękawami, flanelowe koszule z rękawami podwiniętymi do łokci, zapinane na suwak kurtki z imieniem właściciela wyszytym na prawej piersi oraz sznurowane do kostek buty z noskiem obitym blachą. Ojciec jako jedyny miał na sobie marynarkę, ja zaś byłem tu najmłodszy.

Ustawiliśmy się w kolejce po posiłek. Gotowane ziemniaki, kawałek pysznej, grubej kielbasy, groszek oraz pudding z ryżu. Znalazłem wolny stolik, Arthur tymczasem poszedł do barn kupić piwo. Zdejmując talerze z brązowej plastikowej tacy, spostrzegłem, że ręce mi się trzęsą.

- Wyobraź sobie - rzekł ojciec, gdy zaczęliśmy jeść - że nawet nie wiem, jak się ten lokal nazywa, chociaż stołuję się tu od niepamiętnych czasów. Po prohibicji wywieszono szyld „Podziemie”, potem zmienił się właściciel i zmieniła się nazwa, ale teraz już nie pamiętam na jaką. Zauważyłeś, że nie ma tu żadnego szyldu? Niektórzy ludzie z obsługi zaczęli pracować w tym lokalu, zanim ja w ogóle usłyszałem o jego istnieniu, ale oni też nie wiedzą, jak się

nazywają te lochy. Wiesz, co mi się przypomniało? Że przyjechałem tu Rose w dniu, w którym się poznaliśmy.

Nabiłem na widelec kilka ziarenek grochu, ale nie podniosłem go do ust. Wspomnienia ojca nie zgadzały się z tym, co mnie mówiono, choć teraz już dokładnie nie pamiętałem, gdzie się spotkali po raz pierwszy. Na pochodzie pierwszomajowym? Może na wycieczce?

- Nigdy ci o tym nie mówiliśmy, ale kiedy się poznaliśmy, Rose była mężatką, lako bardzo młoda dziewczyna wyszła za mąż za bogatego faceta, nadętego pyszałka o nazwisku Carl Courtney. Pobrali się w FiJadelfii. Rose pracowała pięćdziesiąt godzin tygodniowo, żeby utrzymać chorą psychicznie matkę, Courtney zaś pracował może ze dwie godziny tygodniowo i dostawał pieniądze od swojej matki, Virginii Courtney, strasznej reakcjonistki, która posiadała własną radiostację. Było to krótkie, raczej nieudane małżeństwo. Ale na swój sposób Rose kochała Courtneya, bo cierpliwie znosiła jego podłość. Mniej więcej po roku Virginia Courtney załatwiła synowi pracę w tutejszej „Tribune” i oboje przenieśli się do Chicago. W tym czasie Rose była komunistką, Courtney zaś bogatym nicponiem. Ona jednak trwała przy jego boku, wierząc, że mąż się zmieni. I nagle Courtney zaczął się uganiać... - Arthur spojrział na talerz i przypomniał sobie o posiłku. Przekroił kiełbasę, po czym odłożył widelec i pociągnął duży łyk piwa.

- Za kobietami? - spytałem.

- Tak, nawet zbytnio nie przebierał. Sekretarki i aktoreczki, głupie dziewczyny bez żadnych obowiązków na głowie. Czasem wracał do domu tylko po to, żeby się przebrać.

- Cholera. - Zrobiło mi się żal Rose,- ten żal chyba od dawna siedział we mnie gdzieś głęboko i dopiero teraz wypłynął na powierzchnię. Czyżbym zawsze o tym wie-

dział? Może kiedyś, myśląc, że śpię, rozmawiali przy mnie na ten temat? Nagle przypomniałem sobie, jak przed laty jechaliśmy nocą naszym starym samochodem na długi, nudny wypoczynek: leżałem wyciągnięty na tylnym siedzeniu, podczas gdy z przodu rodzice rozmawiali nerwowym szeptem, matka chyba płakała, a ojciec, którego odbicie widziałem w ciemnej szybie, żywo gestykulował... Ale po chwili obraz mi znikł, mimo moich usilnych starań, aby go sobie przypomnieć w całości.

- Czy któryś z psychiatrów wiedział, że mama była rozwiedziona? - Pytanie zdziwiło mnie. Co za różnica, czy wiedział, czy nie? Tak samo kiedy Jade powiedziała mi, że rozmawiała z Hugh i wspólnie postanowili, iż przez miesiąc mam ich nie odwiedzać, pierwsze, o co ją spytałem, to kiedy rozmawiali.

- Nie. Nikomu nie mówiliśmy.

- Po co ta cała tajemnica?

- Rose nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział. Wstydziła się.

- Więc dlaczego teraz mi o tym mówisz? Arthur wzruszył ramionami.

- Żałujesz?

- Nie.

- Może dlatego, że tu jesteśmy.

- Byliśmy tu już wiele razy.

- Dziś jest inaczej. Przepraszam, jeśli powiedziałem ci coś, o czym wolałbyś nie wiedzieć. Ale dziś właśnie skończyło się moje małżeństwo i dlatego opowiadam o sprawach, o których może nie powinienem mówić.

Przez chwilę milczeliśmy. Wypiłem resztkę piwa, po czym nalałem sobie nową porcję. Arthur miał niemal pełny kufel, ale i jemu dolałem. Skosztowałem jedzenia: było zimne.

- Prowadziłem jej sprawę rozwodową - rzekł ojciec. - Wstąpiliśmy do tego lokalu, żeby wszystko omówić. Nie znałem jej wcześniej, po prostu jej przyjaciółka z FiJadelfii miała brata, który należał tu do partii komunistycznej. Rose powiedziała mu, że szuka adwokata, a on skierował ją do mnie. Tym bratem był Meyer Goldman.

- Lubię go.

- Przecież nigdy go nie widziałeś.

- Ale opowiadałeś mi o nim. To on zdaje się palił trawę? Grał na saksofonie. Znał Mezza Mezzrowa. Nosił biało-czarne buty i podciągał spodnie tak wysoko, że wyglądał, jakby nogi sięgały mu niemal po pachy.

- Rudzielec z kędzierzawą czupryną i zepsutymi zębami. Biedny Meyer. Nawet po tym, gdy wyrzucono go z partii, wciąż wpadał w tarapaty i przychodził do mnie po pomoc. To prosił, żebym napisał list do właściciela domu, w którym mieszkał, to żebym zadzwonił do związku muzyków i nawymyślał im od antysemitów, to znów coś tam jeszcze, i tak bez końca. A mnie, sam rozumiesz, nie wolno było z nim nawet rozmawiać. Nie rozmawiało się z kimś, kogo wyrzucono z partii. Ale tym się zupełnie nie przejmowałem, wkurzały mnie jedynie sprawy, z którymi przychodził. I nigdy nie omieszkał przypomnieć mi: „Gdyby nie ja, nie spotkałbyś Rose”. - Nagle Arthur przyłożył rękę do czoła, jakby został trafiony kamieniem. Zamknął oczy i potrząsnął głową. - Tak bardzo ją wtedy kochałem.

Miałem ochotę wyciągnąć rękę, dotknąć go, tak jak on zawsze starał się mnie pocieszyć, gdy byłem smutny. Ale powstrzymałem się. Nie chciałem mu przerywać. Wyrzuty sumienia, które go dręczyły, przypomniały mi o własnych kłopotach i nagle ojciec przestał mi być tak bliski, jak powinien by być.

- Więc pomogłeś jej uzyskać rozwód? - spytałem.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem, choć na tych sprawach znałem się nie lepiej niż ty. Nie zajmowałem się rozwodami. Ale kazałem jej się wyprowadzić od Courtneya. Znalazłem jej mieszkanie u pewnej rzeźbiarki, bardzo dobrej, cieplej i serdecznej kobiety.

- Libby Schuster?

- Wspominałem ci o Libby?

- Tak. Pamiętam ją.

Ręka Arthura drgnęła, jakby pchnięta niewidzialną siłą. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Nie miałeś okazji poznać Libby. Umarła wkrótce po tym, jak się urodziła. Meyer zresztą też, zmarł w 1960 roku w Kalifornii. Libby dożyła sędziwego wieku, ale Meyer Goldman był młody, miał pięćdziesiąt lat, może pięćdziesiąt dwa. Niepotrzebna śmierć. Taka strata.

Siedzieliśmy w milczeniu, podczas gdy zmarli, którzy nadal żyli we wspomnieniach ojca, na chwilę zaprzętnęli mu myśli: widział Meyera rozdającego ulotki, grającego na saksofonie.

- Kiedy odchodzisz? - spytałem. Odchodzisz skąd? „Z domu” brzmiało jakoś dziecinnie, „od Rose” jak oskarżenie.

- Wieczorem.

- Mama wie?

- Tak.

- Czy wie, że akurat dziś?

- Tak. Od dawna zna moje plany. Czekaliśmy na odpowiedni moment.

- Ze względu na mnie?

- Chcieliśmy, żebyś doszedł do siebie. Żebyś stanął pewniej na nogach. Nie chcieliśmy, abyś zamartwiał się

w szpitalu, że nie masz normalnego domu, do którego mógłbyś wrócić.

- Od tak dawna nosisz się z tym zamiarem? Arthur skinął głową.

W końcu zadałem pytanie, na które od początku właściwie znałem odpowiedź.

- Jesteś zakochany?

Przez chwilę ojciec siedział bez ruchu, po czym odparł takim tonem, jakby składał przysięgę:

- Tak, kocham ją z całego serca.

- Kto to jest? Czy znam ją?

- Nie. Nigdy jej nie spotkałeś. Nazywa się Barbara Sherwood, pracuje w sądzie jako protokółantka. To bardzo dobra, a zarazem niezwykle trudna praca. Barbara jest wdową. Mąż jej zmarł pięć lat temu. Mieszka w naszej dzielnicy. Ma dwójkę dzieci. I jest Murzynką.

Skrzyżowałem ręce na piersiach.

- Wprowadzisz się do niej?

- Barbara przebywa teraz w szpitalu. Na razie więc zamieszkać u niej, zajmę się jej dziećmi, a po jej wyjściu zobaczymy.

Nalał do kufli resztę piwa. Prawie nic nie zjadł; przez cały czas krajał jedzenie na kawałki i przesuwiał po talerzu, jakby czegoś szukał.

- Nie mam ci tego za złe - powiedziałem. - Nie jest to takie znów ważne, co ja o tym sędzę, ale chcę, żebyś wiedział, że nie mam ci tego za złe.

- Sądziłem, że mogę na ciebie liczyć, i nie zawiodłem się.

- Poczekaj. Nie rozumiesz. Kocham mamę, mimo że nie potrafię okazać jej swoich uczuć. Tak się jakoś ułożyły nasze stosunki, ale zawsze będę ją kochał.

- Wiem. Po prostu chodziło mi o to, że ty najlepiej wiesz, co to znaczy być tak zakochanym, iż wszystko inne przestaje się liczyć. Kiedy znajomi i przyjaciele dowiedzą się, że opuszczam Rose, że przekreślam lata, które wspólnie przeżyliśmy, uznają mnie za skurwysyna, a przynajmniej za idiotę. Człowiek w moim wieku ma za sobą długą przeszłość, a przed sobą krótką przyszłość i gdy porzuca przeszłość, zostaje mu już niewiele czasu. Tak, znajomi będą pewni, że postępuję bardzo nierozważnie. Wszyscy uważają nas, Rose i mnie, za bardzo udane małżeństwo. Wiesz o tym?

- Nie, nie wiedziałem.

- A jednak. Oczywiście nikt się niczego nie domyśla. Ale kiedy się dowiedzą, wezmą stronę Rose. W ich oczach będę uchodził za łajdaka. Zresztą tak naprawdę to ci wspólni znajomi zawsze byli bardziej przyjaciółmi Rose niż moimi. Dawni towarzysze z czasów partyjnych. Złoszczą mnie pod wieloma względami, odkąd tylko wróciłem z wojny.

- Czyli odkąd się urodziłem.

- Oni mnie nigdy nie rozumieli. Ojciec chyba nie ma prawa mówić w ten sposób do syna, bez względu na to, ile ten syn ma lat, ale... - spojrzał ponad moją głowę, jakbym był jednym z wielu na ławie przysięgłych - ale stałeś się dla mnie źródłem natchnienia. Kiedy patrzyłem na twoje szczęście, zacząłem wspominać.

- Co wspominać?

- To, jak bardzo kochałem Rose, jak ona nie odwzajemniała mojej miłości i jak po pewnym czasie ta miłość wygasła. Dzięki tobie przypomniałem sobie, co to znaczy być zakochanym. Sporo ludzi nigdy w życiu nie doświadcza prawdziwej miłości. Lecz ty ją poznałeś...

- Z Jade.

- I patrząc na ciebie, przypomniałem sobie, że ja też kiedyś kochałem i że już nigdy później nie czułem się tak wspaniale jak wtedy, gdy miłość była dla mnie wszystkim. Na widok syna, któremu skrzydła wyrosły u ramion, przypomniałem sobie, że przez kilka miesięcy ja również nie stąpałem po ziemi. Było to zaraz po uzyskaniu przez Rose rozwodu, kiedy spędzaliśmy ze sobą całe dni. Dopiero później wyszło na jaw, jak bardzo kocha Courtneya, i wtedy pojąłem, że musi minąć trochę czasu, nim dojdzie do siebie. Wiedziałem, że w końcu wszystko się dobrze ułoży, bo czas jest najlepszym lekarstwem. W głębi serca Rose kochała Courtneya, mimo że sto razy bardziej wolała mnie na partnera niż jego. Rozumiałem ją, ale czar prysnął. Byłem na to zbyt inteligentny i skoro podjąłem kilka rozsądnych decyzji, nie mogłem się dłużej zachowywać jak zakochany głupiec.

- Nie sądziłem, że czegoś ci w życiu brakuje.

- Ja też nie. Zapomniałem o tym. Ale ty mi przypomniałeś, a potem Barbara udowodniła mi, że jeszcze nie wszystko jest stracone. Poczuję się tak, jakbym się obudził młodszy o dwadzieścia lat. Nie, włosów bynajmniej nie miałem gęstszych, nadal potrzebowałem okularów, a śmierć nie stała się bardziej odległa. Po prostu radowałem się każdą sekundą dnia. Musisz poznać Barbarę. Zrozumiesz wtedy, o co mi chodzi. Nigdy nie myślałem, że znów się zakocham. Nigdy nie myślałem, że po raz drugi uwierzę w miłość. A jednak wierzę. I nie wstydzę się tego.

- Wiem. - Serce mi waliło.

- Wiem, że wiesz. Żyjesz tym uczuciem dwadzieścia cztery godziny na dobę i ani na chwilę o nim nie zapominasz. Dlatego po przyjęciu powitalnym zakradłeś się

w nocy do mojego biura. Dlatego też za każdym razem, gdy przychodzisz po mnie na obiad, przeglądasz te listy i dlatego zawsze staram się, abyś miał na to czas.

Barbara Sherwood leżała w tym samym szpitalu, do którego mnie zabrano po pożarze, jej pokój zaś znajdował się tuż obok sali, w której zeznawałem - a raczej upierałem się - że to ja podłożyłem ogień pod ten wielki, cudowny dom. Szedłem z ojcem ponurymi korytarzami oświetlonymi górnym światłem, w którego niemrawym blasku świat majaczył mi przed oczami, jakbym był po kilku nieprzespanych nocach; wdychając ostry, typowo szpitalny zapach, jaki na wiele osób działa kojąco, a mnie kojarzy się z bezgraniczną rozpaczą, minęliśmy pielęgniarki, które skinęły ojcu na powitanie, jakby znały go z widzenia, puste nosze z krwią zaschniętą na pasach, metalowy stolik pełen tac z talerzami, dzwoniące telefony, głośnik, przez który nadawano komunikat: „Doktor Adams proszony jest o zgłoszenie się do gabinetu czterysta cztery”, oraz grupę odwiedzających, którzy byli zbyt zdenerwowani i przejęci, żeby zejść nam z drogi - kręcili się bezradnie, przesuając się w prawo, gdy chcieliśmy ich obejść z prawej strony, i w lewo, gdy mieliśmy ich ominąć z lewej; wreszcie, krzywiąc się, kiedy Arthur odsunął ich ramieniem, oparli się o szarą ścianę, której na ich miejscu brzydziłbym się dotknąć, bo w tym posępnym świetle jarzeniówek sprawiała oślizłe wrażenie. Ojciec niósł wieczorne wydanie gazety oraz pięć powieści sensacyjno-szpiegowskich Fleminga związanych żółtym sznurkiem, ja trzymałem ręce w kieszeniach, obracając w palcach ośmioma dziesięciocentówkami i jedną dwudziestopięciocentówką.

Nigdy dotąd nie widziałem kobiety o tak kocich rysach jak Barbara Sherwood. Czarne włosy miała krótko przycięte i zaczesane na szerokie, wysokie czoło, kości policzkowe bardzo wydatne jak na rysunkach panienek, które marzą o urodzie egzotycznych modelek, brwi starannie wyregulowane. Mimo że leżała w szpitalu i zapewne cierpiała, oczy miała umalowane tak, że były jeszcze większe i bardziej skośne niż w rzeczywistości. Nie wiedziałem, że w ciągu ostatnich miesięcy Barbara straciła sporo na wadze: myślałem, że jej szczupła figura jest wynikiem mody i świadomych zabiegów. Podgłówek był podwyższony, aby chora mogła siedzieć. W nieco przydużej koszuli nocnej Barbara, choć wcale nie wyglądała młodo, sprawiała wrażenie nastolatki w koszuli swego ojca. Wprawdzie włosy miała czarne, a cerę gładką, jednakże mijające lata zostawiły ślad w jej wnętrzu, zupełnie jakby czas, przyhamowany, poskromiony, w niewidzialny sposób ściągał swoją należność.

- Oto i on - powiedział Arthur, podprowadzając mnie bliżej. Obok stały dwa krzeselka; zasłonka oddzielała łóżko Barbary od łóżka jej współlokatorki; wszystko było przygotowane na naszą wizytę.

Chcąc wykazać inicjatywę, wyciągnąłem rękę.

- Dzień dobry, miło mi panią poznać - rzekłem ciepłym, dźwięcznym głosem, jak dziecko nauczone, aby przy obcych zachowywać się kulturalnie.

Podąła mi chłodną dłoń; potrząsając ją, czułem, że jest wręcz lodowata. Arthur stał z rękami skrzyżowanymi na twardym, zaokrąglonym brzuchu, z błogim uśmiechem niczym figura na kartach tarota. Wolno wypuścił powietrze, wydając melodyjne westchnienie, jakby przez cały czas w głowie dźwięczała mu muzyka.

- To dobrze - odparła Barbara. Nie wiedziałem, czy jest zdenerwowana, czy po prostu ma taki sposób mówienia. To dobrze? To dobrze? Rany boskie! Zebrało mi się na śmiech, a przecież przyszedłem tu pozytywnie nastawiony do nowej kochanki Arthura.

- Czy dobrze tu panią traktują? - spytałem tonem niezwykle wpływowego dżentelmena, który przybył z wizytą do Chicago. Zerknąłem przez ramię, jakbym się upewniał, czy nadszedł lokaj z olbrzymim bukietem długich, pięknych róż.

- Tak, w tym szpitalu jest miła, domowa atmosfera - oznajmiła Barbara. - Nie tak jak w tamtym poprzednim miejscu.

- W zeszłym roku Barbara leżała u Wszystkich Świętych - wyjaśnił Arthur.

- Tam było okropnie. Na samą myśl przechodzą mnie ciarki. Te zakonnice sunące w długich czarnych habitach i księża o twarzach niemowlaków, którzy z fioletowymi szarfami wokół szyi przemierzają korytarze, patrząc, komu można by udzielić ostatniego namaszczenia. - Uśmiechnęła się, ukazując z przodu szparę. - Upadłam - rzekła, zauważywszy, że spostrzegłem brak zęba, i przyłożyła palec do ust.

Przez kilka minut rozmawialiśmy z zakłopotaniem i rezerwą niczym dwoje obcych ludzi, którzy mogą się boleśnie zranić. Barbara oświadczyła, że wiele o mnie słyszała od ojca: oczywiście często mówi się coś takiego, spotykając kogoś po raz pierwszy, ale ponieważ oblała się rumieńcem, może mówiła prawdę. Sam nie wiem, jak do tego doszło, ale opowiedziałem jej o moich studiach, o pracy w związku i o propozycji Harolda Sterna, żebym zamiast pikietować przed sklepem tekstylnym, zaczął prowadzić badania w dziale naukowym związku.
Barbara

gratulowała mi, zachęcała mnie do zmiany pracy, ale jeśli była choć w połowie tak znudzona moim życiorysem jak ja, to pewnie z trudem powstrzymywała się od zaśnięcia.

Niczym prawdomówna, niepoprawna bohaterka powieści wiktoriańskiej, posłała Arthurowi szelmowskie spojrzenie. Napięcie jednak ani nie wzrosło, ani nie zmałało. Arthur siedział całkiem opanowany. Wiedział, co Barbara teraz powie, przypuszczalnie wszystko z góry obmyślił.

- Czy Arthur... mówił ci o nas?

- Tak - odparłem, chrząkając. Barbara skinęła głową.

- I co o tym sądzisz? - spytała.

- Moje pozwolenie nie jest wam potrzebne. - Poczulem, jak ojciec delikatnie ujmuje mnie za łokieć.

- Ale chcielibyśmy wiedzieć, co myślisz. - Położyła ręce na kolanach. Palce miała bardzo ciemne, nie nosiła pierścionków; plastikowa bransoleta z wytłoczonym imieniem i nazwiskiem zwisała jej luźno na przegubie dłoni.

- Mam mieszane uczucia. Boję się o matkę. - Urwałem. Arthur poruszył się niespokojnie, Barbara zaś skinęła głową z aprobatą. - I chyba boję się też o ojca.

- Dlaczego? - spytała. - Z powodu... - wykonała nieokreślony ruch ręką, mając na myśli szpital oraz własną chorobę.

- Nie wiem dlaczego. Dlatego że ojciec jest teraz inny. Dlatego że się zmienił i będzie się coraz bardziej zmieniał. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu to czuję.

- Nie zmienię się - zapewnił mnie Arthur.

- Zmienisz się. Chcesz się zmienić. I powinieneś się zmienić. Przestaniesz być nieszczęśliwy. A to musi cię zmienić. Staniesz się szlachetny i odważny, i może nie mam prawa tego mówić, ale wiem, dokładnie wiem, co to

znaczy. - Byłem lekko zadyszany i czułem się głupio, ale słowa, które wypowiadałem drżącym głosem, przeciskały mi się przez usta wolno, z trudem. Zdawałem sobie sprawę, iż nie wypada, aby syn komentował romans ojca, a jednocześnie przeżywałem boleśnie każde słowo, jakby poszczególne dźwięki miały pazury, którymi czepiały mi się gardła.

- Cieszę się, że tak uważasz - oznajmiła Barbara. - Z tego, co tatuś mi o tobie opowiadał, spodziewałam się, że tak właśnie zareagujesz. Czekając dziś na ciebie, potwornie się denerwowałam. Sama mam dwójkę dzieci i wiem, że kiedy chodzi o własnych rodziców, dzieci są najbardziej zatwardziałymi konserwatystami pod słońcem. Prawda?

- Oj, prawda, prawda - odparł Arthur.

- Moja dwójka zadała mi kilka kłopotliwych pytań. Może dla kogo innego nie byłyby tak kłopotliwe, ale ja postanowiłam sobie, że nigdy nie będę dzieci okłamywać. Nie potrafiły zrozumieć, jak Arthur może przebywać z nami, skoro ma żonę mieszkającą w pobliżu. Nie potrafiły zrozumieć, dlaczego ich matka wpuszcza do sypialni mężczyznę, z którym nie łączą jej więzy małżeńskie. Widzisz, mój pierwszy mąż był człowiekiem religijnym, a ja, chociaż jestem ateistką, nie wtrącam się do wiary moich dzieci. Poprzez religię czują bliższy kontakt z ojcem. Modlitwa stanowi dla nich jakby rozmowę z tatusiem, który umarł, kiedy one były jeszcze malutkie. Zresztą sam wiesz, jakie jest życie w Chicago. Pytały też, jak mogę żyć z białym mężczyzną.

- Który w dodatku jest Żydem - wtrącił Arthur. - Co było kolejnym utrudnieniem.

- Tak, sytuacja się komplikowała. Zaczęły mnie traktować, jakbym była złą kobietą. Przestały odrabiać lekcje, zaniedbywały obowiązki, nie patrzyły na mnie, kiedy się

do nich zwracałam. Ludzie powiadają, że najdotkliwszą karą dla człowieka jest gniew własnego dziecka. Nie wiedziałam, co robić. Sytuacja stała się tak poważna, że myślałam, iż będę musiała zerwać z Arthurem i nie bacząc na samotność czy strach, wrócić do swojego poprzedniego życia. I kiedy byłam pewna, że już nic nie pomoże, Arthur wkroczył do akcji i wszystko naprawił. Posadził przed sobą moje dzieci, Wayne'a, który ma szesnaście lat, i Delię, która dopiero tydzień temu skończyła trzynaste, i powiedział im, że kocha ich matkę całym sercem, miłością wielką i szlachetną; że najbardziej w świecie pragnie się opiekować mną i moimi dziećmi. Wyciągnął do nich przyjacielską dłoń, a oni przyjęli go z otwartymi ramionami. Znów tworzymy rodzinę. Nie jesteś dzieckiem, David, jesteś dorosłym mężczyzną, dlatego też nie obiecuję ci, że będę się tobą opiekować, bo nie potrzebujesz już opieki. Ale chcę ci powiedzieć to, co Arthur powiedział moim dzieciom: kocham twojego ojca. Chcę ci powiedzieć, że człowiek, który jest twoim ojcem, człowiek, który dał ci życie, znalazł kobietę, która w jego ramionach czuje się jak w niebie.

Barbara umilkła. Do chorej leżącej po drugiej stronie zasłony przyszli goście: słyszałem skłócone, ponure głosy. Przez głośnik wzywano jakiegoś lekarza. I nagle, z przerażeniem, zdałem sobie sprawę, że za chwilę wybuchnę płaczem. Tak jak lód na stawie pęka pod dużym ciężarem, tak moje opanowanie pękło pod naporem silnych uczuć - byłem całkiem bezradny. Wbiłem wzrok w zasłonkę dzielącą pokój i przysłuchiwałem się dobiegającej zza niej rozmowie. „I co teraz' - spytał męski głos. - Jeszcze raz, jeszcze raz i tak bez końca?"

Rozległo się ciche pukanie i w drzwiach stanęła siostra Barbary, Rita, i dzieci, Wayne oraz Delia. Rita wyglądała

dość staro, włosy miała siwe, zaniedbane i lekko utykała. Mimo że była chuda, podpieraa się wielką, grubą czarną laską, która spokojnie wytrzymałaby ciężar potężnie zbudowanego mężczyzny. Płaszcz Rity był rozpięty, podszewka rozpruta. Rita podeszła speszona, a zarazem poirytowana.

- Przepraszam, Barbaro - rzekła. - Nie chcieli mnie słuchać. Tłumaczyłam, że nie mogą cię dzisiaj odwiedzić, ale...

- Cześć, mamó! - zawołał Wayne. Nawet gdyby chciał, już krócej nie mógłby przystrzyc włosów. Miał ogromne okulary w brązowej oprawce i białą koszulę z kołnierzykiem zapiętym na guziki. Twarz Wayne'a idealnie pasowałaby do plakatów, którymi zachęca się ludzi do wpłacania datków na Murzyński Fundusz Uczelniany. Delia, z ogromną fryzurą afro, ubrana w czerwony podkoszulek, džinsy i podarte tenisówki, stanowiła jaskrawe przeciwieństwo brata. Miałem wrażenie, że przyszła do szpitala z pomalowanymi ustami, z których w ostatniej chwili zapewne ciotka starła jej szminkę.

- Przysięgliśmy na Biblię - oznajmiła dziewczynka. - Obiecaliśmy Bogu, że codziennie będziemy cię odwiedzać. - Podeszła do łóżka i kładąc głowę na ramieniu Barbary, spojrzała na mnie z uśmiechem.

Ojciec przedstawił mnie Ricie, Wayne'owi i Delii. Kiedy wyciągnąłem dłoń, Rita ujęła same tylko czubki moich palców. Wayne przywitał się chłodno, dość urzędowo, Delia zaś na widok wyciągniętej dłoni schowała ręce za siebie i krzyknęła: „O, nie!”. Oczywiście drażniła się ze mną i przekomarzała w dziecinny sposób, ale mimo to poczułem się bardzo nieswojo.

Czas odwiedzin wynosił pół godziny i zbliżał się do końca. Uznałem, że Wayne i Delia zechcą przez chwilę zostać sami z matką. Tym bardziej że wszyscy, wraz z Arthurem,

stanowili rodzinę, do której nie należałem. Kiedy powiedziałem, że muszę już iść, Barbara zaczęła protestować, ale Arthur oświadczył, iż wyjdzie ze mną. Wydawało mi się jednak, że w głębi duszy pragnie zostać z Barbarą i jej dziećmi, a potem, gdy pielęgniarka ich wyprosi, odprowadzić je do domu. Skłamałem więc, że jestem z kimś umówiony. Niezdarnie skinąłem ręką na pożegnanie, wyszedłem na korytarz i mszyłem pośpiesznie przed siebie, mając nadzieję, że kieruję się w stronę wyjścia. Ręce mi drżały. Z początku myślałem, że to na skutek napięcia związanego ze spotkaniem nowej rodziny ojca, ale kiedy czekałem na windę, zastanawiając się nad przebiegiem wieczoru, uświadomiłem sobie, że od pół godziny dręcz) mnie jedna myśl, mianowicie, że trzy i pół roku temu w tym właśnie szpitalu, może nawet na tym samym piętrze, leczono Butterfieldów z poparzeń, zaccadzenia, szoku i strachu, jakich przeze mnie doznali.

Zbliżało się Święto Dziękczynienia. Tradycyjnie co roku rodzice zapraszali na świąteczny obiad to samo grono przyjaciół; początkowo sądziłem, że w tym roku przyjęcie się nie odbędzie, lecz z każdym dniem ogarniało mnie coraz większe przerażenie, że Rose mimo wszystko robi świąteczne przygotowania, zupełnie jakby w jej życiu nie zaszły żadne drastyczne zmiany. Wreszcie o drugiej w Święto Dziękczynienia odłożyłem na bok długi list do Anny i zadzwoniłem do matki.

- Halo? - Głos miała miękki, dziewczęcy.

- Cześć. To ja. Co słyhać? - Widziałem się z nią kilka dni temu, sama nigdy do mnie nie dzwoniła, a kiedy ja telefonowałem, na ogół brzmiała obojętnie.

- Jak to co słyhać? Gotuję.
- Więc przyjecie się odbędzie?
- Oczywiście, że tak. Dlaczego pytasz? Masz inne plany?
- Nie. Tylko że nic mi wcześniej nie mówiłaś. Nie wiedziałem, czy coś organizujesz.

- I dlatego poczyniłaś własne plany?

- Przecież mówię, że nie mam żadnych planów. O której przyjść?

Rose zamilkła, po czym jakby straciła nieco pewność siebie, odparła:

- Około czwartej. Chyba zawsze o tej porze zaczynaliśmy.

Wziąłem prysznic, umyłem głowę i ogoliłem się: Rose miała bzika na punkcie higieny osobistej, a dziś wołałem się nie narażać na jej gniew.

Na kuchennym stole leżał mój list do Anny, pisany w notesie, na skrawkach papierowej torby i na papierze śniadaniowym, który wchłaniał atrament tak, że słowa stawały się niewyraźne i rozmazane niczym światła we mgle. Otrzymałem już drugi list od Anny, poniekąd w odpowiedzi na mój, w którym błagałem ją, aby mi zdradziła adres Jade.

Wczoraj zjawił się Hugh. Ubrany w strój odzwierciedlający jego nową osobowość - czyli dżinsy, granatową roboczą koszulę z wyhaftowanym czerwonym serduszkiem, kowbojskie buty z wąskimi noskami. Na odległość zalaływało od niego perfumami o okropnym, truskawkowym zapachu, których - jak mi radośnie oświadczył - używa jego nowa dziewczyna, Ingrid. Sama mu się podstawiłam, pytając: „Używasz jej perfum?”. „Nie - odparł - przechodzą na mnie, kiedy się kochamy”. Spędził ostatnio kilka dni u Keitha: obaj mają istną

obsesję na punkcie rewizji Twojego wyroku. Oczywiście nie mają żadnych nowych dowodów, jedynie nowe argumenty, lepiej i głębiej przemyślane. Do znudzenia dyskutują na ten temat, błogo rozmarzeni niczym małolaty, które wciąż gadają o tym, że chcą spróbować trawki, ale nie wiedzą, do kogo się o to zwrócić, i nie mają na kupno ani centa.

Przeszedłem na piechotę siedem długich przecznic do Ellis Avenue. Już zamierzałem nacisnąć domofon, żeby matka otworzyła drzwi, kiedy przypomniałem sobie, że mam klucze. Na widok aż nazbyt dobrze znanych mi ścian moje poczucie niezależności prysło. W ustach miałem dziwny posmak, który w nieprzyjemny sposób kojarzył mi się z dzieciństwem. Otworzyłem drzwi, dotarłem na drugie piętro, po czym pukając cicho, wszedłem do mieszkania.

Powietrze było nasycone zapachami unoszącymi się z kuchni. Jednakże ten intensywny, aromatyczny zapach indyka i słodkich ziemniaków wydał mi się czymś nie na miejscu, niczym elegancka słomianka przed zbombardowanym domem. Zamykając drzwi, nasłuchiwałem rozmów. Nie chciałem być pierwszym gościem. Ruszyłem długim, wąskim korytarzem do salonu.

Rose siedziała na kanapie, z nogą założoną na nogę, czytając „The National Guardian” i słuchając radia. Miała okulary w okrągłej lakierowanej oprawce, zielone spodnie i żakiet oraz szarą bluzkę. W pokoju jak zwykle panował cienisty półmrok - paliła się tylko jedna lampa stojąca za kanapą.

- Cześć - powiedziałem. - Chyba przyszedłem za wcześnie.
- Bo nie mogłeś się już doczekać. - Nie podniosła głowy znad gazety, choć wiedziałem, że nie czyta. Muzyka

w radiu na przemian to cichła, to rozbrzmiewała głośniejsze: co chwila trzaski zakłócały III symfonię Beethovena. Rozpiąłem kurtkę wojskową i rzuciłem ją na krzesło.

- Powieś to, proszę.

- Zaraz powieszę. Kogo się jeszcze spodziewasz?

- Postanowiłam nikogo nie zapraszać - odparła Rose, składając gazetę.

- Dlaczego? - Usiadłem obok na kanapie.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek się chciał ze mną widzieć. A ja ze swojej strony nie mam najmniejszej ochoty harować jak wół po to, żeby przyłazili tu na wyżerkę.

- Myślałem, że zaprosiłaś wszystkich.

- A może wolałbyś spędzić święta z nową rodziną ojca? Jestem pewna, że zaprosili tłum gości. Chyba ciebie nie pominęli, co?

- Chcę być z tobą.

- Odpowiedz. Zaprosili cię?

Kiedy potrząsnąłem przecząco głową, ujrzałem w oczach matki błysk złośliwej satysfakcji. Nie miałem cienia wątpliwości, że ojciec nie zaprosił mnie na obiad tylko dlatego, iż uznał, że Rose bardziej niż on mnie potrzebuje; w ostatniej chwili ugryzłem się w język, aby jej tego nie wygarnąć.

- Nie przejmuj się - rzekła, udając, że mnie pociesza. - Arthur jest teraz bardzo zajęty. Nie dziw się, że poświęca ci tak mało czasu.

- Cieszę się, że razem, we dwójkę, zjemy obiad. Rose skinęła głową i popatrzyła w miękkie, bezkształtne ciemności zalegające pokój.

- Znudziło mi się zapraszanie rok w rok tych samych ludzi - powiedziała. - Męczą mnie te same ponure twarze, te same stare... mniejsza o to. Oni nigdy nie rozumieli mojego małżeństwa i nie zamierzam się poniżać, udzielając

im wyjaśnień. Nie chcę widzieć ich głupich uśmieszków, kiedy podam indyka i nie będzie Arthura, który go zawsze kroił. A co jeśli nie dam rady otworzyć butelki wina? To też należało do obowiązków Arthura.

- Ja mógłbym ją otworzyć.

- Nie. Nie w tym rzecz.

Obszedłem wolno mieszkanie, zapalając po drodze światła. Rose chciała jeść w kuchni, ale nakryłem obrusem stół w jadalni, na którym ustawiłem wytworny serwis. Zapaliłem świece, po czym zdjąłem paprotkę, która wisiała w najbardziej nasłonecznionym oknie, i umieściłem ją na środku stołu. Kiedy Rose zawołała, że indyk jest już gotów, pomogłem jej wyjąć ptaszysko z piecyka - było tak ogromne, że spokojnie najadłoby się nim z dziesięć zgłodniałych osób. Groszek i cebula wciąż się gotowały w dużym emaliowanym garnku, obracając się leniwie w ciemnej wodzie. Obok ujrzałem koszyk, w którym leżały ciepłe bułki i chałka z rodzynkami, oraz ziemniaczane purée polane słodkim sosem. Przy kuchence stało pięć butelek wina Côtes du Rhône, z czego jedna ze zdartą folią i wetkniętym korkociągiem, czekająca na otwarcie.

- Boże, mam, starczyłoby tego na wielką ucztę.

- Wiem. Zjesz, ile będziesz chciał, a o resztę się nie martw. Ustawienie na stole wszystkich półmisek zajęło nam sporo czasu. Świeczki spalały się zbyt szybko. Przed nami leżał indyk z kasztanowym nadzieniem, które dusiło się we wnętrzu, - niepewni, komu ma przypaść w udziale zaszczyt pokrojenia ptaka, omijaliśmy go z daleka, nakładając na talerze pozostałe dania. Onieśmieni tym, że mam przejąć na siebie porzuconą przez Arthura rolę, nie byłem w stanie podnieść długiego lśniącego noża. Dopiero gdy Rose spytała: - Nie chcesz indyka? - wstałem z krzesła

i zabrałem się do roboty. Nigdy w życiu nie kroilem ptaka. Ilekroć przyrządzałem w domu kurczaka lub kupowałem w sklepie kurę z różną, rozrywałem ją palcami we własnych czterech ścianach. Teraz jednak, mocno przerażony, zawałałem się, oczami wyobraźni widząc, co za chwilę stanie się z naszym posiłkiem. Na szczęście nóż był idealnie ostry, a na piersi znajdowało się tyle miękkiego białego mięsa, że nie musiałem przecinać żadnych kości.

- Bardzo ładnie - pochwaliła Rose.

Położyłem jej na talerzu dwa kawałki indyka, następnie obsłużyłem siebie i otworzyłem wino. Skupiliśmy się na jedzeniu.

Kiedy pod koniec posiłku Rose odłożyła nóż i widelec, brzęk sztućców uzmysłowił mi, że przez cały czas milczeliśmy.

- Gotując, nie przypuszczałam, że aż tyle tego wyjdzie.

- Nie szkodzi. Zostanie na później.

- Nie można kupić małego indyka. Są tylko duże na duże przyjęcia. W tym cały sęk. Zmarnuje się.

- Przyda się do kanapek. Dla mnie to frajda. Przez jakiś czas będę miał z głowy gotowanie.

- Gdybym tylko nie musiała się martwić o pieniądze. Całe życie... - zamilkła i utkwiała we mnie dumne, wyniosłe spojrzenie. - Porozmawiajmy szczerze, David.

Skinąłem głową, czując, jak mnie przejmuje ogromny, bezsensowny lęk, lęk, który nagle wydał mi się nieodłączną częścią mojej psychiki, tak jak grawitacja jest nieodłączną częścią świata.

- Wiem, że ojciec ci powiedział, że zanim go poznałam, byłam mężatką. Wiem również, jak przedstawił ci moją ówczesną sytuację. Poczciwa, naiwna, klepiąca biedę Rose wychodzi za mąż za bogatego lekkoducha, który ją poniża,

robi z niej idiotkę. Mam nadzieję, iż znasz Arthura na tyle, aby zrozumieć, że... nie wiem, jak to nazwać... że to jego duma każe mu wierzyć w wersję, którą sam opowiada. Właśnie taką chce mnie widzieć: bezbronną, smutną. Niezbyt mądrą? Może. Ale prawda wygląda zupełnie inaczej i chyba ja ją lepiej znam.

Carl był bogaty, rozpieszczony i może nie odznaczał się nieposzlakowaną uczciwością, lecz mnie uwielbiał. Wprost szalał na moim punkcie. Wielu ludzi uważało go za najprzystojniejszego mężczyznę w FiJadelfii. Wiesz, jak długo znaleźliśmy się, zanim pojechaliśmy do Bucks County, żeby się pobrać? Dwadzieścia pięć dni. Dam głowę, że akurat tego ci ojciec nie powiedział. I na pewno nie powiedział ci, że Carl kochał mnie bez pamięci, a ja jego.

W głębi duszy Carl był romantykiem, jednakże miał za dużo pieniędzy i dlatego robił z siebie błazna. Pracował jako dziennikarz, ale nie traktował tego poważnie. Niczego nie traktował poważnie. Na tym polegał cały kłopot. A nie - jak twierdzi Arthur - na zdradach. Zdrady zostały wymyślone po to, żeby otrzymać rozwód, Carl zaś, jako dżentelmen, nie protestował. Musiałam go opuścić.

- Ojciec pomógł ci uzyskać rozwód?

- Przypilnował, żebym nie dostała ani centa z pieniędzy Carla. Nie było żadnego podziału majątku. Żadnych alimentów. Nic. Courtneyowie chętnie zapłaciliby mi majątek, żeby tylko pozbyć się mnie ze swojej rodziny. Tak, zapłaciliby każdą sumę, i to z największą radością. Nie zależało mi na tych pieniądzach, ale Arthur nie miał prawa zgodzić się na takie warunki. Brat Carla, Dennis, ożenił się z narkomanką. Za to, że zgodziła się na rozwód, Courtneyowie płacą jej dożywotnią pensję!

- Ojciec pragnął cię dla siebie. Nie chciał, żebyście żyli z pieniędzy innego mężczyzny. Zresztą byliście komunistami. A skąd Courtneyowie mieli pieniądze?

- To nie ma znaczenia!

- Może ojciec bał się, że mając alimenty, nie poślubisz go?

- Nie. Naprawdę nie o to chodziło.

- A więc o co?

- Nikt tego nie rozumiał. A ja kochałam Carla. Był pięknym mężczyzną. Nigdy w życiu nie widziałam tak pięknego mężczyzny. Do Arthura nigdy nie czułam tego, co do Carla. Nie chodzi tylko o to, że mnie pociągał fizycznie, chociaż nie oszukujmy się, to jest istotne. Nie zdajesz sobie sprawy, jaka ja sama byłam piękna, żyjąc z Carlem. Kiedy byłam jego żoną, wszyscy się we mnie podkochiwali.

Ogarnął mnie strach. Podejrzywałam, że Rose pragnie mi dać do zrozumienia, że właściwie to nigdy nie kochała ojca, że jego ciężkie, solidne ciało nie sprawiało jej żadnej przyjemności. Nie chciałam o tym wiedzieć. W Rockville poznałem chłopaka, Paula Schulte, którego matka powiedziała mu, że ani razu nie przeżyła orgazmu. „Ojciec ma zbyt cienki członek”. Wyznanie to prześladowało Paula. Często groził, iż wykastruje się i wyśle matce swój członek, żeby zobaczyła, iż jest nie większy niż ojca,- kto wie, może w końcu to zrobił. Przebywał jeszcze w Rockville, kiedy stamtąd wyjeżdżałem. Oczywiście trudno za chorobliwą manię Paula winić panią Schulte i jej nieopatrzną uwagę, lecz Paul stanowił dla mnie potwierdzenie, że nie bez racji synowie boją się poznawać dokładne przyczyny matczynego smutku. Mogłem znosić aluzje, mogłem snuć własne domysły, ale gdyby Rose oświadczyła mi bez ogródek, iż ojciec jest nieudolnym kochankiem, obawiam się, że informacja

ta dotknęłaby mnie do żywego i zmieniła bardziej, niż mogę to sobie wyobrazić.

Jak przystało na gospodarza, wstałem, żeby ukroić nam po jeszcze jednym kawałku indyka, kiedy nagle zadzwonił telefon. Na ogół Rose chętnie podnosiła słuchawkę; po pierwszym dzwonku od razu się podrywała i biegła do aparatu. Teraz jednak, mimo że telefon zaterkotał po raz trzeci, czwarty, a potem piąty, nie mszyła się z miejsca, toteż - czując, że tego po mnie oczekuje - odłożyłem nóż i poszedłem do kuchni, aby podnieść słuchawkę.

Usłyszałem głos Alberta Nicolosi, jednego z najstarszych przyjaciół matki. Wraz z Rinzlerami, Sternami i Davisami, Alberto z żoną należeli do grona osób, które od lat spotykały się u nas w Święto Dziękczynienia.

- Halo? Czy to ty, David?

- Tak. Alberto?

- Cześć, David. Przepraszam, nie poznałem cię.

- Nie szkodzi. Co u was słychać?

- Wszystko w porządku. Spędzasz święta z matką?

- Tak.

- To dobrze. A inni? Nie macie gości?

- Nie. W tym roku świętujemy we dwójkę.

- Tak podejrzewałem. Bo wiesz, Rose zawsze zapraszała nas na indyka. Skończyliśmy właśnie obiad, niezbyt co prawda tradycyjny, i myśleliśmy o Rose...

- Tak?

- Powiedz, David: czy sądzisz, że matka się ucieszy, jeśli wpadniemy? Mamy ciasto. Moglibyśmy je zjeść do świetnej kawy Rose.

- Doskonały pomysł, Alberto.

- Jesteś pewien? Bo przyjechał do nas mój brat i wybieraliśmy się później do opery. Ale zawsze w Święto Dzięk-

czynienia widzimy się z Rose i zrobiło się nam jakoś tak dziwnie.

- Wpadnijcie. Powiem marnie, że jesteście w drodze.

Kiedy wróciłem, Rose sprzątała ze stołu. Ułożyła z powrotem na indyku kawałek piersi, którą odciąłem, i zlała do mojej szklanki swoje niewypite wino.

- Dzwonił Alberto - rzekłem. - Wybierają się do nas.

- Ale przecież skończyliśmy obiad.

- Oni też. Przywiozą ciasto, żebyśmy razem zjedli deser. Rose nic nie odpowiedziała.

- Przyjechał do nich brat Alberta. Wpadną we trójkę, Wyniosła pośpiesznie do kuchni stertę brudnych naczyń. Wróciwszy, spytała:

- Kiedy mają wpaść?

- Zaraz.

- Pójdę obmyć twarz. - Przyłożyła rękę do policzka.

- Ładnie wyglądasz.

- Wiem, jak wyglądam. No trudno. Przyjeżdżają goście na wyzerkę. Ireń zupełnie nie umie gotować i jestem pewna, że są strasznie głodni. Bądź dla nich miły, David. Twój ojciec lubił sobie z nich żartować. Ale Ireń i Alberto znają cię od dziecka, kochają cię i dlatego powinieneś traktować ich z szacunkiem.

- Tak, tak, to wspaniali ludzie.

- Myśl, co chcesz, ale pamiętaj, żeby nie zranić ich uczuć. To moi najstarsi przyjaciele, David. Są dla mnie wszystkim.

Kiedy przyjechali, Rose szykowała się w łazience. Alberto ubrany był w palto w jodełkę oraz rosyjską futrzaną czapę. Włosy miał długie i srebrzyste, oczy ciemnoniebieskie. Pachniał tytoniem fajkowym i wodą kolońską. Ireń, prosto trzymająca się, szczupła kobieta, z wiekiem coraz

bardziej krucha, ubrana była w czarną pelerynę. Usta miała czerwone jak wóz strażacki, siwe włosy zaczesane do tyłu. Alberto kiedyś powiedział, że włosy Irene są tak dobrze wytresowane, iż gdyby im kazała, stanęłyby na sztorc i zaczęły szczekać. Młodszy brat Alberta, który dygotał z zimna, sprawiał dość sympatyczne wrażenie. Przywitał się, po czym uśmiechnął nieśmiało i skinął głową, kiedy Alberto wyjaśnił, że nie zna angielskiego. Akurat wiesziałem okrycia, gdy Rose wyszła z łazienki.

- Patrzcie, patrzcie! - zawołała wesołym, uradowanym tonem, wyciągając na powitanie obie ręce. - Co za miła niespodzianka! A pan jest zapewne bratem Alberta? - spytała, nim jeszcze zdążyła podejść do gości.

- Carlo niestety nie mówi po angielsku - rzekł Alberto.

- Och, jaka szkoda. - Rose zmarszczyła czoło i pochyliła głowę, jakby ta wiadomość przejęła ją wielkim smutkiem. - Ale przynajmniej zje z nami ciasto i napije się mojej świetnej kawy.

Gdyby tylko matka zamknęła usta i opanowała się, pomyślałem, gdyby tylko przestała drażnić ludzi! Powiesiłem płaszcze w szafie; kiedy zamykałem drzwi, zobaczyłem, że Alberto trzyma w objęciach Rose. Obejmował ją mocno i jakby się lekko kołysali. Rose stała na palcach i po pewnym czasie, gdy Alberto wciąż nie zwalniał uścisku, poklepała go delikatnie po plecach, jakby to ona jego pocieszała.

7

Na początku następnego roku wpadłem na trop dwóch kolejnych Butterfieldów. Najpierw trafiłem na Keitha, któ-

rego adres w Bellows Falls znalazłem w książce telefonicznej stanu Vermont. Już wcześniej kilkakrotnie dzwoniłem pod ten numer, ale nikt nie odpowiadał. Zostawiłem go jednak na swojej liście, a nawet postawiłem przy nim znaczek, dlatego że Vermont pasował mi do Keitha - Vermont albo Oregon, gdzieś, gdzie można pływać kajakiem, urządzać piesze wycieczki, gdzie nie ma współzawodnictwa; takie ciche, czyste miejsce, gdzie ceni się samotność i zapuszcza korzenie rodzinne. Któregoś wieczoru, kiedy szalała straszliwa zamieć śnieżna, znów wykręciłem numer w Vermoncie i po ósmym dzwonku usłyszałem głos, który niewątpliwie należał do Keitha.

- Cześć, Keith - rzekłem. Chciałem, aby powiedział coś jeszcze, żebym mógł się upewnić.

- Halo? Kto mówi? - spytał mocnym, czystym tenorem. Keith powinien być zostać folklorystą, kolekcjonerem dziewiętnastowiecznych pieśni z gór, lecz był zbyt niezdarny, żeby grać na banjo, i tak przeraźliwie nieśmiały, że krępował się nawet zanucić coś pod nosem.

- To ja. - Gdzieś na drugim końcu linii zaszczekał pies. Keith przykrył ręką słuchawkę. - Cicho, Ambroży! - krzyknął, po czym zwrócił się do mnie zniecierpliwionym tonem: - Kto mówi?

- To ja. David Axelrod.

- Tak też myślałem.

W tym momencie popełniłem błąd. Powiedziałem: „Nie odkładaj słuchawki”, co natychmiast uczynił. Zadzwoiłem ponownie, ale nie odebrał telefonu. Tego wieczoru napisałem do niego krótki list, przeproszając, że ośmieliłem się zadzwonić, i prosząc, abyśmy kiedyś - niekoniecznie w najbliższej przyszłości - mogli się spotkać i porozmawiać. Odesłał list podarty na kawałki, chociaż kiedy

przyjrzałem się adresowanej przeze mnie kopercie, miałem wrażenie, że była otwierana. Podarty list włożył do koperty wraz z kartką następującej treści: „Wiem z całą pewnością, że jesteś na zwolnieniu warunkowym i że nie wolno Ci niepokoić mnie ani kogokolwiek z mojej rodziny. Uprzedzam Cię, że jeżeli jeszcze raz się ze mną skontaktujesz, zawiadomię zarówno tutejszą policję, jak i policję w Chicago”.

W marcu zaś dowiedziałem się o miejscu pobytu Sama Butterfielda. Kiedy usiłowałem odgadnąć, nie mając żadnych wskazówek, co Sammy teraz porabia, uznałem, że prawdopodobnie uczy się w szkole przygotowującej go do studiów prawniczych na Harvardzie, szykując się do kariery politycznej. Wciąż traktowałem poważnie ambicje, które przejawiał w wieku dwunastu lat. Starając się odszukać Sammy'ego, zadzwoniłem do kilku ekskluzywnych college'ów, między innymi do Choate i Exeter - nie mieli go wśród swoich studentów, a przecież nie mogłem dzwonić po wszystkich college'ach. Okazało się, że Sammy uczy się w Beaumont, w północnej części stanu Nowy Jork. Pewnego wieczoru, wracając autobusem z pracy do domu, przeczytałem o nim artykuł w prasie. Tekst podała do wiadomości agencja UPI, a gdy po paru dniach poszedłem do biblioteki, zobaczyłem, że artykuł przedrukowało wiele gazet w całych Stanach.

STUDENT ODRZUCA PIENIĄDZE DARCYŃCĄ
WIELOLETNI PRZYJACIEL AGNEW Beaumont, Nowy Jork...
Roman Domenitz, znany biznesmen z Marylandu, wieloletni współpracownik wiceprezydenta Agnew, odwiedził ekskluzywną męską szkołę przygotowawczą w Beaumont, żeby podarować szkole pół miliona dolarów. Ofiarowując ten hojny dar, pan Domenitz, prezes firmy Ro-

dom, chciał uczcić pamięć swojego syna, Laurence'a Domenitza, który tuż przed ukończeniem szkoły zmarł w ubiegłym roku na białaczkę.

Samuel Butterfield, starosta trzeciego roku, został wybrany przez studentów Beaumont, żeby podczas obchodów stulecia tej wielce prestiżowej szkoły przyjął czek od pana Domenitza. Przemawiając z podium, na którym siedział sam wiceprezydent, młody Butterfield oświadczył: „Nie potrzebujemy pieniędzy Domenitza”. Rwąc na kawałki czek, Butterfield wymienił kolejno wszystkie zarzuty skierowane pod adresem Domenitza przez takie organizacje jak Narodowa Liga Miejska, Komitet Równości Rasowej oraz Narodowy Związek Popierania Mniejszości Rasowych.

Uroczystości związane z przekazaniem daru odbywały się w audytorium Bigelow mieszczącym się na rozległych terenach szkoły. Wśród gości znajdowały się rodziny studentów oraz absolwenci szkoły, między innymi generał Meryle Woods oraz Roger V. Addison, założyciel Addison International. Kiedy Butterfield podarł półmilionowy czek, rozległa się taka wrzawa, że policja oraz władze szkolne zmuszone były odwołać uroczystości i opróżnić audytorium. „Niewiele brakowało, a doszłoby do rozruchów” - oświadczyła Dana Mason, dyrektorka szkoły.

Nie udało nam się skontaktować z Samuelem Butterfieldem, natomiast dr Hugh Butterfield, zamieszkały w Camden, New Jersey, spytany, co sądzi o postępowaniu syna, odparł: „Sammy zawsze robi to, co uważa za słuszne”.

Fala studenckich protestów, która w ciągu ostatnich kilku lat ogarnęła amerykańskie szkoły i uczelnie, jak dotąd omijała Beaumont. W krótkim przemówieniu poprzedzającym uroczyste wręczenie czeku wiceprezydent Agnew pochwalił szkołę oraz jej uczniów za „wyniki w nauce, osiągnięcia w sporcie oraz patriotyczną postawę”. Wcześniej

zaś określił akcje protestacyjne studentów jako „najdłużej trwające juwenalia w historii Stanów Zjednoczonych”.

Prasa zamieściła również zdjęcie Sammy'ego. Miał jasne włosy obcięte na pazia oraz nieprzeniknioną twarz człowieka, który nie zdradza przed kamerą żadnych myśli ani uczuć. Niebieskie oczy, jedwabiste brwi, zgrabny, mały nos i uprzejmy, niewiele mówiący uśmiech: była to twarz godna gwiazdora filmowego, w przeciwieństwie jednak do twarzy aktorów twarz Sammy'ego pozbawiona była nie tylko zarostu, ale i pychy, która może tkwiła w nim gdzieś głęboko, lecz jeszcze się nie ujawniła. Chcąc się dowiedzieć bliższych szczegółów, dzwoniłem do różnych redakcji, ale nikt nie potrafił udzielić mi informacji, czy Sammy'ego wyrzucono ze szkoły, czy nie. Zadzwoiłem do Anny, żeby powiedzieć jej, iż wieść o skandalu, którego Sammy był sprawcą, dotarła do Chicago - „A skoro tutejsza prasa to podchwyciła, to znaczy, że wiedzą o tym wszędzie, pewnie nawet w Chinach” - a przy okazji zapytać, czy za karę skreślono Sama z listy uczniów.

- Wiem, do czego zmierzasz - odparła. Głos miała rozmarzony, jakby była lekko wstawiona. Wszędzie na północ od Florydy padał śnieg, lecz głos Anny brzmiał tak, jakby wygrzewała się na słońcu. - Nie lubię, kiedy do mnie dzwonisz, David. Peszy mnie rozmowa z tobą. Zawsze dzwonisz znienacka. To niesprawiedliwe. Bo ty wiesz, o czym mówić, a ja jestem zupełnie nieprzygotowana. Jeśli już musisz dzwonić, to przynajmniej podstępem nie wyłudź ode mnie informacji na temat moich dzieci.

Napisałem do Sama na adres szkoły, gratulując mu podarcia czeku kumpla Agnew. Kiedy zacząłem bywać w domu Butterfieldów, korzystałem z tego, że moi rodzice

mieli bogatą przeszłość polityczną. Wydawało mi się, iż poprzez osmozę wchłonałem dostatecznie dużo z nauki Marksa, aby móc ich wszystkich całkiem sporo nauczyć o lewicowych partiach politycznych. Ale, jak napisałem w liście do Sama, „oto Ty dokonujesz czynów wymagających prawdziwej odwagi, podczas gdy ja od czasu ukończenia szkoły średniej nie dałem publicznie wyrazu swoim przekonaniom politycznym; a nawet wtedy, gdy brałem udział w milczącym marszu, protestując przeciwko urządzeniom militarnym w Evanston, byłem z grupą pięciuset osób, a więc żadna krzywdą nie mogła mnie spotkać, nikt nie mógł mnie obciążyć winą”. Sammy nie odpisał, ale i nie odesłał listu podartego na strzępy. Chociaż wiedziałem, że tak nie jest, łudziłem się, iż jego milczenie stanowi pewną zachętę. Tydzień później wysłałem mu list z prośbą, żeby przekazał go Jade.

List od Anny.

Drogi Davidzie,

Mój biedaku. Najpierw odkładałam słuchawkę, kiedy dzwonisz, a potem piszę listy, które nie mieszczą się do skrzynki, i zmuszam Cię, byś ganiał po nie na pocztę. Ale przy Tobie zawsze mogłam sobie pozwolić na brak zdecydowania. Ciebie cieszyły targające mną sprzeczności, podczas gdy inni z rozpaczyny wyrywali sobie włosy z głowy. Wierzyłeś bowiem, że pod tą kapryśną naturą kryje się prawdziwa dama, która jest równie pewna swoich priorytetów uczuciowych, co i pochodzenia. Czy nadal tak uważasz? Mam nadzieję, że nie zmieniłeś zdania, bo już nikt inny o mnie tak nie myśli. Teraz jednak, kiedy sam musisz cierpliwie znosić moje fanaberie, zapewne szybko zapomnisz, z jaką przyjemnością patrzyłeś na dziwną synkopę moich nastrojów.

Synkopa nastrojów? Boże kochany, poza Tobą nie ma człowieka żywego lub martwego, którego uraczyłabym tym zwrotem. Ty zaś wytrzymasz wszystko i nie uczynisz nic, co mogłoby zagrozić naszej korespondencji. Wreszcie zrozumiałam, dlaczego niektóre kobiety - a może tylko dziewczyny? - odpowiadają na zamieszczone w pismach prośby więźniów i piszą listy do zupełnie obcych facetów odsiadujących wyroki. Ptaszek w klatce ma w sobie coś, co pociąga kobiety, a to wszystko wynik dyskryminacji kobiet na przestrzeni wieków.

Ale wracając do tego, co pociąga kobiety: Hugh przyjechał do Nowego Jorku. Jego obecna narzeczona, Ingrid Ochester, ma zaledwie dwadzieścia siedem lat, chociaż wygląda na tyle co Hugh. Diabli wiedzą, co ją tak postarzyło. Bo oprócz tego, czy lakier nie odprysnie z różnych donic i wazonów i czy jej ośmioletni syn - który ustawicznie podróżuje między Stanami a Arabią Saudyjską, gdzie jego ojciec zarządza przedstawicielstwem Pepsi-Coli - wylądaje bezpiecznie, Ingrid chyba nie ma żadnych zmartwień czy obowiązków. Należy do typu kobiet, z jakimi właściwie nigdy nie umiałabym się zaprzyjaźnić. Jest wygodnicka, dziwna, wywodzi się jakby znikąd i z niczego. Wychowywała się w zapadłych dziurach takich jak Camden, New Jersey, a wakacje spędzała z rodzicami w Easton w Marylandzie. Rodzice zarabiali na życie, sprzedając kanapy.

Hugh i ja pochodziliśmy z dwóch różnych światów, ale przynajmniej istniała między nami sympatyczna zbieżność. On wychował się w Nowym Orleanie, a ja w Nowym Jorku, lecz obie nasze rodziny, teraz podupadłe - i to bardzo podupadłe - były kiedyś zamożne; i jedni, i drudzy w podobny sposób zrzedzili i zatruwali nam życie. A Ingrid i Hugh? Cóż oni mogą mieć wspólnego? Nawet nie po-

trafię sobie dokładnie przypomnieć, jak się poznali. Jakiś tam kuzyn... jakaś przebita opona... Ale Ingrid jest cała zakochana - dzieci to potwierdzają - Hugh zaś zachwycony niczym kot, który pożera piątego z rzędu kanarka.

I to jest właśnie takie niesamowite. Po tylu latach Hugh wciąż ogarnia zdumienie, że kobieta może się w nim zakochać, i ponieważ ego ma tak słabe, a zarazem nienasycone, każdy flirt traktuje, jakby to był romans stulecia. Ilekroć czuje, że jakaś baba się nim interesuje, skwapliwie i bez zastanowienia ulega nakazom serca. Mimo że jest tak szaleńczo przystojny, porzuciło go zadziwiająco dużo kobiet. Każdy związek traktuje z tak niezwykłą powagą, że przeciętna młoda dziewczyna, która - podobnie jak przeciętny młody facet - pragnie czerpać same radości z życia, czym prędzej się wycofuje. Sam wiesz, jak strasznie serio Hugh podchodził do wszystkiego. Jak lubił głęboko rozmyślać, jak dokładnie pamiętać, jak szczegółowo określać różne odcienie swoich uczuć. Małomówny, zamknięty w sobie, potrafił ni stąd, ni zowąd wstać od obiadu, podejść do mnie, podnieść mnie z krzesła i - podczas gdy ja starałam się nie udławić jedzeniem - przytulić do siebie z całej siły i z całą powagą. Większość kobiet woli się obyć bez takich gestów.

Po pewnym czasie przychodzi moment, kiedy kobieta uświadamia sobie, że zachowanie Hugh nie wynika z tego, że zabiega o jej względy, tylko że taką po prostu posiada naturę. Obchodził na przykład wszystkie rocznice: dziesiątą rocznicę obiadu, na który jedliśmy gulasz z ryżu, jarzyn i krewetek, piątą rocznicę znalezienia domu, piątą rocznicę podpisania umowy o dzierżawę, piątą rocznicę wprowadzenia się. I tak bez końca, a co więcej, to nie są żadne zgrywy. Kiedyś po siedemnastu latach małżeństwa odkładałam na bok książkę i widzę wpatrzone w siebie skupione

niebieskie oczy Hugh, który siedzi na drugim końcu pokoju, bez słowa usiłując zgłębić moje myśli. „Chcesz pogadać?” - pytam. Ale nie, on nie chce gadać, on pragnie „zbliżyć się duchowo”. Ja byłam wychowana w dużej, gwarnej rodzinie i zawsze chętnie uczestniczyłam w wesołych towarzyskich rozmowach, więc to głucho, pełne powagi milczenie Hugh rozbrzmiewało mi w uszach z niezwykłą siłą. Ale ani razu nie czułam się nim zmęczona, chociaż z czasem stopniowo zaczęłam patrzeć na wszystko z ironią, z przymrużeniem oka. Do końca jednak wierzyłam, że droga, którą Hugh obrał, jest tylko dla wtajemniczonych, a on sam może mnie nauczyć czegoś bardzo ważnego.

Kiedyś myślałam, iż to Hugh uganiał się za mną, ale teraz zdaję sobie sprawę, że nawet te jego zabiegi w Cambridge były wprost chorobliwie nieśmiałe. Hugh odszukał mnie, kiedy w miejscowym piśmie literackim „Debiuty”, które drukowane było niebieską czcionką na żółtym papierze, ukazało się moje opowiadanie. Opowiadanie - typowe refleksje na temat młodej kobiety, trochę wzorowanej na mnie, umierającej z powodu nadmiaru ogłady i elegancji - było tak nاپuszone i pretensjonalne, że przez tydzień wstydziłam się pokazać ludziom na oczy. Hugh jednak, zachwycony tekstem, zdobył mój adres. Pewnego dnia dostałam uprzejmy liścik od nieznajomego, który zapraszał mnie do Parker House na daiquiri (ulubiony koktajl mojej bohaterki). Nie mogąc odmówić temu dobrze wychowanemu, życzliwemu mi człowiekowi, zjawiłam się w umówionym miejscu w czarnej sukni ze sznurem fioletowych koralików. Hugh miał na sobie dwurzędowy kremowy garnitur, przez cały czas trzymał w ręku „Debiuty” i mówił z południowym akcentem. (Wyczuł, że spodoba mi się taki stereotypowy dżentelmen z Południa). Wyraził głęboki podziw dla mojego talentu, spytał, jak

osiągnęłam te anemiczne, trzeciorzędne efekty i ogólnie rzecz biorąc, przeprowadził ze mną wywiad, tak jak Ty to uczyniłeś wiele lat później, kiedy zjawiłeś się u mnie z odbitkami opowiadań, które ukazały się w „New Yorkerze”. Tylko że wtedy byłam młodą, pełną życia dziewczyną, która siedziała w restauracji hotelowej, rozmawiając z obcym mężczyzną i która w trakcie drugiej szklaneczki daiquiri zaczęła marzyć o tym, aby ów mężczyzna sprawił jej tę największą przyjemność i wynajął na noc pokój w hotelu.

Gdybym wówczas wiedziała to, o czym się wkrótce przekonałam, mogłabym po prostu oznajmić: „Hugh, chcę być z tobą” i Hugh czym prędzej pognałby do recepcji, połykając ślinę tak łapczywie, że grdyka podskakiwałaby mu niczym piłeczka pingpongowa. Ale nie zdawałam sobie sprawy, jak dalece jest nieśmiały i wrażliwy: jeśli chodziło o seks, zawsze czekał na pozwolenie. Kiedy je dostawał, wstępował w niego istny szatan, wcześniej jednak albo zamykał się w sobie, albo flirtował w sposób tak niezdamny, jakby w ogóle nie posiadał libido. Gdyby nie jego oszałamiająca uroda, Hugh byłby bardzo nieszczęśliwym człowiekiem: potrafił co najwyżej okazać swoją gotowość, nie umiał natomiast sięgnąć po coś samemu. Ale skąd ja mogłam o tym wiedzieć? Minęło wiele tygodni pełnych rozterek i zwątpienia, zanim uświadomiłam sobie, że jeśli ma między nami do czegoś dojść, muszę przejąć inicjatywę. Wtedy to podczas sławetnej kolacji, zapalając świece, oświadczyłam: „Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją”.

Boże, chyba czuję się bardziej samotna, niż sądziłam, bo tak w kółko piszę o Hugh. Pewnie dlatego, że zbliża się pierwsza rocznica rozvodu. Sprzedaliśmy dom, sprzedaliśmy dziesięć nędznych akrów ziemi w Missisipi, którą mój teść podarował nam w prezencie ślubnym, i niczym dwoje sierot

zjawiliśmy się na rozprawie rozwodowej w Chicago; zaciskając proste białe zęby, kłamaliśmy jak z nut, żeby sędzia miał mniej skomplikowany i gorszący obraz naszego małżeństwa. Dziewczyna Hugh czekała na zewnątrz w nieprzepisowo zaparkowanej furgonetce.

Po wyjściu z sądu zafundowałam sobie taksówkę na lotnisko O'Hara, tak bardzo było mi śpieszno opuścić Chicago.

Z chwilą gdy sprzedaliśmy dom, rozwód stał się nieunikniony, podobnie jak nieuniknione jest, że cenne dokumenty zniszczą się i zgubią, jeśli nie będą przechowywane w przeznaczonym dla nich miejscu. Ten wielki dom na Dorchester posiadał jakiś przedziwny magnetyzm rodzinny, który trzymał nas razem, często w stanie zachwianej równowagi, ale jednak razem. Był nam przystanią, stacją kosmiczną - zresztą sam pamiętasz jego magiczny urok. Mieliśmy ogromne szczęście, że znaleźliśmy ten dom, toteż jego utrata była dla nas strasznym ciosem, zwłaszcza że nastąpiła akurat wtedy, gdy bardziej niż kiedykolwiek potrzebowaliśmy tych znajomych ścian i drewnianych podłóg, odgłosu cichego, swojskiego skrzypienia w piwnicy i widoku spokojnie zwisającej przed oknem gałęzi.

Ten dom był naszym talizmanem, w nim zrodziła się większość naszych wspomnień, posiadał jakieś właściwości zabezpieczające - chronił bowiem nas, nasze życie, nasze obietnice. Wygnani stamtąd czuliśmy się jak plemię wygnane z rodowych ziem: obrzędy rodzinne uschły niczym puste kokony. Pozbawieni znajomych drzwi, które się mijało i zatrzaśniało, kłóciliśmy się bez przerwy, a kłótnie przybierały na sile i ostrości. Och, te sprzeczki w hotelu, kiedy pokojówki sprzątały sąsiednie pokoje, a w holu odbywała się konferencja biznesmenów! A te dyskusje w nocy prowadzone szeptem u mojego brata w Maine; nawet kiedy brat z rodziną wyjechał

do Bostonu i przez kilka dni byliśmy sami, chodziliśmy na palcach, rozmawialiśmy cichym głosem i natychmiast zmywaliśmy po sobie naczynia. Byliśmy uchodźcami bez celu, których bardziej obchodziła kwestia wina niż potrzeba zawarcia zgody.

I wiesz, to nas łączy, Ciebie i mnie. Poczucie wina. Zapewne dlatego uznałeś, że możesz do mnie spokojnie zadzwonić, i zapewne dlatego rozmowa z Tobą wydaje mi się czymś naturalnym i nieuniknionym. Przeznaczenie sprzęgło nas ze sobą. Ty i tylko Ty podłożyłeś ogień, ale nigdy się już nie dowiemy, ile można by było uratować, gdyby nie paczka od mojego kuzyna z Kalifornii. Kiedy dostaliśmy przesyłkę zawierającą dziesięć porcji czystego LSD, po 0,25 mg... poczuliśmy się podnieceni i uprzywilejowani. Wszystkich nas ciekawiło... nie, bardziej niż ciekawiło, gorąco pragnęliśmy tego spróbować. Ale zawsze powstrzymywał nas strach przed nabyciem towaru od jakiegoś szaleńca na ulicy, który równie dobrze mógłby nam sprzedać strychninę albo środek uspokajający dla konia. Tym razem jednak, gdy mieliśmy w domu autentyczne LSD, i to w dodatku prosto z laboratorium, nic nie stało na przeszkodzie. Był to mój kuzyn, ja pisałam listy, i paczka była adresowana do mnie. Ale wszystko razem przedyskutowaliśmy i razem doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie - bo bardziej naturalnie i sprawiedliwie - jeśli wspólnie tego skosztujemy. Sądziliśmy, że nauczymy się czegoś niezwykłego, co może nas odmienić, a to, że postanowiliśmy w gronie rodzinnym przeżyć wspaniałe wizje, moim zdaniem świadczyło o naszym ogromnym przywiązaniu do siebie.

Kiedy jednak nadszedł czas, aby działać szybko i sprawnie, byliśmy bezradni niczym króliki na ruchliwej autostradzie. Miotając się w miejscu, poznaliśmy prawdę, którą trudno było zaakceptować: otóż gdy życie niemal wisi na włosku,

okazało się, że wcale nie jesteśmy rodziną; każdy przerażony, w popłochu i straszliwie osamotniony myślał tylko o sobie. Żadne z nas nie było w stanie logicznie rozumować, ale jestem pewna, iż wszyscy bardziej lub mniej wierzyliśmy, że spotyka nas kara za pogwałcenie równowagi chemicznej mózgu, że ogień stanowi przedsmak piekła, na które się skazujemy. Często zastanawiałam się (i ubolewałam) nad tym, dlaczego ogarnęła nas tak potworna bezradność, że nie potrafiliśmy nawet wyjść z domu, i za każdym razem powraca wspomnienie, że zasłużyliśmy na najgorsze.

Skoro mowa o winie, chciałabym obronić się przed Twoim oskarżeniem. Cytuję: „...kiedy zacząłem u was nocować, uznaliście, że Jade się nie wysypia, i w związku z tym kupiliście nam od Armii Zbawienia szerokie, używane łóżko, które zdezynfekowaliśmy środkiem owadobójczym, a następnie spryskaliśmy perfumami Chanel Nr 5”.

Sądysz, że to był mój pomysł? Może tylko perfumy, w każdym razie należały do mnie. Ale sam pomysł większego łóżka wyszedł od Jade i - śmiem twierdzić - od Ciebie. Czy naprawdę wydaje Ci się możliwe, że to ja chciałam Wam kupić szersze łoże? Czy naprawdę pamiętasz, żebym Wam to proponowała? A może uważasz mój brak sprzeciwu za formę poparcia? Nie rozumiesz. Wiedziałam, że oboje prawie wcale nie sypiacie, ale to nie miało nic wspólnego z wielkością łóżka, tylko z niezwykłą siłą waszych uczuć. Sama marzyłam o bezsenności, gdyż zdawałam sobie sprawę, z czego ona u Was wynika: z niechęci do rozłąki. Przerażało Was odosobnienie, w jakie się popada w trakcie snu. Nie chcieliście spać. Stąd te długie spacery po nocach. Myśleliśmy, że staracie się zmęczyć przed snem, ale teraz pojmuję cel Waszych trzykilometrowych wędrówek. Pragnęliście się rozbudzić; po drodze pewnie wstępowaliście jeszcze gdzieś na kawę.

Jade zawsze była wielkim śpiochem. W soboty i niedziele często sypiała do czwartej po południu. Spała na lekcjach, w autobusach, podczas wycieczek rodzinnych, jak starzec drzemała w kinie. Jej śpiączka nie uszła oczywiście naszej uwadze, ale traktowaliśmy ją jako pewien rodzaj ucieczki

- przed zbyt szybkim dorastaniem, od niezliczonych aspektów życia, które ją drażniły, i od nas. Jako dziewięcio- czy dziesięcioletnia dziewczynka zasnęła w wannie; kiedy ją zbudziłam - po części dlatego, że bałam się, iż może utonąć, po części zaś dlatego, że od godziny czekałam, by zwolniła łazienkę - Jade spojrzała na mnie z największym wyrzutem, na jaki ją było stać - a nawet wtedy stać ją było na wiele

- i oświadczyła: „Potrzebuję snu”. Była bardzo zazdrosna o swój sen i strzegła go, jakby stanowił cenny skarb. Gdyby mogła go ukryć, tak jak ja chowałam słodycze, co rusz natykałibyśmy się na sny i podświadome marzenia. W domu, w którym wszystkim się dzielono, o wszystkim rozmawiano, gdzie potrzeby były większe niż możliwości ich zaspokojenia, Jade zbudowała własny świat - obcy, niedostępny, niepodlegający krytyce.

Po tylu latach, gdy już przyzwyczailiśmy się do śpiączki Jade, nagle musieliśmy się przystosować do jej bezsenności. Kiedy pojawiły się pierwsze objawy - szkliste spojrzenie, zresztą sama się przyznała, że sypia około dwudziestu godzin tygodniowo - Hugh uciekł się do homeopatii i zaczął ją leczyć mikroskopijnymi dawkami środków pobudzających. Z początku dodawał jej do herbaty ziół o działaniu ożywiającym, później zaś, łamiąc swoje surowe zasady, zaczął dosypywać odrobinę dexedryny, doszedł bowiem do wniosku, że jakiś wewnętrzny kryzys, jakaś potrzeba czujności utrzymuje organizm Jade w stanie ciągłego rozbudzenia, i w myśl zasady homeopatii, że podobne leczy się podobnym, usiłował

usunąć przyczyny bezsenności, utrzymując Jade w sztucznym stanie rozbudzenia. Następnie rozpoczął leczenie inną metodą homeopatyczną przypominającą psychoanalizę, która, o dziwo, na ogół się mu udawała.

Hugh podejrzewał, że kochając się z Tobą, Jade znajduje się w stanie wiecznego podniecenia, czyli że jest stale niezaspokojona. Co prawda nie wyjaśniało to, skąd się bierze Twoja bezsenność, ale tym się specjalnie nie martwiliśmy. Ów trwający niedosyt seksualny, który jakby świadczył o „połowicznym” dziewictwie, istniał zapewne tylko w wyobraźni Hugh, mimo to usiłował on dyskretnie wy badać Jade na temat - jak to określił - jej „nocnego życia”. Nie uświadomił sobie, iż przekroczył granice własnej odwagi i że nie jest współczesnym Freudem, który może spojrzeć prawdzie w oczy niezależnie od tego, jaka by ona była i jakie wynikałyby z tego konsekwencje. Jade milczała, uparcie odmawiając udzielenia jednoznacznej odpowiedzi. Domyślała się chyba, co Hugh chce usłyszeć - że każdej nocy zostawiasz ją dyszącą z pragnienia i niezaspokojoną, ale bez względu na to, jak było w istocie, nie zamierzała mu nic mówić; czuła zbyt wielką lojalność wobec Ciebie i świata, który stworzyliście, a którego granic broniła niemal z patriotycznym oddaniem. Moja miłość i wara od niej! Toteż na pytania zadawane okreźnie odpowiadała wymijająco, a gdy Hugh przystąpił do bezpośredniego natarcia, krzyknęła z wściekłością: „Kradniesz to, co moje, i sobie przywłaszczasz!”. Posiadała wspaniałą umiejętność posługiwania się językiem Hugh, kiedy z nim walczyła. Wkładała ten sam mundur co oddziały Hugh i atakowała zza drzew i krzaków, podczas gdy ja walczyłam z nim jak armia brytyjska z naszymi siłami w czasie rewolucji - uczciwie, na otwartej przestrzeni, w widocznych z daleka czerwonych mundurach.

Bezsenność nie mijała. Nawet kiedy nocowałeś u siebie, sytuacja nie ulegała zmianie. Jade kładła się do łóżka wcześniej, wyraźnie licząc na niezmacony sen, ale przynajmniej jeszcze raz musiała zadzwonić do Ciebie, a często po godzinie lub dwóch budziła się i zasiadała do biurka: pisała do Ciebie list, rysowała Twoją twarz, układała wiersz o Tobie, czasem starała się nadrobić zaległości w nauce. Hugh był przekonany, że Jade coraz częściej zapomina o bieżących sprawach, że staje się coraz bledsza. Zastanawiał się nawet, czy nie zacząć jej dawać małych dawek środków uspokajających - zawsze miał mniejsze opory, stosując leki ot, tak sobie, dla rozrywki niż do celów leczniczych.

I tak przedstawiała się sytuacja w chwili, kiedy Jade poprosiła nas o prawdziwe, szerokie łóżko, jakie należy się kobiecie, która dzieli je z kochankiem. Śmieszne, że wypominasz mi taką błahostkę jak kupno łóżka, a pomijasz sprawę znacznie bardziej istotną: fakt, że w ogóle pozwoliliśmy Ci zostawać z Jade na noc. To tak jakbyś pochwalał nas za to, że uznajemy prawo młodych do seksu, natomiast kwestionował nasz wybór mebli. A co na to Twój rodzice, ludzie o tak szlachetnych zasadach? Dlaczego nie protestowali, kiedy niemal przeprowadziłeś się do nas na stałe? Przynajmniej Hugh i ja wiedzieliśmy, gdzie się znajduje nasza córka; wytyżając słuch, słyszeliśmy ją u siebie w pokoju. Prawdę mówiąc, nie mieliśmy serca Was rozdzielać, a siła, która od Was biła, działała w sposób dziwnie obezwładniający. Ponieważ nie wierzyliśmy, że seks jest grzechem czy zbrodnią, mogliśmy się sprzeciwiać tylko z jednego powodu: twierdząc, że nie dojrzeliscie do rozkoszy fizycznych, ale jak tu się sprzeciwiać, skoro Wasza miłość przyprawiała nas o piekącą zazdrość? Stanowiliście ucieleśnienie naszych na

wpół zapomnianych marzeń; odmawianie Wam prawa do seksu byłoby jak odmawianie sobie samemu.

Tak więc zgodziłam się na większe łóżko. Wierzyłam w Was, w Wasze uczucie, w świat, który stworzyliście. Dopiero gdy furgonetka przywiozła łóżko z Armii Zbawienia i postawiliśmy je w pokoiku Jade, zdałam sobie sprawę, że argumentacja Jade była zgoła fałszywa. Mażeńskie łoże nie zlikwidowało jej bezsenności. Nic nie było w stanie zmusić Was do snu. Miłość - każde silne uczucie działa jak narkotyk - jest czymś równie niezwykłym jak latający dywan czy sztuczki, jakie mag wyczynia na scenie. Odmienia każdego, kto je widzi i w nie wierzy. Miotaliście się po tym wielkim łóżku jak odurzone narkotykami bestie. Czasem, David, wydaje mi się, że Wasza miłość, bez względu na to, do czego doprowadziła, że widok Was razem, że świadomość tego, co dla siebie znaczą, oraz wiara w to, iż miłość jest całkiem odmiennym stanem świadomości - że wszystko to było ponad moje siły. I że w pewien sposób zniszczyło mi to życie.
Anna.

8

W styczniu rozpoczyna się czas, na wiosnę zaś rozpoczyna się życie: dla mnie wiosna zaczęła się tego dnia, kiedy po cichu udałem się do biura podróży na Jackson i State, żeby kupić bilet do Nowego Jorku. Był chłodny kwietniowy dzień, ponury i deszczowy, lecz wiatr niósł z sobą obietnicę spełnienia najbardziej szalonych marzeń. Zapłaciłem za bilet nowym studolarowym banknotem, niczym szpieg starając się zachować największą ostrożność. Bilet był na fałszywe nazwisko i bez rezerwacji na konkretny dzień.

Poczułem się zadowolony z siebie i odważny, jakbym stawiał czoło niebezpieczeństwu, które otaczało mnie ze wszystkich stron. To, iż naruszyłem prawo, pobudziło moją wyobraźnię, czułem się jak przestępca, który popełnił straszliwą zbrodnię. Zacząłem się zastanawiać, czy policja nie rozesłała wszędzie mojego rysopisu i czy ta sympatyczna kobieta, która przyjęła ode mnie pieniądze, nie spogląda teraz na moje zdjęcie przyklejone pod blatem do kontuaru. Wsunąłem bilet do kieszeni płaszcza i spuściwszy głowę, czym prędzej wyszedłem na ulicę.

Ukryłem bilet w mieszkaniu i cały czas marzyłem o wyjeździe. Z początku sądziłem, że stać mnie będzie na większą odwagę niż ta, jaką wykazywałem. Niczym ktoś z góry skazany na niepowodzenie, rozmyślałem o setkach rzeczy, które mogą nawalić. Ed Watanabe, mój kurator, może niespodziewanie zjawić się w szkole i dowiedzieć się, że mnie nie ma. Policjant może mnie aresztować za nieprzepisowe przejście przez skrzyżowanie na rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Broadwayu i wtedy wyjdzie na jaw, że pobyt w Nowym Jorku stanowi naruszenie warunków przedterminowego zwolnienia. Na mój widok Anna może zatrzaskać drzwi i wezwać policję. To wszystko mogłoby się zdarzyć, więc słusznie robiłem, rozważając różne możliwości, nie umiałem jednak powstrzymać wybujałej wyobraźni, która wciąż nasuwała mi koszmarne obrazy, dręcząc mnie niczym najbardziej zacięty wróg. Chciałem wreszcie przestać myśleć o konsekwencjach, tak jak się o nich nie myśli, skacząc z wysokiej trampoliny, zjeżdżając na nartach ze stromych, tonących w słońcu zboczy czy też uczestnicząc w jakiegokolwiek innej niebezpiecznej grze, zabawie czy sporcie, które ludzie wymyślili jako metaforę miłości.

Szykowałem się do podróży. Spakowałem walizkę. Kupiłem „The New York Times” oraz „The Village Voice”. Przeglądałem książki ze zdjęciami Nowego Jorku. Ilekroć słyszałem przelatujący samolot, zadzierałem głowę do góry, wypatrując go na de nieba. Systematycznie podejmowałem pieniądze ze swojego skromnego konta, zupełnie jakby operacje bankowe były kontrolowane przez agentów federalnych. Kiedyś w rozmowie z doktorem Ecrestem wyrwało mi się: „Wie pan co? Chciałbym pojechać do Nowego Jorku”. Gdy spytał po co, szybko wzruszyłem ramionami, przeklinając się w duchu, że bez potrzeby ryzykuję ujawnienie swoich planów. Lubilem Ecresta, toteż nieraz miałem ochotę przyznać mu się do rozmów międzymiastowych, do listów, które wysyłałem, i do grubych, napawających otuchą listów, które otrzymywałem od Anny. Często, zwłaszcza wtedy gdy byłem wściekły na siebie i zniechęcony, ogarniały mnie wyrzuty sumienia na myśl, że zmarnowałem tyle czasu, zarówno swojego, jak i Ecresta. Nie bardzo wierzyłem w skuteczność psychiatrii, ale faktem jest, że dano mi szansę leczenia się przez kilka lat u wybitnych, bardzo drogich specjalistów, a ja pilnując się, żeby nie zdradzić swoich tajemnic, tę szansę zaprzepaściłem.

W pracy nie zajmowałem się już pikietowaniem; przeniesiono mnie do chicagowskiej filii związku, gdzie pomagałem facetowi, kilka lat starszemu ode mnie, o nazwisku Guy Parker. Guy przekonał kierownictwo, żeby go zatrudniło i pozwoliło mu nakręcić półgodzinny film „przedstawiający walkę związku, od pierwszych zmagania z wyzyskiwaczami po wyzwanie rzucone przyszłości”. Z niesamowitym przejściem studiował taśmy i fotografie zgromadzone w archiwum związku. Oglądając zdjęcia robotnic, które poniosły śmierć, skacząc z okien płonącej fabryki, Guy uderzał

dużym białym palcem w swoje wysokie, lekko zarumienione czoło i rozmyślał na głos: „Każda z tych kobiet miała rodzinę. Ojca, matkę, męża, narzeczonego, może dzieci. Każda z nich miała własne życie. I nagle musiała skoczyć przez okno. Pomyśl tylko". Z każdego drobnego zdarzenia pragnął zrobić w filmie Wielką Scenę. Nudziły go negocjacje, społeczne budownictwo mieszkaniowe wyprowadzało go z równowagi; chciał pokazać strajki, bojkoty, pożary, płatnych zbirów, ofiary śmiertelne. Widział historię związku jako jedno wielkie pasmo dramatycznych wydarzeń; zaproponowałem, aby zatytułował film *Fabryczne sensacje*.

Jednakże praca z Guyem znacznie bardziej mi odpowiadała niż przemierzanie chodnika przed sklepem, a ponieważ zajmowałem się zbieraniem materiałów, istniała realna szansa, że prędzej czy później wyjadę służbowo do Nowego Jorku, gdzie mieściła się główna siedziba związku, a w niej różne cenne skarby, takie jak zdjęcia i dokumenty, i gdzie mieszkali dawni bohaterowie związkowi: Alma Hillman oraz Jacob Potofsky.

Guy nic nie wiedział o moim życiu osobistym i nic go ono nie obchodziło; podobało mu się natomiast to, że potrafię słuchać, toteż często zapraszał mnie do siebie na obiad albo na wódkę. Ponieważ jednak los jest nie tylko zmienny, ale i kapryśny, Guy bez przerwy napomynał o moim wyjeździe do Nowego Jorku, jednego dnia niemal każąc mi się szykować do drogi, nazajutrz zaś przesuwając termin na bliżej nieokreślony czas, aż w końcu nabrałem podejrzeń, iż cały ten wyjazd stanowi zmyślną pułapkę, i przestałem liczyć na obietnice Parkera. Mimo to skorzystałem z okazji, żeby się dowiedzieć, jakie czekałyby mnie konsekwencje, gdybym nagle postanowił wykorzystać własny bilet i polecieć na wschód. Spotkawszy się z Edem

Watanabe, wspomniałem mimochodem, że może będę musiał wyjechać służbowo na tydzień do Nowego Jorku. Ed zareagował tak błyskawicznie, jakby od dawna spodziewał się, że wystąpię z tym pomysłem.

- Nic z tego, David. Absolutnie wykluczone.

- Ale dlaczego? A gdybym dostarczył panu pisemne oświadczenie od mojego szefa, że muszę tam jechać?

- Nic z tego, nie da rady.

Dwa tygodnie później znów się spotkaliśmy. Był wieczór, wiosenna pogoda się popsuła. Padał chłodny deszcz, ciemnogrnatowe niebo wyglądało zaś tak, jakby od uderzenia pioruna miało się za chwilę rozpaść na tysiące drobnych części. Tym razem, zamiast u Eda w biurze, umówiliśmy się w barze Wimpy w centrum handlowym niedaleko mojego mieszkania. Kiedy się zjawiłem, Ed siedział już przy stoliku za przepierzeniem. Miał na sobie krótką kurtkę z cienkiej wełny, zapinaną na długie wąskie drewniane guziki. Zauważyłem, że był u fryzjera. Cesał się teraz jak typowy biznesmen, co sprawiało, że jego niemal przezroczyste, złociste uszy przypominały dwie bezbronne poczwaraki. Pachniał tak, jakby dopiero co wysiadł z nowego samochodu. Kiedy podszedłem do stolika, Ed wyciągnął dłoń na powitanie.

- Nic się nie martw. Wcale się nie spóźniłeś. To ja przyszedłem za wcześnie - powiedział, strzelając palcami, żeby przywołać kelnerkę; wyglądał jak niezdarny młodzian, który stara się pozować przed swoją dziewczyną na pewnego siebie światowca. Kelnerka podeszła i wyjęła notes, świadomie unikając naszych spojrzeń. Ed zamówił kawę, ja piwo imbirowe.

- Dlaczego wybrał pan akurat to miejsce? - spytałem. Bar Wimpy od lat był ulubionym miejscem spotkań młodzieży z Hyde Parku; Jade i ja zjedliśmy tu pewnie ze sto

hamburgerów, wiele z nich przy tym samym stoliku, który teraz zajmowałem z Edem.

- Lubię umawiać się poza biurem. Męczy mnie przesiadywanie w pracy od rana do wieczora. Poza tym wydaje mi się, że u mnie stajesz się bardziej spięty. Chciałbym, żebyś się odprężył, poczuł swobodniej; jeśli będziemy spotykać się w sympatycznym miejscu, to może, powtarzam, może uda ci się być ze mną bardziej szczerym.

Słuchanie Eda Watanabe było jedną z tych rzeczy, których najbardziej w świecie nie cierpiałem.

Kelnerka postawiła na stoliku piwo oraz kawę. Ed wrzucił do filiżanki tabletkę sacharyny, po czym na przemian zanurzając i wyjmując łyżeczkę, mieszał nią tak, jakby miał przed sobą gar zupy z warzywami, które w dodatku osiadły na samym dnie.

- Wciąż marzy ci się Nowy Jork? - spytał znienacka.

Zaskoczony zapomniałem, iż podczas ostatniego spotkania napomknąłem mu o wyjeździe, i przeraziłem się, że odkrył moje zamiary. Poczuję się zagrożony, ale po chwili przypomniałem sobie naszą rozmowę i wzruszyłem ramionami.

- No jak? Bo wzruszenie ramion może oznaczać „tak” albo „nie”, albo że nie masz ochoty odpowiadać na pytania. A więc?

- Oznacza to, że nie myślałem o tym. Bo co za sens?

- Brawo, David. Podoba mi się twoje nastawienie. Jeśli chcesz znać prawdę, to zaczynałem się o ciebie niepokoić. Jesteś inteligentnym człowiekiem.

- A co to ma do rzeczy?

- Dużo. Odkąd pracuję w tym zawodzie, mam liczne dowody na to, że człowiek o inteligencji wyższej niż przeciętna nie potrafi funkcjonować w obecnym systemie. Albo

system niszczy człowieka, albo człowiek stara się przechytrzyć system, ale nie ma, do diabła, sposobu na to, aby system, jaki istnieje teraz, dziś, mógł sprawiedliwie wymierzyć karę człowiekowi o wyższej niż przeciętna inteligencji. I dlatego, David, taki facet jak ty stanowi dla mnie wyzwanie, w sensie zawodowym oczywiście. Dziesięć razy więcej mogę się nauczyć o penologii od inteligentnego gościa niż od półgłówka, który zostaje schwytyany w trakcie włamania do sklepu spożywczego jakiegoś pana Goldberga.

- Czyżbym wyczuwał nutę antysemityzmu?

- Odpieprz się. Nie jestem anty cokolwiek. Jeśli już, to anty postawie anty i dobrze o tym wiesz. Kurczę, David, nie potrafisz docenić tego, co masz, a masz kuratora, który ciągle się ostatnio za tobą wstawia.

- Nie rozumiem.

- No dobrze - powiedział Watanabe, wzdychając nieco teatralnie. - Nie zamierzałem ci tego mówić, ale trudno. - Zawsze w ten sposób zaczynał, ilekroć chciał mi przypomnieć, że mam ograniczone prawa.

- Słucham.

- W porządku. Kilka dni temu ojciec przyjechał do Chicago.

- Ojciec? Jaki ojciec?

- Hugh Butterfield.

- Hugh był w Chicago?

- Tak.

- Widział się pan z nim?

- Nie. On mnie nie interesuje. Obchodzisz mnie ty, nie on. Ty.

- To skąd pan wie, że przyjechał? Dzwonił do pana?

- Dobrze, powiem ci. Nie zamierzałem, ale skoro pytasz... Butterfield przyjaźni się z prokuratorem, Kevinem

DeSoto. DeSoto interesuje się tą dziwną gałęzią medycyny, w której Butterfield się specjalizuje. Więc Butterfield przyjechał do miasta...

- Skąd?

- Nie wiem. Znikąd. Co za różnica? W każdym razie zjawił się w biurze DeSoto, twierdząc, że ma nowe dowody wystarczające, aby wytoczyć ci proces.

- Jaki proces? Sprawa jest już zamknięta. Nie mogą mnie sądzić po raz drugi.

- Butterfield chce, żeby ci cofnięto warunkowe zwolnienie.

- Dlaczego? Na jakiej podstawie?

- Diabli wiedzą. DeSoto nie puszcza pary z ust. Może blefuje?

Skinąłem głową.

- Butterfield nie może darować, że nie siedzisz zamknięty w lochach, o suchym chlebie i wodzie. DeSoto powiedział mu, że przebywasz na zwolnieniu warunkowym i masz bardzo ograniczone prawa, po czym dzwonił do mojego szefa, który umówił się z Butterfieldem. Butterfield podejrzewa, że ponownie będziesz się starał nawiązać kontakt z jego rodziną. Z tego, co wiem, jest cholernie przejęty, zupełnie jakbyś wczoraj spalił mu dom. Kiedy mój szef oznajmił, że nie zamierzamy cofnąć ci warunkowego zwolnienia, Butterfield mało nie oszalał. Twierdził, że nie zostałeś ukarany. Że szpital, w którym przebywałeś, bardziej przypominał ekskluzywny dom wczasowy niż dom wariatów. Że mogłeś robić wszystko, na co miałeś ochotę. I wiesz, co jeszcze powiedział?

Potrząsnąłem przecząco głową, chociaż dobrze wiedziałem.

- Że napisałeś list do jego syna.

- Wierutne kłamstwo - odparłem szybko i z głębokim przekonaniem.
- Tak sądziłem. I to właśnie powiedziałem szefowi, kiedy spytał, co o tym myślę. Że to kłamstwo. Powiedziałem mu też, że Butterfield nie docenia twojej inteligencji. To wariat, w dodatku uparty jak osioł. Stał w gabinecie szefa, zajmując jego cenny czas, i walił się w piersi, powtarzając w kółko, iż przysiągł sobie, że póki żyje, nie dopuści cię do swojej córki czy kogokolwiek ze swojej rodziny. Na to mój szef: „Proszę pana, od tego jesteśmy my, nie pan”. A Butterfield w krzyk, że nie wywiązujemy się ze swoich obowiązków i dlatego musi zająć się sprawą osobiście.

Ed wypił kawę do dna i wzruszył ramionami. Westchnąwszy głęboko, skinął głową.

- Martwię się na samą myśl o tym, jak ten wariat cię nienawidzi.

- Pan się tym martwi? Dlaczego?

- Nie wiem. Ale się martwię. A ty nie? Ciebie to nie martwi?

Potrząsnąłem głową.

- Chciałbym być tak opanowany jak ty. A mnie ciarki po krzyżu chodzą.

Nazajutrz, w sobotę, obudziłem się we łzach. Na ogół budziłem się, śniąc o spotkaniu z Jade, która na mój widok odwraca się i ucieka, a ja ją gonię, czasem przez Hyde Park, niekiedy przez las. Wkrótce, chociaż nie zwalniam tempa, odległość między nami wzrasta i Jade znika mi z oczu.

Tym razem jednak śniło mi się, że jestem w Rockville: w ciepły, słoneczny dzień siedzę przy dziecięcym drewnianym biurku, z głową opartą na rękach i zanoszę się płą-

czem. Obudziło mnie pukanie do drzwi: leżałem na łóżku w ciemnej sypialni, do której - ponieważ okna wychodziły na północ - nie docierało światło słoneczne. Wyrwany ze snu usłyszałem własny szloch, który brzmiał jak dochodzące z oddali szczekanie samotnego psa.

Łzy, które wylałem tego ranka, sztywne i obolałe na skutek niewygód spowodowanych własnym niedbalstwem (nierówny materac, zatechła bielizna pościelowa, niepowleczona gąbkowa poduszka z zimnym metalowym suwakiem), były jedynym mi dostępnym wyrazem bezbrzeżnej tęsknoty za Jade.

Odkąd podpaliłem dom Butterfieldów, wszystko w moim życiu przemawiało za tym, iż najlepiej będzie, jeśli zapomnę o Jade. A ja starałem się kurczowo trzymać tego, co - jak święcie wierzyłem - należało do mnie, obawiając się, że jeśli to stracę, nie pozostanie mi już nic. Teraz jednak zdałem sobie sprawę, że jestem coraz mniej pewien siebie. Czulem też, że część mojej osoby zaczyna pragnąć, aby ta miłość wreszcie wygasła. Uczucie do Jade dręczyło mnie niczym doskwierający upał, trawiło moje myśli jak gorączka, która nie daje się spędzić. Było to gorsze od żałoby, gdyż żal niweczyła nadzieja; nie mogłem nawet obrócić tej miłości we wspomnienia.

Wciąż pożerała mnie tęsknota za Jade. Pamiętałem dotyk jej małych, twardych paznokci u nóg, gdy klęczałem przed nią, trzymając w dłoni niklowane łańcuszki, ciemne znamię po wewnętrznej stronie uda, platynowe włoski, które podwójnym kołem otaczały jej pępek. „Zaufaj mi” - powiedziała, kiedy się kochaliśmy, pragnąc, abym jeszcze chwilę powstrzymał orgazm - leżała na mnie, wsparta dłońmi o moje ramiona, i poruszała się coraz wolniej, jakby czas powoli zamierał, ja zaś podrygiwałem

na materacu niczym rażony prądem. W jej ustach moje imię brzmiało jak tajemnica, i to nie dlatego, że wymawiała je szeptem, aczkolwiek często w pokoju pełnym ludzi tylko ja je słyszałem, i to była jedna z tysięcy zagadek, których nie potrafiliśmy wyjaśnić. Przez cały czas starałem się zachować w pamięci te obrazy, abyśmy się mogli nimi cieszyć, gdy znów będziemy razem, teraz jednak stawały mi przed oczami nieproszone, wyprawiały ze mną, co chciały, rządziły mną bezlitośnie.

Część druga

9

Sześć dni później przestałem snuć plany i o dziesiątej rano wsiadłem w samolot American Airlines odlatujący do Nowego Jorku. Nie zawiadomiłem nikogo - rodziców, szefa, szkoły, lekarzy czy kuratora, - całkowicie zaniechawszy wszelkiej ostrożności, jakbym był świadom, że i tak nie uda mi się ukryć prawdziwego powodu mojej podróży, spacerowałem po oszałamiającym swoją wielkością lotnisku. Kupiłem na drogę pisma, wyczyściłem buty u pucybuta i ani razu nie obejrzałem się lękliwie za siebie. Pierwszy wsiadłem do samolotu. Zająłem miejsce jak najbliżej przodu, tuż za wejściem do pierwszej klasy. Czytałem kiedyś, że im się bliżej siedzi kabiny pilota, tym większą ma się szansę przeżycia w wypadku katastrofy i chociaż nie bałem się, iż policja udaremni mi podróż, to jednak spotkanie z Anną wydawało mi się tak dziwne i przerażające, że dręczyła mnie obawa, czy los mimo wszystko nie zechce spłatać mi figła, zmieść tej długiej srebrzystej maszyny z nieba i cisnąć o równinny, niezamieszkały teren gdzieś w Ohio.

Wkrótce samolot zapełnił się pasażerami udającymi się do Nowego Jorku. Czuję się tak pijany myślą o misji, która mnie czeka, iż głęboko wierzyłem, że inni również

lecą spełnić niedorzeczne zadania podyktowane nakazem serca. Kobieta w średnim wieku, w ciemnych zielonych okularach przeciwsłonecznych, która zamówiła koktajl jeszcze przed odlotem, żołnierz trzymający niewinny bukietik stokrotek, nieogolony trzydziestokilkuletni mężczyzna z torbą pełną ubrań - kto wie, jakie decydujące sprawy zależą od tego lotu? Próżność i zniechęcenie sprawiały, że niekiedy czułem się osamotniony w swojej miłości, lecz teraz, gdy podjąłem wyzwanie rzucone mi przez serce, nie byłem już sam. Jeżeli miłość bez granic jest marzeniem, to jest ona marzeniem nas wszystkich, marzeniem bardziej powszechnym od pragnienia nieśmiertelności czy odbycia podróży w czasie, i jeśli czymkolwiek różniłem się od innych, to nie porywem, ale uporem, chęcią, aby przenieść owo marzenie poza wszelkie uznawane granice rozsądku i udowodnić, iż nie jest ono wytworem chorej wyobraźni, lecz stanowi rzeczywistość bardziej prawdziwą niż to naiwne, bolesne złudzenie, które nazywamy normalnym życiem. W końcu przecież objawy bezgranicznej miłości są identyczne dziś jak przed tysiącem lat, podczas gdy normalne życie zmieniło się w tym czasie tysiąc razy i na tysiąc sposobów. Co zatem jest bardziej prawdziwe? Zakochany i gotów poświęcić wszystko w imię miłości, czułem się bliski ludziom wszechczasów, zarówno Murzynom rozpaczającym na targach niewolników, jak i trubadurom, którzy w świetle księżyca grali pod balkonami, oraz - bez względu na to, czy tego pragnęła, czy nie - Jade. Gdybym uciekł od miłości, odsunął ją od siebie i żył tak, jak tego po mnie oczekiwano, kogo miałbym za współtowarzyszy? Dziennikarzy, Rose oraz szefa policji.

Obserwowałem mechaników, którzy sprawdzali coś pod skrzydłem samolotu. Przez chwilę wpatrywali się

w maszynę, po czym pokiwali głowami i odeszli. Jeden z nich poklepał wielkie srebrzyste skrzydło, tak jak się klepie psa. W geście tym było tak wiele podświadomej czułości, iż pożałowałem, że nie znam faceta. Słyszając, że ktoś zajmuje sąsiednie miejsce, odwróciłem się od okna i skinąłem głową na powitanie: ujrzałem chłopaka, mojego rówieśnika, który patrzył na mnie, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Byłem pewien, że to ty! - zawołał. - David Axelrod, jeśli się nie mylę?

Miałem normalny, jak sądzę, zdrowy odruch, żeby zaprzeczyć swojej tożsamości, jednakże z przyzwyczajenia potaknąłem.

- Nie poznajesz mnie? - spytał, dotykając ciemnych wąsów, jakby chciał je zakryć. - Chodziliśmy do jednej szkoły! Jestem Stu!

Tak, to był on. Stu Neihardt. Stu miał wysokie czoło, gładkie niczym skóra po wewnętrznej stronie ramienia, kędzierzawe kasztanowate włosy i wesołe oczy, które spoglądały na mnie zza grubych szkielek. Należał do ludzi, których się zna w szkole, a o których nigdy się potem nie myśli. Pamiętałem, jak na lekcji wuefu siedzi nad basenem z jasną chlorowaną wodą, jak stoi przy tablicy, przeprowadzając rozbiór zdania, jak w dniu, kiedy zorganizowaliśmy protest przeciw ćwiczeniom z obrony cywilnej, wali tacą w stół w stołówce, lecz aż do chwili obecnej Stu nie istniał dla mnie poza zajęciami, które razem musieliśmy cierpliwie znosić.

- Nie wierzę własnym oczom! - cieszył się, chwytając mnie za łokieć i potrząsając nim energicznie.

- To uwierz okularom.

- Lecisz do Nowego Jorku?

- Do Nowego Jorku? Myślałem, że lecimy do Denver! - Udając przerażenie, poderwałem się z miejsca.

Stu uśmiechnął się szeroko, abym przypadkiem nie pomyślał, że nie ma poczucia humoru.

- Nic się nie zmieniłeś, Axelrod.

Uwaga taka, nawet wtedy gdy jest czyniona w dobrej wierze, na ogół ma pewne zabarwienie krytyczne. Zlekceważywszy jednak aluzję do tego, iż nie wydorostałem, zastanawiałem się, czy przypadkiem Stu delikatnie nie daje mi do zrozumienia, że wie, co robiłem i gdzie przebywałem przez tyle lat, kiedy się nie widzieliśmy. Nasz rocznik był tak ogromny, że trudno się było przyjaźnić ze wszystkimi. Nie pamiętam, z kim się kolegował Stu, a te nieliczne osoby, które uważały mnie za przyjaciela, na pewno nie znały Neihardta. Mogło się oczywiście tak szczęśliwie złożyć, iż ostatnie wieści, jakie o mnie miał, to że zamierzam studiować na University of California; nie potrafiłem sobie przypomnieć, jaką uczelnię Stu wybrał, choć ni stąd, ni zowąd pomyślałem o Bates College.

- Co słyhać? - spytał, zapinając pasy i gasząc papierosa.

- Pracuję w związku pracowników przemysłu tekstylnego. Prowadzę dla nich badania historyczne.

Stu skinął głową.

- Wciąż ten sam David - powiedział z wyraźną, choć niezbyt entuzjastyczną aprobatą. Włożył następnego papierosa między swoje duże, wyschnięte wargi, lecz spostrzegłszy, że nad fotelem świeci się napis „Proszę nie palić”, wyjął go z ust i ostrożnie wsunął z powrotem do paczki.

- W tamtych czasach też ciągle o coś walczyłeś.

- W tamtych czasach? Ile ty masz lat, Stu? Sześćdziesiąt? - prychnąłem wymuszonym śmiechem. - Zresztą jest to praca jak każda inna.

Odwróciłem się i wyjrzałem przez okno. Samolot skręcał na pas startowy. Czy to wszystko aby nie sen?

Stewardesy stały w przejściu, demonstrując sposób użycia masek tlenowych, wskazując zapasowe wyjścia i starając się wprowadzić nas w przyjemny nastrój. Kiedy samolot nabrał szybkości, rozległo się przytłumione bzyczenie, i jedna ze stewardes przeszła pośpiesznie między rzędami, sprawdzając, czy wszystkie fotele są w pozycji pionowej.

- Nie nosi pasa - szepnął kątem ust Stu, kiedy nas minęła. - A ta cizia z przodu, ta z maską tlenową, nie ma stanika. Latałem w tym roku z pięćdziesiąt razy, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Pewnie te lale pieprzyły się z pilotami w kabinie i nie zdążyły się w porę ubrać.

- W dzisiejszych czasach kobiety rzadko noszą pasy i staniki.

- Spójrz. Znow idzie ta karliczka. Tylko popatrz, jak kręci dupą. Ta mi się najbardziej podoba.

Wznieśliśmy się w powietrze. Silniki huczały, szyby lekko drżały, świat zaś wyglądał z tej wysokości jak dziecięca zabawka.

- Po co lecisz do Nowego Jorku? - spytał Stu, gdy byliśmy już w górze.

- Tak sobie. Trochę się przewietrzyć.

- Nie studiujesz tam? Wydawało mi się, że zostałeś przyjęty na Columbię.

- Nie. Do Berkeley - rzekłem zerkając na niego z ukosa. Czy w istocie o niczym nie wiedział, czy też chciał mnie zmusić do zwierzeń? - Ale zrezygnowałem.

- Serio?

- Serio. A co u ciebie? Studiujesz w Bates College?

- A gdzie to?

- Nie wiem. Myślałem, że tam się dostałem.

- Nie. Chodzę do Downstate.

Mianem Downstate mieszkańcy Chicago określali University of Illinois w Urbanie. Urbana znajdowała się pół godziny samochodem od mojej Alma Mater w Wyon

- część personelu Rockville właśnie w Urbanie uzyskała dyplomy. Kiedyś, podczas odwiedzin, rodzice zabrali mnie do Urbany, gdzie w audytorium, które było skrzyżowaniem sali gimnastycznej ze stacją kosmiczną, koncertował Oscar Peterson. Ze wszystkich stron otaczali nas studenci w moim wieku. Byli jak na owe czasy niezwykle konserwatywni

- zresztą w Urbanie pod koniec lat sześćdziesiątych widziało się znacznie więcej moherowych sweterków i kraciastych spodni niż w innych miastach uniwersyteckich Ameryki. Staralem się skupić na muzyce, ale po pewnym czasie uczucie wyobcowania przeistoczyło się w zaciętą nienawiść. Dopiero gdy Rose zaczęła marszczyć czoło i dawać mi znaki głową, uświadomiłem sobie, iż siedzę tak strasznie skrzywiony, że bolą mnie mięśnie twarzy. Wyszliśmy podczas przerwy, krocząc dumnie między rzędami niczym pokonana mniejszość opuszczająca zebranie. Kłóciliśmy się przez całą drogę powrotną do Rockville: ja oskarżałem rodziców o to, że chcieli mnie upokorzyć widokiem dwóch tysięcy studentów cieszących się wolnością, Arthur głośno przeproszał, napomykając jednocześnie, że wiedział od początku, iż jest to poroniony pomysł, Rose zaś wpadła w istną histerię, zarzucając mi, że niepotrzebnie komplikuję wystarczająco skomplikowaną sytuację, Arthurowi, że nieuczciwie zrzuca z siebie odpowiedzialność, nam obu, że tylko czekamy na okazję, aby zmówić się przeciw niej, Rose. „Zawsze zostaję na uboczu. Chcecie, żebym czuła się jak intruz”. Siedziałem obok Stu i nagle, kiedy samolot wciąż wznosił się w górę, usłyszałem głos matki tak wyraż-

nie, że przebiegły mnie dreszcze. Latem szkoła, w której pracowała, była zamknięta. Wiedziałem więc, że Rose jest przeraźliwie samotna.

- Jak to się dzieje, że tak dużo podróżujesz? - Niczym piłkę przerzuciłem ciężar rozmowy na współtowarzysza lotu.

- Bo w czasie wakacji pracuję u doktora Schaeffera. To najlepszy dentysta w Chicago. Nie słyszałeś o nim?

- Nie.

- Jest naprawdę sławny. Występował w telewizji, pisali o nim w prasie. Niesamowity gość. - Stu wyciągnął spod fotela sporych rozmiarów teczkę. - Zamawia plombę i korony u świetnych techników w Nowym Jorku. Mają pracownię nad galerią sztuki i w ogóle są to najlepsi specjaliści na świecie. - Otworzył teczkę, pokazując mi kilkanaście odlewów zębów należących do pacjentów doktora Schaeffera. - Zostawiam im odlewy, a zabieram korony, które zamówiliśmy tydzień temu. Każda korona zapakowana jest w pudełeczko wyłożone fioletowym atłasem, tak jak pierścionek z brylantem u jubilera.

Nie za bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć, i zapadła cisza. Za oknem mijaliśmy chmury i mgłę, zupełnie jakbyśmy lecieli przez ogień. Wtem Stu klepnął mnie w kolano, wskazując głową przed siebie. Stewardesa pchała wózek załadowany plastikowymi kubkami, lodem, napojami orzeźwiającymi oraz małutkimi butelkami z alkoholem.

- Podoba ci się? - spytał, uśmiechając się przyjaźnie. Żałowałem, że nie znam go dość dobrze, aby kazać mu się zamknąć. Wzruszyłem ramionami, udając, że nie wiem, co z tym fantem zrobić.

- A co słyhać u tej lali, z którą chodziłeś? Biustu nie miała, ale była całkiem do rzeczy.

Na jego starannie ogolonej brodzie drgnął nieznacznie mięsień i nagle spadło na mnie jak grom z jasnego nieba, że Stu dobrze wie, gdzie spędziłem ostatnie lata, wie o pożarze i wyroku, i z jakiegoś powodu drażni się ze mną. Może nie potrafił przełamać nieśmiałości, może był zbyt zakłopotany tym, jak zmarnowałem życie, aby otwarcie się przyznać, iż wie o wszystkim? A może załatwiał w ten sposób jakieś stare, szkolne porachunki, o których nie pamiętałem? Zawsze uważałem go za naprzykrzającego się nudziarza i teraz mścił się na mnie z ponurym upodobaniem.

- Nawet nie wiem, gdzie przebywa - odparłem.

- Jade - stwierdził.

- Co Jade?

- Tak miała na imię, prawda? Jade Butterfield. Miała dziwną rodzinę. Jej ojciec był jakimś znachorem czy uzdrowiaczem.

- Nie. Był lekarzem. Miał stopień doktora. Po prostu zajmował się inną dziedziną medycyny.

Stu wzruszył ramionami, jakbym dzielił włos na czworo.

- Znałem jej brata, Keitha. Inteligentny gość. Nie wiesz, co teraz porabia?

- Nie wiem.

- On też był dziwakiem. Z nikim się właściwie nie przyjaźnił, chociaż czasem ni stąd, ni zowąd podchodził do człowieka i mówił: „Myślałem o tobie. Moglibyśmy się spotkać i pogadać po szkole?”. Słowo daję, wyciął mi taki numer. A ja, wariat, zgodziłem się. - Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- No i co ci powiedział? - spytałem. Z rozpędu dałem się wciągnąć w rozmowę tak jak kiedyś, wracając ze szkoły do domu, dałem się wciągnąć w bójkę: zaczepił mnie

chłopak, Murzyn, który zaczął się ze mną drażnić, a ja zamiast go minąć, naubliżałem mu.

- Nie pamiętam. Jakies tam psychologiczne brednie. Zresztą znałeś go lepiej niż ja. W każdym razie po tym spotkaniu przyszło mi do głowy, że Keith cały czas mnie bacznie obserwuje, a wiem o nim tylko tyle, że nigdy nie podnosi ręki w klasie, lecz ilekroć wzywany jest do tablicy, to zawsze prawidłowo odpowiada. Mówiłeś, że gdzie studiuje?

- Mówiłem, że nie wiem.

- I tak to się kończy - rzekł z zadowoleniem Stu. Spojrzał na mnie, unosząc swoje wielkie brwi, jakby chciał, abym go poprosił o wyjaśnienie tych mądrych słów.

- Co się kończy?

- Te szalone szkolne miłości. Zawsze myślałem, że najlepsze mnie omija, ale jak się okazało, nic nie straciłem. Na przykład ty i Jade, byliście tacy zakochani. A teraz? Teraz nawet nie wiesz, gdzie ona mieszka. No i co, może nie mam racji?

- Że nie wiem, gdzie mieszka?

- Nie, David. Że tak to się kończy. Znałeś Kenny Foxa?

- Słabo.

- Widuję go od czasu do czasu. W szkole miał dziewczynę, Aliène Kirsch, pamiętasz? Chodzili ze sobą dwa lata, Arlene zaszła w ciążę, miała skrobankę. Wiesz, jak Kenny zareagował, kiedy wspomniałem Arlene? Uśmiechnął się. Prawie jej nie pamięta. Dziewczyna studiuje teraz gdzieś na Florydzie i nawet do siebie nie piszą.

- Mówisz to z dużą satysfakcją.

- Nie, ale to ciekawe. Bo jest sobie taki łamaga jak ja, który przez całą szkołę czuje się dupowato, dlatego że nie przeżywa wielkiej miłości, że nigdy nie wie, gdzie ma

spędzić sylwestra. Podczas gdy wszyscy wkoło tracą dziewictwo i romansują na lewo i prawo, on trzepie konia.

- I co w tym dziwnego?

- Hola! - zawołał Neihardt, podnosząc głos. Jego agresywność ujawniała się stopniowo niczym ciemna, brudna woda pod topniejącym lodem. - Wiem, że nic w tym dziwnego. Nie musisz, do jasnej cholery, mnie pouczać, co jest normalne, a co nie. Po prostu mówię ci, co czuł taki facet jak ja, który zawsze był na uboczu. I który teraz widzi, że te wszystkie miłostki, jakie go ominęły, były gównem warte. Jestem z tobą szczery, czy ty naprawdę nic z tego nie rozumiesz?

W tym momencie doszła do nas stewardesa i spytała, czego chcielibyśmy się napić. Poprosiłem o sok pomarańczowy.

- Ja też, skarbie - rzekł Stu, a gdy nalewała sok do kubków, dodał: - A czym jeszcze dziś dysponujesz?

Stewardesa, starsza od nas o co najmniej pięć lat, jednym tchem zaczęła wyliczać różne soki owocowe i napoje, lecz Stu przerwał jej:

- Nie, nie, ja tylko żartowałem.

Wypił sok do dna, po czym ustawił fotel w pozycji pół-horyzontalnej.

- Pamiętam, jak spacerowaliście po korytarzach, trzymając się za ręce. Ciągłe chodziliście objęci. Chryste, te przytulone pary doprowadzały mnie do białej gorączki. No bo, kurwa, co to? Szkoła czy, do jasnej cholery, aleja zakochanych? Rozumiesz? Kenny i Arlene byli tacy sami, a nawet gorsi. Któregoś dnia wychodzę z lekcji trygonometrii, a ten wariat Kenny podsuwa mi palec pod nos. „Powąchaj, przyjacielu - mówi. - Przed chwilą tym palcem macałem Arlene”. - Stu roześmiał się ironicznie. - Szkoła średnia.

Cztery lata tortur. Wiesz, że przez cały ten czas tylko raz widziałem cucky? Właśnie Jade. I to przez przypadek, na wystawie naukowo-technicznej. Oboje staliśmy przy sprężarce wodnej wykonanej przez Marshę Bercovitz, kiedy Jade, której nie znałem - wiedziałem jedynie, że jest twoją dziewczyną - pochyliła się, aby obejrzeć model z bliska. Zauważyłem, że bluzka odstaje jej od ciała, więc pomyślałem sobie: „Zajrzyj, chłopie, może uda ci się coś zobaczyć”. Więc zaglądam i widzę toto. Jak dwa jajka smażące się na patelni. A ta różowa część wokół sutka była wielkości dziesięciocentówki, cała pomarszczona i ściągnięta. I na tym, kurwa, skończyła się szkolna edukacja seksualna Stu Neihardta. Wiesz, gdyby...

Nie wiem, co jeszcze zamierzał dodać. Od pewnego czasu miałem ochotę mu przyłożyć, ale bałem się, bo już sam wyjazd z Chicago stanowił naruszenie prawa. Musiałem mu jednak przerwać opowieść, w przeciwnym razie cała ekspedycja do Nowego Jorku właściwie mijałaby się z celem - ponowne zespolenie z tą częścią mojej osoby, którą uważałem za najcenniejszą, byłoby znacznie mniej realne. Pochyliłem się więc w bok i szybkim ruchem, jakbym łapał muchę, chwyciłem między dwa palce dolną wargę Neihardta. Starał się mi wyrwać, lecz trzymałem go zbyt mocno.

- Po co mi to opowiadasz? - spytałem szeptem, wykręcając mu wargę niby klucz w mechanicznej zabawce, najpierw o dziewięćdziesiąt stopni, potem o sto dwadzieścia, wreszcie o sto osiemdziesiąt.

Stu wrzasnął i pociągnął mnie za rękę, próbując się uwolnić, ale to go jedynie bardziej zabolalo. Usiłował się odchylić, uderzyć mnie, jednakże każdy najmniejszy ruch sprawiał mu dodatkowy ból. Powoli palce zsuwały mi się z zaślinionych warg Neihardta, a pomruki, jakie wydawał,

zaczynały zwracać uwagę pasażerów. Puściłem go, niepewien, jak zareaguje, ale Stu, pocierając wargi i mamrocząc coś pod nosem, opadł na oparcie fotela. Nie miał żadnego interesu w tym, żeby się ze mną bić, a w dodatku był przerażony.

- Czyś ty zwariował? - spytał.

- Może - odparłem. Oprócz trzech elegancko ubranych starszych pań, siedzących po drugiej stronie przejścia, inni pasażerowie zachowywali się tak, jakby nic nie słyszeli. Kiedy spojrzałem na staruszki, odwróciły wzrok, wszystkie trzy naraz, jak to się czasem zdarza siostrom czy najlepszym przyjaciółkom. Kilkakrotnie, nieco ostentacyjnie, wytarłem palce o spodnie, starając się myśleć o zwałach chmur, które znikwały pod srebrzysto-pomarańczowym skrzydłem samolotu. W skroniach mi łomotało; agresywność, z jaką zaatakowałem Neihardta, drzemała we mnie niczym źle usunięta drzazga. Nadal nie wiedziałem, czy jego słowa to pusta gadanina, czy może ma dziwny dar przewidywania przyszłości. Najgorsze jednak było nagłe uświadomienie sobie faktu, który dotąd udawało mi się ukryć przed samym sobą, a mianowicie, że odkąd w 1967 roku Hugh Butterfield zabronił mi przez miesiąc widywać się ze swoją córką, toczyłem wojnę z całym światem; wykręcenie wargi Neihardtowi było tego kolejnym przejawem.

I oto uczyniłem następny desperacki krok, lecz czy miałem jakikolwiek powód sądzić, że nie zakończy się jeszcze większym nieszczęściem? Naruszyłem prawo, opuściłem rodziców, oszukałem lekarza, zapewne stracę posadę w związku. Czy to wszystko było w imię szalonej miłości? Czy całe życie miałem kroczyć ścieżką wśród pustki, zgliszczy i min? A może ścieżka w ogóle nie istniała, może od początku zgliszcza i pustka były moim jedynym celem?

Jestem pewien, że tylko bardzo źli ludzie myślą, iż są uosobieniem dobroci, lecz kiedy siedziałem w fotelu trzy tysiące metrów nad ziemią, ogarnęły mnie takie wątpliwości, jakich nigdy w życiu nie miałem, dotyczące nie tylko moich zamierzeń czy stanu umysłowego, ale charakteru mojej najprawdziwszej istoty: zacząłem podejrzewać, że nie ma we mnie żadnych pozytywnych cech. Nie wynikało to z wyrzutów sumienia ani też z żadnego wstydu. Po prostu czułem się zagubiony i brzydziłem się sobą.

Do Nowego Jorku przybyliśmy z opóźnieniem, choć nie wiem, skąd ono się wzięło. Może lecieliśmy pod wiatr? Kiedy wylądowaliśmy, Stu wciąż siedział na sąsiednim fotelu. Albo nie wziął sobie do serca mojego wybuchu, albo po prostu się nudził, w każdym razie podjął na nowo rozmowę, za co byłem mu wdzięczny. W miarę upływu czasu coraz częściej powracał w rozmowie do seksu: opowiadał o dziesiątkach studentek, z którymi spał, o pomocy dentystycznej, którą doprowadził do orgazmu, dmuchając jej na łechtaczkę sprężonym powietrzem z urządzenia służącego do suszenia jamy ustnej, i o licznych barach oraz salonach masażu, do których stale uczęszczał, usiłując się wyleczyć z erotycznych ran odniesionych w wieku dorastania. Czułem się tak, jakbym słuchał steku kłamstw albo zwierzeń pięćdziesięcioletniego mężczyzny, który zbzikował na skutek zbyt wielu nocy spędzonych samotnie, ale jakoś obaj uznaliśmy, że mam mu nie przerywać.

Towarzyszył mi, kiedy czekałem na bagaż. Nie dość, że nie odstępował mnie na krok, to jeszcze zaczął namawiać, abym poszedł z nim do pewnego nowojorskiego burdelu i zakosztował płatnych rozkoszy.

- Sam tam nie byłem - wyjaśnił. - Ale przyjaciel mi mówił, że to najlepsze miejsce w Nowym Jorku. Trzydzieści dolców za wszystko, żadnych napiwków. Dziewczyny wściekają się, jeśli facet próbuje im wcisnąć coś więcej. Podobno jest tam bardzo fajnie.

Nasze bagaże pojawiły się równocześnie: duża niebieska walizka Neihardta stała tuż obok mojej nieco mniejszej beżowej torby, którą dawno temu dostałem od Arthura. Z miejsca wpadłem w popłoch. Dlaczego spośród wszystkich pakunków znajdujących się w bebeczach samolotu walizka Stu musiała wypłynąć akurat obok mojej? Torby sunęły po pasie w naszą stronę.

Stu chwycił swoją zdecydowanym ruchem, ja zaś podniosłem moją ostrożnie, gdyż poprzedniego wieczoru, kiedy pakowałem ją po brzegi, urwałem niechcący rączkę, która teraz przywiązana była sznurkiem.

- Antyk - skomentował Stu.

- Nie całkiem.

Zacząłem pograżać się w rozpacz. Nie żałowałem, iż przed godziną zadałem Neihardtowi ból, ale wciąż przerażała mnie własna gwałtowność. Nadal nie miałem żadnej pewności, czy Stu wie o tym, że spędziłem trzy lata w Rockville: nie dość mocno panowałem nad sytuacją i nad samym sobą, aby go o to spytać. Jeśli jednak lubi plotkować - a sprawiał wrażenie człowieka samotnego, o mściwej naturze, który plotkuje o każdym, z kimkolwiek się zetknie - wówczas to przypadkowe spotkanie może się z czasem okazać kolejnym pechem w moim i tak już pechowym życiu. Nie podejrzewałem go o to, że doniesie policji o moim pobycie w Nowym Jorku, ale fakt, iż wiedział, że opuściłem Chicago, zwiększał możliwość schwytania mnie. W razie czego Stu był naocznym świadkiem.

Wolnym krokiem, jakbyśmy się bali rozstać, wyszliśmy z hali bagażowej.

- Gdzie będziesz mieszkał? - spytał.

Nie zastanawiałem się nad tym, po prostu zamierzałem pojechać do centrum i poszukać niedrogiego hotelu.

- U przyjaciół - odparłem.

- Tak? A u jakich?

- U takiego jednego faceta.

- Znajomego z Chicago?

- Nie.

- A jak się nazywa?

Zatrzymałem się. Znajdowaliśmy się na dolnym poziomie La Guardii. Świat za oszklonymi drzwiami wydawał się niebieski niczym płomyk gazowy. Ujrzałem długi sznur taksówek oraz kilka ogromnych autobusów.

- Po co ci te wszystkie informacje?

- Na wypadek, gdybym chciał do ciebie zadzwonić - odparł Stu, wzruszając ramionami. - Słuchaj, mam rezerwację w Taft Hotel. W samym centrum.

Skinąłem głową.

- Facet, u którego będę mieszkał, nazywa się Ben Ecrest.

- Jaki ma numer telefonu?

- Nie pamiętam. Ale jest w książce telefonicznej. Mieszka w Greenwich Village.

- Straszne miejsce. A może byśmy wzięli jedną taksówkę? Wypadnie po trzy dolce na łebka. Opłaca się.

- Niestety. - Myślałem, że się pożegna, lecz twardo mnie nie odstępował. - Umówiłem się tu z Benem.

- Aha. Może mógłbym się z wami zabrać na Manhattan? Dalej dojechałbym sobie metrem. Miałbym więcej forsy na różne przyjemności.

- Jeśli ci się nie śpieszy.

- Jak to?
- Ben się spóźni. Przyjedzie koło drugiej.
- Masz ci los! O drugiej jestem umówiony na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Nie może przyjechać wcześniej?
- Pracuje.
- To zadzwoń do niego, powiedz, że bierzesz taksówkę, więc niech się nie fatyguje.

Lęk ustąpił miejsca potwornemu znużeniu. Wydawało mi się, że bez względu na to, co powiem, Stu będzie miał następną propozycję nie do odrzucenia. Różne kłamstwa coraz łatwiej przychodziły mi na język, czułem wręcz, że godzinami mógłbym tak stać i opowiadać mu o moim wyssanym z palca przyjacielu.

- Pracuje. Nie mam jak się z nim porozumieć.
- To on nie pracuje w biurze?
- Nie.
- Co robi?
- Jest gliną.
- Gliną? Twój kumpel z Nowego Jorku jest gliną?
- Tak. Dziwne, prawda?
- Dziwne? Czyś ty oszalał? To wprost nie do wiary. Przyjaźnisz się z gliniarzem?
- To naprawdę fajny gość. Nigdy byś go nie wziął za policjanta. Pali trawę. Poza tym jest socjalistą.
- To w twoim stylu, znać jedyne go gliniarza hippisa.

Nagle uświadomiłem sobie, że mogę wszystko przedobrzyć. W tak wspaniałych barwach przedstawiałem mojego zmyślonego przyjaciela, że Stu niemal gotów był machnąć ręką na korony w wyłożonych atlasem kasetkach, które miał odebrać. Widziałem, jak się waha, czy jednak nie poczekać ze mną: walczył sam z sobą niczym ktoś, kto z jednej strony pragnie obejrzeć film pornograficzny,

a z drugiej strony wstydzi się podejść do kasy. Stu wyrzał przez oszklone drzwi. Większość pasażerów czekających na przystanku wsiadła już do autobusu. Kierowca zajmował miejsce.

- Jadę tym autobusem - postanowił, chwytając mnie za ramię. - Nie zapomnij. Taft Hotel. Pamiętasz moje nazwisko?

- Tak. Neihardt.

Popatrzył na mnie zadowolony, a nawet lekko wzruszony.

- Zadzwoń - rzekł, odwracając się. - Zadzwoń, to gdzieś się razem wybierzemy.

Odczekałem kilka minut, zanim opuściłem lotnisko. Znalazłem książkę telefoniczną i chociaż znałem na pamięć numer telefonu i adres Anny, a nawet miałem zapisane na odwrocie karty bibliotecznej, którą nosiłem w kieszeni, sprawdziłem jeszcze raz. Na widok jej nazwiska zrobiło mi się rażniej, toteż wsiadłem do taksówki z większą pewnością siebie i zdecydowaniem. Poprosiłem kierowcę, żeby zawiózł mnie do domu towarowego „Macy's”. Nigdy nie byłem w Nowym Jorku i nie miałem pojęcia, gdzie szukać hotelu, te zaś, których nazwy pojawiały się w prasie, to - jak dobrze wiedziałem - ekskluzywne hotele stanowczo nie na moją kieszeń. Ponieważ „Macy's” znajdował się w centrum Manhattanu, wydawało mi się, że w pobliżu musi być ich sporo. Kierowca prowadził samochód tak, jakby był przyzwyczajony do jazdy motocyklem. Pędził, niemal najeżdżając na pojazdy sunące przed nami, co msz zmieniał pasy, wyprzedzając prawie wszystkich na zatłoczonej autostradzie.

- Tunelem?! - zawołał przez ramię.

Nie byłem pewien, o co mu chodzi, ale bojąc się, iż weźmie mnie za prowincjusza, odparłem, że tak. Po

drodze utknęliśmy w korku, z którego nie mogliśmy się wydostać. Po prawej stronie ciągnął się w nieskończoność jeden z tych wielkich cmentarzy, na które my, przybysze, patrzemy z dezaprobatą, jakby tak duża ilość zmarłych źle świadczyła o mieście. Po lewej zaś stał ogromny srebrzysty autobus, z bokami ochlapanymi błotem i z warczącym silnikiem.

Po kilku nużących podejściach wreszcie udało mi się wynająć pokój w hotelu McAlpin. W holu kręciło się sporo osób, które wyglądały jeszcze bardziej nieswojo i nie na miejscu niż ja: mężczyźni w zielonych spodniach i wąskich krawatach, jakaś Azjatka z półmetrową fryzurą, para podstarzałych nastolatków z brudnymi plecakami, którzy jedli krakersy i starali się jak najmniej rzucać w oczy i którzy bardziej przypominali rodzeństwo niż kochanków; uciekli zapewne z domów, co ostatnio zrobiło się szalenie modne, i kręcili się po holu nie dlatego, by skryć się przed deszczem, pogoda bowiem była ładna, ale dlatego, że zmęczyła ich ustawiczna tułaczka. Obok, w ogromnej sali konferencyjnej, scjentolodzy prowadzili testy charakterologiczne wśród ludzi, których zwabili z ulicy. Przechodnie, biznesmeni i urzędnicy, którym nie śpieszyło się z powrotem do biura, siedzieli na składanych krzesłach, odpowiadając na pytania dotyczące ich przeżyć, podczas gdy kilku scjentologów ze srogimi minami przemierzało salę, jakby pilnowali porządku na egzaminie.

Gdybym zamierzał popełnić samobójstwo, pokój, w którym zamieszkałem, świetnie nadawałby się do tego celu. Włączyłem telewizor i zacząłem się rozpakowywać. Kiedy zadzwonił telefon, rzuciłem się do słuchawki z dziką, nieokreśloną nadzieją. Odezwała się recepcja. Kobiety głos przeprosił, że to pomyłka. Odłożyłem słuchawkę pe-

łen żalu i bliski obłądu. Wziąłem prysznic - stojąc pod silnym, gorącym strumieniem, wreszcie sobie uświadomiłem, że jestem w mieście, w którym przebywa Anna Butterfield, i w tym momencie serce zabiło mi tak mocno, że musiałem oprzeć się rękami o mokre kafle, żeby nie upaść. „Co jej powiedzieć?” - usłyszałem; byłem tak strasznie skołowany, że dopiero po chwili rozpoznałem własny głos.

Nie miałem zamiaru tracić tyle czasu, ale nie potrafiłem temu zaradzić. Siedząc w pokoju hotelowym, wpatrzony w telefon, czułem się bliżej Anny i Jade niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich prawie czterech lat, i bałem się, że na skutek niewłaściwej reakcji Anny czar może prysnąć. Nagle przyszło mi do głowy, że rozmowa telefoniczna z Anną nic nie da i że po prostu muszę ją odwiedzić. Mieszkała na Dwudziestej Drugiej Ulicy.

Wyszedłszy z hotelu na Trzydziestej Czwartej Ulicy, skręciłem w Szóstą Aleję. Nie był to Nowy Jork znany mi z filmów ani taki, jak go sobie wyobrażałem. Małe sklepiki, niektóre zamknięte, inne pełne bubli za brudną szybą wystawową, kawiarenki żydowskie na przemian ze sklepami o różnym asortymencie towarów, bary uczęszczane przez starców, hurtownia artykułów bielizniarskich, na ulicach mnóstwo taksówek i przeraźliwie hałaśliwych ciężarówek, mleczone, zamglone słońce, kwaciarnie ciągnące się przez długość trzech przecznic, gdzie zapach tektury i benzyny nagle ustępuje miejsca woni eukaliptusów i goździków.

Na Dwudziestej Drugiej skręciłem w złą stronę i przez pewien czas szedłem na zachód, mijając wytwórnie torebek i odzieży damskiej oraz małe restauracyjki o hiszpańskich nazwach oświetlonych czerwonymi i zielonymi neonami. Spytałem o drogę kierowcę ciężarówki, który kazał

mi zawrócić na wschód. Koszula lepiła mi się do pleców, i to nie tylko z powodu upału. Przeszedłem Piątą Aleję - gdzie zamiast znanych mi ze słyszenia domów mody mieściły się fabryki zabawek - i dalej wędrowałem Dwudziestą Drugą Ulicą, mijając pojedyncze drzewka i ogromne, okazałe budynki, jedne puste, inne zajęte przez niewielkie wytwórnie. Nie było śladu chicagowskich zakładów przemysłowych, kiełbasek, stali. Tutaj produkowano ozdobne pudełka, flagi i sztandary oraz dziewczęce płaszcze przeciwdeszczowe. Gdzieś pojawiał się dom mieszkalny z pelargoniami w skrzynkach okiennych i kratami w wąskich oknach zabezpieczającymi przed włamaniem. Zauważyłem również bar z zimnymi zakąskami, a na poziomie sutereny hinduską restaurację, w której oprócz obsługi pijącej przy stole herbatę i czytającej prasę nie było nikogo. Doszedłem do Park Avenue, zupełnie innej, niż sobie wyobrażałem, i znalazłem się przed bankiem, o jakim mógłby śpiewać wczesny socjalista trubadur: cegły wielkości materacy, mieniący się blask żyrandoli w wysokich łukowatych oknach. Numery domów szybko się zwiększały. Patrząc na wschód, ujrzałem wystającą nad chodnik ciemnozieloną płócienną markizę z wydrukowanym na biało adresem Anny. Przez całą drogę starałem się zachować spokój, teraz jednak krew zaczęła mi gwałtownie pulsować i ogarnęła mnie tęsknota oraz strach, jakiego nie czułem od czasu, gdy czekałem w gabinecie sędziego Rogersa, aż ten wyznaczy mi karę za podłożenie ognia.

Przed domem Anny mężczyzna w średnim wieku, o długich siwych włosach i grubych szklach w drucianej oprawce, polewał wodą chodnik. Kiedy go mijalem, skierował strumień wody nieco w bok, żebym mógł przejść, nie mocząc butów. Z nerwów kręciło mi się w głowie,- wszyst-

ko było niebezpieczne i chwiejne. Solidne drzwi prowadzące do holu pokryte były grubą ozdobną kratą w stylu retro. Od dziesiątków lat zarówno małe dzieci, jak i schorowane staruszki otwierały te drzwi bez najmniejszego trudu, ja jednak musiałem użyć całej siły, żeby je pchnąć, czułem się bowiem tak, jakby z rąk wyjęto mi kości, spuszczone krew i wpompowano do żył słabą, wrzącą herbatę. Hol był mały, chłodny, wykładany zielonym marmurem. Przy zamkniętych oszklonych drzwiach widniało chyba ze sto dzwonek. Kiedy szukałem nazwiska Anny, przeskakując wzrokiem z jednej kolumny na drugą, drzwi się nagle otworzyły i ukazała się w nich piękna, blada młoda kobieta o rysach twarzy jak na egipskich rzeźbach. Obok kręciły się niecierpliwie dwa spore psy - airedale terrier oraz wilczur, który z zapalem zaczął mnie obwąchiwać w okolicy ud.

- Judy! - szepnęła kobieta, ciągnąc smycz, po czym zwróciła się do mnie: - Dobrze się pan czuje?

Skinąłem głową, ale podświadomie szukałem chyba pomocy, gdyż zupełnie mimo woli przyłożyłem rękę do czoła. Kobieta strzeliła palcami i psy posłusznie usiadły.

- Jest pan pewien? Wygląda pan, jakby...

- Jakby co?

Podniosła dłoń, zaginając lekko palce, jakby miała zamiar płynąć kraulem, po czym opuściła ją, wydając przeciągły gwizd.

- Nie, nic mi nie jest - powiedziałem, odwracając wzrok. Nagle dojrzałem: Ramsey - 7G.

- Na pewno? Boję się, że kiedy wrócę z parku, pan będzie tu leżał nieprzytomny.

Mój Boże, jakaż ona piękna, pomyślałem. Co się ze mną dzieje? Kobieta ubrana była w beżowe spodnie i przewiewną niebieską bluzkę z podwiniętymi rękawami.

Przedramiona miała szczupłe i twarde - długie mięśnie, wyraźnie zaznaczone żyły i ścięgna; tylko wariat nie chciałby się znaleźć w jej objęciach.

- Czy gdzieś w pobliżu jest telefon? - spytałem. Nie wypadało ot tak nacisnąć dzwonek do mieszkania Anny,- musiałem ją ostrzec, dać jej szansę wykręcenia się od spotkania.

- Tak, na rogu.

Spojrzała na psy, które wstały i zaczęły merdać ogonami. Z trudem otworzyłem ciężkie drzwi i wyszliśmy na zewnątrz. Dozorca wciąż polewał szlauchem chodnik. Strumień skierowany był na łupinkę od orzecha, która pod naporem wody toczyła się po chodniku, aż wreszcie spadła na jezdnię i znikła w rynsztoku. Psy łapczywie spijały wodę.

- Dzień dobry, Rolf - powiedziała moja towarzyszka. Rolf skinął głową.

- Dzień dobry, panno LaFarge.

Doszliśmy razem do skrzyżowania i stanęli przy starej budce telefonicznej.

- Siad, Judy. Siad, Steve - poleciała psom kobieta, po czym włożyła rękę do kieszeni i wyciągnęła dziesięciocentówkę.

- Proszę - rzekła, wsuwając mi ją do ręki. - Może zaczekać, aż pan skończy?

- Nie, dziękuję. Naprawdę nic mi nie jest.

Przeszła z psami na drugą stronę Park Avenue. Patrzyłem, jak odchodzi, powtarzając w myśli jej nazwisko i żałując, że jej nie znam. Samotny, bez celu w życiu, zawarłem mdławą, nijaką przyjaźń z dziewczyną z kręgu znajomych Warrena Hawkesa, ale panna LaFarge rozbudziła we mnie nieśmiałą żądzę, co z miejsca wyróżniło ją spośród wszystkich kobiet, jakie spotkałem, a nawet jakie

widziałem, odkąd rozdzielono mnie z Jade. Czułem, że jej obecność przenika mnie niczym promienie słońca przenikające ciemny las i że zna moje myśli, kiedy odprowadzam ją wzrokiem. Życie było jak sen, popołudnie jak wieczność, wszystko miało wiele różnorodnych znaczeń, wiele odmian magii. Świat znów był jasny i pogodny jak wtedy, gdy zasypiałem w objęciach Jade i budziłem się, widząc jej włosy na swojej poduszce. Wrzuciłem monetę i przerywając ciągły sygnał, wykręciłem pierwszą cyfrę numeru Anny. Wciąż byłem zdenerwowany i oszołomiony, nadal pociełem się jak ruda mysz, lecz nie czułem już strachu i zakłopotania,- pierwszy, a zaraz po nim drugi dzwonek wprowadził mnie w świat, w który wierzyłem, jedyną rzeczywistość, której pragnąłem. Nie miało teraz żadnego znaczenia, czy nogi pode mną zdrzą, czy stracę przytomność, albowiem wreszcie znalazłem się w polu siły, w polu emocji o najwyższym stopniu napięcia, które było wspanialsze, większe i bardziej potężne niż to wszystko, co dotąd znałem.

Nie pamiętam, jak wykręcałem pozostałe cyfry, nie słyszałem, jak telefon dzwoni, ale nagle w słuchawce odezwał się głos Anny.

- Halo? - Jej „halo” zawsze było pytaniem zadany tajemniczym, nieco zażenowanym głosem.

- To ja - odparłem. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mogłaby mnie nie rozpoznać. - Jestem dosłownie dziesięć metrów od twojego domu. Czy mogę wpaść? Albo zaprosić cię gdzieś na kawę?

Po drugiej stronie zapanowało milczenie. Słyszałem w tle muzykę klasyczną, obok zaś ryk syreny: wóz policyjny pędził w kierunku północnym, rzucając czerwony blask świateł na szybę budki.

- To naprawdę ty? - spytała wreszcie Anna. Głos miała opanowany. Wiedziałem, że mnie rozpoznała, toteż ten brak emocji rozczarował mnie, a zarazem podniósł na duchu. Najwyraźniej nie zamierzała skakać do góry z radości, ale i nie wzdrygnęła się ze wstrętem jak na widok ohydneho robaka wypełzającego spod skały.

- Czy mogę cię odwiedzić? Przyjechałem dziś i mieszkam w hotelu. Chciałbym się z tobą zobaczyć, porozmawiać.

- Bez przerwy mam gości. Dopiero co Keith koczował u mnie na kanapie.

- Jest u ciebie Keith?

- Nie, wyjechał dziś rano.

- Czy mogę przyjść, Anno? Zawahała się.

- Jeśli chcesz - rzekła wreszcie. Przez chwilę czekała na odpowiedź, po czym odłożyła słuchawkę.

Wróciłem do budynku, w którym mieszkała, i nacisnąłem dzwonek: drzwi się otworzyły. Niedużą windą o ścianach pokrytych boazerią wjechałem na szóste piętro. Zdawałem sobie sprawę, że byłoby bardziej naturalne, gdybym gorączkowo rozmyślał o mającym nastąpić spotkaniu, o tym, co powiedzieć Annie, lecz przyszłość stała odwrócona do mnie plecami, ostrzegając, abym nie ważył się zajrzeć jej w twarz. Kiedy winda zatrzymała się z lekkim szarpnięciem, wyszedłem na przestronny korytarz o białym suficie, wyblakłych różowych ścianach i lśniącej czarnej podłodze. Mieszkanie Anny znajdowało się na samym końcu. Drzwi, świeżo pomalowane na biało, miały ozdobną ołowianą klamkę, kształtem i wielkością przypominającą piłkę do krokieta. Zapukałem. W nodze chwycił mnie skurcz; przesuwał się w górę niczym pęche-

rzyk powietrza w strzykawce. Zapukałem po raz drugi i wreszcie rozległ się odgłos kroków.

Anna ubrana była w sięgającą kostek jasnozieloną sukienkę z ciemniejszą lamówką i szerokimi, luźnymi rękawami. Kasztanowate włosy zaczesane miała do tyłu, oczy zaś ukryte za dużymi, lekko przyciemnionymi okularami. Wyperfumowana, stała w złotych plecionych sandałach, które odsłaniały jej polakierowane paznokcie u nóg, w jednej ręce trzymając tom wierszy Sylvii Plath, drugą opierając na biodrze. Sprawiała wrażenie zupełnie opanowanej.

- Wiesz, że nie lubię niespodzianek - oznajmiła. - A ty mnie wciąż czymś zaskakujesz.

Nie zaprosiła mnie do środka, lecz przesunęła się na bok, robiąc mi przejście. Przedpokój był długi i wąski. Na ścianach wisiały grafiki i rysunki, między innymi również holenderski plakat kolejowy, który niegdyś wisiał na Dorchester na piętrze między sypialnią Anny i Hugh a pokojem Sammy'ego. Zdziwiło mnie, że przetrwał pożar.

- Ostał się? - spytałem, wskazując na plakat przedstawiający mężczyznę, który otwiera drzwi do oliwkowozielonego wagonu.

- Nie, to nie ten sam. Znalazłam to w antykwariacie na Drugiej Alei. Sto pięćdziesiąt dolarów. Głodowałam przez miesiąc, ale zależało mi na tym plakacie.

Im dalej odchodziliśmy od drzwi wejściowych, tym jaśniej robiło się w przedpokoju, w salonie zaś światło było wręcz oślepiające. Cała południowa ściana i większość zachodniej składała się z okien. Bambusowe żaluzje były podciągnięte, toteż wpadające promienie słońca przenikały przez zielone i czerwone szkiełka, które na cienkich żyłkach wisiały tu i ówdzie. Drewniane podłogi były

niczym nieprzykryte. Biała kanapa i trzy składane krzeselka stały wokół stolika o szklanym blacie. W kącie pokoju znajdowało się małe żółte biurko podobne do tych, jakie często spotyka się w akademikach, na nim zaś czerwona maszyna do pisania i otwarta ryza papieru. Sporo półek, w większości pustych. Nie wiedziałem, gdzie mieści się kuchnia, jeśli takowa w ogóle tu istniała. Może była za zamkniętymi podwójnymi drzwiami.

- Gdzie mogę usiąść? - spytałem.

- Zakładając, że w ogóle ci pozwolę.

- Tak. Jeśli pozwolisz.

- Chodź, wyjrzyj najpierw przez okno. Lubię chwalić się swoim widokiem.

Ujrzałem rząd pokrytych łupkiem szczytów stanowiących dach kościoła. Czarne płytki lśniły w słońcu, jakby były mokre. Za kościołem stał wysoki gmach z białego piaskowca i szkła,- pod oknami, na każdej kondygnacji, ciągnął się ozdobny deseń z muszli i rzeźbionych w kamieniu herbów. Na ostatnim piętrze błysnął flesz. Anna stała przy mnie; zawsze sprawiało jej przyjemność pokazywanie ludziom różnych rzeczy i patrzenie nowym okiem na to, co jest jej dobrze znane. Na tle światła dostrzegłem gęsty meszek na jej policzkach. Zaczęła mnie ogarniać paraliżująca nieśmiałość.

Anna odeszła od okna i usiadła na białej kanapie, podkurczając pod siebie nogi i opierając brodę na dłoni.

- Ładnie tu - powiedziałem. - Podoba mi się twoje nowe mieszkanie.

- Trzysta dziesięć dolarów i osiem centów miesięcznie - odparła. - W zamian za to mała, ślepa kuchnia i niewielka sypialnia. Istne szaleństwo. Ciągle jestem splukana. Znajomy wynajmuje mieszkanie na West Side, sześć

ogromnych pokoi, i płaci mniej niż ja. Bałabym się mieszkać na West Side. Może to głupie, ale tak mnie wychowano. Czy wiesz, że moja matka przy każdej sposobności chwaliła się ludziom, że od dwudziestu lat nie przekroczyła Piątej Alei? „Ostatni raz to było wtedy, gdy poszłam do Carnegie Hall na koncert tego żydowskiego skrzypka. Cóż za niesamowite przeżycie!” - Roześmiała się nerwowo. - Och, gdybyśmy tylko mieli pieniądze na zaspokojenie tych niewinnych dziwactw. Bo bez pieniędzy wszystko jest takie idiotyczne i pożałowania godne, jak mały ubrane w stroje wieczorowe...

- Anno...

- I grające na dziecięcych pianinach.

- Anno, czy mogę usiąść? Wskazała ręką krzesło.

- Prosto ze sklepu - rzekła.

- Jeśli wolisz, żebym poszedł, to powiedz. Potrząsnęła głową.

- Nic się nie zmieniłeś. Wciąż pozwalasz, żeby ludzie mówili to, co im leży na sercu?

Usiadłem. Krzesło jakby się lekko pode mną ugięło; jego kruchość sprawiła, że poczułem się wielki, niezdarny - potencjalny niszczyciel.

- Jeślibym miała wymienić tylko jedną rzecz, która mnie w tobie urzeka, David, to to, że potrafisz słuchać. Mogę ci mówić o wszystkim bez żadnego skrępowania.

- To prawda. Zawsze tak było.

Siedzieliśmy w milczeniu. Chciałem spojrzeć Annie prosto w oczy, ale wiedziałem, że uważa takie zachowanie nie tyle za przejaw szczerości, ile za natarczywość. („Uczcie się powściągliwości!” - powtarzała. - Nie włączcie butami innym w duszę w mylnym przekonaniu, że

wyświadczenie im przysługę!"). Wbiłem wzrok w grubą, nadpaloną przy brzegach tkaninę - przedstawiającą rząd niebieskich i różowych piramid - która, oprawiona w surową, drewnianą ramę, wisiała nad głową Anny.

- Wygląda znajomo? Nie wyglądała.

- Mieliśmy to w Chicago, ale może nie używaliśmy, kiedy u nas mieszkałeś. Jest to kołdra, a raczej jedyny ocalały kawałek kołdry, którą dostałam od babci, gdy przyjęto mnie na studia do Bryn Mawr. Taka sentymentalna pamiątka. Od kilku lat strzegę jej jak największego skarbu. Strzegę od Keitha. Mówiłam ci, że niedawno stąd wyjechał? O świcie.

- Czy nadal jest kronikarzem rodziny Butterfieldów? - Głos mi się załamał.

- No jasne. Ilekroć przyjeżdża, przywozi z sobą magnetofon kasetowy i usiłuje przeprowadzić ze mną wywiad. Czuję się jak kretyńka, mówiąc do mikrofonu. Słowa, których nie można zmienić. Nieśmiertelność bez korekty. Po co to komu?

Policzki piekły mnie coraz bardziej. Z każdym słowem Anna stawała mi się bliższa i nagle wyobraziłem sobie, jak padam przed nią na kolana i niczym rycerz, który powraca do swojej królowej, przyciskam jej dłoń do ust.

Odwróciła się i pogładziła szybę, za którą wisiała tkanina.

- Nie przejmuj się tak strasznie tą kołdrą. Podobnie jak większość rzeczy, które posiadaliśmy, i ją wkrótce pokryłby pył zapomnienia. Zatrzymałam ten skrawek tylko dlatego, że ta kołdra leżała na moim łóżku, kiedy Hugh wrócił z wojny. Tej nocy, kiedy się u mnie zjawiał. Przebywał na leczeniu w Baltimore, a ja nawet nie raczyłam go odwiedzić. Nie wiedziałam, jak się sprawy między nami

mają, na czym właściwie stoimy. Ale kiedy się u mnie zjawił, nagle zrozumiałam. Nawet nie naciągnęliśmy na siebie kołdry. Ta noc przypieczętowała nasz los, wtedy bowiem poczęliśmy Keitha.

- I dlatego Keith chce ją mieć?

- Tak. Jako dowód. Jako talizman. Uważa, że gdybym nie zaszła w ciążę, Hugh i ja nigdy byśmy się nie pobrali. Twierdzi, że nastąpiło we mnie połączenie syna, ojca i męża. Czuję się niemal jak Trójca Święta. Mimo woli wybuchnąłem śmiechem.

- To wspaniale.

- Masz na myśli ten żart? Powtarzam go po raz setny.

- Anno. - Nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć. Szare, ponure światło wypełniło mój umysł.

Przez chwilę Anna siedziała w milczeniu, po czym spytała:

- Co cię sprowadza do Nowego Jorku?

- Ty.

Czego oczekiwałem? Że wyciągnie do mnie dłoń? Że wyzna, iż pragnęła, bym przyjechał? Skinęła głową, jakby to, co powiedziałem, było tylko i wyłącznie moją sprawą. Tajemnicze, niejednoznaczne gesty Anny zawsze wydawały mi się dowodem jej elegancji i ogłady. Teraz jednak, kiedy nie potrafiłem sobie poradzić z ogromnym ciężarem przytłaczających mnie uczuć, pragnąłem, żeby przestała być dawną Anną i przeistoczyła się w Annę, jakiej potrzebowałem. Spojrzałem na nią i powoli zacząłem tonąć - czułem się jak ktoś, kto czeka, aż kot wyratuje go z topieli.

- Jak to ja? - spytała wreszcie.

- Chciałem się z tobą zobaczyć, porozmawiać.

- Czyli nie ja cię tu sprowadzam, ale twoje sprawy osobiste.

- Nie mam żadnych złudzeń, Anno. Siedząc w samolocie, wiedziałem, że nie ucieszysz się z tego spotkania. Przyleciałem do Nowego Jorku o pierwszej i od tej chwili starałem się zdobyć na odwagę, żeby do ciebie zadzwonić.

- To dlatego, że nie jesteś we mnie zakochany i wciąż pamiętasz, że ja to ja, a ty to ty. Gdybyś był we mnie zakochany, zakładałbyś, że czuję to samo co ty.

Spuściłem głowę. Wydawało mi się, że tylko spuszczam oczy, żeby zebrać myśli, ale kiedy głowa opadła mi, nie byłem w stanie jej podnieść.

- Przyjechałeś, żeby wypytać mnie o resztę rodziny? Nie był to czas na uprzejmości, więc odparłem:

- Po części.

- A po części po co?

- Żeby się z tobą zobaczyć. Tęsknię za tobą, a kiedy czytam twoje listy, ogarnia mnie jeszcze większa tęsknota. - Wreszcie podniosłem głowę. Twarz Anny połagodniała. Dotknęła ręką okularów, jakby chciała je zdjąć i odsłonić się przede mną, lecz po chwili opuściła ją z powrotem na kolana i westchnęła.

- Jestem dla ciebie niemiła. Wiem o tym. Ale w ten sposób się zabezpieczam. Jeśli ktoś przypadkiem dowie się, że tu byłeś, i zacznie zadrećcać mnie pytaniami, przytoczę mu wszystkie drwiące, złośliwe uwagi, które ci uczyniłam, i na pewno usłyszę słowa aprobaty. Ostatnia rzecz, do której chciałabym się przyznać, to że cieszę się z tego spotkania.

- A cieszysz się? Powiedz, co czujesz?

- Poczekaj. Miejsce pobytu Sammy'ego znasz. Och, gdybyś go widział, David. Sammy jest twardy, stanowczy. To człowiek o najwyższym poczuciu odpowiedzialności. Z tego artykułu w prasie o tym, jak podarł czek, można by

sądzić, że to narwaniec... ale Sammy taki nie jest. Zawsze negocjuje z pozycji siły, cichej, wewnętrznej siły. Jest wybrańcem losu. Mało kto tak jak Sammy czuje się na tym świecie jak w domu. W porównaniu z Samem reszta ludzi to dziwolągi, które przez przypadek znalazły się na ziemi. Czasem myślę, że świat został stworzony po to, żeby taki Sammy - i może pięć tysięcy innych - miał gdzie rozwijać swoje zdolności.

- Jaki jest Beaumont? - Nie wiem, dlaczego spytałem o miasto, w którym Sammy studiował, pewnie ze zdenerwowania. Pochyliłem się do przodu i tak siedziałem ze skrzyżowanymi rękami zwisającymi między kolanami.

- Miasteczko jest jakby dodatkiem do szkoły. Brudna rzeka, cegielnia, domy o pochyłych dachach, miejscowa młodzież, sady. A Keith? Jego adres też znasz. Nie zdradzam ci nic, czego nie wiesz albo się nie domyślasz. Mieszka w Bellows Falls. Pracuje w fabryce mebli, gdzie sporo się uczy, a przy okazji co msz kaleczy sobie palce. Robi krzesła, a raczej fotele na biegunach. Nie pasuje to do Keitha, prawda? Nigdy nie przejawiał żadnego zainteresowania majsterkowaniem. Wydaje mi się, że jako małe dziecko starał się kiedyś coś zbudować, ale Hugh, chcąc mu pomóc, wyrwał mu z rąk młotek. Był to zapewne swoisty rodzaj kastracji, bo od tamtej pory Keith nie wziął do rąk narzędzi.

Ale przecież montował odbiornik stereofoniczny wtedy, gdy zaglądałem do okna z werandy, tej nocy, gdy widziałem, jak... tej nocy, gdy podpaliłem dom. Odwróciłem wzrok niepewien, czy Anna pamięta szczegóły, niepewien, czy świadomie się ze mną drażni.

- Od czasu do czasu bawił się elektroniką. Ale coś takiego jak domek dla ptaków czy pułapka na króliki, coś, co wymagało użycia piły i młotka, nie pociągało go. Teraz

natomiast jest całkiem biegły w tych sprawach. Własnoręcznie wykonał większość swoich mebli. Mieszka w zniszczonej, choć naprawdę prześlicznej starej chałupie. Chciał, żeby to był nasz wspólny nowy dom, lecz jakoś nikt z rodziny się do tego nie kwapi. Ma kilka kur, które biegają po podwórzu, narzekając na wszystko, a także, o dziwo, pełnoetatową narzeczoną z miasta. Trochę w typie Ingrid Ochester, narzeczonej Hugh. Spokojna, uległa, nieco ponura, ale zadowolona z siebie i uparta jak osioł. Nie powinnam tak mówić. Pomyślisz jeszcze, że jej nie lubię, a to nieprawda, fest bardzo dobra dla Keitha. A że jest szara, nijaka? Keith też jest szary, nijaki, z czego sobie zawsze świetnie zdawałam sprawę. Powinien się cieszyć, że znalazł kogoś, kto go kocha.

U Jade też wszystko w porządku, studiuje etologię, a przynajmniej studiowała, gdy ostatni raz rozmawialiśmy. Wciąż zmienia decyzje i co rusz grozi nam, że rzuci studia, a gdy ani ja, ani Hugh nie wyrażamy sprzeciwu, spokojnie studiuje dalej.

- Na jakiej uczelni?

- Hugh zaś - ciągnęła, podnosząc palec, abym zamilkł - wciąż jeździ po całych Stanach, wiodąc iście cygański tryb życia. Ale to się ma wkrótce skończyć. We wrześniu zamierza osiąść w Utah u faceta, który nazywa się - a przynajmniej tak twierdzi - Whitney St. Martin. Jestem pewna, że to zmyślane nazwisko. Pewnie gość ma bogatą i ciemną przeszłość kryminalną. W każdym razie na stu akrach nieużytków powstaje eksperymentalna społeczność. Hugh ma pracować jako lekarz. Nazywa się to „Osiedle Autonomiczne”. Rozumiesz? Osiedle Autonomiczne. Narkomani i alkoholicy nie mają tam wstępu. Jest to tylko dla ludzi wykształconych, pracujących: nauczycieli, prawników, le-

karzy, architektów, pisarzy, tak, chyba również dla pisarzy. Hugh wspominał o pisarzach. Może zalicza do tej kategorii biedną Ingrid, chociaż kochanka lekarza to chyba dostateczne kwalifikacje.

Będą mieszkać w domach przypominających projektowane przez Buckminstera Fullera kopuły i poświęcać się pracy zawodowej. Według Hugh stworzą kolonię nie myślicieli, lecz „robicieli”. Robicieli! Wprost nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. Sam pomysł jest przecież kretyński, a wyobraź sobie, że uczestnicy muszą jeszcze za to płacić. Cwaniak z tego Whitneya St. Martina. Każdy ze starannie wyselekcjonowanych uczestników buli trzydzieści pięć tysięcy dolarów rocznie za przywilej zamieszkania w tej burżuazyjnej utopii. Teoretycznie Hugh będzie miał prawo pobierać opłaty za leczenie, ale tylko opłaty symboliczne. Trzydzieści pięć tysięcy to opłata za samo wpisowe, pomijam inne koszty. W ogóle sprawy finansowe są tam strasznie skomplikowane, toteż starałam się pytać o nie jak najmniej, bo to, co wiem, wystarczy, aby wszystko się we mnie gotowało.

Jak więc widzisz, wszystkim wiedzie się całkiem nieźle. Każdy cieszy się... nie wiem, jak to powiedzieć... wprost oszałamiającą niezależnością. Chyba zaczęłam upodabniać się do Keitha; aż mi trudno uwierzyć, że tak rzadko jesteśmy sobie potrzebni.

- Gdzie studiuje Jade?

- David.

- W porządku. Przepraszam. Wiem, że nie powinienem pytać.

- No właśnie.

- Ale nie mogę się powstrzymać.

- Bo tak ci wygodniej.

- Nie o to chodzi.

- Mniejsza o to. Po prostu nie pytaj. Nie chcę, żebyś dociekał czy wtrącał się w nie swoje sprawy. Nie chcę, żebyś tu węszył, usiłował mnie chytrze podejść czy starał się wykorzystać to, że mam wobec ciebie bardzo mieszane uczucia. Zresztą może wcale nie byłbyś zachwycony tym, co miałabym do powiedzenia o Jadę. Chyba wzięłeś to pod uwagę, prawda?

Tymi słowami zadała mi straszliwy cios. Czuję ból i upokorzenie. Beznadziejność sytuacji, w jakiej się znajdowałem, wciąż była dla mnie zaskoczeniem,- życie w nieustannym zagrożeniu emocjonalnym wciąż mnie przerażało. Byłem bliski łez. Zdałem sobie sprawę, że spotkawszy się wreszcie z Anną, nie jestem w stanie wysłuchać jej do końca. Jeśli świadome okrucieństwo, z jakim tajemniczo napomknęła o Jade, sprawiło mi tyle bólu, to jakże mogłem się spodziewać, iż potrafię spokojnie i na chłodno usłyszeć całą prawdę?

10

Doszliśmy bez słów do porozumienia, że nie będziemy rozmawiać o mnie, zwłaszcza że na moje życie składała się samotność oraz pustka, najgorsza, jaką można sobie wyobrazić, podczas gdy Anna ustawicznie toczyła z życiem walkę, usiłując się na nowo w nie wpasować.

Od samego początku naszej znajomości ochoczo i z głębokim zainteresowaniem słuchałem wszystkiego, co dotyczy Anny: o jej pierwszym doświadczeniu seksualnym (z młodym stróżem pilnującym domu, w którym miesz-

kała z rodzicami), na co wydała pieniądze za pierwsze opowiadanie sprzedane do „New Yorkera”, o snach na jawie, jakie miewała, kiedy paląc trawkę, rozkoszowała się Vivaldim i pisała na luźnych kartkach wiersze haiku - czytałem je, zanim trafiły później do kosza na śmieci. Nie zdarzyło się, by Anna mnie zlekceważyła czy potraktowała z góry. W świecie pełnym ludzi, w domu, w którym drzwi się nie zamykały, wybrała mnie: delikatnie, zręcznie i nieśmiało odsłaniała przede mną swoje życie. Zależało jej na moich reakcjach i młodzieńczej wrażliwości, które umożliwiały jej zrozumienie kryjących się w niej tajemnic. Czuję się tym ogromnie wyróżniony. Byłem pewien, że mówi mi o sprawach, o których nie wie nikt inny, albowiem zwierając się, odkrywała przede mną nie tylko treść swoich najskrytszych myśli, ale i formę. Może Hugh i dzieci znali więcej szczegółów, ja jednak miałem okazję poznać nastrój jej wypowiedzi.

Wszystko w Annie oraz to, co mówiła (lub czego nie mówiła), wydawało mi się ogromnie ważne. I nie dlatego starałem się ją zgłębić, że kochałem jej córkę. Próby zrozumienia Anny bynajmniej nie miały na celu poznania, jaka w przyszłości będzie Jade. Chyba naprawdę nigdy nie przyszło mi do głowy, że Jade może upodobnić się do Anny, tak jak nie przyszło mi do głowy, że sam mógłbym się kiedykolwiek upodobnić do Arthura czy Rose. Anna była niepowtarzalna, jedyna w swoim rodzaju: ironiczna, pewna siebie, wyniosła, wrażliwa. Wszystko, co robiła, było dokładnie przemyślane, i to do tego stopnia, że każde jej słowo i gest zawsze, przynajmniej dla mnie, miały znaczenie.

Przez całe popołudnie i wieczór rozmawialiśmy o tym, jak jej się samej mieszka w Nowym Jorku. Rodzice Anny kierowali kiedyś siecią zakładów dla bezdomnej młodzieży,

znanych pod nazwą Amerykańskie Domy dla Sierot, które po części stanowiły sierociniec, po części zaś szkołę uczącą zawodu i które bardziej kojarzyły się ze światem Dickensa niż ze słoneczną Ameryką. Ojciec Anny przyspieszył bankructwo Domów: wyznaczył sobie tak wysoką pensję, że graniczyła niemal z defraudacją, jednakże wszystko obróciło się na korzyść Anny, gdyż teraz żyła z pieniędzy zostawionych jej w spadku przez niedawno zmarłego pana Ramseya. Spadek przynosił jej osiemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie - innych dochodów nie miała; opowiadała o tym, jak kupuje odzież w tanich sklepach, jak kradnie cukier z restauracji i jak żyje w ciągłej niepewności, całkiem zresztą uzasadnionej, albowiem - jak mi wyznała - ani razu nie zdołała nic z tej sumy zaoszczędzić, choć mnie osobiście osiemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie wydawało się aż nadto. „Odkąd się tu przeprowadziłam, ostatniego dnia miesiąca nie jadam”. Mówiła mi o cenach, o tym, jak idzie do Saksa na Piątej Alei, a potem jedzie autobusem do dzielnicy żydowskiej zobaczyć, czy nie znajdzie tam czegoś podobnego, lecz znacznie tańszego, jak siedzi w ostatnim rzędzie w Carnegie Hall i jak musi płacić składki ubezpieczeniowe. (Wtrąciłem, że kochanka Arthura od kilim tygodni leży w szpitalu i aż strach pomyśleć, ile wyniosą rachunki, lecz Anna puściła to mimo uszu). Narzekała na koszty papieru i taśmy do maszyny, na opłaty kserograficzne i pocztowe; powiedziałem, że cieszę się, iż znów zaczęła pisać.

- Ja też się cieszę - rzekła. - Prawie udało mi się sprzedać dwa opowiadania do „New Yorkera”. Przysłali mi strasznie sympatyczny list z odmową. Miły i pełen zachęty. I byłabym zachęcona, gdyby nie fakt, że dwadzieścia pięć lat temu bez protestu przyjęli ode mnie

tekst. Prawdą jest to, co ludzie powiadają o łatwo odniesionym sukcesie: że przynosi pecha.

- Przynajmniej jakaś pociecha dla mnie.

- W zeszłym miesiącu jedno z tych niskonakładowych pism literackich wydrukowało moje opowiadanie. Za frajer. Nie dość, że sława zerowa, to nawet nie zwrócili mi za znaczek pocztowy.

- Ważne jest, że cię wydrukowali. Jak się nazywa pismo? Masz może egzemplarz? Chciałbym przeczytać.

- Nie, nie pokażę ci. Pismo nie jest zbyt dobre. Pojęcia nie mam, dlaczego wysłałam im maszynopis. A opowiadanie jest koszarne. Postąpiłam głupio. Na przyszłość, jeśli „New Yorker” odrzuci mi tekst, to albo go przerobię, albo podrę na kawałki. „New Yorker” drukuje takie teksty, jakie sama chciałabym pisać.

- Mimo to chętnie bym je przeczytał.

- Wykluczone. Nawet nie wiem, czy jeszcze mam to pismo. Tak a propos, przysłali mi tylko jeden egzemplarz.

- A o czym jest?

- No, nareszcie zadałeś właściwe pytanie. Tytuł opowiadania brzmi *Meyer* i jest ono o tobie.

Czułem, jak nerwowy śmiech podchodzi mi do gardła, ale w porę go opanowałem. Z początku myślałem, że nabija mnie w butelkę, ale Anna nie umiała kłamać, najwyżej mogła pominąć coś milczeniem. Zakryłem ręką usta, upojony zwycięstwem, podniecony nadzieją.

Wieczorem Anna zaproponowała, żebyśmy poszli coś zjeść.

- O wpół do dziesiątej jestem umówiona - oznajmiła. - Ale nie na kolację. Nie mam zwyczaju zapraszać mężczyzn do domu na posiłki.

- Ja stawiam, jeśli wskażesz mi w miarę tani lokal.

Przeprosiła mnie na chwilę i wyszła do sypialni, żeby się przebrać.

Mieszkanie co prawda składało się tylko z dwóch pokoi, ponieważ jednak dzielił je długi korytarz, poczułem się tak, jakbym był całkiem sam. Spacerowałem po salonie. Obejrzałem z bliska wiszące przy oknie kolorowe szkiełko, przez które przenikały płaskie czerwone promienie zachodzącego słońca. Przeczytałem tytuły książek na półkach, zauważyłem nieduży adapter stereofoniczny i kilkanaście płyt: Vivaldiego, Bacha, Joni Mitchell, Beatlesów, *Requiem* Faurego. Na stoliku przy kanapie leżało kilka numerów „The Village Voice” oraz stare kieszonkowe wydanie *Do latarni morskiej* Virginii Woolf. Staralem się wchłonąć atmosferę pokoju. O czym myślała Anna, kupując ten nieduży chiński dywan w kwiaty? W jaki sposób nabyła te składane krzesła, tak bardzo odbiegające stylem od mebli w dawnym domu Butterfieldów? Gdzie siedziała, czytając moje listy? Gdzie siada Jade? Czy wychodząc, człowiek zostawia po sobie jakiś konkretny ślad? Czy w rogu sufitu nie wisi, niczym cienka pajęczyna, dźwięk głosu Jade? Czy kosmyk jej włosów nie poniewiera się gdzieś pod kanapą? Gdybym był ogarem albo wilkołakiem, czy potrafiłbym wyczuć obecność Jade, czy nienasycony organ węchu poznałby znajomy zapach, nawet jeśli upłynęło kilka miesięcy od jej ostatnich odwiedzin?

Chodząc tam i z powrotem, minąłem niewielką kuchnię. Beżowy telefon przymocowany był do ściany, a obok na sznurku wisiała niebieska skórzana książeczka. Przez chwilę wpatrywałem się w nią, nie bardzo wiedząc dla-

czego, gdy nagle dotarło do mnie, iż jest to notes z adresami i telefonami i że na pewno znajduje się tam numer telefonu Jade: wystarczy zajrzeć i nauczyć się go na pamięć niby kombinacji w sejfie. Wyciągnąłem rękę, lecz w tym momencie usłyszałem za sobą kroki. Zamarłem i odwróciłem się - nie było nikogo, a w mieszkaniu, jeśli nie liczyć szumu dobiegającego z za okna, panowała cisza.

- Będę gotowa za minutkę! - zawołała z sypialni Anna. Dotąd nigdy nie przejmowała się tym, że ktoś na nią czeka. Co ją tak zmieniło? Samotność?

- Mamy czas - odparłem. Usiadłem na chybotliwym składanym krześle i założyłem nogę na nogę. Cecil, nie myśl tyle, kręcimy! Puenta ulubionego dowcipu Arthura. Tyle że w kręgu znajomych rodziców nie używano słowa dowcip, lecz „anegdota”. Anegdota ma w sobie więcej godności. Ta dotyczyła zniecierpliwionego czekaniem trzeciego operatora współpracującego przy filmie Cecila B. DeMille'a; kiedy Arthur dochodził do puenty, wybuchał szczerym, zaraźliwym śmiechem, mrużąc przy tym swoje piwne oczy, podnosząc krzaczaste brwi i z reguły wykasłując dym z kilku wypalonych pall maili. Kochany dziwak!

Anna przebrała się w długą, sięgającą kostek, złocisto-fioletową atlasową suknię bez rękawów, z golfem, zapinaną z tyłu na suwak. Wzór przypominał zdjęcie kryształów zrobione mikroskopem elektronowym. Proste włosy do ramion uczesała z przedziałkiem pośrodku jak nastolatka. Oczy miała pomalowane na ciemnoniebiesko, usta pociągnięte szminką, w uszach zaś małe złote kolczyki w kształcie uśmiechniętego, dobrotliwego słońca, jakie występuje na średniowiecznych drzeworytach.

- Oto nowa ja - oświadczyła Anna, składając ledwo dostrzegalny, ironiczny ukłon.

- Nie jestem odpowiednio ubrany - powiedziałem. Miałem na sobie czarne sztruksowe spodnie, jasnozieloną koszulę, której rękawów nie mogłem odwinąć z powodu plamy na mankiecie, oraz tenisówki.

- Nie przejmuj się. Wystroiłam się na później, nie na kolację.

Zaprowadziła mnie do pobliskiego lokalu zwanego Gospodą Pete'a, do którego stale uczęszczał O'Henry. Po drodze pokazywała mi różne miejsca związane z literaturą: budynek, w którym mieszkał jeden z redaktorów „New Yorkera”, starą niedużą wozownię zajmowaną niegdyś przez powieściopisarza, którego nazwisko nic mi nie mówiło, oraz dawny dom Washingtona Irvinga.

Zajęliśmy miejsca za przepierzeniem. Siedzący obok trzydziestokilkuletni mężczyzna o rzednących czarnych włosach skinął głową na powitanie i Anna odpowiedziała mu niechętnym skinieniem. Kelner, młody Włoch ubrany w modne, ciasne spodnie, przylegającą do ciała elastyczną koszulkę, stary fartuch oraz buty z wąskimi nosami, przywitał Annę i - tak to przynajmniej odebrałem - spytał ironicznie:

- Spragniona jak zawsze?

- Och, tak, Carlo - odparła Anna. - Podaj najtańszą whisky z najzimniejszą wodą.

Kelner popatrzył na mnie.

- To samo - powiedziałem.

Zamówiliśmy po jeszcze jednej whisky, po czym poprosiliśmy o kureę z rożna i butelkę białego wina. Anna opowiedziała o degustacji wina, na którą kilka tygodni temu ktoś ją zaprosił do Essex House; zdziwiły ją niesam-

mowite ceny win oraz histeryczny obłęd, z jakim starannie dobrani goście rzucili się, żeby za darmo skosztować dobrych, rzadkich roczników. „Wyglądali jak złąknieni pielgrzymi, którzy współzawodniczą o błogosławieństwo” - stwierdziła. Podniosła szklankę i stuknęliśmy się,- ostry, wysoki brzęk przeszył mnie na wylot.

- Jestem taka zdenerwowana - rzekła.

Skinąłem głową, sądząc, że ma na myśli nasze spotkanie.

- Chodzi o tego faceta, z którym się umówiłam - ciągnęła. - Mam przeczucie, że to będzie kolejny niewypał. Trochę mi głupio o tym mówić, ale robienie z tego tajemnicy jest całkiem bez sensu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak piekielnie trudno jest kobiecie już niemłodej, ale czującej się młodo ułożyć sobie dobre, dające satysfakcję życie. Młodszy mężczyźni na ogół nie uganiają się za kobietami w moim wieku, a wiem, że wyglądam na swoje lata, jednakże to, czym się interesuję i do czego jestem zdolna, nie pasuje z kolei do gustów mężczyzn w bardziej odpowiednim wieku. Tworzy się błędne koło. Chyba, hm, jak by to powiedzieć, prowadziłam się, tak, to właściwe określenie, więc chyba prowadziłam się nie najlepiej. Mój dzisiejszy gość, który wyklada na uniwersytecie, jest młodszy ode mnie o trzy dni. Ale rok temu porzuciła go żona i biedak wciąż nie może dojść do siebie. Tyle się przy nim muszę namęczyć! Zupełnie jakbym pracowała dodatkowo na pół etatu.

Anna piła szybko, ja zaś dotrzymywałem jej tempa; dmga butelka sama pojawiła się na stole.

- Masz dziewczynę?

- Nie - odparłem. - Spotykam się z taką jedną, ale to nic poważnego. Po prostu znajoma.

- Nie sypiasz z nią? Potrząsnąłem przecząco głową.
- Ani z żadną inną?
- Ani z żadną inną. Chcę być z Jade. Bycie z kimś innym oznaczałoby poddanie się.
- To takie naiwne.
- Nie szkodzi.
- I beznadziejne.
- Wcale nie. A nawet gdyby było... nie mam wyjścia. Moje uczucia się nie zmieniły.
- Napisałam, a raczej usiłowałam napisać opowiadanie o tym, jak po raz pierwszy się kochaliście. Ale jest za bardzo osobiste, abym mogła je gdziekolwiek złożyć. Parę miesięcy temu o mało ci go nie wysłałam. Nikomu innemu nie mogłabym go pokazać.
- Nawet Jade?
- Nawet jej. Nigdy by mi nie wybaczyła. Może Hugh bym go pokazała. Ale on nie znosi czytania mojej twórczości. Mówi, że go przygnębia. Carlo! - zwróciła się do kelnera. - Która godzina?
- Było wpół do dziewiątej.
- Mamy jeszcze chwilę czasu - rzekła do mnie. - Opowiedzieć ci, jak to było?
- Skinąłem głową. Anna uśmiechnęła się.
- Myślam, jesteś gdzie indziej, ale i tak skorzystam z okazji. Nie wolno ci przerywać.
- Zgoda.
- W porządku. - Nalała do kieliszków wina. - Była sobota. Gdzieś na początku czerwca 1966 roku. Mnie i Hugh nie było w domu, co, jeśli pamiętasz, zdarzało się bardzo rzadko. Nie mieliśmy ani przyjaciół do odwiedza-

nia, ani pieniędzy na standardowe rozrywki typu teatr czy restauracja. Kochaliśmy muzykę, ale jedyne koncerty, na jakie chodziliśmy, to te darmowe w parku Granta. Siadywaliśmy na starym kocu z Armii Zbawienia, obserwując zamglone gwiazdy, podczas gdy Chicagowska Orkiestra Symfoniczna grała jak szalona w odległym o kilkaset metrów amfiteatrze. Ale tej nocy, tej nocy, gdy się kochaliście, byliśmy w Woodlawn na przyjęciu urządzonym przez architekta, jednego z zamożniejszych pacjentów Hugh. Boże, ile tam było trawy! Dzięki tobie nauczyliśmy się palić jak zawodowcy, toteż czuliśmy się nabuzowani, a jednocześnie nie traciliśmy nad sobą kontroli, mimo że wszyscy na przyjęciu byli młodszy od nas. Tak się składało, że zawsze i wszędzie wszyscy byli młodszy.

Zanim dotarliśmy do domu, zaczął padać cudowny deszczyk. Siedzieliście w salonie, słuchając radia. Oboje mieliście na sobie dżinsy oraz niebieskie podkoszulki - przechodziliście właśnie przez fazę ubierania się identycznie. Siedzieliście na podłodze, a w kominku buchał ogień. Pomarańczowo-niebieski odblask skupiał się głównie na Jade. Pamiętam, co wtedy pomyślałam: Jade odbija światło, a David je wchłania. Nadal czułam cudowną błogość po przyjęciu, czułam działanie wypalanej trawy i patrząc na was, widziałam wprost niewiarygodnie piękną parę. Stałam uśmiechnięta, strzepując z włosów krople deszczu i pragnąc, abyście się domyślili, że jestem na strasznym hajcu.

Po chwili wkroczył Hugh, zamyślony niczym mnich przeżywający kryzys duchowy. Miał na sobie szary garnitur, ten z nieco przykrótkimi rękawami. Hugh był najprzystojniejszym mężczyzną na świecie! Jaka szkoda, że nie mieliśmy dość pieniędzy, aby mógł się porządnie ubrać. Bez względu na to, co o nim sądziłaś, Hugh, ze

swoimi włosami barwy miodu i pięknymi niebieskimi jak niebo oczami, wyglądał jak prawdziwy bohater. Nie miał ładnej, lalkowatej urody i na pewno nie grzeszył zbytnią elegancją. Rysy miał nieregularne, ale było mu z tym do twarzy. Sprawiał wrażenie człowieka, jakich mało, człowieka, który potrafi odróżnić dobro od zła. Mój bohater wojenny. Zresztą czytałeś opowiadania, jakie jeszcze na studiach pisałam o Hugh. To, że go kochałam, a nawet że go zdradziłam, sprawiło, iż stałam się częścią moich czasów, bardziej niż to kiedykolwiek było lub będzie możliwe. Hugh nigdy nie chwalił się bohaterskimi czynami, rzadko też narzekał na życie, jakie prowadził w obozie jenieckim. Ale tego wieczoru na przyjęciu w Woodlawn

- może na skutek wypalonej trawy, a może dlatego, że czuł się nieswojo wśród pięćdziesięciu osób, wszystkich młodszych od nas - Hugh niczym starzec w szpitalu dla weteranów wojny godzinami rozprawiał o przejściach wojennych. Nawet nie mówił o bohaterstwie, lecz o mękach, o strachu i o odniesionych ranach. Może chciał, żebyśmy zorganizowali bal charytatywny na jego cześć.

W każdym bądź razie wkracza Hugh, wciąż niezłe nabuzowany. Jade odwraca się i woła: „Cześć, tatuśku!”, zalotnym tonem, jakiego właściwie nie ma prawa używać piętnastoletnia dziewczyna.

- Pamiętam, że wkurzył się na nas, że rozpaliliśmy ogień w kominku - wtrąciłem.

- Tak. Był wściekły. Wiedzieliście, że nikomu oprócz niego nie wolno dotykać kominka, ale udawaliście strasznie zdziwionych. „Ja jestem od palenia w kominku!”

- ryknął, waląc się pięścią w piersi. Gesty miał proste, jednoznaczne. Prawdziwy mężczyzna. Nie starał się ukryć powodu złości. Nie powiedział, że jest czerwiec i za ciepło

na palenie w kominku, nie wspomniał, że prawie wyczerpał się nam zapas drewna, nawet nie zwrócił wam uwagi, że nie postawiliście ekranu. Był zmęczony po długim, wyczerpującym przyjęciu i nie miał zamiaru niczego owijać w bawełnę: przyznawanie się do swoich słabości, demonstrowanie własnych dziwactw było dla Hugh tym, czym dla mnie czekolada. Stoi więc w szerokim rozkroku i wodząc zaczerwienionymi oczami, woła: „Nie pozwolę, żeby ktokolwiek palił w moim kominku. W tym domu, do jasnej cholery, ja jeden mam do tego prawo!”.

- Na co Jade powiedziała, że zmarzliśmy.

- Na co Hugh oświadczył, że trzeba było włożyć rękawiczki lub swetry albo wynieść się gdzie indziej.

- Mówiąc to, patrzył na mnie. Uważał, że to ja powinienem się wynieść gdzie indziej. Do domu.

- Cieszę się, że ty to mówisz, David. Nieraz zastanawiałam się, czy dostrzegasz takie rzeczy.

- Ależ oczywiście.

- To dobrze. Bo wydawało mi się, że nie.

- Odpowiedziałem mu wtedy, że wyjdę, kiedy ogień dogaśnie.

- Tak. Nie miałeś zamiaru ani przeproszać, ani natychmiast wychodzić. Jeszcze przez chwilę uprawialiście niezdarną szermierkę słowną (wcale nie byłeś tak błyskotliwy, jak ci się zdawało, David) i w pewnym momencie Hugh objął mnie ramieniem, tak jak chłopak na randce, kiedy myśli, że dziewczyna zaczyna się nudzić. Ostrzegł cię jeszcze, żebyś zbyt nie przeciągał wizyty, po czym udaliśmy się na górę. Boże, jak kochałam ten dom w nocy, gdy za oknami było czarno i dzieci już spały.

Kiedy zapaliłam lampkę przy łóżku, Hugh spytał, czy zamierzam jeszcze siedzieć. Czytałam właśnie Cheevera

Skandal w Wapshot i pragnęłam zostać sam na sam z książką i własnymi myślami. Byłam oszołomiona spotkaniem z tyloma ludźmi i potrzebowałam dojść do siebie. Hugh położył się na ogromnym łóżku ubrany w slipy, co świadczyło, że czuje się urażony moją postawą. W ten sposób dawał mi do zrozumienia, że nie zasługuję na to, aby widzieć go nagiego. Spytałam, co mu jest, dotykając pod kocem elastycznej gumki od slipek. Odsunął się. „Nic” - burknął. Nie cierpiałam tego biadolącego, zranionego tonu. Po chwili przekręcił się na wznak i skrzyżował ręce na potężnej klatce piersiowej. Pod pachami był prawie wcale nieowłosiony, piersi i brzuch też miał gładkie jak Sammy. „Czuję się przy tobie samotny” - rzekł. „Bo ja jestem samotniczką. A to zaraźliwe” - odparłam, choć w duchu myślałam: Idź spać, proszę cię, idź spać, żebym miała kwadrans dla siebie.

Hugh zaczął plotkować o ludziach na przyjęciu, ale ponieważ ziewał, odetchnęłam z ulgą. Wiedziałam, że wkrótce zaśnie. Gdzieś w trakcie usłyszałam, jak drzwi wejściowe otwierają się i zamykają. Pomyślałam, że wyszedłeś do domu. Potem usłyszałam, jak Jade wchodzi na górę i idzie do łazienki na końcu korytarza, uznałam więc, że szykuje się do snu.

Miałem ogromną ochotę przerwać Annie narrację. Dokładnie pamiętałam ten moment: otworzyliśmy i zamknęliśmy drzwi, po czym chichocząc jak dzieci, którymi właściwie jeszcze byliśmy, cichutko zakradliśmy się z powrotem do salonu, pewni, że nasze chytre zabiegi całkowicie zmyliły domowników. Pamiętam też, że kiedy Jade pobiegła na górę, zdjąłem koszulę i buty, myśląc, iż nigdy już nie będę się czuł tak wspaniale i że nigdy nie zapomnę tej nocy, co rzeczywiście się sprawdziło.

- Zasnęłam przy świetle z książką na brzuchu - ciągnęła dalej Anna. - Nagle coś mnie obudziło, zupełnie jakby cień przesunął mi się po twarzy. Z dołu dochodziły jakieś odgłosy. Zgasiałam lampę i wyteżyłam słuch. Skrzyp podłogi. Dziwne trzaski i szmery w pograżonym we śnie domu. Nie wiem, co z początku pomyślałam. Czy naprawdę sądziłam, że do mieszkania zakradł się złodziej? A jeśli tak, to co mógłby zabrać? Pisma? Radio? Moje słodycze?

- Dość, Anno - przerwałam jej wreszcie. - To się staje zbyt...

- Bliskie prawdy?

- Nie. Dziwne. Sprawiasz mi ból.

- To nie powinno boleć. Przecież wszystko dobrze pamiętasz. A ja mówię o tym, o czym sama pamiętam. Pamiętam, że leżałam w łóżku, słuchając odgłosów dochodzących z partem domu, w którym już nie mieszkam.

Oczy miała inteligentne, czujne, lecz jakby utkwione w martwym punkcie. Lśniły niczym światła w pustym domu, które włączono po to, żeby odstraszały złodziei.

- Wstałam z łóżka i włożyłam niebieski pikowany szlafrok; gruby, zimowy szlafrok, bo nie miałam innego. W szufladzie Hugh, pośród licznych pamiątek z czasów jego dzieciństwa, leżał kozik, który chwyciłam na wypadek, gdybym musiała walczyć o życie. Dobre sobie! Ciszej niż chmura sunąca po niebie wymknęłam się z sypialni na korytarz i doszłam do schodów. Czułam się jak pod działaniem LSD, a nie zwykłej trawy. Wzrok miałam wyostrzony, koci wzrok do n-tej potęgi. Fałdy na tapecie, rysy na poręczy, wszystko to widziałam. Was też, ciebie i Jade.

- Proszę cię, Anno, przestań. - Czułem, że ogołaca mnie ze wspomnień tamtej nocy, że wypaczając je i wyolbrzymiając, zostawia mnie z niczym.

- Uspokój się, coś taki strasznie przewrażliwiony? Nie sprawiam ci przecież bólu. Poza tym dobrze wiesz, że nikomu innemu nie mogę tego opowiedzieć. Jesteś skrepowany? Zjawiasz się nagle w moim życiu i masz czelność być skrepowany? Zresztą, nie podeszłam do was blisko. Byłam zbyt zaskoczona i przerażona. Zeszłam zaledwie do połowy schodów i gdyby nie ogień w kominku, może bym się nawet nie domyśliła, co robicie. Zobaczyłam ręce Jade na twoich plecach i jej uniesione kolana.

Opuściłem głowę na stół, potrącając łokciem kieliszek. Anna postawiła kieliszek i ciągnęła dalej:

- Głównie jednak zwróciłam uwagę na wasze ubrania. Nie były rozrzucone po całym pokoju. Leżały starannie złożone. Czyli że dokładnie wiedzieliście, co będziecie robić, i nie próbowaliście nawet udawać, że daliście się ponieść chwili. Nie masz pojęcia, jak mnie to wzruszyło. Słowo honoru.

Wróciłam na górę i wślizgnęłam się do łóżka. Nawet się nie zorientowaliście, że was widziałam, prawda?

Podniosłem głowę. Oczy mnie piekły, jakby były kilkanaście stopni cieplejsze od reszty ciała. Wyciągnąłem do Anny dłoń.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Przepraszasz? Za co? Potrząsnąłem głową.

- Za wszystko. Za to, że tamtej nocy byłem w twoim domu, za to, że hałasowaliśmy, za to, że nas widziałaś. Sam nie wiem.

- Posłuchaj uważnie, David. Po tym, gdy was ujrzałam na dole, położyłam się z powrotem do łóżka. Drżałam na całym ciele, w głowie szalało mi tornado. Przytuliłam się do Hugh i zrobiło mi się okropnie żal, że leży nierozebra-

ny, bo wiele bym wtedy dała, aby poczuć jego nagość. Nie chciałam być sama. Ale chyba promieniowałam żądzą, gdyż Hugh nagle się poruszył. Przestał chrapać i przekręcił się do mnie twarzą, wolno otwierając oczy. Dotknęłam jego miękkiego, gładkiego policzka i Hugh zaczął mnie całować, a gdy wstrzymałam oddech, usłyszałam na dole skrzypienie podłogi. Położył rękę między moimi udami i to go całkowicie rozbudziło. Byłam gotowa na przyjęcie go. Kochaliśmy się od osiemnastu lat i rozumieli bez słów niczym akrobaci na linie, tylko że nie byliśmy akrobatami, lecz parą w łóżku. Szepnęłam, że za chwilę wrócę i Hugh uśmiechnął się, bo wiedział, iż idę wsunąć sobie krążek. Ruszyłam korytarzem do łazienki, wyteżając słuch, a zarazem starając się was nie słyszeć, trochę otumaniona i bliska łez.

Naga, drżąca z zimna, stałam w lodowatej łazience, a zamontowane przez Hugh szklane półki pulsowały życiem całej rodziny: były tam różne dezodoranty, talk do nóg, szampony, płyn do kąpieli, szczotki i grzebienie, plastikowa żaba oraz przyrząd do rozwijania mięśni, na którym Sammy lubił ćwiczyć, mocząc się w wannie. Wszystko wydawało mi się ogromne i piękne. Patrzyłam na te przedmioty codziennego użytku z szeroko otwartymi ustami niczym skąpiec, który wpatruje się w swoje skarby. Pierwszy raz w życiu ogarnęło mnie tego rodzaju uczucie; nie byłam całkiem sobą. Krążek trzymałam na drugiej półce obok szamponów do włosów: leżał tam gdzie zwykle, w plastikowym, czerwono-brązowym pokrowcu. Otworzyłam pokrowiec i serce mi zamarło. Był pusty.

Nie zdziwiło mnie to, a jeżeli, to tylko na moment. Przypomniałam sobie, że Jade szła do łazienki, i pomyślałam, iż zapewne pożyczyła sobie mój krążek. Zanim

pojawiłeś się na horyzoncie i stosunki między mną a Jade stały się napięte, często rozmawialiśmy o tym, że jesteśmy podobnie zbudowane. Przypuszczalnie doszła do wniosku, że to, czego ja używam, będzie dobre i dla niej. A przecież taki chłopak jak ty, radykał, miłośnik rock and rolla, smakosz trawy, powinien być na tyle przewidujący, mieć na tyle oleju w głowie, żeby nosić przy sobie prezerwatywę. Do licha, David, nawet Sammy, który miał wtedy jedenaście lat, trzymał w portfelu kondom. Słuchaj, byłam z was dumna, mimo że nie wykazaliście się zbytnim rozsądkiem. Ale przynajmniej byliście na tyle dojrzały, aby nie chcieć ryzykować ciąży. Brawo, dzieci! - zawołałam w duchu, jakbym była wychowawcą na koloniach. Z drugiej jednak strony wystraszyłam się. Istniała kolosalna różnica między moją rozciągniętą porodami szyjką macicy a Jade. Pewnie krążek uwierał ją jak diabli, a przy tym niewiele chronił. Wszystko było obsceniczne i potwornie śmieszne, lecz przede wszystkim wrzuszające. Zamknęłam pokrowiec i nagle ogarnęła mnie złość: jakim prawem smarkuła uznała, że krążek będzie mi niepotrzebny! Drżąc z zimna i oburzenia, umyłam ręce, po czym je wytarłam. Wracając do sypialni, zastanawiałam się, co powiedzieć Hugh.

Gdybym mu powiedziała, że krążek znikł, zacząłby dociekać dlaczego, a gdyby usłyszał prawdę, zapewne zerwałby się z łóżka i pobiegł na dół, żeby natychmiast się z wami rozprawić. Może byłoby to najlepsze wyjście. Często nie daje mi to spokoju. Gdybym od razu, na samym początku, wyznała Hugh, co widziałam, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Może przepędziłby cię na cztery wiatry. Może przemyślałby wszystko do czasu, kiedy stopniowo zaczęłaś się do nas wprowadzać. Może nie czekałby, aż będzie za późno, żeby wziąć sprawy w swoje ręce i zabronić ci wstępu

do domu. Bo potem to rzeczywiście było za późno, ale gdybym tamtej nocy powiedziała mu o was... kto wie, może dziś sytuacja wyglądałaby inaczej? Wtedy jednak myślałam o cudownej scenie, którą ujrzałam, o tobie i o Jade kochających się w złocistym blasku ognia. Pragnęłam zachować to wspomnienie i z nikim się nim nie dzielić. Nie chciałam, żeby Hugh zbiegał do was. Chciałam, żeby mnie przytulił.

Co też uczynił. Kochaliśmy się, narażając się na ciężę, bo podobnie jak wy byliśmy absolutnie nie zabezpieczeni. Szalona noc pełna ryzyka! Dusze nienarodzonych dzieci krążyły pewnie nad tym starym domem, czekając na moment poczęcia.

- Żałuję, że Jade nie zaszła wtedy w ciążę - rzekłem, po czym, zaskoczony własnym głosem oraz tym, co powiedziałem, zaniósłem się szlochem. Zasłoniłem ręką oczy. Sala wirowała, nie z pijacką beztroską, lecz powoli, jakby naprawdę się poruszała w czasie i przestrzeni; wszystko oczywiście porusza się w czasie i przestrzeni, lecz tylko szaleńcy dostrzegają ten ruch.

- Wierzę ci - oświadczyła Anna. - Umawialiśmy się jednak, że ja mówię, a ty słuchasz. Ta noc zmieniła wszystko, zmieniła moje poglądy na temat seksu i Hugh. Bo dotychczas, kiedy się kochaliśmy, zawsze mi czegoś brakowało. Nie miewałam orgazmu, na ogół się do niego nawet nie zbliżałam. Może jedynie przy masturbacji, ale nigdy z Hugh. Oczywiście obarczałam winą Hugh, Hugh i wszystkich mężczyzn, z którymi szłam do łóżka, zanim go poznałam, mężczyzn, z którymi spałam, kiedy on walczył na wojnie o wolny, demokratyczny świat. Tak, winiłam wszystkich, również i siebie, ale głównie winiłam męża. Że ma mały członek, że za bardzo się śpieszy, że

jest zbyt pobudliwy, za łagodny i zbyt samolubny. Zresztą, co za różnica? Nawet się nie starałam. Ale owej nocy płonęłam żądzą. I wciąż miałam przed oczami obraz ciebie i Jade. Istna perwersja: leżałam pod mężem, wiedząc, że pod nami leżycie wy. Czułam, że zbliża się orgazm, i rozumiałam, że już nigdy nie będę mogła zrzucić winy na Hugh, bo wszystko szło cudownie. Robił to samo co zawsze, nawet nie jestem pewna, czy obudził się do końca, ale było cudownie. Kochaliśmy się powoli, bez pośpiechu. Wiedziałam, że tym razem mi się uda. Nogi na przemian miałam to jak z waty, to jak z kamienia. Po raz pierwszy w życiu wyzbyłam się wszelkich zahamowań.

Nagle Anna zamilkła. Dopija resztkę wina, po czym sięgnęła po mój kieliszek, który jednak był pusty. Była bardzo zmęczona. Jej upudrowana, lekko spocona twarz wyglądała nieświeżo. Mimo regularnych rysów, zgrabnej sylwetki i niezmiennie wdzięcznych ruchów Anna sprawiała wrażenie porzuconej kobiety w średnim wieku, lubiącej przesiadywać w ciemnym, ciepłym lokalu, w którym znajdują ją barman i kelnerzy, kobiety niezamożnej, samotnej, gadatliwej, niepotrafiącej panować nad sobą.

- Istnieje prosta zasada - rzekła, opierając się na łokciu i zdejmując z kolan serwetkę. - Kiedy człowiek mówi prawdę, zwierza się. Bez zwierzeń nie ma prawdy.

Kelner, który zapewne obserwował nas z daleka, nie chcąc Annie przerywać monologu, podszedł teraz do stolika i zebrał naczynia, sprawdzając obie butelki, czy przypadkiem na dnie nie zostało trochę wina.

- Kawa? Deser? - spytał, patrząc na mnie.

- Która godzina, Carlo? - wtrąciła Anna.

Ręce miał pełne talerzy, ale przekręcił dłoń tak, żeby Anna mogła spojrzeć na zegarek.

- Ojej. Za dziesięć dziesiąta. Wystawiłam faceta do wiatru. - Była zmartwiona, nawet lekko przestraszona, ale po chwili się rozpogodziła. -1 bardzo dobrze! Ostatni raz wystawiłam kogoś do wiatru, jak miałam szesnaście lat!

Wróciliśmy do domu upewnić się, czy przypadkiem przyjaciel Anny nie postanowił na nią zaczekać. Kiedy znaleźliśmy się pod markizą zawieszoną nad wejściem do budynku, Anna powiedziała: „Chyba zemdleję, jeśli wciąż czeka”, ale nie wiedziałem, czy zemdleje z radości, ze zdziwienia, czy na skutek zawodu. Jeśli zaś chodziło o moje preferencje, to przysłałoby je zmęczenie i dobrze mi znane, dość wyczerpujące uczucie zazdrości: chłopiec, który odżył we wspomnieniach, jakie Anna snuła w Gospodzie Pete'a, nadal we mnie zamieszkiwał, choć w coraz mniejszym stopniu byłem nim ja. Nadal wierzyłem, że człowiekiem, który owej nocy kochał się z Jade, byłem ja, jednakże patrzyłem teraz na dawnego siebie jak na młodszego brata, którego wyczyny i wzloty mogę tylko podziwiać z głębokim szacunkiem.

- W holu go nie ma - stwierdziła Anna. Szła trochę chwiejnym krokiem. Co jakiś czas chwytła mnie za ramię, jakby chciała odzyskać równowagę, ale czyniła to tak nieśmiało, że prosty odruch wydawał się aż nienaturalny. Portiera nigdzie nie było widać. Otwierając drzwi, Anna zerknęła przez ramię. Zmartwiło mnie, że teraz ostrożność stała się jej drugą naturą. Zawsze miałem ją za osobę, która wszędzie czuje się bezpieczna.

Ja też byłem wstawiony po winie.

- Kiedy zaczynaliśmy palić trawę - powiedziałem, gdy jechaliśmy windą, w której staliśmy odsunięci od siebie

na odległość ręki - nigdy nie braliśmy do ust alkoholu i potępialiśmy tych, co pili.

- Byliśmy wtedy purytanami.

- Purytanami?

- Teraz wszystko jest dobre, co nam pozwala przetrwać noc. Po jakie licho wracam do domu? Nawet nie mam co się łudzić, że facet będzie na mnie czekał. To nie w jego stylu, prędzej w twoim. - Winda zatrzymała się i po chwili drzwi się rozsunęły. - Należało gdzieś pójść posłuchać muzyki.

Korytarz był pusty, cichy. Z jednej strony czułem lekki zawód, iż przyjaciel Anny nie czeka na nią pod drzwiami, chciałem go bowiem zobaczyć, z drugiej jednak strony czułem ulgę, że nie muszę od razu wracać do hotelu.

- Chyba powinnam do niego zadzwonić - powiedziała, wchodząc do mieszkania. Przeszliśmy do salonu: usiadłem na krześle, podczas gdy Anna wertowała notes, szukając numeru telefonu przyjaciela. Widok notesu oraz świadomość, że zawiera telefon do Jade, poruszył mnie, ale od tak dawna i na tak wiele sposobów coś mnie ciągle poruszało, że niemal tego nie zauważyłem.

- Jeden dzwonek - liczyła Anna, odsuwając od ucha słuchawkę, tak abym słyszał pomruk brzęczącego w oddali telefonu. - Drugi. Trzeci. - Odłożyła słuchawkę. - No, jestem wolna.

Z szafki kuchennej wyjęła półlitrową butelkę tequili i dwie grube, wąskie szklanki do soków owocowych, jakie czasem widuje się w staromodnych restauracjach.

- Najczystszy z alkoholi - rzekła, siadając na kanapie i stawiając na stole butelkę oraz szklanki - o najbardziej psychodelicznym działaniu. Z whisky biorą się sny, z tequili wizje. Istny haszysz w płynie.

Z wielkim nabożeństwem naląła nam po skromnej porcji, po czym podniosła swoją szklanę, zostawiając moją na stole.

Wypiliśmy całkiem sporo. Za każdym razem Anna starannie i solidnie zakręcała nakrętkę, jakby miała zamiar odstawić tequilę na długie zimowe wieczory. Nie byłem pewien, czy ten odruch świadczy o jej ograniczonych możliwościach finansowych, czy też jest to świadomy, przewrotny zabieg osoby, która często nadużywa alkoholu. Wypaliliśmy wspólnego skręta z doskonałej trawy z najprzedniejszych kolumbijskich nasion, którą Keith specjalnie wyhodował dla Anny w Vermoncie; podejrzewam, że gdyby Anna miała w domu LSD lub meskalinę, nie odmówilibyśmy sobie i tej przyjemności. Minęła jedenasta; im bardziej czuliśmy się sobie bliscy, tym bardziej atmosfera stawała się poważna i tajemnicza.

- Nadal masz bzika na punkcie astronomii? - spytała Anna.

- Trochę mniejszego. Wreszcie rozpocząłem studia. W szpitalu czytałem książki na temat astronomii, ale samouk nie jest w stanie wszystkiego sobie przyswoić. To zbyt skomplikowane.

- Tak, wiem.

- Czasem mi się wydaje, że kiedyś jeszcze zostanę astronomem. Ale na ogół staram się nie myśleć o przyszłości.

- Strasznie imponowałaś Jade swoją wiedzą astronomiczną. Była święcie przekonana, że odkryjesz nową gwiazdę i nazwiesz ją jej imieniem. Ja natomiast ani przez chwilę nie wierzyłam w szczerść twoich zainteresowań. Wydawało mi się, że zabierasz Jade do planetarium, żeby być z nią sam na sam w ciemnościach i oszczędzić na bilecie do kina.

Miałem wrażenie, jakby coś dotknęło mojej ręki, ale gdy spuściłem wzrok, okazało się, że to tylko złudzenie. Kiedy znów spojrzałem na Annę, oczy miała zamglone, rozmarzone, twarz zaś pokrytą jasnym rumieńcem.

Zapadło głucho, niemal krępujące milczenie.

Anna ponownie napełniła szklanki, po czym rzekła z uśmiechem:

- Wiedziałam, że usiądziesz na tym krześle.

- Skąd wiedziałaś? Pociągnęła łyk ze szklanki.

- Bo ty wiedziałeś, że ja usiądę na kanapie, i bałeś się usiąść koło mnie.

- Bałem się?

Skinęła głową. Zasznurowała mocno usta, twarz jej się wydłużyła, a zmarszczki w kącikach ust pogłębiły.

- Chodź do mnie. Proszę cię.

Nie odpowiedziałem, nawet nie drgnąłem.

- Ciągle o tobie myślę - powiedziała. - Wracam myślami do ciebie, do moich wspomnień o tobie. Jesteś jak nałóg, z którym się kryję, jak zagraniczna czekolada, którą chowam po kątach. W czasie wojny Hugh kupił w Europie zdjęcia rozebranych dziewczyn, które trzymał... zresztą kto to wie? Chyba na półce z bielizną. Miał żonę i dom pełen dzieciarni, ale mimo to coś go ciągnęło do tych starych zdjęć. Składały się na jego prywatne życie seksualne. Oglądał je po ciężkim dniu w pracy albo gdy coś nam nie wychodziło w łóżku. Nigdy jednak nie wyjmował ich przy mnie. Cała frajda polegała właśnie na tym, żeby oglądać je po kryjomu. Hugh przypominał dziecko, które w chwilach niepewności tuli ukochaną maskotkę, tyle że cała sytuacja była bardziej ponura i beznadziejna, albowiem im się jest starszym, tym bardziej wszystko staje się

ponure i beznadziejne. Nie tyle poważniejsze, co bardziej nieodwołalne. - Znów pociągnęła łyk tequili, tym razem niemal do dna opróżniając szklankę. - Upiłam się i plotę trzy po trzy. - Zamknęła oczy. - Ale strasznie mi z tym dobrze.

- Anno - rzekłem, pochylając się do przodu i podnosząc głos, żeby zagłuszyć bicie serca oraz posępny odgłos szaleńczo pulsującej w żyłach krwi. - Musisz mi powiedzieć, czy Jade... - Urwałem. Ze strachu oczy jakby zaszły mi mgłą i miałem wrażenie, że oglądam Annę przez pomniejszającą stronę teleskopu. Anna potrząsnęła głową.

- Usiądź koło mnie - poprosiła. - Nie chcę siedzieć tu sama.

Wstałem. Czuję się tak, jakbym włożył na nos cudze okulary, okulary o bardzo grubych szklach, na których tworzy się swoista tęcza, ilekroć pada na nie ukosem promień słońca. Nogi miałem długie i jak z waty, a zamiast głowy balon, który odbijał się o sufit. Anna była miniaturową lalką patrzącą z prawdziwie ludzkim wyczekiwaniem, która siedzi zwinięta na miniaturowej kanapie.

Kiedy jednak usiadłem obok, Anna wróciła do zwykłych rozmiarów, a może nawet stała się ciut większa niż normalnie.

- Jedyne, czego w życiu żałuję - powiedziała - i czego będę żałować, to to, czego nie zrobiłam. Tak to już bywa, zawsze opłakujemy to, czego nie było. Ścieżki, którymi nie wędrowaliśmy. Ludzi, których nie dotknęliśmy.

To nieprawda, zawołałem w duchu, ale ledwo panowałem nad myślami. Moja świadomość przypominała cienie, jakie widzi na powierzchni wody człowiek, który się topi.

- Boisz się?

Skinąłem głową; kiedy teraz o tym myślę, zdaję sobie sprawę, że to skinienie mogło oznaczać wszystko.

- Niedawno kochałam się z młodym chłopakiem. Młodszym od ciebie. Był bardzo chudy. Miał na sobie niemal przezroczystą białą hinduską koszulę. Uwiodłam go. Bardzo fachowo, choć nieładnie się chwalić... - umilkła, po czym zerknęła pośpiesznie na ciemne okna, jakby coś dostrzegła. - Był strasznie chudy i strasznie delikatny. Niemal miałam wrażenie, że kocham się z motylem. Ledwo czułam, że jest przy mnie. Wyszedł w środku nocy. To było jak sen erotyczny, tyle że rano znalazłam na prześcieradle ogryzione kawałki paznokci. - Ujęła mnie za rękę, ruchem ani zbyt powolnym, ani zbyt raptownym, po prostu tak, jak ktoś pogrążony w zadumie podnosi jakiś dobrze mu znany przedmiot i bezmyślnie podrzuca go, bada jego fakturę. Anna gładziła kciukiem wewnętrzną stronę mojej dłoni. - A ty, David, jaki jesteś w łóżku? Delikatny, czuły, troskliwy?

Czekałem w milczeniu, z nadzieją, że stanie się coś i wszystko okaże się nieprawdą. Nagle doleciał mnie zapach perfum, zupełnie jakby Anna przed chwilą się nimi skropiła.

- Nie wiem - odparłem.

- Na pewno wiesz. Nie bądź nieśmiały. Przecież za-szliśmy już tak daleko.

- Jak daleko?

- Tak daleko, że mogę cię spokojnie spytać, czy jesteś jednym z tych okropnie delikatnych kochanków. Tak daleko, że możemy o wszystkim otwarcie rozmawiać. Przyjechałeś tutaj, David. Spędziliśmy z sobą wiele godzin. Możemy się teraz przyznać, że jesteśmy razem tylko dlatego, że oboje potrzebujemy kogoś, przy kim nie trzeba udawać. Przy tobie nie udaję.

Podniosła wyżej moją dłoń i przycisnęła do policzka, po czym zamknąwszy oczy, lekko potarła nią o twarz. Pochyliłem się i pocałowałem Annę w czoło tuż pod linią włosów.

- Jesteś mi potrzebna, Anno.

- Wiedziałam, że tak będzie - rzekła. Otworzyła oczy, a ja cofnąłem dłoń. - Wydaje mi się, że tamtej nocy, kiedy zeszłam na dół i zobaczyłam ciebie z Jade, a potem kochałam się z Hugh... że tamtej nocy tak naprawdę to kochałam się z tobą. Wiesz, wszyscy podejrzewali nas o to, że jesteśmy kochankami. Oczywiście nie na początku, dopiero znacznie później. Często pożerała mnie ciekawość, jak tłumaczysz się z tego biednej Jade.

- Kiedyś spytała, czy to prawda. Powiedziałem, że nie.

- Mnie to w każdym razie schlebiało. Schlebiało mi, że inni wreszcie uświadomili sobie, że stać mnie na taki krok. I że mogę podobać się chłopakowi, który jest szaleńczo zakochany w ślicznej, młodej dziewczynie. A swoją drogą, cokolwiek powiedziałeś Jade, ona ci i tak nie uwierzyła. Pewnie niezbyt stanowczo zaprzeczyłaś plotce. I dlatego uznałam, że te podejrzania sprawiają ci przyjemność, z czego się bardzo cieszyłam.

- Ale przecież Jade wiedziała, że nie mógłbym być z nikim innym oprócz niej.

- Mylisz się, David. Była przekonana, że zdradziłeś ją ze mną. Czasem sądziła, że zdarzyło się to tylko raz, kiedy indziej zaś myślała, że sypiamy z sobą, ilekroć mamy okazję.

- To niemożliwe - zaprotestowałem. - Jade wcale tak nie myślała. Raz jeden poruszyła ten temat. Zupełnie mimochodem. Pamiętam to bardzo dokładnie. Był piękny, słoneczny dzień. Siedzieliśmy na Midway. Jade miała na sobie sandały, brązowe szorty i bluzkę bez rękawów

zapinaną z tyłu na duże ciemne guziki w kolorze jej włosów. Czułem się lekko podniecony, bo bluzka była tak głęboko wycięta pod pachami, że odsłaniała niemal wszystko.

- Nie wątpię, że masz świetną pamięć.

- Daj mi dokończyć. Jade siedziała z głową opartą na moim ramieniu i ilekroć zrywał się wiatr, jej włosy muskały mi twarz. Zaczęliśmy rozmawiać o przyszłości, o tym, jak kiedyś założymy rodzinę, a ja żartowałem, że będę zazdrosny o dziecko, które kilka miesięcy spędzi w jej brzuchu. I wtedy Jade spytała - całkiem obojętnym tonem, jakby się nigdy nad tym specjalnie nie zastanawiała - „Co jest grane między tobą a mamą?”. Powiedziałem, że cię lubię czy coś w tym rodzaju. Jade wyprostowała się i patrząc mi w oczy, spytała z uśmiechem: „Przeleciałeś ją?”. „Czy ją przeleciałem?” - powtórzyłem tak głośno, że aż podskoczyliśmy i ryknęliśmy śmiechem. Po chwili Jade wróciła do tematu. „No więc jak?” „Chyba oszalałaś! - krzyknąłem. - Lepiej przyznaj się, co paliłaś, bo ja też chcę spróbować”. Na co Jade zadała jeszcze jedno pytanie i już więcej do sprawy nie wracała: „Więc nigdy nie spałeś z mamą ani nie widziałeś jej nago, ani nic takiego?”. Nie wiem dlaczego, ale odpowiedziałem jej z pełną powagą. Potrząsnąłem głową i przysięgłem, że nie, nigdy. I na tym się skończyło.

- Wcale się na tym nie skończyło, David - oświadczyła Anna. - Jade do dziś uważa, że byliśmy kochankami. Nawet ostatnio podczas zjazdu rodzinnego, kiedy znów byliśmy razem jak za dawnych lat... - Zamilkła i potarła oczy. - O Boże - szepnęła do siebie, po czym spoglądając na mnie zaczerwienionymi oczami, rzekła: - Przepraszam. Rozkleiłam się. Chodzi o to, że Jade nadal uważa, że sypialiśmy ze sobą. Kilka miesięcy temu, kiedy byliśmy

u Keitha, poruszyła ten temat w sposób bardzo szczery i bardzo brutalny. A wszystko wzięło się stąd, że łączyła nas, ciebie i mnie, więź psychiczna. Byliśmy jak spiskowcy. Jak kochankowie. Nie wiem, co Jade o tobie myśli, i nie chcę wiedzieć, ale wówczas u Keitha, gdy wyznała, że zna o nas całą prawdę, poczułam się tak, jakbym znajdowała się w naszej starej kuchni w Chicago. Tylko że tym razem wszyscy byli bogatsi o nowe, bolesne doświadczenia, toteż nikt nie starał się załagodzić sytuacji. Stanęli po stronie Jade, dając mi wyraźnie do zrozumienia, iż wierzyli i wierzą do dziś, że łączyło nas coś więcej niż zwykła przyjaźń. Z ulgi, że nie zwariowała, Jade wybuchnęła płaczem, a sam dobrze wiesz, jak rzadko płakała, z jakim trudem przychodziło jej uronić łzę. Wybuchnęła płaczem, bo rodzina ją poparła, a to oznaczało, że podejrzenia, które żywiła, nie były wynikiem chorej wyobraźni czy też podświadomości.

Anna znów ujęła mnie delikatnie za rękę, lecz tym razem nie był to odruch nieumyślny, przypadkowy lub bezwiedny. Zaczęła odciągać mi kciuk od ciężkiej, spoconej dłoni, aż zabolowało mnie nadwerżone ścięgno.

- Nie zrozum mnie źle - rzekła.

- Dobrze.

- Wszyscy sądzą, że jesteśmy, a raczej, że byliśmy kochankami, może więc powinniśmy wyświadczyć im tę przysługę i przespać się? - Nie doczekawszy się reakcji, dodała: - Chciałabym się z tobą kochać. Chciałabym cię poczuć w środku.

Siedziała tak blisko, że miałem ochotę przytulić ją za samą odwagę, jaką wykazała. Jej słowa, że chce poczuć mnie w środku, wywołały pragnienie, aby pójść z nią do łóżka. Jednakże myślenie o kobiecie o tyle starszej w kategoriach erotycznych było całkiem obce mojej naturze.

Nigdy nie kochałem starszej kobiety. Nie należałem do tych ośmioletnich chłopców, którzy chcą się żenić z własną mamusią. Nie podkochiwałem się w żadnej nauczycielce, nigdy nie wodziłem tęsknym wzrokiem za starszą siostrą kolegi, nie interesowały mnie gwiazdy filmowe, a nawet zdjęcia nagich dziewczyn w pismach pornograficznych. Dziewczyny były za stare, toteż nie zwracałem uwagi na ich wdzięki. Najbardziej erotyczne zdjęcie, jakie widziałem w wieku dorastania, stanowiło ilustrację do artykułu w „National Geographic” o Seszelach i przedstawiało idącą brzegiem plaży rozebraną do pasa Murzynkę, która była w moim wieku, a może o rok młodsza.

- Nie mógłbym się z tobą przespać, Anno. Po prostu bym nie mógł.

Potrząsałem głową. Chciałem objąć ją i być objętym; zdjęty przerażeniem pragnąłem, aby mnie chroniła.

- Chyba jednak mnie nie rozumiesz - powiedziała. - Nie kieruję się tym, co mówią inni. Chodzi mi tylko o nas. Pragnę cię. Chcę spędzić z tobą dzisiejszą noc.

- I ja chcę być z tobą - odparłem. - Prawie przez cały wieczór przeżywałem straszne męki, ale czuję się szczęśliwy, dlatego że jestem tutaj, że jestem z tobą, że jest to jedyne prawdziwe życie, jakie mam. Lecz nie mogę się z tobą przespać. Nie śmieję się z tego, co powiem, ale nie byłbym w stanie kochać się z nikim, dopóki nie odnajdę Jade. Nie jest to łatwe, ale inaczej nie umiem postąpić. Gdybym przespał się z inną kobietą, cierpiałbym znacznie bardziej, bo dzieliłaby nas - mnie i Jade - jeszcze większa przepaść. Wiesz, to chyba nawet nie wynika z poczucia wierności, lecz ze strachu. Muszę czekać.

Anna siedziała z zaciśniętymi pięściami opartymi na kolanach. Na twarzy miała wypieki i nie patrzyła na

mnie. Gdyby chciała sprawić mi ból, był to odpowiedni moment, żeby opowiedzieć mi o różnych romansach Jade; czekałem na najgorsze, pocieszając się z góry, że to wszystko nie musi pokrywać się z prawdą, że Anna może się tylko mścić.

- Powinam być zła - rzekła.

- Nie.

- Tak. Powinam być zła. Powinam być wściekła. To całkiem proste, drogi Watsonie - Urwała i zamknęła oczy, zdziwiona, że potrafi z siebie żartować. - Skąd się bierze złość? Z odtrącenia. Z odmowy. Z braku zadowolenia. Wypowiedziałeś mi wojnę, zadałeś mi cios, powinam wpaść w furję. Mam już dosyć samej siebie. Wciąż czekam, aby rozpocząć życie od nowa.

- Chyba już pójdę - oświadczyłem. Serce waliło mi jak młotem; miałem wrażenie, że jest kruche i że zupełnie nad nim nie panuję. Czuję się o krok od śmierci i było mi obojętne, czy umrę.

Anna wstała i podeszła do okna. Przemknęło mi przez myśl, że może zechce zrobić coś strasznego, ale zachowywała się spokojnie.

- No to idę - powiedziałem, podnosząc się. Krew napłynęła mi do głowy; przed oczami ujrzałem gwiazdy i barwne plamy światła. - Przepraszam cię za dzisiejszy wieczór. Czy mogę do ciebie jutro zadzwonić? Zresztą i tak, i tak zadzwonię. Ale zrozumieć, jeśli nie...

- Jest późno - przerwała mi. Widziałem, że patrzy na moje odbicie w szybie. - Usiądź - rzekła, a kiedy usłuchałem, minęła mnie i znikła w przedpokoju.

Wkrótce wróciła, niosąc poduszkę, prześcieradło i jasnoniebieski koc.

- Wstań.

Rozłożyła prześcieradło na kanapie. Mrużąc oczy i marszcząc czoło, z całej siły ciągnęła za rogi, usiłując wygładzić posłanie. Stałem, nie odzywając się. Po chwili wszystko było gotowe.

- Tu przenocujesz. Będziesz w doborowym towarzystwie. Kto tu nie spał! - Cofnęła się i spojrzała na kanapę, wspominając tych, którzy na niej spędzili noc.

- Chcesz piżamę? Keith zostawił swoją, powinna na ciebie pasować. Potrzęsnałem głową.

- Jeszcze jedno. Kiedy wstanę, ty też musisz wstać. Rano pracuję, więc na śniadanie będzie kawa i grzanki, a potem chcę zostać sama.

- W porządku.

Anna skinęła głową. Oczy miała podsiniawe i podkrążone - skóra pod nimi przypominała pomięty atlas. Patrzyła mi prosto w twarz, zachęcając mnie, żebym napotkał jej spokojne, szczerze spojrzenie i uświadomił sobie sens tego, co zaszło. Bałem się jednak i odwróciłem oczy. Po chwili zmusiłem się, żeby na nią popatrzeć, ale ledwo widziałem jej twarz. Padałem z wyczerpania i jedynie myśl, że za moment spocznię na kanapie, na której spała Jade, pozwalała mi zachować przytomność.

Anna wyszła do sypialni. Nie byłem pewien, czy zamknęła za sobą drzwi, czy zostawiła je otwarte. Doleciał mnie jedynie przeciągły odgłos rozsuwanego suwaka. Zgasilem światło i siedząc na brzegu kanapy, rozebrałem się w ciemnościach. Prześcieradło było chłodne i gładziej niż jakiegokolwiek, na którym spałem, koc zaś miękki jak kaszmir. Kiedy naciągnąłem go na ramiona, dotyk jedwabnej lamówki sprawił, że odżyło mi w pamięci wspomnienie zebrania w domu rodziców. Byłem wtedy małym dziec-

kiem i leżałem na łóżku, na którym towarzysze pokładli swoje okrycia. Gładziłem jedwabną podszewkę jakiegoś płaszcza. Właśnie nauczyłem się nowego słowa, „wspaniałe”, więc powtarzałem: „To jest wspaniałe, wspaniałe!”. Inne wspomnienia zaczęły same napływać. Migawki z życia, które dawno minęło. Widok z pokoju w Rockville. Świątecznie udekorowana State Street. Obrazy, których wcale nie starałem się przywołać na myśl czy też zrozumieć, przelatowały mi przez głowę bez żadnego ładu i składu. Zupełnie jakby w części mojego mózgu nastąpiło krótkie śpięcie.

Nie chciałem rozmyślać, lecz nie miałem też ochoty natychmiast zasypiać. Pragnąłem poleżeć na kanapie, na której Jade spędziła niejedną noc. Przekręciłem się na brzuch i wsunąłem pod siebie poduszkę tak, że dotykała mnie od ust aż po pępek. Koc częściowo się obsunął, ale nie czułem zimna. W pokoju było ciepło, a koc dostałem tylko dlatego, że Anna pamiętała, iż lubię sypiać pod przykryciem. Pamiętała również, jak podczas długich, upalnych i bardzo męczących lipcowych nocy Jade pocila się, niemal gotując się pod wspólnym kocem.

Ze wszystkich sił wgniałem genitalia w kanapę, wreszcie się odwróciłem. W pokoju zrobiło się nieco jaśniej: zdziwiłem się, że tak szybko zaczyna świtać. Ale nie. Za oknami wciąż panowały egipskie ciemności. Opierając się na łokciu, spojrzałem w stronę przedpokoju, na którego końcu mieściła się sypialnia Anny. Drzwi do sypialni znajdowały się poza zasięgiem mojego wzroku, ale dostrzegłem wpadającą przez nie jasną cienką smugę światła, która kończyła się mniej więcej trzy metry ode mnie.

Tak jak każdy, kto nocuje w obcym miejscu, odkąd tylko zgasłem lampę, słyszałem setki cichych, dziwnych

odgłosów - z ulicy, zza ściany, ale nie zwracałem na nie żadnej uwagi. Teraz jednak dobiegł mnie dźwięk z sąsiedniego pokoju. Anna do kogoś dzwoniła. Z początku wolno wykręcała numer, robiąc przerwy między kolejnymi cyframi, potem zaś coraz szybciej i głośniejsze. Terkot obracanej tarczy brzmiał jak zbliżające się cicho drobne kroki. Przeraziłem się, że dzwoni na policję powiedzieć, iż człowiek, któremu sądownie zabroniono kontaktowania się z nią, Anną, naruszył prawo i właśnie śpi u niej na kanapie.

Wstrzymałem oddech. W sypialni nastąpiła cisza - martwa, złowroga cisza. Po drugiej stronie linii dzwonił telefon. Nie, w komendzie od razu podnieśliby słuchawkę. Po chwili usłyszałem, jak Anna przekręca się na łóżku i mówi szeptem:

- Cześć, Jonathan. To ja, Anna. Obudziłam cię? Krótka przerwa, po czym znów głos Anny:

- Wiem, że jest późno. Ale jeszcze nie śpię. Nie mogę zasnąć... Proszę cię. Naprawdę mi przykro. Nie po to dzwonię, żeby się z tobą kłócić. Zdaję sobie sprawę, że jest bardzo późno. Przecież wiesz, że na ogół tak nie postępuję. Powinieneś się domyślić, że się niepokoiłam... Nie wiedziałam, czy przyszedłeś, kiedy mnie nie było, czy jednak uznałeś, że nie przyjdiesz... Tak? Aha.

To dobrze, chociaż żałuję... Jonathanie. Mylisz się i to bardzo. Udowodnię ci, jaka jestem mało skomplikowana. Słuchasz mnie? Wsiądź w taksówkę i przyjedź, chcę się z tobą kochać... Tak... Myślisz, że jestem pijana?... Nie. Nie boję się, po prostu czuję się samotna. Ale nie dlatego dzwonię, że dokucza mi samotność. Dzwonię... Oj, Jonathanie, jesteś taki jednotorowy. Każdy wie, że jest środek nocy. I wszyscy wiemy, że jutro rano czekają cię różne pilne obowiązki.

Odłożyła słuchawkę i po chwili zgasiła światło.

Wkrótce jednak znów włączyła lampę. Podniosła słuchawkę i zaczęła wykręcać numer: podejrzewałem, że ponownie dzwoni do Jonathana. Nie rób tego, Anno, modliłem się w duchu. Proszę cię, nie rób tego.

Po wykręceniu czterech lub pięciu cyfr, kiedy tarcza, terkocząc, wracała na miejsce, Anna rzuciła słuchawkę na widełki i zgasiła światło. Już go nie zapalała.

Po kilku minutach straciłem świadomość. Ostatnia rzecz, jaką widziałem, to zmiana kolom za oknem: niebo stało się szarawo-niebieskie.

11

Rano obudziłem się dużo wcześniej niż Anna. Jaskrawe promienie słońca wpadały przez okna, sprawiając, że cząsteczki kurzu osiadłe po zewnętrznej stronie szyb wyglądały jak gaza. Niczym złodziej chodziłem na palcach po pokoju, niepewien, czy mam zostać, czy wyjść. Łazienka znajdowała się w połowie drogi między sypialnią a salonem, lecz chociaż byłem brudny, nieświeży i zmęczony, nie miałem najmniejszej ochoty udać się w jej stronę. Ubrałem się i powłócząc nogami, wszedłem do małej kuchenki, żeby się umyć.

Wyleciało mi z głowy, że notes z adresami wisi obok umocowanego w kuchni na ścianie telefonu. Obok leżał bloczek papieru oraz flamaster. Przez chwilę zastanawiałem się nad przestępstwem, które zamierzałem popełnić, a które stanowiło pogwałcenie dobrych obyczajów, po czym odkręciłem kran i nakierowawszy parujący strumień

gorącej wody tak, żeby spływał cicho po ściankach zlewu, sięgnąłem po oprawny w jasną skórę notes i otworzyłem go na literze B. Butterfieldów tam nie było. Otworzyłem na J i wreszcie, Jade, ujrzałem twój numer telefonu i adres: pierwsze dane, jakie miałem o tobie od czterech lat. Wyrwałem z bloczku kartkę i używając drugiej ręki jako podkładki, zanotowałem zdobyte informacje. Nieczytelna bazgranina wyglądała tak, jakby była odbita w stłuczonym lustrze. Ale te niezdarne kreski, koślawe kółka i niechlujne gryzmoły zawierały właśnie to, czego mi brakowało. Żaden złodziej z torbą pełną diamentów nie szalał tak z radości jak ja. Żaden spadochroniarz, koziołkując swobodnie w powietrzu, obojętny na prawa rządzące życiem na ziemi, nie miał tak wielkiego poczucia wolności. Mieszkałaś w Stoughton w stanie Vermont, w domu przy ulicy West. Przy twoim imieniu figurowały trzy numery telefonów zapisane różnymi długopisami i w różnym czasie. Zdałem sobie sprawę, iż oznacza to, że często przebywasz poza domem, ale niepokój, jaki to we mnie wywołało, był niczym w porównaniu z radością, którą czułem na myśl, że jestem cię bliżej niż kiedykolwiek, odkąd dotykaliśmy się po raz ostatni.

Nagle pomyślałem, że może Anna nie msza się z sypialni, bo czeka, żebym sobie poszedł. Nie potrafiłem odczytać z kąta padania promieni słonecznych, która jest godzina, ale wydawało mi się, że już musi być południe. Ściągnąłem z kanapy prześcieradło i koc i złożyłem wszystko najstaranniej, jak umiałem. Zacząłem przeglądać „New Yorkera”, udając, że szukam dobrego klubu z muzyką jazzową albo świetnej sztuki. Mój cały majątek składał się z biletu powrotnego do Chicago oraz dziewięćdziesięciu dolarów, z czego za hotel winien byłem co najmniej dwadzieścia.

Chociaż w czasie tej wyprawy zdobyłem więcej, niż mogłem oczekiwać, ogarniało mnie coraz większe przygnębienie na myśl o tym, że z braku pieniędzy będę musiał opuścić Nowy Jork. Kartkowałem pismo, zerkając na dowcipy rysunkowe i reklamy futer, płaszczy, bransolet wysadzanych rubinami oraz najdroższej w świecie - jak głosił napis - szkockiej whisky. Zdziwiła mnie ilość pieniędzy posiadanych przez ludzi, zdziwiła tak bardzo, jakbym się dopiero co narodził.

Pograżyłem się w zadumie. Może nawet przez chwilę się zdrzemnąłem, bo zmęczenie po wczorajszych przeżyciach nie ustąpiło po kilku godzinach niespokojnego snu. Pamiętam, że zastanawiałem się, co by było, gdybyśmy - Jade i ja - mieli dużo pieniędzy. Czy wydalibyśmy wszystko na siebie? Rozdali innym? Założyli fundację przyznającą stypendia tym, którzy pragną skończyć z ponurą codziennością i żyć posłuszni jedynie romantycznym nakazom serca? Stworzyli klasztor dla zakochanych, choć naturalnie bez rygorów zakonnych? Oczywiście nie traktowałem tego poważnie, ale pomysł krył w sobie wiele możliwości; przypuszczalnie rozważałem którąś z nich, gdy do pokoju weszła Anna. Nie słyszałem, kiedy się obudziła, nie słyszałem jej kroków, lecz gdy odwróciłem wzrok od zalanych słońcem okien, stała przy kanapie, ubrana w dżinsy i czerwoną jedwabną koszulę.

- Od dawna jesteś na nogach? - spytała nieco poirytowanym tonem.

Przemknęło mi przez myśl, że gdybym miał choć trochę oleju w głowie, gdybym rozumiał, jak funkcjonuje świat, to na pewno postarałbym się opuścić mieszkanie, zanim wstanie Anna.

- Kilka minut - skłamałem.

- Słuchaj, wczoraj wieczorem... Nic nie mów, błagałem ją w duchu.
- Nie ma o czym mówić - powiedziałem zbyt pośpiesznie.
- Gdybym była nową narzeczoną Hugh, zrzuciłabym winę na gwiazdy. Ingrid uwielbia tłumaczyć wszystko astrologią. Wenus wchodzi w jakąś fazę i Ingrid zdradza Hugh. Mars zachodzi na księżyc, więc Ingrid ciska w Hugh zszywaczem. - Nagle Anna kichnęła: cichutkie „apsik”, cichsze od kichnięcia kota. - Boże, moja głowa. Spałam może ze trzy godziny.
- Źle się czujesz?
- Och, to naprawdę nie ma znaczenia. - Zakryła rękami twarz i czubkami palców potarła oczy. - Zachowałam się wczoraj jak harpia, nie, jak Meduza. Należą ci się przeprosiny.
- Nie, nic mi się nie należy.
- Byłam podła. Muszę ci jedno wyjaśnić. Na temat Jade. Chciałam, abyś uwierzył, że nigdy o tobie nie myśli, że nigdy cię nie wspomina. Nie wiem dlaczego, ale chciałam, żebyś poczuł się zdmzgotany. Prawda jednak wygląda inaczej: Jade nadal o tobie myśli. Nie zrozum mnie źle, David. Jestem pewna, że nie życzyłaby sobie, abym ci o tym mówiła, lecz wydaje mi się, że masz prawo wiedzieć. Nie wymazała cię z pamięci. Może ta wiadomość wynagrodzi ci wczorajszy wieczór, wynagrodzi to, że postawiłam cię w tak niezręcznej sytuacji.
Z trudem podniosłem się z kanapy: nogi dosłownie się pode mną ugiwały. Z całego serca pragnąłem uściskać Annę, wyrazić swoją wdzięczność i przyjaźń, zamiast tego jednak pogładziłem ją po twarzy. Skórę miała delikatną, aż zadziwiająco miękką, ja zaś paznokcie nierówno

obcięte i brudne. Anna niemal cofnęła się przed moim dotykiem, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

- A teraz muszę cię wyrzucić - rzekła.

- Na zawsze?

- W każdym razie na cały dzień. Jest dziesiąta. Siadam do pracy. - Wskazała wzrokiem stół z maszyną do pisania.

- Czy mogę do ciebie później zadzwonić?

- Nie bardzo wiem po co.

- Możemy gdzieś pójść na kolację.

- Wczoraj byliśmy na kolacji. - Skinęła głową. - W porządku. Zadzwon o szóstej. Miło mi będzie, jeśli zadzwonisz. Ale nastaw się na to, że możesz dostać kosza, dobrze? Wciąż się czuję jak katatonik i nie wiem, jak po dziesiątej kawie będę reagować na wspomnienie o wczorajszej nocy.

Gdy tylko wróciłem do hotelu, zdjąłem brudne ubranie, umyłem zęby i nagi usiadłem na białej, grubo tkanej narzucie, trzymając w ręce kartkę z numerami telefonów do Jade. Podniosłem słuchawkę i poprosiłem recepcję o połączenie mnie z pierwszym numerem na liście. Nie chciałem tracić ani chwili. Byłem niewyspany, a zarazem straszliwie podniecony faktem zdobycia telefonu Jade; kiedy indziej czułbym się znacznie bardziej spięty, miałbym różne wątpliwości. Słyszałem, jak recepcjonistka wykręca numer w Vermoncie - chropawy terkot obracanej tarczy napawał mnie entuzjazmem.

Po drugiej stronie linii rozległo się dzwonienie. „Chyba zwariowałem” - przeszło mi przez głowę i ogarnięty paniką niemal się rozłączyłem. Po trzecim dzwonku jakaś kobieta podniosła słuchawkę i wesołym głosem, rześkim niczym smak pomarańczy, powiedziała „halo”.

- Czy zastałem Jade Butterfield?

Jade przy telefonie - wyobraziłem sobie odpowiedź i na samą tę myśl serce zabiło mi mocniej, a w gardle całkiem mi zaschło.

- Nie, nie ma jej. Czy coś przekazać?

Zadzwoiłem pod drugi numer i po dziesięciu dzwonek wreszcie uznałem, że nikogo nie ma w domu. Kiedy połączyłem się z trzecim numerem, telefon odebrał młody człowiek, który - sądząc po głosie - był zapewne przystojny i bezpretensjonalny, tak jak kobieta, która podniosła słuchawkę przy pierwszym numerze, była - znów sądząc po głosie - życzliwie do wszystkich nastawiona.

- Chciałbym mówić z Jade. Czy zastałem ją w domu?

Nastąpiła cisza - czyżby imię Jade wiązało się dla młodzieńca ze wspomnieniem zerwanego romansu, a może był to jej obecny chłopak, który zaniemówił z zazdrości? - lecz po chwili usłyszałem:

- Chyba jej nie ma. Ale mogę sprawdzić. Zaczeka pan?

- Chętnie.

Jego niepewność wydawała mi się najzupełniej szczerą, chociaż mogła oznaczać dwie rzeczy, albo że facet nie wie, czy Jade jest w domu, albo że nie orientuje się, czy zechce podejść do telefonu.

- A kto mówi? - spytał przyjaźnie i chyba bez żadnych wrogich pobudek.

- Dave - odparłem po krótkim wahaniu. Dave? I kogo chciał oszukać? To zdrobnienie było jak sztuczny nos przyklejony do twarzy, a nie jak maska, która ewentualnie mogłaby kogoś zmylić. Na drugim końcu linii odgłos kroków znikł w oddali: wyobraziłem sobie, jak facet szuka Jade po ogromnym, podupadającym domu zbudowanym w stylu wiktoriańskim, domu przypominającym chicagowski

dom Butterfieldów, choć znacznie większym, w którym szaleją przeciągi, na podłodze leżą porozkładane materace, na ścianach wiszą plakaty braci Marx, a w lodówce pamiętającej czasy wojny koreańskiej stoją rzędem podpisane kartony z mlekiem. Tak, pomyślałem, jest to zapewne zaprzyjaźniona, niezaangażowana politycznie studencka komuna. Grupa facetów i dziewczyn, którzy wspólnie wynajmują dom, co ich taniej wynosi.

- Nie, nie ma jej - powiedział przystojny Sean czy Philip pełniący dyżur przy telefonie. - Wydawało mi się, że wyszła, ale z Jade nigdy nic nie wiadomo.

- Aha. A kiedy wróci? - spytałem całkiem, o dziwo, beznamietnie, zupełnie jakbym gardło miał z kamienia. - Nie wie pan, gdzie mógłbym ją złapać?

- Może poszła do stodoły na koncert. Nie wiem. Miała iść na farmę do Sophii, ale chyba całą imprezę odwołano.

- O Jezu. - To było ponad moje siły: koncert w stodole, farma, młodzian przy telefonie. Krążyłem nad Jade niczym zbłąkany, zagubiony duch, który wali nie w tę okiennicę, co trzeba. Jak to możliwe, że przebyłem tak żmudną drogę i wciąż jestem sam?

- Czy coś jej przekazać? - spytał mężczyzna.

- Tak - odparłem, ale już nic więcej nie dodałem. Sam nie wiem, jak długo czekał na odpowiedź; widać

wyznawał zasadę, że mowa jest srebrem, a milczenie złotem.

- Jestem znajomym Jade. - Niczym zdenerwowany szczur w labiryncie wróciłem do punktu wyjścia. Leżałem na plecach, obiema rękami trzymając słuchawkę i wpatrując się w sufit. Miał fakturę oskubanej kury.

- Więc nie orientuje się pan, kiedy Jade wróci?

- Nie - odparł łagodnie.
- Ale w ogóle to tu mieszka, prawda? Dzwonię pod właściwy numer?
- Kim pan jest?
- Na imię mam Dave. Już to panu mówiłem. Dave.
- Ale kim pan jest?

Byłem pewien, że w tej wielkiej, wspólnej chałupie odbywają się - podobnie jak w Rockville - długie, szczere rozmowy, czasem przeplatane żartami, czasem płaczem, toteż dałbym głowę, że nazwisko David Axelrod wiele mówiłoby temu przystojnemu wartownikowi stojącemu u dębowych drzwi do rajów.

- Jestem starym znajomym Jade. Przyjacielem jej rodziny. - Podanie prawdziwych danych byłoby zbyt ryzykowne i okrutne. Nie chciałem, żeby po powrocie do domu znalazła kartkę z moim nazwiskiem przypiętą do wspólnej tablicy informacyjnej. - Skontaktuję się z nią później.

- Powiem, że pan dzwonił.

- Nie, nie trzeba. - Chciałem go ostrzec, żeby jej nic nie mówił; usiłując zbagatelizować sprawę, dodałem z wdziękiem, niczym tenor operowy, który wbija sobie nóż w serce: - To nic ważnego. Zadzwoń później.

- W porządku.

- Niech pan jej nic nie wspomina.

- Dobrze. Tylko że dzwonił przyjaciel rodziny.

- Nie! W tym cała rzecz. Niech pan nic nie mówi.

- Przez chwilę się zastanawiałem i nie wiadomo, skąd wpadł mi do głowy znakomity, moim zdaniem, pomysł.

- Skłamałem, że mam na imię Dave.

- No dobrze. Więc kim pan jest?

Cichutko się rozłączyłem, ale wciąż trzymałem ręce na słuchawce, tak jak wtedy w Chicago, kiedy codziennie

sprawdzałem kilka numerów z listy Butterfieldów. Zalała mnie fala bezsilności, a zaraz potem równie potężna fala upokorzenia. Dopiero gdy odstawiłem telefon na stolik przy łóżku i wtuliłem twarz w chłodną, twardą poduszkę, uświadomiłem sobie, że ta rozmowa nie jest przecież kolejnym fiaskiem w długiej serii bezskutecznych poszukiwań: trafiłem wreszcie na Jade, miałem numery jej telefonów, znałem adres, a poza tym byłem wolny i mogłem robić, co mi się żywnie podoba.

Wziąłem prysznic i zamówiłem do pokoju śniadanie: grzanki po francusku, szynkę, sok pomarańczowy oraz dzbanek kawy. Stałem przy oknie i choć widok miałem częściowo zasłonięty, obserwowałem z dziewiątego piętra przechodniów, którzy sunęli w dół, robiąc sobotnie zakupy - wycinek świata oglądany przez celownik aparatu fotograficznego. Jakże wszystko wydawało mi się piękne...

Przy śniadaniu czytałem gazetę niczym człowiek o normalnym, ustabilizowanym życiu. Mimo męczarni związanej z oczekiwaniem, czułem się tak, jakbym siedział pośród olśniewającego przepychu. Jadłem najwolniej, jak umiałem, czytałem najwolniej, jak potrafiłem, i gdybym mógł, chętnie przywiązałbym worki z piaskiem do wskazówek zegara. Od dnia pożaru pragnąłem jedynie, żeby czas umykał szybko i z pokorą niby zakonnica uciekająca przed deszczem, ale teraz moje życie znów nabrało sensu.

Przeczytałem w gazecie, że w małym teatrzyku na East Side grają wieczorem *Ostatnią taśmę Krappa*. Była to moja ulubiona sztuka Brechta i pamiętałem, że Anna też ją lubi. Bilety kosztowały zaledwie po cztery dolary, na co mogłem sobie śmiało pozwolić. Nie namyślając się, zadzwoniłem do Anny.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Nie poszłabyś wieczorem do teatru?
- Chyba nie. Hugh dzwonił.
- To dobrze. - Nie wiem, co miałem na myśli, wypowiadając te słowa. Może chodziło mi o to, że znów się wszyscy schodzimy razem.
- Przyjechał do Nowego Jorku ze swoją narzeczoną. Poszli do Chinatown kupić jakieś korzenie i olejki. Ingrid zamierza zaprowadzić Hugh do znachora, Chińczyka, który urodził się jeszcze w ubiegłym stuleciu i który ma im zdradzić tajemnicę herbat ziołowych. Wiesz, ona naprawdę znacznie bardziej pasuje do Hugh niż ja.
- Więc umówiłaś się z nim na wieczór?
- Nie. Wracają do New Jersey, tam jest ich miejsce. - Parsknęła śmiechem. Głos miała podrażniony; wtykała niewidzialny kij w morze swoich uczuć, jakby starała się dokładnie ustalić rozmiary smutku, który ją ogarnął.
- Nie chcesz obejrzeć *Ostatniej taśmy Krappa*?
- Chyba nie.
- Ja funduję.
- Powiedziałam, że nie. Przez chwilę milczeliśmy.
- Czy nadal mam dzwonić koło szóstej? - spytałem.
- Jeśli chcesz - odparła.
Zniecierpliwiony wyszedłem z hotelu na miasto. Minąłem Trzydziątą Czwartą Ulicę i mszyłem na północ Piątą Aleją, oglądając po drodze bogate wystawy sklepów ze sprzętem elektronicznym, pełne aparatów fotograficznych, magnetofonów na baterie oraz tranzystorów. Gdzieś w pobliżu, może nawet po drugiej stronie ulicy, a może przed

sąsiednim sklepem stał Hugh z Ingrid i uśmiechając się niepewnie, patrzył przez małe, okrągłe okienko o grubości dwudziestu centymetrów na miniaturowy, czerwony powóz, na którym leżały kolczyki wysadzone diamentami i szmaragdami. Niestety Hugh i Ingrid polegało na tym, że mieli gusty oraz zachcianki bogaczy i tęsknili za tym, na co nawet w najmniejszym stopniu nie było ich stać, ja zaś, idąc tą samą ulicą, widziałem rzeźbione meksykańskie szachy, które mogłem kupić, gdybym tylko chciał, podobnie jak austriacką lornetkę czy japońską porcelanę w moich ulubionych kolorach błękitu i żółci, przecenioną z trzydziestu pięciu dolarów na dziewięć i składającą się z ośmiu filiżanek do zupy oraz wazy.

Potrafiłbym to wszystko wyjaśnić znacznie lepiej, gdybym żył w innych czasach, gdyby historia mojej miłości była balladą, gdybym mógł wymachiwać do góry pięścią, wierząc, iż grozę niebu, prawdziwemu niebu, które tętni inteligencją i wprawia w ruch czas oraz przypadek, a nie że wygrażam warstwom ozonu i tlenu, bryłkom minerałów i dziurom powietrznym.

Spacerowałem Piątą Aleją, bo miałem dwie godziny, zanim wolno mi będzie zadzwonić do Anny. Hugh zaś krążył gdzieś ze swoją narzeczoną, wspominając rzeczy, których w dzieciństwie nauczył się pragnąć. Kto wie, ile ludzi przemierzało z nami te ulice? Z milion na pewno. Spośród różnych miast w Stanach właśnie w Nowym Jorku człowiek ma największą szansę spotkać kogoś znajomego; Nowy Jork to stolica przypadkowych spotkań. Jeśli przebywa się tu dość długo, można zobaczyć wszystkich ludzi, jakich się w życiu znało.

Mam przed oczami szkielet pochylony wyczekująco nad ekranem radarowym: Hugh i ja to punkty światła, które pędzą ku sobie z szaleńczym pośpiechem komet.

Nie dostrzegamy przyszłości. Z trudem chwytny się dziwnych wersji przeszłości. Widzimy tylko to, co jest bezpośrednio przed nami. Prawie nic nie rozumiemy. Można wytrzymać jedynie wtedy, gdy się człowiek niczym nie przejmuje. Ja się przejmuję i nie mogę wytrzymać.

Powiniennem po prostu wciągać i wypuszczać powietrze i niczego się nie bać. Ale nie wiedząc, co się za chwilę stanie, i żyjąc nadzieją, że cokolwiek się stanie, nie będzie zbyt trudne do pojęcia, to tak jakby prowadziło się z maksymalną prędkością samochód, którego przednia szyba jest cała pokryta rysunkiem przedstawiającym miejsce, gdzie się niegdyś mieszkało.

Oglądałem witrynę w księgarni wydawnictwa Double-day. Zamierzałem wejść do środka i kupić dla Anny książkę. Za dawnych dobrych czasów przynosiłem jej różne rzeczy do czytania, wymienialiśmy się książkami, na przykład za *Żydów bez pieniędzy* dostałem *Dobrego żołnierza* Forda, za powieść Kerouaca *Podziemni - Ciasną bramę* Gide'a. Bawiły nas różnice w naszych gustach. Sądziłem, że ofiarowując jej książkę, zdołam przywrócić choć część radości, jaką oboje czerpaliśmy z lektury. Ale nic na wystawie nie pasowało mi do Anny i nie mogłem sobie przypomnieć żadnej ostatnio czytanej powieści, którą chciałbym jej podarować. Odwróciłem się od wystawy i po drugiej stronie ulicy, nieco bardziej na północ, zobaczyłem dom towarowy Tiffany's. Kiedyś byłem z Jade na filmie *Śniadanie u Tiffany'ego*. Zamiast udać się do szkoły, poszliśmy do kina w południowej części Chicago i gdy Audrey Hepburn szukała na deszczu kota, Jade i ja siedzieliśmy w pustym kinie i płakaliśmy, wylewając łzy z brakiem opamiętania, które cechuje pijanych piratów, co z workiem pełnym złota zataczają się po porcie.

Postanowiłem przejść na drugą stronę i zajrzeć do Tiffany'ego. Jeśli wkrótce spotkam Jade, będę miał jej o czym opowiadać. Doszedłem do skrzyżowania i wraz z pięćdziesięcioma innymi przechodniami czekałem na zielone światło. Stojąc w tłumie, czułem się źle ubrany. W Chicago, mieście blondynek i blondynów, sprawiało mi przyjemność, że wyróżniam się swoim odmiennym, semickim wyglądem, ale tu, w Nowym Jorku, otoczony czarnookimi mężczyznami w ciemnych garniturach oraz kobietami, z których każda miała ogromną strzechę czarnych, jakby naelektryzowanych włosów, tutaj, pośród tej rzeszy jedwabnych krawatów i bogatych klejnotów, poczułem się tak oszołomiony elegancją manhattańczyków, że niczym wieśniak zacząłem się zastanawiać: czy ci ludzie naprawdę tak żyją? Był środek dnia, a miałem wrażenie, że znajduję się w holu gmachu opery. Dyskretnie obserwowałem zaaferowane twarze, duże nosy obnoszone dumnie niczym rodzinne trofea, krzaczaste brwi, cienie na policzkach, czasem rzucał mi się w oczy szaroniebieski beret, ogolona głowa lub czerwona, aksamitna jarmułka.

Następnie powędrowałem spojrzeniem na drugą stronę ulicy, gdzie również stał tłum pieszych, czekając, aż się zmieni światło. I tam, tuż przy krawężniku, dojrzałem Hugh, który patrzył mi prosto w twarz. Obok niego stała wysoka kobieta z rudymi warkoczami, ubrana w bluzkę bez rękawów i dzinsową spódnicę. W ręce trzymała torbę z zakupami. Głowę miała zadartą do góry. Kiedy uniosłem wzrok, zobaczyłem nieduży samolot, który leciał, zostawiając za sobą ślad układający się w litery H O V...

Miałem tyle możliwości do wyboru.

Światło na skrzyżowaniu wciąż było zielone dla pojazdów sunących Piątą Aleją. Przecisnąłem się przez tłum,

przeszedłem na drugą stronę Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i mszyłem w kierunku mieniającego się w oddali zielenią Central Parku. Choć wiedziałem, że to nieprawda, starałem się sobie wmówić, iż Hugh mnie nie dostrzegł i że wyświadcę nam obu przysługę, jeśli usunę mu się z drogi. Szedłem szybko, z nisko opuszczoną głową. Niemal biegłem.

Hugh puścił się za mną jak strzała, przecinając skrzyżowanie Piątej Alei z Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą po przekątnej. Ingrid, jak nam później wyznała, krzyknęła: „Hugh! Co robisz?”.

I nagle, na pełnym gazie, nadjechała taksówka, usiłując zdążyć przez skrzyżowanie na żółtym świetle. Taksówkarzom zawsze potwornie się śpieszy; w ten sposób zarabiają na życie.

Obejrzałem się, żeby sprawdzić, czy Hugh wciąż za mną biegnie. Tak, biegł, starałem się więc zatrzymać, ale nie byłem w stanie. Moje nogi zhańbiły się tchórzostwem. Powtarzałem w myśli: nie odwracaj się, szybko wal prosto przed siebie. Chodnik był zatłoczony, niemal jak przed Bożym Narodzeniem.

Ruch i gwar uliczny nie zdołał zagłuszyć pisku opon, który był tak przenikliwy, jakby rozległ się w pogrążonej w ciszy sali koncertowej. Stałem w pół kroku i obejrzałem się za siebie: zobaczyłem Hugh dosłownie sekundę po tym, gdy wpadła na niego taksówka.

Płynął w powietrzu, trochę na ukos, wzdłuż Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Przypominało to niemal wyczyn kaskaderski. Taksówka chybotwała się w przód i w tył, do góry i w dół, niczym człowiek, który dostał ataku apopleksji. Nikt nic nie mówił, Hugh zaś wciąż unosił się w powietrzu.

Upadł na wznak, lecz nadal pruł po ziemi, jakby ślizgał się na sankach. Ramiona miał odrzucone w bok; brązowa marynarka podjechała mu do góry aż po pachy. Naraz, poruszając się w sposób niezdamny i niedołączny, zaczął zmieniać pozycję ciała - dopiero teraz zrozumiałem, że sprawa jest poważna i właściwie beznadziejna. Przekręcił się na prawe ramię, głowa jednak pozostała tak, jak była, nogi zaś rozjechały mu się w dwie przeciwne strony. Miałem wrażenie, że zaraz się połamię. Jakiś samochód ostro hamował, a za nim drugi i trzeci. Przez kilka sekund po zderzeniu z taksówką ciało Hugh pruło własnym pasem po ruchliwej Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, aż wreszcie zwolniło i się zatrzymało.

Chyba było to już bez znaczenia. Taksówka, która wpadła na Hugh, jechała szybko i uderzyła go z całej siły. Pewnie zmarł na miejscu, a jeśli nie, to niewiele dzieliło go od śmierci. Został jednak znów potrącony - tym razem przez zieloną furgonetkę z kwiatami. Właściwie trudno to nazwać potrąceniem. Nieduża furgonetka przetoczyła się po nim, masakrując górną część jego bezwładnego ciała.

Czy niebo zrobiło się czerwone? Czy słońce choć drgnęło w swoich obrotach? Świat, a raczej zatłoczony skrawek Manhattanu, pogrążony był w całkowitym spokoju. Ludzie odwracali się powoli, cicho, zdziwieni, nieco stropieni jak widzowie po obejrzeniu sztuki awangardowej. „To już koniec? Nic z tego nie rozumiem”. Nikt nie dowierzał własnym oczom. Każdy w myślach odtwarzał scenę, jak Hugh uderzony przez taksówkę wiruje w powietrzu niczym wór kartofli, i dopiero wtedy uświadamiał sobie, co się stało. Długa chwila osłupienia minęła, minęła cisza, kiedy to wszyscy wstrzymywali oddech, wreszcie rozległy się pierwsze krzyki, pierwsze szlochy, ręce podniosły się do

oczku, żeby zasłonić ten straszny widok: byliśmy przerażonym tłumem, który zataczając się, wchodzi na jezdnię, depta sobie po piętach, odpycha się łokciami, ludźmi, którzy boją się przyjrzeć zbyt uważnie nieznanym i którzy liczą, że znajdzie się ktoś, kto będzie wiedział, co robić.

Ale nikt taki się nie znalazł. Rzadko kiedy się znajduje. Zbliżaliśmy się do miejsca wypadku. Nagle miałem przywidzenie - wydawało mi się, że Hugh wstał. Ktoś przede mną upuścił wielkiego precla, z jakich słynie wschodnia metropolia, a ja go niechcący zdeptałem. Ktoś inny upuścił gazetę. Wszystko leciało ludziom z rąk.

- Jezu! Nie patrz, kochanie. - Usłyszałem czyjś głos. - Proszę cię, nie patrz.

Jedną nogą stałem na krawężniku, drugą na jezdni. Ruch uliczny zamarł. Pięć przecznic od miejsca wypadku kierowcy naciskali na klaksony. Przede mną zgromadził się spory tłum. Ale nikt nie przeciskał się do przodu, wołając: „Jestem lekarzem!”. Nikt nie kazał nam usunąć się z drogi. Nikomu nie wadziło, że stoimy jak sparaliżowani.

Przez chwilę czułem się bliski omdlenia, ale od razu wyobraziłem sobie, co by było, gdybym w takim tłumie stracił przytomność; wyobraziłem sobie, jak w gardło wbija mi się czyjś wysoki obcas...

To już nawet nie był Hugh. Hugh opuścił swoje zmasakrowane ciało... i stał obok mnie. To nieprawda, oczywiście, ale mężczyzna w słomkowym kapeluszu, jakie najczęściej widuje się na wyścigach, i w żeglarskiej bluzie, który bezwiednie się o mnie opierał, miał w sobie coś z Hugh. Żar w zielonych jak morska woda oczach i stoicyzm, który kojarzył się z bohaterskimi czynami. Może duch Hugh krążył nad nami, może unosił się w powietrzu niczym kurz

po wybuchu, a my wchłanialiśmy jego cząstki. Często pragniemy w to wierzyć, kiedy ktoś umiera.

Postąpiłem naprzód. Nikt nie protestował. Ci, którzy znajdowali się bliżej Hugh, nie wykazywali chęci, żeby bronić swoich lepszych pozycji.

Po drugiej stronie ulicy Ingrid Ochester przeciskała się przez tłum. „On jest mój” - oznajmiła stanowczo tonem nieco zawstydzonym, który nie zdradzał smutku, jaki ją przepełniał. Sprawiała wrażenie, jakby przeproszała za zakłócenie porządku, niczym niańka, której podopieczny zdemolował w sklepie wystawę. „On jest mój”, powtarzała w kółko. Wymachiwała przed sobą swoimi dużymi rękami, przykładając każdemu, kto w porę nie usunął się jej z drogi. Wyglądała tak, jakby opędzała się w ogrodzie od chmary końskich much. Kiedy zataczając się, doszła do krawężnika i zbliżyła do Hugh, nogi się pod nią ugięły: nawet nie starając się odzyskać równowagi, upadła na kolana. Kałuża krwi, w której leżał Hugh, wciąż się powiększała, toteż Ingrid - chociaż przewróciła się o dwa metry dalej - znalazła się akurat na jej skraju i patrzyła w czerwoną ciecz, jakby chciała dojrzeć w niej swoje odbicie. Ja stałem po drugiej stronie w odległości około trzech metrów od ciała. Trzy inne osoby również przecisnęły się przez tłum: na nas właśnie koncentrowały się oszołomione spojrzenia gapiów, zupełnie jakbyśmy odprawiali nad zmarłym rytualny taniec.

- Proszę nic nie ruszać - powiedział ktoś do Ingrid. Ale kiedy odwróciłem się, pewien, że zobaczę glinę, który przedarł się przez tłum i przejął sprawy w swoje ręce, nie dostrzegłem nikogo w mundurze policjanta, gdy zaś ponownie spojrzałem na Ingrid, klęczała w kałuży krwi, odgarniając Hugh włosy z czoła. Luźno splecione rude

warkocze zwisały jej na piersi; dzinsową spódnicę miała moką i czerwoną od krwi, podobnie jak dłonie i twarz, którą nieopatrznie potarła ręką. Mówiła coś do Hugh, do mnie, do wszystkich, lecz nie słyszałem słów. Patrzyłem, jak Hugh mnie goni. Ja byłem Hugh. Taksówka huknęła mnie w klatkę piersiową, zwałem się na maskę pojazdu, z której - ponieważ kierowca się nie zatrzymał - stracił mnie strumień powietrza. Przez chwilę leciałem nad ziemią, a gdy spadłem na jezdnię, jeszcze przez pewien czas się ślizgałem. Zebra miałem połamane, kiedy zaś uderzyłem głową o bruk, czaszka roztrzaskała mi się niczym stara, wydrażona dynia. Najgorszy jednak był ten ślizg po jezdni, kiedy z pleców zdzierała mi się skóra: przejął mnie potworny ból, najgłupszy i najpospolitszy w świecie ból. Miałem wrażenie, że toczę się po rozgrzanych odłamkach szkła; wprawdzie nie wiem, co się wtedy czuje, ale chyba tylko do tego można porównać ten ból, który wypełnił ostatnie chwile mojego życia niczym głośny, okrutny akord kończący symfonię.

Kierowca furgonetki z kwiatami, która przejechała Hugh, wysiadł z szoferki. Był to potężnie zbudowany, muskularny mężczyzna ostrzyżony na Elvisa Presleya, ubrany w biały podkoszulek i zwężające się ku dołowi, czarne spodnie. Trzymał przy czole chusteczkę i wycierał kropelki krwi sączące się z zadraśnięcia, które odniósł, gdy swoją wielką głową uderzył w przednią szybę. Pojazd zatrzymał się ponad trzydzieści metrów za ciałem - aż tyle wynosiła droga hamowania. Mężczyzna szedł, stawiając drobne kroczki, jakby miał na nogach buty młodszego brata. Patrzył na Hugh i potrząsał głową: fakt, że ni stąd, ni zowąd stał się przyczyną śmierci człowieka, wydawał mu się niepojęty.

- Widzi pan, co się stało? - zwróciła się do niego Ingrid.

- Proszę się cofnąć. Proszę się cofnąć - powtarzał ktoś. Hugh poruszył się nieznacznie, ale to pewnie znów było

moje przywidzenie. Wstrząsał mną szloch i świat drżał mi przed oczami niby galaretką na łyżce.

- Patrzcie - rzekła Ingrid niczym matka pokazująca dzieciom gniazdo, w którym wylęgły się wróble. Kierowca już bliżej nie podchodził. Stał, potrząsając głową, i wpatrywał się w Hugh, nie mogąc zapewne zrozumieć, w jaki sposób to ciało - ten wór pełen krwi - spadło mu prosto pod koła, nie dość, że sam był bliski szoku, to jeszcze groziła mu utrata pracy, a tym samym skromniejsze posiłki na rodzinnym stole.

- Nie ruszać go. Nie wolno go ruszać. - Odezwał się czyjś głos. Odwróciłem się. Wysoki, brodaty Murzyn w marynarskiej czapce przeciskał się przez tłum. - Ludzie, przepuście mnie!

Był bardzo pewien siebie, opanowany, budził zaufanie: może w marynarce odbył kurs pierwszej pomocy, a może na odległej wyspie zgłębił tajniki pradawnych metod leczenia. Położył dłonie na moich ramionach i delikatnie przesunął mnie na bok. Następnie, wyciągając rękę w stronę Ingrid, powiedział:

- Odsuń się, kochana, żeby miał czym oddychać. Ingrid potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- Oddychać? - Wzruszeniem ramion wskazała Hugh i dopiero teraz po raz pierwszy przyjrzałem się dokładnie zmasakrowanemu ciału. Całe od stóp do głów pokryte było krwią, zupełnie jakby Hugh poległ w walce, a nie w wypadku drogowym. Na brzuchu było tyle krwi, że ubranie niemal falowało, niczym liście w strumyku. Połamane ręce, odrzucone za głowę, leżały w przedziwnej pozycji, w jakiej nigdy by się same nie ułożyły. Zamiast szyi miał ciemną,

krwawiącą miazgę - najwyraźniej koła furgonetki przejechały po niej i gdybyśmy próbowali go podnieść, głowa mogłaby się oderwać od reszty ciała.

Murzyn bez wahania wszedł w kałużę krwi i kucnął przy ciele. Ingrid chwyciła obcego za ramię, po części, żeby odciągnąć go od Hugh, po części, żeby czuć bliskość żywego człowieka.

- Nie żyje - powiedział kierowca furgonetki, który stał przy mnie.

- Już nie żył, kiedy pan na niego najechał. Najpierw wpadł pod taksówkę.

Mężczyzna skinął głową.

- Oddycha - stwierdził Murzyn, rozglądając się z promiennym uśmiechem.

Nawet mi do głowy wcześniej nie przyszło, że facet jest szalony.

- Czy ktoś ma srebrną jednodolarówkę? Albo cokolwiek z czystego srebra? - Wyciągnął długą, kościstą dłoń.

- Dajcie kawałek srebra - poprosił głosem, który brzmiał całkiem normalnie.

Ingrid podniosła się powoli. Oczy miała przymrużone, wargi lekko rozchylone: na jej twarzy malował się wyraz oburzenia i wstrętu.

- Ten człowiek żyje i mogę go uratować - oświadczył Murzyn.

Ingrid odeszła, powłócząc nogami i potrząsając głową. Kiedy odwróciła się, żeby spojrzeć na Murzyna, stała już koło mnie. Pot lał się z niej strumieniami; z głębi gardła wydobywał się zduszony charkot.

- Proszę uważać - powiedziałem. - Ten facet to wariat.

- Ten człowiek - rzekła, wskazując Hugh - to mój mąż.

- Zamknęła oczy; wziąłem ją pod rękę.

- Życie jest wieczne - perorował Murzyn. - Nie można go zakończyć. Umiera z zaniedbania, bo ludzie to ignoranci. Jeśli działa się z bożą prędkością, iskra życia nigdy nie wygasa. Jest jak ogień, który można regenerować, dorzucając do niego opału. - Kucając w kałuży krwi, jedną ręką podpierał się o kość biodrową Hugh, drugą opróżniał kieszenie. - Nie mam srebrnych monet. Posłużę się więc trzema dziesięciocentówkami.

Położył na powiekach Hugh po jednej monecie, trzecią zaś umieścił mu na środku czoła. Wprawdzie górna połowa twarzy pozostała nieuszkodzona, jednakże krew sącząca się z rozbitej czaszki barwiła złociste włosy Hugh na kolor czerwony, ciemniejszy przy samej skórze, jaśniejszy nieco dalej: układ barw przypominał kwiaty o płatkach bardziej intensywnych i soczystych w kolorze tuż przy samym słupku.

Po piętnastu minutach było po wszystkim. Przyjechała wreszcie karetka pogotowia, która zabrała Hugh do szpitala, aby lekarze oficjalnie mogli stwierdzić zgon. Przybyli fotoreporterzy, którzy porobili zdjęcia. Z radia i telewizji przysłano po jednym dziennikarzu. Zjawili się dwaj policjanci na skuterach. Kierowca taksówki, który przez cały ten czas nie odważył się opuścić pojazdu, oraz kierowca furgonetki siedzieli teraz z tyłu w wozie policyjnym, ale nie umiałem powiedzieć, czy byli aresztowani, czy też chciano ich tylko przesłuchać. Ingrid udała się z Hugh karetką. Przechodnie wypytywali świadków zajścia o szczegóły wypadku. Mężczyzna w obszernym garniturze zaznaczał kredą miejsce na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, gdzie leżał Hugh. Już po chwili koła samochodów przejeżdżały przez

kałużę krwi. O tej porze dnia panował duży ruch i nie było czasu na sprzątanie.

Słyszałem, co świadkowie mówią policji, lecz nie potrafiłem dodać od siebie nic, co by brzmiało bardziej sensownie. Największy powód do zmartwień miał taksówkarz, ponieważ jednak wszyscy zgodnie twierdzili, że Hugh nagle wtargnął na jezdnię, przypuszczalnie faceta wypuszczają na wolność.

Jeden z gliniarzy spytał, czy ktoś pragnie złożyć oświadczenie, zeznać, co widział. Jakaś kobieta chciała opowiedzieć o Murzynie, który położył monety na twarzy ofiary, ale nieborak ulotnił się, gdy tylko rozległo się wycie syreny, toteż policja nie była nim zainteresowana. Ktoś inny zaczął narzekać na opieszałość policji i pracowników pogotowia ratunkowego. Wstrząsały mną dreszcze. Nie wiem, czy łzy ciekły mi po twarzy, oczy w każdym razie miałem tak wilgotne, że ledwo cokolwiek widziałem. Kiedy gliniarz spojrział w moją stronę, spuściłem wzrok i odwróciłem się najspokojniej, jak umiałem, jakbym szukał w tłumie znajomego albo sprawdzał czas na zegarze na wieży.

Przecisnąłem się przez tłum gapiów i włączyłem w strumień ludzi na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, ludzi zaaferowanych własnymi sprawami, którzy nie widzieli wypadku; szedłem teraz wśród tych, co mają ważniejsze rzeczy na głowie niż wozy policyjne i ich wyjące syreny.

Nie było gdzie usiąść. Gdybym stanął, usiłując złapać oddech, tłum podeptałby mnie, stratował. Sunąłem w kierunku zachodnim; nawet nie mogłem oglądać wystaw sklepowych, bo ciągle mijało mnie mrowie ludzi.

Ciekaw byłem, czy Hugh powiedział coś Ingrid, zanim rzucił się w pogoń. Czy krzyknął na przykład: „To David

Axelrod!""? Ingrid nawet mi się nie przyjrzała, chyba więc nie wiedziała, kim jestem.

Postanowiłem nie zdradzać się nikomu z tego, że przyczyniłem się do śmierci. Nie wiedziałem, co mam robić. Nawet się nad tym nie zastanawiałem. Myślałem tylko o Ingrid: byłem dla niej kimś obcym i właściwie nie przyjrzała mi się uważnie. Gdybyśmy się kiedyś w przyszłości spotkali, istniała duża szansa, że nie skojarzyłaby mnie z człowiekiem, który stał na rogu, podczas gdy z Hugh uchodziło życie.

Skręciłem w Szóstą Aleję. Zszedłem z krawężnika i podniosłem rękę, żeby zatrzymać taksówkę. Za pół godziny miałem zadzwonić do Anny.

12

- Nie dzwonię za wcześnie? - spytałem, gdy tylko Anna odebrała telefon.

Po przyjsciu do hotelu włączyłem klimatyzację i wsunąłem się w ubraniu pod kołdrę.

- Nie. Mam pretekst, żeby skończyć pracę. Co ci jest? Głos masz jakiś dziwny...

- Spałem. Przed chwilą się obudziłem.

- Oj, wydaje mi się, że wciąż jesteś półprzytomny. Może zadzwoń, kiedy się zupełnie obudzisz.

- Jestem obudzony.

- Nie upieraj się. Wiesz co? Wypalę sobie skręta i posłucham pierwszej strony płyty Erika Satie. To ci da dwadzieścia minut, weź zimny prysznic albo się pogimnastykuj. Długo spałeś?

- Prawie całe popołudnie. - Pierwsze kłamstwo miałem za sobą. Usiadłem na łóżku i rozejrzałem się po pokoju. Obrąłem podłą, niebezpieczną taktykę - kłamstwo ciążyło mi niczym kamień przywiązany do nogi i wrzucony do bezdennej przepaści; stałem na jej krawędzi, obserwując, jak sznur się rozwija.

- To dobrze - odparła Anna. - Ja też odpoczęłam. Cały wieczór przed nami.

- Wpadnę za godzinę. - Nie chciałem, żeby zaproponowała, abyśmy się spotkali w mieście. Zależało mi, żeby była w domu, kiedy ktoś - policja? Ingrid? - zadzwoni powiadomić ją o śmierci Hugh.

Gdy dotarłem na miejsce, Anna wciąż o niczym nie wiedziała. Była siódma, lecz jedynie długie cienie świadczyły, że zapadł wieczór. Anna ubrana była w pasiaste spodnie z cienkiego materiału i chłopięcą koszulę. Włosy miała mokre i zaczesane do tyłu, twarz bledszą niż przedtem, wargi pociągnięte ciemniejszą szminką. Przez cały dzień pisała na maszynie, zaczęliśmy więc rozmawiać o jej pracy.

- Czuję, że robię postępy - oznajmiła. - Nareszcie stworzyłam własny styl. To znaczy, kiedy piszę, jestem sobą, a później sczytując tekst, rozpoznaję w nim siebie, co mnie cieszy, a zarazem dziwi.

- Pokaż mi jakiś fragment - poprosiłem. Siedziałem na kanapie, kiwając się w przód i w tył.

- Jesteś zdenerwowany. Czy to z powodu wczorajszego wieczoru?

- Nie.

- Może powinniśmy o tym pogadać. Wolałabym puścić wszystko w niepamięć, ale skoro ty...

- Nie, nie... - zacząłem, ale nie miało to już żadnego znaczenia, bo wreszcie zadzwonił telefon.

- Oho - rzekła Anna, wstając. - I cóż to? Wielka szansa? Sława? Przygoda?

Ingrid. Dzwoniła z budki telefonicznej. Koniecznie musi o czymś z Anną porozmawiać, i to nie przez telefon. Czy może wpaść? Teraz? Tak, teraz.

- Cóż to za dziwna tajemnica? - zastanawiała się Anna. - Podejrzewam, że chce mnie obejrzyć, a stanowi to, jeśli dobrze pamiętam, typowy objaw wirusa zwanego małżeństwem. Słuchaj, czuję się jak przysłowiowa była żona, która nigdy nie rozstaje się z kieliszkiem. Ale i tak mam przewagę nad Ingrid. Mówi tym swoim ściszym głosem i bez przerwy gra: tak bardzo stara się zrobić na ludziach wrażenie.

Kiedy poruszyłem się, zamierzając wstać, Anna podskoczyła na krześle, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie moją obecność. Ciekaw byłem, czy zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo jest zdenerwowana.

- Dokąd idziesz? - spytała.

- Przyjdę później. Zadzwoń za godzinę.

- Nie. Zostań. Wymyślimy ci jakieś inne imię, jeśli o to się martwisz. Podoba mi się to złudne uczucie wyższości, jakie mam nad narzeczoną Hugh, ale prysłoby, gdyby zobaczyła, że sobotni wieczór spędzam samotnie. Moje pokolenie przywiązuje olbrzymią mistyczną wagę do tego, co kto robi w sobotnie wieczory, i jestem pewna, że pierwsza rzecz, o którą ją Hugh spyta, to czy byłam sama. Niech myśli, że umówiłam się z młodym, fajnym facetem. To nam wszystkim wyjdzie na dobre.

Czekałem więc z Anną, a cała sytuacja była tak straszliwie zakłamana, że zapewne czułbym się mniej dziwnie, gdybym oszalał. Oczywiście nie zawsze w swoim krótkim, burzliwym życiu mówiłem prawdę, ale to kłamstwo

było największe, na jakie się dotąd zdobyłem. Nie wynikało z konieczności ochrony cudzych interesów czy własnych tajemnic; nie dawało się porównać do ostrożnych uników, jakie stosowałem w rozmowie z doktorem Ecrestem, ani do pełnych optymizmu sprawozdań, jakie składałem Edowi Watanabe. Kłamstwo, którego się dopuściłem, zawisło nade mną niby chmura, a następnie pociemniało, niszcząc całą prawdę, jaka jeszcze we mnie była. Czasem się mówi, że ktoś „żyje kłamstwem”, ale kłamstwem się nie żyje: żyje się w nim niczym w jaskini.

Nagle z niesmakiem, a zarazem z ulgą, która spłynęła mi do serca, powstrzymując jego łomot, pomyślałem, że istnieje duża szansa, iż nikt nigdy się nie dowie, jaką rolę odegrałem w śmierci Hugh. Tylko narzeczona Hugh mogłaby skojarzyć, że byłem wtenczas na skrzyżowaniu, toteż niczym hazardzista zacząłem się gorąco i żarliwie modlić w duchu - a raczej wydawać nerwowe, urywane jęki, zawodząc jak muezzin z minaretu - aby Ingrid na zawsze wymazała mnie sobie z pamięci. Ponieważ tyle widziała tego popołudnia - Hugh pędzącego wprost na taksówkę, Murzyna z dziesięciocentówkami, kierowcę furgonetki ocierającego chustką czoło, odbłask słońca na kołonotatniku, w którym policjant spisywał zeznania - miałem nadzieję, że nie zapamiętała mojej twarzy. Kłamstwo, które popełniłem, potrzeba bliskiego kontaktu z Butterfielda-mi, powolny powrót do Jade - to wszystko zależało od tego, czy Ingrid mnie rozpozna, tak jak sukces przygotowywanej miesiącami wyprawy przemytniczej zależy od tego, czy opadnie mgła.

Anna tak bardzo nalegała, żebym poznał Ingrid, i tak bardzo była nieświadoma przerażenia, które mnie ogarniało, że ze trzydzieści razy w ciągu mniej więcej tyluż

samo minut przyszło mi do głowy, iż doskonale zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co staram się ukryć, a jej gadatliwość i nieśmiałość stanowią jedynie element dziwnej i ryzykownej gry, podobnie jak różne chwytaki psychologiczne, które detektyw na filmie stosuje z kamiennym wyrazem twarzy, kiedy chce zmusić podejrzanego do przyznania się do winy. Anna wypła kieliszek białego wina, drugi zaś postawiła na stole przede mną.

- Jak mam się do ciebie zwracać? - spytała.

- David?

- Nie, wymyślmy ci inne imię. - Sięgnęła za siebie i zapaliła stojącą na podłodze, lekką drewnianą lampę z abażurem w drobne kwiatki. - Wiem, że cię tyranizuję i że to wszystko jest wstrętne, ale chcę załatwić tę sprawę po swojemu. Mam silne przeczucie, że Hugh wmówił narzeczonej, iż jestem zimną, starą babą żyjącą w celibacie, uważam więc, iż powinnam pokazać się jej od innej strony, nawet jeśli - dokończyła z naciskiem - ta inna strona nie będzie odpowiadała prawdzie.

Kieliszek Anny znów stał pusty; ponieważ nie pamiętam, aby podnosiła go do ust, miałem wrażenie, że wino samo wyparowało.

- Nazwiemy cię Tony. Podoba mi się to imię. Brzmi tak arystokratycznie, a zarazem tak strasznie proletariacko. Tak, niech się Hugh pogłowi. Nie musisz nic mówić, David. Przedstawię cię Ingrid, a potem możesz wyjść. Tylko powiedz, że wrócisz. No wiesz, żeby nie wyglądało na to, że idziesz gdzieś balować. Odwdzięczę ci się kiedyś. To co, zrobisz to dla mnie?

Przyniosła z kuchni karafkę i nie zauważywszy, że nic nie piłem, dołała mi wina do kieliszka. Złocisty płyn zaczął wyciekać górą, tworząc na stoliku małą jasną kałużę.

- Boże, jaka jestem zdenerwowana. Zapowiedziana wizyta Ingrid. Nasz niewinny podstęp. Najgorsze jest to, że zawsze zostaje przyłapana na kłamstwie. Podziwiam ludzi, którzy potrafią umiejętnie kłamać, podziwiam i zazdroszczę im z całego serca. Moje opowiadania byłyby o niebo lepsze, gdyby kłamstwa łatwiej przychodziły mi na język. A ja wciąż babrzę się w prawdziwych zdarzeniach z mojego życia i nie umiem się od nich wyzwolić, choć gniotą mnie i uciskają niczym wynalazek pana Bovary nogę nieszczęsnego Hipolita.

W pokoju powietrze było gęste od dusznego żaru; przez otwarte okna dochodził hałas uliczny oraz leciutki powiew dymu i spalin. Kropelki potu osiadły Annie pod nosem, skórę miała lśniąca, wilgotna, włosy nie chciały jej wyschnąć, a ona też była zlana potem, od czubka głowy aż po końce palców u nóg. Po dotknięciu szyi rękę miałem całą mokrą.

Wreszcie na dole w holu ktoś nacisnął guzik domofonu i w długim przedpokoju rozległo się charakterystyczne buczenie. Nie czułem już strachu, nerwy zaś jakby osłabły mi z wyczerpania. Usłyszawszy domofon, wyprostowałem się na kanapie i wziąłem do ręki kieliszek. W pierwszej chwili chciałem prosić Annę, żeby nie otwierała drzwi, ale się nie odezwałem. Wszystko było już postanowione, życie toczyło się bez mojego udziału.

- Przyszło mi do głowy coś strasznego - rzekła Anna, wstając. Patrzyła na mnie, zakrywając ręką usta. - A jeśli przyprowadziła z sobą Hugh? Co jeśli się uparł, aby jej towarzyszyć? - Potrząsnęła głową. - Tylko tego nam potrzeba do szczęścia.

Podniosła staromodną, czarną słuchawkę domofonu.

- Kto tam?

Pociągnęła łyk wina.

- To ona - oświadczyła. - Nie ruszaj się z miejsca. Kiedy wrócę do pokoju, usiądę obok ciebie. - Znow potrzęsła głową. - Jestem pewna, że będę żałować tego spotkania.

Po chwili winda zatrzymała się na szóstym piętrze: Anna, z rękami splecionymi z tyłu niczym nastolatka, stała w otwartych drzwiach, oparta o framugę. Ingrid była ubrana niemal tak samo jak po południu: w białą bluzkę bez rękawów zapinaną na guziki - w kształcie perełek - i dzinsową spódnicę. Na gołych nogach miała sandały posklejane taśmą i powiązane sznurkiem. Na ramieniu wisiała jej ogromna, skórzana torba z wytłoczoną twarzą dobrotliwie uśmiechniętego księżycyca. Ingrid rozplotła warkocze i teraz włosy, które na ulicy sprawiały wrażenie bardziej rudych, opadały jej swobodnie na plecy.

- Proszę, niech pani wejdzie - powiedziała Anna głosem, który miał brzmieć radośnie, a brzmiał rozkazująco.

Jest taka scena w *Tajnym agencie* Conrada, w której anarchista wyjaśnia, że umieścił na sobie ogromny ładunek wybuchowy i jeśli ktokolwiek się do niego zbliży, spowoduje wybuch, unikając tym samym więzienia i przesłuchania, a przy okazji zabijając kilku policjantów. Wystarczy jedynie uruchomić prosty mechanizm i w ciągu pięciu lub dziesięciu sekund nastąpi eksplozja. A nie oszalejesz, czekając na wybuch, podczas gdy sekundy będą się wlokły niemiłosiernie wolno, jedna za drugą? - pyta słuchający. Pewnie oszaleję - odpowiada z namysłem anarchista. - Pewnie tak. Ale co mi za różnica? Anna i Ingrid zbliżały się do salonu, a ja, zlany potem, siedziałem na kanapie, czując się tak, jakby mechanizm został już uruchomiony i potężny wybuch miał zniszczyć moje życie - może nie za pięć sekund, ale w jakiejś

nieokreślonej chwili w przyszłości, na którą będę czekał świadom, że wskazówki losu odmierzają mi czas. Czy w ogóle będę wiedział, kiedy dokładnie moje życie legnie w minie? Na pewno jeszcze nie wtedy, gdy Ingrid wskaże mnie palcem; w końcu przecież od lat nie widziałem Jadę na oczy, ale dla mnie wciąż byliśmy nierozłączni. Wina, którą się mnie słusznie obarcza, oraz sporo bezpodstawnych zarzutów nie zniszczą mojego życia, a nawet - i to jest najbardziej przerażające - go nie zmieniają. Byłbym tym samym człowiekiem, który pragnie tych samych rzeczy, miałbym jedynie mniejsze szanse na ich zdobycie. Taki sam zapal, lecz szansa zerowa: oto szaleństwo, ku jakiemu podążałem.

Anna zajęła miejsce obok mnie na kanapie, Ingrid zaś na krześle, które przed chwilą zwolniła Anna.

- Napije się pani wina? - spytała Anna, gdy już siedziała wygodnie.

Patrzyłem na Ingrid. Jeśli miała mnie rozpoznać, wołałem, żeby ten moment nastąpił od razu. Pod jej piwnymi oczami dostrzegłem ciemne, sine worki. Sprawiała wrażenie osoby spokojnej, zamkniętej w sobie, którą łatwo urazić, osoby nieufnej, podejrzliwej, która z trudem nawiązuje kontakt z otoczeniem i która wciąż podejrzewa, iż inni chcą ją oszukać. Miała wąski, prosty nos, zaczerwieniony przy nozdrzach, i piegowate dłonie, których drżenia nie potrafiła opanować.

- To mój przyjaciel, Tony - oznajmiła Anna. W głosie jej brzmiała nuta niepewności, która zawisła w powietrzu niczym ptak w locie. Anna nastawiła się na to, że z gracją stoczy pojedynek słowny, toteż widok spoconej Ingrid, która siedzi na krześle, z trudem łapiąc oddech i ze skupieniem, jakby usiłowała odtworzyć wspomnienia z dzie-

ciństwa, szuka właściwych słów, widok przeciwniczki pokonanej przed walką zaskoczył ją i wprawił w zakłopotanie. Mówiła drżącym, ochryplym głosem, w którym dawała się wyczuć cierpkość niemająca nic wspólnego z wrażeniem, jakie początkowo pragnęła wywołać; wydaje mi się, że w dziwny, niepojęty sposób Anna odgadła, iż Ingrid przybyła przekazać jej niemiłą wiadomość.

- To ja sobie pójdę - rzekłem. Anna złapała głęboki oddech, żeby przypomnieć mi o tym, co jej obiecałem. - Wrócę za pół godziny. - Chciałem jeszcze dodać jakiś zwrot grzecznościowy typu „Na pewno panie mają sobie mnóstwo do powiedzenia”, ale świetnie zdawałem sobie sprawę, że wszystko, co tu powiem i usłyszę, na zawsze zostanie mi w pamięci. Skinąłem Ingrid na pożegnanie, po czym położyłem dłoń na ramieniu Anny.

- Zamknę za sobą.

- Nie - odparła, wstając pośpiesznie. - Odprowadzę cię. - Ujęła mnie delikatnie, może porozumiewawczo, za łokieć i mszyliśmy do drzwi. Wyszła ze mną na klatkę schodową i nacisnęła przycisk windy.

- Boże. Zupełnie się tego nie spodziewałam. Hugh opowiada o niej jak o królowej z kart tarota, a potem przysyła mi takie coś. Powiedz, ale szczerze: nie czujesz, że dręczą ją jakieś ponure myśli?

- Jest przygnębiona. - Przyjechała winda. - Zadzwonię później.

Drzwi zasunęły się za mną. Winda drgnęła, po czym powoli zaczęła zjeżdżać.

Ruszyłem Park Avenue. Pomyślałem sobie, że przejdę sześć przecznic i zawrócę. Do tego czasu Anna powinna o wszystkim już wiedzieć i może mógłbym się jej przydać. Szedłem szybko, trzymając się jak najdalej krawężnika;

w głowie miałem przeraźliwą pustkę. Hałas uliczny działał na mnie tak paralizująco, że parę razy chciałem usiąść na chodniku i zakryć rękami uszy. Zwłaszcza taksówki wydawały mi się groźne i złowieszcze. Nie potrafiłem zrozumieć, jak można pędzić tak szybko po zatłoczonej pojazdami jezdni, zmieniając co msz pasy ruchu, przelatując przez czerwone światła, używając klaksonu zamiast hamulców. Stałem kilka przecznic od domu Anny, przed restauracją i barem o nazwie Max's Kansas City. Kiedyś słyszałem albo czytałem coś o lokalu Maxa, ale zapomniałem co. Że bywa tam Mick Jagger, Andy Warhol czy coś w tym rodzaju. Pomyślałem sobie, że wstąpię na kieliszek, jednakże coś we mnie zadecydowało inaczej. Ruszyłem w stronę domu Anny, z początku truchtem, później pędem.

Całą dłonią przycisnąłem mały, czarny guzik przy nazwisku Ramsey, niechcący dzwoniąc zapewne do innych mieszkań, ale na szczęście usłyszałem przez domofon głos Anny.

- Halo?

Trudno mi było się zorientować, w jakim jest stanie.

- Wróciłem wcześniej. Czy mogę wejść na górę?

- Ale tylko na chwilę.

Kiedy rozległo się buczenie, pchnąłem drzwi, zostawiając na szybie wyraźny odcisk dłoni. Instynktownie, jak przestępca, chciałem zawrócić i zetrzeć ślady. Nie zwalniając jednak, potarłem szybę mankietem, po czym postanowiłem wyznać Annie całą prawdę: opowiedzieć o roli - dużej czy małej, niech zdecyduje sama - jaką odegrałem w śmierci Hugh. Powiem prawdę i uwolnię się od kłamstwa - pomyślałem niczym więzień, który codziennie obiecuje obie, że chwyci za gardło strażnika i odbierze mu klucze prowadzące ku wolności.

Czekała na mnie przy windzie. Oczy miała opuchnięte, twarz pokrytą czerwonymi plamami, pięści mocno zaciśnięte.

- Hugh wpadł pod samochód - powiedziała, kiedy drzwi się rozsunęły.

Nie mszyłem się z miejsca. Jedną ręką chwyciłem się za głowę, drugą zakryłem oczy. Gdybym starał się udawać, ta reakcja byłaby stanowczo przedobrzona, bo przecież Anna jeszcze nie wyznała mi najgorszego. Ale ja nie udawałem: byłem szczerze wstrząśnięty. Po raz pierwszy słyszałem z innych, nie swoich ust prawdę o tym, co się stało tego popołudnia. Różnica między relacją Anny a tym, co sam wiedziałem, była taka, jak różnica między oglądaniem własnej twarzy w lustrze i na fotografii.

Drzwi windy zaczęły się zamykać. Walnąłem w nie pięścią: drgnęły, zatrzymały się w miejscu, po czym znów się otworzyły. Wyszedłem na korytarz i ująłem Annę za rękę.

- Mój Boże.

- Dziś po południu. Nie żyje. Zmarł prawie natychmiast. Nie wiedział, co się stało. Nie cierpiał. Jego dobroć i próżność znikły w okamgnieniu.

- Och, Anno.

- Chodźmy do mieszkania. Ingrid wyszła przed chwilą. Pojechała do szpitala zrobić maskę pośmiertną. Chciałam splunąć jej w twarz, ale ma do Hugh większe prawo niż ja. Maską pośmiertną! Na co komu maska pośmiertna? Powiedz na co? No cóż, Ingrid była mu bliższa, przynajmniej w ostatnim okresie. O Boże, David. Wejdz, proszę cię. Usiądź. Pociesz mnie.

Wpuściła mnie do środka, zatrzęsnęła drzwi i wybuchnęła płaczem.

- Kurwa. Nie mogę. Nie mogę się powstrzymać. - Staliśmy w wąskim przedpokoju. Objąłem Annę ramieniem. - Wszystko we mnie puściło. Nie chcę rozpaczać, naprawdę nie chcę. Hugh. Mój biedny Hugh. Potrącony przez samochód. Mój biedaczek. Kurwa. On tego nie chciał. Wszystko go wciąż tak bardzo interesowało. Dlatego płaczę. Nie chodzi mi o siebie. Ale on tak bardzo kochał życie. To straszne, straszne jak śmierć dziecka. A nawet jeszcze straszniejsze. - Mówiła coraz spokojniej, jakby wspinała się na Górę Rozsądku. Jednakże gdy już znalazła się na szczycie, wystarczyła jedna myśl i Anna znów runęła w dół. - Wiesz, nigdy nie przestałam go kochać. Nie istnieje drugi mężczyzna, którego mogłabym kochać tak jak Hugh. - Po tych słowach pograżyła się w bezbrzeżnej rozpacz, która ciągnęła się przez cały wieczór i noc.

Rozpacz Anny była taka jak moja miłość do Jade: rosła z minuty na minutę. Anna załamywała ręce, z gardła zaś wydobywał się jej charkoczący szloch, którego dźwięk przypominał odgłos wielkich, walących się drzew. „Nie czuję się na siłach” - powtarzała co msz, ale oczywiście nie miała racji: w swoim smutku była wspaniała. Dotychczas kochałem i szanowałem Annę, nie zastanawiając się nad jej wadami, po prostu na ślepo. Podziwiałem jej enigmatyczność, opanowanie, łagodny dystans, jaki potrafiła utrzymać między tym, co czuje, a tym, co mówi. Byłem już dość dorosły, aby odróżnić osobowość od charakteru, lecz widząc Annę pograżoną w tak bezbrzeżnym smutku, uświadomiłem sobie, że widzę ją po raz pierwszy. Zdarzenia z wczorajszej nocy - wyznanie Anny, że podglądała mnie i Jade, kiedy się kochaliśmy, oraz jej nieudana próba uwiedzenia mnie - z miejsca spadły do rangi

anegdoty. Dopiero teraz ujrzałem Annę taką, jaką była naprawdę - namiętną, bezradną, nieśmiertelną.

Płakała, a ja jej wtórowałem: płakałem nad nią i nad sobą. Nękany własną tajemnicą, nie potrafiłem uwolnić się poprzez rozpacz: zdawałem sobie sprawę z hierarchii smutku i wiedziałem, że nie wypada, abym wylewał tyle łez co Anna ani że bym starał się zwrócić na siebie uwagę. Jednakże Anna pogrążała się w coraz głębszej rozpacz i nie słyszała moich szlochów. Oparłem głowę na dłoniach i zasłoniłem oczy, żeby łzy nie ciekły na podłogę. Sam nie wiem dlaczego. Płacz przypominał rytualne oddechy, jakie wykonują taoiści. Szlochałem coraz głośniejsze, łzy wylewały mi się z dłoni i ściekały za mankiety koszuli. Potem usiadłem koło Anny, wziąłem ją w ramiona i przytuliłem mocno do siebie: dotykałem policzkiem jej włosów, a łzy kapały mi po twarzy, kropla po kropli, spadając jej na bluzkę. Anna trzymała rękę na moim ramieniu i za każdym razem, gdy wstrząsał nią szloch - a miałem niemal wrażenie, że wstrząsają ją bóle porodowe

- wbijała mi paznokcie w skórę. Choć tuliła się do mnie z całej siły, chyba nie za bardzo wiedziała, kim jestem, i niewiele ją to w sumie obchodziło. Uścisk, jakim byliśmy złączeni, miał w sobie coś bardzo prawdziwego, a zarazem prymitywnego - niczym dwa samotne wilki, które leżą skulone podczas burzy, szukaliśmy wzajemnie pocieszenia, usiłując wytrwać przy życiu.

- Taka głupia, niepotrzebna śmierć - mówiła Anna.

- Ingrid powiedziała, że stali na rogu Piątej Alei, czekając na zielone światło i nagle Hugh wtargnął na skrzyżowanie. Po przekątnej. Jakby chciał popełnić samobójstwo, choć jestem pewna, że nie to miał na celu. On po prostu nie znosił czekania w tłumie. Był strasznie butny, w jakiś

dziecinny sposób. I wolny jak ptak. Jego zdaniem człowiek niezależny to taki, który skacze przez parkan, chodzi po trawnikach, zrywa w parku bukiet kwiatów, w które wpycha swój wielki nos, zamawia w restauracji dania, które nie figurują w menu. Zawsze był krnąbrny i lubił wszystko robić po swojemu. Pamiętasz, jak powtarzał: „Wolę działać po swojemu niż tak jak wszyscy”? Nienawidził tradycji, zasad oraz światła ruchu.

I wreszcie się stało. Cholera. Tak nie powinien umierać dorosły mężczyzna. Dorośli ludzie nie giną, przechodząc przez ulicę. Teraz muszę zadzwonić do dzieci i przekazać im, że ich ojciec nie miał dość rozsądku, żeby przejść na zielonym świetle. A jego kochanka zamecza lekarzy w szpitalu, żeby pozwolili jej zrobić maskę pośmiertną. Jestem pewna, że nie dostanie zgody. Czekają, aż zjawi się ktoś, kto załatwi formalności. Chyba ten zaszczyt przypadnie w udziale mnie, byłej żonie. O ileż byłoby prościej, gdybyśmy się nie rozwiedli.

Wcale nie pragnęłam rozwodu. Powiedziałam Hugh, że natychmiast otrzyma moją zgodę, jeśli będzie się chciał żenić po raz drugi, ale że nie ma sensu się rozwodzić tylko po to, aby mieszkać oddzielnie. Wolałabym pójść do szpitala jako żona i zająć się czym trzeba. Nawet nie wiem, czy zechcą ze mną rozmawiać. Może będę musiała wezwać brata Hugh, Roberta, który mieszka w Nowym Orleanie. Na Keitha nie ma co liczyć, nie poradziłby sobie. Może Jade? Ale nawet nie wiem, gdzie teraz przebywa. Pojechała na biwak. Gdzieś nad jezioro Champlain. Boże. Marzę jedynie o tym, żeby położyć się spać. Albo wyskoczyć przez okno. Nawet nie chcę myśleć o tym, co będzie jutro.

Oddychając głęboko, siedziałem prawie bez ruchu i z oczami pełnymi łez uważnie słuchałem tego, co Anna

mówi. Pragnąłem zamienić się w kamienny mur i odgrodzić Annę od otaczającego ją chaosu. Cała wina była po mojej stronie, mogłem czuć wstręt do siebie, mogłem litować się nad sobą. Ale wyrzuty sumienia stanowiłyby tylko akt tchórzostwa, próbę częściowego uwolnienia się od przeciwności losu, które rządzą moim życiem, przede wszystkim jednak byłyby poddańczym gestem wobec przyszłości, próbą dobicia targu z dniem, w którym Anna oraz reszta rodziny dowie się, że to za mną pędził Hugh, kiedy wpadł pod taksówkę.

Wyrzuty sumienia doprowadziłyby do tego, że egoistycznie zacząłbym się roztkliwiać nad sobą, a nie mogłem tak postąpić wobec Anny. Poczucie winy, niespokojne, splamione sumienie, niemożność zrozumienia własnego wpływu na los Butterfieldów - wszystko to byłoby dla Anny kolejnym ciosem. Najwyższy czas, żebym przestał myśleć o sobie i po prostu towarzyszył Annie w jej smutku. Cokolwiek chciałem wyznać, było nieważne w porównaniu ze śmiercią Hugh; prawdziwa wersja zdarzeń nie miała na razie żadnego znaczenia. Moja spowiedź zwiększyłaby jedynie rozmiary tragedii i rozpacz kobiety, która go kochała, która połączyła się z nim cieleśnie, dając początek nowemu życiu, która kiedyś widziała w jego oczach całe swoje istnienie. Po tych wszystkich uwagach, jakie czyniłem na temat odrębnego świata doznań oraz niepowtarzalnej percepcji, która jest u źródeł miłości bez granic, teraz kiedy siedziałem z Anną, obserwując, jak unosi się ponad warstwę normalnych uczuć, zrozumiałem chwiejną i trudną do określenia istotę miłości; toteż gdy Anna znów zaczęła szlochać, przytuliłem ją mocno do siebie i pojąłem, że całym sercem kocham ją oraz życie jako takie.

Po pewnym czasie wstałem i przyrządziłem nam coś do picia. Biorąc szklanekę, Anna uśmiechnęła się.

- Jesteś dobrym przyjacielem, David. Cieszę się, że tu jesteś. Byłoby nieprawdą, gdybym powiedziała, że Hugh też by się z tego cieszył, ale nie wyobrażam sobie nikogo innego, z kim wolałabym tu teraz siedzieć. Moi nowi znajomi odpadają. Pozostajesz tylko ty. I dzieci. Sammy. Tak, Sammy byłby pociechą. O Boże, muszę je zawiadomić.

- Mógłbym cię wyręczyć.

- Wiem, ale to mój obowiązek - rzekła, odstawiając na stół pełną szklankę.

- A potem co?

- Potem szpital. Powinnam tam pojechać. Dowiedzieć się, co mam robić.

- Wszyscy ci pomogą.

- Mam nadzieję.

- Jestem tego pewien.

- Zadzwoń do nich.

- Wolisz, żebym poszedł?

- Nie, ale tak będzie najlepiej. Nie powinieneś tu siedzieć, kiedy będę zawiadamiać dzieci o śmierci ich ojca.

Skinąłem głową.

- Wracaj do domu, David. Powinieneś być już w drodze do Chicago. Możesz mieć kłopoty. Sam mi mówiłeś.

- To nie ma znaczenia.

- Tak ci się wydaje, ale mylisz się. Każdy musi troszczyć się o siebie. Tak to już jest. Kiedyś Hugh powiedział: skończyły się marzenia o rajach, teraz każdy walczy za siebie.

- To nierealne.

- Wracaj do domu.

- Jestem w domu.

- Nie. Przestań. Wiem, co czujesz. I jestem ci za to wdzięczna. Ale nic już nie można poradzić. Muszę się teraz wszystkim zająć, wziąć się w garść. Przede mną całe

życie i mogę sobie rozpaczać do woli, ale w tej chwili czeka mnie załatwianie różnych formalności. Muszę zadzwonić do dzieci i być dzielna, nawet jeśli tego po mnie nie oczekują. Tak, muszę być dzielna. Wracam do Chicago, a ja podzwonię po rodzinie i postaram się zapomnieć, że to ty byłeś przy mnie, kiedy najbardziej potrzebowałam pomocy... - Nagle głos się jej załamał, spuściła wzrok i znów zaczęła płakać. - Muszę załatwić parę telefonów. A ty musisz wyjechać. Nie pozostało nic innego.

Chciałem zaprotestować. Nie chciałem jej opuszczać, ale wiedziałem, że nie wypada, abym siedział przy niej, gdy będzie dzwoniła do Keitha, Sama, Jade; gdyby to kiedyś wyszło na jaw, poczuliby się urażeni i oszukani, a tylko smutek powinien zajmować miejsce w ich sercach. Niewątpliwie dowiedzą się, że byłem w Nowym Jorku, kiedy Hugh zginął, i na pewno zaczną zastanawiać się nad celem mojej wizyty. Może jednak, zanim znajdą rozwiązanie w tym strasznym labiryncie przypadkowych zdarzeń, nadarzy się okazja, aby wyznać im, jaką odegrałem rolę w śmierci Hugh.

Opuściłem mieszkanie Anny. Nie wiem, czy spodziewała się, iż wrócę do hotelu, czy też że zadzwonię do linii American Airlines i zarezerwuję bilet do Chicago. Nie miało to jednak znaczenia. Nie zamierzałem nigdzie wyjeżdżać. Noc była ciepła i bezgwiezdna. W domu Anny na parterze mieściła się restauracja, w której panował duży ruch. Zajrzałem do środka przez odsłonięte, jasno oświetlone okna: ludzie sprawiali wrażenie bardzo szczęśliwych. Siedzieli przy stolikach, na których stały lampy o marmurowych podstawkach i kloszach z rysunkami przedstawiającymi scenki uliczne dawnego Nowego Jorku: księżyc zawieszony nad wieżą kościelną, bryczki ciągnięte przez

dumnie kroczące konie. Nagle poczułem wielką ochotę znaleźć się w tej restauracji, pić wino, gawędzić ze znajomymi. Pragnąłem towarzystwa takich przyjaciół, jakich opiewał Dickens, ludzi, którym można dokładnie opowiedzieć o swoim życiu i którzy ani nie osądzają, ani nie pocieszają, uronią łzę. Jednakże pragnienie to przysło równie niespodziewanie, jak się pojawiło, i drżąc na całym ciele, odwróciłem się od szyby; w skroniach pulsowało mi tak, jakbym zamiast głowy miał na ramionach potężne, dudniące serce, do gardła zaś podszedł mi jakiś ohydny smak wydobywający się z głębi moich trzewi.

Po drugiej stronie ulicy mieściły się biura Towarzystwa Pomocy Dzieciom. Usiadłem na schodach prowadzących do bocznych drzwi, które znajdowały się na wprost wejścia do domu Anny. Towarzystwo Pomocy Dzieciom było zamknięte na weekend, w okratowanych oknach nie paliło się ani jedno światło. Z metalowej, zardzewiałej balustrady złaziła farba, pod schodami zaś, które prowadziły w dół do zamkniętej na łańcuch piwnicy, leżało mnóstwo pustych butelek po taniej wódce i porto. Same schody też były brudne, oplute, zawałone resztkami jedzenia i śmieciami, które miasto wydziela tak, jak rury wydechowe wydzielają spaliny. Zdawałem sobie sprawę, że schody takie jak te, schody na małych, cichych ulicach służą włóczęgom za bezpieczną przystań, mimo to przysiadłem na nich. Bałem się, że spacerując tam i z powrotem, mogę przegapić chwilę, kiedy Anna będzie wychodziła z domu. Miała jechać do szpitala i mogła potrzebować pomocy.

Obserwowałem ruch uliczny od Park Avenue niemal po Lexington. Siedziałem tak dość długo, noc stawała się coraz chłodniejsza i w miarę upływu czasu temperatura spadała stopień po stopniu. Może dlatego, że wciąż czeka-

łem, aż jakiś bezdomny, zmęczony tułaczka włóczęga wyrzuci mnie z tych schodów będących jego sypialnią, w kółko rozmyślałem o Murzynie, który położył monety na oczach Hugh, usiłując przywrócić mu życie. Miał bardzo długie palce o nieproporcjonalnie szerokich opuszkach. Jest to typowy objaw choroby, której nazwy nie mogłem sobie przypomnieć. Kiedy pochylił się, żeby zastosować magiczny lek, nogawki spodni podjechały mu do góry i ujrzałem gołe podrapane kostki. Facet mówił poprawnie bez akcentu; posługiwał się normalnym językiem bez żadnych murzyńskich naleciałości.

Anna zawiadomiła już wszystkich. Czułem to przez skórę. Wylewano nowe łyzy, pakowano torby. Do rana wszyscy się zjadą.

Wkrótce zobaczę Jade.

Aż strach było o tym myśleć. O tym, że nasze spotkanie po latach odbędzie się na pogrzebie Hugh, że wyjdę jej naprzeciw oblany jego krwią. Sytuacja była beznadziejna, ale innej nadziei nie miałem. Nazajutrz - Jade.

Anna, w zarzuconym na ramiona długim niebieskim szalu z frędzlami, otworzyła drzwi i wyszła z domu. Spojrzała w stronę Park Avenue, zatrzymując na mnie wzrok. Siedziałem z łokciami na kolanach, podpierając rękami głowę. Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, po czym opatulila się mocniej szalem i skinęła dłonią.

Jadąc taksówką do szpitala, przez całą drogę milczeliśmy i tylko raz na siebie spojrzeliśmy, kiedy Anna wzięła mnie za rękę, a ja przysunąłem się bliżej, żeby mogła oprzeć głowę na moim ramieniu.

Butterfieldowie po kolei zjeżdżali się do Nowego Jorku,- pierwszy zjawiał się Keith, po nim starszy brat Hugh, Robert, który przyleciał z jednym ze swoich dziewięciorga dzieci, synem o imieniu Hugh. Od razu kierowali się do mieszkania Anny, gdzież bowiem mieli się udać? Przybyła tam nawet Ingrid z siostrą i paroma przyjaciółmi.

Trzymałem się od nich z daleka, siedząc sam jak palec w pokoju hotelowym. Kiedy dziś wspominam ten dzień, znacznie lepiej pamiętam otaczające mnie przedmioty niż to, co wówczas czułem. Pamiętam pusty pokój, promienie słońca, które padały na ścianę przez żaluzje, gołębia, który siedział na parapecie, zaglądając przez szybę do środka, zdechłą muchę, która leżała na wypukłym szklanym kloszu zawieszonym u sufitu, wytarty sznur od lampy, brzęk roznoszonych tac, setki głosów, z których żaden nie należał do mnie. Jeśli się z całej siły skupię, widzę też siebie, choć bardzo mgliście: z rękami pod głową, z nogą założoną na nogę, leżę w ubraniu na łóżku. Widzę się przy oknie, jak spoglądam na ulicę. Widzę się we łzach. Ale nawet te wspomnienia są niewyraźne i jakby nieprawdziwe. Jedno wiem na pewno, a mianowicie, że nie mszałem się z hotelu, czekając na telefon i że w tym czasie właściwie przestałem istnieć.

Pamiętam również, że pisałem, chyba list do Jade. Ale nie znalazłem żadnych śladów, które mogłyby to potwierdzić. Mam przed oczami obraz, jak stoję przed metalowym koszem na śmieci i drę na drobne kawałki papeterię hotelową, jednakże jest to raczej próba logicznego wytłumaczenia sobie braku listu niż autentyczne wspomnienie.

Pacjent, który budzi się po anestezji, często pamięta, jak go wieziono na salę operacyjną, pamięta blask światła na suficie, chrzęst gumowych rękawic. Ale trudno odgadnąć, czy obrazy wypływają z podświadomości, czy je zmyślamy, tworzymy na podstawie naszego wyobrażenia o tym, jaki jest świat bez nas.

Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, co mnie ominie, kiedy umrę, ani nad tym, co mi uciekło, zanim przyszedłem na świat. Przerazają mnie tylko chwile w moim obecnym i jedynym życiu, kiedy czuję się tak, jakbym umarł. Wydaje mi się, że gdybym starannie policzył dni, kiedy żyłem pełnią życia, może zebraloby się tego ze dwa lata...

O czwartej zadzwoniła Anna.

- Powinieneś tu być - powiedziała. - Razem z nami i przy nas.

Siedziałem na brzegu łóżka, zasłaniając ręką oczy.

- Czy... - zacząłem. - Chciałbym do ciebie przyjechać. Ale czy inni nie będą mieli nic przeciwko temu?

- David, nie wiem, na czym polega karma. Wiem tylko, że byłeś przy mnie, kiedy potrzebowałam pomocy. Kiedy ciebie potrzebowałam. I dziś to się dla mnie bardziej liczy niż przeszłość. Wszyscy się zgadzają. Nie byłam pewna, czy nie wróciłeś do Chicago. Miałam jednak przeczucie, że cię zastanę. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale tak było, i sądzę, David, że twoje miejsce jest z nami.

- Chciałbym być z wami.

- To przyjdź. Teraz. Od razu.

- Naprawdę mogę?

- Tak. Możesz. Nawet więcej... musisz. Właśnie się upijamy. Zbieramy siły i jesteś mi tu potrzebny. Nie

przejmuj się Keithem, mówiłam mu, że chcę, żebyś przyszedł. Aha, Ingrid wie.

- O czym?

- O tobie.

- Nie rozumiem.

- Wie, że Tony to ty, i rozumie, dlaczego wczoraj odegraliśmy przed nią tę scenkę. Ale ją interesują tylko gwiazdy, nic więcej. Zresztą, nie masz się co Ingrid przejmować. Słuchaj, David, nie zostawiam ci żadnego wyboru. Nie chcę, żebyś siedział sam jeden w pokoju hotelowym, kiedy my jesteśmy tu wszyscy razem. Gdy zapadnie zmrok, nawet nie włączysz światła. A więc postanowione. Przyjeżdżaj natychmiast.

- Dobrze. Chętnie.

- Cieszę się. W porządku. Jeszcze jedno: gdybyś widział po drodze otwarty sklep, kup tonik albo wodę mineralną, cokolwiek do przyrządzania koktajli. Jeśli będziemy pić czysty, nierozcieńczony alkohol, to do rana nam nie starczy.

Rozłączyła się, a ja jeszcze przez chwilę siedziałem ze słuchawką w ręce.

Kiedy Sammy Butterfield otworzył mi drzwi, zanosilem się szlochem. Nie chciałem płakać, od wyjścia z hotelu starałem się powstrzymać łzy. Mój płacz bowiem był nie na miejscu i czynił mnie bezbronny. Gdy zadzwoniłem z holu, nikt nie spytał przez domofon: „Kto tam?”, zupełnie jakby tożsamość gościa nie miała żadnego znaczenia, skoro wiadomo było, że to nie Hugh. Kiedy w mieszkaniu naciśnięto dzwonek i drzwi wejściowe się otworzyły, znów ryknąłem płaczem. Nie mszyłem w stronę windy.

Usiadłem na ławce w holu i potrząsając głową, powtarzałem w myśli: „Opanuj się!” - ale chyba musiałbym być jednym z tych mistyków, co samą siłą woli potrafią zatrzymać krwawienie, żeby powściągnąć łzy, które wylewały mi się z przestronnej, anarchicznej głębi. Nagle na dole pojawiła się winda. Zataczając się wszedłem do kabiny i wjechałem na szóste piętro. Zapłakany, zastukałem do drzwi.

- Cześć, David - powiedział Sammy. - To miło, że przyszedłeś.

Głos miał niski, niższy od mojego. Kiedy mówił, na jego długiej, opalanej szyi poruszała się grdyka wielkości kurzego jaja. W wieku siedemnastu lat Sammy mierzył ponad metr osiemdziesiąt i choć przewyższał mnie zaledwie o dwa centymetry, wydawało mi się, że dosłownie nade mną góruje. Ciemnoblond włosy uczesane miał z przedziałkiem i zebrane niczym Thomas Jefferson w nieduży koński ogon. Niebieskie oczy spoglądały na mnie poprzez łzy. Uścisnąłem wyciągniętą na powitanie dłoń i spuściłem głowę, wstydząc się szloch, którego nie umiałem powstrzymać.

- Współczuję, to straszna tragedia - rzekłem, ale chyba za mało wyraźnie, żeby mnie zrozumiał. Pomyślałem, że właściwie powinienem się na chwilę odwrócić i porządnie wziąć w garść. Naprawdę czułem się jak ostatnia świnia, narzucając się im z własnym smutkiem i troskami. Potrzebowali kogoś silnego, więc moje łzy stanowczo były nie na miejscu.

- Oczekiwaliśmy cię. Jade jeszcze nie przyjechała. Mama skontaktowała się z nią zaledwie dwie godziny temu.

Doznałem olbrzymiej ulgi na wieść, że chwila, której tak bardzo pragnąłem, odsunęła się nieco ode mnie.

Wiedziałem, że przy odrobinie szczęścia zdołam się opanować, zanim pojawi się Jade. Sammy wybawił mnie z hysterii, w którą gotów byłem popaść. Nie miał żadnego powodu oznajmiać mi w drzwiach, że Jade jeszcze nie przybyła, żadnego powodu prócz jednego: chciał złagodzić moje napięcie. Starał się dodać mi otuchy, wziąłem się więc w garść, aby przynajmniej w ten sposób odwdzińczyć mu się za przychyłość.

- Brak mi było ciebie, Sammy - rzekłem, patrząc mu w oczy - ale wolałbym nigdy więcej cię nie widzieć niż spotkać w tak smutnych okolicznościach.

Czekałem, aż zareaguje, Sammy jednak milczał, przyglądając mi się łagodnym wzrokiem, i nagle uświadomiłem sobie, że wcale się nie odezwałem; umysł miałem tak skołowany, że wydawało mi się, iż mówię do Sama, podczas gdy w rzeczywistości nawet nie poruszyłem ustami.

Kiedy przeszliśmy do salonu, ujrzałem Keitha, który siedział na oparciu kanapy, trzymając oprawiony kawałek różowo-niebieskiej kołdry i bębniąc szerokimi palcami w ramkę z surowego drewna. Włosy Keitha pociemniały, stały się kasztanowate, a jego chuda niegdyś sylwetka wyraźnie zmężniała. Dotykał sandałami narzuty na kanapie; nogi miał silne, o pomarszczonej skórze i długich paznokciach.

- To moje - oświadczył głośno i przekonująco.

- Nie teraz, Keith - poprosiła Anna.

- Ale zależy mi na tym. Mnie jednemu na tym zależy. - Nie odrywał oczu od kołdry. Wiedział, że wszedłem do pokoju, ale nie dawał nic po sobie poznać.

- Cześć, David - powiedziała Anna. - Dziękuję, że... Reszta zdania mi umknęła,- słuchałem tego, co mówi Keith.

- Czegoś takiego nie wiesz na ścianie. Przecież to nie obraz. Ani ozdoba, która upiększa mieszkanie. Ta kołdra to nasz sztandar. To sztandar Butterfieldów. Różowo-niebieskie piramidy, najpiękniejsze na świecie...

- Tę kołdrę, Keith, wyniosłam z domu rodzinnego

- wtrąciła Anna. - Uszyła ją Beatrice Ramsey i jeśli wiążą się z nią jakiegokolwiek wspomnienia, to są to wspomnienia z domu mojej babki w Hillsboro w New Hampshire.

Keith potrząsał głową, nadal nie podnosząc wzroku znad kołdry.

- To nieprawda i dobrze o tym wiesz. Można by rzec...

- urwał i popatrzył na mnie, po czym szybko znów skierował spojrzenie na kołdrę - można by rzec... Przecież na niej przyszedłem na świat.

- Nie, nie na niej.

Ingrid i jej siostra Nancy siedziały na składanych krzesłach pogrążone w rozmowie z bratem Hugh, Robertem. Ingrid, z dłonią na jego ręce, coś mu szeptem tłumaczyła, a Robert, który stał obok swojego syna, imiennika Hugh, wpatrywał się w nią szklistym, współczującym wzrokiem. Był to potężnie zbudowany mężczyzna, w którego masywnej dłoni normalny kieliszek wyglądał absurdalnie krucho. Mieszkanie Anny miało ponad trzy metry wysokości, lecz Robert stał lekko pochylony, trochę na skutek nieśmiałości, trochę z przyzwyczajenia. Kiedy kogoś słuchał, to podobnie jak u Hugh pojawiał się na jego twarzy nieco zatroskany wyraz: marszczył lekko czoło i nieznacznie mrużył oczy, jakby bez względu na poruszany temat chciał spytać swojego rozmówcę: „Czy nic ci nie dolega?”.

- Kiedy tato wyszedł z wojska i przyjechał cię odwiedzić w Bryn Mawr - ciągnął Keith - ta kołdra leżała na twoim łóżku. Zaszłaś wtedy w ciążę. Wszyscy byliśmy

poczęci na tej kołdrze. No więc? Rozumiesz, co mam na myśli? - Uderzył palcem w szkło i zerknął na mnie spod oka. - Sama mówiłaś, że gdybyś nie była w ciąży, może byś nie wyszła za ojca.

- On znów to samo - zauważył obojętnie Sammy.

- Jak starzec powtarzasz się do znudzenia - rzekła Anna. Keith potrząsnął głową, jakby nic do niego nie docierało.

- Więc gdybyś nie zaszła w ciążę, a zaszłaś, i to właśnie na tej kołdrze, tato ożeniłby się z tamtą dziewczyną, ty natomiast znalazłabyś sobie innego męża albo żyłabyś samotnie.

- No i żyję samotnie - powiedziała Anna, siląc się na wesołość. Napotkała mój wzrok i wzruszyła ramionami, zachęcając mnie, abym wraz z nią spojrział na sytuację od innej strony, a zarazem szukając schronienia w spokoju, który - jak sądziła - potrafię osiągnąć.

- I gdybyś nie wyszła za ojca, żadne z nas by się nie urodziło. - Keith przysunął twarz do kołdry i oglądał ją ze zdwojonym skupieniem. Cała rodzina niezliczoną ilość razy słyszała ten tekst, mimo to Keith nie mógł się powstrzymać, by go nie wygłosić po raz kolejny. Wpadł w sidła prawdy czy też własnego rozumienia prawdy, toteż zawsze ogromnie go dziwiło, że inni nie podzielają jego pasji. Dawno temu miał do wyboru: albo przestać się dręczyć swoim poczęciem, albo stać się przedmiotem rodzinnych żartów; kierując się wewnętrznym nakazem, wybrał bardziej honorowe wyjście - im prawda była boleśnieszka, z tym większym zapalem się jej poświęcał.

Nie puszczając ręki Roberta, Ingrid patrzyła wprost na mnie. Miała na sobie granatową spódnicę i sandały związane rzemykiem wysoko na łydce. Trzymała w dłoni zwiniętą w kulkę chusteczkę do nosa i przyglądała mi

się, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę: moja twarz nie dawała jej spokoju. Kiedy Anna skłamała, przedstawiając mnie jako swojego kochanka, z nikim się wtedy Ingrid nie skojarzyłem, ale teraz, gdy wyszło na jaw, kim jestem, coś drgnęło i ożyło w jej podświadomości: wiedziałem, że śledzi własne myśli równie intensywnie, jak kot śledzi krążącą po pokoju ćmę.

- Uważam, że w pewnym sensie jestem nie tylko synem, ale i ojcem - ciągnął Keith. - A to dlatego, że wszystko zaczęło się ode mnie.

- Jeśli jesteś ojcem, to umarłeś - stwierdził Sammy. Miał tak niski głos, że nawet nie musiał nic akcentować, żeby nadać swoim wypowiedziom właściwe znaczenie.

- Pewnie wędrujesz teraz do pieca i wkrótce twoje prochy spoczną w urnie. Zgadza się? Bo mój ojciec nie żyje, a skoro można mieć tylko jednego ojca, to ty też nie żyjesz.

- Czy muszę tego słuchać? - spytała Anna. - Bez przerwy zaprzątacie mi głowę swoimi sprawami i nawet nie mam chwili na to, aby pomyśleć o sobie.

- Nie znoszę, kiedy Keith wpada w ten swój nastrój

- burknął Sammy.

- fa też za tym nie przepadam - powiedziała Anna.

- Ale Keith lubi takie dyskusje, a ja nie czuję się na siłach, żeby brać czyjąkolwiek stronę.

- Czy mogę to wziąć? - wtrącił Keith, podając Annie oprawiony w ramki kawałek kołdry.

- Jeśli o mnie chodzi, to możesz, skoro tak cholernie ci na tym zależy. Ale zapytaj jeszcze Jade i Sama.

Robert Butterfield przemierzył pokój i stanął przede mną.

- To ty jesteś David? - spytał, starając się okazać mi wyraźną przychylność. Kiedy skinąłem głową, podał mi rękę.

- Nazywam się Robert Butterfield, jestem bratem Hugh.

Anna opowiadała, jak bardzo jej pomogłeś. Byłeś tu, kiedy potrzebowała kogoś bliskiego. A to się liczy.

Kiedy Hugh się przy czymś upierał albo gdy dokuczała mu samotność, zaczynał mówić z południowym akcentem, który nagle, ni stąd, ni zowąd, pojawiał się w jego głosie. Jednakże starszy brat Hugh, który nadal mieszkał w Nowym Orleanie, mówił bez śladu akcentu. Twarz Roberta miała prostokątny kształt; była w niej szczerść i nieśmiałość, siła, a zarazem wrażliwość. Uściskał mi dłoń tak serdecznie, że niemal zachwiało to delikatny stan równowagi, jaki zdołałem osiągnąć. Miał w sobie ogromny, ujmujący wdzięk Hugh.

- Zdaję sobie sprawę z komplikacji, jakie pociąga za sobą twój udział w tej smutnej uroczystości - rzekł. - Ale jak powiadał nasz ojciec: „Jedynie życie warzyw nie jest skomplikowane”. David, chciałbym, żebyś poznał mojego syna.

Odwrócił się i potężnym ramieniem przygarnął do siebie Hugh. Chłopak ubrany był w jasnoniebieski garnitur i krawat w drobne kwiatki. Włosy miał żółte, od cebulek aż po same końce, zarówno na czubku głowy, jak i z boku, i z tyłu, oczy zaś szarawo-niebieskie. W wieku piętnastu lat sięgał ojcu niemal do brody, a sądząc po wielkości jego rąk i nóg, można się było spodziewać, że pewnego dnia też wyrośnie na olbrzyma. Przyszło mi na myśl, że Hugh, mój Hugh, wysoki według tradycyjnych norm, w swojej rodzinie uchodził zapewne za niskiego.

- Miło mi cię poznać - powiedział uprzejmie syn Roberta i uśmiechnął się nieśmiało. Odniosłem wrażenie, że czuje się bardzo nieswojo i pośród obecnych tu ludzi szuka bratniej duszy, którą nawet mógłbym być ja. Uścisnął z powagą wyciągniętą dłoń. Kiedy patrzyłem na jego szczerą, nieco wystraszoną twarz, poczułem na so-

bie (a może mi się tylko zdawało?) spojrzenia Keitha oraz Ingrid.

- Hugh jest jednym ze „środkowych” synów - wyjaśnił Robert. - W sumie jest nas jedenastoro: sześciu chłopców, trzy dziewczynki, Christine i ja. Reszta przybędzie wieczorem. - Westchnął cichutko, jakby ucieszył się na myśl o przyjeździe rodziny, lecz wnet przypomniał sobie powód ich wizyty!

Przez cały czas trzymałem kurczowo pod pachą papierową torbę z trzema dużymi butelkami wody mineralnej i trzema butelkami toniku. Zupełnie o nich zapomniałem, czułem tylko, że ręka mi zdrętwiała, toteż gdy Anna spytała, czy przyniosłem coś do picia, zgłupiałem na moment.

- Tak, mam tu, w torbie.

- Właśnie się zastanawiałam, co tam tak ściskasz - powiedziała z dziwną wesołością, aż się przestraszyłem, czy inni nie będą nam mieli za złe jej tonu. Domyślałem się, że Anna chce widzieć we mnie współnika, chce, żebyśmy razem patrzyli na wszystko z dystansu, nie tylko z bólem, ale i z ironią. W centrum tragicznych wydarzeń, załamana i otoczona rozpaczającą rodziną, Anna tęskniła za ironią - chciała czuć jej smak, jakby tylko w tej niewielkiej przestrzeni, jaką ironia zajmuje pomiędzy świadomością a światem doznań, mogła normalnie oddychać. Czekala, żebym coś powiedział, lecz ja jedynie popatrzyłem na nią, a potem na torbę, która była wilgotna od mojego potu.

- Dobrze, że kupiłeś coś do picia. Daj, zaniosę do kuchni.

- Ja zaniosę - zaproponowałem.

- Nie, ja zaniosę - oświadczył Keith. W okamgnieniu znalazł się przy mnie i odebrał mi torbę. - Chcę z tobą porozmawiać - dodał niemal szeptem.

- W porządku.
- Odstawię to na bok i pójdziemy do sypialni.
- Anno! - zawołała Ingrid. - Musimy wszystko omówić. - Jedną ręką pocierała policzek, a drugą trzymała teraz dłoń siostry. - Musimy ustalić szczegóły.

Anna skrzyżowała ręce na piersiach i skinęła głową.

- Powtarzasz to całe popołudnie, Ingrid. O ile mi wiadomo, wszystko jest już ustalone. Sama wybrałaś kościół. Prochy będą podzielone. Cóż nam jeszcze zostało?

- Bardzo wiele. Wszystko. Wszystko. - Ingrid spojrzała na siostrę, pulchną, cichą kobietę przypominającą zakonnice; ta przymknęła oczy, jakby chciała powiedzieć: „Śmiało, mów”.

Keith stuknął mnie lekko w ramię.

- Chodźmy. Muszę z tobą pogadać.

- Dokąd idziecie? - spytał Sammy.

- Zaraz wrócimy. Zostań.

Sammy z niesmakiem potrząsnął głową.

Kiedy weszliśmy do sypialni Anny, Keith zamknął za nami drzwi. Miałem wrażenie, że ta prosta czynność stanowi wstęp do awantury - nie przyszliśmy tu przecież, żeby jak równy z równym wymieniać poglądy na różne tematy, ale ten głuchy, przytłumiony odgłos zatraskiwanych drzwi odebrałem jako dwuznaczny atak na moją godność, niczym kuksaniec w żebra albo uszczypnięcie policzka.

Okna sypialni, zasłonięte cienkimi, białymi firankami, wychodziły na czerwony mur z cegły. Szyby były czyste jak w niezamieszkałym jeszcze domu, widać więc było przez nie mur z taką dokładnością, że wydawał się czymś pięknym i dziwnie fascynującym. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że Keith, którego bJade wargi ułożyły się w wąską, cienką kreskę, przygląda mi się badawczo.

- No tak. Mama powiedziała, że zjawileś się w piątek po południu. Czy to prawda?

Uważałem, że nie ma prawa sprawdzać mojej wersji zdarzeń z wersją podaną mu przez Annę, mimo to przytaknąłem.

- Tak, w piątek, późnym popołudniem.

- Matka twierdzi, że około trzeciej. Zawahałem się.

- Nie pamiętam. Może około trzeciej.

- Czy rzeczywiście zdziwiła się na twój widok?

- A jak sądzisz?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się nerwowo kącikami ust.

- Nie wiem. Dlatego pytam. Gdybym wiedział... - zreflektował się, że lepiej nic mi nie zdradzać.

- Zdziwiła się.

- No tak - powiedział wolno, cedząc słowa niczym prowincjonalny szeryf na filmie. - To było do przewidzenia.

- Nie wiem, o co ci chodzi, Keith. Powiedz jasno, to ci wszystko wyjaśnię.

- Mówię tylko, że to było do przewidzenia. Skoro pisałeś do mnie, dobrze wiedząc, co o tobie myślę, to mama pewnie też dostała sporo listów. A może się mylę, co?

Podejrzewałem, że Anna zaprzeczyła listom. Może przyznała się, że otrzymała jedną kartkę, na którą nawet nie raczyła odpowiedzieć.

- Znalazłem twój adres w książce telefonicznej.

- Wiem. Ale nie znalazłeś tam adresu mamy. Nie figuruje pod nazwiskiem Butterfield.

- Ale figuruje pod nazwiskiem panieńskim. Ramsey. Zapamiętałem je.

- Zapamiętałeś? - Wydawał się zaniepokojony faktem, że znam nazwisko panięskie Anny. Po raz kolejny wtargnąłem w jego przeszłość.

- No trudno - powiedział bardziej do siebie niż do mnie. - Więc zapamiętałeś je i wysłałeś list. Napisałeś o tym, jak bardzo żałujesz swojego czynu, jaki jesteś samotny, jak niesprawiedliwie obszedł się z tobą los...

- Nigdy nie mówiłem, że niesprawiedliwie. Tego, co się mnie, co się nam wszystkim przydarzyło, nie da się określić pojęciem sprawiedliwe czy niesprawiedliwe.

Keith machnął lekceważąco dłonią.

- Więc napisałeś do Anny, że bardzo ci przykro z powodu tego, co się stało, a ona ci odpisała. Co ci odpisała? Że wie, jak potwornie cierpisz i że czas najwyższy, by zapomnieć o dawnych urazach?

Czułem się - i byłem - osaczony. Nie chodziło o to, czy mam skłamać Keithowi, żeby chronić Annę, lecz o to, że nie wiedziałem, czy Anna przyznała się do korespondencji ze mną.

- Odpowiadała na moje listy. Ale nie było w nich współczucia dla mnie, poza tym - jak sam wiesz - Anna nigdy by nie napisała, że powinniśmy zapomnieć o dawnych urazach.

Keith wykrzywił twarz w triumfalnym uśmiechu, który świadczył o tym, iż przyłapał Annę na kłamstwie i zdradzie. Zrozumiałem, że przegrałem tę rundę, ale było mi wszystko jedno.

- Tak też myślałem - oznajmił.

Milczałem; nie było sensu nalegać, aby wyjawiał mi oszustwo, które zdołał odkryć. Zaryzykowałem i nie udało się. Teraz już wiedziałem, że Anna nie przyznała mu się do prowadzenia ze mną korespondencji.

- Nie chcę się z tobą kłócić, Keith. Dziś to wszystko naprawdę nie ma znaczenia.

- Niby dawne urazy, co? - Rozkręcał się. Miał gwałtowny, nie zrównoważony charakter i wbijanie mi szpilki dawało mu poczucie przewagi.

- Nie. Nie proszę cię, abyś puścił cokolwiek w niepamięć. Ja też uważam, że o pewnych sprawach nie wolno zapominać.

- Dziwne. Na twoim miejscu chętnie zapomniałbym o bardzo wielu rzeczach.

Staliśmy na środku pokoju. Po mojej prawej ręce znajdowało się łóżko przykryte narzutą w indiański deseń, po lewej zaś pomalowana szafka i miękki fotel. Cofnąłem się o krok, żeby nie upaść od ciosu, gdyby Keith nagle go wymierzył.

- Widzę, że denerwuje cię moja obecność - rzekłem. - Dlaczego się więc nie sprzeciwiłeś, kiedy Anna mnie zapraszała?

Keith postąpił naprzód: przygotowałem się do odparcia ciosu, jednakże minął mnie i stanął przy łóżku. Przez moment wpatrywał się w nie, po czym delikatnie, jakby to była żywa istota, pogładził je dłonią. Odwrócił się i usiadł na krawędzi, następnie zaś wykonując gwałtowny, niezdarny ruch, wyciągnął się z butami na kolorowej narzucie i oparł wygodnie o proste, drewniane wezglowie. Ręce trzymał blisko tułowia i przebierał wolno palcami, jakby odliczał czas. Po chwili sięgnął za siebie i wysunął spod narzuty poduszkę, którą położył sobie na brzuchu.

- Przyszedłeś, żeby zobaczyć się z Jade?

- Przyszedłem, ponieważ prosiła mnie o to Anna. Keith milczał; oczy mu się zwęziły, policzki pokryły mmięncem. Powoli wciągnął powietrze głęboko w płuca.

- Jade nie chce się z tobą widzieć. Nienawidzi cię. Przejrzała cię na wylot. Wykorzystujesz moją matkę. Wykorzystujesz ją, żeby dotrzeć do Jade, ale Jade wolałaby się znów znaleźć w płonącym domu niż spotkać z tobą.

- Keith, jeśli...

- Jade nie jest sama. Miała tabuny kochanków. Jest wprost nienasycona. Ale teraz sypia z dziewczyną. Wiedziałeś o tym?

Czekał na moją reakcję; wreszcie potrząsnąłem głową.

- Aha! Więc to dla ciebie nowina? To dobrze. Cieszę się, że to właśnie ja mogę cię o tym poinformować. Owa panienka nazywa się Susan Henry. Parę razy zatrzymały się u mnie w Bellows Falls. - Wysunął ręce spod głowy i zacisnął je na poduszce, która leżała mu na brzuchu. Miarowo, jakby w rytmie serca, zginał i prostował długie, kształtne palce u nóg.

- Wiem, że mnie nienawidzisz. Nie musisz mi tego udowadniać - szepnąłem.

- Nie mogliśmy wcześniej zawiadomić Jade o pogrzebie, bo wyjechała gdzieś z Susan. Pod namiot. Lubią biwaki. Uwielbiają robić to na świeżym powietrzu. Tak, kochają wypadki do lasu, siedzenie przy ognisku, pływanie kajakiem, czterdziestokilometrowe marsze. - Wykrzywił usta w cierpkim, wymuszonym uśmiechu.

Stałem nad jego wyciągniętą postacią. Pochyliwszy się, chwyciłem go za ramiona i jednym ruchem dosłownie podniosłem z łóżka.

- Nie wolno tak postępować - powiedziałem z twarzą tuż przy jego twarzy. Nadal nie zwalniałem uścisku. - Naprawdę nie wolno. Jeśli tak bardzo mnie nienawidzisz, trzeba się było sprzeciwić Annie.

Keith uwolnił się i odepchnął mnie swoimi silnymi, spłaszczonymi palcami.

- Zgodziłem się na twoje przyjście - rzekł, ukazując równe, małe zęby - tylko dlatego, że matka tego pragnęła. Potrzebna jest jej wiara w to, że poza życiem rodzinnym istnieje inne życie, choć dobrze wie, że tak nie jest.

Twarz znów mu poczerwieniała i na chwilę zamknął oczy. Gdyby stracił zimną krew, załamał się, wybuchnął płaczem, objąłbym go ramieniem...

- Keith. - W gardle mi zaschło, w ustach miałem gorzki smak spalenizny. - Lubię cię. Wiem, że nie to chcesz usłyszeć, ale poczułem do ciebie sympatię od samego początku, odkąd się tylko poznaliśmy, i ilekroć o tobie myślę, a zdarza mi się to często... Po prostu lubię cię i szanuję... I jest mi strasznie przykro z powodu śmierci twojego ojca, z powodu śmierci Hugh. - Urwałem,- wstrząsały mną dreszcze i wiedziałem, że nie potrafię się dłużej opanować.

- To mnie chciałeś zabić, prawda? - zapytał cicho Keith. - Wtedy kiedy podpaliłeś dom? I powiem ci dlaczego.

- To nieprawda. Sam wiesz, że...

- Dlatego, że się na tobie poznałem. - Wyprostował się. - Nie chcę o tym mówić. O tym, co zrobiłeś. Zniszczyłeś wszystko. Nie chcę... Mój ojciec nie żyje.

- Keith.

- Nie odzywaj się do mnie! - krzyknął z narastającą histerią. - Wszystko byłoby po staremu, gdyby nie... - Zacisnął mocno oczy i zamachnął się. Zasłoniłem się ręką przed ciosem. Znów się zamachnął; nie trafił, choć drasnął mnie w policzek. Ponownie chciał mnie uderzyć, chwyciłem go jednak za rękę i powstrzymałem.

- Nie dotykaj mnie. Precz z łapami, ty nędzna, podła kreaturo!

Usiłował mi się wyrwać, ale przerażony trzymałem go z całej siły.

- Puść mnie!

Odrzucił do tyłu wolną rękę, więc go szybko puściłem. Położył mi dłonie na barkach i przesunął mnie na bok. Następnie trącając mnie ramieniem, wyszedł z pokoju i mszył w stronę salonu.

Przez chwilę stałem w sypialni, niepewien, co z sobą począć. W końcu uznałem, że na zmianę decyzji jest już za późno: na dobre czy na złe, moje miejsce było wraz z innymi.

Anna siedziała z podwiniętymi nogami na kanapie, przytulona do Sama, z głową opartą na jego ramieniu. Obok nich stała Ingrid, trzęsąc się tak potwornie, że lód podskakiwał jej w szklance, a gazowana woda dosłownie się pieniała. Ingrid wpatrywała się gniewnie w Annę, która starała się nie zwracać na nią uwagi; Sammy spoglądał na Ingrid wzrokiem pełnym niedowierzania.

- Przestańcie, przestańcie! - zawołał Robert, podnosząc w uroczystym geście ręce. - Tak nie wypada. Choćby przez wzgląd na Hugh. Mój Boże, to był łagodny człowiek. Tak, Hugh byłby oburzony, słysząc, jak się kłócimy. - Spojrzał na syna, po czym przygarnął go do siebie, otoczył ramieniem i mocno przytulił. Kiedy pocałował go w głowę, zarówno ojciec jak i syn na chwilę zamknęli oczy.

- Jest piąta - oznajmił Keith, zerkając na zegarek. - Z ojca zostały prochy. Już po wszystkim.

- Jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni - powiedziała siostra Ingrid. - Tą informacją wprost ocaliłeś nam życie.

Wyczuła, że tworzą się dwa obozy, i chciała zapewnić Ingrid, że jest po jej stronie.

Robert rozpiął kraciastą, zielono-białą marynarkę, która gdzieś na plecach była mokra od potu. Klatkę piersiową miał masywną. Z wewnętrznej kieszeni wyjął złożoną kartkę papieru lotniczego. Podał szklankę synowi, który rad, że może ojcu usłużyć, odszedł postawić ją na stole.

- Co to? - spytała Ingrid. - Testament?

- Nie, bynajmniej nie testament - odparł Robert. - Jest to list od Hugh, który dostaliśmy ponad rok temu. - Rozłożył go; list pisany był na maszynie wyposażonej w granatową taśmę. - Pomyślałem, że wezmę go z sobą. Hugh rzadko pisywał listy.

Spojrzał na kartkę papieru i uśmiechnął się, jakby zobaczył na niej twarz Hugh.

- Przeczytaj, wujku - poprosił Sammy.

- Zamierzałem puścić go wkoło.

- Nie, przeczytaj na głos.

- Jezu. Za chwilę będziecie chcieli oglądać stare zdjęcia - zachnęła się Anna, ale nie była zła.

- Szkoda, że nie potrafię naśladować głosu Hugh

- rzekł Robert. - Miał taki głos, że wszystko brzmiało inaczej, ciekawiej. - Wskazał głową Sama. - Ty też masz taki.

- Przeczytaj list, wujku.

- „Kochany Bobbo”. Tak mnie w domu nazywano

- zwrócił się do Ingrid. Otarł z czoła pot i mrużąc oczy, spojrzał niepewnie na list, jakby nagle pismo stało się prawie nieczytelne. - „Zapewne wiesz już o rozwodzie i zdążyłeś pogodzić się z tą myślą. Czuję się jak kuzyn Derek, kiedy rozbił dziadkowi packarda i zamiast wrócić do domu, wyniósł się na rok do Charlotte. Czasem lepiej po prostu zniknąć. Pamiętam, jak osiem lat temu pałaszowaliśmy langusty w tej małej knajpce nad rzeką

Ponchatrain, a ty opowiadałeś o Billu Coronie, który porzucił swoją żonę Alison; dziwiłeś się, co za dureń odchodzi od żony po piętnastu latach małżeństwa, ja zaś potrząsałem głową, rechocząc pod nosem niby stara plotkarka, która odpoczywa na werandzie i wspomina wspaniałe lato w trzydziestym ósmym roku, kiedy drzewa były w pełnym rozkwicie, a nasze wartości czyste i niewinne. Wiesz, co mam na myśli, prawda? Te czasy, kiedy wszystko było takie proste. A oto wyciąłem ten sam numer co Bill Corona, a nawet go prześcignąłem, bo on zostawił tylko dwójkę dzieci, a ja aż troje. Dzieci w miarę dorosłych, które lepiej od swojego biednego, starego ojca wiedzą, co robić z życiem. Do licha, niby czuję się tak jak dawniej, kiedy latałem w przydużych, zielonych spodniach wykradać babce konfitury, a równocześnie piszę o sobie «biedny stary ojciec». To wszystko wydaje się tak strasznie nieprawdopodobne, co?" - Robert urwał i przekręcił kartkę. Twarz czerwieniała mu równomiernie od dołu ku górze, podobnie jak kieliszek, do którego nalewa się czerwonego wina.

- To cały Hugh - westchnęła Anna.

- Do mnie ojciec też kiedyś napisał - rzekł Sammy. - Szkoda, że nie wzięłem tego listu.

- Ja mam jego wiersze i tysiące innych rzeczy - oznajmiła Ingrid, zakrywając oczy z rozpacz i może po części z zażenowania: nie miała innego wyjścia i chociaż czuła się tym upokorzona, wciąż sama musiała podkreślać swoją rolę w życiu Hugh.

Stałem na obolałych nogach, oparty plecami o ścianę, trzymając w ręce whisky z wodą sodową. Wprawdzie wszystkim obecnym łzy zakręciły się w oczach, ale bałem się, że ja pierwszy wybuchnę płaczem. Widok poszczegól-

nych twarzy jakby zapalał we mnie kolejne lonty, które z sykiem przedzierały się do mojej świadomości; każdy cierpiał inaczej, na swój własny, bardzo określony sposób, lecz każde cierpienie docierało do mnie, dochodziło do miejsca, które łąda chwila mogło wybuchnąć. Robert wrócił do czytania listu.

- „Wy, głowy nierozbitych rodzin, nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak bardzo my, wędrowni ojcowie, kochamy swoje dzieci”.

Po sposobie, w jaki poruszał głowę, poznałem, że ma ochotę spojrzeć na Sama i Keitha, upewnić się, czy uważnie słuchają, ale się powstrzymał. Czytał dalej, lecz słowa przelatowały mi koło uszu, docierał do mnie jedynie monotony, niewyraźny pomruk. Wpatrywałem się bezwstydnie w szczerą, pełną smutku twarz Roberta; po prostu niezdolny do słuchania listu, koncentrowałem się na tym, co miałem przed sobą: na dużych piwnych oczach Roberta, na jego suchych, pokrytych szronem włosach, ogolonych, wydatnych policzkach i masywnej brodzie.

Robert pragnął, aby w obliczu śmierci zachowano spokój. Zapobiegł kłótni pomiędzy Anną a Ingrid, a kiedy wynikła sprzeczka na temat mojego udziału w uroczystości, zapewne apelował, aby w imię pokoju dano Annie wolną rękę. Wierzył, iż w takiej chwili wszelkie namiętności powinny zamienić się w smutek: zazdrość, gniew, ból i strach milkną przy cichym ołtarzu śmierci. Nie zamierzał przerywać rytmu żałoby, aby okazać mi, co o mnie sądzi: gniew to luksus, na jaki mogą pozwolić sobie ludzie żywi, więc manifestowanie w tym momencie takich uczuć stanowiłoby jawne pogwałcenie dobrych obyczajów. Później się mną zajmie. Później ciężka dłoń spocznie na moim ramieniu, a łagodne piwne oczy spojrzą na mnie

zimno i wrogo. Później oceni mnie surowo, tak samo jak Hugh; obejdzie się ze mną bezlitośnie, oskarży mnie i przepędzi na cztery wiatry.

Odwrociłem wzrok i popatrzyłem na Ingrid, która szlochała teraz otwarcie i poprzez łzy przyglądała mi się z niepokojem. Byłem pewien, że wspomnienie mężczyzny stojącego niecałe trzy metry od Hugh jest gdzieś zakodowane w jej pamięci i usiłuje się przebić przez warstwę podświadomości, tak jak głosy zza świątów usiłują przemówić podczas seansów spirytystycznych: okna pamięci drżą, firanki powiewają, stół się chybotaje, ale nikogo nie ma. Ingrid przekreśliła głowę na bok i rozchyliła pełne, pozbawione kolom wargi. Kiedy w jej oczach pojawiła się dezaprobata, przestraszyłem się, iż wspomnienie zaczęło wyłaniać się z oparów mgły, po chwili jednak uświadomiłem sobie, że Ingrid prosi mnie o to, żebym przestał na nią patrzeć i pozwolił jej cierpieć w sztucznym poniekąd odosobnieniu. Spojrzałem z kolei na siostrę Ingrid, dużą, ciężko zbudowaną kobietę, ubraną w bezkształtną szarą sukienkę, ciemne pończochy i czarne lśniące buty.

Dokładnie w tym momencie Keith, który siedział po przeciwległej stronie pokoju, rzucił we mnie wysoką szklankę. Nie wiem, czy chciał mnie trafić, przestraszyć czy też był to bezmyślny odruch, w każdym bądź razie szklanka roztrzaskała się o ścianę najwyżej trzydzieści centymetrów od mojej głowy. Z początku sądziłem, że odłamki szkła wbiły mi się w skórę, ponieważ jednak nie odniosłem nawet zadrapania, musiał to być pokruszony lód. Denko od szklanki wylądowało mi na ramieniu, później zaś znalazłem kawałki szkła w kieszeni koszuli. Przez kilka chwil nie mogłem się zorientować, co się stało. Słyszałem brzęk szkła i nawet miałem przed oczami

mglisty obraz Keitha, który z drugiego końca pokoju ciska szklankę. Ale dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że to całe zajście ma związek ze mną. Czułem krople alkoholu spadające mi na włosy, na twarz, na koszulę i widziałem, jak przez zasłonę dymną, że oczy wszystkich obecnych skierowane są na mnie. Robert przerwał czytanie listu, Nancy chwyciła siostrę za ramię i obie aż podskoczyły. Zakryłem twarz i potrząsając głową, pochylony, odwróciłem się tyłem.

- Och, Keith, Keith - powiedziała Anna, nie tyle zresztą zła, co przygnębiona i wyczerpana.

- Wynocha. Spieprzaj stąd! - krzyczał Keith.

Wciąż lekko przygarbiony, jakby gotów do odparcia nowego ataku, spojrzałem na Keitha, machając dłońmi, żeby je wysuszyć. Keith stał, dysząc niby koń wyścigowy. Intensywność i wściekłość, z jaką łapał oddech, wzbudzały grozę. Żebra niczym para ogromnych skrzydeł wznosiły mu się i opadały, chyba wszyscy, nie ja jeden, zastanawiali się, jak postąpić, jeśli Keith nagle padnie bez tchu.

- O niczym innym nie potrafię myśleć, kiedy go widzę. Wciąż się tylko zastanawiam, co tym razem nabroi. Boże, to straszne. Nie, on nie może tu zostać. Musi wyjść. - Wskazując na mnie palcem, powtórzył: - Wynocha, wynocha!

Spojrzałem na Annę.

- Pójdę.

- Wynocha! Wynocha stąd! Spieprzaj! - wołał Keith.

- Uspokój się - wtrącił Sammy. Chciał chwycić Keitha za ramię, ale gdy za pierwszym razem mu się nie udało, drugi raz już nie próbował.

Anna przyłożyła rękę do oczu i potrząsnęła głową. Zostań? Odejdź?

- Pójdę - powiedziałem bardziej do siebie niż do Keitha.

Rozejrzałem się po pokoju nikt nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy.

Skinąłem głową, jak głupiec usiłując zachować się normalnie. Jak we śnie widziałem, że następna szklanka, którą Keith podniósł ze stołu, leci w moją stronę, leci wolno, po równej linii, odbijając blask rzucony przez lampę; płyn się z niej wylewał, lód wysypywał. Tym razem rozbiła się dość daleko ode mnie. Na białej ścianie pojawiła się podłużna mokra plama. Ruszyłem przed siebie, rozdeptując butem duży kawał szkła: jego okruchy zazgrzytały nieprzyjemnie o drewnianą podłogę. Zakryłem twarz - wydawało mi się, że leci we mnie trzecia szklanka, Keith jednak stał bez ruchu, z rękami wyciągniętymi przed siebie, jakby bał się, że zaraz się na niego rzuci.

Odwróciłem się na pięcie i przeszedłem długim przedpokojem do wyjścia. Nikt oczywiście nie protestował. Zatrzęsnałem lekko drzwi, ale ponieważ zamek był zepsuty, została w nich szpara. Wolałem nie ryzykować czekania na windę, Schody znajdowały się pośrodku korytarza; zbiegłem kilka pięter, po czym usiadłem, bo nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Miałem wrażenie, że nastąpiło przerwanie włókien nerwowych: przez kilka minut siedziałem na marmurowych schodach, szczypiąc się w łydki i waląc po kolanach, zanim wreszcie odzyskałem w nogach czucie.

Kiedy wychodziłem z holu, przed budynek zajęchała taksówka. Z piskiem opon zatrzymała się przy krawężniku, tylne drzwi się otworzyły i nagle ukazała się Jade. Była trochę, choć niedużo, tęższa niż dawniej. Długie loki znikły. Miała teraz krótką, sportową fryzurę - włosy

proste, z przedziałkiem pośrodku, szesane na boki i przytrzymywane granatową opaską z plastiku. Ubrana była w żółtą bluzkę rozpiętą pod szyją i szerokie spodnie khaki o podwyższonym stanie, z biżuterii nosiła tylko cienki łańcuszek. Na szyi miała trzy dość wyraźne zmarszczki. W ręce trzymała czarną nylonową torbę podróżną. Była brązowa, opalona na murzyna i patrzyła mi prosto w oczy.

Taksówka odjechała. Jade postąpiła krok naprzód. Rozchyliła wargi, lecz zaraz je zacisnęła. Ruszyłem wolno w jej stronę, a gdy stanąłem, nasze buty niemal się stykały.

- Mama mówiła, że tu jesteś - rzekła.

- Tak. Jestem.

Położyłem dłonie na ramionach Jade i przygarnąłem ją do siebie. Jakby się zawahała, ale jej opór był minimalny. Objąłem ją i - tak jak to sobie wyobrażałem niezliczoną ilość razy - mocno przytuliłem. Przyszło mi na myśl, czy przypadkiem się Jade nie narzucam. Czułem dotyk jej piersi, chłonałem zapach jej perfum, starałem się uwiecznić w pamięci architekturę jej ciała. Jade dotknęła moich ramion. Nie odwzajemniła uścisku. Ale i nie odepchnęła mnie.

Nie mogłem trzymać jej w objęciach tak długo, jakbym tego pragnął, więc po pewnym czasie opuściłem ręce i odwróciłem wzrok świadom tego, iż Jade woli, abym na nią nie patrzył. Skierowałem spojrzenie przed siebie, najpierw wsłuchując się w jej oddech, potem w krępującą ciszę, kiedy usilnie zastanawiała się, co powiedzieć, a w końcu w lekkie, nerwowe kroki, kiedy wchodziła do budynku, w którym mieszkała Anna. Stałem bez ruchu, dopóki nie znikła w drzwiach, a nawet wtedy gdy znikła, nie obejrzałem się za siebie. Zaciskając pięści i mamrocząc pod nosem, mszyłem spod budynku: biegłem, stawałem, to

znów szedłem, wreszcie na rogu Dwudziestej Dziewiątej Ulicy i Park Avenue usiadłem na chodniku, oparłem się plecami o skrzynkę pocztową i czekałem.

14

Po dwudziestu ośmiu godzinach w pokoju zadzwonił telefon, który odebrałem w połowie pierwszego dzwonka. Odezwał się recepcjonista.

- Pan Axelrod?

- Tak.

- Ma pan gościa - rzekł, dodając po chwili: - Czy wpuścić tę panią na górę?

- Tak, ale najpierw chciałbym z nią zamienić dwa słowa.

- Chwileczkę.

- Halo? - spytała Jade. Głos miała niski, ochrypły. Kojarzył mi się z piaskiem, słońcem, dymem papierosowym.

- Chciałem, żebyś to usłyszała ode mnie. Przyjdź, Jade. Znasz numer pokoju?

- Tak, znam.

- A może wolisz, żebym zszedł? Powiedz.

- Nie, przyjdę na górę. Dobrze?

- Dobrze. Czekam.

Czekałem na nią przy windzie; Jade wysiadła z dwoma kobietami w krótkich skórzanych spódnicach i kowbojskich kapeluszach. Ubrana była na szaro, w ręce trzymała czarną nylonową torbę podróżną. Czuć było od niej tytoniem i alkoholem, lecz ponad tymi zapachami unosił się, niczym blask światła na fali, zapach wody bżowej, którą musiała się skropić tuż przed wejściem do hotelu.

Przez długą chwilę staliśmy wpatrzeni w siebie. Doleciał mnie świszczący syk zasuwanych drzwi, syk podobny do tego, jaki towarzyszył pilotom, którzy latali w odkrytych kabinach. Spontaniczność, która wczoraj pozwoliła mi przytulić Jade do piersi, znikła bez śladu. Dziś z trudem patrzyłem jej w oczy, choć oczywiście za skarby świata nie odwróciłbym wzroku gdzie indziej.

Jade sprawiała wrażenie całkiem wyczerpanej. Oczy miała wielkie, smutne, spojrzenie rozbiegane, wargi wyschnięte. W zimnym, bladym świetle korytarza widać było, że makijaż lekko się jej rozmazał. Krótkie włosy zaczesane miała za uszy, których czubki, dość twarde i szerokie, były zaczerwienione. Złoty kolczyk ozdobił jedno ucho.

- Zgubiłaś drugi kolczyk.

Dotknęła prawego ucha, obmacując puste miejsce.

- O cholera. Wzruszyłem ramionami.

- Nie szkodzi, kupimy ci nowe - powiedziałem i aż się wzdrygnąłem. Co za idiotyczna uwaga, a nawet gorzej niż idiotyczna, bo arogancka i podyktowana rozpaczą, - nie zdziwiłbym się, gdyby Jade roześmiała mi się w twarz.

Ale Jade patrzyła na mnie, jakby nic nie słyszała. Serce waliło mi w piersi niczym ogromne psisko, które dobija się do drzwi.

- Zaskoczyła cię moja wizyta? - spytała.

- Nie, musiałaś przyjść. Jade zmrużyła oczy.

- Nie musiałam, chciałam. To była świadoma decyzja.

- Cieszę się, że jesteś.

Skinęła głową. Przyglądała mi się bardzo uważnie, usiłując dostrzec zmiany, jakie we mnie zaszły. Jej spojrzenie

działało jak dotyk: zrozumiałem, że od lat właściwie nikt na mnie nie patrzył. Ludzie albo zerkali w przelocie, albo lustrowali w sposób stronniczy, z uprzedzeniem; dopiero teraz, nagle, ktoś patrzył i widział mnie takim, jakim jestem.

- Wejdziemy do pokoju?

- Ale tylko na chwilę. Wpadłam po drodze na stację autobusową. Ostatni autobus do Vermontu odchodzi za pół godziny.

Zamknąłem drzwi i zapaliłem górne światło. Przed jej przyjściem leżałem na łóżku i przy nikłym blasku lampki nocnej czytałem po raz drugi gazetę: narzuta była więc pognieciona, gazety niedbale ciśnięte w kącie, słowem, w pokoju panował nieład i bałagan.

- Szkoda, że nie mogę cię powitać w jedwabnym smokingu i z kieliszkiem szampana w ręce.

Miała taką minę, jakby nie rozumiała, o co mi chodzi. Wiedziałem jednak, że udaje. Albowiem w spojrzeniu, które mi rzuciła, było coś bardzo świadomego, rozmyślnego, jakby koniecznie chciała mnie przekonać, iż nie pojmuję sensu moich słów. Ale Jade zawsze potrafiła sobie dopowiedzieć to, co myślałem, a czego nie ujmowałem w słowa; nie musiałem jej niczego tłumaczyć. To właśnie ta telepatyczna więź pozwoliła nam uwierzyć, że żyjemy razem w innym, lepszym świecie, niedostępnym dla przeciętnych ludzi. I teraz ta scenka, kiedy udawała zdziwioną, jedynie utwierdziła mnie w przekonaniu, że Jade nadal doskonale wie, o czym myślę, tak jak wiedziała dawniej i jak zapewne będzie wiedziała aż do śmierci, bo w swoim rozumieniu mnie docierała do samego sedna, umiała prześledzić genealogię moich słów do ich źródła, do pulsowania krwi, do gorących pragnień i podświadomych lęków.

- Zamówić nam coś do picia? - spytałem, podchodząc do łóżka, żeby zgarnąć gazety. - Kawę? Wino?

- Jeśli szybko przyniosą. - Rozglądała się po pokoju, po części usiłując zapamiętać wszystkie szczegóły, po części szukając miejsca do siedzenia.

- Może być wino?

- Tak. Chociaż mam kłopoty ze szkliwem i wino zostawia mi ślady na zębach - rzekła, odciągając dolną wargę.

Usiadłem na brzegu łóżka i czekałem na połączenie z barem hotelowym.

- Proszę o dwa kieliszki czerwonego wina - powiedziałem, a gdy odłożyłem słuchawkę, dodałem: - Wszyscy się starzejemy.

- Albo umieramy. Jak Hugh.

Usiadła ciężko, w pozie świadomie pozbawionej wdzięku, westchnęła i otworzyła torbę podróżną. Szukała w niej czegoś, ale bezskutecznie.

- Masz aspirynę? - spytała. Potrząsnąłem przecząco głową.

- Cholera.

- Coś ci dolega? - spytałem. Błąd.

Jade lekko się wyprostowała, odsuwając się ode mnie.

- Mój ojciec nie żyje. Wracam z pogrzebu, na którym była cała zwariowana rodzina. Mam okres. A poza tym jestem na specjalnej diecie proteinowej, żeby schudnąć pięć kilo. - Uniosła brwi, jakby pytała: „To mało?”.

Chciałem coś powiedzieć, ale nic stosownego nie przychodziło mi do głowy. Pomyślałem, że mógłbym jej pomasażować skronie i kark, ale nie wypadało mi tego proponować. I wtedy popełniłem drugi głupi błąd: pomyślałem o miesięczce Jade, o tamponie ze sznureczkiem, który leży zwinięty w jej włosach łonowych, i natychmiast

przypomniałem sobie, jak kiedyś oplotłem go wokół palców niczym gumkę od jojo i wyciągnąłem z Jade przesiąkniętą łowią rolkę waty. Nie była to odpowiednia chwila na tego typu intymne wspomnienia, gdyż wzmagały one tylko uczucia wywołane samą obecnością Jade; myśląc o tym, co nas łączyło, o gwałtownej, palącej żądzy, ledwo mogłem usiedzieć w miejscu.

- Chcę cię spytać o pogrzeb - powiedziałem. - Ale nie wiem jak.

- Oj, to było straszne. Takie potwornie głupie i nudne. Zupełnie nie mogłam uwierzyć, że tatuś jest w tej urnie. Kremacja to idiotyczny wymysł. A jeśli już się pali zwłoki, to niechby palono je z pompą. W ogromnym ognisku. Na oczach wszystkich. Bo tak, to skąd mam wiedzieć, że ojciec nie żyje? Dzwoni matka, kilka godzin przebywam w towarzystwie rozhisteryzowanych pijaków, potem siedzę na krześle, słuchając wraz z pięćdziesięcioma innymi osobami muzyki organowej i wpatrując się w urnę. Nie mam żadnych dowodów na to, że cokolwiek naprawdę się stało. Wszyscy mi mówią, że ojciec nie żyje, ale skąd mam mieć pewność? Mogli tam wsypać byle jakie prochy. - Wzruszyła ramionami i wsunęła palec za złoty łańcuszek.

- Pięćdziesiąt osób...

- Tak, z których wielu nie znałam. Istna groteska. Przyjechało sporo dziwnych przyjaciół Ingrid. Właściwie to ją nawet lubię. Pewnie z tych samych powodów co ojciec. Podoba mi się jej szczerść, jej zmysłowość, podoba mi się to, że tak bardzo rozpaczała. Mama była strasznie opanowana, jakby lekko zniecierpliwiona całą sprawą. A Ingrid łkała tak głośno, że zaraziła płaczem ludzi, którzy sami z siebie może nie uroniliby łzy. W pewnym

momencie matka pochyliła się i szepnęła mi do ucha: „Powinno się na nią wylać kubek zimnej wody”. Dziwna osoba, ta moja matka. Samotna. Coraz bardziej zgorzkniała. Potem przemawiał wuj Robert, opowiadał o tym, jak on i ojciec razem dorastali. Mówił prześlicznie, naprawdę wspaniale, niemal śpiewał. Nie sądziłam, że ma taki talent. Nawet z tej odległości, gdzie siedziałam, widziałam, że w oczach ma łzy. Aż się sama popłakałam, ale na pogrzebach człowiek zawsze płacze bez względu na to, co kto mówi. W czasie gdy wuj przemawiał, zerknęłam na mamę, która kurczowo trzymała mnie za rękę. Cholera, wyraźnie widziałam, że ma ochotę się rozbeczeć, ale twardo się powstrzymywała, tak jakby myślała: a niech Ingrid sobie szlocha, niech się zalewa łzami, ja zbyt dobrze znałam Hugh, żeby tak po nim rozpaczać. Przez podobne rozumowanie wiele razy w życiu odmawiała sobie różnych rzeczy.

- Byłam z Anną, kiedy dowiedziała się o śmierci Hugh - rzekłam, ciekaw, czy inni zdążyli ją już o tym powiadomić.

- Tak. Mówiła mi - Na moment Jade zmrużyła oczy.

- Jeśli to jest dla ciebie takie ważne, to wtedy płakała. Bardzo cierpiała.

Przez chwilę milczeliśmy. Byliśmy dwojgiem obcych ludzi, którzy boją się siebie nawzajem i którzy widzą duchy z przeszłości. Wydawało mi się to niesamowite - doznania nadprzyrodzone w małym pokoju hotelowym. Powinniśmy byli wyjść, wybrać się na spacer. Ale lękałam się cokolwiek proponować, lękałam się nawet chrząknąć.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, zdałem sobie sprawę, że od dłuższego czasu Jade i ja całkiem śmiało się sobie przypatrujemy.

Wstałem.

- Pewnie przynieśli wino.

- Wkrótce muszę iść.

Chciałem się sprzeciwić, ale ugryzłem się w język.

- Cieszę się, że cię widzę.

- Naprawdę? - spytała z leciutką drwiną, która wynikała z zażenowania.

Odezwałem się dopiero po chwili, żeby uzmysłwić jej, że nie mówię tego tylko z grzeczności.

- Tak, naprawdę.

Wino podane było w ciężkiej, szklanej karafce. Obok dwóch kieliszków leżała paczka orzeszków. Niczym człowiek światowy podpisałem rachunek i nie chcąc psuć nastroju szukaniem drobnych w kieszeni, wręczyłem kelnerowi dolara. Postawiłem tacę na stoliku obok Jade.

- Można ci nalać?

- Jakie ciemne. Prawie czarne.

- To tylko tak wygląda w tym świetle. - Nalałem wina do kieliszka i podniosłem do światła. Płyn był jaskrawo-czerwony. - Widzisz?

Skinęła głową i sięgnęła po kieliszek. Ciekaw byłem, czy niechcący dotknie palcami mojej ręki, ale nie zrobiła tego. Poczuję się zawiedziony, urażony w swojej męskości; pragnąłem jej dotyku, lecz z drugiej strony wiedziałem, że nie możemy sobie pozwolić na żadne kokieteryjne gesty. Bo cóż bardziej od flirtu podkreśla, że ludzie są sobie obcy?

Nalałem wina do drugiego kieliszka i stanąłem przed Jade. Chciałem wznieść toast, ale wiedziałem, że tego nie uczynię. Znów usiadłem na brzegu łóżka.

- Usiłowałem cię odszukać.

- Wiem.

- Rodzina bardzo pilnie cię strzeże. Pytałem o ciebie zarówno, Keitha jak i Annę, ale żadne z nich nic mi nie zdradziło. Później wysłałem list do Sama, z prośbą, aby ci go przekazał.

- Wiem o tym, David, wiem.

- Przekazał ci?

Okazało się, że tak. Milczałem przez chwilę, po czym skinąwszy głową, powiedziałem:

- Ale nie odpisałaś.

- Nie miałam na co odpisywać. To nie były twoje słowa, pamiętasz? Przesłałeś mi list napisany przez kogoś innego. Przez Dickensa.

- Nie potrafiłem się inaczej wysławić. Sam nie wiem dlaczego. Bałem się napisać do ciebie własnymi słowami. Potrzebny był mi ktoś, kto by to za mnie zrobił.

- Dawniej byłeś inny.

- Gdybym dostał jakikolwiek znak życia z twojej strony, obsypałbym cię setkami listów. Pisałem je do szuflady. Zrozum, nie wiedziałem, gdzie mieszkasz i czy chcesz, abym do ciebie pisał.

Jade pociągnęła łyk wina, po czym przejechała językiem po zębach, żeby oczyścić szkliwo. Każdy gest coraz mocniej uzmysławiał mi jej obecność, każdy ruch utwierdzał w coraz głębszym przekonaniu, że musimy być razem.

- Mam tyle pytań - rzekła. - I tyle chcę ci opowiedzieć. Wiesz, to jest przerażające. Właśnie wracam z pogrzebu ojca, a interesuje mnie, co się z tobą działo, jaki jesteś. Nie umiem sobie z tym poradzić. To nie ma sensu.

- Co się działo? Jaki jestem? Odpowiem ci na to pytanie. Odpowiedź jest prosta: jestem taki jak w twoich myślach.

- A skąd wiesz, co o tobie myślę?

- Przepraszam. Chodzi mi o to, że jestem dokładnie taki sam jak wtedy, gdy widzieliśmy się po raz ostatni.

Jade odwróciła wzrok i potarła nerwowo palce jak ktoś, kto niedawno rzucił palenie, lecz wciąż ma nawyk sięgania po papierosa. Wyobraziłem sobie, o czym teraz marzy: o tym, aby móc zapalić, zaciągnąć się głęboko dymem i dopiero po dłuższej chwili z głośnym westchnieniem wypuścić powietrze z płuc.

- Po raz ostatni - rzekła - widzieliśmy się w Chicago, kiedy podpaliłeś mój dom. Nie zmieniłeś się od tamtej pory?

- Nie - odparłem bez wahania.

Słyszając to, Jade szybko spojrzała na zegarek.

- Czas na mnie. W ciągu dwunastu minut muszę być osiem przecznic stąd. Nie wiem, czy zdążę.

Obmyśliłem już plan działania. Powiem, że ją odprowadzę. Nie wiedziałem, gdzie w Nowym Jorku mieści się dworzec autobusowy, ale podejrzewałem, że tak jak w innych dużych miastach znajduje się w niezbyt bezpiecznej dzielnicy. Będę nalegał. Jade zgodzi się. W drodze będę zwalniał tempo, tak żebyśmy się spóźnili na autobus. Jednakże zamiast wyjść z tą propozycją, pochyliłem się i szepnąłem:

- Nie. Nie odchodź. Nie wyjeżdżaj. Zostań tutaj ze mną. Tak długo się nie widzieliśmy i nie wiadomo, kiedy się znów spotkamy.

Jade wstała. Miałem wrażenie, że coś we mnie powtarza ten sam ruch. Krew odpłynęła mi z głowy. Zapominając, że trzymam w ręce kieliszek, rozprostowałem palce: kieliszek spadł na podłogę, wylądował na nóżce i po chwili przewrócił się na bok.

Jade obserwowała, jak wino wsiąka w musztardowy dywan. Potrząsnęła głową, jakby sama z sobą prowadziła rozmowę albo nieśmiało wyrażała na coś zgodę.

- Proszę cię - powiedziałem, starając się na nią wpłynąć, tak jak dziecko stara się wpłynąć na lot kamieni, kiedy puszcza na wodzie kaczki.

Wciągnęła szybko powietrze i przełknęła ślinę. Była zmęczona i wystraszona. Na skroni pulsowała jej żyła, - uszy wciąż miała zaczerwienione.

- W porządku - odparła, starannie wymawiając słowa, tonem, jakiego używa się, nagrywając dla cudzoziemców płytę do nauki języka. - Zadzwoń na dworzec spytać, kiedy odchodzi następny autobus.

Myślałem, że zamierza podejść do telefonu, Jade jednak zbliżyła się do łóżka i usiadła obok mnie.

Bąłem się jej dotknąć, bąłem się na nią spojrzeć czy wykonać najdrobniejszy gest, który mógłby ją spłoszyć. Patrzyłem przed siebie, na miejsce, które opuściła, i nagle poczułem, że Jade zmienia pozycję i wpatruje się w mój profil, następnie zaś pochyla się i opiera głowę na moim ramieniu.

Pragnąłem odwzajemnić się jakimś czułym gestem, ale wiedziałem, że to bez sensu. Zachowanie Jade mogło oznaczać wiele rzeczy: to, że po pogrzebie ojca szuka u mnie, który byłem jej starym przyjacielem, pocieszenia. Mogło oznaczać zmęczenie, smutek i apatię, która często nas ogarnia, kiedy ulegamy cudzym namowom. Nie miałem jednak cienia wątpliwości, że kryje się za tym coś zgoła innego. Jej ruchy były bardzo świadome i kontrolowane. Nie było to zwykłe oparcie głowy o czyjeś ramię. Mięśnie, szyję i ramiona miała silnie napięte; pilnowała się, aby nie oprzeć się za mocno. Zarówno sam dotyk, jak

i jego natężenie były dokładnie przemyślane, a to oznaczało, że choć opiera się o mnie tylko czołem, w duchu pragnie przytulić się całym ciałem. Jej pozornie niewinny gest wymagał podjęcia odważnej decyzji i w rzeczywistości był tak intymny, jakby głaskała mnie po twarzy albo przycisnęła moją rękę do piersi. Mijały chwile, mijały sekundy: cała świadomość Jade skupiona była na tym skrawku czoła, którym dotykała mojego ramienia, tak jak uwaga śpiewaczki rozpoczynającej arię koncentruje się na strunach głosowych.

Żeby móc ją objąć, Jade musiałaby zmienić pozycję, toteż położyłem tylko rękę na jej nodze, tuż nad kolanem. Położyłem płasko, nie zaciskając palców, tak żeby Jade wiedziała, że nie staram się nią zawładnąć czy zmusić do czegokolwiek.

Oddychałem równomiernie, próbując panować nad zalewającymi mnie falami nadziei i radości, ale mimo to wstrząsały mną dreszcze.

Jade podniosła głowę i odsunęła się ode mnie.

- Przepraszam - rzekła. - Nie powinnam cię była dotykać.

Cofnąłem dłoń, ale dreszcze nie ustały. Podeszedłem do okna. Serce mi waliło, czułem łomotanie krwi w gardle, w brzuchu, w czubku penisa, w nogach. Oparłem się o okno i wyjrzałem na zewnątrz. Czarne chmury sunęły po szarym nocnym niebie. Pomyślałem sobie, że gdyby teraz nastąpił koniec świata, gdybym umarł, nie czułbym żalu. Myśl ta wydała mi się tak sensowna i tak bardzo pasowała do moich skołowanych emocji, że niemal wypowiedziałem ją na głos.

- Nie będziesz miał nieprzyjemności, że wyjechałeś z Chicago? - spytała Jade.

- Nie.

- Ale nie wolno ci się z nami kontaktować. Jesteś przecież na zwolnieniu warunkowym. Pewnie nikt nie wie, że jesteś w Nowym Jorku.

- To nie ma znaczenia. Nikt się nie dowie. Wyjechałem w piątek po południu, a sobota i niedziela się nie liczą.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem, ale nie kontynuowała tematu. Uważała, podobnie jak Anna, iż najlepszym sposobem na okazanie komuś sympatii jest nie-wtrącanie się w jego sprawy.

- Wiesz, kogo spotkałem w samolocie? - spytałem. - Stuarta Neihardta.

Jade wzruszyła ramionami.

- Nie pamiętasz go? Chodziłem z nim do jednej klasy. Pracuje u dentysty, który wysyła go do Nowego Jorku po złote korony.

Skinęła głową. Podejrzewała, że chce ją skłonić do wygłoszenia ironicznego komentarza, a nie miała najmniejszego zamiaru. Albo czuła w tej chwili zbyt silną więź z ludźmi, żeby się z kogokolwiek wyśmiewać, albo za mało ją obchodzili, aby miała tracić na nich czas - nie byłem pewien.

- On nas pamięta. Chorobliwie zazdrości parom, którym było ze sobą dobrze. Ponieważ sam czuł się potwornie samotny, znenawidził tych, co cieszyli się życiem. Słuchałem go z mieszanymi uczuciami. Zdziwiłem się, że mnie pamięta, bo ja całkiem o nim zapomniałem.

- W ogóle go sobie nie przypominam. A jak wygląda?

- To nieważne. Chyba go nie znałaś. Kretyn, wygadywał o nas głupoty. Powiedział, że na jakiejś wystawie naukowej zajrzał ci za dekolt, kiedy stałaś pochylona.

- Musisz mi to powtarzać?

- Cholernie mnie to wkurzyło. Wykręciłem mu wargę, Jade wzdrygnęła się.

- Boże, David, jesteś taki agresywny i szalony.

- Nie jestem.

- Jesteś. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale jesteś.

- Nie jestem. To, co czuję, nie ma nic wspólnego ani z agresją, ani z szaleństwem. Nie lubię przemocy, a szaleństwo jest czymś bardzo smutnym, nudnym i przerażającym. Przebywałem wśród szaleńców i byłem traktowany jak jeden z nich. Przychodziły takie chwile, kiedy na serio się zastanawiałem, czy nie jestem psychicznie chory, a przez pewien czas nawet żałowałem, że nie jestem pomyłony, bo wtedy mój pobyt w Rockville miałby sens. Gdybym zwariował, czas by mi szybciej płynął, nie byłbym już tym człowiekiem, który bardzo cierpiał, stałbym się kimś innym, kimś obcym, kogo mógłbym z boku obserwować. Nie byłem jednak szaleńcem. W tym cała rzecz. Nie byłem szaleńcem, chociaż zdaję sobie sprawę, że każdy wariat tak twierdzi. Wypuścili mnie... nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem... wypuścili mnie, kiedy zacząłem udawać, że się zmieniam, że zmienia się mój stosunek do samego siebie oraz - urwałem, dając jej szansę przerwać mi, gdyby chciała - do ciebie. Udawałem, że jesteś mi obojętna, i to im wystarczyło, żeby mnie zwolnić.

Usiadłem na łóżku obok Jade.

- Nie wiem, dlaczego nazywam tych ludzi szaleńcami - ciągnąłem. - Przecież nie są szaleni. Może jest to kwestia przyzwyczajenia, sposób określania Rockville i próba odizolowania się od tamtego świata. Rozumiesz, prawda? Wszyscy mamy dwa rodzaje świadomości: świadomość wewnętrzną, która jest dziwna, trochę symboliczna, oraz świadomość zewnętrzną, społeczną. Większość ludzi

funkcjonuje w obrębie obu tych światów; żyje świadomością wewnętrzną, a kiedy zachodzi potrzeba, przestawia się na świadomość zewnętrzną. Czasem jednak człowiek nie może nadążyć z przejściem i nadal zachowuje się tak, jakby żył w swoim małym prywatnym świecie. Wszyscy to oczywiście widzą. Prawie zawsze się orientują, że oto stoi przed nimi człowiek rozmyślający o rzeczach, których nie potrafi przekazać, podobnie jak mała nie potrafi powiedzieć stadu, jak trafić do wodopoju. Niekiedy świadomość zewnętrzna jest mdła i apatyczna, wewnętrzna zaś piękna, pełna grozy, tajemnic i innych spraw, które wydają się być pozbawione sensu, a które uporczywie powracają na myśl, domagając się uwagi, i wtedy coraz trudniej jest opuścić swój prywatny świat. Droga między tymi dwoma stanami umysłu staje się nagle bardzo stroma i pokonanie jej wymaga straszego wysiłku, którego nie jest warta. Wszystko zależy od tego, po której stronie tej wielkiej przepaści człowiek utknie. Jedni zostają tam, gdzie rządzi świadomość zewnętrzna, ogólnie aprobowana, i wszystko jest w porządku, ale co to za życie? Inni zatrzymują się po tej dziwnej, wewnętrznej stronie przepaści i ich nazywamy szaleńcami. Nie jest to takie całkiem błędne określenie, ale i nie oddaje ono prawdy. Ci ludzie raczej cierpią na paraliż, mają kłopoty z poruszaniem się, wpadają w impas, słowem są tacy jak my, gdy żyjemy w świecie wewnętrznym, tyle że my potrafimy pokonać tę przepaść, a oni są jak dzieci, które zarówno w szkole, jak i przy rodzicach przeklinają, zdradzają swoje tajemnice, pokazują palcem. Nie wiedzą, kiedy przestać. Zachowują się odwrotnie, niżbyśmy chcieli. Najstraszniejsze w tym wszystkim jest to, że każemy „szaleńców” za coś, co sami też robimy - my jednak potrafimy w porę

przestać, umiemy udawać, że wcale tak nie myślimy, i z takim samym zapalem jak inni wymierzamy „szaleńcom” kopniaki.

- Byliśmy tacy, ty i ja - rzekła Jade.

- Jacy? Szaleni?

- Żyliśmy w swoim własnym świecie. Wierzyliśmy, że to, co czujemy, jest jedyne i niepowtarzalne. Tylko razem potrafiliśmy funkcjonować, a wszystko inne było nieprawdziwe.

- To fakt.

- I to jest szaleństwo. Sam tak powiedziałaś.

- Nie, jeśli dwoje ludzi w coś wierzy, to nie jest szaleństwo. Szaleńcy są samotni, nikt ich nie rozumie. Z nami było inaczej. Oboje w coś wierzyliśmy i to coś miało głęboki sens. To nie jest szaleństwo, kiedy razem się w coś wierzy, bo własnym zachowaniem dowodzi się, iż to coś istnieje. Przekonuje się innych ludzi. Ci, którzy nas znają, którzy nas widzą razem, wierzą nam. Mamy na nich taki wpływ.

- Przestań.

- Co mam przestać?

- Mówić o tym w czasie teraźniejszym. To było dawno, dawno temu i już minęło.

- Tak, dawno, dawno temu. Ale teraz, gdy znów jesteśmy razem, mam wrażenie, że to było wczoraj. Chyba potrafiłbym wymazać z pamięci lata, które upłynęły bez ciebie.

Jade potrząsnęła głową i spuściła oczy,- trzymała na kolanach rozpostarte, stykające się kciukami dłonie i przebierała nerwowo palcami.

- Przestań. Nie wiesz, z kim rozmawiasz. Po prostu bujasz w obłokach.

- Znam ciebie - rzekłem i nagle to stwierdzenie nabrało znacznie większej wagi, niż się mogłem spodzie-

wać, zupełnie jakby te proste słowa były magnesem, który przyciągał wszystko nieznanne, niewypowiedziane i niejasne, wszystko, o czym marzyłem i czego się bałem. Powiedziałem, że ją znam, i atmosfera między nami stała się tak napięta, jakbym wreszcie zdobył się na odwagę i pocałował Jade. Nie miałem jednak wyjścia i musiałem brnąć naprzód niczym ktoś, kto goni za duchem: albo zjawa rozplynie się, zamieni w rozświetlone słońcem cząstki kurzu, albo okaże się czymś bardzo prawdziwym, materialnym.

- Nie znasz mnie. Jedynie pamiętasz, jaka byłem.

- To nie ma nic wspólnego z pamiętaniem. Pamięta się coś, co było i minęło. Ale jeśli upierasz się przy tym zwrocie, to pamiętam cię tak, jak ktoś leżący w łóżku pamięta, jak się chodzi. A więc nie jest to coś nieodwracalnie związanego z przeszłością, ale coś, co w każdej chwili można podjąć na nowo.

- Czyli wspólne szaleństwo?

- Wszystko jedno, jak to nazwiesz.

- Tobie wszystko jedno?

- Tak.

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową, jakby usiłowała się pozbyć dręczącej myśli.

- O czym my właściwie rozmawiamy? Nie powinniśmy wracać do tych spraw. Bo to boli, prawda?

- Kogo? Mnie?

- Tak. Chyba musi boleć.

- Nie. A ciebie boli?

- Ja to co innego - rzekła. - Mnie to aż tak nie dotyczy. Ty, David, starasz się kurczowo trzymać uczuć, które minęły. Moje uczucia znikły niczym kamień rzucony w przepaść, kamień, który nie odbija się jak gumowa piłka, tylko spada i spada, i spada.

- Ale w tobie.
- Nie rozumiem.
- Cały czas spada w tobie i bez względu na to, jak głęboka wydaje ci się ta przepaść, wciąż jest blisko. Mózg ludzki to nie dziurawe sito: uczucia zostają w nim na zawsze. Niczego się nie jest w stanie zapomnieć.
- Myślę czasem o tobie - powiedziała, siląc się na lekki i obojętny ton.
- A ja o tobie bez przerwy. Myślałem o tobie w tym przeklętym szpitalu, później, gdy mieszkałem u rodziców, i teraz, kiedy mieszkam sam.
- Gdzie mieszkasz?
- Na Kimbark 5318. Pierwsze piętro. Dwa pokoje z kuchnią.
Jade skinęła głową.
- Kimbark. Tęsknię za naszą starą dzielnicą. Mamy szczęście, że właśnie tam mieszkaliśmy, naprawdę. Zwłaszcza tu, we wschodnich stanach, strasznie naigrywają się z ludźmi, którzy pochodzą ze Środkowego Zachodu. Ale fakt, że się mieszkało w Hyde Parku, pomaga. Łatwiej sobie człowiek radzi.
- Z czym?
- Chociażby z rozmową - odparła, wzruszając ramionami. - Czy kawiarnia Medici jest jeszcze czynna?
- Chyba tak.
- To dobrze. Kiedy ostatnim razem byłam w Chicago, słyszałam, że mają ją zamknąć.
- Kiedy? Kiedy byłeś w Chicago?
- W zimie. Wtedy w Chicago jest ohydnie. Jeszcze gorzej niż w Vermoncie.
- Tej zimy? Skinęła głową.

- Ja już tam mieszkałem! - Niemal zerwałem się z miejsca.

- Wiem. Przyjechałam z koleżanką. Chciałam do ciebie zadzwonić. Słowo honoru. O mało nie zadzwoniłam do twoich rodziców, żeby dowiedzieć się, gdzie cię można znaleźć. Wrzuciłam do aparatu monetę, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłam. Kiedy odwiesiłam słuchawkę, moneta nie wypadła. Przestraszyłam się.

- Szkoda, że nie zadzwoniłaś. To straszne, że widzimy się po raz pierwszy dopiero teraz, w dniu pogrzebu twojego ojca.

- To nawet pasuje - stwierdziła, po czym szybko dodała: - Przepraszam. To była głupia i niepotrzebna uwaga. Słuchaj, przyjechałam wtedy do Chicago z przyjaciółką. Czuliśmy się potwornie skrępowani.

- Nie szkodzi. Trzeba było zadzwonić. Chętnie bym się z tobą zobaczył. Bez względu na okoliczności.

- Jechaliśmy do Kalifornii, do Santa Barbara. Ona się tam urodziła. Chciałam jej po drodze pokazać moje miasto rodzinne.

- Susan.

- Słucham?

- Twoja przyjaciółka zdaje się ma na imię Susan. Keith mi o niej mówił.

Jade wzruszyła ramionami i zamilkła: usta miała mocno zasznurowane, mięśnie twarzy napięte; nauczyła się wysyłać nieme sygnały, jakimi posługują się ludzie, którzy nie życzą sobie, aby ich o coś pytano. Już dość nasłuchiwała się uwag o Susan, o tym, że mieszka z kobietą, o miłości lesbijskiej. Zazdrość, która mnie ukłuła, trafiła w martwą tkankę: rany krwawiły mi tysiące razy, nie czułem więc już bólu, a na komentarz nie potrafiłem się zdobyć.

- Przyjechałaś obejrzeć dom? - spytałem. Skinęła głową.

- Tak. Nie chciałam, ale czułam, że jest to konieczne. Zresztą dobrze się stało, bo w rzeczywistości wygląda dużo lepiej niż w moich snach. Ciągle mi się śni, że się pali. Niby nie jest to duży pożar, gdzieś tam tylko widać płomień w oknie albo na dachu, ale zawsze się pali. Cieszę się, że ujrzałam dom w takim stanie, w jakim się zachował. A ty go widziałeś?

- Tak, ale ja to odbieram inaczej. Dla mnie ten dom wygląda prawie tak samo jak dawniej. Dlatego tak trudno mi uwierzyć, że zdarzyło się tam coś złego. Wiesz, czasem, kiedy człowiek o czymś bez przerwy myśli, dostrzega, że gdyby pewne sprawy potoczyły się inaczej, wszystko przybrałoby szczęśliwszy obrót.

Siedzieliśmy blisko siebie, pogrążeni w ciszy.

- Chciałam do ciebie napisać, kiedy byłeś w szpitalu - powiedziała Jade, odwracając wzrok. - Spytać, jak się czujesz, powiedzieć ci o moich planach. Ale wszystko było tak straszliwie pogmatwane. Poza tym bałam się, że mogę ci tylko zaszkodzić. Nie wiedziałam, co robić. Jakoś nie wypadało mi do ciebie pisać po tym, co się stało, a zarazem nie wypadało milczeć. Sam wiesz, że nie lubię, nie znoszę spraw niewyjaśnionych do końca. Ale... - Nagle głos się jej załamał. Jade oblała się rumieńcem, pochyliła głowę i zgarbiła plecy.

Wziąłem ją za rękę. Nie. Położyłem rękę na jej dłoni i wolno, po kolei, zacisnąłem na niej wszystkie palce.

- Dokończ.

- Czuję się taka samotna - szepnęła i rozplakała się.

- Niesłusznie. Jestem przy tobie. Zawsze jestem przy tobie.

Po chwili nie siedzieliśmy już koło siebie. Jade wstała, przeszła parę kroków i wycierając ręką łzy, spoczęła na fotelu.

- Studiuję w Stoughton, na ostatnim roku - rzekła, zakładając nogę na nogę. Odgarnęła włosy za uszy. - Przez najbliższe pięć miesięcy... - Na moment się zamyśliła, - łzy pozostawiły w jej głosie dziwną wilgoć. - Najbliższe pięć miesięcy to praca indywidualna. Mam dwie ciężarne spanielki, z których jedna jest ślepa. Za kilka dni nastąpi poród. Moim zadaniem będzie obserwować rozwój obu miotów, porównując zachowanie psiaków od ślepej matki i od widzącej. Potem muszę to opisać i na tym koniec.

- Na tym kończysz studia?

- Tak jakby.

- Ja studiuję na Roosevelt University. Jade skrzywiła się.

- Rzadko chodzę na zajęcia, ale musiałem rozpocząć studia. Muszę robić wiele rzeczy, żeby pokazać ludziom, że jestem z życiem za pan brat.

- Z życiem za pan brat? Dziwnie to brzmi. Nie w twoim stylu.

- Bo to określenie mojego kuratora. Albo matki. Cieszę się.

- Z czego?

- Że pamiętasz, co jest w moim stylu, że nie zapomniałaś.

- Nie zapomniałam. Byliśmy taką zakochaną parą.

- To prawda.

- Taka miłość zdarza się raz w życiu. Przykre, ale chyba prawdziwe. Szkoda, że ta jedyna i niepowtarzalna miłość przytrafiła się nam, kiedy byliśmy za młodzi, aby sobie z nią poradzić.

- A któż umie sobie wtedy radzić? Taka miłość jest wielka, wszechpotężna i żadne przyjęte ogólnie zasady nie obowiązują.

- Nie obowiązują? Czy na pewno? Kiedyś tak myśleliśmy, żyjąc we własnym świecie, ale byliśmy wtedy młodzi. Nadal jesteśmy młodzi, lecz trochę bardziej dojrzały. Zresztą, nie chcę o tym mówić. Nie chcę mówić o naszej butności, o szaleństwie i o tym, do czego ono doprowadziło. Mówiłeś mi różne rzeczy, a ja w nie wierzyłam. Nawet nie pamiętam, co ja mówiłam tobie i w co ty wierzyłeś. Za nic cię nie winię. Ale dziwnie mi się tego wszystkiego słucha, jak relacji o tym, co się robiło po pijaku.

- Nie zmieniłem się.

- Musiałeś, to niemożliwe.

- Wszystko, co mówiłem wtedy, mógłbym powtórzyć i dziś. Chcę ci powiedzieć prawdę. Ale się boję. Nie, nie lękam się obnażyć przed tobą, bo jestem pewien, iż wiesz, że cię kocham.

- Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

- Kocham cię. Wciąż cię kocham. Kocham cię.

- To są słowa, których się kurczowo trzymasz.

- Nie, to jest prawda. Jedyna prawda, jaką znam. Prawda jasna i niezmienna. Nie bój się. Nie musisz zajmować żadnego stanowiska.

- Nie o to chodzi. Po prostu wiem, że to wszystko jest niemożliwe. Zbyt wiele czasu minęło i zbyt wiele się zmieniło.

- Ja się nie zmieniłem.

- Potrzebna jest ci ta świadomość. - Położyła ręce na kolanach i zacisnęła tak mocno, że na moment odpłynęła z nich krew. - Chcesz zacząć od nowa tam, gdzie nic się przerwała. Może po to, by pozbyć się wyrzutów sumienia.

- Nie.
- Nie kochasz mnie, David. Nawet cię nie odwiedziłam w Rockville.
- Nie mogłaś.
- Ani razu do ciebie nie napisałam.
- Nie mogłaś.
- Mogłam wtedy, gdy cię wypuścili na wolność.
- To nie ma znaczenia. Tego, co było, nie można zmienić.
- Można.
- Nie można.
- A kiedy kocha się innych? Kiedy nagle okazuje się, że tym samym uczuciem można darzyć kogo innego?
- Nie kochałem nikogo.
- Ale próbowałeś.
- Nie. Nigdy. Od czasu do czasu widuję się z jedną dziewczyną, rzeźbiarką, którą poznałem u znajomych, ale nawet nie próbowałem jej pocałować.

Jade potrząsnęła głową.

- Myślę tylko o tobie - ciągnąłem. - Nie, jeszcze o sobie. O człowieku, którym się staję, będąc z tobą, o tym, jaki jestem i co czuję. Ten człowiek żyje tylko wtedy, kiedy jesteśmy razem.

Wstałem. Krew napłynęła mi do głowy niczym fala, która zalewa brzeg. Kontury zamazały się, pokój się lekko poruszył. Nie wiedziałem, po co się podniosłem. Dotknąłem koszuli, wsunąłem palce w otwór między guzikami i poczułem krople potu, które ciekły mi po klatce piersiowej.

- Znów jesteśmy razem - powiedziałem głosem, który zabrzmiał tak, jakby dochodził z drugiego końca pokoju, głosem, którego timbre, napięcie i lekko hipnotyczna monotonia docierały do mnie wyraźnie, ale jakby z oddali.

- No dobrze, przyznam ci się - oświadczyła nagle Jade. Czyżby się ze mną drażniła?

- Do czego?

- Wiedziałam, że nie zdążę na autobus. Miałam nadzieję, że mnie zatrzymasz. Na trochę.

Skinąłem głową i podszedłem do niej. Pokój był malutki. Stałem tuż przy niej, ale nadal miałem potrzebę ruchu. Cofnąłem się, znów zbliżyłem i wreszcie ukląknęłam. Kiedy tak klęczałem, zalała mnie ogromna, niespodziewana fala uczucia, które rozprzestrzeniło się niczym rozgrzany żel. Ująłem Jade za rękę.

- Mogę? - spytałem.

Spojrzała mi w oczy; wiedziałem, że analizuje swoje uczucia. Zdawała sobie sprawę, że tę absolutną, doskonałą ciszę może przerwać tylko ona, bo ja nie odezwę się pierwszy i nie będę ponaglał. Trzymałem Jade za rękę: puls uderzał tak silnie, że niemal cała dłoń jej drżała.

- Tak, możesz.

Nic nie odpowiedziałem. Na chwilę spuściłem oczy, po czym znów podniosłem głowę.

- Kocham cię.

Kiedy Jade pochyliła się do przodu, pociągnąłem ją za rękę. Zsunęła się z fotela i uklękła na podłodze, dotykając kolanami moich kolan. Objęliśmy się i nagle ogarnął mnie tak olbrzymi, niesamowity strach, jakiego w życiu nie czułem. Wstrząsnął mną jak odgłos wybuchu, po czym znikł równie niespodziewanie, jak się pojawił. Uwolniłem się od przeszłości, która odpłynęła ode mnie niczym balon z helem. Beładnie i niezdarnie niby dwoje inwalidów, którzy pospadali z łóżek, położyliśmy się na sfatygowanym dywanie w kolorze musztardy,- nie wracałem już do wspomnień, tylko rozkoszowałem się chwilą

obecną. Jak koń, który wydostał się za bramę, zaczynałem nowe życie.

- Obejmij mnie - szepnęła Jade. - Czuję się tak, jakbym miała zemdleć, a jednocześnie tak, jakbym wzięła środek pobudzający. Za dużo się dzieje naraz. Spotkanie z tobą. Pogrzeb tatusia. Boże, to ponad moje siły. Nie wiem, od czego zacząć, ale proszę cię, przytul mnie mocno. Podczas weekendu zerwałam z moją przyjaciółką Susan. Od pewnego czasu było to do przewidzenia, no i stało się w trakcie biwaku, który sobie urządziliśmy. Zostawiłam Susan w barze pod nazwą Green Mountain Cafe. Wetknęłam łyżkę w talerz ohydnej owsianki i mszyłam autostopem sto dwadzieścia kilometrów do domu. W domu zastałam wiadomość, żeby zadzwonić do mamy. Dowiedziałam się o śmierci taty, spotkałam ciebie, a teraz jestem w twoim pokoju. Nie, nie tak. Przytul mocno, tak naprawdę. - Chwyła mnie z tyłu za włosy, jakby chciała je wyjąć.

Obejmowałam ją najmocniej, jak mogłem, chociaż wydawało mi się, że zupełnie nie mam sił. Jade wygięła w łuk plecy i przywarła do mnie całym ciałem. Głowa jej leżała na ciemnej plamie zostawionej przez jakiegoś gościa. W pierwszej chwili zdziwiłem się, że zwracam uwagę na tak nieistotne drobiazgi, ale będąc z Jade, zawsze dostrzegałem rzeczy, które nas bezpośrednio nie dotyczyły - pęknięcie w ścianie czy zapach wilgotnych klonowych liści wdzierający się przez okna - a które przez sam fakt ich postrzegania stawały się częścią naszego świata. Jade funkcjonowała w podobny sposób. Nic nie było w stanie nam przeszkodzić. Byliśmy dla siebie stworzeni, dlatego zarówno moja świadomość, jak i świadomość Jade po prostu wszystko wchłaniała i wszystko mogła w sobie pomieścić.

Pogładziłem Jade po policzku i przycisnąłem usta do jej warg.

Poznałem, że od naszego rozstania całowała się wiele razy. Usta miała inne. Płaskie tam, gdzie kiedyś były wypukłe. Szerzej rozchylone, co nie wynikało z potrzeby chwili, lecz było nowo nabytym odruchem. Zastanawiałem się, czy moje usta zdradzają, ile razy, pogrążony w marzeniach, muskałem nimi własną dłoń. Nie oczekiwałem pochwał za wierność, nie liczyłem na przywileje. Nie miałem nad Jade żadnej moralnej przewagi. Po prostu nie czułem ochoty zadawać się z nikim innym, nie byłem w stanie. Może był to pewien rodzaj hysterii. Okazja do tego, aby zaspokoić jakieś ciągoty ascetyczne, wyrzec się popędu płciowego, tak istotnego w mojej miłości do Jade, poznać coś biegunowo różnego. Patrząc na to od innej strony, moje zachowanie było śmieszne. A może to sprawa charakteru, reakcja nerwowa? Może w ten sposób wymierzałem sobie karę za to, co zrobiłem? Prawie wcale się nie masturbowałem. Istny obłąd, z czego doskonale zdawałem sobie sprawę. W tym wypadku lekarze mieli zupełną rację. Doktor Clark mówił Rose i Arthurowi, że powinienem rozładować napięcie seksualne. Speszeni, nie poruszyli ze mną tego tematu. Niewtrącanie się w moje życie intymne to odruch godny pochwały, lecz wypaczony poczuciem wstydu. Doktor Ecrest zaś posunął się tak daleko, iż zagroził, że przestanie mnie leczyć, jeśli nie zacznę się masturbować. Tego było już za wiele! „Zaraz, nie wiem, czy to dobrze zrozumiałem. Jeśli przestanie mnie pan leczyć, będę odesłany do Rock-ville. Innymi słowy, grozi mi pan, że jeśli nie zacznę trzepać konia, każe mnie pan z powrotem zamknąć. Zgadza się?” - Gromadziłem spernę, tak jak więzień gromadzi kawałki materiałów - strzępy prześcieradła, kołnierzyki od koszul,

mankiety - żeby któregoś dnia związać je w długi sznur i spuścić się po niestrzeżonym murze.

Nagle Jade zeszywniała. Wyprostowała plecy, a wtedy wytworzył się między nami odstęp. Przekręciła się na wznak i skupiona niczym dziecko, które w sunących po niebie chmurach obserwuje swoje życie, utkwiała wzrok w suficie.

- Czuję się zniewolona.

- Przeze mnie.

- Tak. Ale nie tylko. Również przez innych. Nauczyłam się o sobie jednej rzeczy: że nie umiem opierać się naciskom, poddaję się, ulegam. To źle.

- Bo ja wiem?

- Oj, źle.

Poderwała się na nogi. Leżałem bez ruchu, spoglądając do góry. Nagle zrobiło mi się wesoło. Po jakie licho leżeliśmy na podłodze? Zupełnie bez sensu - ten brak rozwagi dodał mi otuchy. Pewna doza bezmyślności była konieczna, jeśli mieliśmy się znów zejść.

Jade otworzyła torbę podróżną i wyjęła małą brązową kopertę, w jakiej banki wydają drobne, kiedy realizuje się czek. Oparłem się na łokciu, po czym wstałem. Naciskając krawędzie koperty, Jade otworzyła ją szeroko i zajrzała do środka.

- Spójrz - rzekła, pokazując mi zawartość. - Tyle zostało.

W środku znajdowało się trochę prochów Hug: chropowate grudki przypominające drobno pokruszone łupiny od orzeszków ziemnych. Nie całkiem czarne. Gdzieniedzie srebrzystobiałe.

- Każdy trochę wziął - powiedziała. - Jak kawałek weselnego tortu. Umówiliśmy się, że rozsypimy te garstki prochów w miejscach, które tata kochał. Ja mam rozsypać

moją część w Green Mountains, chociaż tatuś nigdy tam nie był. Ale kochał góry, zwłaszcza Alpy. Ingrid ma rozsypać swoją część w New Jersey, a odrobinę chce umieścić w skórzanej sakiewce i powiesić w swojej furgonetce. Keith zawozi swoją część do Cambridge, wuj Robert zaś, który dostał najwięcej, zabiera z sobą na Południe. Czy to nie kretyńskie?

- Nie. Tak się robi.

Obserwowała mnie, gdy przypatrywałem się prochom, a kiedy odwróciłem wzrok, puściła brzegi koperty i odłożyła ją na bok.

- Wszystko dzieje się naraz. Zerwanie długiej przyjaźni z Susan. Spotkanie z rodziną. Wiesz, normalne spotkanie bez żadnej okazji wymaga sporo wysiłku. Z każdym z nich ciężko się rozmawia. Z całą gromadą to istna mordęga. Naprawdę. Kosztuje mnie to dużo nerwów. O wszystko muszę walczyć. Nie potrafię się przy nich wyzwolić z przeszłości. A to potwornie męczy. Nawet śmierć nie łagodzi rodzinnych zatargów. Wręcz przeciwnie, wzmaga je - ludzie stają się złośliwi, miotają się jak kura z obciętą głową. A teraz ty. I to akurat w takim momencie. Kiedy z niczym nie mogę sobie poradzić. Wszystko dzieje się nie wtedy, gdy trzeba, zwłaszcza spotkanie z tobą powinno wypaść kiedy indziej.

- Nie musimy się śpieszyć. Wiem, czego pragnę: być blisko ciebie, ale wiem również, że to nie takie proste. Zachowuję się tak, jakbym sobie z niczego nie zdawał sprawy, jakbym myślał tylko o sobie, lecz to nieprawda.

- Wiem, że nie próbujesz mnie do niczego zmuszać. Zresztą nawet nie byłbyś w stanie. Rozumiesz? Jestem taka wyczerpana. Czuję, jak wszystko we mnie powoli zasypia. Zadzwoń na dworzec autobusowy i usłyszę, że

następny autobus do Vermontu odchodzi o siódmej rano. A potem będę chciała położyć się spać. I zaczniemy się kłócić, kto ma spać na fotelu, a kto na podłodze. Nic z tego jednak nie wyjdzie. Bo zaśniemy razem na łóżku, ale to wszystko jest bez sensu. Jeśli mamy od nowa budować przyjaźń, czy dzisiejsze spotkanie temu nie zaszkodzi? Głupio zrobiłam, zostając. Trzeba było się umówić na kiedy indziej.

- Będę spał na podłodze - rzekłem. - I tak często to robię.

- Dlaczego?

- Bo czasami nie mogę wytrzymać w łóżku.

- Jestem strasznie śpiąca. - Zamknęła kopertę z prochami Hugh i zniecierpliwionym ruchem wsunęła ją do torby, tak jakby to był rachunek, którego nie zamierzała zapłacić, lecz nie miała odwagi wyrzucić. W ten sam sposób podchodziła w szkole do testów - które ledwo zdawała - polegających na wybraniu jednej prawidłowej odpowiedzi z kilku podanych możliwości: Jade posiadała umiejętność zbierania oraz przekazywania informacji, nie umiała zaś wypełniać pustych rubryk. Miała bystry umysł potrafiący kojarzyć i przetwarzać, brakowało jej jednak rzetelnej wiedzy. Przechowywała papiery egzaminacyjne, żeby analizować swoje błędy,- wpinała je do skoroszytu, który trzymała w małym żółtym biurku na dolnej półce. Zbierała wszystko, co tylko mogło się jej przydać w zawiłym procesie samokształcenia. Podręcznik Evelyn Wood do nauki szybkiego czytania. Artykuły wycięte żyletką z czasopism naukowych. Książka *Dwadzieścia pięć sposobów rozwijania pamięci*. Gałązki i liście zbierane podczas spacerów i chowane do puszki od cygar, których nazwy zamierzała kiedyś posprawdzać. Kolekcja zdjęć, zużytych

biletów, pudełek z zapalkami, jadłospisów, skrawki papieru ze słowami hasłami typu „skradziony rower Sama”, „badanie piersi”, „spacer w deszczu” - wszystko to było wepchnięte do torby od Woolwortha, w której nosiła swój pamiętnik; miała nadzieję, że kiedyś pobudzą jej pamięć i pomogą zapisać jego puste, podłużne strony. Jej wielką ambicją było zbudowanie intelektualnego pomostu między światem intuicji i uczuć a światem konkretnych, dających się sprawdzić faktów. Pragnęła upodobnić się nieco do Keitha, który bez wahania potrafił uzasadnić każdy swój czyn. Mogła żyć aż do śmierci w bogatym, choć mglistym świecie instynktów i zmysłów, ale koniecznie chciała nauczyć się logicznego rozumowania. Drażniło ją, że ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jak złożony i bogaty ma umysł.

Studiowała teraz na ostatnim roku, i to na dobrej uczelni. Musiała poznać różne sztuczki pamięciowe, nauczyć się konkretyzować myśli, systematyzować je. Musiała odkryć metodę, jak najlepiej sprzedać swoje wiadomości, jak zdać egzamin.

Zamknęła torbę na suwak i przewiesiła ją przez ramię. Wpadłem w panikę, która rozbudziła drzemiące we mnie prostackie instynkty: miałem ochotę rzucić się do drzwi, zagrozić sobą wyjście. Jade jednak odwróciła się tyłem do mnie, tyłem do drzwi na korytarz, twarzą do łazienki.

- Pójdę się tam przebrać.

- Dobrze. Doskonale. - Staralem się powiedzieć to beztrąsko, ale chyba mi się nie udało.

Podrzuciła torbę, jakby po jej ciężarze mogła poznać, czy wszystko jest na miejscu.

- Nie chcesz pierwszy skorzystać z łazienki?

- Nie. Ty idź pierwsza.

Wzruszyła ramionami, jakbym zlekceważył świetną, fachową radę, którą mi dała. - Dobra, ale uprzedzam, że to trochę potrwa.

Ciało miałem tak napięte, że kręgosłupem prawie wcale nie dotykałem podłogi. Leżałem na dywanie, w bieliźnie, przykryty cienkim, jasnobrązowym kocem, z wałkiem z fotela wsuniętym pod głowę. Poduszki zostawiłem na łóżku, żeby Jade było wygodniej. Gdy nocowałem u niej, potrzebowaliśmy trzech poduszek: tą trzecią Jade - odwrócona do mnie plecami i odcięta od świata niczym ostryga w swojej skorupie - tuliła do siebie, kiedy zapadała w głęboki sen. Czasami tuliła ją do swoich drobnych piersi, na ogół jednak poduszka lądowała jej między nogami. Musieliśmy jej bardzo pilnować, albowiem co msz chłopcy zabierali ją do swoich twardych, klasztornych łóżek, jakby chcieli nas czegoś pozbawić, ukraść nam nasz talizman. Czarne od węgla ręce wsuwają się między żelazne pręty ogradzające ogród bogacza i zrywają irysy. „Kupiłam tę poduszkę za własne pieniądze!” - wołała Jade bliska płaczu i ubrana w szlafrok, trochę zbyt niedbale przewiązany w pasie, robiła w domu poszukiwania. Już wówczas zdawałem sobie sprawę, że zachowanie Jade często cechuje kokieteryjna arogancja, ale to mi absolutnie nie przeszkadzało, zresztą sam przyczyniłem się do tego, wprowadzając ją do krainy szczęścia. Dzięki mnie jej nieokreślona pozycja w rodzinie uległa zmianie: Jade stała się pewna siebie i nieobliczalna.

Kiedy Jade usiadła na łóżku, od razu zauważyła dwie poduszki. Widziałem, że nie umknęło to jej uwadze. Na wszelkie nowe szczegóły zawsze reagowała w bardzo

widoczny sposób - skinieniem, zmrużeniem oczu, nieznacznym ruchem ciała. Nagle przyszło mi na myśl, że może źle odczytała moje intencje. Może uznała, iż zostawiłem jej obie poduszki, bo prędzej czy później zamierzam wkraść się do łóżka.

Odkryłem róg koca i wygładziłem brzegi prześcieradła tak, żeby łóżko wyglądało na świeżo zasłane. Obok na stoliku stała lampa z niewielkim abażurem o herbacianej barwie. Jej wyłącznik przypominał stary klucz do wiejskiej gospody.

Kiedy Jade wyszła z łazienki, ubrana była w jasnozielony szlafrok w kolorze swoich oczu. Minęła mnie szybkim krokiem, nie zatrzymując się, jakby miała do pokonania sporą odległość. Leżałem z rękami pod głową i napinałem mięśnie, żeby wyglądały okazale. Staralem się nie wodzić za nią oczami zbyt ostentacyjnie. Dostrzegłem jednak, że nogi ma w oplakany stan: traktory, buty narciarskie do biegów przełajowych i tanie tenisówki zmaltretowały jej stopy, które były czerwone, rozplaszczone, pokryte odciskami.

Kiedy wsunęła się pod koc, uświadomiłem sobie, że leżę jak pies przy łóżku swojego pana, specjalnie jednak wybrałem taką pozycję, aby mieć idealny widok na jej twarz. Mogłem obserwować Jade, dopóki leżała tak jak teraz - na boku, przodem do stolika z lampą.

Wetknęła róg poduszki między materac a wezglowie łóżka. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Następnie wyłączyła lampę. Nie pogrążyliśmy się w nieprzejrzanym ciemnościach, raczej w półmroku. Pokój oświetlony był przez latarnie i neony uliczne, przez ich blask rozproszony wszędzie dookoła oraz przez moje pragnienie, aby widzieć Jade. Zdjęła szlafrok. Pod spodem miała piżamę, oriental-

ną w kroju, która w tym słabym świetle sprawiała wrażenie lśniącej i mokrej. Rozbieranie się w łóżku pod osłoną mroku podyktowane było nieśmiałością, całkiem zresztą niepotrzebną, która jednak świadczyła o tym, iż Jade ma głęboką świadomość mojej obecności.

Zrzuciła szlafrok na podłogę, a mnie od nadziei aż zakręciło się w głowie.

- Dobranoc - rzekła po chwili.

Nie chciałem mówić „dobranoc”; słowo to było jak kurtyna zaciągana na koniec przedstawienia.

- Śpij głęboko. - To, co powiedziałem, zdziwiło mnie i zaskoczyło. Śpij głęboko? Niby logiczny zwrot, lecz jakoś mi obcy. Zawierający, co mi dopiero teraz przyszło na myśl, pewien jakby erotyczny podtekst. Śpij głęboko, to będę cię mógł rozebrać i nawet się nie zorientujesz.

Czułem, że Jade duma, zastanawia się, co jeszcze powiedzieć. Wydawało mi się, że otwiera usta i porusza się, jakby chciała coś dodać. Lecz nagle, nieoczekiwanie, świadomość ją opuściła niczym kot, który opuszcza oknem mieszkanie. Zasnęła. Klimatyzacja szumiała głośno, zagłuszając jej oddech. Rozluźniłem mięśnie, dotykając kręgosłupem podłogi, i ogarnęła mnie głęboka, ponura beznadziejność. Jade odeszła bez żadnego uprzedzenia, a ja chciałem dogonić ją we śnie. Jednakże sen nie był mi dany i musiałem wybrać, jaki rodzaj bezsenności wolę: czy leżeć bezmyślnie, półprzytomnie, na pograniczu snu, czy też czuwać na jawie. Mogłem rozbudzić się do końca i wykorzystać ten czas na rozmyślania albo balansować na pograniczu snu w nadziei, iż może przypadkiem uda mi się zasnąć.

Myśli szalały mi po głowie. Czułem się, jakbym żył w czasach przed wynalezieniem języka. Ogarniały mnie różne doznania, których nie umiałem nazwać, a nienazwane nie

dawały się złagodzić czy opanować. Występowały w postaci kolorów, skurczów, niezrozumiałych głosów - gdybym żył przed wiekami, byłbym pewien, iż jestem opętany przez złe moce, - starałbym się zrozumieć polecenia wydane mi przez wzburzoną krew, tak jak dawni wojownicy wsłuchiwali się w rozkazy spienionych wód rzek.

Usiadłem, obejmując rękami kolana. Z trudem wciągnąłem w płuca powietrze, zupełnie jakby wycięto mi stary przewód oddechowy, a na jego miejsce zamontowano lśniąca aluminiową rurkę, doskonale działającą, lecz trochę za wąską. Kiedy udało mi się pokonać chaos w mózgu, zacząłem się nad sobą roztkliwiać. Wreszcie, gdy po tylu latach niewidzenia spotykamy się, ona leży na łóżku, a ja siedzę na podłodze! Przestraszyłem się, że ta noc - a świt nadciągał już znad Atlantyku - może być moją ostatnią szansą, że może już nigdy się nie zobaczymy. Może źle zagrałem. Może powinienem był okazać inicjatywę, a na to wcześniej nie wpadłem. Uczynić zdecydowany krok. Obmyślić plan działania. Flirtować, oskarżać, popisywać się dowcipem. Wygłosić opinię na temat śmierci. Rola smętnego tenora, który stoi na ciemnej, pustej scenie, rozdzierając na piersi swój antyczny, brokatowy kostium, najmniej mi odpowiadała.

Chciałem wstać, podejść do łóżka i spojrzeć na twarz śpiącej Jade. A jeśli się obudzi? Czy krzyknie przerażona? A może chwyci mnie za rękę i przyciągnie do siebie?

Czułem wielkie, gorączkowe pożądanie. Wiedziałem, że muszę uważać, hamować odruchy, abym im nie uległ.

Ludzie naśmiewają się z katolików, że spowiadają się z nieczystych myśli, ale w tym momencie sam chętnie wypowiadałbym się ze swoich - tak zdrożnych i lubieżnych. Pomogłoby mi, gdybym zaszufładował je jako

grzech, zwierzył się z nich spowiednikowi i uzyskał rozgrzeszenie.

Ale nie miałem spowiednika. Moje życie duchowe polegało na czczeniu tych uczuć, które teraz mną targają, które ciążyły mi niczym ciało, kiedy wzmaga się gorączka.

Spowiedź. Słowo to wtargnęło do mojej świadomości niczym widmo czy potwór i wszystkie inne myśli cofnęły się lękliwie. Powoli to dziwne, obce słowo obnażało się przede mną, wyzbywając się licznych warstw znaczeń i skojarzeń, tych stęchłych okryć, które czyniły zeń ideę, odruch, obowiązek. Im więcej zrzucało z siebie znanych mi powszechnie znaczeń, tym większe i jaśniejsze stawało się w mojej świadomości. Czułem się tak, jakby kazano robić mi coś, do czego nie wiadomo jak się zabrać. Nie umiałem powiedzieć, czy chęć podporządkowania się ślepemu obrządkowi spowiedzi świadczyła o tym, iż nagle coś się we mnie odmieniło i pragnę być innym człowiekiem, czy też oznaczała coś o wiele mniej doniosłego - potrzebę uwolnienia się od silnej presji moralnej, wydzwignięcia się słowami spod głazu, który spoczywał mi na piersi. Spowiedź jako negocjacja; spowiedź jako akt dobrej woli. Nawet komuniści to praktykowali - pod nazwą samokrytyki. Dyskutowali nad błędami, obiecywali poprawę. Towarzysze patrzyli krzywo na winowajcę, ale w końcu mu przebaczali - chyba że ktoś tak narozrabiał, iż trzeba go było wykluczyć z partii. Ojciec mówił, że nigdy nie był zmuszony do złożenia samokrytyki, co nie znaczy, iż za plecami nie wytykano mu jego niedociągnięć ideologicznych. Rose zaś strzegła ortodoksyjności swoich przekonań niczym wartownik; doszło do tego, że jej dokładna, szczegółowa samokrytyka stała się nieodzowną częścią każdego zebrania i była traktowana z przymrużeniem oka. (Kiedyś wyznała, że jest rasistką,

i na dowód opowiedziała, jak niedawno ustąpiła miejsca w autobusie młodszej od siebie Murzynce).

Dlaczego ojciec wspominał mi o tym, że matka tak namiętnie poddaje się samokrytyce? Czy chciał mnie ostrzec, abym nie dał się nabrać na jej hardość i stanowczość? Żebym pamiętał, że za jej drobną, nieruchomą twarzą o głębokich, upartych zmarszczkach i zboląłym spojrzeniu kryje się osoba pełna wątpliwości, która bez przerwy się ocenia? Osoba, która jest krytykiem innych, lecz największym krytykiem samej siebie? A może ojciec chciał mi pokazać ją w ironicznym świetle? Może bawił się, wymyślając matce różne oblicza, tak jak dziecko, które ogląda kolorową telewizję, po pewnym czasie zaczyna bawić się gałkami, barwiąc aktorom twarze na cynobrowo, niebiesko, pomarańczowo?

Jeśli odpada ksiądz i cały obrządek spowiedzi, to zostaje mi tylko ojciec - ale jakiego rozgrzeszenia mógłbym oczekiwać od tego krzepkiego, z natury dobrego człowieka? Rozmowa z ojcem byłaby jak skok na ogromny wór owsa - ani bolesna, ani przyjemna. Arthur widział świat na dwa sposoby, czasem był to wspaniały, kosmiczny cud, niekiedy zaś coś zimnego i pustego: żyliśmy więc albo w ciepłej kieszeni wszechświata, który miłował nas bez zastrzeżeń, albo byliśmy cząstkami białka i wody, które bulgoczą przez ułamek sekundy w dużej, zaokrąglonej zlewce czasu. Tak czy owak, osąd był niemożliwy. Butterfieldowie oceniali człowieka na podstawie jego zachowania, Arthur zaś ślepo i beztrosko akceptował wszystkich. Wierzył, że przeznaczony jest mi los romantyka, człowieka z zasadami, i nie kłopotał się gromadzeniem na to dowodów.

Dzielny chłopak! Dobry syn! Co za radość! Co pewien czas przyglądał mi się, sprawdzając, czy zaczynam się do

niego upodabniać. Nie byliśmy do siebie podobni, ale ponieważ nie byłem również podobny do Rose, ojciec nie miał powodów do zazdrości. „Wygląda jak Rosjanin - mawiał o mnie. - Jak rosyjski arystokrata”. Koniec końców dobrze się stało, że różniłem się od rodziców. Arthur nie chciał wyjawić mi swoich lęków, że jest w życiu nikim, a ukrywając to, ukrywał również swoje chwile chwały: pieczenie w gardle, gdy stał przed nachmurzoną ławą przysięgłych, łyż na wieść o straceniu Rosenbergów, przegrywanie w pokera z nowymi przyjaciółmi w wojsku, ponieważ wiedział, że nie czeka ich w życiu nic lepszego od pracy fizycznej. Uważał się za miernotę, za prostaka; nie zdawał sobie sprawy z uczuć, kiedy w nim kielkowały, a potem nie mógł udźwignąć ich ciężaru. Pragnął, abym go nie znał. Chciał być kimś, na kim mogę polegać, oprzeć się, kimś, kto mnie uczy języka i podstawowych zasad życia, pojęcia sprawiedliwości, konieczności współczucia. Ale nie wolno mi było go znać; chował przede mną swoją duszę, jakby była zarazą, wmawiając w siebie, że jest kogutem, na którego spadł obowiązek nauczania jastrzębia tajników fruwania.

Chciał przekazać mi pochodnię, pochodnię przygód i beztroski, której sam nie potrafił rozpaścić. A gdy już płonęła, nieśmiało mi ją odebrał. Chwalił się nią - niczym upierzeniem godowym - przed Barbarą Sherwood, wymachiwał przed Rose, oskarżając żonę, iż się jej boi. I jakże miałem mu się spowiadać? Jego ślepa miłość została odwrócona: w tym stosunkowo późnym stadium wreszcie uznał, iż jesteśmy - on i ja - ludźmi tego samego pokroju, a ponieważ nigdy, a już zwłaszcza teraz, nie potrafił ocenić siebie, najwyżej mógłbym usłyszeć bardzo subiektywną, pełną aprobaty opinię. Teraz, gdy - jego zdaniem - złączyliśmy się w jedną osobę, a tą osobą był człowiek, którym zawsze

pragnął być, miałem u niego czyste konto moralne - mogłem sobie pozwolić na wszystko.

Ktoś naciskał na klakson - który wygrywał dziwną melodyjkę: bip-bip-bip - tak jakby to nie była Trzydziesta Czwarta Ulica w Nowym Jorku, lecz nieduża aleja w małym miasteczku w środkowozachodnich stanach: miejscowa młodzież wyrusza w letnią, gwiaździstą noc na piwo, zatrzymując się po drodze, by zabrać kumpla z klasy. Hej, Eddiii!

- David? - szepnęła Jade. Głos miała spokojny, choć nieco ochryply od snu.

Mruknąłem coś pod nosem.

- Nie możesz zasnąć? - spytała. Wyprostowała nogi i napinając palce, przesunęła je bliżej krawędzi. Bardziej słyszałem, niż widziałem jej ruchy. Następnie jęknęła cichutko, usiłując otrząsnąć się ze snu. Usiadłem i spojrzałem na łóżko. Leżała z głową na poduszce, a ponieważ opierała brodę o klatkę piersiową, na szyi zrobiła się jej fałda, która jednak bardziej przypominała podbródek niemowlaka niż starcze wole. Powieki jej zatrzepotały i zamknęły się, jakby Jade znów widziała przed oczami tylko to, co podsuwała jej wyobraźnia. Po chwili je otworzyła i popatrzyła na mnie.

- Nawet nie próbuję - rzekłem.

- Pewnie ci twardo?

Już chciałem zaprzeczyć, ale ugryzłem się w język, nagle zdając sobie sprawę, że Jade oczekuje innej odpowiedzi.

- Można się przyzwyczaić - odparłem uprzejmie, choć niezbyt przekonująco. Nieśmiała kokieteria, ale chyba zrozumiała. Sztywny ukłon, a po nim szaleńcze, huczne tańce do białego rana.

- To kretyńskie, że leżysz na podłodze. - Szyja jej nabrzmiała, dolna warga rozciągnęła się: Jade starała się

przełknąć ziewnięcie, nie chcąc, aby ni się domyślił, że nadal nie wyrwała się z objęć snu.

- Dżentelmen nigdy nie narzeka.

- No cóż. - Urwała. Nie byłaby w stanie wywołać ciszy tak pełnej napięcia, nawet gdyby ćwiczyła to całymi latami przed lustrem albo spacerując samotnie po lesie. - Wskakuj koło mnie - rzekła wreszcie. Gwara obozowa. Starsza siostra chce pocieszyć biednego malca, któremu przyśnił się koszmarny sen.

Jesteś pewna? - chciałem spytać, ale wiedziałem, że to zabrzmie fałszywie.

- Chętnie - odparłem, wstając z podłogi. Przez pokój nie wiadomo skąd przeleciał lekki powiew wiatru, zaledwie podmuch. Miałem erekcję - mój członek był chyba najtwardszą częścią mojego ciała, twardszą od zębów czy czaszki. Sam czubek wystawał przez rozporek kalesonów i wyglądał tak niezdarnie, śmiesznie i bojaźliwie jak maszynista teatralny, którego niechcący odsłoniła kurtyna.

Jade rzuciła na drugą stronę łóżka poduszkę, tę, którą tuliła do siebie i która przeszła zapachem jej ciała. Górę od pizamy miała rozpiętą; gdybym chciał, mógłbym jak Stu Neihardt zajrzeć w dekolt i zobaczyć piersi Jade. Ostrożnie wsunąłem się do łóżka. Jade leżała przy samej krawędzi. Ułożyłem się na wznak, tuż przy drugiej krawędzi. Wpatrzony w sufit mrugałem często oczami, żeby zwrócić Jade uwagę na to, iż jestem w pełni obudzony. Leżała na boku, plecami do mnie, obejmując poduszkę; lewą nogę miała prosto wyciągniętą, prawą zgiętą w kolanie. Była przykryta prześcieradłem po same ramiona, kocem zaś tylko do bioder.

- I znowu w jednym łóżku - oświadczyła z pewnym rozbawieniem. Skonfundowało mnie to, obudziło moją

czujność. Wolałem nie odpowiadać. - Wydało mi się to takie głupie, żebyś spał na podłodze - dodała po chwili.

Leżeliśmy w milczeniu, nie ulegało jednak wątpliwości, że nasze ciała prowadzą ze sobą ożywioną rozmowę i że w pewnym sensie jakby się już kochają. Słuchałem oddechów Jade, czułem każde najmniejsze jej drgnienie.

Chciałem całkowicie opróżnić umysł, żeby móc zgłębić jej myśli: nie bardzo wierzyłem w hipnozę czy telepatię, ale pragnąłem być gotów, gdyby jednak zdecydowała się przesłać mi jakąś wiadomość. W skrytości ducha wyobrażałem sobie, że rozszyfruję niemą prośbę, która jest wyraźnie zachęcająca, wyobrażałem sobie, że w ciszy mojego umysłu rozlegają się słowa: „David, przytul mnie!”. Nic takiego nie słyszałem; widać nie jest to takie proste. W każdym razie uciszyłem w sobie ciągnącą się bez końca, nerwową paplaninę. Minęły pierwsze emocje wywołane bliskością Jade. Słuchałem, jak jej płuca napełniają się powietrzem, wyobrażałem sobie, jak tlen napiera na mokre, różowe ścianki, po czym niby akrobata wykonuje zgrabne salto i ucieka nosem i ustami. Ostrożnie dotknąłem penisa. Miałem wrażenie, że moje ciało stanowi przedłużenie członka, a włókna nerwowe biegną mi przez uda i łydki aż do stóp; czułem je w brzuchu, w gardle. Mucha leniwie objęła się albo o roletę, albo o abażur. Jade nieznacznie się poruszyła. Potarła nogą o prześcieradło - czyżby ze zdenerwowania? A może zaswędziała ją stopa? Był to dowód, że nie śpi, tak jak moje mruganie oczami.

Przekręciłem się na bok i leżałem teraz twarzą do pleców Jade, obserwując kosmyki jej włosów, które zachodziły na atłasowy kołnierzyk piżamy, oraz jej ciało, które z bliska i w ciemności wyglądało dość masywnie.

Koncentrując się ze wszystkich sił, wpatrywałem się w jej głowę. To taka sztuczka jeszcze ze szkoły: nakłania się wzrokiem osobę obserwowaną do zrobienia czegoś. Pamiętam, jak wbijałem wzrok w uszy Arleny Davenport, żeby oblała się rumieńcem, jak wpatrywałem się w czarne, jedwabiste włosy Iry Millmana, żeby podrapał się w głowę. Sztuczka na ogół skutkowałą.

- Cholera, ale żar - mruknęła pod nosem Jade. Mówiła do siebie? Nie byłem pewien. Poruszyła się pod przykryciem i wyciągnęła dłoń, jakby chciała zrzucić z siebie koc. Ale nie zrzuciła. - Jak w sierpniu - dodała.

Żar. Czy chodziło jej o to, że przysunąłem się zbyt blisko? Czy czuła żar krwi pulsującej w moich żyłach?

Pomyślałem o krwi Jade i nagle, trawiony namiętnością, a zarazem zupełnie wyczerpany, zapragnąłem się w nią zamienić, przeistoczyć się w ten płyn, który bez ustanku krąży po jej ciele, docierając do każdego zakamarka.

Krew menstruacyjna.

Sznurek od tamponu zwinięty we włosach łonowych.

Pochwa. Wargi, które reagują na mój dotyk, otwierają się, robią wilgotne. Pragnąłem zajrzeć w jej ciało. Wejść w nie. Połączyć się w jedno.

Śniade znamię po wewnętrznej stronie uda.

Obsypuję pocałunkami brzuch, przykładam usta do pępka, wsuwam język do jego pomarszczonego wnętrza, czuję, jak otaczające go delikatne włoski unoszą się z podniecenia.

Ręka Jade na mojej głowie. Spycha mnie niżej. Łagodnie. Niżej, tak, och, trochę niżej.

Jade przekręciła się na wznak. Nogi miała zgięte w kolanach, stopy oparte o materac, ręce pod prześcieradłem, spoczywające na brzuchu. Spojrzała na mnie kątem oka.

- O czym myślisz? - spytała.

Przecież nienawidziła tego pytania. Uważała, że dzieli ludzi, że utrudnia mówienie prawdy, że stanowi pogwałcenie życia wewnętrznego oraz intymnego.

Zmieniła się.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem.

Potrząsnęła głową i westchnęła.

- Głupie pytanie. Przepraszam.

Na chwilę odwróciła twarz, po czym znów utkwiała wzrok w suficie.

Obserwowałem jej profil. Wąski nos („Żydówki nie cierpią mnie z powodu tego nosa”). Głęboki dołek w brodzie. Duże, wypukłe czoło, które zawsze wyglądało bardzo krucho, jakby było z barwionego szkła.

- Sama nie wiem, David - szepnęła, a ten niespodziewany szept podziałał tak, jakby nagle wciągnęła mnie do alkowy. - Ale może jedno z nas powinno spać na podłodze.

Wysunąłem rękę i dotknąłem jej ramienia. Jade zupełnie nie zareagowała, toteż kompletnie zmieszany, już miałem cofnąć dłoń, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem.

Przekręciła głowę. Leżeliśmy twarzą w twarz.

- To takie dziwne, prawda? - powiedziała. Skinąłem głową, ale nie tak, jakbym przyznawał jej

rację. Moje skinienie oznaczało, że ją słyszę. Oznaczało tak, tak i jeszcze raz tak. Pełne upojenia tak.

Ponownie zaległa cisza. Chwile milczenia były teraz dłuższe, wymowniejsze, bardziej swobodne: przestały ciążyć. Czulem, jak w tej ciszy Jade do mnie podpływa. Nagle po latach znów osiągnęliśmy etap, kiedy brak wysiłku nas do siebie zbliża.

Mój dotyk stał się bardziej natarczywy. Nie zmieniłem pozycji, ale na myśl o tym, że leżę tak blisko Jade, mimowolnie zacisnąłem mocniej palce.

- Chciałam, żebyś mnie dotknął - rzekła, powstrzymując odruch, żeby odwrócić się ode mnie.

- Nie byłem pewien - odparłem. Zdziwił mnie własny głos: drżący, chrapliwy, jakby wydobywał się ze spuchniętego gardła.

- Ale lepiej się odsuń. Jestem taka niespokojna. Spragniona. To straszne. Człowiek tak bardzo uzależnia się od seksu. Czekają na orgazm, na to cholerne rozładowanie. A wtedy, David, byle kto wystarcza. Byłoby to bardzo niesprawiedliwe wobec ciebie. - Mówiąc to wysunęła spod prześcieradła rękę i położyła mi ją na piersi. Na pewno musiała słyszeć łomot mojego serca i zaintrygowana przyłożyła dłoń. A może chciała je uciszyć?

Gdzieś w głębi wiedziałem, że słowa Jade, iż byle kto wystarczy, mogą mnie zboleć. Może nawet taki był ich cel. Jednakże nie czułem się dotknięty. Sens jej słów nie był istotny. Ot, kwestia frazeologii. Jakże go porównać z ciepłem bijącym z małej, miękkiej ręki, która spoczywała na mojej piersi?

Zginałem i prostowałem palce, przesuwałem dłoń po ramieniu Jade. Kiedy dotarłem do obojczyka, ręka leżąca na mojej piersi zeszywniała, lecz po chwili znów się rozluźniła.

Jedno z nas poruszyło nogą. Przez moment czułem chłodny dotyk atlasowej piżamy.

Przysunąłem się bliżej. Trzymałem ręce na ramionach Jade, jakbym za chwilę miał ją do siebie przytulić.

Zbliżyła twarz. Niewyraźny kształt poruszany cichym oddechem.

Jej kolano dotknęło mojego. Cofnęło się. Znow się przysunęło.

Po chwili Jade podniosła rękę z mojej piersi i położyła mi ją na policzku. W jej dotyku był smutek. Zwiastun pożegnania. Chwyciłem ją mocniej, przytrzymałem. Stykaliśmy się czołami, nosami. Nasze usta były tuż obok siebie, lecz nie przywierały w pocałunku.

A potem pocałunek: lekki, nieśmiały, krótki. Byliśmy jak ktoś, kto przed wejściem do morza najpierw sprawdza stopą temperaturę wody. Odsunęliśmy się. Prawie nic nie było widać, co nam chyba nawet odpowiadało. Leżąc tak blisko siebie, zasłanialiśmy sobą rozproszone światło i dobrowolnie poddawaliśmy się ślepecie. Widzieliśmy już tyle, że teraz ciemność nam nie przeszkadzała. Niczym pielgrzymi, którzy muszą przebyć niezliczoną ilość pokoi i wyjść zwycięsko z przedziwnych prób, wkroczyliśmy do komnaty, w której rządziła dzika, cielesna żądza, a prawda zepchnięta była na dalszy, mniej ważny plan. Zaczęliśmy się całować. Wargi mieliśmy gorące, śliskie; zęby nam dzwoniły. Sięgnąłem ręką do kalesonów, żeby je zsunąć, ale powstrzymałem się; objąłem Jade i przywarłem do niej z całej siły.

- David, David - powtarzała, jakby to było zaklęcie. Przekonywała siebie, że to naprawdę ja, i starała się zaakceptować ten fakt.

Westchnienie. Moje czy jej? Nuta zniecierpliwienia wskazywała na Jade. Pragnęła, żeby to, co ma się stać, wreszcie się zaczęło.

- Tak bardzo cię chciałem - rzekłem. - Przez cały ten czas.

- Chyba już nie zasnę.

- To nieważne. - Wciąż tuliłem ją mocno i patrzyłem na nierówną szarość za oknem. Jade jęknęła cicho.

- Chcę się z tobą kochać - szepnęła.

Zwolniłem uścisk. Chciałem spojrzeć jej w twarz, ale Jade nadal była we mnie ciasno wtulona.

- Nie - oświadczyła po chwili. - To nieprawda. Nie możemy się kochać i wcale mi o to nie chodzi. Chcę mieć orgazm. Chcę, żeby było mi dobrze...

Wepchnąłem nogę pomiędzy jej uda.

- Pomożesz mi? - spytała szeptem. - Tak jak dawniej? Najpierw ja, potem ty. Możemy w ten sposób. - Zsunęła się nieco w dół, tak żeby moje kolano znalazło się na odpowiedniej wysokości. Poruszała się rytmicznie, z początku nieśmiało, po chwili już pewniej, bardziej zdecydowanie. - Chcę mieć orgazm. Pomóż mi. Błagam.

W jej głosie było coś dzikiego i okrutnego, jak w głosie zbiegłego więźnia proszącego o wodę.

Wsunąłem nogę głębiej, wyżej: Jade lekko drgnęła, po czym zaczęła silnie na nią napierać. Jej gardłowe sapanie przypominało toczenie się piłki po schodach.

Jednym ruchem zrzuciłem z nas prześcieradło i koc. Pościel zawisła na krawędzi łóżka, a po chwili opadła na podłogę. Jade miała stopy wygięte niczym baletnica, palce u nóg proste. Wsunąłem rękę pod pizamę i położyłem na piersi. Skóra wokół sutków była pomarszczona jak skóra na palcach, które długo moczyły się w ciepłej wodzie. Piersi nadal były dziewczęce, choć sutki wyraźnie większe. Kiedyś Jade straszliwie się wstydziła swojego biustu: wielokrotnie zwiedzałem palcami jej pochwę, zanim wreszcie pozwoliła mi spojrzeć na nagie piersi, dotąd skrzętnie skrywane pod wypchanym gąbką stanikiem. „Jak ukąszenie pszczoły, prawda?” - powiedziała i zasłoniła je rękami. Teraz nie miała tego typu zahamowań; gdy je pieściłem, prężyła się, odginając plecy do tyłu.

Górze od pizamy miała rozpiętą, poły odrzucone na boki. Leżała na plecach, ja zaś nad nią, wsparty na łokciu. Gładząc Jade po brzuchu, wsunąłem rękę pod gumkę spodni od pizamy. Serce waliło mi jak młotem, w gardle miałem całkiem sucho.

- Uprzedzałam cię - rzekła, gdy trafiłem na majtki przytrzymujące ogromną podpaskę higieniczną.

Zmieszany, zaskoczony, cofnąłem dłoń. Po chwili jednak znów ją wsunąłem, tym razem pomiędzy spodnie od pizamy a majtki, i niepewnie zacząłem pocierać jej wzgórek łonowy. Jade naprężyła się i wciągnęła głęboko powietrze, dając mi do zrozumienia, że nawet taka „pośrednia” pieszczota sprawia jej przyjemność.

Poruszyłem rytmicznie dłonią. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że w prawej ręce, na której spoczywał cały ciężar ciała, tracę czucie, ale szybko o tym zapomniałem. Pocierałem Jade wolno, równomiernie, nie zmieniając tempa. Nie chciała chyba żadnych niespodzianek. Ruchy proste. Nieskomplikowane. Przyjemność wzmożona przez stałość rytmu. Brak wyszukanych pieszczot mogących kojarzyć się z romantyczną czułością. Podpaska odczepiła się i suwała we wszystkie strony: Jade szybko ją wyjęła i cisnęła za łóżko. Zahaczyłem palce o gumkę od spodni i ściągnąłem je. Jade uniosła pośladki i złączyła nogi, żeby mi było łatwiej. Kiedy odwróciłem się, żeby rzucić spodnie na krzesło, prędko zdjęła majtki.

- Wróc - rzekła, przyciągając mnie do siebie. Położyła sobie moją dłoń między udami i poruszyła nią kilka razy, żeby pokazać mi tempo, po czym zamknęła oczy i w oczekiwaniu wstrzymała oddech.

Włosy łonowe były gęstsze niż dawniej, ale suche, bo oprócz podpaski miała również tampon.

Podniosła rękę i ujęła mnie delikatnie za ramię. Głowa odwrócona w bok, oczy wpatrzone w przestrzeń. Szeptala coś, czego nie mogłem zrozumieć. Nadstawiłem ucha, ale to zakłóciło rytm - lekko zniecierpliwiona, poruszyła nogą. Gdy wróciłem do poprzedniej pozycji i poprzedniego tempa, jeszcze szerzej rozchyliła uda. Głęboki pomruk zadowolenia. Szept coraz głośniejszy.

- Oj, chcę...

Z całej siły zacisnąłem dłoń na swoim sztywnym członku. Kropelka śluzu wisiała na samym czubku, drżąc niczym kropla stopionego wosku. Lód i żar. Poczucie fosforescencji, wyostrejzonej świadomości. Pocierałem wzgórek łonowy Jade. Pod naciskiem ręki wargi lekko się rozchyliły. Nogi miała rozsunięte szerzej, niż to się wydawało możliwe. Przeraziła mnie jej gorliwość, jej żądza. Przerazała mnie Jade.

- Chcę... jeszcze... - szepnęła. Brodę miała uniesioną do góry, głowę odrzuconą w tył, tak że dotykała nią ramy łóżka.

Owinałem wokół palca sznurek od tamponu i zacząłem go wyciągać.

- Nie. - Chwyła mnie za rękę. - Nie można. Za bardzo krwawię.

Znów pocierałem okolice jej wzgórka i chociaż pragnąłem dotykać ją wszędzie, bałem się cofnąć rękę pomiędzy jej ud - na drugiej zaś ręce się opierałem. Pochyliłem się i całowałem jej piersi.

Szczękała zębami. Zalała mnie fala zimna. Miałem wrażenie, że patrzę z samolotu na miasto, w którym nagle zapalają się światła. I znów ogarnął mnie mrok, gęsty, ciepły. Oddech Jade coraz szybszy, urywany. Nogi, zgięte w kolanach, kołyszące się z boku na bok. Jade stawała się

coraz bardziej wilgotna - wilgotna i spocona. Włosy łonowe miała mokre, ale nie aż tak jak dawniej.

Odrzuciła ręce wysoko nad głowę. Pod pachami ujrzałem włosy - długie, zakręcone na końcach niczym tureckie pantofle.

Pewnego razu, kiedy miała się ogolić, pozwoliła, żebym ja to zrobił. Zajęło mi to co najmniej godzinę: pracowałem nad jej złocistą szczecinką z troską, na którą w równym stopniu składała się ostrożność, co i zmysłowa przyjemność. „Od tej pory - oświadczyłem - golenie należy do mnie”.

- Tak, tak - jęknęła, zaciskając pięści. Kiedyś na jej twarzy malowała się radość, zaskoczenie, teraz usta miała ponuro skrzywione. Chwyła moją dłoń i przycisnęła mocno, uniosła biodra i zaczęła nimi kołysać. Przeciągłe westchnienie - „mmm” - wzmagало się.

Napięła mięśnie i wstrzymała oddech. Jej żebra przypominały biegnące równoległe tory kolejki górskiej. Pośladki miała zaciśnięte. Nie powinno się wstrzymywać oddechu przy orgazmie. Sama to gdzieś przeczytała i szybko podzieliła się ze mną tą informacją. „Wtedy się żyje - stwierdziła - a nie umiera”.

Przez moment zamarła bez ruchu, po czym opadła na łóżko. Skóra pokryła się cienką warstewką potu. Powrócił oddech, powolny i głęboki. Oczy wciąż miała zamknięte.

Przekręciła się na bok, lecz po chwili, przypomniawszy sobie o mnie, obróciła się na wznak.

- Trochę to mnie zaskoczyło - powiedziała. - Myślałam, że mam dalej do końca.

Opadłem na materac, lecz nie podsunąłem się wyżej. Moje oczy były na wysokości jej gwałtownie falującego

brzucha. Jade wolno *złączyła*, nogi. Włosy łonowe miała bardziej szorstkie, ciemny trójkąt jeszcze się powiększył.

Wspomnienie z Rockville, gdzie Warren Hawkes dręczył mnie swoimi marzeniami: „Och, tak, bracie, chciałbym znów zobaczyć urocze kędziorki na dziewczęcej pipce. Uciekają nam wspaniałe chwile rozkoszy. Wyobraź sobie promienie słońca przedzierające się przez włoski... Gdy wreszcie stąd wyjdziemy, każda próba dobrania się do świeżej, młodej cipki będzie grozić nam aresztowaniem. Ach, te pizdki, urocze, świeże...”.

Jade położyła mi rękę na głowie. Myślałem, że chce, abym zbliżył usta do jej ciała, ale kiedy zaczęła głaskać mnie po włosach, z ruchów jej dłoni poznałem, że pragnie, bym podsunął się wyżej.

- Zmusiłam cię, prawda? - spytała, gdy leżałem z głową na poduszce.

- Co? Nie.

- Tak, zmusiłam. Nie wiem dlaczego. Wydawało mi się to słuszne i logiczne, ale tak zawsze się wydaje. Zwłaszcza kiedy się czegoś pragnie. Przyjemności. Cokolwiek. A teraz jest mi trochę...

- Kocham cię - powiedziałem, gładząc ją po policzku.

- Czuję się znacznie lepiej. Muszę to przyznać. - Nagle usiadła i zaczęła macać prześcieradło.

- Co się stało?

- Krew. Miałam wrażenie, że ze mnie cieknie. Nie chcę zabrudzić pościeli. Ale wszystko w porządku. Przynajmniej na razie. Cholera. Muszę jednak wstać i włożyć majtki z podpaską. Chyba żadna dziewczyna nie ma tak obfitej miesiączki jak ja.

Przekręciła się na bok. Leżeliśmy zwróceni twarzami do siebie, niemal stykając się nosami.

- Nie martw się. Nie zapomniałam o tobie - rzekła, kładąc mi rękę na brzuchu. Całowała mnie po piersi, a następnie delikatnie - a raczej z pozorną delikatnością, która była sztuczna i mocno przesadzona - otoczyła palcami mój członek.

- Nie tak - zaprotestowałam.

- Tak. Tak jest dobrze.

- Chcę wejść w ciebie.

- Nie, nie możemy. Spokojnie, o nic się nie martw. - Złączyła kciuk i palec wskazujący i powoli obciągnęła napletek. Zacisnęła mocniej dłoń i wykonała ruch do góry.

- Jesteś większy - szepnęła.

- Nie.

- Tak mi się wydaje. Ale może to dlatego, że... - Pewnie zamierzała powiedzieć, że minęło sporo czasu, odkąd kochała się z mężczyzną.

Nagle ogarnęła mnie złość, zazdrość, onieśmienie.

Powoli, mniej więcej w tym samym tempie, w jakim ja masowałam jej wzgórek, Jade przesuwiała dłoń do góry i w dół. Stariałem się powstrzymać wytrysk, zdobyć się na odwagę, aby jeszcze raz powiedzieć jej, że chcę w nią wejść. Ale wtem Jade pogładziła mnie po twarzy i pocałowała - nieśmiało jak zakochana, poznana niedawno dziewczyna - i w tym momencie było już za późno. Miałem wytrysk, nie doświadczając jednak żadnej przyjemności. Po prostu wystrzelił ze mnie długi, nieprzerwany strumień piekącego nasienia, a gdy Jade przegięła członek w moją stronę, poczułem, jak ciepła maź opada mi na brzuch, ramiona, obojczyk.

Dopiero kilka długich chwil po wytrysku, powoli niczym miód, który wycieka z pękniętego słoja, zalała mnie rozkosz.

- O kurczę, jestem cała ochlapana! - zawołała Jade, ale chyba była dość zadowolona z siebie. Wciąż trzymała mój członek. - Nadal jesteś sztywny.

- Tak. - Leżałem na wznak; czułem się jak pacjent, który budzi się w środku operacji.

- Nic się pod tym względem nie zmieniłeś? - spytała, zabierając rękę.

- Nie wiem. Wiem tylko, że jestem z tobą.

Opadła na poduszkę i westchnęła, tym westchnieniem odgradzając się ode mnie niczym kurtyną. Złożyła poduszkę na pół i podciągnęła nogi.

- Musimy iść spać - rzekła. - Jestem tak piekielnie zmęczona, że nie mogę zebrać myśli.

Niespodziewanie wstała z łóżka, podniosła z podłogi bieliznę i piżamę, chwyciła torbę podróżną i znikła w łazience. Leżałem, zastanawiając się, czym się wytrzeć, ale po chwili również wyskoczyłem z łóżka i nim zdążyłem pomyśleć, co robię, pobiegłem za nią.

Nacisnąłem klamkę. Drzwi były otwarte. Pchnąłem je na oścież.

Jade stała okryta górą od piżamy, trzymając w ręce prostokątną podpaszkę oraz majtki. Uda miała mocno zaciśnięte, włosy łonowe poskręcane niczym młodziutkie listki paproci.

- To już koniec? - spytałem cicho. Dotknąłem lekko drzwi, zawstydzony tym, że jak bomba wpadłem do łazienki.

- Słucham?

- Tak nie można. Powinienem był spać na podłodze. Nie. Ty powinnaś była zostać w holu albo wrócić autobusem do Vermontu. Tak nie może wyglądać nasze spotkanie po latach. Wzajemna masturbacja! To ohydne.

Podniosła z ziemi spodnie od piżamy. W jaskrawym blasku jarzeniówki ujrzałem, że są pomarańczowe.

- Pomagaliśmy sobie, David. Jak dobrzy przyjaciele.

- Pomagaliśmy sobie? W czym? W zaśnieciu?

- Tak.

- Ale ja wcale nie chcę spać. Chcę być z tobą. Długo się nie widzieliśmy. Bardzo długo.

- Nie mogłam zasnąć, a dosłownie padam z nóg. Dla odmiany pomyśl o mnie.

- Myślę o tobie. Bez przerwy.

- Wątpię.

- Nie, nie wątpisz. Dobrze wiesz, że mówię prawdę.

- Chcę, żeby ten dzień się skończył. Chcę odetkać korek, żeby wszystko wreszcie spłynęło.

- Jesteśmy nadzy. - Podszedłem bliżej i wyciągnąłem dłoń. Członek miałem w stanie pełnej erekcji. Przypomniałem sobie, że nie starłem z brzucha nasienia. No trudno. Zamierzałem wziąć Jade za rękę, a chwyciłem za nadgarstek. Wypadło to zbyt agresywnie. Gdyby tylko postąpiła naprzód, zarzuciła mi ręce na szyję, mogłaby wszystko naprawić.

- Proszę cię - powiedziałem. - Wróć do łóżka. Nie ubieraj się. Nie zasypiaj. Bądźmy razem.

- Nic nie rozumiesz.

Przytuliłem ją do siebie, całowałem włosy, czoło, policzki. Były to najbardziej fałszywe pieszczoty, jakimi zdarzyło mi się ją obdarzyć: miały na celu tylko to, żeby Jade mnie zapragnęła. Przyciskałem się do niej, jakbym odgrywał rolę natrętnego kochanka w prymitywnym tańcu godowym. Okazywałem jej swoją gotowość.

- Idź do łóżka - rzekła, kiedy usiłowałem pocałować ją w usta. Musnęła mnie wargami. - Za bardzo nalegasz. Chcę się zastanowić.

- Chodź ze mną.
- Za chwilę. Pozbieram tylko rzeczy.
- Zostaw je. - Kolana drżały mi z niecierpliwości.
- Powiedziałam, że za chwilę. Daj mi pomyśleć. Chcę podjąć decyzję.
Dobrze? - Cofnęła się o krok, uwalniając się z moich objęć.

Wróciłem do łóżka i włączyłem lampę. Straciłem rachubę czasu; czekałem na Jade, wydawało mi się, że długo nie nadchodzi, ale nie mogłem mieć żadnej pewności. Może minęło zaledwie pół minuty. Moje czekanie było jakby poza czasem: nie wiedziałem, ile trwa, tak jak na ogół nie wiemy, ile trwa sen. Znów byłem pod drzwiami łazienki: działałem instynktownie, nie tracąc więcej czasu na rozmyślania. Ostrożnie otworzyłem drzwi. Jade siedziała na krawędzi niewielkiej wanny, naga, z głową opartą na rękach, i płakała.

- Nie wiem, co robić - wyjąkała. - Boję się ciebie. Za dużo się teraz we mnie kotłuje różnych uczuć. Muszę nad sobą panować.

Podniosła wzrok. Na twarzy zostały jej białe ślady po palcach.

Chyba całkiem oszaleliśmy - pomyślałem. Jest to nasze pierwsze spotkanie po latach. I oto stoimy na golasa w łazience hotelowej, płacząc, dygocząc, a ja w dodatku z wyprężonym kutasem.

- Nie płacz. Możemy po prostu iść spać. - Z wyciągniętą dłonią postąpiłem krok naprzód. Jade wzięła ją w swoje ręce i przycisnęła do zapłakanej, czerwonej twarzy.

- Słyszę w sobie głos wewnętrzny - powiedziała. - Taki cichy głos, który powtarza: „Tatko nie żyje”. Nawet nie jest podobny do mojego głosu. Nigdy przecież nie mówiłam na Hugh „tatko”. - Głos się jej załamał; próbowała się uśmiechnąć, ale kąciki ust jej opadły. - Wciąż myślę o braciach,

o tym, co przeżywają. I o Alinie, o Annie też. Do diabła. Myślę o nich nieustannie i nie mogę sobie z tym poradzić. Tak bardzo chciałam się od nich wyzwolić, zapomnieć, lecz im jest nas mniej, tym bardziej jestem z rodziną związana - urwała i zasłoniła oczy. - Tak bardzo bym chciała, żeby ojciec żył - dokończyła ze szlochem.

Objąłem ją. Zaprowadziłem do łóżka i przytuliłem. Starła się powstrzymać łzy. Widziałem, że jest sobą zniecierpliwiona, znużona własnym smutkiem. Wkrótce się uspokoiła.

- Ciekawe, która to godzina - odezwała się, kiedy pełen obaw zacząłem się zastanawiać, czy już śpi.

- Nie wiem. Pewnie późno.

Opierała głowę na moim ramieniu, w którym całkiem straciłem czucie, jednakże nic w świecie nie zmusiłoby mnie do zmiany pozycji.

- Wszyscy o tobie wszystko wiedzą - oświadczyła nagle.

- Wszyscy?

- Moi znajomi. Wszystkim o tobie opowiadam. O tym, co nas łączyło, o domu w Chicago, o tym, jacy byliśmy.

- Ja mam bardzo mało znajomych.

- W Stoughton wszyscy cię znają. Mogłabym się założyć... zmieniłeś się co prawda, ale nie aż tak bardzo... mogłabym się założyć, że gdybyś szedł sam po terenie uniwersytetu, sporo ludzi wiedziałoby, że to ty.

- Serio?

- Nawet nie mam twoich zdjęć. Po prostu rozpoznaliby cię z moich opisów. Kiedy opowiadam o tobie, wszystko mi się przypomina, i czasem, gdy mam na to ochotę, zamykam oczy i przeżywam to jeszcze raz. Ale nigdy, David, nie sądziłam, że kiedykolwiek się jeszcze zobaczymy. Wydawało mi się to niemożliwe. Nawet kiedy

jechałam tu windą, nie wierzyłam, że cię naprawdę zobaczę.
Rozumiesz?

- Widzieliśmy się wczoraj.

- To był sen. Krótki sen, który szybko minął. Wczorajsze spotkanie się nie liczy. W każdym razie uważam, że to niemożliwe, abyśmy znów byli razem. Niemożliwe i właściwie niestosowne.

- Mylisz się. Naprawdę się mylisz. Nie wiem, dlaczego wszystko jest takie trudne, dlaczego ciągle napotykamy przeszkody. Ale wiem, że nie ma odwrotu. Tak, jestem tego najzupełniej pewien. Musimy wspólnie pokonać wszystkie przeciwności.

- Wszystko jest takie inne.

Nic nie odpowiedziałem, Jade również umilkła i zapanowała cisza. Po pewnym czasie Jade wzięła zapaloną lampę ze stolika i zestawiała na podłogę. Lampa przewróciła się, rzucając przez pokój cienie, długie i płaskie niczym szyny kolejowe.

Nieco później Jade usiadła i wyciągnęła tampon, który wepchnęła pod łóżko. Leżałem na „mojej” stronie materaca: Jade przytuliła się do mnie, przywierając do mojego biodra, i zaczęła gładzić mi klatkę piersiową, tak jakby to był kobiecy biust. Usiłowałem podnieść się na łokciach, Jade jednak nacisnęła mi ramię, żebym się nie mszał. Miałem wrażenie, że spogląda na mnie z olbrzymiej wysokości.

- Chcę być z tobą - szepnęła. - Ale nie chcę, żeby to było... - urwała.

- Będzie tym, czym będzie - rzekłem, wyciągając do niej rękę.

- Albo niczym. Tak mi jakoś dziwnie. Tyle się działo, a jeszcze to spotkanie z tobą. David, żebyśmy sobie tylko nie wyrządzili krzywdy.

Nie było dla mnie istotne, czy wyrządzimy sobie krzywdę, czy nie. Największy ból nie mógł się równać z pustką po rozłące, cierpienie zaś było niczym w porównaniu z bezsensem życia bez Jade. Ale nie chciałem jej spłoszyć. Skinąłem głową.

Przez jakiś czas całowaliśmy się i pieścili. Kiedy usiadła na mnie okrakiem, poruszyłem biodrami, usiłując w nią wejść, ale nie trafiłem. Wtedy sama mnie wprowadziła. Wewnątrz była ciasna, a wydzielinę - krew zmieszaną z normalnym śluzem - miała gęstą i lepłą. Gdy wchodziłem głębiej, Jade skrzywiła się - to naprawdę straszne, jak podniecające bywają dla mężczyzn te drobne oznaki bólu. Uniosła się nieco i wypadłem, po czym pochyliła się, przyciskając kości biodrowe do moich i napierając na mój wygięty członek swoim miękkim, ciepłym sromem. Położyłem jej rękę na plecach; wciąż czułem na sobie jej biodra, a także włosy łonowe, które delikatnie niczym tchnienie wiatru muskały mi podbrzusze. Przyciągnąłem ją do siebie i z całej siły przytuliłem do piersi.

Szepnąłem jej imię, a kiedy nie zareagowała, przez moment zdjął mnie strach.

Ująłem twarz Jade i pocałowałem ją w usta. Zdawało mi się, że język ma olbrzymi, bardzo miękki i niezwykle ruchliwy. Oddychałem jej oddechem. Był to pierwszy prawdziwy pocałunek tej nocy. Długi, namiętny.

Jade klęczała teraz, jej małe piersi lekko zwisały, a blask lampy na podłodze oświetlał na nich każdy najmniejszy włoszek. Wsunąłem rękę między jej nogi i zacisnąłem na wzgórku: Jade rozchyliła szerzej uda. Kiedy wsunąłem palce, wydawało mi się, że wewnątrz jest przynajmniej o dziesięć stopni cieplejsza.

Nagle znalazłem się w środku. Pragnąłem zatrzymać czas, nacieszyć się tą chwilą. Jade wciąż była na górze, z rękami po obu stronach mojej głowy, z czołem przytkniętym do mojego. Nie otwierając oczu, poruszała się wolno, aż cały byłem w środku, po czym zaczęła unosić się i opadać z taką siłą, że omal nie krzyknąłem, choć wcale nie z bólu. Ruchy Jade były tak podniecające, że gdybym reagował normalnie, rozkosz byłaby nie do wytrzymania, dlatego też w pewnym momencie moje ciało przestało w ogóle reagować na bodźce. Zdawałem sobie jedynie sprawę z potężnej siły, z jaką Jade we mnie uderza. Wyobrażałem sobie ogromny ucisk w jej pochwie, ale siebie w niej ledwo czułem.

Żeby nie stracić równowagi, Jade oparła dłoń nieco poniżej mojego ramienia. Miałem wrażenie, że jestem otoczony błoną rozkoszy, rozżarzoną kokonem, wielkim i nieprzejrzyście, który tylko gdzieś tam prześwituje. I jedynie przez te jasne prześwit widziałem cienie na ścianie, słyszałem skrzypienie sprężyn, czułem guzik, który sterczał z materaca. Później jednak rozkosz niczym wolno obracająca się kopuła otoczyła mnie ciemną nieprzejrzyistością i znów zapomniałem o świecie.

Byłem zlany potem, mięśnie bolały mnie jak podczas dużej gorączki. Gdzieś w hotelu ktoś spuścił wodę w ubikacji; dźwięk ten z hukiem przedzierał mi się przez gąszcz zmysłów.

Jade wciąż unosiła się i opadała. Czułem, że prawie o mnie nie pamięta. Nie sądziłem, że kochając się z kimś, można aż do tego stopnia pogrążyć się we własnym, prywatnym świecie. Byłem jej potrzebny, nic więcej.

Opierając się o mnie jedną ręką, żeby zachować równowagę, drugą położyła sobie na brzuchu. Dostrzegłem

ten ruch jak przez mgłę i pomyślałem, że coś ją zakłuło, że może ma bóle miesiączkowe. Przesunęła rękę w dół, kierując ją w stronę łechtaczki i wsuwając złączone palce w niewielką przestrzeń między naszymi ciałami. Pionowym ruchom jej ciała towarzyszyły teraz szybkie, koliste ruchy, które wykonywała palcem. Robiła to z niesłychaną wprawą. Mogłem sobie wyobrazić, jak seksuolodzy opisują tę technikę w książkach, omawiają na sympozjach. Może brzmi to zabawnie, ale wtedy nie było mi wcale do śmiechu. Jade poruszała się rytmicznie, w górę i w dół, ale nie opadała do końca: wiedziała dokładnie, ile ma się unieść i ile opaść, żeby nie zakłócić miarowych ruchów palca.

Była nawet zbyt doświadczona, żeby o mnie zapomnieć. Przez moment patrzyła mi w twarz, po czym zamknęła oczy, jakby była bliska omdlenia. Pochyliła się nisko, żeby mnie pocałować - wargi miała tak spieczone, jakby błędziła po pustyni erotyki, na której moja twarz była tylko fatamorganą. Kiedy przywarłem ustami do jej cofających się ust, nie uciekła: oddychała powietrzem z moich płuc, wdmuchując mi powietrze z własnych, powietrze, w którym mieszała się woń czerwonego wytrawnego wina, długiej nocy i naszych ciał.

Kopuła rozkoszy, która otaczała moje zmysły, nadal była nieprzejrzysta, ale jakby wzniosła się nieco wyżej: już nie przylegała ciasno jak koc, lecz osłaniała niczym namiot. Co msz czułem, jak zbliża mi się orgazm, w ostatniej chwili jednak oddalał się niby ryba, która czmycha w stronę rafy koralowej.

Kiedy Jade miała orgazm - a pojawił się nagle i niespodziewanie - zadrżała i krzyknęła, jakby coś ją zabolalo. Następnie znieruchomiała niczym zwierzę zaskoczone oślepiającym blaskiem pędzącego samochodu. Wydawało

mi się, że z jej otwartych ust zaraz pocieknie ślina, ale Jade przymknęła je i podniosła głowę, wciągając głęboko powietrze i wydymając brzuch tak, że wyglądała jak w zaawansowanej ciąży.

Oczywiście nic nie jest tak przyjemne jak obserwowanie rozkoszy, zwłaszcza rozkoszy seksualnej przeżywanej przez ukochaną osobę. Spośród wielu istniejących perwersji, najbardziej pociągała mnie jedna - voyeurizm, jeśli tylko obiektem moich obserwacji była Jade. Sposób, w jaki wyrażała zadowolenie seksualne, zawsze działał na mnie podniecająco. Na początku, kiedy dopiero uczyliśmy się kochać, byłem nadpobudliwy, toteż Jade starała się nie wydawać z siebie żadnego dźwięku. Sam szybki, urywany oddech, nie mówiąc już o jękach, przyspieszał mój orgazm. Później, gdy kochaliśmy się trzy, cztery, a nawet pięć razy w ciągu nocy (ochota rosła wraz z wprawą), Jade, nie mogąc doczekać się mojego końcowego orgazmu - który, zważywszy na różnice między płciami, następował z nieco większym trudem niż u niej - a chcąc, żebyśmy razem dobili do brzegu i zasnęli w objęciach, przysuwała mi usta do ucha i ciężko sapała albo szeptem powtarzała moje imię. I to wystarczało.

Tak też było tej nocy. Dreszcz, który wstrząsnął ciałem Jade, poruszył mnie tak jak niespodziewany śpiew chóru czy pocałunek kochanki, która cichutko zakradła się od tyłu. Słyszac ostry, przejmujący krzyk, poczułem nagle, jak nasienie uwalnia się, pędzi niczym górski potok i nie zwalniając, skręca w górę. Odruchowo chwyciłem Jade za pośladki, jakbym się bał, że zaraz mi ucieknie, i wyprężyłem się w jej stronę. Ale prawie nie czułem przyjemności; nie pomogło żadne skupienie się - był to po prostu próżny wysiłek, tak jak szukanie na niebie spadającej gwiazdy, której lot dostrzegło się tylko kątem

oka. Kiedy Jade poczuła w sobie ciepłą lepkość wytrysku, uniosła się lekko, zacisnęła mięśnie i wolnym, stanowczym ruchem zsunęła się w dół. Pomimo wcześniejszego orgazmu, do którego doprowadziła mnie ręką, został mi jeszcze ogromny zapas nasienia, wręcz przerażająca obfitość. Nagle moszna, ręce i nogi zrobiły mi się lodowato zimne, a usta - przed chwilą wilgotne i namiętne - suche jak wiór. Mięśnie się rozluźniły, płuca skurczyły niczym przekłute balony, a wytrysk nie ustawał.

Jade spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Wzrok miała szklisty, zamglony, jakby do oczu dostał się jej dym. Z płonącego domu. Zamierzała coś powiedzieć, ale nie odezwała się. Pochyliła się do przodu tak, że z niej wypadłem, i zsunęła się na łóżko. Oddychała równo, głęboko, podobnie jak ja, ale cisza, która panowała, była kłopotliwa i groźna. Przypominała śpiącego, zwiniętego z wdziękiem kota, który może podrapać do krwi, gdy mu się zakłóci spoczynek. Zdawałem sobie sprawę, że Jade ma ochotę coś powiedzieć, ale nie wie co. Dotknęła mnie nogą, ale szybko ją cofnęła. Rozluźniona, westchnęła z pewnym zadowoleniem.

Czułem się, jakbym balansował nad przepaścią: jeszcze chwila, a spadnę w czarną otchłań snu. Wbiłem sobie paznokcie w dłoń, żeby się rozbudzić.

Jade wychyliła się z łóżka i zgasła przewróconą lampę.

- Kości mam jak z ołowiu - powiedziała, przerywając wreszcie ciszę.

Przez moment nie odzywałem się. Udało mi się trochę rozbudzić i uświadomiłem sobie, jak potwornie jestem wściekły.

- Wiesz - rzekłem - to mój pierwszy raz, odkąd kochałem się z tobą przed laty.

- Niesamowite! - odparła zbyt pośpiesznie.

- Dlaczego? Czy dlatego, że to takie bezsensowne? Dlatego, że ty kochałaś się tysiące razy?

- Bo jesteś taki dobry. - Przeciągnęła się i potarła ręką oczy. Pora spać. Dawła mi to do zrozumienia na różne sposoby. Tak samo, kiedy byłem mały, robili to rodzice. Arthur spoglądał na zegarek. O ósmej obydwójce zaczynali szeroko ziewać...

- Dobry?

- Tak. - Chyba żałowała, że mnie w ogóle pochwaliła.

- To dziwne. Bo mam wrażenie, że do niczego się nie przyczyniłem. Gdzieś się nauczyła tej sztuczki?

- Jakiej sztuczki? - spytała wyraźnie już zirytowana.

- Tej z ręką. Ja ci do niczego nie byłem potrzebny, prawda?

- O rany, David - zachnęła się niczym zniecierpliwiona starsza siostra.

- Prawda? - powtórzyłem. Nienawidziłem własnego tonu. Świadomość krążyła mi po obrzeżach umysłu, obracając się niczym promień latarni morskiej; czasem przystawała jakby w obawie, że gęsta chmura mroku zaćmi światło, zgasi je. Nagle poczułem, że brnę przez gęstwinę niezwiązanych z sobą obrazów, które - niczym pierścienie Saturna - otaczają nas, gdy śpimy. W takim stanie trudno jest nad sobą panować i zrozumiałem, że Jade też nie jest łatwo; wystarczy byle głupstwo, żeby doszło do kłótni.

- Wcale się ze mną nie kochałaś. Masturbowałaś się i ty! -

- Przestań, David. Nie masz o niczym pojęcia. Otworzyła oczy, spojrzała na sufit i po chwili znów je

zamknęła. Wiedziałem, co myśli: po jakie lichy tu przyszłam? Nie byłem jedynie pewien, czy naprawdę żałuje, czy tylko ma ochotę tak powiedzieć, żeby zrobić mi

przykrość. Za wszelką cenę chciała mnie uciszyć. Ja zaś wolałem, żebyśmy skoczyli sobie do gardła, niż zaczęli się od siebie oddalać, pograżać się każde we własnym świecie snu, tuląc do piersi kiepską namiastkę rozkoszy

- nędzne świecidełka zamiast prawdziwej biżuterii.

- Jade...

- Zostaw mnie. Jestem śpiąca.

W milczeniu wyciągnąłem do niej dłoń.

- Przez ciebie czuję się jak idiotka - powiedziała oskarżycielskim tonem. - Może bym sama wpadła na to, że postąpiłam głupio, przychodząc tu do hotelu i idąc z tobą do łóżka. Ale ty mi to uświadomiłeś w pełni. I wciąż uświadamiasz, bez chwili wytchnienia, z niestrudzonym zapalem.

Patrzyła na mnie wsparta na łokciach.

- Nigdy się przedtem tak nie kochaliśmy - odparłem.

- Dawniej nie pomagałaś sobie ręką. To nie było w naszym stylu.

Westchnęła, jakby wreszcie zrozumiała, że usiłuje logicznie argumentować z szaleńcem. Opadła z powrotem na poduszkę, lecz po chwili znów się poderwała.

- O kurczę! - zawołała, wpatrując się przed siebie.

- Zapomniałam, że krwawię. - Dotknęła między nogami prześcieradła. - Cholera, za późno.

Spuściła nogi na podłogę i pochyliwszy się, włączyła przewróconą lampę. Promień światła padał prosto na brudny, kilkucentymetrowy skrawek czarnej szyby, której w pośpiechu nie zasłoniliśmy do końca. Jade odrzuciła koc, sprawdzając stan prześcieradła. Ujrzeliśmy podłużną kałużę lepkiej krwi.

- No, pięknie - stwierdziła Jade, potrząsając głową. Gdziekolwiek widać było pojedyncze krople krwi, jednak

że większość czerwonej cieczy wsiąkła w jedno miejsce, tworząc na prześcieradle plamę wielkości kostki mydła.

Spojrzałem na siebie - mój członek był lśniący i szkarłatny. Miałem również zakrwawiony brzuch, a jeszcze bardziej uda.

Jade znów potrząsnęła głową.

- To jest wspaniałe - oznajmiłem. Potarłem ręką udo. Na palcu została mi krew, która jeszcze nie zdążyła zakrzepnąć; zbliżyłem palec do oczu.

- Musimy ściągnąć pościel - powiedziała Jade. Stała z zaciśniętymi nogami, powoli unosząc ręce, żeby zasłonić piersi: miałem wrażenie, że onieśmielona widokiem krwi zaczęła się wstydzić swojej nagości.

- Nie. Wcale nie musimy. - Chciałem jej powiedzieć, że ta krew jest mi znacznie miłsza niż orgazm, do którego doprowadziła się palcem, kiedy to niby kochała się ze mną.

- Nie zamierzam spać w tej mazi.

- A ja tak. - Przesunąłem się na drugą stronę łóżka i wyciągnąwszy ręce, objąłem Jade w talii. Włosy łonowe tuż przy pochwie miała ciemne od krwi; zbliżyłem do nich usta i pocałowałem. Leżałem w niewygodnej pozycji: wygięty, do połowy wychylony z łóżka, naciskając brzuchem na sztywny członek. Jade oparła ręce na mojej głowie. Z początku myślałem, że chce mnie odepchnąć, ale chwyciła mnie mocno obiema rękami, wbijając mi w skórę paznokcie, a po chwili wolno, choć bardzo wyraźnie, przysunęła się bliżej.

Pociągnąłem ją na łóżko. Chciałem od razu w nią wejść, ale bałem się i czułem, że ona też się boi. Nie chodziło o żadne zahamowania, o nieśmiałość czy wątpliwości. Opór naszych ciał był już przełamany. Nagość nie peszyła. Nawet lekkie zażenowanie, jakie Jade wykazała

na widok własnej krwi, minęło, gdy zbliżyłem się ustami. Czuliśmy strach podobny do tego, który ogarnia ludzi, gdy ich pragnienia stają się coraz bardziej realne; taki strach przeżywali zapewne pierwsi lotnicy, kiedy ich maszyny powoli odrywały się od ziemi, oraz poszukiwacze skarbów, gdy drżącymi rękami otwierali znaną skrzynię pełną złota. Kiedy pogładziłem ręką ciało Jade, przebiegł ją dreszcz, lecz nie był to dreszcz rozkoszy. Przeciągnęła się, wygięła plecy, miałem jednak wrażenie, że robi to niemal bezwiednie. Nie odzywała się, nawet oddech miała cichy. Ale byłem już teraz pewien, że powoli do niej docieram, że docieram do tej części Jade, która wciąż liczyła się z możliwością mojego powrotu.

Pocałowałem ją. Czulem, jak mgła w nas opada, i patrząc w głąb Jade, ujrzałem źródło, skąd biorą początek jej emocje; ujrzałem je daleko, jakby na końcu drogi wijącej się kilometrami po porośniętej zbożem równinie w samym sercu Illinois, gdzie żyzne pola ciągną się w nieskończoność pod jasnym, bezchmurnym niebem i nic nie zasłania widoczności. Krew pulsowała Jade w skroniach; żyły na przegubach jej dłoni były twarde niby małe, delikatne kostki. Usta mieliśmy szeroko otwarte, jakbyśmy chcieli się połknąć. Kanibalizm i pocałunki, pomyślałem, starając się na moment wyłączyć, popatrzeć na wszystko z boku, tak jak ktoś, kto się niechcący skaleczył, czasem z zafascynowaniem patrzy na jaskrawą krew tryskającą z rany, zapominając chwilowo o przejmującym bólu. Jednakże to, co mnie ogarnęło, nie miało nic wspólnego z bólem: szukałem schronienia przed innym uczuciem, bardziej subtelnym i wszechstronnym. Gdyby to był tylko ból, wiedziałbym, czym się zakończy, ale to, co czulem teraz z Jade, stanowiło początek czegoś o nieznanym gra-

nicach, wejście w niezbadane rejony ciała i duszy. Ucieczkę z więzienia percepcji! Szturm na barykady! Tak, tak, szturm na barykady! Wędrowkę w nieodkryte przestworza kosmosu. Nie na Księżyc, Wenus czy Saturna, lecz dalej, aż po najodleglejsze krańce wszechświata, hen, wokół przylądka czasu.

- David - szepnęła Jade, gdy wsunąłem w nią palec, szepnęła tak, jakbym dopiero teraz, w tym momencie, dotknął jej po raz pierwszy. Obejmowała mnie za szyję i nagle zacisnęła na niej ręce tak kurczowo, jakby tonęła. Nasze twarze zetknęły się: nie w pocałunku, choć usta mieliśmy blisko siebie, lecz w miażdżącym uścisku. Pomyślałem sobie, że jeśli Jade odrobinę mocniej zaciśnie ręce, jej kość policzkowa, która znalazła się pod moim czołem, nie wytrzyma napom i pęknie.

Poczułem na języku krew, wspólną krew - moją i Jade. Niechcący rozciąłem sobie od wewnątrz wargę.

Pomagając sobie ręką, Jade usiłowała wprowadzić mnie do środka: ale wystarczyło lekkie muśnięcie, żeby krzyknęła. Cofnąłem się.

Przekręciliśmy się do siebie twarzami. Nasze ciała drżały niczym ptaki uwięzione w zimnym kominie. Poruszałem się rytmicznie, pocierając członkiem o brzuch Jade, byliśmy tak mokrzy jak po długim, intensywnym stosunku. Zapach naszych ciał unosił się znad materaca niby prześcieradło na wietrze. Sprężyny piszczały i skrzypiały. Odgłos uderzających o siebie wilgotnych ciał przypominał tupot bosych nóg biegnących po trawie, na której osiadła poranna rosa.

Przyklękawszy między rozchylonymi nogami Jade, wsparty dłońmi o jej uda, lizałem ją bardziej jak pies niż jak kochanek. Długim, różowym językiem jeździłem po jej udach, wzgórkach łonowym, wargach sromowych,

brzuchu. Jade wolno przebierała nogami, jakby szła przez błoto. Poczujęm, że mam coś na języku: była to grudka krwi wielkości niedużego kamyka. Wyjąłem ją i wytarłem ręce o pierś.

Z ust Jade wydobywał się przeciągły, cichy jęk, jakby jej głos dochodził zza ściany. Jęk stawał się coraz bardziej cienki i wyraźny. Włosy łonowe miała tak mokre, że skóra otaczająca wejście do pochwy była goła, bezbronna, sam otwór zaś powiększony jak u kobiet przed porodem. Całowałem jej łono namiętnie, jakby to były usta. Sztywno napięte uda zaczęły teraz drżeć, dygotać, jakby odmierzały sekundy. Jade podciągnęła nogi wyżej i podniosła do góry. Nie odrywając ust, podsunąłem się trochę wyżej. Klęczałem teraz w samym środku kałuży krwi. Jade dyszała coraz gwałtowniej, wypuszczając powietrze z głośnym świstem. Wpijała się paznokciami w materac. Czułem straszliwe napięcie w członku, chociaż uderzałem nim jedynie w powietrze. Nagle usłyszałem, jak Jade rozdziera paznokciami prześcieradło.

- David - szepnęła gorączkowo, bliska omdlenia. Pragnęła, żebym nie przerywał, żebym nic nie zmieniał. Otwór powiększył się jeszcze bardziej, skóra wokół niego drżała, jakby wstrząsana drobnymi falami. Pamiętałem, żeby tych najwrażliwszych miejsc dotykać delikatnie, ale trochę zwiększyłem ustami nacisk. Czułem, jak coś cieknie mi po brodzie, nie wiedziałem jednak, czy to krew Jade, czy własna ślina, czy może jedno i drugie. Otworzyłem szeroko usta i wziąłem głęboki oddech. W tym samym momencie Jade przesunęła się do przodu i niechcący uderzyłem zębami o jej mokry wzgórek.

Pot ściekał mi do oczu - przez chwilę myślałem, że to łzy. Jade zacisnęła uda, zakrywając mi uszy. Jęki, które

wydawała, brzmiały dziwnie i odległe. Ale powoli stawały się coraz bardziej przenikliwe i domyśliłem się, że Jade zbliża się do orgazmu. Wciąż przywierałem do niej ustami, lecz zaprzestałem wszelkich ruchów. Z chwilą gdy to uczyniłem, Jade zaczęła poruszać się szybciej: przytrzymałem ją jednak za biodra i odsunąłem się.

Trochę się uspokoiła, choć nadal ciężko dyszała, z trudem łapiąc oddech. Odgłos sapania rozchodził się po pokoju. Nogi jej dygotały; w pierwszym szarawym blasku poranka widać było na jej udach ślady krwi. Zacisnąłem rękę na wzgórku Jade, ona położyła dłoń na mojej, złączyła nogi i zaczęła się rytmicznie kołysać.

- David, jestem tak blisko.

- Blisko mnie - powiedziałem. Leżałem teraz obok Jade, obejmując ją ramieniem. Po chwili podkurczyła nogi, przekręciła się na bok i mocno do mnie przytuliła.

- Wejdz.

- Nie, chcę cię tulić - rzekłem, dodając po cichu do siebie: „Bo może już nigdy nie będziemy razem”. Ta straszna myśl przeleciała mi przez głowę jak na skrzydłach wiatru. Myśli, obrazy odpływały ode mnie, jakby całą zawartość mojego umysłu ktoś wsadził do armaty i wystrzelił. Doktor Ecrest, który oznajmia, że nie ma zamiaru czytać akt przesłanych z Rockville, i na moich oczach wrzuca je do kosza na śmieci. Smutny, zatroskany uśmiech Arthura, kiedy patrzy, jak w szpitalu Jackson Park rozmawiam z Barbarą Sherwood. Bieg po trawniku w Rockville za białą piłką, miękką jak ciasto; piłka toczy się, toczy i toczy aż do siatki dzielącej nas od świata zewnętrznego, przy której stoją dwa miejscowe blondasy - gdy się zbliżam, cofają się, jakby w obawie, że się na nich rzucę...

- David - szepnęła Jade, dotykając mojej twarzy. Przekręciła mnie w swoją stronę i pocałowała.

Objąłem ją z całej siły. Jade poruszała się rytmicznie, napierając krocem na moje kolano.

- Czuję tak silnie, że aż się boję.

- Wiem - odparłem. - Mnie też to przeraża.

- Tylko z tobą. - Pogładziła mnie ręką po twarzy. Chwyciłem w usta jej mały palec i zacząłem go gorączkowo ssać. Miał słony smak. - Tylko z tobą, David. To takie dziwne.

Wsunałem się na nią. Natychmiast rozchyliła nogi, zarzuciła ręce na moje spocone plecy i przyciągnęła do piersi.

- Na co czekasz? Chodź, proszę cię. Chcę cię czuć w środku.

- Nie chcę, żeby się skończyło.

- Błagam cię, chodź.

Wszedłem w nią z łatwością. Dopiero gdy byłem niemal cały w środku, poczułem opór jej ciała. Im dalej w głąb, tym otwór jakby się zwężał.

Wytrysk nastąpił od razu. Ale ponieważ Jade była tak mokra wewnątrz, a ja nie dałem nic po sobie poznać - nie zareagowałem na własny orgazm, ledwo go poczułem, nawet członek mi nie zmałał - chyba nie domyśliła się, że miał miejsce. Jedyne spojrzała na mnie pytająco, kiedy na moment przestałem się poruszać, żeby złapać oddech. Zaczęliśmy się kochać. Byłem niezdarny, zaskoczony ograniczeniami, jakie narzucały nam ciała. Energię, wyobraźnię, żądze mieliśmy bezkresne, lecz ciała, których ruchliwość zależała od układu ścięgien i stawów, podlegały twardym prawom grawitacji. Kilka razy nie wyczułem, jaka dzieli nas odległość, i z głośnym klaśnięciem pacnęliśmy o siebie mokrymi brzuchami.

Wszystko trochę wmykało się nam spod kontroli. Jade, z rozpostartymi rękami, z nogami w szerokim rozkroku, poruszała się zarówno w górę i w dół, jak i z boku na bok, toteż suwaliśmy się po całym łóżku. Nie panowaliśmy nad naszymi ruchami. Trzymałem się kurczowo Jade, czasem zaś ona mocno się mnie chwyciła. Parokrotnie przechyliliśmy się na bok, o mało nie spadając z łóżka. Hałasu robiliśmy zapewne co niemiara. Nie zdziwiłbym się, gdyby ludzie dzwoniли do recepcji ze skargami. A gdyby w którymś z sąsiednich pokoi samotny gość usiadł z uchem przy ścianie i ręką w okolicy lędźwi, nie mógłbym mu mieć tego za złe. Powoli obracaliśmy się w łóżku niczym złączone z sobą wskazówki zegara. Sprężyny były jakby uosobieniem niedyskrecji, a w pewnej chwili wezgiłowie zaczęło łomotać o ścianę. Jade znów wydawała cienki, przeciągły jęk, który miał smutne, niezaprzeczalnie erotyczne brzmienie niczym jednostajny dźwięk kamertonu. Czulem - nawet nie tyle w genitaliach, co w brzuchu i pośladkach - że zbliżam się do kolejnego orgazmu. Zwolniłem nieco tempo i tym razem Jade nie protestowała. Przekręcała głowę z boku na bok, powtarzała moje imię, a ja szeptałem jej.

Nagle całkiem z niej wyszedłem. Krzyknęła zdziwiona, po czym instynktownie zacisnęła dłoń na kroczu. Całowałem tę rękę, a gdy Jade ją cofnęła, zacząłem całować jej brzuch i włosy łonowe. Po chwili siedziałem na niej okrakiem i spoglądałem z góry, świadom, że - podobnie jak i ona - wzrok mam szklisty, na wpół obłąkany. Jade, wstrząsana dreszczami, dyszała, miotając się po materacu, jakbyśmy nadal byli złączeni.

- Kocham cię - szepnąłem. - Więcej niż kocham, znacznie więcej, ale nie umiem tego inaczej wyrazić. Wszystko

jest tak jak dawniej. Pamiętam wszystko, nawet to, co się zmieniło. Kocham cię, Jade. Kocham cię.

- Chodź do środka. - Zarzuciwszy mi ręce na szyję, podniosła się z materaca i pocałowała mnie. Następnie wzięła do ręki mój członek i wprowadziła sobie do pochwy. - Chcę cię tam czuć - powiedziała. Kiedy pochyliłem się i wsunąłem najgłębiej, jak mogłem, głos Jade znów zamienił się w cienki przeciągły jęk. Starąłem się obserwować jej twarz, te dziwaczne grymasy, które w każdej innej sytuacji byłyby obrzydliwe. Usta, które krzywią się, kurczą, rozchylają jakby w niemym skowycie. Zamknięte oczy, które nagle otwierają się i w których czai się bezradność, żądza, zaskoczenie. Nagle otrzymałem cios w klatkę piersiową; przez moment myślałem, że Jade chce mnie odepchnąć. Ale nie. Wznosiła się, niemal kwitowała, przytrzymując się szczupłymi, umięśnionymi rękami. Czułem, że zbliża się do orgazmu, i niemal zaprzestałem wszelkich ruchów z obawy, żeby wkrótce nie nastąpił koniec. Tego się przecież nauczyliśmy sami: rozkoszowania się grzechem, cudownego napięcia przy tłumieniu orgazmu. Za każdym razem, gdy zwalniałem tempo, końcowy orgazm był znacznie bardziej intensywny. Każdy taki interwał zbliżał nas do siebie. Tym razem jednak, gdy tylko zwolniłem tempo, Jade zaczęła poruszać się szybciej, a w jej silnym uścisku czuć było zawziętość i jakby wściekłość. Przestraszyłem się, że jeśli się sprzeciwię, gotowa jest mnie uderzyć. Wsunąłem więc ręce pod jej pośladki, tak żeby bez względu na wszystko nasze ciała się stykały i żebym tkwił w niej jak najgłębiej. Przeciągły jęk przeobraził się w bezdźwięczny pomruk przypominający głośnie i ciągnące się w nieskończoność ziewnięcie. Plecy Jade lepiły się od potu, spomiędzy nóg ciekły jej nowe strużki krwi: czułem, jak spływają

mi po palcach na materac. Byłem cały mokry. Ranka na wardze znów mi się otworzyła i krew mieszała się ze śliną, tworząc ciemnoróżowy potok. Jade leżała, wpatrując się we mnie intensywnie,- usta miała wykrzywione w podkówkę, jakby była bliska płaczu, spojrzenie zaś niemal oskarżycielskie. Trzęsła się: nie tylko nogi i stopy jej dygotały, ale dreszcze niby prąd przebiegały jej po całym ciele, od genitaliów, poprzez brzuch, do klatki piersiowej. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że dźwięki, które słyszę, pochodzą również ode mnie - bełkotałem niczym głuchy wzywający pomocy, wydając z siebie niski, przytłumiony jęk. Ciała mieliśmy tak śliskie od potu i krwi, że powoli zsuwaliśmy się z łóżka. Kochaliśmy się jak szaleni, gdy nagle w przerażająco dokładnym szczególe, zupełnie jakby mi się pięćdziesięciokrotnie zwiększył obwód członka, zacząłem wyczuwać wewnętrzne ścianki pochwy Jade. Mocno objęci, skończyliśmy prawie równocześnie - najpierw Jade, ja chwilę po niej; nasze głosy złączyły się w jeden i w pokoju rozległo się niemal zwierzęce, przejmująco samotne wycie.

Resztę nocy pamiętam jak przez mgłę. Nastąpiło kłopotliwe milczenie, ale trwało ono zaledwie kilka chwil. Potem Jade powiedziała, że czuje się tak, jakby krew jej fosforyzowała, a ja w pewnym momencie wybuchnąłem płaczem, lecz szybko się opanowałem. Rozmawialiśmy, nie pamiętam jednak o czym. Po prostu gadaliśmy. Już zasypiałem, kiedy Jade znów się odezwała. Wyleciało mi z głowy, co mówiła, ale na dźwięk jej głosu przytuliłem ją do siebie i bardzo długo się kochaliśmy. Potem, wysuwając się spode mnie, Jade szepnęła: „Już nie, spać, spać” - i znów się kochaliśmy, tym razem z nią na górze. Gładziła mnie po twarzy, długo i namiętnie całowała w usta; powoli, nie śpiesząc się, oboje dotarliśmy do celu. Dalsze

rozmowy. Za oknem jaśniejąca szarość. Pólsen - jak spadanie w przepaść. Jade leżała na brzuchu, jedną nogę miała zwieszoną w dół, szczupłe, miękkie pośladki zaś wypięte do góry. Wszedłem w nią od tyłu i dopiero gdy dotknąłem dłońmi jej piersi, uświadomiłem sobie, że zasnęła.

Po kilku godzinach pokojówka przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi na taką szerokość, na jaką pozwalał łańcuch, Głośny zgrzyt metalu obudził nas i usiedliśmy w łóżku. W drzwiach powstała kilkucentymetrowa szpara, przez którą widzieliśmy zielony rękaw pokojówki.

- Jeszcze śpimy! - zawołałem.

Jade ułożyła się wygodnie. W jasnym świetle dnia, które wpadało przez okno, przyjrzałem się nam dokładniej. Oboje byliśmy czerwoni od zakrzepłej krwi. Pościel była od niej aż sztywna. Gdybyśmy nie zamknęli drzwi na łańcuch, biedna pokojówka weszłaby do pokoju i pewnie by zemdląca. Widząc nas leżących bez ruchu, uznałaby, że jesteśmy ofiarami bestialskiej zbrodni. Nogi, uda, ręce, palce mieliśmy czerwone; włosy i policzki umazane krwią, nawet usta się nam lepiły.

15

Nie było się nad czym zastanawiać. Nazajutrz poszedłem z Jade na dworzec i gdy podjechał autobus do Stoughton, wsiedliśmy do niego razem. Czarna torba podróżna wyglądała jak chora, wzdęta ryba, zamiast bowiem zostawić w hotelu zakrwawioną pościel, wzięliśmy ją z sobą. Chcieliśmy oszczędzić pokojówce wstrząsu na widok sztywnej, czerwono-brązowej pościeli, wychodząc z założe-

nia, że dla hotelu będzie to i tak niewielka strata. Jednakże pomimo szlachetnych intencji, byliśmy zdenerwowani, upychając pościel do torby. W pewnym momencie Jade mruknęła: „Boże, żeby okradać tak nędzny hotel!”, i potrząsnęła głową, jakby ten czyn dawał świadectwo o nas, o naszej gotowości do popełniania zbrodni, zarówno wielkich, jak i małych, i o tym, że nasze zachowanie zawsze będzie odbiegać od przyjętych norm.

Były również i inne nerwowe chwile. Prawie wszystkie pieniądze wydałem na hotel i nie miałem dość gotówki na przejazd do Stoughton. Chciałem spieniężyć bilet powrotny do Chicago, wart około czterdziestu pięciu dolarów, ale Jade nalegała, że za mnie zapłaci. Miałem wrażenie, że nie jest to hojny, spontaniczny gest. Po prostu świadomość, że posiadam bilet powrotny, dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Właśnie tego typu sytuacje, te drobne nieporozumienia, które nie pozwalały zapomnieć o tym, jak niepewne są nasze przyszłe losy, potwornie mnie spinały. Autobus ku mojemu ogromnemu zdziwieniu był niemal pełen. Rozglądałem się, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Dobrze, że mamy miejsca koło siebie - ucieszyłem się. - Aż mi się wierzyć nie chce, że tyle osób jedzie do Stoughton. Niesamowite.

Jade skrzywiła się, cofając rękę.

- Ten autobus, David, zatrzymuje się w wielu miastach. Choćby w Albany. Boże. To cały ty. Myślisz, że skoro ty jedziesz do Stoughton, to wszyscy tam jadą.

Uśmiechnąłem się; podobał mi się sposób, w jaki Jade analizowała szczegóły mojego charakteru, sposób, w jaki zarzucała sieć, wyciągając na wierzch coś, co żyło we mnie i drzemało głęboko pod powierzchnią. Dawniej często rozmyślaliśmy na głos o sobie, więc uśmiechnąłem

się, słysząc jej słowa i siedziałem szczęśliwy, aż nagle uśmiech zaczął znikać mi z twarzy, albowiem zdałem sobie sprawę, że uwaga Jade wcale nie wynika z jej sympatii do mnie, lecz ze złości. I z braku zaufania.

Był jasny, spokojny dzień. W autobusie czuć było spaliny - może wdzierały się przez dziurę w przerdzewiałej podłodze? - oraz lekki zapach benzyny. Jade trzymała mnie za rękę i patrzyła przez okno, ja zaś siedziałem wygodnie rozparty w fotelu, spoglądając przez jej ramię na nasze odbicia w przyciemnionej szybie. Potem oparła głowę na moim ramieniu i drzemała, a ja co jakiś czas delikatnie, żeby jej nie zbudzić, całowałem ją po włosach. Nie byłem do końca pewien, czy naprawdę śpi; wprawdzie oddychała głęboko i twarz miała rozluźnioną, ale siła, z jaką trzymała mnie za rękę, nie zmniejszyła się.

Żyłem całkiem poza prawem, nie było więc już żadnej możliwości powrotu do Chicago, do dawnego życia. Naruszyłem warunki przedterminowego zwolnienia, a raczej roztrzaskałem je na drobne kawałki, tak że nie sposób ich było na nowo poskładać. Okrucieństwo zwolnienia warunkowego polegało na stworzeniu pozorów zaufania, zaufania, które zdradziłem z typową dla siebie porywcznością i brawurą. Gdyby mnie złapano i postawiono przed sądem, sędzia znacznie bardziej surowo oceniłby fakt samowoli niż to, że podpaliłem dom, narażając na śmierć pięć osób. Jeśli za ten szalony wyczyn wymierzono mi karę trzech lat w zakładzie psychiatrycznym oraz nieograniczoną czasowo kuratelę sądu, mogłem być pewien, że za ucieczkę z Chicago otrzymam znacznie wyższy wyrok. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że droga, którą obrałem, była bardzo niebezpieczna, ale również nie ulegało wątpliwości, że niewiele mnie to wszystko obchodziło.

Poprzednie cztery lata mojego życia należały do przeszłości i jeszcze za wcześnie było na wspomnienia czy żale. Przechodziłem z jednego etapu życia w drugi i chociaż nie wiedziałem, czym on się zakończy, z zapalem pędziłem naprzód, nieco oszołomiony, lecz dumny i pewien siebie. Jednego tylko było mi żal zostawić za sobą - Anny, ale smutkowi przyświecała nadzieja, iż znów ją kiedyś zobaczę. Przecież, pomyślałem, nie żądam tak wiele od losu, pragnąc, żeby Anna stała się częścią świata, który Jade i ja mieliśmy razem stworzyć.

Tak więc pojechałem na północ do Stoughton w stanie Vermont i zamieszkałem z Jade w jednym domu, starając się zaprzyjaźnić z jej przyjaciółmi, przystosować swoje zachcianki do jej rozkładu dnia i znaleźć sobie - ponieważ tego chciała - miejsce w jej społeczności, jakiś powód, inny niż miłość do niej, który tłumaczyłby moją tam obecność.

Dom, w którym mieszkała - szkaradzieństwo w stylu wiktoriańskim, jakby nabrzmiałe do gigantycznych rozmiarów - był okazalszą wersją domu na Dorchester w Chicago. Na samej werandzie mogłyby się odbywać koncerty symfoniczne, a mahoniowa kula wieńcząca balustradę, która ciągnęła się wzdłuż schodów do pierwszego piętra, była wielkości głowy dziecka. Od co najmniej dziesięciu lat mieszkali tu studenci; dom był sławny, otoczony legendą, miał nawet swoje imię - Gertruda. Wystarczyło powiedzieć: „Może w przyszłym roku wprowadzę się do Gertrudy”, i każdy wiedział, o co chodzi. Gertruda dosłownie pękała w szwach od nadmiaru mebli i sprzętów. Po prostu weszło w zwyczaj, że kiedy ktoś się wyprowadzał, nie

zabierał z sobą rzeczy, które stały się częścią wyposażenia. Toteż w salonie można było dostać klaustrofobii na widok tyłu kanap, otoman, foteli na biegunach i roślin doniczkowych, w kuchni zaś ledwo mogły się pomieścić liczne przyrządy pozostawione przez różnych smakoszy, którzy przewinęli się przez dom. Była cała kolekcja elektrycznych szczotek do zębów, jak również - o czym dowiedziałem się później - spory zapas wibratorów po dziewczynach, które odeszły, żeby rozpocząć ciekawsze życie seksualne. Krążyła anegdota, że w niedzielne ranki Gertruda zamienia się w olbrzymi ul, bo aż huczy w niej od pracujących wibratorów.

Jade zajmowała jedno z najgorszych pomieszczeń, małego kwadratowy pokój pomalowany na lilaróż, z wąskim, zbyt miękkim łóżkiem i niewielkim oknem z ponurym widokiem na ulicę, tego jedyną wątpliwą zresztą zaletą była nieduża odległość od łazienki na piętrze. „Przynajmniej jest blisko do łazienki” - powiedziała Jade, a jej koleżanka Colleen MacKay również zwróciła mi na to uwagę: „No cóż, przynajmniej macie blisko do kibla”. Zapewne wszystkich pocieszano w ten sposób, odkąd pierwszy student zamieszkał w pokoju Jade, a dawniej, gdy dom należał do licznej, bogatej rodziny, może tym samym wątpliwym argumentem przekonywano syna, który zajmował tę klitkę. Mnie oczywiście nie robiło najmniejszej różnicy, gdzie mieszkamy. Gdybym musiał, bez protestu sypiałbym w wannie, na słomiance czy powieszony za kciuki na gałęzi przed domem. Moi nowi znajomi szybko mi wyjaśnili, że przydzielono Jade ten właśnie pokój, ponieważ rzadko przebywała w domu, a kiedy zaakceptowali nasz związek i dali nam ogromną, odizolowaną od reszty pomieszczeń sypialnię na strychu, poczułem

tak wielką radość, że musiałem aż przygryźć wargę, aby się nie rozbeczeć. Jacy oni są mili - pomyślałem - zadają sobie dla nas tyle trudu! To Colleen MacKay zamieniła się z nami na pokoje. „Nie dziękujcie - powiedziała. - Przyjdzie zima i będą wam marzły tyłki”. Chciała w ten sposób umniejszyć swój szczodry gest, ale to mnie jeszcze bardziej wzruszyło. Zima? Traktowali nas tak, jakby wierzyli w przyszłość naszej miłości.

Mieliśmy różne kłopoty, nieporozumienia,- przeżywaliśmy trudności, jakich doświadczają ludzie, których życie toczy się po szybszym torze niż ich wyobraźnia. Zapadaliśmy w milczenie, co nam uświadamiało, jak kruchy jest nasz związek, dochodziło do starć, które wynikały z nieznamości reakcji partnera na sprawy codzienne. Doskwierała mi zazdrość na myśl o Jade otoczonej znajomymi, przyjaciółmi, wrogami i kochankami, Jade mającej różne nieprzekraczalne terminy, długi i rywalki, Jade śmiejącej się z żartów, które były mi obce. Większość czasu jednak nie mogłem się nadziwić, jacy jesteśmy szczęśliwi. W nocy kochaliśmy się na chłodnych trawnikach. Kąpaliśmy się razem i śpiewaliśmy sobie cicho różne piosenki. Niekiedy gotowałem jej jedno z moich ulubionych dań i promieniałem radością, kiedy cieszyła się, że dogaduję się z jej przyjaciółmi. Pożyczonym wozem jeździliśmy na przejażdżki, grywaliśmy w tenisa na korcie należącym do profesora muzykologii, a gdy dostałem pracę w sklepie z męską odzieżą, spotykaliśmy się codziennie w przerwie na posiłek - złożony z kanapek z tuńczykiem i mrożonej herbaty - który jedliśmy, siedząc na trawniku przed kościołem prezbiteriańskim, gotycką budowlą tak wielką, że można by w niej naraz ochrzcić wszystkie dzieci ze stanu Vermont.

W początkowym okresie mojej miłości do Jade miałem mnóstwo przyjaciół i dużą potrzebę bujnego życia towarzyskiego. Byłem otoczony kumplami, powiernikami, znajomymi i wiernymi współpracownikami ze szkolnego pisma literackiego i Związku Studentów Walczących o Pokój. Nikt nie wiedział - a może wiedzieli, lecz im to nie przeszkadzało - że mimo mojej towarzyskiej natury i nieco cierpkiego humoru, w głębi duszy jestem introwertykiem. W zaciszu własnych czterech ścian (ulubione wyrażenie w latach mojego dojrzewania, zupełnie jakby poza tymi czterema ścianami świat bez przerwy mi się badawczo przypatrywał) pisałem - w stylu nieco zbliżonym do Allena Ginsberga - długie, nierymowane wiersze o samotności i o mojej „osłoniętej duszy”, której nikt nie znał, a którą sam widziałem jako kłęby zimnej mgły. Byłem zatem towarzyskim samotnikiem i gdy ujrzałem w Jade własne odbicie, z miejsca pozrywałem więzy, najpierw z kolegami, potem z rodziną. Po pół roku bycia z Jade nie miałem właściwie żadnych przyjaciół - może w ten sposób naśladowałem alienację Jade. Jade i jej rodzina stały się całym moim światem,- nawet wtedy, gdy składałem podanie o przyjęcie na studia, wiedziałem, że nigdzie nie pojedę. Uważałem, że świat zbyt gorliwie słucha moich kłamstw, za łatwo nabiera się na nieskomplikowane sztuczki, których się nauczyłem, że jest zbyt prosty, a zarazem zbyt okrutny, aby mógł żądać ode mnie posłuszeństwa czy też abym miał go poważnie traktować. W pewnym sensie zawiodłem Jade: liczyła, że z moją pomocą wyrwie się z grawitacyjnej monotonii życia rodzinnego, zamiast jednak uwolnić ją od Butterfieldów, wciągnąłem ją jeszcze głębiej, stając się, a przynajmniej dążąc do tego, żeby stać się takim samym zwolennikiem butterfieldyzmu co Keith.

Przebywanie z Jade w Stoughton miało odmienne skutki. Po niemal pięciu latach, kiedy to świat mnie nie interesował i kiedy niepocieszony obnosiłem się ze swoją samotnością, zupełnie jakbym miał na piersi plakietkę „Proszę się mną nie zajmować. Nie warto”, wreszcie powoli zacząłem wygrzebywać się z tej apatii. Tym razem zamiast naśladować odosobnienie Jade, zaprzyjaźniłem się z jej przyjaciółmi: współlokatorzy, znajomi ze studiów, sklepikarze, profesorowie, prawie każdy, kogo znała, stał się również częścią mojego życia.

Chociaż nigdy o tym wprost nie mówiła, wiedziałem, że pragnie, abym znalazł sobie miejsce w świecie, który dzieli ze swoimi przyjaciółmi. Użyła zwrotu „wzorce neurotyczne”, tłumacząc mi, czego chce uniknąć, samotność zaś stanowiła główny wzorzec neurotyczny, którego musieliśmy się wystrzegać. Jade zdawała sobie oczywiście sprawę z tego, że byłbym najszcześliwszy, gdybym mógł oglądać tylko ją, każdą wolną chwilę spędzając na strychu, w łóżku, w jej ramionach, całkiem odcięty od świata; wizja ta była na tyle kusząca, że Jade bała się, iż może jej ulec. „Chcę być z tobą, ale nie tak jak dawniej. Chcę być z tobą inaczej, co nie znaczy, że mniej”. Czy mogłem oponować? Czułbym się tak, jakbym narzekał na ciasnotę naszego pokoju czy twardość materaca. Nie miałem serca wyklócać się o drobiazgi, najważniejsze było to, że jesteśmy razem. Niekiedy, widząc zachowanie nowej Jade, czułem strach - ale nawet w Raju nie sposób jest całkiem zapomnieć, że lubi się nieco silniejszy wiatr i że nie znosi się widoku wistarii.

Nie marzyłem o tym, żeby zaprzyjaźnić się ze znajomymi Jade. Kiedy rozmyślałem o naszym wspólnym życiu, nie przyszło mi do głowy zapełniać go ludźmi. Wyobrażałem

sobie, że ten ułamek wieczności, który nam przypadł w udziale, przeżyjemy w podobnych, lecz nieco surowszych warunkach, jakie na Florydzie miał mój dziadek: wystarczyłby mi pokój z oknem, łóżko, lodówka i regał z książkami. Kiedy jednak zrozumiałem, że kontakt z przyjaciółmi Jade stanowi nieodzowny warunek naszego bycia razem, z zaskakującym entuzjazmem zacząłem na nowo uczestniczyć w życiu towarzyskim. Mój zapał oraz łatwość, z jaką rodziło się we mnie uczucie sympatii do całkiem obcych osób, były aż chorobliwe. Pewnego dnia Jade zaprowadziła mnie do starego profesora Asbury'ego, który leżał unieruchomiony prawie od roku, kiedy to grając w tenisa na śliskim od rosy, nędnym korcie za domem, nadwerżył sobie kręgosłup; po dziesięciu minutach mówiłem do profesora po imieniu - Carlyle, po pierwszym kieliszku zdrobniale - Corky. Asbury, siwy, chudy, elegancki pan, u wszystkich cieszył się tak ogromną sympatią, że nawet ci studenci, którzy nigdy nie wykazywali zainteresowania muzyką, uczestniczyli w jego zajęciach. Przekornie pragnąłem się oprzeć wdziękom profesora, ale gdy wyszliśmy z jego małej chatki, ścisnąłem Jade za rękę i wyznałem niemal ze łzami: „Boże, jaki to miły człowiek”; nie wiem, czy bardziej wzruszył mnie sam Asbury, czy też moja natychmiastowa gotowość do zaprzyjaźniania się.

Jade zabrała mnie na obiad do swoich przyjaciół, Marcii i Triga. Ich mieszkanie - z krzywą podłogą wyłożoną linoleum i oknem wychodzącym na pokryty papą dach oraz obdrapaną ścianę garażu - wyglądało jak kryjówka zamachowców. Siedzieliśmy na podłodze; gdyby Marcia i Trig byli hippisami, daliby nam do podłożenia duże poduchy w hinduskie wzory. Zupełnie nie dbali o wygodę - ani swoją, ani naszą. Ale gdy wreszcie wnieśli obiad, był

on wspaniały i wyrafinowany w smaku. Ryba z pistacjami. Warzywa prosto z ogródka przyrządzone w cieście po japońsku. To, że zadali sobie tyle trudu, żeby przygotować obiad, na który zostałem zaproszony, przejęło mnie dogłębnie. Jadłem najwolniej, jak mogłem, patrząc na nich z sympatią szklistymi oczami, podczas gdy oni opowiadali, jak chuligani, przypuszczalnie wynajęci przez miejscowe stowarzyszenie sklepikarzy, zmusili ich do zamknięcia sklepiku ze zdrowymi, naturalnymi produktami.

W każdą środę wieczorem odbywało się w Gertrudzie zebranie i odkąd stałem się członkiem załogi, uczestniczyłem w nich na równi z innymi lokatorami; siedzieliśmy przy ogromnym stole kuchennym, paląc camele i popijając wino Almadén - camele i Almadén stanowiły nieodzowną część rytuału. Rozmawialiśmy o obowiązkach i wydatkach, ocenialiśmy różnych gości (ja byłem na prawach domownika!) i kiedy przyglądałem się znajomym twarzom - Jade, Olivera Jonesa, Colleen MacKay, Niny Stemberg, Miriam Key, Borisa Hyde'a i Anemony Grommers - często myślałem sobie: To jest najcudowniejsza paczka na świecie. Kochałem Gertrudę i jej mieszkańców iście patriotyczną miłością, zupełnie jakbyśmy wszyscy należeli do jednej szajki, do wspólnej organizacji rewolucyjnej czy też byli wyznawcami tego samego kultu. Prawda była oczywiście skromniejsza i bardziej prozaiczna: stanowiliśmy po prostu grupę ludzi żyjących pod jednym dachem, ale każdy gest przyjaźni - ba, nawet nie przyjaźni, lecz serdeczności - rozgrzewał mi serce i pobudzał wyobraźnię. W świecie normalnych dyskusji byłem jak turysta - umierający turysta - zwiedzający o brzasku Europę. Wszystko - każdy zachód słońca, każda wieża i wyboista droga, hol czy kufel miejscowego

piwa - wydawało mi się kolosalne, tragiczne i nieporównywalne.

Dowiedziałem się, że nieco ponad rok temu Jade mieszkała w Gertrudzie ze studentem, który nazywał się Jon Widman. Jon, górujący nad innymi wzrostem, anemiczny, łysy dwudziestolatek, był genialnym muzykiem, który grał na dwunastu instrumentach i komponował muzykę zarówno bluesową, jak i na kwartet smyczkowy. Dowiedziałem się również o romansie Jade z profesorem literatury angielskiej. Poinformowała mnie o tym ze szczyptą złośliwości jedna ze współlokatorek, która rzekomo chciała mi udowodnić, że pójście do łóżka z wykładowcą należy w Stoughton do tradycji.

Jednakże o romansie z Susan Henry dowiedziałem się od samej Jade. Były miejsca, których unikaliśmy, filmy i koncerty, na które nie mogliśmy chodzić, dlatego że Jade bała się spotkania z Susan.

- Mam za swoje - powiedziała. - Beznadziejna sytuacja. Głupio to wszystko rozegrałam i nawet nie zadzwoniłam do niej po powrocie.

- Ale myślałem, to znaczy z tego, co mówiłaś, odniosłem wrażenie, że to Susan doprowadziła do zerwania.

- Co za różnica? Jeśli łączy cię z kimś zażyłość, to w pewnym momencie wszystko staje się wspólne.

Pewnego dnia, podczas mojej przerwy obiadowej, przechodziliśmy na drugą stronę Main Street - chcieliśmy wstąpić do sklepu papierniczego po notes - kiedy nagle Jade chwyciła mnie za ramię i zawróciła pośpiesznie, kierując się do narożnego sklepiku, w którym zapach drewnianych podłóg mieszał się z wonią słodkiej kukurydzy.

- Co się stało? - spytałem, chociaż domyśliłem się, o co chodzi.

- Susan - odparła. - Boże, jakie to idiotyczne. Szła po drugiej stronie ulicy, a ja po prostu nie miałam odwagi spojrzeć jej w oczy. Dłużej tak nie mogę. Muszę do niej zadzwonić.

Ukryci w tym sklepiku z mydłem i powidłem, czuliśmy się tak, jakby czas cofnął się o kilkadziesiąt lat: staruszki w wyblakłych swetrach, z okularami, które na srebrnych łańcuszkach zwisają im na piersi; kosze z czekoladkami, kruchymi ciastkami oraz połupanymi orzechami; dziwna cisza spowodowana brakiem muzyki wypełniającej nowoczesne sklepy; półki z tanią bielizną osobistą oraz skarpetkami w kolorze popiołu; książki do malowania i pistolety na kapiszony. Krążyliśmy bez celu między półkami. Jade, z rękami w kieszeniach, z oczami spuszczone, szła szybko, wyprzedzając mnie o kilka kroków. Kiedy wyciągnąłem dłoń, zatrzymała się,- obróciłem ją twarzą do siebie i wziąłem w objęcia.

- Kiedy byliśmy razem, wszystko wydawało mi się takie naturalne - powiedziała. - Ale chyba inaczej bym się teraz zachowywała, gdyby Susan była mężczyzną. Uciekam przed nią tylko dlatego, że jest kobietą, którą kochałam.

To, że pokonała własne opory i została kochanką kobiety, oraz ciągnące się wyrzuty sumienia po zerwaniu romansu sprawiły, że akurat związek z Susan, bardziej intymny od poprzednich, wzbudzał we mnie większą zazdrość niż inne wydarzenia z życia Jade, w jakich nie brałem udziału. Kiedy staliśmy w tym sklepiku, obserwując jego nielicznych klientów krążących leniwie między półkami - dziesięcioletnie dziewczynki kupujące dekoracje na zabawę, staruszka, który z uwagą oglądał nieduże

kaktusy - rozmyślałem o tym, że każda przeszkoda zwiększa intensywność uczuć. Wyobraziłem sobie, jak silna i niezwykle pociągająca musiała to być miłość, skoro Jade przekroczyła powszechnie uznawane granice, decydując się na seks z kobietą.

Spacerowaliśmy po sklepie. W pewnym momencie Jade chciała mnie wziąć za rękę, ale tylko musnęła palcami moją dłoń i odsunęła się.

- Susan ma piekielnie silną osobowość - stwierdziła. - Nie znam drugiego takiego człowieka. Żyje w świecie swoich uczuć niczym królowa w zamku. Podziwiałam ją ogromnie. Wszystko traktowała bardzo poważnie i nigdy przy tym nie wychodziła na idiotkę czy na egoistkę. Boże, przez wiele miesięcy była moim idolem, czciłam ją, zanim wreszcie zdałam sobie sprawę, że to coś więcej. Że ją...

- Słuchaj - przerwałem - nie wiem, jak się zachować, kiedy mi opowiadasz o Susan. Nie mówmy już o niej. Przynajmniej na razie.

Jade skinęła głową. Staliśmy przy skrzyni z płytami.

- Chcę o wszystkim usłyszeć - ciągnąłem. - Lecz potrzebna mi jest chwila wytchnienia. Wiem, że miłość do Susan była dla ciebie czymś ważnym, zapewne trudnym, może nawet przerażającym. Ale jestem zazdrosny. Wiem, że nie mam prawa...

- Nie było w tym nic przerażającego. Jedyne uczucie, które kiedykolwiek mnie przerażało, to miłość do ciebie. A romans z Susan nie był groźny czy przerażający. Naprawdę nie był.

- Ale chyba był ogromnie intensywny.

- Cóż w tym dziwnego? Zawsze się głęboko angażuję.

- Wiem. - Głos mi się załamał.

- Możemy nie rozmawiać na ten temat.

- Nie. Nie o to chodzi. Chcę się dowiedzieć o Susan, ale po kawałku. Przepraszam, to głupie. Nie mam prawa tego żądać. Nie słuchaj mnie. Opowiedz wszystko, od początku do końca.

- To zbyt cenne - odparła. - To są moje sprawy osobiste.

I tak zakończyliśmy rozmowę o Susan Henry i pograżyliśmy się w ciszy, która zawisała nad nami, czujna niczym drapieżny ptak. Chciałem prosić Jade, żeby opowiedziała mi o romansie z Susan, ale wiedziałem, że przynajmniej na razie nie mam do tego prawa. Wieczorem zjedliśmy kolację w Gertrudzie i chociaż oprócz nas przy stole siedziało siedem osób, przez cały czas Jade milczała. Wstała od stołu przede mną, a kiedy po kwadransie wszedłem do pokoju na strychu, leżała już w łóżku, a światło było zgaszone. Zdjąłem ubranie i wsunąłem się pod koc, a po chwili położyłem dłoń na jej piersi. Jade oddychała głęboko; nie poruszyła się, ale wiedziałem, że nie śpi.

Nazajutrz rano czuliśmy się nieswojo. Akurat wypadła na nas kolej, żeby zrobić zakupy żywnościowe na cały tydzień. Wybraliśmy się do wielkiego magazynu i pech chciał, że po kilku minutach, kiedy nerwowo wrzucaliśmy do wózka sprawunki, na horyzoncie znów pojawiła się Susan Henry.

Tym razem nie istniała możliwość ucieczki. Susan wyłoniła się zza rogu. Była to wysoka, smukła dziewczyna, opalona, o prostych, niemal białych włosach i dużych zębach, podobna trochę do Joni Mitchell. Ubrana była w luźną jasnoniebieską sukienkę bez rękawów i sandały. Na rękach pobrzękiwały jej srebrne bransolety wysadzone turkusami. Oczy pozostawały niewidoczne, ukryte za okularami przeciwsłonecznymi.

- Bip! Bip! - zatrąbiła, wpadając na nas swoim wózkiem.

- Cześć, Susan. - Głos Jade był zachrypły, jakby miała za sobą kilka nieprzespanych nocy, podczas których wypaliła setki papierosów i wypila mnóstwo alkoholu.

- Cześć - odparła Susan; głos miała słodki i melodyjny, a przynajmniej takie usiłowała nadać mu brzmienie. Widząc, jak bardzo się stara, przez moment poczułem do niej sympatię.

- Wciąż kupujesz gotowe dania? - spytała Jade, zaglądając Susan do wózka.

- Tak.

Jade wzruszyła ramionami i po chwili przedstawiła nas sobie.

- Susan, to jest David Axelrod. David, to jest Susan Henry.

Podąłem Susan rękę. Wydawało mi się, że jako romantyczny zwycięzca powinienem uczynić pierwszy krok. Spojrzała na mnie zdziwiona, jakby uścisk dłoni należał do archaicznych gestów powitalnych, po czym, najwyraźniej przypomniawszy sobie, o co chodzi, skinęła głową, ujęła wyciągniętą dłoń i potrząsnęła nią z lekką ironią.

- Cześć, David. - Nie dała po sobie poznać, że kiedykolwiek o mnie słyszała.

- Cześć. - Myślałem, że z uśmiechem na twarzy będę sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie, ale jak mi później Jade wyznała, to, co wykonałem, raczej przypominało grymas niż uśmiech.

Susan skupiła całą uwagę na Jade i zaczęła jej opowiadać o wspólnej znajomej, niejkiej Dinie, która właśnie wyjechała do Kolonii, żeby studiować filozofię u ucznia Wittgensteina. W jej głosie słychać było zarówno podziw,

jak i ironię. Opisała uroczystą kolację, na której oblewano sukces. Dina upiła się i przez resztę wieczoru szwargota-la po niemiecku. Na chwilę zajrzał profesor Asbury, który poruszał się całkiem sprawnie, wsparty o balkonik ortopedyczny. Itd., itp. Zastanawiałem się, czy celowo to opowiada, żeby Jade zrobiło się przykro, iż nie była zaproszona, Jade jednak nie wyglądała na zmartwioną.

Historyjka dobiegła końca i nagle moje rozmyślania przerwała cisza. Susan spuściła wzrok. Była stremowana, nie potrafiła opanować zdenerwowania, jakby z góry wiedziała, że zostanie źle zrozumiana.

- Czy możemy się kiedyś umówić na rozmowę?

Jade chwilę milczała, co nie wynikało z braku zdecydowania, raczej z podziwu dla Susan, że zdobyła się na tak trudny gest.

- Nawet musimy.

- Wieczorem wyjeżdżam na pięć dni do Bostonu. Jade skinęła głową.

- Odwiedzić Paulę?

- Tak.

- Pozdrów ją ode mnie, dobrze?

- Chętnie bym z tobą pogadała jeszcze przed wyjazdem - rzekła. Nieśmiałość minęła. Wiedziała równie dobrze jak ja, że Jade się zgodzi.

Widać było, że Jade ma ochotę odwrócić się do mnie, spytać, czy to mi nie przeszkadza, ale nie uczyniła tego.

- Dobrze - odparła z niemal uroczystą powagą. Sytuacja wydawała mi się beznadziejna, ale starałem

się zachować twarz. Objąłem Jade w pasie i przytuliłem do siebie.

- Może ja sam zrobię zakupy, co? I tak znam się na tym najlepiej.

- Dobrze. Fajnie. - Zabrzmiało to chłodno, niepewnie. Susan rozglądała się po półkach, udając, że nas nie słucha. Uciekała przed moim wzrokiem. Wciągnąłem Jade w rozmowę na temat sprawunków - czy Anemona woli masło fistaszkowe gładkie, czy z kawałkami orzeszków? Jak się nazywają te pyszne płatki śniadaniowe, które wczoraj przyrządził nam Oliver? Po pewnym czasie Susan wycofała swój wózek, oznajmiając, że musi jeszcze coś kupić i że za kilka minut będzie czekać na Jade przed sklepem.

- Oto i cała Susan Henry.

- Nie przejmuj się. To spotkanie było nieuniknione.

- Była zdenerwowana. To nie w jej stylu. Susan należy do osób, które zawsze są pewne siebie. Przeraża mnie taka inna Susan.

- Cóż, ludzie się zmieniają - odparłem lekko, nieudolnie starając się ukryć żal, który jednak przebijał z mojego głosu.

- Gniewasz się, że idę z Susan na kawę?

- Byleby się to tylko na kawie skończyło! - powiedziałem rad, że potrafię zdobyć się na wesołość. Uśmiechnąłem się filuternie.

- Obiecałeś, że nie będziesz mi robił wymówek.

- To prawda. Więc idziesz na to spotkanie? Musieliśmy się przesunąć. Staliśmy przed półką z oliwą

do sałatek. Młoda matka z różowymi lokówkami na głowie i płóciennym nosidełkiem na plecach - w którym spało niemowlę - wrzuciła do pełnego po brzegi wózka olbrzymią butelkę oliwy firmy Wesson. Muzyka ucichła i z głośników popłynął głos kierownika sklepu, który zachwalał różne produkty z wyprzedaży: kurze piersi, gąbki „Brillo” do mycia naczyń, kawę firmy Folgers, środek czyszczący „Duz”...

- Zobaczymy się w domu - rzekłem, przejmując od Jade wózek.

Skinęła głową. Miała zamiar odejść bez słowa, jakby nasz związek nie był wystawiony na ciężką próbę. Od czasu do czasu wciąż nachodziło ją pragnienie, aby udawać, że tak jak inni ludzie, żyjemy każde na własny rachunek. Ale zawahała się.

- Wrócę niedługo - oznajmiła.

- Wiesz, o czym myślę? O tym, że gdyby świat zakończył się w tej chwili, byłbym szczęśliwy, że mogłem przeżyć z tobą tyle, ile przeżyłem. Nie jestem człowiekiem o nowoczesnych światowych poglądach, ale naprawdę chcę, żebyś robiła to, na co masz ochotę, to, co uważasz za słuszne. Bo kiedy jesteś sobą, zawsze wynika z tego coś bardzo dobrego.

Specjalnie starałem się krążyć z dala od wyjścia, żeby nie widzieć, jak Susan i Jade opuszczają sklep. Jade zostawiła mi klucze od pożyczonego od Colleen MacKay wozu, lecz na samą myśl o prowadzeniu ogarnął mnie strach.

Umiałem prowadzić, ale nie miałem prawa jazdy. Wyobraziłem sobie, co by było, gdyby mnie ktoś stuknął. Zjawia się policja. Nie ma pan dokumentów? - dziwią się gliniarze. Dzwonią na komendę. Dowiadują się, że naruszyłem regulamin, wsadzają za kraty, potem odsyłają do Illinois. Nawet nie mam sposobności, żeby zawiadomić Jade.

Prawie wszyscy zebrali się w kuchni, kiedy rozpakowywałem torby z zakupami. Była sobota, dość wczesna pora, ale słońce już przygrzewało. Anemona wyjadała łyżką masło fistaszkowe. Nina Sternberg robiła omlet z dwunastu jaj. W kuchni tonącej w złocistym blasku słońca było stosunkowo cicho, zważywszy na to, że kręciło się

w niej sześć osób. Zdawałem sobie sprawę, że wszyscy widzą, iż wróciłem bez Jade; zaskoczyło mnie to, bo nie sądziłem, że zwracają uwagę na takie drobiazgi.

- Spotkaliśmy w sklepie Susan Henry - rzuciłem od niechcienia. Stałem na metalowym krzeselku, wsuwając na najwyższą półkę puszek z fasolką i drobiem.

- Czy wolno mi coś powiedzieć o panie Henry? - spytała Nina. - Otóż ta mała w marcu pożyczyła ode mnie czternaście dolarów i ilekroć mnie teraz widzi na terenie uczelni, chowa się za drzewo.

- Naprawdę? - zdziwiła się Anemona; jej głos brzmiał tak, jakby na skutek olbrzymiej ilości zjedzonego masła fistaszkowego miała rozszczep podniebienia. - Mnie też jest winna forszę. Dziesięć dolarów.

- Na Susan nie można polegać - wtrąciła Colleen. - Kiedyś pożyczyłam jej samochód i wyjeździła mi całą benzynę.

Czułem się zagubiony i sam jak palec, czekając na powrót Jade, toteż byłem wdzięczny Colleen MacKay, kiedy oświadczyła, że robi kanapki, i zaproponowała, abyśmy we trójkę, razem z Oliverem Jonesem, zjedli je na werandzie. Stary wiklinowy stół przykryła równie starym lnianym obrusem, na którym postawiła butelkę po piwie z kilkoma irysami oraz tacę z serowo-ogórkowymi kanapkami. Pochwaliłem Colleen, że tak elegancko podała posiłek. Nigdy jeszcze nie jadłem kanapek z ogórkiem. Siedziałem na małym fotelu na biegunach, Colleen i Oliver zaś na dwuosobowej kanapie z wikliny.

Colleen była niską, kręłą dziewczyną o nogach silnie umięśnionych jak pływaczka i piwnych oczach, które stale były lekko zaczerwienione, jakby dopiero co wyszła z basenu. Na ogół nosiła ogrodniczki i kraciaste koszule, czasem jednak wkładała sukienkę, w której wyglądała

bardzo uroczyście i tak nieswojo, że nawet całkiem obcy człowiek poznałby, iż nie jest to jej ulubiony strój. Oliver wprowadził się do Gertrudy trzy lata temu, kiedy zakochał się w studentce ze Stoughton, Sarze Richards. Miał wtedy dwadzieścia pięć lat i długą przerwę w nauce: rzucił studia w Exeter, kiedy był na trzecim roku, i od tamtej pory ich nie podjął, co prawda od czasu do czasu wysyłał do Stanford albo do Harvardu podanie z prośbą o przyjęcie go na wydział orientalistyki, a gdy otrzymywał list zawiadamiający go o przyjęciu i przyznaniu stypendium, dochodził do wniosku, że jeszcze nie zakończył „odkształcania się”, jak to określał. Zaledwie pół roku później Sara Richards zginęła na wyciągu narciarskim, to zaś, że Oliver pozostał w Gertrudzie, doskonale odzwierciedlało jego charakter: tragizm połączony z lenistwem. Oliver miał romanse z większością dziewczyn, które przewinęły się przez dom, ale żaden nie trwał długo. Na ogół zaczynały się w rocznicę jednego z wielu świąt, które Oliver obchodził, takich jak urodziny Mahlera albo dzień odkrycia Urana. (Tu Oliver żartobliwie dowodził, że astronom, który odkrył planetę, był pedałem i na widok Urana krzyknął do swojego przyjaciela: „Hej, Ur, widzisz to światło? Nazwę je na cześć twojej dupeczki, po łacinie *anus*”). Oliver i Jade zostali kochankami w rocznicę śmierci Sary; tej lutowej nocy szalała tak straszna zawierucha, że wszystkie okna zaszyły szronem, przypominając białe, matowe płyty nagrobne. Byli kochankami przez tydzień; ósmej nocy Oliver obudził się z bólem zęba, więc zszedł na dół, żeby podgrzać sobie szklankę mleka, ale już nie wrócił do łóżka, w którym spała Jade.

Jak ludzie w latach dwudziestych, siedzieliśmy w trójkę na werandzie, jedząc kanapki i pijąc mrożoną herbatę;

rozkoszowaliśmy się wietrzykiem oraz zapachem kwiatów, jaki unosił się w powietrzu, obserwowaliśmy sójki, które, skrzecząc ochryple, uparcie nad nami krążyły. Niebo miało niebieski odcień, głęboki i gładki niczym wewnątrz muszli, i tylko jedna biała chmurka zakłócała harmonię. Staralem się nie myśleć o Jade i Susan, o tym, co teraz robią. Cierpiałem, ale było to łagodne cierpienie w porównaniu ze stokroć bardziej tępym bólem, bólem nieznanym granic, który przedtem musiałem znosić. Siedziałem teraz na ocienionej werandzie, jedząc różne smakołyki. Nade mną błękit nieba. Sójki. Oliver zmrużył swoje chytne, niebieskie oczy i spojrzał na Colleen, która spytała go, czy lubi obozy wędrownie.

- David, jesteś tam? - Colleen udała, że puka do drzwi. - Halo?
- Pochyliła się do przodu i położyła mi na kolanie małą, pulchną dłoń.
- Nie przejmuj się Susan Henry, naprawdę nie masz powodu.
- Trudno się nie przejmować takimi typami jak Susan - wtrącił Oliver.
- Tak jak trudno się nie przejmować gripą albo przebitą oponą.
- Nie wyglądała groźnie - powiedziałem. - A nawet sprawiała wrażenie całkiem miłej dziewczyny.
- Miłej? - Oliver wzruszył ramionami, jakbym użył słowa, którego nie rozumiał.
- Fajnej. Normalnej, jak każda inna.
- Mniejsza o to - rzekła Colleen. Spojrzała na moje kolano i uśmiechnęła się, jakby widok swojej ręki przyjemnie ją zaskoczył. - Dla Jade liczysz się ty.
- Wiem o tym.
- Czyżby? - Patrzyła teraz na Olivera i czułem, że usiłuje go przejrzeć na wylot. - Czasem mężczyźni są tacy

ślepi, nie potrafią zrozumieć kobiety. Nie, nie powinnam mówić „mężczyźni”. Po prostu ludzie.

Akurat w tym momencie pod dom zajechał pomarańczowy volkswagen z opuszczonym, czarnym dachem. Przez boczną szybę widziałem włosy Jade opadające na biały kołnierzyk. Nic więcej nie byłem w stanie dojrzeć, wiedziałem jednak, że Susan siedzi twarzą do Jade, że rozmawiają i że rozmowa nie jest łatwa. Silnik szumiał cichutko,- w pewnej chwili Susan musiała niechcący nacisnąć pedał gazu, bo silnik zawył, warcząc niczym kosiarka w wysokiej trawie.

- No widzisz? Wcale nie trwało to długo - powiedziała Colleen. Wykonała taki ruch, jakby zamierzała sprzątnąć ze stołu talerze, ale rozmyśliła się i znów położyła ręce na oparciu wiklinowej kanapy. Założyłem nogę na nogę i obserwowałem samochód niczym matka, której dziecię wraca z randki później, niż obiecało.

- Czy to wóz Susan? - zastanawiał się na głos Oliver. - Wygląda na nowy. Tablice ma z Jersey. Ciekawe...

Nagle ogarnęła mnie nieśmiałość. Trudno mi było pogodzić się z myślą, że Jade i Susan siedzą tak blisko siebie. Mimo upału okna samochodu były zasunięte; poznałem to po białej, częściowo zdartej naklejce na szybie, a także po odbijających się w niej gałęziach drzewa. Zazdrość, którą starałem się opanować od wyjścia ze sklepu, powaliła mnie teraz niczym walizki spadające z półki, gdy pociąg zbyt raptownie hamuje. W gardle mi zaschło, palce miałem sztywne i lodowate. Tak intensywnie wpatrywałem się w samochód, że z wysiłku oczy zaszczyły mi łzami. Oliver wciąż dumał nad tym, czyją własnością jest wóz, bo przecież musiała go pożyczyć, ale od kogo? Nie potrafiłem skupić uwagi na słowach Olivera, ale cieszyłem się, że gada jak najęty.

Wreszcie drzwi się otworzyły i po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach Jade wysiadła z samochodu. Na koszuli, którą opierała się o gorące obicie, miała ciemne, mokre ślady potu. Brązowy, bawełniany pasek był z tyłu przekręcony: stałem się podejrzliwy - czy nosiła go tak od samego rana? Jade zamknęła za sobą drzwi. Susan mszyła, nie ostro i z warkotem silnika, tak jak się tego spodziewałem, lecz spokojnie, rozglądając się uważnie, mimo że jezdnia była zupełnie pusta. Patrzyłem na odjeżdżający wóz. Tylne siedzenie zavalone było zakupami. Dobry znak - a więc nie pojechały do Susan do domu.

Jade odwróciła się. Twarz bez wyrazu. Jak na zdjęciu do paszportu lub w przelotnym wspomnieniu. Miała na sobie džinsy, chodaki, niebiesko-białą koszulę z białym kołnierzem. Słońce znajdowało się tuż nad kominem i świeciło jej prosto w twarz. Zmrużyła oczy i dopiero teraz dostrzegła nas na werandzie.

Colleen pomachała jej ręką.

Rozłożyste krzaki sprawiały, że chodnik był węższy niż w istocie. Jade szła w stronę domu, wyciągniętą ręką dotykając soczystej brokatowej zieleni. Złoty łańcuszek - prezent gwiazdkowy od Susan - znikł z jej szyi. Potrząsając lodem w pustej szklance, wypilem ostatnie krople słodkiej herbaty.

- Drugie śniadanie na werandzie? - zagadnęła Jade, wchodząc po schodach.

- Nie mogliśmy się oprzeć pokusie - odparła Colleen. Jade skinęła głową.

- Żeby mnie poszpiegować? - spytała. - Łajdaki! - Była w ponurym nastroju, całkiem załamana i zmęczona, niczym lekarz wojskowy po przebadaniu całego pułku.

- Tak, wredni z nas podglądacze - zaintonował śpiewnie Oliver.

Jade uśmiechnęła się do niego kwaśno, z pogardą, po czym minęła nas i weszła do domu, zatrzasnąwszy za sobą osiatkowane drzwi.

Przez chwilę nie odzywaliśmy się. Bzyczenie pszczoł. Brzęk lodu w szklance.

- Czasem Jade nie przebiera w słowach - powiedziała Colleen, patrząc współczująco na Olivera.

- Zwłaszcza wtedy, gdy jej samej ktoś nadeptnie na odcisk - powiedział Oliver, zakładając jedną długą nogę na drugą.

Wstałem i nie odstawiając szklanki, mszyłem leniwie do drzwi. Położyłem rękę na małej gałce, ale nie przekręciłem jej. Przez powyciąganą siatkę w drzwiach, która sprawiała, że wszystko w środku było drobno pokreskowane niczym wizerunki na rycinach, zaglądałem do chłodnego, ocienionego wnętrza; patrzyłem na mahoniową balustradę, na wieszak z lustrem, na żyrandol w kształcie latarni.

- Pójdę do niej - powiedziałem, otwierając drzwi. Drewniaki tak strasznie hałasowały, że z werandy słyszałem kroki Jade na ostatnim piętrze. Biegłem cicho po schodach, pokonując dwa stopnie naraz. Tak jak w zimnym jeziorze zdarzają się ciepłe prądy, tak i w tym chłodnym domu na pierwszym piętrze znajdował się kawałek wolnej przestrzeni, gdzie panował jakby mikroklimat z gorącym, wilgotnym powietrzem. W łazience ktoś brał prysznic: pęd wody, czysty, melodyjny szum. Promienie słońca oświetlały blado-turkusowe łezki w półokrągłym oknie na półpiętrze; kiedyś Jade powiedziała, że świat oglądany przez stare szyby wygląda jak wspomnienie. Schody z partem na strych nie były w jednym pionie. Na drugim piętrze przeszedłem korytarzem niemal całą szerokość domu, zanim zacząłem się wspinać po wąskich, drewnianych stopniach, stromych i niczym nieprzykrytych, wszystkich

prawie czarnych, oprócz trzeciego, na którym przybito jasną sklejkę w kolorze zboża.

Jade stała przy ogromnym oknie w kształcie rombu, które znajdowało się w najniższej części strychu i wychodziło na podwórze z rosnącymi tam klonami oraz prowizorycznie zmontowanymi budami dla psów. Pochylona do przodu, opierała się rękami o framugę okna, niemal dotykając palcami sufitu. Kiedy zamknąłem za sobą drzwi, nie odwróciła się, nawet nie drgnęła; przestraszyłem się, że może źle zrobiłem, idąc za nią na górę. Zatrzymałem się na środku pokoju, pełen obaw i lęku. Po chwili jednak zmusiłem się, żeby podejść bliżej, gdyż tego właśnie oczekiwałem od Jade, gdybym to ja stał z czołem przyklejonym do szyby, a kiedy położyłem ręce na jej ramionach, odwróciła się gwałtownie i z tak niespodziewaną siłą wtuliła się we mnie, że aż mi zaparło dech.

Trzymaliśmy się w objęciach. Na dole trzasnęły drzwi. Za oknem, łopocząc głośno skrzydłami, przeleciała sójka, potem druga, trzecia i czwarta. Gładziłem delikatnie Jade po plecach. Stała zupełnie bez ruchu, obejmując mnie z brutalną siłą. Poszliśmy do łóżka i bardzo długo się kochaliśmy. Nie rozmawialiśmy ani o Susan, ani o niczym. Przywarłem do niej ustami, wewnętrzną stroną warg i tylną, bardzo miękką częścią języka, i gdy wstrząsnął Jade orgazm, przyszło mi do głowy, że w taki właśnie sposób kochały się z Susan. Ale ta myśl szybko przysła. Wiedziałem, że Jade jest ze mną. Miłość bowiem nie jest ślepa i kiedy wystrzeliłem mleczny płyn, poczułem, jak bardzo Jade mnie pragnie. Jacy byliśmy dla siebie w łóżku, co czuliśmy? Na pewno łączyło nas co innego niż na początku w Chicago. Chyba byliśmy mniej szczęśliwi. Dzielili nas śmierć i cztery lata rozłąki, romanse, sądy i szpitale, niewy-

słane listy i tysiące godzin strachu i zwątpienia, nadal jednak chcieliśmy być razem, chociaż - jak, już wspomniałem - byliśmy mniej szczęśliwi. A może nawet nie mniej. Może po prostu blask świadomości padał na nas pod innym kątem, nie zmniejszając naszego szczęścia, lecz czyniąc je mniej promiennym, i rzucał na nas cień, od którego wiało chłodem.

W końcu zasnęliśmy, a kiedy się obudziliśmy, na dworze wciąż było widno. Psy, które Jade opisywała w swojej pracy dyplomowej, ujadają w ogrodzie.

Cienie rzucane przez liście drżały na drewnianej podłodze niczym drobne, zimne fale na wodzie.

- Przepraszam, jeśli to spotkanie z Susan cię przestraszyło - powiedziała Jade.

- Przestraszyło. Ale tylko trochę.

- Wiesz, to śmieszne, ale kiedy krążyliśmy dziś z wózkiem po sklepie, pomyślałam sobie, że najbardziej ze wszystkiego lubię robić z tobą zakupy. Jest to taka codzienna, prozaiczna czynność, a jednak w środku cała drzę, dlatego że wykonujemy ją razem, ty i ja. Mam wrażenie, że popełniamy takie małe oszustwo. Chodzimy sobie między półkami jakby nigdy nic, wiedząc, że za godzinę możemy się znaleźć w łóżku i wyprawiać na golasa różne hece. - Wyciągnęła dłoń i pogładziła mnie po piersi. - Po prostu lubię, kiedy razem zajmujemy się codziennymi sprawami.

- Ja też to lubię.

- A co najbardziej podoba ci się we mnie? - spytała po chwili.

- Wszystko.

- Nie. Wiesz, o co mi chodzi. Podaj konkretne przykłady.

- Lubię patrzeć, jak się ubierasz, zwłaszcza rano, kiedy wychodzisz spod prysznicu i się śpieszysz. Podoba mi się, jak stoisz przed lustrem i zapinasz koszulę, uważnie obserwując przy tym swoje palce. Jak upychasz ją do spodni, wygładzając materiał, i jak przed wyjściem przyglądasz się sobie krytycznie. Podoba mi się, kiedy masz mokre włosy. Bierzesz do ręki kilka kosmyków, po czym niezwykle sprawnie i fachowo, jak zawodowa fryzjerka, potrząsasz nimi, zapewne po to, żeby szybciej wyschły. Wszystko robisz z tak niesamowitą energią, z tak niespożytym zapalem.

Wieczorem zaprosiłem Jade do restauracji na kolację. Zarabiałem dziewięćdziesiąt dolarów tygodniowo, sprzedając spodnie firmy Redmana, a nie tak dawno, w Chicago, płacono mi za pikietowanie przed sklepami prowadzącymi sprzedaż właśnie tych spodni. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, ale nie mogłem przecież pozostawać na utrzymaniu Jade i innych mieszkańców Gertrudy, a o pracę, jak zwykle, było trudno. Staralem się odradzać klientom kupno redmanowskich spodni, jednakże - choć pragnąłem, aby pracownicy Redmana zwyciężyli - potyczki związkowe były w tej chwili najmniejszym moim zmartwieniem. Pewnego dnia wysłałem na adres związku dziesięć dolarów oraz niepodpisany list z życzeniami dla pracowników Redmana i prośbą, aby przekazano pieniądze do kasy zapomogowej albo na fundusz strajkowy. Wkrótce po wysłaniu listu wpadłem w panikę. Przeraziłem się, iż jakoś dojdą do tego, że pieniądze przekazał chłopak, który kiedyś u nich pracował i nagle znikł. Odcyfrują stempel pocztowy... zawiadomią policję... wiedziałem, że to wszystko jest mało prawdopodobne, wręcz niemożliwe, mimo to moja bujna wyobraźnia bez przerwy podsuwała mi coraz to straszliwsze wizje. W każdym

razie wieczorem poszliśmy do restauracji zwanej U Rustiera, jakich pełno jest pod Stoughton, restauracji o ciężkich, solidnych meblach, grubych dywanach, hamburgerach, stekach, kotletach wieprzowych i ogromnej ladzie zastawionej sałatkami. Z umocowanego u sufitu koła powozu zwisały lampy, szklanki były w kolorze ciemnozłocistym, menu zaś miało kształt krytego wozu pionierskiego. Lokal wyraźnie urządzone był pod turystów, zupełnie jakby architekt wychodził z założenia, że mieszczuchom wieś kojarzy się z Dzikim Zachodem i kowbojami. Lubiliśmy ten lokal, bo wiedzieliśmy, że nie spotkamy tu żadnych znajomych. Zamawialiśmy najtańsze dania z karty, co nam dawało prawo do tego, aby nieograniczoną ilość razy podchodzić do bufetu i zjadać tyle sałatek z buraczków, cebulek i młodego groszku, ile tylko dusza zapragnie.

- Stać nas na deser? - spytała pod koniec posiłku Jade. Wciąż mnie wzruszało, kiedy mówiła „my, nas, nasze”,

zwłaszcza gdy mówiła to naturalnie, bez zastanowienia.

- Bo mam ochotę na szarlotkę polaną topionym serem.

- Dobrze. Ja też. Kawa?

- Nie. Wolę mleko. Szklankę zimnego mleka. Chcę się czuć jak dwunastoletnia dziewczynka.

Uśmiechnąłem się. Dwanaście lat. Dziewica. A właściwie dziewczyna tylko w sensie fizycznym. Zarabianie pieniędzy za pokazy taneczne, które dawała nago przed coraz to liczniejszą gromadą kolegów Keitha. Malowanie maskarą meszku pomiędzy nogami. Druga nagroda w ogólnomiejskim konkursie malarstwa dziecięcego zorganizowanym przez chicagowską „Tribune” i łzy przy ceremonii wręczenia nagród. Wpadka przy kradzieży książki pornograficznej z księgarni. Gdzie ja wtedy byłem? Mogliśmy być

razem, mogliśmy już wówczas być kochankami. Nie byłoby w tym nic złego. Wtedy też jej potrzebowałem, nie tak jak dziś, ale mimo to była mi potrzebna. Żyłem w ciepłe rodzinne. Jade miała dwanaście lat. W jej łóżku przyłapano Keitha, oboje leżeli tylko w bieliźnie. Hugh chwycił Keitha za włosy i wywlókł z pokoju. Jade krzyczała, Hugh wrzeszczał, na twarzy Keitha zaś malował się zimny strach, podobny do tego, jaki dławi ofiarę gwałtu pokazaną na zdjęciu w prasie.

Kiedy podeszła kelnerka, ubrana po kowbojsku, zamówiłem deser. Przypomniłem sobie, że w hotelu McAlpin kobiety, z którymi Jade jechała na górę windą, też miały na sobie stroje kowbojskie.

- Lubię tę restaurację - powiedziałem.

- Ja też. Chociaż wszystkie kelnerki cię uwodzą.

- To nieprawda.

- Och, ty mój biedny, mały naiwniaczku. Przecież sam widziałeś, jak szturchała cię biustem.

- Nie martw się. Pewnie miała wypchany.

- Nie żartuj. Wszystkie baby cię podrywają.

- Och, gdyby to tylko była prawda.

- Przestań. One wszystkie wiedzą, wszyscy wiedzą.

- Co wiedzą?

- Kim jesteś. Seksmaszyną.

Podeszła kelnerka z szarlotką, kawą dla mnie, mlekiem dla Jade. Stawiając na stole szklanki i talerze, nawet się do mnie nie zbliżyła.

- No widzisz? - spytała Jade, kiedy zostaliśmy sami.

- Co?

- Oj, nie chcę się z tobą sprzeczać. Po prostu nie dostrzegasz różnych rzeczy. I bardzo dobrze. Potrzebuję mężczyzny, który nie jest egoistą. A o takich dziś trudno.

- Ależ jestem egoistą.
- Wydaje ci się.
- Skończonym egoistą. Bo nie zważając na to, co się stało, ani na to, co ludzie o mnie mówili, pragnąłem być z tobą.
- To nie ma nic wspólnego z egoizmem.
- Właśnie że ma. Ponieważ uważałem, że zasługuję na ciebie. Ja i nikt poza mną.

- Zaraz się przez ciebie rozplaczę.
- Dlaczego?
- Dlatego, że umiesz trafić w najczulsze miejsce. Kiedy wyszliśmy, panowała już ciemna, bezgwiezdna noc. Parking znajdował się tuż przy autostradzie, a ponieważ w pobliżu nie umieszczono żadnych świateł czy też pomocniczych oznakowań, trzeba było bardzo wolno i ostrożnie włączać się do ruchu, żeby nie zajechać drogi wozom pędzącym osiemdziesiąt lub sto kilometrów na godzinę. Za każdym razem dziwiłem się, że parking przy restauracji może być aż tak niebezpiecznie usytuowany; pewnie architekci wychodzili z założenia, że skoro życie samo w sobie wiąże się z ryzykiem, nie ma sensu stawać na głowie, żeby je zmniejszyć. Szum pędzących wozów przypominający głośnie bzyczenie owadów. Zapach trawy i świeżej smoły. W radiu zespół The Beach Boys. Jade siedziała za kierownicą, czekając na moment, żebyśmy się mogli włączyć do ruchu. Głowę miała bardzo słabą, toteż po wypitym do kolacji piwie powieki jej opadały. Mijające światła wozów rzucały na twarz Jade biały blask. Wreszcie nacisnęła pedał gazu: nastawiłem się na szybką śmierć, ale mszyliśmy z piskiem opon i udało nam się bez wypadku włączyć do sznuru pojazdów.

Od domu dzieliło nas niecałe dziesięć kilometrów. W radiu szła stara piosenka Bobby Hebba, chciałem

zapytać Jade, czy ją pamięta, ale uznałem, że na pewno tak. Wciąż rozmyślałem o Susan Henry, choć teraz już na spokojnie, wiedziałem bowiem, że cokolwiek się stało, nie było to aż tak ważne. W restauracji miałem na końcu języka pytanie, czy przychodziły tu razem. Idiotyczne pytanie. Denerwujące i nieistotne. Opanowałem pokusę, aby je zadać, ale nie dawało mi spokoju, powracając uporczywie niczym czkawka.

Jade wyłączyła radio, kiedy spiker zaczął zachęcać młodzież do wstąpienia do wojska.

- Chcę ci podziękować - rzekła. - Domyśliłeś się, że nie mam ochoty rozmawiać o dzisiejszym spotkaniu z Susan.

- Ciężko było? Skinęła głową.

- Bardzo.

Poczułem, jak coś mnie ściska w dołku.

Zjechaliśmy z autostrady, minęliśmy starą, opustoszałą papiernię i skierowaliśmy się do domu. Jade pędziła zbyt szybko po wąskich uliczkach. Nie pasowało to do niej. Była gorącą zwolenniczką bezpiecznej jazdy, nawet silnik włączała dopiero wtedy, gdy pasażerowie pozapinali pasy. Różne myśli przychodziły mi do głowy: miałem przed oczami obraz Jade, która siedzi w wozie Susan, Susan, która wpada w sklepie na nasz wózek, potem zaczął mi się formować obraz o zabarwieniu lekko erotycznym - widziałem dotyk rąk, czułe uściski. Odsunąłem ten obraz od siebie. Jade pruć naprzód. Szczękę miała wysuniętą, oczy nieruchomo wpatrzone w drogę, ręce prosto wyciągnięte. Staralem się na nią nie patrzeć, bo wolałem nie wiedzieć, o czym myśli. Wystawiłem rękę przez okno i złączyłem palce. Czułem podmuch rześkiego nocnego powietrza, po-

dmuch silny i natarczywy, jakby napierała mi na rękę żywa istota.

- Przestraszyła mnie - usłyszałem nagłe, Jade wcisnęła palcem zapalniczkę, po czym chwyciła za kierownicę.

- Czym?

- Tym, co myśli. O nas. O mnie. Rozmowa z nią jest potwornie trudna, bo Susan zawsze uważa, że ma rację. I oczywiście często ją miewa. Jest niezwykle spostrzegawcza. Ale czasami gada zupełnie od rzeczy, z czego jej rozmówca nawet nie zdaje sobie sprawy, bo to, co Susan mówi, brzmi piekielnie przekonująco. Najpierw obiera cel, a potem rzuca się do ataku, a jeśli człowiek stawia choć najmniejszy opór, atakuje ze zdwojoną siłą. Pod tym względem trochę przypomina Keitha. Zawsze wszystko pamięta. I potrafi to wykorzystać. Tego Keith akurat nie robi. Keith może wygarnąć kilka przykrych rzeczy, jeśli uzna, że ktoś usiłuje go skrzywdzić, ale nigdy nie będzie starał się zdobyć władzy nad człowiekiem. To nie w jego stylu, a Susan właśnie o to chodzi.

- Co mówiła?

- Różne rzeczy. Ale to, co mnie najbardziej... Sama nie wiem. Powiedziała, że cię wykorzystuję.

- W jaki sposób?

- To skomplikowane. Nie, nie skomplikowane. Po prostu trudno mi o tym mówić. Wszystko ma związek z moją cholerną rodziną, z moim nastawieniem do niej. Susan twierdzi, że wykorzystuję cię przeciwko rodzinie, przeciwko wszystkim jej członkom. W możliwie najobrzydliwszy sposób. Żeby ich zniszczyć. Uważa, że podkładając ogień, działałaś jako mój wysłannik. Że faktycznie to ja podpaliłam dom.

- Nie, to była moja robota.

- Wiem, ale ona twierdzi, że uczyniłeś to, co ja chciałam. Ze odczytałeś moje myśli. Sam wiesz, że często się nam to zdarzało. Znaliśmy się na wylot. Susan twierdzi, że pragnęłam, aby coś takiego się stało, i że ty spełniłeś moje życzenie. Że od samego początku widziałam w tobie taką możliwość. Choćby po sposobie, w jaki oczarowałeś wszystkich domowników. Złościło mnie to, jeśli chcesz wiedzieć, że właściwie stałeś się członkiem rodziny. Zawsze było miejsce dla jeszcze jednej osoby, która się nie pojawiała. Zaakceptowali cię, zwłaszcza Anna. Która nadal jest po twojej stronie. Ale zrobiło się za ciasno. Znalazłoby się miejsce dla mojego kochanka, ale nie było miejsca dla nowego Butterfielda. A ty się nim stawałeś. Wiedziałam, że ci się uda, wiedziałam również, że prędzej czy później wszystko wybuchnie.

- Chyba tego nie mogłaś przewidzieć. Niepotrzebnie zrzucasz na siebie winę.

- A jednak wiedziałam. I tego pragnęłam. Nie żałowałam, gdy już się stało. Czułam się tak dziwnie. Byłam smutna, ale i szczęśliwa. Cieszyłam się, że rodzina się rozpadła. Nie sądziłam, że oznacza to kres rodziny, chociaż mogłam się tego domyślić. Ale przez pewien czas czułam ogromną, prawdziwą ulgę. Ulgę, jaką się czuje, kiedy wreszcie wygarnie się tę najohydniejszą rzecz, która zakradła nam się do serca, albo gdy zgubi się najukochańszy pierścionek. Słowem, kiedy najgorsze mamy za sobą.

- Czy to wciąż mówi Susan? Wygląda na to, że cię przekonała.

- Nie, nie przekonała. Zastanawiam się. A twoja obecność w Nowym Jorku, kiedy Hugh został zabity, jeszcze bardziej, z wiadomych przyczyn, komplikuje sprawę. Bo to tak, jakbyś znów był wykonawcą moich morderczych instynktów.

Wyrzależem przez okno. Minęliśmy właśnie Gertrudę, w której paliły się wszystkie światła, oprócz światła na strychu. Przekręciłem boczne lusterko i obserwowałem malejący w oddali dom. Kilkadziesiąt metrów dalej asfalt zamienił się w żwir - pędziliśmy w kierunku jedynych w okolicy prawdziwych farm. Z chwilą gdy wjechaliśmy na żwir, drobne kamyczki zaczęły strzelać nam spod kół i odbijać się o maskę wozu.

- Trochę wolniej - poprosiłem. Ale tak naprawdę to myślałem tylko o tym, żeby opowiedzieć Jade wszystko, co wiem, o śmierci Hugh. Pokusa, żeby się wypowiedzieć, była niemal hipnotyczna, tak silna jak chęć, która ogarnia człowieka stojącego na balkonie wieżowca, żeby skoczyć w dół. Wydawało mi się jednak, że akurat ten skok nie musi zakończyć się tragedią, że nie muszę liczyć na żaden cud, który przeczyłby wszelkim prawom natury, aby przeżyć. Sądziłem, że jeśli teraz wyjawię Jade całą prawdę, może to jedynie wyjść nam na korzyść: zbliżyć nas jeszcze bardziej do siebie, odpędzić to uporczywie powracające uczucie zakłamania, które co msz nad nami zawisa.

Minęliśmy pole kukurydzy, które w ciemnościach nocy wyglądało jak rozległa żółta plama. Nieduży dom, w oknach bawełniane zasłanki, przez które przebija światło z wewnątrz. Głośne, przejmujące ćwierkanie świerszczy. Ostatnie robaczki świętojańskie, które swoim fosforyzującym blaskiem przecinają wilgotną czerń nocy. Skończył się żwir i nagle znaleźliśmy się na wyboistej polnej drodze. Jade wciąż gnała osiemdziesiątką i stary wóz trząsł się niczym filiżanki na tacy. Dotarłszy do rozgałęzienia, skręciła w prawo. Przejechała jeszcze ze sto metrów drogą, która stawała się coraz bardziej nierówna, i nagle nacisnęła na hamulec,- stanęliśmy. Po jednej stronie drogi rosła

kukurydza, po drugiej stronie mieliśmy ogromne, zaorane pole, ciągnące się łagodnie do stojącego w oddali domu, którego małe okienka przyciągały wzrok swoim złocistym blaskiem. Niechcący Jade zdjęła nogę ze sprzęgła: samochód podskoczył i silnik zgasł.

- Nie wiem, dokąd jadę. - Pochyliła się do przodu i oparła głowę na kierownicy.

- Nie szkodzi.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, słuchając odgłosów nocy, które teraz rozbrzmiewały głośniejsz, zupełnie jakby ktoś nastawił je na pełny regulator. Wreszcie Jade się odezwała.

- Czasem wydaje mi się, że spadnie na nas wielkie nieszczęście. W niektórych związkach ludzie sami siebie niszczą, ale sądzę, że za bardzo się kochamy, aby coś takiego mogło się nam przydarzyć, jesteśmy przecież jakby jedną osobą. To, co nas zniszczy, będzie - moim zdaniem - znacznie potężniejsze od ciebie czy ode mnie. Tak, spadnie na nas wielkie nieszczęście, które nawiedza tylko miłość odwzajemnioną... boję się tego jak diabli.

Może powinienem był temu zaprzeczyć, pocieszyć Jade, że to nieprawda. Wierzyliśmy jednak, że nasza miłość pozwala wszystkiemu stawić czoło, zarówno śmierci, jak i losowi. Ale kiedy potakiwałem, poczułem dziwny skurcz, zupełnie jakby lekarz przed chwilą postawił mi straszliwą diagnozę.

- Nie za bardzo wierzę, że tak się stanie - powiedziałem. - A tymczasem...

- Tymczasem?

- Tymczasem możemy być razem i nie martwić się o przyszłość.

- Przestraszyła mnie Susan.

- Ludzi takich jak my, którzy stoją nad brzegiem przepaści, łatwo jest przestraszyć. - Chciałem przysunąć się bliżej, ale między nami znajdowała się skrzynia biegów. Jade znów oparła głowę na kierownicy, - kiedy ująłem ją za kolano, na rękę spadła mi pojedyncza, ciepła łza.

Zrozumiałem, że nie powiem Jade o ojcu, zrozumiałem również, że jeśli w świecie ludzkich uczuć istnieje jakakolwiek sprawiedliwość, nie zasługuję dłużej na to, żeby być z Jade. Miłość do niej nie była mi przynależna z racji mojego urodzenia, po prostu się przydarzyła. Jeśli miłość jest mostem, który łączy czas z wdzięcznością, będę musiał w przebraniu dostać się na drugą stronę.

Nie wiem, co dokładnie czuła wtedy Jade. Ale musiało to być podobne do tego, co ja czułem. Podniosła moją rękę i mocno do siebie przycisnęła.

- Chcę się kochać - szepnęła. - Teraz. Tutaj. Możemy, prawda? Nie w samochodzie. Na polu. Chcę cię czuć, chcę przeżyć chwile rozkoszy. David?

- Ja też - odparłem z bijącym sercem.

16

Jade kończyła studia jako ostatnia osoba ze swojego roku. Ta ważna chwila miała jednak nastąpić nie wcześniej niż w grudniu, Jade bowiem musiała się jeszcze uporać z pracą dyplomową i zdobyć zaliczenie z trzech przedmiotów, które opuściła na drugim i trzecim roku. Nie wiem, w jaki sposób władze uniwersyteckie chciały wręczyć jej dyplom, zapewne zamierzały wysłać go pocztą na adres, pod którym Jade od dawna nie będzie już mieszkała. Nie miała

sprecyzowanych planów na przyszłość, właściwie nigdy o tym serio nie rozmawialiśmy.

Pomimo że koniec był tak blisko, Jade często myślała o tym, żeby rzucić studia i wyjechać ze mną gdzieś daleko, zamieszkać na jakimś odludziu w Maine, wyruszyć na południowy zachód, przeprowadzić się do obcego miasta, udać do Europy. Zdawałem sobie sprawę, iż powinienem się temu stanowczo sprzeciwić, zachęcać Jade, żeby jeszcze wytrzymała przez te kilka miesięcy, ale ja też marzyłem o wyjeździe ze Stoughton i o życiu w świecie, który byśmy sami stworzyli. Czasem kiwałem głową, kiedy groziła, że przerwie studia, ale nawet wtedy, gdy starałem się wyperswadować jej ten pomysł, głos mi drżał, zdradzając, iż w głębi serca najbardziej pragnę zamieszkać z Jade we dwójkę, prowadzić dorosłe, samodzielne życie. Nie chciałem mieszkać w Gertrudzie otoczony ludźmi, bez względu na to, jak bardzo ich lubiłem. Nie odpowiadało mi spokojne życie miasteczka uniwersyteckiego i złościło to, że Jade musi godzinami słuchać profesorów, pozwalając, aby kształtowali jej umysł. Może po prostu byłem zazdrosny o władzę, jaką miała nad nią uczelnia, i o różne możliwości, które przed nią otwierała, lecz nie sądzę, by akurat właśnie to mi najbardziej przeszkadzało.

Zastanawiałem się nad tym, czy razem nie zacząć gdzieś studiować. Kiedy kończyłem szkołę średnią, zostałem przyjęty na University of California w Berkeley - chciałem, żebyśmy mogli tam teraz pojechać, zająć dwa biurka i ustawić je tak, aby siedzieć do siebie twarzami. Jade mogłaby pisać doktorat z etologii, ja zaś chodziłbym na wykłady z astronomii. Co prawda mój zapał i młodzięcze ambicje nieco zmalowały, ale byłem głęboko przekonany, że pewnego dnia znów we mnie ożyją.

Tymczasem jednak toczyło się normalne życie, mieliśmy krótkie lato, typowe dla Vermontu, gdzie nawet w lipcu poranki są chłodne, a Jade ślęczała nad swoją zawiłą pracą dyplomową.

Byłem asystentem Jade i codziennie - rano przed wyruszeniem do pracy oraz wieczorem po powrocie - doglądałem psów mieszkających w budach, które Jade wybudowała dla nich na podwórku za domem. Podwórko, niewielki, równoboczny kawał ziemi o powierzchni mniej więcej pięciuset metrów kwadratowych, porośnięte było tyłoma ogromnymi klonami, że ledwo rosła tam trawa. Widać było tylko mleczkę i kurz, a jeśli znad ziemi wystawała jakaś kępka zieleni, to nikt nie miał serca jej ścinać. Jade skonstruowała budy i wybiegi dla zwierząt z drutu, sklejki, papy i siana,- wszyscy domownicy z niecierpliwością oczekiwali końca eksperymentu, żeby wreszcie rozebrać tę miniaturową psią osadę. W dodatku Jade nie pozwalała nikomu głaskać szczeniaków czy nawet się do nich zbliżać; ponieważ badała różnice w zachowaniu się psiaków wychowywanych przez ślepą matkę i przez zdrową sukę, bała się, że nierówne dawki pieczyoty mogą unieważnić jej odkrycia. Kiedy sama robiła obchód, mierzyła sobie stoperem czas, starając się spędzić przy każdym szczeniaku równo trzydzieści sekund, ani chwili więcej, ani chwili mniej. Pozwalała mi się bawić z maluchami, ale stała nade mną ze stoperem i gdy mijało pół minuty, mówiła chłodnym, beznamiętnym głosem: „Następny”.

Jednakże w dość wczesnym stadium eksperymentu stało się jasne, że wyniki badań nie wykażą zbytnich rozbieżności i nie będą miały większego znaczenia naukowego. Za sprawą swojego profesora, który poparł projekt badań, Jade znalazła się w impasie - zresztą może o to

facetowi chodziło? Kiedy zdała sobie sprawę, że eksperyment nie przyniesie żadnych doniosłych wyników, ogarnęła ją straszliwa rozpacz i wstyd - jeszcze nigdy nie była tak blisko rzucenia studiów i wyjechania w nieznane, żeby rozpocząć nowe życie. Lecz nie pozwoliłem jej przerwać nauki i wkrótce wpadła na pomysł, że opíše w pracy wszystkie wady tego typu przedsięwzięcia, słowem zajmie się analizą porażki, trochę tak jak dziennikarz, który zamiast przedstawić wywiad ze sławną osobą unikającą prasy, pisze długi artykuł o tym, jak to nie udało mu się przeprowadzić wywiadu.

Ale i z tego pomysłu zrezygnowała. Kiedy wreszcie zasiadła do pisania, praca miała tytuł *Obserwacja psów i siebie* i była to chyba pierwsza autobiograficzna praca dyplomowa w historii etologii. Ponieważ straciła nadzieję na uzyskanie pożądaných wyników, Jade przemyślała wszystko od nowa i postanowiła opisać swoją reakcję na oba mioty. „Tak by postąpił Hugh” - oświadczyła pewnej nocy, kiedy podjęła decyzję.

„Psy - napisała - to lustro, w którym więcej można ujrzeć niż w tafli wody lub w szybie. W lustrach, które odbijają światło, widzimy trochę subiektywną wersję siebie dziś oraz siebie w przyszłości. Psy zaś ukazują nasze uczucia, nasz stosunek do życia i naszą przeszłość. Zwierzęta to my w wieku niemowlęcym. Pies wyjący do księżycy to nasze najprawdziwsze ja...” Obserwowaliśmy psiaki, opiekowaliśmy się nimi, kochaliśmy je, lecz gdy coś zaczynało zagrażać ich zdrowiu, porzucaliśmy role obserwatorów i wkraczaliśmy do akcji. A to karmienie butelką, a to usztywnianie złamanej łapki. Uwielbialiśmy te psy, zarówno suki, jak i szczeniaki, i cieszyliśmy się, że możemy poprzez nie wyrażać naszą miłość. Psiaki

były naszą metaforą. Tuląc je do piersi, patrzyliśmy sobie w oczy; rozmyślaliśmy nad sobą, rozmyślając nad nimi. Wieczorami zaś, kiedy Jade, kołysząc się niczym rabin pogrążony w modlitwie, robiła długie notatki do pracy, ja leżałem na łóżku, obserwując ją i starając się odtworzyć w pamięci swoje dzieciństwo i rzeczy, których uczyłem się w iście żółtym tempie. Chyba nikt nie miał tak potwornie nudnego dzieciństwa jak ja, ale biorąc przykład z Jade, próbowałem zastanowić się nad pierwszymi latami mojego życia, przypomnieć sobie opowieści, jakie wciskałem psychiatrom, i uczciwie je przeanalizować.

„Ślepa matka - pisała Jade. - Zmysł wzroku bez oczu. Postrzeganie bez patrzenia. Niezwykły pierwotny instynkt. Ślepa matka zjadająca łożysko. Niemal krzyknęłam na Królową, żeby przestała. Myślałam, że pożera pierwszego szczeniaka, Vladimira. Akt autokanibalizmu. Jesteśmy częścią matki, która zabiera to, co chce zabrać, to, co jej się nie podoba, usiłuje zniszczyć; na dzieci więc składa się tylko to, co zdołało przetrwać. Nasz pierwszy wysiłek - wydostanie się z matki, drugi, który właściwie trwa bez przerwy - pozostanie na zewnątrz, przeciwstawianie się ponownemu wchłonięciu...”

- Właśnie to chcę robić - oświadczyła pewnego wieczoru, kiedy skończyliśmy ważyć szczeniaki i wracaliśmy do domu. - Po raz pierwszy wiem, naprawdę wiem, co mnie pociąga: studiowanie zwierząt.

- Zawsze myślałem, że tego chcesz.

- Nie. Niby chciałam, ale coś mi w tym wszystkim przeszkadzało. Nie lubię badań naukowych. Nie nadaję się do takiej pracy. Pod tym względem jestem podobna do Hugh. Pewnie dlatego nie został normalnym lekarzem, a homeopatą. Homeopatia to dziedzina bardziej intuicyjna

i osobista. - Wzięła mnie za rękę, zwolniła kroku i przytuliła do siebie. - A tego właśnie pragnę. Chcę obserwować świat. Chcę widzieć rzeczy, których większość ludzi nie dostrzega. Od czasu do czasu chciałabym zaszyć się na kilka miesięcy w lesie i żyć w świecie przyrody. Słuchać, jak sowy pohukują, patrzeć, jak jelenie upijają się, jedząc zgniłe jabłka. Widzieć wszystko w swojej naturalnej postaci i poznać siebie taką, jaka jestem. Będę się uczyć, zdobędę wykształcenie, żeby ludzie traktowali mnie poważnie i może nawet płacili mi za moją pracę. Ale tak naprawdę to chcę dyskutować o tym, co czuje konik polny. - Uśmiechnęła się i ścisnęła mnie za rękę.

Wzięliśmy na górę butelkę białego wina. Jade robiła notatki, podczas gdy ja, sącząc wino, czytałem opowiadania Izaaka Babla. Potem Jade przysiadła na łóżku i razem dokończyliśmy butelkę. Wino nie lubi zostawać na dnie - nie pamiętam, które z nas to powiedziało.

- Czy zawsze będziesz moim asystentem? - spytała Jade.

- A będziesz mi płacić?

- Połowę.

- Zgoda.

- A moim mężem?

- Jemu też trzeba będzie płacić - odparłem.

Jade uśmiechnęła się i położyła na łóżku, z rękami pod głową i bluzką mocno opiętą na piersiach. Milczała.

- Chciałbym się z tobą ożenić. - Po raz pierwszy od lat poruszyliśmy ten temat.

- Małżeństwo? Mało jest szczęśliwych małżeństw. Nie o to mi chodziło. O coś całkiem innego. O wychowywanie z tobą szczeniaków. O to, że od początku razem uczestniczymy w ich młodym życiu. Wydaje mi się, że byłbyś wspaniałym ojcem.

- Chciałbym mieć dzieci podobne do ciebie - powiedziałem, zniżając głos niemal do szeptu.

- Wystarczy tylko... to naprawdę bardzo proste, ot i byłoby po wszystkim. Bez względu na okoliczności, byłoby to za nami. Dziecko! Boże, chyba oszalałam, ale chcę mieć dziecko. Naprawdę tego chcę. Mam wrażenie, że dopóki nie jest się matką, jest się wciąż córką, a to strasznie głupie uczucie.

- Wiem. Ja też nie najlepiej czuję się w roli córki.

- Nie żartuj. Możemy zmienić świat, a ty sobie żarty stroisz.

- Z nerwów.

- To żaden powód.

- Słuchaj, jeśli pragniesz dziecka, zrobimy je.

- Nie. To nie może być moja decyzja, moja chęć czy wola. Powinna być wspólna.

- Jest wspólna. Wiele bym dał, żeby być dzidziusiem, który rośnie w twoim brzuchu. To byłoby jeszcze lepsze niż małżeństwo.

- Tak, to chyba kolejny krok. Możemy się pieprzyć aż do śmierci, ale po pewnym czasie zapal ostyga, prawda?

- Mnie nie minie.

- Nie teraz i nie zaraz, ale później na pewno tak. Sama nie wiem, co myśleć o ludziach bezdziejnych. Patrzę na nich, jakby popełnili oszustwo.

- Nawet gdyby już nic się w moim życiu nie zmieniło, nadal uważałbym, że nie zasłużyłem na tak wspaniały los.

- Najbardziej chyba podnieca mnie naturalność tej sytuacji - oświadczyła Jade. - Jej prostota, łatwość i doskonałość. Nie wkładam krążka, kochamy się jak zwykle i nagle cały świat się zmienia. To jest naprawdę strasznie fascynujące, David. Czuję się tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy w życiu myślałam o seksie, bazując jedynie na

zasłyszanych opowieściach, jednym zdjęciu porno i własnej wyobraźni.

Tej nocy krążyły nad nami dusze nienarodzonych dzieci, jakby powiedziała Anna. Jade przyszła do łóżka bez krążka i zaczęliśmy się kochać z powagą i skupieniem, jakiego w życiu nie znaleźliśmy. Tak właśnie wyglądałby pierwszy stosunek miłosny, gdyby ludzie od urodzenia posiadali rozwinięte zdolności seksualne; chociaż nie, nawet pierwsze przeżycie erotyczne nie działa tak podniecająco jak to, gdy dwoje ludzi kocha się bez użycia żadnych środków antykoncepcyjnych. Wygrywaliśmy na naszych ciałach długie, melancholijne melodie, usiłując za pomocą chemii oraz losu stworzyć nowe ludzkie życie. Całkiem odmienna gama instynktów; miałem wrażenie, że mój wytrysk szybuje znacznie dalej i głębiej niż kiedykolwiek. Świat oparty na ryzyku i wysiłku. Seks nie wznosił nas ponad czas, lecz sprawiał, że płynęliśmy jak na fali, dryfując od naszych początków aż po niejasne zarysy czyjejs przyszłości.

- Jeszcze - powiedziała Jade, gdy oboje skończyliśmy. - Czuję się jak pies. Żadnej samokontroli.

To było przeznaczenie, a nie przyjemność. Kochaliśmy się niemal w milczeniu, przez cały czas patrząc sobie w oczy. Dawniej kochankowie wierzyli, iż podczas aktu miłości dusza ucieka im z ciała - my też obejmowaliśmy się mocno, jakby w obawie, że to nastąpi. Nie pamiętam, ile razy tej nocy zaczynaliśmy od początku, ale kochaliśmy się przez wiele, wiele godzin, kochaliśmy się z tą samą niespożytą energią i bez opamiętania, jak podczas pierwszego miesiąca w Chicago, kiedy to Jade chodziła z sińcami na plecach, a mnie kręciło się w głowie z niewyspania. Modliliśmy się gorąco o potomka, ale nic z tego nie wyszło. Nazajutrz doszliśmy do wniosku, że postąpiliśmy zbyt

impulsywnie, i znów wróciliśmy do antykoncepcji. Musieliśmy poczekać do końca miesiąca, żeby się przekonać, czy próba poczęcia powiodła nam się, czy nie. Ja byłem pewien, że tak, jednakże nie miałem racji. Po dziesięciu dniach Jade poczuła bóle w krzyżu, które zawsze poprzedzały jej miesiączkę.

- Cieszę się - oświadczyła. - Mamy zbyt wiele spraw na głowie, żeby jeszcze teraz zajmować się dzieckiem. Moja rodzina nawet nie wie, że jesteśmy razem. Ty musisz załatwić wszystko z policją, a ja skończyć studia i zastanowić się, co dalej. Ty zresztą też, bo chyba nie chcesz całe życie sprzedawać spodni w sklepie.

Dostała miesiączki, akurat kiedy jedliśmy drugie śniadanie na trawniku przed kościołem prezbiteriańskim w pobliżu mojej pracy.

- Muszę iść do kibla - powiedziała, odkładając kanapkę z sałatką jajeczną. Spojrzeliśmy na siebie i wzruszyliśmy ramionami. Wstałem, wziąłem Jade za rękę i podciągnąłem na nogi. Staliśmy objęci. - Nie jestem pewna - dodała szeptem.

Nie bardzo rozumiałem, czego nie jest pewna: tego, czy jest w ciąży, czy tego, że będzie miała okres. Ale nie pytałem. Pragnąłem dziecka, choć sam nie wiedziałem dlaczego. Jednakże chęć posiadania potomka nie mogła zlikwidować licznych przeszkód na naszej drodze życia, tak jak owe przeszkody w żaden sposób nie mogły zmniejszyć mojej chęci. Cóż miałem powiedzieć? Po prostu tuliłem Jade do siebie, a serce waliło mi w zdwojonym tempie.

Dwunastego sierpnia 1973 roku była szósta rocznica pożaru; co roku w tym dniu Butterfieldowie zjeżdżali się

w jedno miejsce - tym razem mieli się spotkać u Keitha, którego dom w Bellows Falls położony był niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów od Stoughton. Aż do jedenastego wieczorem Jade była zdecydowana nie jechać. Wciąż ukrywała przed Anną i braćmi, że znów jesteśmy razem - chociaż głowę bym dał, iż Anna się tego domyślała - a rocznica pożaru nie była akurat najlepszym momentem do wyznania im całej prawdy o nas. Poza tym nie chciała spędzać całego dnia z rodziną, pomniejszoną o Hugh, udając, że wszystko jest po staremu.

- Nienawidzę wizyt u Keitha. Złości mnie, że mieszka tak blisko, złością te różne prace, które wykonuje, żeby mieć pieniądze na dom. Nienawidzę jego zdjęć i pamiątek rodzinnych. Uważa nas za Romanowów czy co? I nienawidzę jego domu, tak samo jak on go nienawidzi. Za każdym razem oprowadza nas po nim, wskazując liczne braki i usterki. A to tynk się sypie koło kominka, a to na ścianach robią się zacieki, to znów podłoga gnije. Mieszka w chałupie zbudowanej w 1825 roku i chce, żebyśmy się przejmowali tym, że nie jest w idealnym stanie.

Dwunastego rano obudziłem się na dzwonek budzika i zobaczyłem, jak Jade wrzuca ubranie do czarnej ortalionowej torby podróżnej. „Pewnie wrócę wieczorem, ale z moją rodziną nigdy nic nie wiadomo” - powiedziała. Chociaż wiedziałem, że spóźnię się do pracy, odprowadziłem Jade na dworzec autobusowy. Oboje byliśmy zdenerwowani. Nasza pierwsza rozłąka od wiosny. Mimo że autobus jechał do Bostonu, prawie wszystkie miejsca były wolne. Kierowca, wysoki szpakowaty mężczyzna, wyglądał jak pilot. Co sprawiło, że zamiast latać nad chmurami prowadził autobus? Jade stanęła na dolnym schodku i przytuliła mi głowę do piersi.

- Nie wiem, co zrobię, jeśli zaczną mówić o tobie - rzekła. - Na ogół mam wtedy ochotę ich wszystkich powystrzelać. Pewnie od razu się przyznam, że jesteśmy razem, i niech sobie myślą, co chcą.

Kiedy wróciłem z pracy, zastałem pusty dom. Colleen, której matka zamierzała przebudować stary garaż na pokój gościnny, wyjechała z Oliverem do Fishkill, gdzie Oliver miał udawać stolarza. Anemona Grommers bawiła w Grecji. Nina Sternberg była w Los Angeles. Inni załatwiali jakieś sprawy na mieście. Nakarmiłem psy. Za kilka dni będzie można oddać szczeniaki i rozebrać budy. Siedząc w ogrodzie za domem, obserwowałem maluchy, które się gryzły, i rozmyślałem o tym, jak blisko - właśnie dzięki tym szczeniakom - Jade i ja byliśmy od założenia rodziny. Wiedziałem, że to istne szaleństwo, aby widok psiaków tak na nas podziałał, ale wzruszyła mnie nasza wrażliwość.

Z początku nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale każda myśl, która przychodziła mi do głowy, przemawiała za tym, abym zadzwonił do rodziców. Wkrótce po przyjeździe do Stoughton wysłałem im dwa krótkie listy - jeden do Arthura, drugi do Rose - żeby się o mnie nie martwili. Prosiłem Miriam Key, która akurat jechała z wizytą do siostry w Toronto, żeby gdzieś po drodze wrzuciła listy do skrzynki, nie chciałem bowiem, aby stempel pocztowy zdradził mój adres zamieszkania. Kiedy człowiek żyje poza prawem, wydaje mu się, że jest strasznie ważną osobą; przez dłuższą chwilę siedziałem w kuchni przy telefonie, zastanawiając się, czy policja zdoła wykryć, z którego aparatu dzwoniłem do domu. Czuję się jak bohater sentymentalnego romansidła, który naraża się na więzienie - a nawet na śmierć! - żeby tylko usłyszeć głos mamusi. Wreszcie jednak dosięgły mnie prawa cywilizacji. Z jednej strony natura obdarzyła nas taką

żądzą, że nawet zaciekły wróg kobiet pragnie się rozmnażać, z drugiej zaś takimi wyrzutami sumienia, że czasem nawet lekkoduch podejmuje słuszną, trudną decyzję. Wykręciłem numer na Ellis Avenue i po piątym dzwonku odebrała Rose. Zapewne przerwałem jej popołudniową drzemkę, bo z każdego pokoju było przecież blisko do telefonu. Matka miała cichy, potulny głos niczym mała dziewczynka, której zabroniono podnosić słuchawkę.

- To ja - oznajmiłem.

Rose milczała; przez dłuższą chwilę panowała cisza. Początek słowa. Następnie rzuciła słuchawkę, przerywając połączenie.

Siedziałem przy telefonie trochę zdenerwowany, lecz bynajmniej nie zaskoczony reakcją Rose. Wyobrażałem sobie, jak drobnymi dłońmi zakrywa twarz, po czym podnosi słuchawkę, żeby sprawdzić, czy wciąż jestem na linii. Znow ją odkłada. Modli się, żebym zadzwonił po raz drugi. Zamiast martwić się tajemniczym zniknięciem syna, Rose - co było dla niej bardzo typowe - czuła się urażona, a kiedy usłyszała mój głos, normalny i niezakłopotany, przypomniała sobie, że ją odtrąciłem, i zrobiła się zła, iż nie dostrzegam drobnych niuansów jej matczynej miłości. Ofiarowała mi lojalność oraz szansę stania się lepszym człowiekiem, ja zaś uważałem jej powściągliwość za chłód i wołałem wylewną miłość ojca,- tak, wołałem szczery, serdeczny uścisk od zimnych rad i wskazówek.

Ponownie wykręciłem numer do rodziców. Tym razem odebrał Arthur i ja z kolei zaniemówiłem ze zdziwienia.

- Halo? - Powtórzył ze dwa lub trzy razy.

- To ja.

- David. Mój Boże. Nie mogę... Gdzie jesteś? Nie. Możesz nie odpowiadać. Nie mam prawa...

- Jestem cały i zdrowy. Wszystko dobrze, a nawet lepiej niż dobrze.
- Dzwonisz z Chicago?
- Nie. Z innego miasta. Czy ktoś mnie szuka?
- Nie wiedzieliśmy, gdzie cię szukać. Dziadek chciał wynająć prywatnych detektywów... Daliśmy ogłoszenie do kilku pism młodzieżowych.
- Chodzi mi o to, czy policja mnie szuka.
- Jakoś to załatwimy. Wracasz do domu?
- Co się stało? Dlaczego jesteś u mamy?
- Wyprowadziłem się ze swojego mieszkania. Mieszkanie to dużo powiedziane. Ze swojej klitki.
- A Barbara? - spytałem, lecz domyśliłem się, zanim zdążył mi odpowiedzieć.
- Nie żyje - odparł po krótkiej przerwie. - Umarła parę dni po twoim wyjeździe. O trzeciej nad ranem. We śnie.
- Usiłowałem wstać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Rose podniosła drugą słuchawkę. Siedziała na łóżku w sypialni: poznałem to po ochrypłym buczeniu klimatyzatora.
- Skąd dzwonicz? - spytała.
- Mamo, nie martw się o mnie. Dzwonię, żeby wam powiedzieć, że u mnie wszystko gra.
- Wszystko gra? Bardzo się cieszę. A nie przyszło ci do głowy, że może u nas nie wszystko gra? Tak. O tym nie pomyślałeś.
- Rose - wtrącił ostrzegawczo Arthur.
- Wracaj do domu, i to szybko. Może jeszcze nie jest za późno. Może jeszcze jest czas.
- Na co?
- Na to, żeby naprawić to, co nabroiłeś. Na to, żeby służyć nam pomocą. Żeby choć raz być kochającym synem.

Gdzie jesteś? U tej małej... - urwała, zostawiając resztę mojej wyobraźni.

- Wreszcie jestem szczęśliwy. Jak dawniej. Czuję, że znów żyję.

- Jeśli tak bardzo cenisz życie, to lepiej wracaj do domu. Jak mam ci to powiedzieć?

- Rose, proszę cię - zaproponował Arthur. - David? Nie musisz tu przyjeżdżać. Ale na wszelki wypadek powiedz, gdzie mieszkasz. To straszne nic o tobie nie wiedzieć. Obiecuję, że nie będziemy dzwonić ani zawracać ci głowy. Jesteś dorosły i sam o sobie decydujesz, szanujemy to, ale...

- Do diabła! - zdenerwowała się Rose.

- ...ale przykro nam, że nie znamy twojego adresu, że nie mamy jak, gdyby wydarzyło się coś bardzo ważnego, porozumieć się z tobą.

- Jego to nic nie obchodzi! - zawołała Rose. - Grunt, że on wie, gdzie my jesteśmy, i jeśli czegoś będzie potrzebował, wystarczy, że sięgnie po telefon, a my czym prędzej pognamy mu na ratunek.

- Ta rozmowa mnie sporo kosztuje - powiedziałem.

- A nie mam zbyt wiele pieniędzy.

- Na tyle jednak miałeś, żeby rzucić pracę i wyjechać

- zauważyła Rose.

- Dobrze, podam wam adres. Zapiszcie sobie i z wiadomych powodów nie mówcie nikomu. Mieszkam w Stoughton, w stanie Vermont. - Przekazałem im jeszcze numer telefonu.

- Dajesz sobie radę? - spytał Arthur.

- Słuchaj, tylko sam sobie szkodzisz, nie chcąc wrócić i załatwić wszystkiego. - Głos matki złagodniał; nie spodziewała się, że ustąpię im w sprawie adresu.

Wkrótce się pożegnaliśmy. Obiecałem, że znów zadzwonię, lecz nikt nie nalegał, abym określił, kiedy to nastąpi. Wyszedłem do ogrodu pobawić się z Korą i Królową, które - odchowawszy szczeniaki - zachowywały się jak dawniej. Mały Królowej był przeziębiony i w kącikach niebieskich oczu gromadziła mu się ropa. Przetarłem je i przytuliłem szczeniaka do piersi, całkiem niepotrzebnie zaniepokojony jego stanem zdrowia. Wiedziałem, że maluchy świetnie się chowają, ale każdy najmniejszy „defekt” przejmował mnie dreszczem. „Biedna żabo” - powtarzałem w kółko. Swoimi ostrymi jak igły ząbkami psiak ogryzał mi kciuk i gdy wreszcie za bardzo zaczęło mnie boleć, oddałem go matce, która jednym pociągnięciem długiego jęzora przewróciła malca na grzbiet.

Nagle zadzwonił telefon. Pobiegnę do kuchni, choć na ogół aż tak mi się nie śpieszy z podniesieniem słuchawki. Minęło niewiele ponad godzinę, odkąd rozmawiałem z domem, ale nie zdziwiłem się, słysząc na drugim końcu linii głos Rose:

- David, ojciec miał zawał.

Odczekałem do ósmej wieczór, po czym, choć bardzo tego nie chciałem, zadzwoniłem do Bellows Falls. Telefon odebrał Keith. Wiedział, kto mówi, ale nie zareagował gniewem. „Zaraz ją poproszę” - rzekł, wzdychając, jakby przez cały dzień były telefony do Jade. Powiedziałem jej o Arthurze, na co odparła, że zaraz do mnie oddzwoni. Zadzwoniła po kilku minutach z wiadomością, że następny autobus do Stoughton odchodzi za piętnaście jedenasta nazajutrz rano. Już wcześniej zrobiłem rezerwację na samolot do Chicago, który odlatywał z Albany o dziewiątej rano.

Jade podała mi telefony znajomych, od których mógłbym pożyczyć wóz i przyjechać po nią do Keitha. Ale było to ponad moje siły. Powiedziałem jej, że kładę się wcześniej spać, żeby o szóstej rano wyruszyć do Albany, które znajdowało się tylko o godzinę drogi od Stoughton, lecz mnie czekała podróż autostopem. Żegnając się, obiecałem, że wrócę najdalej za tydzień. Jade zaś obiecała, że gdyby mój pobyt miał się przedłużyć, przyjedzie do Chicago, żeby być ze mną. Znów się pożegnaliśmy; szeptem, bo rodzina była w pobliżu, powiedziała, że mnie kocha.

Spakowałem niedużą walizkę. Ubranie w większości miałem nowe i jakoś nic na mnie dobrze nie leżało. Odnalazłem bilet powrotny do Chicago; w gotówce posiadałem około trzydziestu dolarów. Przed pójściem spać zadzwoniłem do Rose zawiadomić ją, że jutro wyląduję na lotnisku O'Hara. Słuchawkę podniosła przyjaciółka matki, Millicent Bell, która dyżurowała przy telefonie, kiedy Rose siedziała w szpitalu przy łóżku Arthura.

Przez długi czas nie mogłem zasnąć. Zastanawiałem się, czy Jade nie wpadnie na jakiś szalony pomysł, na przykład czy nie wróci do domu autostopem, żeby zobaczyć się ze mną, zanim wyjadę. Czekałem na nią, starając się przewyciężyć znużenie, a gdy się zdrzemnąłem, poczułem, jak budzi mnie pocałunkiem. Ale to był tylko sen.

17

Rose wyszła po mnie na lotnisko, umalowana i ubrana w granatowe buty na wysokich obcasach oraz ciemne

pończochy, zupełnie jakby była jesień. Odwróciwszy nieco twarz, uścisnęła mnie na powitanie.

- Musimy się pośpieszyć - rzekła. - Zaparkowałam w niedozwolonym miejscu i nie chcę dostać mandatu.

Tak głośno stukała obcasami o twardą, szarą podłogę, że kilka osób rozejrzało się wkoło, zaintrygowanych hałasem. Musiałem niemal biec, żeby dotrzymać jej kroku.

- Jak ojciec?

- Czeka na ciebie. Leży w szpitalu Jackson Park. Straszne miejsce, ale... - Spojrzała na mnie wymownie: „ale tam umarła jego kochanka” - wyczytałem z jej oczu.

- Jak się czuje?

- Nie jest już młodzieniaszkiem. Pracował bardzo ciężko, żeby pomóc w utrzymaniu dzieci tamtej kobiety. W dodatku te ciągłe kłopoty z tobą. Nie chodzi mi o te kilka ostatnich miesięcy, lecz o całe lata. Tamta kobieta go omotała i oto mamy wyniki. Że nie wspomnę już o...

Wyszliśmy na zewnątrz przez grube szklane drzwi i od razu buchnął w nas żar, żar przesiąknięty zapachem benzyny i kurzu. Wycie klaksonów. W pobliżu robotnicy naprawiali drogę prowadzącą na lotnisko i w powietrzu unosił się odór smoły. Słońce pulsowało za nisko zawieszonymi na niebie chmurami. Parking znajdował się dość daleko, więc Rose zostawiła wóz naprzeciw budynku lotniska, w miejscu przeznaczonym dla autobusów. Policjant, który wyglądał dość śmiesznie i niepozornie na swoim małym, niebiesko-białym skuterze, właśnie wypisywał mandat.

- Panie władzo! Panie władzo! - zawołała Rose, biegnąc w stronę samochodu. - Ratunku!

Glina podniósł wzrok; piegowata twarz o jasnych brwiach pozostała niewzruszona.

Rose wymachiwała nad głową rękami.

- To mój wóz! - krzyknęła. - Proszę mi nie dawać mandatu. - Nie bacząc na ruch, przebiegła przez jezdnię i stanęła przy policjancie.

- Za późno - oznajmił, pokazując Rose książeczkę z mandatami. - Widzi pani? Już zapisałem numer rejestracyjny wozu. Kiedy spiszę numer, to klamka zapadła.

- Pan nie rozumie - upierała się Rose. - Mój syn przyjechał ze Wschodniego Wybrzeża. Jego ojciec miał wczoraj poważny zawał. Jedziemy do szpitala. - Wyjęła z torebki garść co najmniej dwudziestu kluczy. Wybrała jeden i uniosła go do góry. - O, właśnie zamierzałam włączyć silnik.

- Przykro mi, ale zaparkowała pani niezgodnie z przepisami. Już zacząłem wypisywać mandat. - Spojrzał na koniec długopisu i znów zabrał się do pisania.

- Pan nie słyszał, co powiedziałam! - nalegała Rose.

- Ojciec tego chłopaka jest w szpitalu. - Odwróciła się, wskazując na mnie palcem. Stałem kilka kroków za nią, trzymając w ręce walizkę i pocąc się niemiłosiernie. Bałem się, że glina uniesie głowę i nagle mnie rozpozna

- chyba mają w komisariatach kartoteki ze zdjęciami ludzi, którzy tak jak ja naruszyli warunki przedterminowego zwolnienia? Facet jednak nie zainteresował się mną; wypisał pośpiesznie mandat i skinąwszy sztywno głową, wręczył go Rose. Matka popatrzyła na mandat, najpierw z jednej, potem z drugiej strony.

- Pięć dolarów - rzekła. - Za te pieniądze podstawiliby mi samochód z parkingu pod samo wejście.

Otworzyłem tylne drzwi i wrzuciłem do środka walizkę, która odbiła się o siedzenie i spadła na podłogę. Rose wciąż studiowała mandat. Sprawdzała, czy policjant dob-

rze zapisał numer rejestracyjny wozu, licząc na błąd, który uczyniłby mandat nieważnym. Jakiś samochód zatrzymał się obok i kierowca wyjrzał przez otwarte okno, pytając Rose, czy odjeżdża.

- Tak, ale niech pan tu nie parkuje - ostrzegła go. - Policja sypie mandatami, jakby jutro miał być koniec świata.

Mężczyzna skinął na podziękowanie ręką i mszył dalej. Przez chwilę Rose patrzyła za nim, po czym znów zaczęła oglądać mandat.

- Lepiej już jedźmy - zaproponowałem.

Złożyła kwit na trzy części i wsunęła do torebki. Małe kropelki potu, delikatne niczym koronka, osiadły jej na czole. Obszedłem samochód i zająłem miejsce obok kierowcy; po chwili Rose była gotowa do drogi. Siedzenie było tak daleko odsunięte do tyłu, że matka czubkami butów ledwo sięgała pedałów.

- Musiałeś do nas zadzwonić akurat wczoraj, dwunastego? - spytała, przekręcając kluczyk w stacyjce. - Myślałeś, że zapomnieliśmy, że to rocznica pożaru? Od tylu lat usiłuję stworzyć nam godziwe życie, a ty raz pocierasz zapalką i wszystko niszczysz.

Włączyła się do ruchu ulicznego.

- Powiedz, co z ojcem? Czy to był bardzo rozległy zawał?

- Mówiłam ci, że dziś czuje się już dobrze. - Potrząsnęła głową, jakby moja troska nagle wydała się jej podejrzana. Czy miała mi za złe, że martwię się o Arthura? Czy sądziła, że byłbym znacznie mniej przejęty, gdyby to ona znalazła się w szpitalu?

Przerwała milczenie, dopiero gdy opuściliśmy teren lotniska i wjechaliśmy na autostradę.

- Nie powinnam ci tego mówić, ale dobrze wyglądasz. - Patrzyła w skupieniu przed siebie, jedynie co pewien czas zerkając w lusterko. - Dawno tak dobrze nie wyglądałeś. Widać służy ci to nowe życie.

- Nie mam żadnego nowego życia - odparłem ostro. Rose wzruszyła ramionami.

- Mieszkasz z nią?

- Tak. - Nagle przestraszyłem się, może nie powinienem był się przyznawać. Ale po chwili lęk minął i pozostał tylko głęboki, ogromny smutek. Wiedziałem, że kocham matkę, i wyraźnie czułem w sobie tę miłość, ale linia łącząca uczucie z umiejętnością przekazywania go uległa zniszczeniu, bądź też zupełnie zanikła. Lojalność wobec matki i instynktowna sympatia do niej drzemały we mnie niczym odwieczne bóstwa nad pogrążoną w niezmaconej ciszy tropikalną dżunglą. Można je dojrzeć z lotu ptaka, lecz nie można skłonić do wyjścia z ukrycia.

- Domyślaliśmy się tego. Chcieliśmy się porozumieć z Butterfieldami, nie znaliśmy jednak ich adresów. Przeszukaliśmy twoją kawalerkę - wyeksmitowano cię stamtąd, ale to pewnie niewiele cię obchodzi - lecz nie znaleźliśmy żadnych śladów. Musiałeś chyba być z nimi w jakimś kontakcie?

- Korespondencyjnym, ale wszystkie listy zabrałem z sobą.

- Wiedząc, że nie wrócisz.

- Nie. Po prostu je zabrałem. Odruchowo.

- Gdybyśmy szukali wytrwałej, w końcu trafilibyśmy na któregoś z Butterfieldów, ale musieliśmy być ostrożni.

- Wiem. I cieszę się, że byliście. Doceniam to.

- No, a czego się spodziewałeś? Jesteś w końcu moim synem. Nie zamierzam pakować cię do więzienia.

Znów zamilkliśmy. Rose jechała wolno, ciężarówka i samochody mijały nas po obu stronach. Zerknąłem na tarczę: sunęliśmy równo sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Chciałem dowiedzieć się bliższych szczegółów o stanie zdrowia Arthura, lecz w tym momencie Rose przerwała ciszę.

- Może cię to zainteresuje: ja też bawiłam się w detektywa. Wzięłam przykład z ciebie, jak również z Arthura. Wiesz, kogo starałam się odnaleźć?

- Nie mam pojęcia.

- Zgadnij.

- Carla Courtneya.

- I znalazłam go. Mieszka na Cherry Hill, bardzo ładnej, podmiejskiej dzielnicy Filadelfii. Ożenił się z dziewczyną z Chicago. Mają sześciopokojowe mieszkanie w nowo wybudowanym domu. Na każdym piętrze znajduje się pralnia. Luksus jak w najlepszym hotelu. Kiedy lokatora nie ma w domu, recepcjonista odbiera wszystkie jego telefony i notuje, kto dzwonił. Dwa razy w tygodniu służba zmienia pościel. Mają własnych lekarzy. Jest to dom dla seniorów.

- Tak jak to osiedle na Florydzie, gdzie mieszka dziadek. Rose potrząsnęła głową i chwilę się zawahała.

- Chyba nie. Wydaje mi się, że się różnią. - Zerknęła w lustro. - Chociaż kto wie? Nigdy nic nie wiadomo. W każdym razie dostali to mieszkanie tylko dzięki temu, że żona Carla skończyła sześćdziesiąt pięć lat. Carl ma zaledwie sześćdziesiąt. Baba trzyma go pod pantoflem. Jest zagorzałą syjonistką. Zamierzali wyjechać do Izraela, ale w końcu przeprowadzili się na Cherry Hill.

- No i jak wam się rozmawiało po tylu latach? Znów krótkie wahanie.

- Dobrze - odparła krótko, jakby uważała temat za zamknięty, ale po chwili ciągnęła dalej: - Wydaje mi się, że go bardzo zaskoczyłam tym telefonem. Było już dość późno, kiedy postanowiłam do niego zadzwonić. Zapomniałam o różnicy czasu, o tym, że na wschodzie jest o godzinę później. Obudziłam Carla. Niektórzy ludzie bywają zupełnie nieprzytomni, gdy się ich wyrwie ze snu. Carl nie od razu zorientował się, kto dzwoni. A może tylko udawał, bo jeśli sypia z żoną w jednym pokoju, jeśli żona leżała obok, to może nie chciał, żeby mu robiła scenę zazdrości. „Tylko nie zemdlej - powiedziałam. - Dzwonię, żeby usłyszeć twój głos”.

- Wyobrażam sobie, jaka musiałaś być zdenerwowana. To wymagało nie lada odwagi.

- Przesadzasz. Miałam przecież przed oczami ciebie i Arthura. Nauczylście mnie, że dla miłości można robić to, na co się tylko ma ochotę, i wszystko jest w porządku. Nie sądziłam, że życie jest takie proste. - Westchnęła głęboko.

- Zamierzasz się z nim spotkać?

- Z Carlem? Po co? Kochałam przystojnego, młodego człowieka, a takim już nie jest - powiedziała ze śmiechem, - kiedy zjechała na prawy pas, kierowca ciężarówki nacisnął ostrzegawczo klakson i rozległo się długie, przeraźliwe wycie.

- Nic nawet nie wspomniałeś o tym, że ojciec i ja znów mieszkamy razem - rzekła po chwili Rose. - Sądziłam, że będziesz miał wiele do powiedzenia na ten temat.

- Prawdę mówiąc, jestem zdziwiony.

- Wiedziałam! I wiem, co o mnie myślisz.

- Nie, nie wiesz.

- Dziwisz się, że Arthur chciał wrócić?

- Nie. Dziwię się, że go przyjęłaś z powrotem.

- Ta kobieta umarła. Dziećmi zaopiekowała się jej siostra i Arthur został zupełnie sam. Zadzwoił przeszło miesiąc temu, mówiąc, że chce porozmawiać o tobie, a kiedy po kolacji spytał, czy może do mnie wrócić, zgodziłam się. Miałam udawać obrażoną, bawić się własnym kosztem? Nie obchodzi mnie, co inni myślą. Taka już jestem. Wolna i niezależna. Kiedy facet z opieki społecznej przychodził do domu mojej matki, plułam na te jego śliczne brązowe buty. Matka bała się, że cofną nam zasiłek, ale mnie to zwiślało. Nikt nie ma prawa deptać mojej godności. Nikt. Ani ludzie z opieki społecznej, ani gliny, ani FBI, ani szkoła, ani twój ojciec, ani ty. Nikt nie ma prawa! - urwała na chwilę, po czym kontynuowała: - Lubię być z Arthurem. Jest moim najlepszym przyjacielem. I jest moim mężem. Sam wiesz, jak bardzo mnie kochał. Uwielbiał mnie! Po prostu mnie czcił. Łaził za mną po całym mieszkaniu, z rękami wyciągniętymi przed siebie jak lunatyk. Ale potem wszystko się pokomplikowało, popsuło. Stałam się niemila. Rosły wzajemne pretensje. To się często zdarza. Posługiwał się tobą, żeby mnie zranić, a to tylko pogarszało sprawę. Ale to też się zdarza. Wierz mi, nie jesteśmy jedyną rodziną, która miewa kłopoty. Bywają znacznie gorsze układy. Twój ojciec i ja przynajmniej nie sprzeniewierzyliśmy się naszym zasadom. Jestem z tego dumna.

- I słusznie. Bo niełatwo w tym kraju być socjalistą.

- Żebyś wiedział! - zawołała z przekonaniem. - Nikt ci nawet nie podziękuje. Weźmy na przykład dzieci tej kobiety. Chłopak chce iść na studia, żeby zdobyć stopień oficerski, a potem jechać do Wietnamu mordować ludzi. Dziewczyna natomiast marzy o karierze modelki. Sam powiedz, czego można oczekiwać po Murzynach? Nie

wiem, jakie ideały miała ich matka, ale na pewno sprawiedliwość i postęp do nich nie należały.

Skreśliśmy z autostrady i wjechaliśmy do getta murzyńskiego. Niektóre budynki wciąż były zabite deskami, inne w minach: nic się nie zmieniło od czasu zabójstwa Martina Luthera Kinga i wyglądało na to, że tak już pozostanie. Uwięzieni między przeszłością a przyszłością, żyliśmy własną archeologią.

- Popatrz tylko - odezwała się Rose. - W najbogatszym kraju na świecie. Dobrze masz zamknięte drzwi? Bieda... - zamilkła; dodała gazu, żeby przejechać skrzyżowanie na zielonym świetle. - Ludzie bardzo poważnie traktują swoje uczucia. Ja staram się tego unikać. Często przesadzają, czego również staram się wystrzegać. Znam Arthura ponad trzydzieści lat i kiedy podszedł do mnie ze łzami w oczach, pytając, czy przyjmę go z powrotem, mogłam odpowiedzieć tak albo nie. Powiedziałam tak. I było nam dobrze. Coraz lepiej. Powoli się w sobie zakochiwaliśmy. Od nowa. I wtedy ty zadzwoniłeś... nie zrzucam na ciebie winy, David. Cieszę się, że się odezwałeś. Żałuję tylko, że nie zrobiłeś tego wcześniej. No, ale wreszcie zadzwoniłeś i Arthur dostał zawału. Naprawdę cię nie winię. I mam nadzieję, że ty sam też nie czujesz się winien. Może Arthur siłą woli powstrzymał ten zawał, czekając, aż będzie cię jak zawiadomić? Może czekałby w nieskończoność, gdybyś nie zadzwonił? Kto to może wiedzieć? Ale cieszę się, że zadzwoniłeś. Szkoda, że tak późno, ale przynajmniej się odezwałeś. Arthur, jak ci już mówiłam, czuje się dobrze. Nie było żadnego uszkodzenia mózgu. Funkcjonuje normalnie. Jedyne na sercu pozostała niewielka blizna. Wygląda świetnie. Lepiej niż przed zawałem. Wystarczyła spokojna noc i odpoczynek. To niesamowite. Wczoraj byłam strasznie przera-

żona. A dziś, kiedy go zobaczyłam, zanim wyruszyłam po ciebie na lotnisko, odetchnęłam z ulgą. Teraz jednak znów się boję. Dlatego jadę tak wolno, w dodatku okrężną drogą. Znam krótszą trasę, którą zaoszczędzilibyśmy z kwadrans, ale boję się waszego spotkania. Mam okropne przeczucie, że na twój widok stan Arthura się pogorszy, że może nastąpi kolejny zawał. Obiecuj mi jedno, dobrze? Jeśli zobaczysz, że słabnie, albo jeśli dam ci znak, bo mogę dostrzec coś, na co sam nie zwrócisz uwagi, to bez gadania czym prędzej wynoś się z pokoju. Możesz mi to obiecać?

- Tylko popatrz, jestem zdrowy i silny jak koń - oświadczył Arthur, kiedy przysunęliśmy bliżej krzesła. Siedział podparty poduszkami, obok na tacy leżało „Sun Times”. Rzadkie, potargane siwe włosy i lśniące oczy sprawiały, że wyglądał pogodnie, figlarnie, jakby był lekko wstawiony. Miał na sobie obszerną, głęboko rozpiętą koszulę nocną, spod której wystawały błyszczące włosy - widocznie po ostatnim EKG pielęgniarka zapomniała zetrzeć mu z piersi lepkaż. Trzymał mnie za rękę, dość niezdarnie, ale silnie. Litera na plastikowej bransolecie z nazwiskiem pacjenta, którą miał na przegubie dłoni, były ciemnofioletowe i lekko zamazane.

- Doktor Pokorny grozi, że wyrzuci mnie na zbity łeb, jeśli nadal będę tak zdrowo wyglądał. Mówi, że psuję reputację szpitala. - Tym razem uśmiechnął się tak szeroko, że zobaczyłem puste miejsce po wyjętej protezie.

- Nic cię nie boli? - spytałem.

- Nie.

- Nie musisz być taki dzielny - wtrąciła Rose. - Skoro spytał, opowiedz mu.

- To głupstwo. Na początku poczułem coś takiego, jakby mnie kopnął osioł, ale kiedy sobie pomyślę, jak straszne bywają cierpienia... to moje naprawdę się nie liczy. - Wziął głęboki oddech, zamknął oczy i wskazał ręką przeciwległy koniec pokoju, gdzie za białą zasłoną stało drugie łóżko. Po czym powoli, ze smutkiem, pokręcił głową.

Żadne z nich nie wspomniało o moim wyjeździe z Chicago ani też nie wyraziło radości z powodu mojego powrotu. Rozmawialiśmy ostrożnie, jakby pokój był na podsłuchu, jakby policja wiedziała o zawale Arthura i teraz tylko czekała, aby złapać mnie w swoje sidła. Co pewien czas Arthur ścisnął mnie mocno za rękę i szeptał pod nosem moje imię, którego całkiem świadomie unikał w rozmowie. Nie pytali, co robiłem przez ostatnich kilka miesięcy, nie ciekawiło ich, co planuję na przyszłość. Mówiliśmy o zdrowiu Arthura - jak to mu zawsze dotąd dopisywało - i o pogodzie, o tym bezlitosnym żarze bijącym z zachmurzonego nieba.

Wszyscy się bardzo staraliśmy, ale tak naprawdę to o niczym nie rozmawialiśmy. Byliśmy sztywni, zdenerwowani, oszołomieni. Sytuacja była dość napięta. Matka co msz chrząkała. Ojciec poprosił, abym podkręcił mu korbką podglówek łóżka, korbka jednak była zepsuta i zamiast podwyższyć oparcie, obniżyłem je. Powiedziawszy, że idę do ubikacji, wyszedłem poszukać

doktora Pokornego, starego przyjaciela ojca z partii komunistycznej, który się nim opiekował. Znalazłem oddziałową, która poinformowała mnie, że Pokorny jest w szpitalu imienia Michaela Reese'a, gdzie nastawiają mu palce - podobno rano żona mu je niechęcący przytrzymała drzwiami od samochodu.

- To kto będzie leczył mojego ojca? - Istna tragedia! Aż trudno mi było uwierzyć, że zdarzyło się takie nieszczęście.

- Doktor Lonnigan zastępuje doktora Pokornego - rzekła oddziałowa.
- Proszę się o nic nie martwić. Pański ojciec czuje się dobrze, teraz już tylko odpoczywa i nabiera sił.

Kiedy wróciłem, Rose nie było w pokoju. Przed wyjściem wsunęła torebkę pod prześcieradło, żeby przypadkiem nikt jej nie ukraść. Ojciec poklepał torbę, jakby to była chora lalka.

- Gdzie mama? - Uznałem, że nie będę wspominał ojcu o Pokornym; wkrótce zjawi się przy łóżku Arthura z unieruchomioną, obandażowaną ręką i razem pośmieją się z wypadku.

- Dzwoni do domu, żeby dowiedzieć się, czy nie było telefonów. Mamy teraz sprzątaczkę i Rose nie może przyzwyczaić się do tego, że ktoś obcy kręci się po mieszkaniu.

- Zawsze była temu przeciwna. Arthur wzruszył ramionami.

- Pracuje u nas, odkąd wróciłem do domu. Jest to duża wygoda, chociaż przeszkadza mi świadomość, że ktoś sprząta nasze bmdy. Rose nie spuszcza tej biednej kobiety z oka. Wiesz, jak wymagająca jest twoja matka. Wszystko musi błyszczeć. No, ale płacimy jej dwa razy tyle co inni.

- Tato, wiesz... - urwałem zaskoczony, bo Arthur nagle chwycił mnie za rękę.

- Powiedz, jak sobie radzisz? - spytał szeptem. - Czy jesteś szczęśliwy?

Skinąłem głową.

- Chcę, żebyś do niej wrócił. Dziś. Jutro. W każdym razie prędko. Tu jest trochę niebezpiecznie, dopóki nie załatwimy wszystkiego z sądem. Coś na pewno uda się

zrobić, ale do tego czasu bądź ostrożny. Mam nadzieję, że wiesz, ile ryzykujesz, przyjeżdżając do Chicago.

- Musiałem zaryzykować. - Pogładziłem ręką policzek ojca. - Przestraszyłem się, że jesteś chory. Kocham cię, tato. Naprawdę cię kocham.

Nagle Arthur puścił moją dłoń i wbił wzrok w biały sufit. Idąc za jego przykładem, wyprostowałem się i akurat w tym momencie do pokoju weszła pielęgniarka z tacą, na której stała szklanka wody oraz mały tekturowy kubeczek. Utlenione blond włosy oraz ciemne okulary sprawiały, że bardziej niż pielęgniarkę przypominała kelnerkę w przydrożnym zajeździe uczęszczanym przez kierowców ciężarówek.

- Lekarstwa - oznajmił Arthur. Ochocho chwycił tekturowy kubeczek i wysypał na dłoń trzy kapsułki. Mina mu zrzędała jak dziecku rozczarowanemu urodzinowym prezentem.

- Tylko trzy? - spytał. - A ta pomarańczowa? Ta... ta... no, jak jej tam?

- Takie są polecenia lekarza - odparła pielęgniarka.

- Nie rozumiem. - Marszcząc brwi, pokazał mi leki, jakby pytał, co o nich sądzę.

- Pomarańczowa tabletki to proszek uspokajający.

- Bardzo go potrzebuję - powiedział żałośnie Arthur. - Wcale nie jestem odprężony. - Spojrzał z rozpaczą na wyciągniętą rękę, tak jak ktoś, komu za mało wypłacono pieniędzy.

Pielęgniarka podała mu szklankę.

- Proszę popić.

Wyraz rozczarowania znikł z twarzy ojca i jego miejsce zajął strach. Arthur potrząsał głową, przekręcając w ręku kapsułki. Na przeciwległym końcu pokoju, za parawanem

odgradzającym drugie łóżko, rozległ się niski, przejmujący dźwięk, chrapliwy i bulgoczący, jaki powstaje, kiedy przez słomkę sący się z dna szklanki resztkę koktajlu.

- Siostro. - Zza zasłony wyłonił się wysoki Murzyn. - To urządzenie znów charczy. Może niech siostra sprawdzi.

- Pańska matka jest odsysana - rzekła zniecierpliwiona.

Mężczyzna skinął niepewnie głową i znikł za przepierzeniem. - Biedaczysko - szepnęła do nas. - Siedzi przy niej od jedenastu dni, a ona nawet nie wie, że... - Zatrzymała wzrok na torebce ukrytej pod prześcieradłem, ale pokręciła głową, udając, że jej nie widzi.

Wkrótce po wyjściu pielęgniarki wróciła Rose.

- No i jak? - spytał Arthur.

- W porządku. Wszystko w porządku. - Zabrała Arthurowi torebkę i wsunęła ją pod pachę, po czym przyjrzała się nam uważnie: była przekonana, że rozmawialiśmy o niej. Następnie zerknęła przez ramię, sprawdzając, czy jesteśmy sami.

- Mniej więcej godzinę temu dzwonił kurator Ed Watanabe.

- Cholera - zaklął po nosie Arthur.

- Dinah odebrała telefon. Powiedziała, że jesteśmy w szpitalu.

Wstałem i podszedłem do okna, pewien, że za chwilę zobaczę wóz policyjny, ale ujrzałem tylko brudne, szare szyby w budynku szpitalnym naprzeciw - widok jak z okien nędznego, taniego hotelu.

- Czy powiedziała mu coś więcej? - spytałem.

- Któż to może wiedzieć.

- Czy mówiłaś jej coś? - dopytywał Arthur. - Czy wspomniałaś, że David przyjechał?

- Nie wiem. Nie pamiętam.

- Nie wiesz?
- Lepiej będzie, jeśli już pójdę.
- Dokąd chcesz iść? - szepnął Arthur.
- Wracasz? - spytała Rose.
- Nie wiem. Boję się. - Jednego byłem pewien: że muszę ruszać w drogę. Że muszę wyjechać bez porozumienia się z lekarzem prowadzącym Arthura, bez dowiedzenia się bliższych szczegółów na temat nowego, trudnego rozejmu w życiu rodziców; że muszę uciekać, żeby ocalić własną skórę.

Usłyszałem zbliżające się kroki: nieśpieszne, stanowcze. Moje życie niczym jajko, które balansuje na krawędzi stołu, mogło się potoczyć w dwie strony, ale po chwili lekarz ubrany w zielony fartuch operacyjny minął drzwi i kroki powoli zaczęły się oddalać.

- Pójdę już.
- Odwiozę cię - zaproponowała Rose.
- Dzięki.
- Tylko się nie denerwuj. Nie podniecaj się zawczasu. Rozumiesz? Bo inaczej wykończysz się, nie wytrzymasz.

Skinąłem głową. Chce zyskać na czasie - pomyślałem.

- Chce, żeby mnie złapano.
- Jesteś małą rybką w wielkim jeziorze - ciągnęła. - Ja wiem, jak ci ludzie działają. Nie msza się taki z biura, tylko dzwoni, gdzie musi.
- Podejź tu na chwilę. - Arthur poklepał łóżko.
- Usiądź.

Straciłem nad sobą panowanie.

- Nie! - krzyknąłem, niemal na całe gardło. Świat niby flaga zatrzepotał mi przed oczami. - Muszę już iść!

Mój głos odbił się echem po pokoju. Wytrwały syn wyjrzał zza parawanu. Ktoś biegł korytarzem w naszą stronę.

- Naprawdę lepiej będzie, jeśli już pójdę - powiedziałem, ze wszystkich sił starając się panować nad sobą. Rodzice patrzyli na mnie z wyrzutem i naganą w oczach; uważali, że zachowuję się jak głupiec i przynoszę im wstyd.

Wybiegłem z pokoju, zderzając się z pielęgniarką w okularach przeciwsłonecznych. Potrąciłem ją, lecz nawet się nie zatrzymałem. Miałem nadzieję, że pędzę w stronę wyjścia. Kiedy usłyszałem za sobą tupot nóg, mimo woli zerknąłem przez ramię. Rose, poruszając się z niezwykłą gracją, biegła za mną, trzymając pod pachą torebkę, tak jakby to była piłka do rugby. Zaczekałem na matkę. Bez słowa wyszliśmy ze szpitala; dopiero gdy siedzieliśmy w samochodzie i silnik już pracował, Rose przerwała milczenie.

- Czyś ty oszalał? - spytała, spoglądając w lusterko.

- Tak. Oszalałem. A teraz zawieź mnie na lotnisko. I musisz mi pożyczyć pieniądze na bilet. Jestem zupełnie goły.

- Myślisz, że noszę przy sobie tyle gotówki?

- To zapłać kartą kredytową.

- Chyba ci się coś pomyliło. Nie posiadam karty kredytowej.

- To zapłać czekiem. Wszystko mi jedno.

- Nie wiem, ile mam na koncie.

Rzuciłem się na matkę i chwyciłem ją za szyję. Rose krzyknęła i gwałtownie nacisnęła na hamulec. Polecieliśmy do przodu, ponieważ jednak nie zdawałem sobie sprawy z tego, co czynię, nie zwolniłem uścisku.

- To zawieź mnie na dworzec autobusowy.

- Boli - powiedziała ze szlochem. Podniosła ręce do szyi i wbiła mi w dłoń paznokcie.

Puściłem ją. Nie mogłem opanować drżenia. Sięgnąłem na tylne siedzenie po walizkę. Staliśmy na samym

środku Stony Island Boulevard i wszyscy na nas trąbili. Zaraz mnie gliny dorwą - pomyślałem, ale nawet strach, który czułem, był odległy i niewyraźny. Rose pocierała szyję i przyglądała mi się albo z lękiem, albo z nienawiścią. Zresztą sam nie wiem, może to było współczucie.

- Nie chciałem sprawić ci bólu. Proszę cię, gdybyś mogła podrzucić mnie...

Dwóch kierowców objechało nas z boku. Inni - nie wiem, ilu ich było - trąbili bez przerwy.

- Nigdzie nie jadę - oznajmiła Rose. Obracała głową, żeby rozruszać obolałe mięśnie.

Zamknąłem oczy, zakryłem rękami twarz i wyobraziłem sobie, że chwytam Rose za ramiona i potrząsam nią, potrząsam, biję... Czym prędzej otworzyłem drzwi i wyskoczyłem z wozu; szedłem na piechotę, a walizka obijała mi się o nogi niczym moje drugie ja.

Trasa autobusowa z Chicago do Stoughton wiodła przez wiele miejscowości, autobus do Stoughton zaś wyjeżdżał z dworca przy Randolph Street o czwartej po południu, czyli za trzy i pół godziny. Tak długie czekanie wydawało mi się ryzykowne. Rose wiedziałaby, gdzie mnie szukać, gdyby nagle uznała, co całkiem do niej pasowało, że działam pod wpływem psychozy i że zaoszczędzi mi cierpień, powiadamiając o wszystkim policję. Nie mogłem spokojnie patrzeć na ludzi kręcących się po dworcu. Obawiałem się nawet włóczęgów, którzy co prawda nie wyglądali na tajniaków, ale byli jakby złym omenem. Niemile, zielonkawo-wodniste oświetlenie; cuchnący odór tanich dań, środków odkażających, starych gazet. Miałem dość pieniędzy na bilet do Nowego Jorku. Nie byłem pewien, jak

sobie później dam radę, ale autobus odchodził za kwadrans.

Zadzwoiłem do Stoughton. Jade odebrała telefon i zgodziła się pokryć koszty rozmowy.

- Jestem w drodze do domu - oświadczyłem.

- Co ci jest? Co się stało?

- Wszystko w porządku. Tylko się śpieszę. Za kilka minut odjeżdża autobus do Nowego Jorku i chcę się nim zabrać.

- Czy... - Ugryzła się w język. Wiedziała, że mam kłopoty. - To leć. Cieszę się, że wracasz. Dłużej niż jedną noc nie mogę bez ciebie wytrzymać. Tęsknię.

- Postaram się być w domu jak najprędzej.

- Zadzwoiłam do twojej pracy i powiedziałam, że musiałeś na tydzień wyjechać. Wieczorem oddaję szczeniaki. Możemy się zamknąć w pokoju i tylko od czasu do czasu zejść do kuchni, żeby coś przekąsić.

- Niedługo tam będę. Muszę się śpieszyć.

- To kończmy.

- A u ciebie wszystko dobrze?

- Tęsknię za tobą.

- Jak było w Bellows Falls?

- Okropnie. Wszyscy spięci. Opowiem ci później.

- Brrr!

- Masz rację. Aha, dzwoniła narzeczona Hugh, Ingrid Ochester, która koniecznie chce się ze mną zobaczyć. Przyjedzie tu jutro tą swoją furgonetką, mniej więcej w porze śniadaniowej.

- Czego chce?

- Nie jestem pewna. Ale bardzo nalegała. Śmierć Hugh zupełnie ją wytrąciła z równowagi. Chodzi bidula trzy razy w tygodniu na jakąś terapię. Chyba coś się jej wyjaśniło

i pragnie się ze mną tym podzielić. Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo mi się nie chce jej słuchać. Naprawdę mi się nie chce.

Trzymałem słuchawkę przy uchu, ale nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa.

- David?

- Muszę już iść, żeby nie... - Głos ugrzął mi w gardle.

- Dobra. Nie spóźnij się na autobus. Czekam na ciebie. Wypłaczymy się w poduszkę. Będzie wspaniale.

Milczałem.

- David?

- Muszę już iść.

- Jeśli uda mi się pożyczyć samochód od Colleen, przyjadę po ciebie do Nowego Jorku. O której tam będziesz?

- Nie wiem. Ale nie fatyguj się. Dam sobie radę. Muszę już kończyć. - Zamierzałem się rozłączyć, lecz w ostatniej chwili chwyciłem mocniej słuchawkę i zbliżyłem ją do ust. - Kocham cię. Zawsze będę cię kochał.

- Nie spóźnij się na autobus, David.

- Nie spóźnię się. - Jeszcze przez moment się wahałem, po czym odwiesiłem słuchawkę.

Kilkakrotnie podczas tej długiej podróży na wschód, kiedy silnik warczał miarowo, przechodziły mnie ciarki; byłem pewien, iż w tej właśnie sekundzie Ingrid opowiada Jade, jak to Hugh przed śmiercią rzucił się za mną pędem przez ulicę. Miałem zaledwie dolara i siedemdziesiąt pięć centów - jakoś udało mi się przekształcić swój lęk i smutek w głód, którego nie byłem w stanie zaspokoić. Nie wziąłem z sobą nic do czytania, nie mogłem za-

snąć, a miejsce przy oknie zwolniło się, dopiero gdy minęliśmy Cleveland i już dawno zapadł zmrok.

Mogłem wszystko odmienić. Mogłem poprosić Jade, żeby wyjechała po mnie do Nowego Jorku, a wtedy musiałyby odwołać spotkanie z Ingrid Ochester. Co prawda byłaby to tylko zwłoka, ale dobre i to. Dałoby mi to nową nadzieję. Nie ma przecież rzeczy nieuchronnych. Czasem, gdy się opóźnia jakieś zdarzenie, można spowodować, że w ogóle nie następuje. Ingrid mogłaby się przeprowadzić, wyjechać gdzieś bardzo daleko, dostać amnezji, która chroniła mnie przez tyle miesięcy, mogłaby nawet umrzeć od ukąszenia pszczoły. Szaleństwem jest biernie czekać, aż wydarzy się coś przykrego, szaleństwem jest przekonywać się, że skoro coś i tak ma się wydarzyć, to co za różnica, kiedy nastąpi. Spojrzeniem, telefonem, zgubioną kartką z ważną wiadomością możemy sabotować przyszłość.

Przyjechałem do Nowego Jorku około dziesiątej rano. Byłem brudny, zmęczony i czułem się tak, jakby wszystkie moje myśli - niczym szmata, którą bawił się pies - zostały ciśnięte w kąt umysłu. Przebrałem się w toalecie dworcowej; gdy tak stałem nago na środku wielkiego, wykafelkowanego pomieszczenia, uzmysłowiłem sobie po spojrzeniach, jakimi mnie obrzucano, że całkowita zmiana odzieży w miejscu publicznym nie należy do zachowań ogólnie akceptowanych.

Zdałem sobie również sprawę, że nie wiem, gdzie trzeba stanąć, żeby dojechać autostopem do Stoughton. Nowy Jork przytłaczał mnie niczym ogromne, ciągnące się kilometrami kromlechy, z których nie umiałem się wydostać. Spytałem o drogę kilka osób na dworcu, ale jedyny człowiek, który mógł mi cokolwiek poradzić, śpieszył się i tylko rzucił przez ramię, żebym wyszedł na Henry Hudson. Kręciło się tu sporo

policjantów, nie mogłem ich jednak prosić o pomoc. Po pierwsze, autostop był zabroniony, a po drugie, mogli dostać cynk od policji chicagowskiej, aby mieli na mnie oko - wiedziałem, że moje obawy są absurdalne, ale świadomość tego bynajmniej ich nie zmniejszała. Podeszedłem do kasy, aby spytać, ile kosztuje bilet do Stoughton - okazało się, że pięć lub sześć dolarów więcej, niż posiadałem... Nie wiem, na co liczyłem, może na sezonową obniżkę cen.

Nie miałem nic do sprzedania, a brakowało mi odwagi, żeby zebrać, toteż uchwyciłem się ostatniej deski ratunku - zadzwoniłem do Anny.

- Jestem splukany - oznajmiłem, gdy tylko podniosła słuchawkę. - Pożycz mi sześć dolarów na autobus.

- Dokąd dojedziesz za sześć dolarów?

- Do Stoughton.

- Wyrzuciła cię?

- Co? Nie. Dlaczego miałyby wyrzucić?

- Nie wiem. Sądząc po głosie, jesteś blisko.

- Na dworcu autobusowym.

- Ciekawe, co tu robisz bez pieniędzy. Ale zdaję sobie sprawę, że istnieje wiele rzeczy na tym świecie, które nie powinny mnie w ogóle obchodzić. Wpadnij. Dam ci forszę. Ale nie możesz zostać. Umówiłam się na obiad i mam dziką tremę.

Dwa razy pomyliłem linie metra i wreszcie, pokonując większość drogi na piechotę, dotarłem do Anny. Otworzyła drzwi i wcisnęła mi do ręki banknot dziesięciodolarowy.

- Spóźniłeś się - rzekła. - I przez ciebie sama się spóźnię. Szkoda, że nie zostajesz dłużej w Nowym Jorku, bo jesteś jedyną osobą, której chętnie zdałabym relację z mojej dzisiejszej randki. - Przyłożyła dłoń do czoła. - Tyle mam ci do opowiedzenia.

Spojrzałem na banknot i oczy zaszyły mi łzami.

- Pamiętaj, to tylko pożyczka. Moje finanse są w opłakanym stanie.

- Oddam ci. Mam pieniądze w... Stoughton.

- Dlaczego jesteś taki skrepowany? Cieszę się, że jesteście razem.

Wiem, że to nie moja sprawa i że nie mam tu nic do gadania. Ale cieszę się. Pasujecie do siebie.

Przytaknąłem.

- Poza tym - dodała - nie chcę tracić z tobą kontaktu.

- Nie trać, Anno! - zawołałem. - Bądź mi życzliwa. Staraj się mnie zrozumieć. Bez względu na to, co się stanie.

Anna skinęła głową, chociaż nie miała najmniejszego pojęcia, o czym mówię; moja gorąca, błagalna prośba wprowadziła ją w lekkie zażenowanie, którego starała się nie okazywać. Może to i lepiej.

- Dobrze. A teraz wynocha. Spóźnię się przez ciebie, a o ile mi wiadomo, mój tajemniczy adorator jest równie punktualny jak śmierć. - Uśmiechnęła się trochę zawstydzona, jakby powiedziała coś bardzo niestosownego.

Wsadziłem pieniądze do kieszeni i przełożyłem walizkę z prawej ręki do lewej.

- A skąd się w ogóle wzięłeś w Nowym Jorku?

- Musiałem jechać do Chicago, a potem zostało mi tylko na bilet tutaj. Jade nic ci...?

- Nie, naturalnie, że nie. Takie są warunki naszego rozejmu. Jade chce, żeby panowały między nami, matką i córką, staroświeckie stosunki oparte na miłości i ignorancji, czyli, jak to określa, na szacunku. I uważam, że ma świętą rację. Tylko w ten sposób możemy żyć z sobą w zgodzie. Słuchaj, czy wspomniałeś jej o nocy, którą tu spędziłeś?

- Nie. Nie było powodu. Nic by to nie dało. Jedyne...

- Słusznie. Z czasem o tym zapomnimy.

Przez otwarte okna mieszkania dolatywał odgłos dzwonów kościelnych, które biły co kwadras.

- No dobrze - rzekła Anna. - A teraz wynocha. Cześć.

- Wpuść mnie - poprosiłem. - Mam ci coś do powiedzenia. Nie zamierzałem ci wcześniej tego mówić, ale muszę. Chcę. Zresztą wkrótce sama się o tym dowiesz, ale wolałbym, żebyś usłyszała to ode mnie.

- Nie. Jestem już spóźniona. I chyba nie chcę nic wiedzieć. Nie cierpię zwierzeń. Zawsze mi się wtedy wydaje, że ja też powinnam obnażyć swoją duszę. A nie mam na to ochoty.

- Musisz mnie wysłuchać. Chcesz poznać prawdę.

- Mylisz się. Wcale nie chcę. Przynajmniej nie dziś.

- Wyciągnęła dłoń i potarła nią o mój dwudniowy zarost.

- Dziwnie wyglądasz nieogolony. Chyba ci tak gorzej. Nie zapuszczasz przypadkiem brody, co?

- Nie. Nie miałem czasu się ogolić.

- No to w porządku. A teraz wsiadaj do autobusu, jedź do Stoughton i módl się, żeby Jade nie było w domu, kiedy wrócisz, bo naprawdę powinieneś się ogolić i wykapać, zanim pokażesz się jej na oczy.

- Anno, chcę...

- Nie. - Cofnęła się o krok, powoli zamykając drzwi.

- Nie teraz. Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, napisz list. Mam nadzieję, że fakt odnalezienia Jade nie zaważy na naszej korespondencji. Podobasz mi się w listach i uwielbiam do ciebie pisać. Wyznaj mi wszystko listownie. A teraz zmykaj.

Zamknęła drzwi i usłyszałem stukot jej oddalających się w głąb mieszkania kroków.

- Zabiłem Hugh, zabiłem - szepnąłem do drzwi. Chciałem krzyknąć te słowa na całe gardło, ale byłoby to głupie

i okrutne. Poza tym - przyszła mi do głowy nowa myśl, która natarczywie zaczęła domagać się uwagi - cóż ja tak naprawdę wiem? Może Ingrid pragnie porozmawiać z Jade o czymś całkiem innym? Przyznałbym się do winy, zanim Ingrid zdołałaby mnie oskarżyć, a potem okazałoby się, że wcale nic mi nie groziło.

Dochodziła ósma, kiedy dotarłem do Stoughton. Niebo było fioletowe niby plama atramentu; wysoko ponad skłębionymi chmurami strzelały pioruny, oświetlając niebo ponurym, migoczącym blaskiem, który wyglądał równie sztucznie co blask reflektorów scenicznych. Z przystanku do domu mieszczącego się w północnej części Stoughton, dojechałbym bez trudu autostopem, postanowiłem jednak iść na piechotę - minąłem sklep z odzieżą, w którym pracowałem, kościół, przed którym jadaliśmy razem na trawie drugie śniadanie, oraz sklep papierniczy, w którym niedawno wydałem dziesięć dolarów na komplet rapidografów dla Jade; wreszcie wstąpiłem do cukierni, gdzie poddałem torturom swój burczący z głodu brzuch, napychając go pięcioma pączkami, które popiłem trzema filiżankami kawy. Usta miałem białe od cukru pudru, nie mogłem opanować drżenia rąk. Kiedy spojrzałem na podłogę, nie było walizki. Przestraszyłem się, że ktoś mi ją ukradł, ale nie, stała po drugiej stronie stołka. Podniosłem ją i wszedłem do budki telefonicznej. Wydawało mi się, że nie powinienem zjawiać się w domu, dopóki nie porozmawiam z Jade.

Mniej więcej po dziesięciu dzwonekach odwiesiłem słuchawkę. Poczulem dziwną ulgę, która jednak szybko przerodziła się w panikę. Przez cały dzień błąkała mi się po głowie myśl, której usiłowałem do siebie nie dopuścić.

Otóż relacja Ingrid o moim udziale w śmierci Hugh może przyprawić Jade o przerażenie i tak czarną rozpacz, że odechce się jej żyć. Rzuciłem na ladę ostatnie dwa dolary i puściłem się biegiem do domu. Miałem do pokonania co najmniej pięć kilometrów, a już po minucie się zasapałem i złapała mnie kolka. Walizka mi ciążyła, więc cisnąłem ją w krzaki, obiecując sobie, że później po nią wrócę. Świat wirował mi przed oczami; starałem się zachować przytomność umysłu, bojąc się, że w przeciwnym razie oszaleję. Biegłem ile sił w nogach. Musiałem ratować Jade, w głębi duszy jednak wiedziałem, iż nic jej nie grozi, inaczej przecież nie oszukiwałbym się, nie wmawiał w siebie, że na pewno zdołam się jej ze wszystkiego wytłumaczyć; prawdziwym niebezpieczeństwem było to, że Jade poznała od Ingrid prawdę, a ja tej prawdzie nie mogłem się przeciwstawić.

Kiedy wreszcie dotarłem na miejsce, w domu nie paliło się żadne światło, drzwi zaś i okna były pozamykane. Waliłem pięścią w drzwi frontowe i chyba ze sto razy naciskałem palcem dzwonek. Przeszedłem od drugiej strony domu i znów zacząłem się dobijać. Cofnąłem się na koniec podwórza, skąd widać było małe ciemne okno na strychu, i zacząłem wołać Jade. Rzuciałem kamyczkami w okno, a gdy mi ich zabrakło, cisnąłem w górę butem. Pierwszy but przeleciał obok i spadł przy ścianie, drugi z hukiem trafił w cel, choć szyby nie rozbił. Czekałem: po chwili zapaliło się światło. Nie wiem, ile czasu upłynęło, ale wreszcie w oknie pojawił się najpierw cień, a potem Jade, która stała nago i patrzyła na mnie. Wołałem ją, wymachując rękami, które nagle zrobiły się potwornie ciężkie. Jade usiłowała otworzyć okno, zapominając, że zamknęła je na zasuwkę. Po chwili przekręciła zasuwę i okno się otworzyło.

- Odejdź. Musisz stąd odejść - rzekła, spoglądając w dół. Mimo że światło miała za sobą, widziałem, jak jej oczy świecą w ciemności. Piersi jej falowały. - Wiem wszystko

- dodała, zatrzasnąjąc okno.

Podbiegłem do drzwi kuchennych i rozpostartymi dłońmi zacząłem w nie walić. Mój świat - jedyny, jaki znałem, jedyny, jakiego pragnąłem - rozsypał się w drobny mak. Nie istniał. Stałem bezsilny. Wołałem Jade, waliłem w drzwi; uderzyłem w nie barkiem w nadziei, że je wyłamię. Drzwi nawet nie drgnęły, - odbijając się od nich, zatrzymałem się przy balustradzie okalającej drewnianą werandę, wziąłem szeroki zamach i nie namyślając się, walnąłem pięścią w okno kuchenne, przebijając się zarówno przez brudną szybę, jak i powyciąganą, drucianą siatkę. Cofnąłem się, wyjąłem z kłykcia kawałek szkła i usiłowałem dojrzeć w mroku, czy ręka mi nie krwawi. Nic nie widziałem, ale czułem między palcami wilgotną, lepkaż maż.

Wdrapałem się na balustradę, z balustrady zaś na parapet

- wąski, spękany występ z drewna, pokryty odpadającą farbą. Zaciskając palce na framudze, ostrożnie sunąłem w skarpetkach po występie; ażeby nie runąć na plecy, całym ciałem napierałem na szybę, starając się jednocześnie powiększyć kolaniem otwór. Nie przyszło mi do głowy, że mógłbym po prostu włożyć rękę i odhaczyć okno od wewnątrz. Przy trzecim podejściu szyba pękła na pół i dwa duże płyty o nierównych brzegach poleciały na ziemię. Kiedy kopnięciem rozerwałem siatkę, w kuchni zapaliło się światło. Wsuwałem się właśnie do środka, gdy coś uderzyło mnie w nogę tak mocno, że aż mi dech zaparło. Przeszył mnie potworny ból; po chwili nastąpił drugi i trzeci cios. Trzymałem się kurczowo framugi, z której niczym

miniaturowe szczyty Alp sterczały ostre kawałki szkła, w trzech czwartych byłem już w mieszkaniu, jedynie głowę miałem na zewnątrz i wylem w ciemną noc. Przy czwartym ciosie puściłem się framugi i zwałem się na podłogę.

Naprzeciw siebie ujrzałem Jade, która trzymała miotłę, jakby to był kij baseballowy, i groźnie wymachiwała w moją stronę długą, czerwoną rączką. Kiedy kulejąc, zbliżyłem się o krok, Jade znów wzięła zamach i chociaż spudłowała, wolałem więcej nie ryzykować.

- Odłóż to - powiedziałem. Zacisnąłem palce, niechcący wbijając sobie w dłoń kawałek szkła.

Jade, ubrana w samą bieliznę, dyszała, a zarazem dygotała, tak jak po szybkim biegu w czasie lodowatej ulewy. Na policzkach widać było ślady odcisnięte po poduszce, włosy zaś miała potargane - czyli że spała. Wciąż wymachiwała miotłą, ale nie patrzyła na mnie. Przekręciła głowę z boku na bok, przetykając ślinę. Wreszcie postąpiła krok naprzód, cisnęła miotłę na podłogę, znów podeszła parę kroków, aż - całkiem bez ruchu - stanęła tuż przede mną. Wyciągnąłem ręce i objąłem ją, tuląc do siebie jej niechętne, nieuległe ciało.

- Musimy porozmawiać - rzekłem. - Wiem, co ci powiedziała Ingrid, i nie skłamała. Ale to nie wszystko. Jade. Jade?

Wolno podniosła ręce i oparła mi na piersiach, odpychając mnie od siebie.

- Jeśli tu zostaniesz, jeśli zostaniesz w tym domu, nie, musisz odejść, nie chcę być blisko ciebie, jeśli nie odejdiesz, zabiję się. Słyszysz, David? - Wzięła głęboki oddech i ryknęła płaczem. Zasłoniła oczy rękami, które były trupio blade na tle jej czerwonej twarzy. - Odejdź! - krzyknęła poprzez łzy. - Idź sobie!

Puściłem ją, otworzyłem drzwi kuchenne i wyszedłem z domu. Pograżony w bezprzytomnej rozpaczy, naprawdę wierzyłem, że Jade wyciągnie rękę i mnie zatrzyma, że zawoła z powrotem, ale gdy tylko znalazłem się na zewnątrz, podbiegła do drzwi i zamknęła je na klucz. Stałem na werandzie, spoglądając na wybitą szybę w oknie, ale wiedziałem, że nie mam po co się tam pchać. Czekałem, aż zgaśnie światło, a potem starałem się wsłuchać w odgłos oddalających się kroków, ale Jade znikła bezszelestnie. Jak duch.

Nie pamiętam wszystkiego, co się owej nocy działo. Wiem, że zastanawiałem się, gdzie przenocować. Poszedłem do sąsiadów, niejakich Goldmanów, ale na widok światła w oknach stchórzyłem. Przedstawiałem sobą okropny widok: w skarpetkach, z krwawiącą ręką, nieogolony, niewyspany, przerażony. Łaziłem po okolicy, usiłując zebrać myśli. Koszulę miałem mokrą - padało. Nie wiedziałem, gdzie się podziać. Kiedy bywam zmęczony, czuję się tak, jakby mój umysł poddawany był działaniu prądu o niedużym napięciu. W Rockville prosiłem, żeby mnie zbadano i powiedziano, skąd się to bierze, okazało się jednak, że nic mi nie dolega. Po pewnym czasie znów trafiłem do Gertrudy; stałem na podwórzu, wpatmjąc się w pograżony w mroku dom. Czarny dach zlewał się z deszczowym niebem, miałem więc przed sobą jedną wielką, ciemną masę. Nie zamierzałem włamywać się po raz drugi, ale musiałem gdzieś spać.

W końcu wylądowałem w zagrodzie wzniesionej dla psich rodzin, z której zburzeniem Jade czekała zapewne na mój powrót. Na ziemi leżało siano, a pokryty papą dach ze sklejek stanowił osłonę przed deszczem. Zapach, który unosił się wokół - zapach psów, ich sierści, odchodów,

mleka, po prostu zapach codziennej rzeczywistości - podziiała! na mnie kojąco. Wczołgałem się pod dach, uradowany tym, że udało mi się znaleźć tak idealne schronienie, w dodatku tak blisko Jade. Ułożyłem się w ten sposób, żeby mieć widok na dom, i zatopiłem się w rozmyślaniach: wyobraziłem sobie, jak nazajutrz rano Jade, zobaczywszy mnie w zagrodzie, schodzi na dół i rozpoczynamy długą dyskusję, podczas której wszystko sobie po kolei wyjaśniamy. Przypomniałem sobie, jak się kochaliśmy w hotelu McAlpin, i pomyślałem, że odtworzenie w pamięci szczegółów tej nocy poprawi mi samopoczucie, doszedłszy jednak do momentu, kiedy Jade zaprasza mnie do łóżka, zasnąłem.

Przespałem ranek. Kiedy Jade się obudziła i podeszła do okna, od razu ujrzała mnie śpiącego w psiej budzie. Zapewne wpadła w panikę, przestraszyła się, że nie ma ze mną żartów. Nie wiem, jaka była kolejność zdarzeń. Jade ubrała się - tylko czy zanim zadzwoniła po pomoc, czy już po telefonie? Włożyła spodnie w kolorze khaki, niebieską, popelinową koszulę z długimi rękawami, które podwinęła do łokci, oraz niebieskie sandały. A następnie poszła do telefonu. Nie wydaje mi się, żeby naga dzwoniła na policję. Może miała nadzieję, że nim się ubierze, jakimś cudem się obudzę, i że kiedy wyjrzy po raz drugi, zobaczy pustą budę i wygniecione siano. Ale ja nie mszyłem się z miejsca; wciąż spałem, nie, może właśnie zaczynałem się budzić. Pamiętam bowiem, że otworzyłem oczy przed przybyciem glin, pamiętam widok czystego, jasnego nieba, zapach siana, wiem, że sprawdziłem rany na dłoni i ponownie zapadłem w sen, tym razem głębszy, jakbym wyczuł, że minie wiele, wiele czasu, zanim znów - na wolności, na tej parszywej wolności - pogrążę się w śnie. „Na

podwórzu jest facet, który..." - tak pewnie zaczęła. Ale który co? Który mi grozi? Który zabił mi ojca? Który włamał się do mojego domu? Który zwariował?

Nie wiem, co powiedziała policjantom w Stoughton. W każdym razie nie wspomniała, że szuka mnie policja w Chicago, gdyż przesiedziałem kilka godzin na komisariacie, zanim ta kwestia w ogóle wypłynęła. Przypuszczalnie poprosiła - nie wchodząc w żadne szczegóły - żeby przyjechali i usunęli mnie z podwórza. Kiedy przybyli na miejsce, podeszła z nimi do psiej zagrody, chcąc, abym ją również zobaczył. Jeden z gliniarzy kopnął mnie w ramię i gdy otworzyłem oczy, od razu domyśliłem się, co się stało. „Wstawaj!” - rozkazał ostrym tonem, jakby spodziewał się po mnie wszystkiego najgorszego. Chwilę wahalem się, zastanawiając się, czy nie ma innego wyjścia, czy nie można zmienić biegu wydarzeń. Gliniarz znów wymierzył mi kopniaka, aż Jade zaprotestowała: „Nie musi pan być tak brutalny”. Coś jej powiedzieli, a ja tymczasem wstałem. Chwycili mnie za ramiona, jakbym był groźnym przestępcą, i szli, poszturchując mnie i popychając; były to drobne złośliwości, ale jakże upokarzające. Aresztowanie włóczęgi, czynność tak mtynowa i pospolita, powinno przebiegać gładko i spokojnie, jednakże widok faceta śpiącego w psiej zagrodzie wywołał w nich przedziwną odrazę, której nie potrafiłem zrozumieć. Wyglądałem jak łachudra, to prawda, ale ledwo widziałem na oczy, a już na pewno nie sprawiałem wrażenia niebezpiecznego złoczyńcy. Rozwścieczyło ich to, że byłem taki bezbronny i nie stawiałem najmniejszego opom. Ruszyłem z nimi bez protestu, nie chcąc być ciągnięty po ziemi. Staralem się odwrócić, spojrzeć na Jade, lecz chwycili mnie jeszcze mocniej i wtedy po raz pierwszy poczułem strach. Oni mnie naprawdę

nienawidzą - pomyślałem. Wepchnęli mnie do wozu na tylne siedzenie. Obejrzałem się przez ramię, ale nie zobaczyłem już Jade. Pewnie wciąż stała za domem i patrzyła na budy z wybiegiem, rozmyślając o psach, o tym, jak się nimi opiekowaliśmy i jak pod ich wpływem sami omal nie zrobiliśmy sobie dziecka. Zapewne wstrząsały nią teraz dreszcze i nachodziły wątpliwości, czy postąpiła słusznie. Wóz pędził naprzód. Siedziałem w kajdankach, ale od policjantów na przednim siedzeniu nie odgradzała mnie żadna krata, tak jak to bywa w wozach policyjnych w większych miastach. Nieraz słyszałem, że kajdanki powodują bolesny ucisk, więc nie byłem tym specjalnie zdziwiony, natomiast nie spodziewałem się, że mój organizm tak gwałtownie zareaguje na ból. Pociłem się i niewiele brakowało, abym zwymiotował sobie na kolana; czułem lodowaty, paniczny strach przed kompromitacją.

18

Ilekcroć zastanawiałem się nad tym, jakie mogą być konsekwencje mojej ucieczki z Chicago, największym lękiem napawała mnie myśl o powrocie do Rockville, gdzie znów snułbym się po ogromnych trawnikach, patrząc na bładoniebieskie niebo i na jasnowłose dzieci, które wczepione palcami w czarne, wiktoriańskie ogrodzenie, przyglądały się nam z zaciekawieniem. Rockville kojarzył mi się z wygnaniem, z uczuciem bezsilności i niepowetowanej straty, gdyż oznaczał przymusową rozłąkę z Jade. Kiedy wiodłem żywot uciekiniera, czasem nachodził mnie okropny lęk przed schwyтaniem oraz koszmar

wizja ponownego zaniknięcia w Rockville. Na ogół jednak udawało mi się o tym nie myśleć, udawało mi się zakneblować i związać nawiedzające mnie widma i zmory i chwała Bogu, bo to, co miało miejsce, gdy trafiłem w ręce policji stanu Illinois, było o niebo gorsze niż cokolwiek, co byłbym w stanie sobie wyobrazić. Za niedotrzymanie warunków przedterminowego zwolnienia potraktowano mnie znacznie bardziej srogo niż za podpalenie domu i niemal spowodowanie śmierci pięcioosobowej rodziny. Pierwsze przestępstwo stanowiło naruszenie praw rządzących życiem w społeczeństwie, drugie zaś było naruszeniem prawa ustanowionego przez policję, a do tego typu wykroczeń podchodzono z większą surowością.

Po licznych zwłokach, odroczeniach, odwołaniach, po ciągnącej się w żółtym tempie papierkowej robocie, po przesłuchaniach, badaniach lekarskich, po przenosinach mnie z jednego więzienia do drugiego, a potem do trzeciego, sąd w końcu postanowił umieścić mnie w średniej wielkości zakładzie karnym w Volkshill w stanie Illinois, niedużej miejscinie leżącej w połowie drogi między Chicago a Wyon. Umieszczono mnie w celi z czterdziestokilkuletnim facetem, Tomem Ritą, który kończył odsiadywać ośmio- lub dziesięcioletni wyrok za szmuglowanie papierosów. Tommy był opalony, rozsadzała go energia i codziennie po południu przez dwie godziny gimnastykował się, żeby utrzymać swoje małe, krępe ciało w jako takiej formie. W nocy opowiadał mi szeptem o tym, jak durne jest prawo, czego najlepszym dowodem było to, że zamknięto go za nieuiszczenie opłat przy przewozie papierosów. Przyczepili się do tak „gównianej sprawy jak papierosy”, a on tymczasem poturbował solidnie parę osób, podłożył bombę pod restaurację, dokonał niezliczonej ilości włamań,

dopuścił się bigamii, zeniąc się raz w Hegwisch, potem w Michigan City. Nie wierzyłem jednak w listę przestępstw, do których się przyznawał.

Właściwie niewiele mam do powiedzenia o życiu w Volkshill. Bez przerwy czułem strach, zarówno wtedy gdy zapadałem w najgłębszą nudę, jak i wtedy gdy wznosiłem się na wyżyny fałszywego cynizmu. Przerażała mnie ta anonimowość: mogli człowieka pobić na śmierć, można się było udławić jedzeniem, dostać wylewu krwi do mózgu i nikt by się tym nie przejął, może nawet by tego nie zauważył.

Wierzyłem głęboko, że za niecałe pół roku wyjdę z więzienia, co nie znaczyło oczywiście, iż znajdę się na wolności, ale że przynajmniej będę podlegał innej, łagodniejszej karze. Świadomość ta powinna była uczynić mój pobyt w Volkshill łatwiejszym do zniesienia, lecz nie potrafiłem spojrzeć na to optymistycznie. Rozumiałem wprawdzie, że każdy dzień przybliży moment, kiedy sąd znów rozpatrzy moją sprawę, tym razem nie tak surowo, jednakże te dni były nie do wytrzymania. Czułem się jak pływak, którego odpływ rzucił na pełne morze: każda fala, która toczy się do brzegu, znosi go coraz dalej i dalej.

Powoli zacząłem widzieć świat przez mgłę, równie prawdziwą i nieprzejrzaną co gęsta mgła nad ranem. Towarzyszył temu stopniowy zanik świadomości cielesnej, słowem, im mniej byłem świadom otaczającego mnie świata, tym bardziej kurczyło się moje poczucie rzeczywistości. Sny miałem niezwykle barwne i żywe, i nawet nie zdziwiłbym się, gdyby nagle w środku dnia, który tak wolno upływał, ktoś potrząsnął mnie za ramię i obudził. Straciłem apetyt; czasem sam zapach z kuchni, nie mówiąc już o widoku jedzenia, wywoływał we mnie gwał-

towną odrazę. Zacząłem kuleć; pogorszył mi się słuch. Mówiłem do siebie - na początku po to, żeby uporządkować myśli, przypomnieć sobie o czymś, później jednak weszło mi to w nawyk i gdy czyjaś niewyraźna sylwetka pojawiła się w polu widzenia, burcząc: „Zamknij wreszcie japę”, ze zdziwieniem zdawałem sobie sprawę, że znów rozmyślałem na głos, choć czasem nie miałem pojęcia, o co temu komuś chodzi. To z kolei prowadziło do straszliwej manii prześladowczej, a potem wszystko nagle zaczęło się walić. Gdyby Ziemia wysunęła się o centymetr poza orbitę, życie przestałoby istnieć. Nie potrafiłem się przystosować, przejść do porządku dziennego nad moimi stratami, i popadałem w coraz gorszy stan. Od czasu do czasu, w rzadkich przeblyskach świadomości, mówiłem sobie, że całe to szaleństwo, te dziwne objawy fizyczne oraz majaki powstają pod wpływem mojej woli i gdybym naprawdę chciał, mógłbym znów wziąć się w garść. Ale próżna to była pociecha, bo jednocześnie mówiłem sobie, że pragnę pogрузić się w szaleństwie. Jednakże nawet w chwilach największego samokrytycyzmu (choć prawdę mówiąc, byłem z siebie całkiem zadowolony) nie widziałem - i nie umiałem sobie wyobrazić - innej drogi postępowania.

Rose i Arthur odwiedzali mnie w sali widzeń, znacznie bardziej przytulnej od reszty pomieszczeń: były tu lśniące tapety w geometryczne wzory, wygodne fotele z pomarańczowego plastiku, stoły, przy których można było rozmawiać we własnym gronie, w tle muzyka płynąca z radia tranzystorowego nastawionego na program lokalny. Nie pamiętam, co mówiłem i jak się zachowywałem, ale przypuszczalnie rodzice widzieli, że powoli się tu rozpadam, bo wkrótce zaczęli się intensywnie starać o przeniesienie mnie z więzienia do szpitala. Wydali sporo pieniędzy,

których nie mieli w nadmiarze, naciskając na władze stanowe, i po trzech miesiącach pobytu w Volkshill nagle znalazłem się w szpitalu na obserwacji psychiatrycznej. Znowu robiono mi znajome testy, byłem badany przez psychiatrów z więzienia - najpierw przez doktora Hillmana, który wyglądał jak wielki, różowy, ogromnie sympatyczny zwierzak z książki dla dzieci, a potem przez doktora Morrisa, młodego Murzyna z fryzurą afro, który nosił na szyi ogromny kiel. Mówiłem im, co mi ślina na język przyniosła, odpowiadając na ich pytania beznamiętnie, jakbym wywoływał numery przy grze w bingo. Nie miałem żadnego powodu, aby dawać uczciwe odpowiedzi czy też stosować się do ich rad, i w końcu obaj doszli do wniosku, że moje zdrowie psychiczne znajduje się w krytycznym stanie. Zalecili, aby mnie wysłano do szpitala stanowego, i z pewnością bym tam trafił, gdyby nie rodzice, którzy szukali lepszego rozwiązania i byli gotowi pokryć wszelkie koszty.

Tak więc piętnastego stycznia 1974 roku ponownie znalazłem się w Rockville w Wyon, w stanie Illinois. Dowieziono mnie tam wozem policyjnym, pod eskortą czterdziestokilkuletniego urzędnika z więzienia, który siedział obok, nie odzywając się ani słowem. Po drodze zerwała się burza śnieżna i musieliśmy stanąć, żeby zmienić wycieraczki. Dygotałem z zimna i przez cały czas trzymałem dłonie pod pachami, żeby je ogrzać. Zamarznięte pola kukurydzy wyglądały jak świat w gruzach.

Po Volkshill, w Rockville odetchnąłem z ulgą. Objawy chorobowe, które wystąpiły u mnie w więzieniu, stopniowo zaczęły ustępować, chociaż ciągle liczyłem się z możli-

wością ich nawrotu. Czasem bez powodu budziłem się w nocy i zupełnie nie wiedziałem, gdzie się znajduję; ten chwilowy brak rozeznania przerażał mnie i myślałem wtedy, że znów się wszystko wali. Rozmawiając z doktorem Clarkiem - tym razem, głęboko przekonany, że potrzebuję pomocy, starałem się być z nim szczery - niekiedy wybuchalem płaczem, który nie miał najmniejszego związku z tym, o czym akurat dyskutowaliśmy; łkaniem napełniałem żagle mojej rozpacz i odpływałem daleko od brzegu, tak jak za najgorszych okresów w Volkshill. Z początku doktor Clark pozwalał mi się wypłakać, później jednak, widząc, jaki staję się osowiały i zamknięty w sobie, usiłował temu zapobiec. Mimo że był przeciwny terapii lekowej, przepisał mi lithium. Lek pozostawiał bardzo niemiły smak w ustach i powodował senność: ucinałem sobie po południu dwugodzinne drzemki, ale zdołałem wrócić do równowagi psychicznej, z czego się ogromnie cieszyłem.

Podczas mojego pierwszego pobytu w Rockyille byłem niemal anonimową, nierzucającą się w oczy postacią, tym razem jednak prawie wszyscy mnie znali. Nie miałem w sobie cech urodzonego przywódcy i nikt nie oczekiwał, że stanę na czele pacjentów w ich odwiecznej walce z personelem, w walce, która toczyła się nawet w tak luksusowym szpitalu jak Rockville. Lubiano mnie, bo byłem starszy i dobrze zorientowany w sprawach szpitala, jak również dlatego, że miałem więcej obowiązków niż inni. Kiedy przyjmowano nowych pacjentów, to ja ich oprowadzałem po Rockville. Byłem jak oficer zawodowy, którego ominęły wszystkie awanse, łagodny, bezzębny, który zawsze ma jakąś opowieść w zanadrzu i zawsze jest gotów pocieszyć w nieszczęściu. Zauważyłem,

że ilekroć ktoś naprawdę miał na pieńku z personelem, odsuwał się również ode mnie.

Nauczyłem się posługiwać kamerą Super-8 i robić nieskomplikowane obróbki na stole montażowym, toteż wkrótce zostałem głównym instruktorem filmowym w Rockville. Kręciliśmy proste, niewymyślne scenki: byli ludzie w ruchu, były zbliżenia, sceny w zwolnionym tempie, krótkie, slapstickowe skecze. Razem z kumplem napisałem scenariusz do dwudziestominutowego filmu pod tytułem *Natarcie olbrzymiej matki*: kręciliśmy od dołu stojącą na szklanym stole pacjentkę Sally Walsh, otoczoną miniaturowymi drzewami i krowami. Jestem pewien, że zajęcia te miały ogromne znaczenie terapeutyczne dla nas wszystkich. Czym się jeszcze zasłużyłem? Otóż u mnie szukała pocieszenia Mitzi Pappas, kiedy przeżywała koszmarne sensacje po zażyciu LSD, które jej brat przemycił do Rockville. Kiedy zaś Myron Friedman stał w oknie na trzecim piętrze, chcąc popełnić samobójstwo (a raczej połamać sobie wszystkie kości), to ja go odwiodłem od tego zamiaru, wołając: „Myron, zakuta pało, błagam cię na wszystkie świętości, wracaj tu natychmiast!"; a gdy nasz marzyciel Michael Massey nie powrócił z gmpowej wycieczki do Wyon, doktor Clark - mimo że miałem surowy zakaz opuszczania terenów Rockville - powołał mnie do pięcioosobowej drużyny, która wyruszyła na poszukiwania zaginionego, i właśnie ja go znalazłem, kiedy stał w ogrodzie za jakąś zabita deskami chałupą, wpatrując się w swoje ręce.

Trzeciego czerwca 1974 roku otrzymałem list od Jade. Wręczył mi go doktor Clark po rozmowie, jaką odbyliśmy u niego w gabinecie.

- Nie będę cię okłamywał - rzekł. - List przyszedł wczoraj, przeczytałem go. Chciałem się przez noc zastanowić, czy ci go pokazać. Uznałem, że tak.

Drogi Davidzie!

Wciąż jestem w Stoughton, chociaż skończyłam już studia i nie mieszkam w Gertrudzie. Od czasu naszego rozstania byłam tam tylko raz, żeby zabrać swoje rzeczy. Mieszkam teraz na pierwszym piętrze w tym małym zielono-białym domku przy poczcie. Mieszkanie jest trochę za duże jak na jedną osobę, ale przynajmniej nikt się do mnie nie wtrąca. Zapewne Cię to zdziwi, ale poznałam kilka technik medytacji. Keith nauczył się ich od znajomego z pracy - oboje mamy tę samą mantrę, czyli słowo lub słowa, które się nuci, rozpoczynając medytację. To niesamowite, że po piętnastu lub dwudziestu minutach siedzenia i oddychania człowiek może się czuć taki wypoczęty. Teraz, gdy mam dyplom wyższej uczelni, wykorzystuję zdobytą, i dość kosztowną, wiedzę, pracując jako sprzedawczyni w sklepie z wyrobami kamionkowymi. Pod wieloma względami jest to świetna praca, tym bardziej że ogromnie podobają mi się tutejsze wyroby - z wybrakowanych kompletów zgromadziłam sobie serwis na czterdzieści osiem osób - ale mężczy mnie stanie cały dzień na nogach, jak również arogancja klientów, którzy często postępują tak, jakbym była ich służącą.

W wolnych chwilach jeżdżę do Bostonu. Zaczęło się od tego, że zapisałam się na kurs psychodramy, co już samo w sobie było dziwne! Dwadzieścia obcych osób, z których każda prowadzi odrębne życie, spotyka się w starym magazynie w pobliżu nabrzeża, gdzie daje wyraz swoim najgłębszym uczuciom. A w każdym razie próbuje. W moim przypadku wynikało to z długotrwałego zainteresowania teatrem

i nowymi metodami psychoterapii, a żadnej z tych dwóch dziedzin nie miałam okazji poznać tak dobrze, jakbym tego pragnęła. Przyznam Ci się, iż po skończeniu kursu bardziej pociąga mnie teatr niż psychologia, ale nasz instruktor Ira Woods powiedziała, że zapewne bronie się przed zrozumieniem psychodramy i tego, co wyjawia o moich „najgłębszych uczuciach”. Może w istocie uciekam przed samą sobą, ale zapisałam się na dwa kursy teatralne: jeden to kurs scenografii, który odbywa się tu na miejscu w Stoughton (władze uczelni zgodziły się, żebym uczęszczała jako wolny słuchacz, za darmo), drugi to kurs dla początkujących aktorów prowadzony w Bostonie przez cudownego szaleńca Rudyarda Lewisa.

Wypady do Bostonu zrobiły mi bardzo dobrze. Wprawdzie Bostonowi daleko do Nowego Jorku, ale przynajmniej w porównaniu z Stoughton jest to prawdziwy, wielki świat; najbardziej jednak cieszę się z tego, że poznałam tam kupę fajnych ludzi i zawarłam kilka prawdziwych, serdecznych przyjaźni. Głównie są to ludzie z teatru, a większość artystów ma mniejszego lub większego bzika, lecz poznałam również sporo osób spoza środowiska, choćby wspaniałą, piękną kobietę z Senegalu, która pracuje w sklepie z produktami dietetycznymi, czy też pięćdziesięcioletniego prawnika, który mieszka sam w mieszkaniu jak z bajki, stawia ludziom horoskopy i wie absolutnie wszystko o Comédie Française.

Moja praca dyplomowa spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem i chciałam Ci ogromnie podziękować, bo bardzo mi przy niej pomogłeś. Kilka osób, które ją czytało, namawia mnie, abym ją gdzieś opublikowała, lecz tę domenę pozostawię chyba Annie. Nie wiem, jakie wydawnictwo mogłaby moja praca zainteresować, ale sam fakt, że uznano, iż jest warta publikacji, niesłychanie podbudował moje ego.

Twórczość Anny ruszyła wreszcie z miejsca. „New Yorker” za jednym zamachem kupił od niej trzy opowiadania. Pojęcia nie mam, kiedy się ukażą, ale pewnie i tak ich nie przeczytam. Niedawno właśnie powiedziałam Annie, że najpierw wolę ujrzeć jej prawdziwe oblicze, zanim zacznę studiować jej maski. Jeden wydawca, który nawet nie czytał opowiadań Anny, jedynie słyszał o nich od kogoś z „New Yorkera”, napisał do niej, pytając, czy przypadkiem nie pracuje nad powieścią. Jestem pewna, że Annie się powiedzie. Zastanawiam się tylko, jak sukces na nią wpłynie. Kiedy była młodą dziewczyną i mieszkała w Nowym Jorku, myślała, że świat czeka na nią z otwartymi ramionami, ale studia, następnie afera z jej ojcem, który wzbogacił się, sprzeniewierzając fundusze domów dla sierot, potem małżeństwo z takim dziwakiem jak Hugh i wychowywanie trójki dzieci sprawiły, że zapomniała o dziewczęcych marzeniach. Mam jednak przeczucie, że sukces Annę odmłodzi. Od pewnego czasu związana jest z człowiekiem, który wytwarza papier dla drukarni. Kiedy mi o nim powiedziała, wściekłam się - jak to ja - głównie dlatego, że poznali się przez ogłoszenie w prasie. Wydało mi się to poniżające i ryzykowne, ale tego rodzaju szalone przedsięwzięcia na ogół się Annie udają. Muszę przyznać, że podziwiam jej odwagę, bo ja bałabym się umówić z mężczyzną, o którym wiem tylko tyle, jaki ma numer oferty, że jest samotny i stanowi dobrą partię. Ale Anna umie sobie z czymś takim radzić. Są chyba szczęśliwi i planują podróż do Europy - statkiem, bo facet panicznie boi się latać. Jeszcze go nie widziałam; jeśli wytrwa pół roku, pojedę go obejrzeć.

Keith nic a nic się nie zmienił. Przez cały rok miałam w nim oparcie, zawsze gotów był służyć mi pomocą. Wspólnie odnawialiśmy starą, wiejską chałupę, którą dotąd wynajmował, a którą niedawno kupił za pieniądze z polisy ubezpieczeniowej

Hugh. Przez dziesięć dni szorowałam na kolanach stare drewniane podłogi. To dopiero terapia zajęciowa! Kiedy wreszcie z jasnych, sosnowych desek zeszkrobałam liczne warstwy brudu, w głowie miałam zupełną pustkę. Cieszę się, że odnowiliśmy stosunki, bo Keith okazał się wspaniałym bratem i wspaniałym kumplem. Fajny, naprawdę mądry, z poczuciem humoru, jest chyba najbardziej oddanym mi przyjacielem.

Sammy wciąż kroczy drogą ku prezydenturze. Studiuje na pierwszym roku na Harvardzie. Wszystkie dziewczyny uganiają się za nim - jest tak piekielnie przystojny. Zakochał się w nim nawet ksiądz prawosławny! Coraz trudniej mi się połapać, jakie są jego przekonania. Jest zbyt wykształcony na to, żeby wierzyć w „powszechną sprawiedliwość”; uwielbia głosić tezę, że każdemu trzeba zapewnić „możliwości stworzenia sobie możliwego życia”, co brzmi ładnie, ale trochę jak slogan wyborczy. Nauka idzie mu doskonale, a w wolnym czasie pracuje jako model u Jordana Marsha, gdzie zarabia trzydzieści pięć dolarów za godzinę! W zeszłym tygodniu widziałam jego zdjęcie w bostońskim „Globe”. Ubrany w ciemny garnitur, uśmiechał się od ucha do ucha. Sammy jest jedynym z Butterfieldów, który musi walczyć z pokusami. Keith, Anna i ja jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, możliwości mamy ograniczone, właściwie w ogóle ich nie mamy. Nasze drogi nie rozwidlają się, nie musimy podejmować ważkich decyzji. Sammy zaś ma przed sobą szeroki wachlarz możliwości. Może być kimkolwiek: rewolucjonistą, liberalnym demokratą, studentem, mnichem, łajdakiem i bez względu na to, co zrobi, zawsze zyska uznanie. Tak, chyba mu zazdroszczę, mimo że bez przerwy musi dokonywać wyboru. Wydaje mi się, że nie wytrzymałabym tego. Jak powiada Anna, Sammy cierpi na nadmożliwość.

Od tygodnia wszędzie noszę z sobą ten list: to go kładę na biurku, to chowam do torebki, to coś dopisuję na stole w kuchni. Nie wiem, czy powinien być bardziej, czy mniej osobisty. Nasza miłość oraz to, że byłam otwarta na wszystko, co nas dotyczyło, sprawiły między innymi, że każda wypowiedź, którą czynimy, staje się intymna. Wiem, że nigdy Cię nie zapomnę. Staralam się nie myśleć o Tobie, ale mi się nie udało. Stanowisz moją przeszłość i w końcu zrozumiałam, że lepiej mieć przeszłość, która przeraża, niepokoi i w dużej mierze unieszczęśliwia, niż nie mieć jej wcale. Ale wygaduję bzdury, prawda? Nie ma ludzi bez przeszłości. Nawet chorym na amnezję coś zaczyna świtać, gdy oglądają obrazy, które kiedyś widzieli. Gdybym tylko czuła żal, byłoby mi łatwiej. Chciałabym móc tak normalnie, ze smutkiem, wspominać to, co nas łączyło. Ale wiem, że przebywałeś w zamknięciu, chociaż nie są to kraty więzienne, lecz mury tego dobrego szpitala, i wiem, że znalazłeś się tam dlatego, że wtedy w Stoughton zadzwoniłam na policję. Wszystko jest takie skomplikowane i nie umiem sobie z tym poradzić. Czuję się jak człowiek, który zasiadł do kanasty, ale na widok kilku pomieszanych talii kart odchodzi mu ochota do gry.

Pamiętasz wieczór, kiedy poszliśmy na kolację po tym, gdy spędziłam pół dnia z Susan Henry? Mówiłam ci, co mi powiedziała: że przez Ciebie wyładowuję na rodzinie zgromadzoną w sobie agresję. Teraz, kiedy Hugh nie żyje i wiem, że to Ty zwabiłeś go na jezdnię, gdy szedł z narzeczoną Piątą Aleją, myślę sobie, że w pewnym sensie chciałam jego śmierci. Czasem mam wrażenie, że jestem potworem. A to przeszkadza mi nawiązać bliższy kontakt z ludźmi. Tylko z Keithem mi się udało, bo on przyjmuje mnie bez zastrzeżeń, taką, jaka jestem. Zdarza się, że ni stąd, ni zowąd staje mi przed oczami obraz, jak policja zabiera Cię sprzed domu

- myślę wtedy, że jednak powinni byli zabrać mnie. Stanowiliśmy jedność, zarówno gdy się kochaliśmy, jak i wtedy gdy wyrządziłeś tyle krzywdy moim bliskim. W łóżku uwodziliśmy się na zmianę, później - w czasie pożaru i wypadku Hugh

- ja byłam stroną uwodzącą. Nie chcę tym wyznaniem sprawić Ci bólu czy pomieszać w głowie. Ale pomyślałam, że znając moje odczucia, może łatwiej Ci będzie wszystko przemyśleć i może szybciej wrócisz do świata, w którym - a mówię to z pełnym przekonaniem - jest Twoje miejsce.

Wiem, że już chyba nigdy się nie zobaczymy. Traktuję naszą miłość jako wykroczenie, a dłużej nie chcę naruszać prawa. Straciłam odwagę, ale to i lepiej, bo taka beztroska do niczego nie prowadzi. Niszczy wszystko. Nie dalibyśmy rady ułożyć sobie razem życia. To dziwne pisać Ci o tym teraz, ale nadal wierzę w naszą miłość i nadal Cię kocham. Postanowiłam jednak, że na zawsze odsunę tę miłość od siebie i że już nigdy się z Tobą nie zobaczę.

Przez cały następny rok nie miałem od Jade żadnych wieści. Nie odpisałem jej na list, wysłałem tylko kartę pocztową, dziękując, że się do mnie odezwała. Nie pisałem też do Anny i starałem się o nich nie myśleć dwadzieścia cztery godziny na dobę. Arthur i Rose byli jedynymi osobami, które mnie odwiedzały, choć już nie tak systematycznie jak dawniej. Kiedy zauważyłem, że ich wizyty stają się coraz rzadsze, poprosiłem, żeby przyjeżdżali raz w miesiącu, co nam wszystkim ogromnie ulżyło.

Wciąż otrzymywałem lithium; chociaż mój stan się poprawił, nie było mowy o tym, żeby zwolnić mnie z Rockville. Czasem wydawało mi się, że po prostu przyzwyczałem się nie zwracać uwagi na swoje pragnienia i pomieszane uczucia. Innym razem byłem głęboko przekonany, że na-

prawdę zdrowiej. Gdyby jednak ktoś mnie spytał, co rozumiem przez „zdrowiej”, nie wiedziałbym, co odpowiedzieć. Miałem bardzo skromne cele: przeżyć kolejne dni bez żadnych wzruszeń. W dziwny sposób, stopniowo, przystosowywałem się do życia szaleńca.

Nagle pewnego dnia wszystko we mnie puściło. Było to pierwszego lutego 1976 roku, kiedy rodzice, nie zważając na zamieć śnieżną, przyjechali z wizytą. Arthur zdjął czarną futrzaną czapę i kiedy otrzepywał z niej śnieg, zobaczyłem, że na czubku głowy zrobiła mu się łysina, a długie włosy po bokach głowy pokryły się siwizną: wyglądał dystygownie niczym delegat na międzynarodowej konferencji związkowców. Stracił sporo na wadze; miał teraz wystające kości policzkowe, a kraciasta koszula, choć zapięta po ostatni guzik, była luźna pod szyją. Rose wyglądała wprost zachwycająco. Mróz wymalował jej na policzkach czerwone rumieńce, a zdenerwowanie towarzyszące podróży dodało jej oczom blasku. Ubrana była w modne skórzane botki, szarą spódnicę i golf; paliła papierosa w przezroczyściej fifce, wydmuchując w górę dym, który niczym włócznia przecinał promienie słońca.

- Pewnie myślałeś, że nie przyjedziemy - powiedział Arthur, obejmując mnie na powitanie.

Rose wyglądała przez okno, przypuszczalnie zastanawiając się, czy zamieć śnieżna nie zmusi ich do zostania na noc w szpitalu wariatów. Teraz, gdy jedno z rodziców mówiło coś do mnie, drugie patrzyło w przeciwną stronę, jakby nic nie słyszało albo jakby rozmowa odbywała się w obcym języku.

- Wiecie, o czym dziś myślałem? - spytałem, kiedy rozgościli się w pokoju. - O pierwszym dniu w szkole

średniej. Tydzień wcześniej zabraliście mnie na zakupy i pamiętam, że uparłem się, aby kupić sobie czerwone spodnie. Takie trochę w stylu dżinsowym, choć niezupełnie. Może bardziej w stylu safari, tyle że czerwone. Nikt wtedy nie nosił czerwonych spodni, nigdy nawet nie widziałem takich na ulicy. Wydawało mi się, że jesteście strasznie fajni i wyrozumiali, zgadzając się, bym je kupił. I nie protestowaliście, kiedy włożyłem je pierwszego dnia do szkoły, a trochę bałem się, że mi nie pozwolicie. - Roześmiałem się, lecz Arthur i Rose siedzieli spięci niczym para w windzie cierpiąca na klaustrofobię. Przyjechali, żeby porozmawiać ze mną na inny temat, i na pewno wzięli to za zły znak, że wspominam szkołę średnią. - Z miejsca przyklejono mi etykietkę. Przez cały rok byłem znany jako chłopak w czerwonych spodniach, chociaż drugi raz ich już nie włożyłem. I właśnie rozmyślałem sobie dziś o tym, że taki niepozorny drobiazg może ukształtować nasze zachowanie, wpłynąć na całe nasze życie, na to, jak ludzie nas widzą i jak się sami widzimy. To wprost zadziwiające, że pozwoliliście mi iść tak do szkoły. Może sądziliście, że chłopcy w moim wieku noszą czerwone spodnie. Co? - Spojrzałem na Rose.

- Pojęcia nie mam. Naprawdę nie pamiętam, w co się wtedy ubrałem do szkoły.

- A ja pamiętam - odparłem ze smutnym uśmiechem. - W czerwone portki. Czerwieńsze od najbardziej czerwonego jabłka. Czerwieńsze, znacznie czerwieńsze od krwi.

- Mamy ci coś do powiedzenia na temat Jade Butterfield - oznajmiła Rose.

- Co takiego? - Natychmiast ogarnęła mnie paniczna trwoga. Siedziałem pochylony do przodu, z nogami lekko

rozsuniętymi, z rękami na kolanach. Słyszałem wycie wiatru i grające gdzieś radio: zespół „Kinks” śpiewał *Lolę*.

- Musisz zrozumieć, właściwie jestem pewien, iż rozumiesz, że to najlepsze wyjście - oświadczył Arthur. Czy myślał, że matka wyjawiała mi już, o co chodzi, czy też wołał przeskoczyć informację i od razu przejść do pocieszania?

- Co się stało Jade? - Jeszcze nigdy nie czułem się tak mało ważny; tylko słowa dzieliły mnie od bezdennej rozpacz. Miała wypadek. Umiera. Umarła. A to oznaczałoby moją śmierć.

- Nic się nie stało - powiedziała Rose - poza tym, że znalazła sobie męża.

- Dostaliśmy pocztą zawiadomienie o ślubie - wtrącił Arthur. - Nie wiemy, kto je przysłał. Nie było podpisane.

- Macie je przy sobie? Pokażcie.

- Zapomniałam zabrać z domu. Ale nic tam więcej nie ma, tylko że wychodzi za mąż za Francuza. Nie potrafiliśmy ustalić, czy jest to autentyczny Francuz, czy Amerykanin francuskiego pochodzenia.

- Gdzie jest to zawiadomienie?

- Już ci mówiłam. Nie wzięliśmy go z sobą. Jest to mały, prosty druczek. Chyba nigdy w życiu nie widziałam tak nędznego zawiadomienia o ślubie. Zupełnie nie przypomina tych eleganckich druków ze staromodnym liternictwem, które większość ludzi zamawia.

Poczułem ulgę, że nic złego się Jade nie przydarzyło, ale radość z tego powodu znikła równie szybko, jak się pojawiła.

- Jedyne, co było napisane - ciągnęła Rose - to, że państwo Denisowie Edelman zawiadamiają o ślubie ich syna François z Jade Butterfield. Potem następuje nazwa jakiejś synagogi w Paryżu.

- Kiedy?
- Miesiąc temu - rzekł Arthur. - Czwartego stycznia.
- Cały ten czas wiedzieliście?
- Otrzymaliśmy zawiadomienie parę dni temu.
- Nawet nie wiemy, kto je przysłał - dodała Rose. - Ale uznaliśmy, że lepiej ci o tym powiedzieć.

Wstałem. Nawet tak nieznaczny ruch wystarczył, żeby pokój zawirował mi przed oczami. Obróciłem się twarzą do rodziców: ojciec siedział nieruchomo, prosty jak świeca, matka zaś, wpatrzona w swój but, stuknęła nim o podłogę. Miałem ochotę rzucić się na kolana, błagać, żeby mnie przytulili i pocieszyli. Czuję się bardzo słaby i bardzo nieszczęśliwy.

- Pomóżcie mi - poprosiłem, pochylając głowę. Nogi mi tak drżały, że o mało nie straciłem równowagi.

- Pomóc ci? - spytała Rose. - Nie rozumiem, David. Nie wiem, o co ci chodzi. Cóż ja mogę zrobić? - Spojrzała na Arthura oczami, w których czaił się lęk oraz irytacja.

- Co było, to minęło - szepnął Arthur. - Nie ma powrotu do przeszłości. Wybacz, że to mówię, David, ale mam nadzieję, że Jade jest szczęśliwa.

- Jak ci pomóc? - ciągnęła Rose. - No, pytam cię. Nigdy nie wiedziałam. Powiedz mi. Prosisz, żeby ci pomóc, a ja nie wiem jak. Opowiadasz o czerwonych spodniach sprzed dwunastu lat, jesteś błydy jak trup, a ja już teraz naprawdę nie wiem, jak ci można w czymkolwiek pomóc. I szczerze mówiąc, chyba nigdy nie wiedziałam.

Żałowałem swoich słów. Starłem się wziąć w garść, opanować. Odetchnąłem głęboko, próbując rozjaśnić sobie umysł. Podszedłem do okna i zobaczyłem kolegę, Howarda Kerra, ubranego jak zwykle na czarno, który odprowadzał rodziców do samochodu stojącego na par-

kingu dla gości. Państwo Kerr szli objęci, podczas gdy Howard sunął przed nimi, skulony, bez kurtki, ze wzrokiem wbitym w ziemię, z długimi włosami powiewającymi na wietrze.

- Tak, to najlepsze rozwiązanie - rzekłem, patrząc, jak Kerrowie wsiadają do samochodu. Howard odgarnął ręką śnieg z przedniej szyby. - Dla mnie to duża ulga. W przeciwnym razie sytuacja wciąż byłaby niejasna. Czuję, jakby zdjęto ze mnie ciężar, tak, już teraz jest mi znacznie lżej. - Słyszałem za plecami oddechy rodziców. Mięśnie nóg miałem napięte aż do bólu. Pan Kerr otworzył okno i Howard pochylił się, żeby zamienić ostatnie słowo. Spaliny z rury wydechowej barwiły śnieg na jasnoszary kolor. W otwartym oknie ukazały się długie, pomalowane na czerwono paznokcie pani Kerr, która machała synowi na pożegnanie. Samochód odjechał; Howard stał w miejscu, dopóki tylne światła wozu nie znikły w śnieżnej zamieci.

- Lepiej, żebyście się szykowali do drogi - powiedziałem rodzicom. Na zewnątrz było dostatecznie ciemno, abym widział w szybie ich odbicia, odbicia dwóch postaci opartych o krzesła niczym dwie krzywo ustawione karty do gry. - Ludzie już odjeżdżają, a macie przed sobą długą podróż. Śnieg jak padał, tak pada. - Dostrzegłem, że Arthur się poruszył; położył dłonie na oparciu krzesła i nabrał powietrza do płuc. Zaraz podejdzie do mnie i otoczy ramieniem. Odwróciłem się pośpiesznie, żeby temu zapobiec. - Tak, to najlepsze rozwiązanie, najlepsze z możliwych, ale teraz... czuję się trochę zdezorientowany, trudno mi się oswoić z tą myślą, więc sądzę, że powinniście mnie zostawić samego.

- Moglibyśmy porozmawiać, David - rzekł Arthur. Skinąłem głową.

- Wiem. Ale od pięciu lat rozmawiam z psychiatrami i jakoś nie... Jestem po prostu zmęczony rozmowami. Może kiedy indziej pogadamy.

Rodzice dłużej nie protestowali. Stałem przy oknie, obserwując, jak idą na parking; szli osobno, nie dotykając się, ale chyba o czymś dyskutowali. Otwierając drzwiczki, Arthur odwrócił się i pomachał mi na pożegnanie, odsunąłem się jednak od okna i przywarłem do ściany, jakbym starał się uniknąć strzałów. Usiadłem na krześle i zacząłem długo i uparcie deliberować nad tym, czy fakt, że zająłem krzesło Rose, a nie Arthura, ma jakiegokolwiek znaczenie. W którymś z sąsiednich pokoi ktoś nastawił radio jeszcze głośniej: muzyka drażyła mi mózg niczym rozwścieczone korniki.

Wstałem i z zaciśniętymi pięściami wyszedłem na korytarz. Wiele pokoi było otwartych. Dzień odwiedzin, rodziny przybyły z wizytą. Bez przerwy musiałem sobie powtarzać, że świat nie kończy się na budynku szpitalnym, że ludzie nie spotykają się z sobą tylko w niedziele, i to w dodatku w malutkich pokoikach, w których stoją wąskie łóżka. Wreszcie po dźwiękach trafiłem na radio, które znajdowało się piętro wyżej w pokoju Bruna Tesiego. Bruno trzymał na kolanach olbrzymi tranzystor, z wyciągniętą do maksimum drżącą anteną. Obok Bruna siedział jego starszy brat, w prochowcu, z nogą założoną na nogę, i palił papierosa w brązowej bibułce. Bruno, spokojny chłopak o nieukształtowanym charakterze i świeżej, rumianej cerze, uśmiechnął się na mój widok. Leciały akurat stare przeboje Steve'a Millera, muzyka monotonna, działająca na nerwy. Bruno ściszył radio, żeby usłyszeć, co chcę powiedzieć. Nie podnosząc głosu, rzekłem:

- Jeśli nie ściszysz tego pudła, najpierw spiorę cię na kwaśne jabłko, a potem zabiję.

Popełniłem bardzo duży błąd, grożąc Brunowi Tesiemu. Zarówno on jak i brat donieśli o tym władzom szpitalnym i odtąd zaczęto mnie bacznie obserwować. Uprzywilejowana pozycja, jaką cieszyłem się w Rockville, znikła równie niespodziewanie, jak się pojawiła, po prostu rozplynęła się w powietrzu.

I bardzo dobrze - pocieszałem się. Odeszła mi prawie cała ochota do życia i czułem, jak zapadam się w najgorsze bagno samego siebie. Przyszła mi do głowy jeszcze jedna logiczna myśl, zanim straciłem nad wszystkim kontrolę: może Jade wyjechała do Paryża, żeby zwiększyć moją szansę wyjścia na wolność.

Powszechnie znaną tajemnicą Rockville było to, że personel zezwalał, aby pacjenci utrzymywali z sobą stosunki seksualne. Na ogół wszystko odbywało się niezwykle dyskretnie: w ciągu wielu lat, jakie spędziłem w Rockville, wiedziałem zaledwie o istnieniu dwóch czy trzech par, które ze sobą sypiały. Podczas mojego pierwszego pobytu doktor Clark oświadczył mi, że jeśli nawiążę romans z pacjentką, to żebym się tego nie wstydził, lecz powiedział mu o tym wprost, „podzielił się” swoimi przeżyciami. Takie właśnie było w Rockville podejście do seksu; zamiast zwalczać libido, chciano, żeby seks stanowił część ogólnej kuracji zdrowotnej. W końcu przecież byliśmy tu wszyscy po to, żeby sobie nawzajem pomagać, czyli między innymi nawiązywać prawdziwie ludzkie kontakty

- a czyż może istnieć prawdziwie ludzki kontakt, kiedy seks jest zakazany?

W kwietniu, kilka miesięcy po tym, jak dowiedziałem się o małżeństwie Jade, zaprzyjaźniłem się z szesnastoletnią pacjentką Rochellą Davis, która na swój sposób była piękną dziewczyną. Usta i paznokcie malowała na kolor ciemnej śliwki, ubierała się na czarno, bez przerwy paliła camele i uważała się za autorytet w dziedzinie samobójstwa. Dzieliła samobójstwo na kilka kategorii: samobójstwo jako akt zemsty, samobójstwo przez przypadek, samobójstwo jako nauuczka oraz inne rodzaje, które w pierwszej chwili brzmiały jeszcze bardziej bezsensownie, na przykład samobójstwo lawendowe, serowe i astralne. Nie miała żadnych przyjaciół, ani w szpitalu, ani poza nim. W świecie zewnętrznym uważano ją za zbyt wielkiego dziwoląga, w Rockville zaś większość pacjentów bała się zawarcia przyjaźni z kimś aż tak zafascynowanym ideą samozniszczenia. Rochella, chuda, zielonooka, o kasztanowatych włosach uczesanych w stylu Elvisa, nie przejmowała się tym, co ludzie o niej mówią, ale wyraźnie pragnęła mnie poznać. Nie miałem wątpliwości, że w dużej mierze zainteresowała ją moja z dnia na dzień coraz bardziej chwiejna pozycja w społeczności Rockville, chociaż z pewnością nie był to jedyny powód.

Pierwszy raz kochaliśmy się w łazience na parterze przeznaczonej dla pielęgniarek. Było to małe, zagracone pomieszczenie o różowych ścianach i szaroburej kafłowej podłodze, z fotelem oraz toaletką, na której znajdował się talk dla dzieci firmy Johnson, żyłka do czyszczenia zębów, dezodorant „Arrid” oraz woda kolońska w sprayu. Kochaliśmy się w fotelu, ze trzy lub cztery razy, co nie wynikało z naszego rosnącego podniecenia, lecz stąd, że czyniliśmy

to tak nieudolnie, iż satysfakcja, którą osiągnęliśmy, jedynie podrażniała ogromne zapasy zmagazynowanej żądz. Za pierwszym razem nie mieliśmy odwagi się rozebrać, tak jakby to robiło różnicę, czy ktoś nas przyłapie nago, czy ze spodniami spuszczoneymi do kostek. Siedziałem na fotelu z Rochellą na kolanach, która swoimi silnymi, kościstymi stopami dotykała oparcia, głowę zaś miała odchylną do tyłu i zwieszoną między moimi rozchylonymi nogami; zsunięte niemal do kolan majtki drżały niczym trampolina, kiedy Rochella, nie zważając na niewygodną pozycję i ograniczone możliwości ruchu, z nerwową pasją przysuwała i odsuwała biodra. Następnie doprowadziliśmy się do orgazmu ustami, po czym nareszcie w pełni rozebrani zaczęliśmy się kochać na zimnej podłodze, lecz było już za późno: zapal osłabł i oboje wiedzieliśmy, że mimo wysiłków żądza, którą staraliśmy się zaspokoić, pozostanie nieugaszona.

Ogarnęła mnie jednak obsesja na punkcie Rochelli. Kiedy tej nocy, na myśl o Rochelli, poczułem erekcję, szybko zerwałem się z łóżka i po chwili byłem u niej w pokoju. Siostra Seroppian spała w dyżurce, - co prawda ogromne fioletowe powieki jej drgały, ale wiedziałem, że nic mi nie grozi, bo ma kamienny sen. Spędziłem noc w łóżku Rochelli i raz nawet wszedłem w nią, gdy już spała. Na moment się obudziła, nie zaprotestowała i znów pogrzyła się we śnie. Ciągnęło się to przez wiele tygodni - kochaliśmy się tak, jakbyśmy tłukli głowami o ścianę. Czasem dziwiło mnie, że zaledwie szesnastoletnia dziewczyna może być aż tak pozbawiona romantycznych złudzeń, ale na ogół się nad tym nie zastanawiałem. Nie rozmawiałem z doktorem Clarkiem o moim romansie, wiedząc, że nie będzie z tego zadowolony, ale powoli i po cichu

zdobywałem sławę erotomana; znana była moja wytrwałość i ciągła gotowość.

Wkrótce później zacząłem sypiać z Pat Eliot, dwudziestokilkuletnią dziewczyną z Chicago, o jasnych kędzierzawych włosach, kształtnych ustach i bujnych piersiach, która wymawiała swoje imię Pa-at, tak jakby składało się z dwóch sylab. Pat była aktorką i mogła się szczycić licznymi sukcesami: grała w wielu sztukach w teatrze Goodmana i wystąpiła w świetnej roli w filmie hollywoodzkim, który jednak nie wszedł na ekrany. Była wspaniałą kochanką, czułą i silną, lecz wcale nietraktującą seksu jak zapasów. Jej piersi fascynowały mnie swoją wielkością, a zarazem peszyły, co z kolei podobało się Pat, bo zapewne ludzie za dużą przywiązywali do nich wagę. Miałem więc dwie kochanki, kiedy do Rockville przyjeżdża Stephanie.

Stephanie liczyła zaledwie dwadzieścia lat, a już pisała pracę magisterską na University of Chicago. Dręczyły ją koszmary i chodziła we śnie. Nie znałem jej nazwiska, ale wprost chorobliwie marzyłem o tym, żeby się z nią przespać, toteż przy najbliższej okazji zacząłem się do niej zalecać. Stephanie nie wykazywała najmniejszego zainteresowania ani seksem, ani moją osobą. Ja zaś z uporem maniaka dążyłem do celu. Jak pokerzysta, który przegrywa, o niczym innym nie myślałem. Gapiłem się na Stephanie, chodziłem za nią, śniła mi się, jawiła przed oczami, kiedy kochałem się z Rochellą i Pat, pisałem do niej liściki, wreszcie zwabiłem dziewczynę do swojego pokoju, gdzie rzuciłem się na nią jak wściekłe zwierzę. Stephanie wybiegła na korytarz, nawet nie tyle krzycząc, co donośnym, wzburzonym głosem wołając: „Na miłość boską!”, i w ciągu niecałej godziny zaprowadzono mnie do małego, słonecznego gabinetu doktora Clarka; doktor siedział przy

biurku, bębniąc palcami o lakierowany blat, na którym poza pojedynczą teczką zawierającą, jak się okazało, moje akta, nie leżało nic.

Rozmawialiśmy długo; wyjawiałem doktorowi, że prowadzę aktywne życie seksualne, na co Clark odparł, że wie. Powiedział, że o ile przyjaźń z Pat nie powinna mieć żadnych negatywnych skutków, o tyle romans z Rochellą jest groźny, bo to „dziwnie tajemnicza dziewczyna”, a że wobec Stephanie zachowałem się jak łobuz i drań. O dziwo, słowa reprimendy nie zakończyły się żadnym ostrzeżeniem; niczego mi wprost nie zabroniono.

Nie zważając na brak zainteresowania ze strony Stephanie i nagane udzieloną mi przez doktora Clarka, nie dawałem za wygraną. Nawet nie pamiętam, czego chciałem i co mi się podobało w tej dziewczynie; po prostu uznałem, że ciągnie mnie do niej magnetyczna siła. Odsuwając od siebie wspomnienia i zapominając o wszelkiej ostrożności, zdałem się na instynkt, który wcale nie był taki ślepy, jak bym tego pragnął. Czułem się zdolny do najbardziej podłych czynów. Oczami wyobraźni widziałem, jak gwałcę Stephanie, jak chwytam ją od tyłu, jak wślizguję się w nocy do jej łóżka. Traktowałem te zdrożne myśli jako oznakę żywotności, więc przyjmowałem je z zadowoleniem, chociaż niszczyły mnie psychicznie.

Chodziło oczywiście o to, żeby nie rozmyślać o Jade, każda „choroba” była więc zbawienna: gdybym nie popadł w erotomanię, równie chętnie popadłbym w paraliż wywołany histerią. Wreszcie pewnego dnia udało mi się namówić Stephanie, żeby przyszła do mnie do pokoju,- sądzę, że zaważył mój upór oraz to, że im dłuższy stawał się jej pobyt w Rockville i im bardziej się do niego przyzwyczajała, tym większą odczuwała pustkę i większą utratę

osobowości. Rozmawialiśmy o noblistach i chcieliśmy sprawdzić w roczniku statystycznym, który miałem u siebie, ilu Amerykanów dostało Nobla w dziedzinie literatury. Rochella zobaczyła, jak wychodzimy razem ze świetlicy; po kilku minutach poszła do swojego pokoju, wyjęła z kryjówki librium, które gromadziła od paru miesięcy, i usiłowała popełnić samobójstwo podpadające zapewne pod kategorię „samobójstwa jako aktu zemsty”.

Odratowano ją bez większych trudności, ale nazajutrz, kiedy w całym szpitalu panowało nerwowe podniecenie, doktor Clark oznajmił mi, że wystąpił o to, aby mnie „zwolniono” z Rockville. Zdawałem sobie sprawę, że takie zwolnienie nie wróży nic dobrego, spytałem go jednak, czy to znaczy, iż będę mógł wrócić do Chicago i przyjeżdżać tylko na okresowe badania.

- Dobrze wiesz, co to znaczy, a czego nie znaczy. Dziwi mnie, mimo że jestem twoim lekarzem, że korzystasz z tej okazji, żeby... Mniejsza o to. Odpowiedź brzmi „nie”. Decyzja wynika z bardzo prostej przyczyny. Nie mamy zbyt dużej nadziei na to, iż zdołamy cię tu wyleczyć. Twoja obecność zakłóca w tym momencie spokój całej społeczności terapeutycznej. Obawiam się, że dalszą kurację będziesz musiał odbywać gdzieś, gdzie przywiązuje się mniejszą wagę do społeczności jako takiej. Kto wie? Może taka odmiana dobrze ci zrobi.

Otóż to...

Dziadek, Jack Axelrod, nie dokładał się już do kosztów mojego leczenia; to, że naruszyłem warunki przedterminowego zwolnienia, oraz romans Arthura z Murzynką, sprawiły, że dziadek odżegnał się od nas i naszych niekończących się problemów. Rodzicom udało się uzyskać od władz Rockville zgodę na nieco niższą opłatę za le-

czenie, ale i tak była to suma znacznie przewyższająca ich możliwości finansowe. Kiedy w końcu zapadła decyzja o wyrzuceniu mnie z Rockville - ośrodka jakby nie było o bardzo łagodnych rygorach - Arthur i Rose zaczęli się pośpiesznie rozglądać za innym szpitalem o podobnym standardzie, ale w stanie Illinois nie znaleźli nic odpowiedniego; prawda była taka, że już dłużej nie mogli opłacać prywatnej kliniki. Zgodnie z zaleceniem sądu moje akta psychiatryczne, moje ciało oraz los zostały przewiezione do szpitala stanowego Fox Run w Highland Park będącym podmiejską dzielnicą Chicago. Zawiadamiając mnie o decyzji sądu, Arthur starał się dodać mi otuchy.

- Wydaje mi się, że sędziemu zależy, abyś podleczył się w takim miejscu jak Fox Run, zanim zwolni cię do domu. Kłopot z Rockville polega na tym, że personel słynie z pobłażliwości, więc powszechnie się uważa, że z jednej strony pacjent nie otrzymuje należytej pomocy, z drugiej zaś, że nie jest dostatecznie surowo ukarany.

- To dlaczego mnie tu umieściliście?

- Sam tego chciałeś. Uparłeś się.

- A teraz chcesz mnie umieścić w Fox Run? Znam Fox Run. Byli tu ludzie, którzy się tam leczyli. Cholera, to kazamaty, a nie szpital! Boże, nie widzisz, co się dzieje? O mnie nikt nie myśli! Fox Run to miejsce, w którym człowiek znika. Tam mogą pacjenta zatłuc na śmierć, przedawkować mu leki albo całkiem o nim zapomnieć. W porządku. Zgoda. Nic mnie to nie obchodzi, nie powiem już ani słowa. Proponuję tylko, żebyście się mi dobrze przyjrzeni. Jeśli uważacie, że teraz jestem w złym stanie, to kiedy się spotkamy w nowym miejscu, w ogóle nie rozpoznacie syna. Przysięgam, że mnie tam wykończą.

Pierwszego lipca 1976 roku Ed Watanabe oraz jakiś gość z Fox Run, przypominający z wyglądu rabina, przewieźli mnie fordem z Wyon do Highland Park. W prezencie pożegnalnym dostałem od doktora Clarka końską dawkę stelazine: nerwowe podekscytowanie minęło, czułem, jakby ze wszystkich stron otaczała mnie miękka, przezroczysta galareta. Otepiały, milczący, siedziałem z tyłu obok walizki i papierowej torby, obserwując, jak pola kukurydziane ustępują miejsca zabudowaniom, a niebo zmienia kolor z jasnego błękitu jajek drozda na szaroniebieski odcień spranych dżinsów i wreszcie na stalowo-bury odcień dymu. Ed i mężczyzna z Fox Run dyskutowali o burmistrzu, o gubernatorze, o budżecie federalnym, a w końcu zaczęli sobie opowiadać, w co wierzyli jako młodzi ludzie. W pewnym momencie Ed stwierdził z dumą, że obaj są „ideowcami z lat sześćdziesiątych” i facet z Fox Run skinieniem głowy przyznał mu rację.

W Fox Run czuliśmy się jak zwierzyna, na którą personel urzędu polowania. Starano się nas pozyskać, opowiadając o tym, jak to mieszkańcy Highland Park bez przerwy usiłują doprowadzić do zamknięcia szpitala; niemal co trzeci dzień część personelu gdzieś wyjeżdżała, żeby bronić naszej racji bytu, składać oświadczenia różnym grupom obywatelskim lub komisjom stanowym, odpierać tysiące zarzutów przeciwko Fox Run. My, pacjenci, mieściliśmy się w przedziale wieku od osiemnastu do dziewięćdziesięciu trzech lat, wielu z nas nie miało rodzin, sporo nie pamiętało swojej przeszłości. Byli wśród nas ludzie z Azji, z Appalachów, ze wschodniej Europy, z Meksyku, Murzyni; większość miała spędzić w tym lub innym szpitalu resztę życia.

Jednym z głównych zarzutów mieszkańców Highland Park było to, że w wyniku niedostatecznej kontroli pacjenci wychodzą ze szpitala, wałęsają się po okolicy, zagląдают do okien, załatwiają się w krzakach, wpatrują się ponurym wzrokiem w dzieci ubrane w krótkie spodenki lub kuse sukienki. Kiedy tylko się o tym dowiedziałem, postanowiłem uciec i wkrótce nadarzyła się okazja. Myłem podłogę, gdy usłyszałem, jak oddziałowy mówi sanitariuszowi, że trzeba naprawić drzwi przy wyjściu zapasowym, które się zablokowały i nie sposób ich ani porządnie otworzyć, ani zamknąć. Spacerowałem po korytarzach, szukając zepsutych drzwi. Znalazłem je bez trudu,- stałem przed nimi, oddychając ciężko i starając się sobie uprzytomnić, że tam na zewnątrz jest wolność - wielki, wspaniały świat.

Czekałem, dopóki na korytarzu nie zapanuje spokój; przez niedomknięte drzwi widziałem światło, mieniący się promień słońca. Czerwony napis na drzwiach głosił WYJŚCIE ZAPASOWE. Wiedziałem, że z tych drzwi należy korzystać tylko w nagłej potrzebie, a moja potrzeba właśnie była nagła i nieodparta. Popchnąłem drzwi - otworzyły się, huśtając się niepewnie na złamanym zawiasie, i przed oczami ukazał mi się prawdziwy wolny świat. Nagle ktoś mnie chwycił od tyłu i zaciągnął siłą do małego pokoju, który - jak niosła wieść - służył tylko i wyłącznie do wymierzania kar cielesnych i w którym bito mnie, szturchano, popychano i okładano pięściami aż do utraty przytomności. Oddziałowy i obaj sanitariusze, którzy złapali mnie i pobili, nie zawiadomili władz szpitalnych o próbie ucieczki, ja z kolei nie złożyłem na nich skargi. Nikogo nie interesowało, skąd się wzięły rany, guzy i siniaki na moim ciele. Obrażenia ustąpiły dopiero

po miesiącu, ból głowy jednak ciągnął się dłużej, dłużej też kuśtykałem. Bicie, jakiego doznałem, stanowi tak niesamowity akt przemocy, że nawet nie ma sensu go opisywać. Ci, którzy nie doświadczyli tego na własnej skórze, nigdy - choćby im to opisał sam geniusz - nie będą wiedzieli, jakie to uczucie, ci zaś, którzy przez to przeszli, wiedzą aż za dobrze.

W którąś niedzielę października do Fox Run przyjechała Anna. Sanitariusz odnalazł mnie na czwartym piętrze na oddziale męskim; siedziałem w sali telewizyjnej, oglądając mecz między Bears a Oakland Raiders.

- Masz gościa - oznajmił, dźgając mnie złośliwie palcem w ramię. Od kilku dni chodziłem otumaniony. Spytałem, czy to rodzice - zdziwiłem się, gdyż w trakcie ich ostatniej wizyty mieliśmy potworną awanturę i prosiłem ich, żeby przez pewien czas mnie nie odwiedzali.

- Nie, ciotka - odparł, pokazując mi białą kartkę. Data, godzina, nazwisko pacjenta. Imię i nazwisko gościa: Anna Axelrod. Pokrewieństwo: ciotka.

Czekała w sali widzeń: siedziała w niskim, zielonym fotelu, oglądając plakaty na ścianach - pary trzymające się za ręce, łabędzie na tle wody, wodospad oraz ogromne balony w czerwono-białe pasy, pod którymi widniał napis „Hej, wyżej w przestworza”. W sali było ze dwadzieścia innych osób, które przyszły z wizytą, tyle samo pacjentów i pięciu sanitariuszy sprawujących ogólny nadzór.

Ujrzałem Annę, zanim ona mnie spostrzegła. Zwolniłem kroku, czekając na reakcję, jaką jej widok we mnie wywoła. Byłem lekko podenerwowany i speszony, bo wiedziałem, że źle wyglądam, i dlatego że pobyt w zamknięciu zawsze jest

krępujący. Ale poza tym nie czułem nic: wszelkie emocje leżały przygniecione ciężarem mojej ponurej egzystencji. Anna trochę przytyła, ale te parę dodatkowych kilogramów wyszło jej na korzyść. Włosy miała całkiem siwe - trudno mi było uwierzyć, żeby sam upływ czasu tak radykalnie zmienił ich kolor. Ubrana w brązową spódnicę oraz delikatną, białą, dość kosztowną bluzkę, wyglądała niezwykle elegancko; rozejrzałem się, sprawdzając, czy wszyscy na nią patrzą, ale każdy pochłonięty był własnymi sprawami.

- Co za niespodzianka - rzekłem, siadając na sąsiednim fotelu.

- David! - zawołała i głos jej ugrzązł w gardle, znikł niczym moneta w dłoni maga. Czyżby za chwilę miała zamiar wyciągnąć mi ją z ucha? Odchrząknęła, policzki pokryły się rumieńcem. - Powiedziałam, że jestem twoją ciotką.

- Wiem.

- Nie potrafię udawać. Byłam pewna, że przyłapią mnie... - rozejrzała się wokół - na kłamstwie. Ale skoro jesteś, to chyba mi uwierzyli. - Uśmiechnęła się. Spisek. Zwycięstwo.

Zalała mnie fala uczuć. Chwyciłem chłodną, lekko opaloną dłoń Anny i ścisnąłem mocno, po czym podniosłem wolno do ust i zacząłem całować. Gdy tak siedziałem, przywierając nosem do jej ręki, zauważyłem, że skóra Anny nieznacznie pachnie ogórkiem. Kiedy wreszcie wyprostowałem się w fotelu, a Anna położyła rękę na kolanie, zobaczyłem, że jest mokra. Wpatrywałem się w dłoń, mając nadzieję, że Anna ją wytrze, a zarazem przerażony, że to uczyni.

- Przyjechałam do Chicago na prośbę wydawcy - rzekła cicho. - Lada dzień wychodzi moja książka.

- Więc wreszcie napisałaś książkę.

Chwilę się wahała, po czym skinęła głową. Myślała, że wiem o jej osiągnięciach. Trochę zbyt wysoko oceniała swoją sławę. Zrobiło mi się za nią wstyd. Jakim prawem uważa, że będąc tutaj, mogę cokolwiek wiedzieć?

- Niewiele tu dociera z tego, co się dzieje na zewnątrz.

- Tak, oczywiście. Zresztą równie dobrze mógłbyś o mnie nie słyszeć, gdybyś tu nie był. Może z dziesięć tysięcy osób na świecie zna moje nazwisko. To bardzo mały świat, ten świat literatury.

- Cieszę się, że napisałaś książkę. Boże, prawdziwą książkę!

- Dobrze wyglądasz, David - oświadczyła. - Naprawdę dobrze. - Popatrzyła po sali, jakby chciała dodać: A przynajmniej znacznie lepiej od innych. Któryś z pacjentów krztusił się od kaszlu: rodzina, żeby mu ulżyć, waliła go w plecy.

- Widziałem się wczoraj w lustrze. I wiesz, co sobie pomyślałem: „Kurwa, stary, wyglądasz jak ten od czubków”.

- Przesadzasz, nie jest tak źle. Głos ci się pogłębił.

- To od leków. Mam po nich rozluźnione mięśnie twarzy, co mnie postarza. Dają nam tu mnóstwo różnych świństw. Pamiętasz, uwielbialiśmy eksperymentować z różnymi środkami. Tu jest inaczej. Tu jest przymus. Muszą nas tym karmić, bo w przeciwnym razie roznieślibyśmy tę budę, spalili ją. I dlatego mam grubszy głos. Od leków. Cieszę się, że zwróciłaś na to uwagę. Nie byłem tego pewien, a nie miałem kogo spytać.

Przez chwilę milczeliśmy. Kaszlący wciąż się krztusił. Sanitariusz stał z rękami skrzyżowanymi na piersi, przyglądając się rodzinie, która waliła syna w plecy.

- Co robisz, jak tu jesteś? - spytała Anna.

- Ależ jestem tu cały czas!

Wzruszyła ramionami i znów rozejrzała się dokoła.

- Czym się zajmujesz?

- Słuchaj. Mam do ciebie prośbę. Jesteś teraz znaną pisarką. Napisz o mnie, co? Ale nie jakieś tam opowiadanko. Opisz prawdę. To, co mi się przydarzyło. Przepraszam. Zapominam, o czym nie wolno mi mówić. Ale faktem jest, że siedzę tu już od bardzo dawna, nie sądzisz? Moje akta leżą u kogoś na biurku, na samym spodzie ogromnej sterty papierysk. Może rozgłos by mi pomógł? Gdyby tylko świat dowiedział się o mnie i o takich jak ja. Muszę się stąd wydostać. Nawet jeśli wyglądam staro i inaczej od wszystkich, to przecież jeszcze nie umarłem. Nadal jestem tym samym człowiekiem. To ja, Anno. To naprawdę ja. Jakoś się trzymam. Żyję z dnia na dzień. Ale nie wiem, naprawdę nie umiem powiedzieć, jak długo jeszcze wytrzymam. Oni chcą, żeby człowiek się zmienił.

O to tu chodzi. Może bym się zmienił, gdybym uwierzył, że mnie wypuszczą na wolność. Ale wiem, że choćbym przeobraził się w kupę gnoju, nadal będą mnie tu więzili.

- Ująłem ponownie jej dłoń, lecz widząc łzy w oczach Anny, po chwili ją puściłem.

- To nie jest miejsce dla ciebie, David - szepnęła.

- Zawsze tak uważałam. To skandal, że tu jesteś, i masz świętą rację, że się wściekasz.

- Nie wściekam się, umieram. I chcę się stąd wydostać.

- Nie zasłużyłeś na taką karę. Po to tu przyjechałam, żeby ci to powiedzieć. Samolot odlatuje o trzeciej, może na niego nie zdążę, ale chciałam się z tobą zobaczyć i ci to powiedzieć. Jeśli w czymkolwiek mogę ci... – Zaszlochała i zasłoniła na moment oczy. - Przepraszam, to brzmi tak obłudnie, ale mówię serio. Jeśli w czymkolwiek mogę ci pomóc, jeśli gdziekolwiek mogę zaświadczyć na twoją

korzyść, uczynię to. Ta sprawa już nie dotyczy samych Butterfieldów, ta sprawa dotyczy tego, co jest słuszne, a co nie, a dalsze trzymanie cię tutaj, w zamknięciu, jest wyjątkowo niesłuszne. - Zaczęła wstawać, ale ją powstrzymałem.

- Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

- Od twojego ojca. Zadzwoiłam do niego kilka tygodni temu.

- Jak ci poszła rozmowa? Musiała być dziwna.

- Twoja matka podniosła drugą słuchawkę, zaczęła na mnie krzyżeć. Twój ojciec pierwszy się rozłączył. Tak, rozmowa była dziwna. Muszę już iść. Uważaj na siebie. Ł. ;

- Czy Jade ma już dziecko? Jak się jej wiedzie?

- Dobrze. Przenieśli jej męża do Brukseli. Jade nie jest zachwycona miastem. Nie, nie mają dzieci.

- Na razie nie mają.

- Chyba niezbyt jej zależy na dzieciach. Wydaje mi się, że zniechęciłam ją do macierzyństwa.

- O czym jest twoja książka?

- O Hugh. Prześlę ci egzemplarz.

- O Hugh?

- Ty też w niej występujesz. Ale nie jako ty. W każdym razie jest inna, niż myślisz. Piszę o przeszłości. O samym początku. Kiedy zakochałam się w Hugh.

Wstała.

- Cieszę się, że przyszłaś... - Zwiesiłem głowę i zasłoniłem oczy, a potem bałem się, że kiedy je odsłonię, Anny już nie będzie. Położyła mi dłoń na ramieniu. Wstałem z fotela.

- Nie trać wiary w siebie, David. - Kiedy staliśmy tak blisko siebie, czułem zapach jej perfum. Oddychałem głęboko, starając się wciągnąć go w płuca.

- Nie mam wiary w siebie.

- Masz. Musisz ją tylko odnaleźć. Nic dziwnego, że tutaj przychodzi ci to z trudem. Musisz się stąd wydostać. To nie jest miejsce dla ciebie.

- Wyciągnęła rękę i dotknęła mojej twarzy. Przez chwilę wpatrywała się we mnie uważnie. Chciałem ją uściskać, ale coś mi kazało się powstrzymać. Łzy ciekły mi strumieniem po policzkach. Anna cofnęła się, spojrzała tak, jakby na zawsze chciała zachować mnie w pamięci, po czym mszyła do wyjścia.

Obserwowałem, jak idzie przez salę, kierując się w stronę drzwi. Szła wyprostowana, równym, nieśpiesznym krokiem. Za chwilę miała mi zniknąć z oczu.

- Dziękuję! - krzyknąłem, przykładając do ust zwinięte w trąbkę dłonie, zupełnie jakbym wołał do kogoś na morzu.

Nie oglądając się, podniosła rękę i pomachała mi na pożegnanie, opuszczając po kolei palce, jakby odliczała. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Niecały rok później, we wrześniu, umarł Arthur - umarł w domu, podczas snu. Miał rozległy zawał, chociaż sędzę, że niewiele trzeba było, aby zerwała się nić, która trzymała go przy życiu. Kiedy umarł, z miejsca stało się dla mnie jasne, że szykował się na śmierć od dnia zgonu Barbary Sherwood. Rose przyjechała do Fox Run zawiadomić mnie o nieszczęściu. Była środa, toteż sami siedzieliśmy w sali widzeń. Rose miała twarz całkiem białą, jakby wciąż znajdowała się w szoku; w murze dzielącym życie od śmierci są okna - człowiek zmienia się, gdy tylko przez nie wyjrzy. Kiedy zajęliśmy miejsca, natychmiast domyśliłem się, że stało się coś złego, a gdy położyła mi na dłoni swoją małą, zimną rękę, nastawiłem się na najgorsze. Było już trzy dni po fakcie,- Arthur zmarł o wpół do dwunastej w niedzielę wieczorem; ciało, zgodnie z jego życzeniem, przekazane zostało Wydziałowi Medycznemu University of Chicago.

Czułem się zbyt zepchnięty na boczne tory, zbyt odsunięty od świata, żeby płakać. Jedynie w środku poczułem dojmujący ból, jakby wywołany chorobą.

Po miesiącu poddano mnie serii testów psychologicznych. Takich samych jak zwykle. Dodawanie kolumn cyfr. Kto był pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych? Co to jest słońce? Pytania zmierzające do sprawdzenia, czy potrafię logicznie myśleć, czy pojmuję rzeczywistość w sposób normalny, klarowny. Mówiłem, z czym mi się kojarzą różne rozmazane kleksy, dorabiałem zakończenia do historyjek obrazkowych, robiłem testy na postrzeganie przestrzenne, ćwiczenia sprawdzające pamięć i wreszcie przed komisją złożoną z trzech psychiatrów, niemal tak jak przy obronie doktoratu, miałem egzamin ustny, na którym opowiadałem o sobie i odpowiadałem na pytania. Gdyby to zależało tylko od ciebie, jaką pracę chciałbyś wykonywać? Gdybyś kochał się bez wzajemności w dziewczynie, co byś uczynił? Z tego wysiłku, żeby sprawiać wrażenie zdrowego człowieka, czułem się kompletnie wypompowany; zdołałem sobie jednak na tyle rozjaśnić umysł, aby zrozumieć, że jeśli mój wysiłek będzie zbyt widoczny lub zbyt udany, wówczas poniosę porażkę. Ważne było, aby cały czas egzaminatorzy sądzili, że jestem zdenerwowany; pewność siebie i determinacja mogłyby być odczytane jako objawy dysocjacji.

Po dwóch tygodniach doktor Donner, psychiatra, który niby się mną zajmował, chociaż widywałem się z nim zaledwie przez półtorej godziny tygodniowo, oświadczył, że wyzdrowiałem na tyle, żeby „podjąć próbę” życia w społeczeństwie. Udzielił mi kilku przyjacielskich wskazówek, między innymi, że po wyjściu ze szpitala powinienem być w „stałym kontakcie” z dobrym psychiatrą, po-

wiedział też, że gdybym miał jakiegokolwiek problemy, to żebym dzwonił do niego bez skrępowania, na koniec zaś oświadczył, iż ma nadzieję, że dzięki pobytowi w Fox Run lepiej poznałem samego siebie i nauczyłem się radzić sobie ze swoimi problemami.

- Zwłaszcza teraz, gdy nietolerancyjni mieszkańcy okolicy i skąpe władze finansowe wciąż atakują szpital, cieszę się, że zwalniamy do domu człowieka, któremu mogliśmy pomóc.

Tak więc zostałem wypuszczony na wolność. Wyszedłem z Fox Run po moście wzniesionym z twojego małżeństwa i ze śmierci Arthura. Wróciłem do domu matki na Ellis Avenue, żeby dojść do siebie po długim pobycie w szpitalu i przyzwycząić się do myśli o wolności. Już kiedyś przez to przechodziłem, ale teraz nie miałem się co łudzić, że wszystko się nagle odmieni, gdy znów będziemy razem. Gdy wstawałem z łóżka - tego samego, w którym sypiałem, kiedy tylko się poznaliśmy, z łóżka, w którym cierpiałem męki, nie mogąc się doczekać spotkania z tobą - nie liczyłem już na to, że cię jeszcze w życiu zobaczę. Kiedy dzwonił telefon, wiedziałem, że to nie ty dzwonisz, a na widok listonosza z ogromną, skórzaną torbą pełną listów i kart, nie miałem nawet promyka nadziei, że jest tam coś dla mnie. Niewielki majątek Arthura przypadł Rose, która jednak podzieliła się ze mną po połowie, toteż po raz pierwszy w życiu posiadałem własne pieniądze. W każdej chwili mogłem się wyprowadzić, ale nie byłem jeszcze gotów. Potrzebowałem domu rodzinnego, Rose zaś potrzebowała mnie.

Jade. Nie chcę tego mówić, naprawdę nie chcę...

Miałem trudności ze znalezieniem pracy. Byłem karany, a to, że odbywałem karę w szpitalu psychiatrycznym zamiast w więzieniu, pogarszało tylko sprawę; ludzie patrzyli na mnie nieufnie. Nie miałem wyższego wykształcenia i właściwie nigdy nie pracowałem, chociaż liczyłem blisko dwadzieścia osiem lat. Zależało mi na pracy w dużej firmie, żeby mieć jak największy kontakt z ludźmi. Przyjaciele rodziców starali się pomóc, ale niewiele mogli zdziałać: część przeszła na emeryturę, inni byli za starzy, żeby się z nimi liczone. Żyłem ze skromnego spadku po Arthurze i uczęszczałem na zajęcia na Roosevelt University. Nieważne, jakie to były zajęcia, w każdym razie nie miały nic wspólnego z astronomią. Musiałem zdobyć wiedzę, która byłaby mi pomocna w znalezieniu pracy, wszyscy zaś twierdzili, że na astronomów jest znikome zapotrzebowanie.

W lepsze dni czułem się jak rozbitek, który wie - po zapachu wiatru, po łagodnie załamującym się świetle, po nagłym przelocie mew - że w oddali znajduje się jeszcze niewidoczny gołym okiem brzeg.

Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Wiedz, że nie musisz czytać ani słowa z tego, co napisałem. Nie chcę niepokoić twojego męża, nie chcę, żebyś ty się czuła zażenowana, żebyś przypominała sobie rzeczy, o których wolałaś zapomnieć. Dobrnąłem wreszcie do końca. Nie, nie do końca miłości. Do końca sił - nie mogę już mówić. I nie mam potrzeby. Życie powoli nabiera treści. Mieszkam z kobietą i może kiedyś się pobierzemy, choć w to wątpię. Ona też maluje. Nawet lepiej niż ty. Wykłada na uniwersytecie i jest ode mnie wyższa o dobre dwa centymetry. Nie podam ci swojego adresu, tak chyba będzie rozsądniej.

Nie chcę tego mówić, naprawdę nie chcę, ale jeśli przeczytałaś wszystko dotąd, to chyba zdajesz sobie sprawę, że płomień, który we mnie rozpałałaś, nadał płonie. Ale dla ciebie nie ma to teraz większego znaczenia i tak powinno być.

Wszystko się ułożyło. Przeszłość spoczywa w oddali, otoczona mrokiem. Nie jestem już w jej szponach; teraz, jeśli chcę jej dotknąć, muszę wyciągnąć dłoń. Nadeszła noc, jestem sam i mam jeszcze chwilę czasu. Stoję na długiej, czarnej scenie oświetlonej światłem, które jest moją miłością do ciebie, miłością bez końca. Uciekłem wieczności - a może mnie stamtąd wyrzucono? - i wróciłem do życia, które przemija. Ale raz jeszcze się w nią cofam, żeby zaśpiewać tę arię, spisać wyznanie, testament bez końca. Rozpościeram ramiona nie po to, żeby uścisnąć ciebie, lecz żeby wziąć w objęcia świat, tę tajemnicę, która nas otacza. Nie ma orkiestry, nie ma publiczności: jest to pusty teatr w środku nocy i wszystkie zegary odmierzają czas. Ale chcę, Jade, żebyś wiedziała - wszystko mi jedno, czy jest to szaleństwo czy nie, nawet się nad tym nie zastanawiam - chcę, żebyś wiedziała, że widzę twoją twarz, widzę ciebie, tak, ciebie, widzę cię na każdym krześle.